

Marta Madera:

Ślimaki z ogródka

W Serii z Cynamonem polecamy

MAŁGORZATA WARDA - Czarodziejka

MAŁGORZATA WARDA - Ominąć Paryż

MARTA MADERA - Przyjaciele

MARTA MADERA

Ślimaki z ogródka

Copyright Marta Madera 2007

Projekt okładki Paweł Rosotek
Redaktor prowadzący serię Jan Koźbiel
Redakcja Ewa Witan
Redakcja techniczna Elżbieta Urbańska
Korekta Mariola Będkowska
Łamanie Aneta Osipiak
3.i⁶
ISBN 978-83-7469-452-0
Wydawca
Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul.

Garażowa 7
www.proszynski.

pl

Druk i oprawa ABEDIK S.
A.61-311 Poznań, ul.
Ługańska 1
Sierpień Marta
JAJKO NIESPODZIANKA
Nóż kurna jego gajowego.

Zasłałam.

Tam, dokąd nazbyt często zachodzi się przez przypadek, a wychodzi z tobołkiem, w pewnym sensie przytroczonym już dożywotnio.

W ciężę, znaczy.

Czternaście godzin później:

Tra la la la!

Jestem wciąż!

Ale fajnie!

Wczoraj dałam sobie dwie godziny i piętnaście minut naprzetrawienietej cudownej wiadomości w różne strony.

Połowę czasu spędziłam zkołdrą na głowie, a połowę w wannie, do której wlałam pół butelki silnie odprężającej pianki z serii "Mega Relaxation", ponieważ już nie mogłam wlać w siebie połowy butelki czegoś zupełnie innego.

Następnie obarczyłam tą wiadomością mojego steranegożyciem małżonka, jak tylko wrócił z pracy.

Nawet kawy nie wypił, tylko złapał discmana i wskoczył na rower.

Lepszy jest.

Jemu zajęło to tylko godzinę trzydzieści.

A teraz już się cieszymy.

Tra la la!

Z korespondencji sms-owej:

Anka: UMAWIAMY SIĘ Z DZIEWCZYNAMI W BANASIU NA WÓDKĘ.

PRZYJDZIESZ?

Ja: JA MOGĘ NAJWYŻEJ NA ZIELONĄ HERBATKĘ, TAK SIĘ POROBIŁO.

ALBO NA SOK JABŁKOWY, POZA

A^.

TYM NIE WIEM CZY SIĘ NADAJĘ DO KNAJPY BO CIĄGLE LATAM SIKU.

Anka: PRZYJDŹ PRZYJDŹ NIE WYGLUPIAJ SIĘ.

BĘDIEMY PIĆBALOWAĆ PLOTKOWAĆ

Ja: A POTEM SIKU.

Anka: MARTUSIAW CZY TY SIĘ ABY DOBRZE CZUJESZ, DZIECKO?

Ja: JA SIĘ CZUJĘ DOBRZE IDZIECKO TEŻ NIE NAJGORZEJ

Anka: T?

ZADZWONIĘZA CHWILĘ ZE STACJONARNEGO.

DECH MI ZAPARŁO.

Ja: POWENTYLUIJ SIĘ PRZEZ 15 MINUT CZYSTYM TLENEM A NA PANIKĘ ODDECHOWĄ DOBRA JEST MORFINA 5-10 MG I.

V.

Jestem świeżo po rozmaitych egzaminach i mam wiedzę.

Ha.

Ale jej szczęka opadła.

Szkoda, że tego nie widzę.

Jeśli pisała prosto z sali operacyjnej, to pod maseczką nikt nie zobaczył, i taki piękny moment się zmarnował.

Dlaczego od razu po ujrzeniu dwóch kresek na teście ciążyowym dopadają mnie poranne nudności, a wcześniej nie?

Następnym razem zrobię sobie test ciążyowy pod koniec ósmego miesiąca.

Tfu, tfu.

Nie będzie następnego razu, w końcu ile przeciętna obywatelka Europy, reprezentantka klasy było nie było średniej, może mieć tych dzieci?

Ja w każdym razie chyba wykorzystałam swój limit.

I zapewniłam populacji zastępowalność pokoleń.

Tyle że jakby trochę nie chcący

Kurczę, jak mnie Miśka w końcu zapyta - a dzień ten jest coraz bliżej, w końcu smarkula idzie już do zerówki i pytania zadaje coraz ciekawsze - jak się robi dzieci, to będę ją musiała wysłać na szkolenie do cici, ponieważ ja sama, cóż.

nie mam pojęcia.

Nigdy w życiu nie robiłam żadnego dziecka.

U mnie same rosną, jak grzyby, tyle że niedokładnie po deszczu.

Przeciętna Europejka, reprezentująca klasę średnią, ma w tym względzie, jak mniemam, nieco inne doświadczenia.

A, co mi tam.

Bardzo lubię dzieci.

I fajnie, że za parę miesięcy będę miała troje.

Tak myślę tego się będę trzymać.

NA KŁOPOTY- MAŁGOŚKA

Baby wróciły z gór, dokąd pojechały w towarzystwie Gośki, jej mamy i wszystkich jej dzieci.

I mojej babci.

Gośka TEŻ ma trójkę.

I więcej nie będzie już miała, to akurat wie na sto procent.

Jest po operacji, jak mówi moja babcia, "z powodów kobiecych".

Z powodów kobiecych Gosia wygląda jak cień samej siebie przedrokiem, jednak wciąż ma sporo energii i ogromną życzliwość do całego świata.

Sama mi zaproponowała, że zabierze baby na tydzień, i chociaż początkowo pukałam się w czoło - piątka wrzaskliwych bachorów to cudowny sposób na zapewnienie relaksu osobie podwójnych operacjach i wyczerpującym leczeniu.

Ale proszę Gośki z całą energią poparłajęmama, zapewniając, że sobie poradzą, a imwięcej dzieci, tym lepiej, bo cała banda może zajmować się sobą nawzajem.

Po półgodzinnej debacie wymyśliłam, że dołożę im dodatkowo własną babcie, jako parę rąk do zagania całego towarzystwa tam, gdzie zagonić je trzeba - do mycia, spania i jedzenia.

Pomysł został przyjęty z zachwytem z wszystkich możliwych stron.

Pojechały.

Wróciły zachwycone, zaprzyjaźnione z sobą i w dobrym nastroju.

Starsze panie miały siebie nawzajem i opowiedziały sobie całe swoje życie, dzieciarnia miała raj na ziemi - wielki ogród, rzeczkę w pobliżu, w której naprawdę ciężko się utopić, albowiem w najgłębszym miejscu sięga Miśce po kolana, krzaki uginające się od porzeczek, malin, agrestów i innych pyszności, a także kotkę, której właśnie urodziły się młode, i dwa wielkie, łagodne psy, które uwielbiały się bawić.

I jeszcze codziennie na obiad ukochane pierożki z owocami.

Wyprawy z Panem Sąsiadem do lasu.

Gośka miała święty spokój i wszyscy ją rozpieszczali, z babciami na czele.

Ja miałam czas, żeby pouczyć się do egzaminów, ponieważ dwa pięć lat temu zostawiłam sobie nawrzesień.

Wykorzystałam go tyle, o ile, ponieważ spadłam z jasnego nieba na ten głupi łeb ko.

lejna ciąża.

Samaw sobie w nauce nie przeszkadza, aczkolwiek skupić mi się jakoś trudno.

Trudno, nie trudno, uczyć się trzeba i już.

Tym razem nie ma mowy o żadnych przerwach w edukacji.

Tak postanowiłam.

Mam w grupie koleżankę, Joaškę, która urodziładziecko zaraz na początku piątego roku i nie opuściła zajęć ani nachwilę.

Na koniec roku wyciągnęła średnią stypendialną, powyżej czterech.

Może Joaška, mogę i ja.

Przekazałam Miścera dosną nowinę.

Przewróciła oczami.

Moja sześciolatnia córka przewraca oczami na wiadomość, że jestem w ciąży.

Świat się przewraca i to nogami do góry.

Malwince też powiedziałam, ale niewywołałam tym żadnej reakcji, gdyż osoby piętnastomiesięczne nie przywiązują wagi do tego typu komunikatów.

Jeszcze.

Oprócz Anki wie jeszcze Magda, która sama jest w ciąży i uważa, że to fantastycznie.

I Goška, która mnie uścisnęła i szepnęła:

"Nie martw się, rób swoje, dasz sobie radę".

Wiedziała, że trochę się martwię.

Ale dam sobie radę.

Radę to ja sobie dałam już dawno temu i brzmiała ona mniej więcej: "żadnego rozmnażania, dopóki nie skończę studiów".

To byłaniezła rada.

Tylko że ja nigdy nie słucham nikogo, nawet siebie samej.

Zaczęłam pisać kolejną książkę, bo ostatnio polubiłam życie w ciągłym ruchu.

Muszę mieć dużo rzeczy do zrobienia naraz, wtedy brakuje mi czasu na zapadanie się w głąb samej siebie i szukanie problemów.

Powoli nad horyzont zdarzeń wychodzi z powrotem jasne, letnie słońce.

Będzie dobrze.

Znowu chce mi się siku.

i

Nazajutrz wychyłam na świat, ostrożnie, i czekałam nie miłania spodzianka.

Udało mi się namówić profesora od mikrobiologii, żeby przeegzaminował mnie miesiąc wcześniej.

Profesor, opalony, świeżo porolopie i w dobrym nastroju, zgodził się bez oporów.

Aaaa.

Muszę zrobić solidną powtórkę i zebrać w logiczną całość moje nieuporządkowane wiadomości o różnych morderczych mikroorganizmach.

Wystawiłam babom basenik na taras, moczą w nim tyłki od świtu do zmierzchu, a my z Anką szeleścimy skryptami.

Uznała, że nadmiar wiedzy jej nie zaszkodzi i tradycyjnie przybyła z odsieczą naukową.

Moczymynogi, wsadzając je dowody pomiędzy potomstwo, albo wystawiamy je do słońca.

Też chcemy być opalone jak pan profesor.

A to, że moja opalenizna pochodzi z tarasu, nie z Rodos, to już wyłącznie moja sprawa.

Tak. Będzie piękna i jeszcze dodatkowo mądra.

I wciąż.

Mąż jak mąż.

Pracuje.

Od moczenia nóg chce mi się siku cztery razy częściej i zaburzam Ancę rytm przyswajania

wiedzy, ale nic to.

Poprzestaje na wzdychaniu, cztery razy częściej niż termometry z temperatury otoczenia.

Ha. Z mikrobów czwórka, troszkę wyrost, taki wakacyjny bonus.

Profesor zaproponował nawet, że bym przyszłą nową powalczyła o piątkę, ale nie chce mi się. Zwaliałam na ciążę.

Uśmiechnął się jakoś miło i ze zrozumieniem, i pogratulował.

Jeszcze nie powiedzieliśmy rodzinie.

Jakoś nie sądzę, żeby pchali się z gratulacjami.

Trzeba będzie w końcu powiedzieć, bo Miskę już jeździ jak upoluje jakąś babcie samna sam, to ani chybi się wygada.

Wymyśliła sobie ostatnio, oganiając się od Malwinki.

, że jak się dzidzius urodzi, to mała przetrzuci na niego zainteresowanie i nie będzie tak za nią wszędzie łązić.

Z tego powodu ma do mojej ciąży stosunek pozytywny.

Obawiam się, że jak się dzidzius urodzi i trochę podrośnie, to będą za Miską łązili boje - i Malwinka, i dzidzius - powstrzymałam się jednak od komentarzy.

Musiałam usnąć kota, był już bardzo chory.

Rak go powoli zjadał od środka i pod sam koniec zwierzę wyraźnie się męczył.

Operacja pomogła tylko na chwilę, na jakieś trzy miesiące, a potem guz odrósł i było już tylko gorzej.

Nie zdecydowałam się ciąć biednego kotka drugi raz, tym bardziej że po zbadaniu wycinka wiedzieliśmy wszystko - wyjątkowo złośliwe i nieuleczalne świństwo.

Jako kotek przestał już cokolwiek jeść i pić, zabrałam ze sobą Ankę, jako nie.

zbędne (dla mnie samej) wsparcie duchowe i pojechałam odprowadzić biedaka w ostatnią, najdalszą z dróg.

Baby były wtedy na wakacjach.

Miśkawiedziała, coś się może stać, uprzedziłam ją wcześniej, i nie miała pretensji, ale jest jej smutno.

To był jej ulubiony kotek, do końca przychodził spać do jej pokoju, od kiedy zewzględu na Malwinę wyrzuciliśmy koty z sypialni.

A teraz gonie ma.

Rozmawiamy przed zaśnięciem długo i poważnie i wyjaśniamy sobie wszelkie kwestie dotyczące rzeczy ostatecznych.

Przy okazji kota.

Może tak jest łatwiej.

Drugi kot ma się dobrze, ale on zawsze był bardziej osobny.

Jest, a jakbygo nie było.

Przychodzi, zje, trochę pomruczy, da się - czasami - wziąć naręce i pogłaskać, po czym macha ogonkami odchodząc do swoich tajemniczych, kocich spraw.

Miśka patrzy na niego ze smutkiem.

Tamten kotek był zupełnie inny.

Zauważał nas, sam szukał naszego towarzystwa i naprawdę był przyjacielem.

Ten jest tylko śliczną, pluszową maskotką, która pojawia się i znika wedle własnego uznania.

Obiecałam Miśce drugiego kota, na razie jednak nie chce.

Jest wierna.

Stale i we wszystkim, i zawsze tak była.

Muszę dać jej czas.

Na swój sposób ją podziwiam.

W Miśce widzę pewną niezłomność i uporządkowanie.

Niekiedy zaskakuje swoją dojrzałością, na przykład teraz.

Pamiętam analogiczną sytuację, kiedy moja sąsiadka, Dorota, musiała uspić psa.

Jej synek był wtedy w drugiej klasie, czyli miał całe dwa lata więcej niż Miśka teraz.

Był wstrząśnięty.

Wydierał się na rodziców, awanturował, krzyczał: "Zabiłaś mojego pieska!"

". Obraził się, nie chciał się uczyć, odmawiał jedzenia, jednym słowem cyrk na kółkach.

Nijak nie dało mu się wytłumaczyć, choć sytuacja była podobna - piesek też nieuleczalnie zachorował i bardzo się męczył.

Dorota miała problemy to bardzo długo.

Dlatego obawiałam się reakcji Miśki.

Zaskoczyła mnie.

Cisza, spokój, dużo pytań i wiele smutku, a jednak poza tym - pełna akceptacja tego, co się stało.

Może nie taka oczywista inie od razu, bo wśród pytań czasem przewijało się:

"Ale dlaczego, mamo, musiał zachorować akurat nasz kotek, i ten kochany?"

Czy Bóg tego nie wiedział?

Że ja akurat tego kota lubię bardziej?"

". Potem jednak cisza.

10

Może cały problem polega na tym, że synek Doroty nie ma do swoich rodziców zaufania?

I nigdy nie miał?

Dlatego już tak zwany słynny bunt dwulatka przechodził tak, że Dorota z powrotem zaczęła palić papierosy i dołożyła do nich jeszcze persenforte?

Ciekawe, dlaczego tak jest i jakim cudem udało mi się tego uniknąć.

Nie wiem.

Dar losu.

Może jeszcze to, że ja sama mam domoich dziewczyndużozaufania i zazwyczaj rzucam je nagłęboką wodębez dyskusji.

A Dorota z reguły uważa, że jej syn to mały bezmózgikretynek, za którym trzeba biegać z wyciągniętymi ramionami, odkiedy zaczął się poruszać samodzielnie.

Myśleć za niego i bez przerwy go chronić.

Ponieważ sam nie potrafi.

W związku z tym biegają nim i za niego myśli.

Fakt, że młody niekiedy daje takie zmiany, jakie moim nie przyszłyby do głowy nigdy w życiu.

Jakby naprawdę nie posiadał instynktu samozachowawczego.

Jak miał roczek, wylazł mi na regał przedpokoju i wcisnął się napiętą półką, licząc od dołu.

Był sobie szalenie dumny i promieniał szczęściem.

Jego mamuśkanie comniej.

W wieku trzech lat puszczone samopus wbiegał z impetem do najgłębszej kałuży w okolicy, nawet jeśli znajdowała się na środku skrzyżowania.

Lubił, jak pluskało.

W pierwszej klasie związała z kolegą kilka starych dętek i zrobili bungee.

Skakali z nim z szafy.

Dobrze, że nie z okna, choć, jak przyznali, mieli taki zamiar, ale najpierw spróbowali na szafce i okazało się, że dętki są bardziej rozciągliwe, niż im się wydawało.

Młody obłutł sobie solidnie kość ogonową przez tydzień chodził krokiem szympansa wcielonego domarynarki wojennej.

A przysiadaniu stękał jak własna prababcia.

Dorota dostaje zawału, jak młody znika jej z oczu nawet na minutę.

Gdyby nie to, że nie chce synalka skazywać na śmieśność, siedziałyby z nim na lekcjach w jednej ławce.

Do przedszkola czasami przychodziła, do szkoły z bólem serca nieśmie.

Niemam pojęcia, co jest w tym układzie skutkiem, a co przyczyną, i nie będę w to wnikać.

Model dziecka typu: "śrubka o małym łebku" mnie na szczęście ominął.

I chwala niebiosom.

11.

Chociaż tylko niebiosy wiedzą, na co wyrosnie mała krewetka zamieszkująca od niedawna moje wnętrze.

- Nie zrobisz mi tego - mruczę, klepiąc się po brzuchu, który narazie wygląda bez zmian. Brzuch, jak to brzuch, milczy wymijająco.

Trzy dni później.

Wakacje kończą się nieodwołalnie, w moim wypadku dwa razy - Miśki zakilka dni, moje dopiero za miesiąc.

Ale obowiązki rozpoczynają się dzisiaj; spojrzałam z niechęcią na żółtą karteczkę przyklejoną już od miesiąca do lodówki i powlokłam się do przedszkola.

Zebranie rodziców, obowiązkowe, bo od tego roku zerówka jest obowiązkowa i sześciolatki muszą doniej chodzić, czy chcą, czy nie.

Miśka akurat chce.

Ja nie chcę, ale muszę: zapłacić za podręczniki, skompletować wyprawkę i jakimś cudem znaleźć strój gimnastyczny z zeszłego roku, jeżeli nie chcę kupować nowego.

Z tego wszystkiego najbardziej uciążliwe będzie to ostatnie.

Wiem, bo już próbowałam, narazie bez efektu.

Ha. A jednak.

Strój wspaniałomyślnie znalazł się sam.

Na zebraniu.

Prostotnie odebrałam go z przedszkola przed wakacjami i mogłam szukać w domu do woli.

Pani wręczyła mi go zaraz w progu, wraz z woreczkiem nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Wysłałam z zebrania ze strojem w garści ilżejsza o parę stówek, wydanych na podręczniki i różne komitety.

O, Boże, niedługo będę miała trójkę dzieci!

Początek roku szkolnego będzie naskosztował coś koło jednej średniej krajowej, czyli prawdopodobnie więcej, niż wyniesie moja doktorska pensja wraz z premią, wczasami pod gruszą oraz dyżurami.

Mąż się zdziwił, bo wparowałam do domu, nie mówiąc ni słowa, i od razu zasiadłam na tarasie z komputerem na kolanach.

Narobiłam dzieci, więc muszę zarobić na ich utrzymanie.

Natychmiast!

Mój organizm wyczynia jakieś dziwne hece.

Z uwagi na to, że znów stałam się inkubatorem, nie piję ani kropli alkoholu.

A jednak stan, w którym obudziłam się dziś rano, do złudzenia przypominał ciężkiego kaca, dopóki nie pociągnęłam nosem i nie złapałam za termometr.

Cholera!

12

Boli mnie głowa i mam katar.

Tylko ja umiem się przeziębic

w klimacie przyjaznym i umiarkowanym albo w samym środku upalnego lata.

Od gorączki robi mi się zez rozbieżny i nie mogę

wyczytać w Internecie, bo widzę podwójnie.

A potrzebna mi informacja, co bardziej szkodzi w pierwszym trymestrze ciąży: trzydzieści osiem czy dziewięć czy paracetamol.

Mąż w pracy.

Teściowa na

wakacjach, a babcię boli kręgosłup.

Miśka w amoku, bo jeszcze nie

ma biurka, a prawie wszyscy koledzy już mają.

- Zawsze jestem opóźniona, zawsze!

- ryczy.

-Nic nie mamy!

Nawettelewizora nie mamy!

Amadeusz ma biurko, Natalia mabiurko, nawet MałaKasia ma biurko, choć jest pięciolatkiem, a ja nie!

Tylko tę głupie zabawki jak dzidzius!

A Janek ma nawet komputer!

Bianka ma w pokoju organy elektroniczne!

A Aga ma cztery koty, a my tylko jednego, który mnie nie lubi.

Yyyyy.

Malwinka umie już chodzić, więc chodzi, tylko dlaczego od razu w jałowce?

Pokłuży ją i też ryczy.

Łapie za telefon.

- Gosia.

- szmerzę słabiutko do słuchawki - Gosia, nie chciałybyś przypadkiem dziecka?

I natychmiast gryzę się język, bo uświadamiam sobie, że pytanie zabrzmiało jakby nie na miejscu.

Ale Gośka śmieje się przyjaźnie i zupełnie spokojnie.

- A co, masz jakieś na zbyciu?

Chcesz się pouczyć w samotności?

Mogę przyjechać po Miskę, czemu nie.

Bliźniaki się nudzą.

- Kocham cię - mówię szczerze i bez namysłu.

- Pouczyć się chyba nie dam rady, mam gorączkę, ale chciałabym się trochę przespać na zapas.

Albo coś.

Gośka, jak zwykle przejęta i czujna, przyjechała w piętnaście minut.

- Bierz paracetamol - zdecydowała.

- Pozatym nic, najwyżej napar z lipy i to bez przesady.

Soku z malin się nie waż, kurczy macicę, mniej niż liście, ale zawsze.

Magnezi witaminki.

I do łóżka marsz!

Posmarowała jeszcze nieszczęsną ofiarę jałowców fenistilemi normalnie położyła nas obie spać.

Obiecała, że przywiezie nam obiady.

Nadętą jeszcze Miskę zabrała ze sobą, po drodze podejmując tematy wychowawcze odnośnie do posiadania i nieposiadania rozmaitych dóbr materialnych.

Po trzech godzinach wróciły, przywiozły pierogi, a Miśce zdecydowanie poprawił się charakter.

Dobrze jest mieć przy sobie taką Gosię.

Bez niej zginęłabym jak ciotka w Czechach, jak mówi Duduś.

BOMBĄ W RODZINĘ

Jeżeli chodzi o Dudka, to przylazł wieczorem pooddychać świeżym powietrzem u nas natarasie, bo w domu przy młodym żona mu niepozwala.

Tym razem świeże powietrze było mentolowe, bo Dudekma potrzebę dokonania w życiu życiorysów parunięzbędnych zmian.

Zaczął od zmiany marki papierosów.

Moja rodzina już wie o mojej ciąży, i to wcale nie dzięki Miśce.

Dziecko dzielnie trzymało mordkę na kłódkę, natomiast wydałamnie.

mama Gośki.

Cholera, zupełnie zapomniałam, że ostatniopokochały się nad życie z moją babcią i nie założyłam w porę kagańca na twarzGośce.

Szczerzemartwiona moja nieoczekiwaną

chorobą wygadała się płynnie mamie, a jej mama cichaczemchwyciła za telefon.

Dobrze, że mam gorączkę, bo jakoś nie mam siły przejmować się huraganem, który sięrozpętał.

Ze mną wroligłówniej.

Mójmaż się nasłuchał odmojej rodzinki, niejako w zastępstwie.

W końcu rąbnął słuchawką i teraz jesteśmy w chwilowym konflikcie z całym światem.

Prawie.

Po prostu świetnie.

Wrzesień się zbliża, notatki z laryngologiiileżą odłogiem w kącie, podręcznik do mnie mruga zielonym oczkiem, a babcie nadęte.

Jak jeden maż.

Maż za to jakby bardziej obecny, co mu się chwali.

Wieczoremnawetsamodzielnie położyłbaby spać.

Zastanawiamy się nad przyszłością i nad tym, czy naprawdę jesteśmy tacy nieodpowiedzialni. Wychodzi nam, że nie.

W końcu jesteśmy zdrowi i dorośli, mój maż pracuje już od wielu lat, ja mam nadzieję rozpocząć pracę w zawodzie lekarza za rokz kawalkiem, dzieci do tej pory są zdrowe i udane, mamy dom, mamy siebie i szczerze się lubimy.

Nasze plany zgęstniały nieco i zrobiłosię w nich miejsce na trzecie dziecko, oboje nie mamy codo tego żadnych wątpliwości.

Przyokazjirozmaitych głupich pytań, burzy i naporu, zdaliśmy sobie

14

sprawę, że dobrze sięstało, tak ma być i niewyobrażamy już sobie, by było inaczej.

Katar mam nieco mniejszy niż wczoraj, zato dopadło mnie nagminne zapalenie spojówek.

Zaraźliwe jak diabli, nie minęło półdoby i wszyscy wyglądamy jak Króliczki w Pociągu, Malwinka matakąbajkę.

Tam wszyscy mają czerwoneoczy.

Najświeższe plotki wydostały się poza granice państwa i podwieczór teściowazadzwoiła do nas wprost z wojaży.

Z gratulacjami, które brzmiały ciepłoi zupełnie szczerze.

Uff.

Z pamiętnika DominikiN.

Wrzesień

Szesnasty

Biała plama - to, co mam przedsobą.

Biały, nieskażony literkami ekran komputera.

Przepraszam, na samej górze widnieje moje imię i nazwisko i ozdobnie podkreślony napis "Curriculum vitae".

Pod spodem pustka i wielka, biała cisza.

W mojej głowie podobnie.

Jeśli mam w życiu postawić na uczciwość i prostotę, właściwie powinnam na tym poprzestać.

Imię, nazwisko, dobre chęci.

I tyle.

Z tymi chęciami zresztą bywa różnie.

Wczelnie mam ochotę szukać żadnej pracy.

Z drugiej strony, dwie godziny na łonie ukochanej rodziny wystarczyły, żeby mi uświadomiła sobie bardzo dokładnie, że długo to ja z nimi nie wytrzymam.

Muszę znaleźć pracę, podjąć studia - w trybie zaocznym - i poważnie pomyśleć o przyszłości.

I niezależności.

Jest jeszcze Marcel, którego nijak nie mogę do tych moich ambitnych planów dopasować.

Mam dziecko.

Nigdy już nie będę niezależna.

Mały, jasnowłosy chłopczyk, który dziś wieczorem uśmiechnął się do mnie nieśmiało - i po kilku sekundach wahania ostrożnie

15.

usiadł mi na kolanach, wciąż trzymając za rękę moją matkę, a swoją babcie.

Taki śliczny.

Tak pachnący.

I taki obcy.

Cztery miesiące wystarczyły, aby przestał być moim dzieckiem, ja to wiem i on także. Mam dużo do nadrobienia.

Oddycham głęboko, wpatrując się w ekran mojego ślicznego, nowego laptopa, którego przywiozłam sobie z zagranicznych wojaży.

Całe moje życie jest do nadrobienia.

Właśnie w tym momencie, dokładnie w tej sekundzie, kończą się wakacje.

Te ostatnie, londyńskie, szalenie pracowite zresztą, i te, które trwały niemalże trzy lata, wakacje od normalnego życia, przynajmniej w pojęciu moich rodziców.

I sporej części populacji.

Dokładnie tak się czuję teraz.

Jakbym wróciła z długich, bardzo długich wakacji, a na drugi dzień miała się zacząć wyczekiwaną mieszaniwą radości i obawy szkoła, czyli inaczej mówiąc - codzienność.

Ten powrót jest inny niż tamten, sprzed pół roku, kiedy to pojawiłam się w domu moich rodziców po dwóch latach nieobecności, nagle, niespodziewanie, z Marcelkiem pod jedną pachą i kotem Toboikiem pod drugą.

Dwie walizki popychałam nogą.

Wtedy unosiłam się w dziwnej, obcej przestrzeni i niewiele domnie docierało, a w miejscu po żołądku miałam tylko wielki, ciemny supeł strachu.

Moja mama powiedziała tylko: "Nocóż. wejdź".

To "cóż" zabolęło, a trochę później.

Zresztą była to jedyna forma wyrzutu, jaki usłyszałam, muszę to uczciwie przyznać.

Teraz czuję, że wróciłam do domu.

I zupełnie jak dawniej już mnie ten dom zaczął wkurzać.

Załatwiłam najważniejsze sprawy, uwolniłam się od przeszłości, pospłacałam długi - więc wszystko wróciło do normy i z powrotem można po mnie jeździć jak po łysej kobyle i urządzać mi życie wedle własnego pomysłu.

Teraz jest nawet gorzej, bo swój pomysł na życie to ja już miałam, i wiadomo, jak się to skończyło.

Oczywiście żadne z moich rodziców nie powiedziało tego nagłos.

To tylko wisi w powietrzu.

I warczy.

Ojciec chce, żebym natychmiast rozpoczęła studia, najlepiej dzienne, nie przejmowała się na razie kasą i nie udawała dorosłej, bo nie ma takiej potrzeby.

Matkachce, żebym natychmiast wydoręła się, zajęła się dzieckiem - i studiami, a leżąc załapałam się gdzieś

16

na pół etatu i dołożyła co nieco do wspólnej kasy, bo "jak się nawarzyło piwa, to trzeba je wypić", a mnie na to stać.

Oczywiście praca ma być porządna, dobrze płatna, w miarę możliwości rozwijająca i najlepiej od zaraz.

Pewnie.

Mam całą masę kwalifikacji, a praca rośnie na każdym przyrodzonym krzaku, nic tylko zrywać i się częstować.

Zdaniem mamy, jestem młoda, umiarkowanie ładna, jeśli tylko oczywiście o siebie zadbam i zechcę mi się uczesać i ubrać jak człowiek, jestem wygadana, jak na ich potrzeby aż za bardzo ("jak potrafisz do matki pyskować, to do innych też się jakoś odezwiesz, już się o to nie boję"), za chwilę

będę studentką, więc ewentualnemupracodawcy odpadną ZUS-y i inne kwiatki, mam zdolności artystyczne no i język.

Jasne.

Mam język i zaraz go wszystkim pokażę.

Przez okno.

Matce oczywiście chodzi o mój angielski w stanie płynnym, czyli "fluent", i niemiecki, w którym czuję się zaledwie odrobinę gorzej.

Oczywiście oba zawdzięczam ich ciężkiejkrwawicy i przezorności, naliczonymkursom i obozom, na które posyłali mnie od wczesnego dzieciństwa.

Nie pojechałam na obóz językowy wprost zeszpitala, w którym się urodziłam, wyłącznie dlatego, że moje narodzinymiały miejscjeszszcze w epoce socjalizmu i podobne instytucjewtedy nie funkcjonowały.

Za to miałam niemieckojęzyczną nianię.

A teraz mam język obcy, a nawetdwa.

I powinnamto wykorzystać.

Szczerze mówiąc, wszystko mam obce.

Mój pokój, w którym mieszkałam przecież przez tyle lat (i nigdy go nie lubiłam), zamiłowanie do porządku i perfekcyjnej organizacji pracy mojej matki, upodobaniedo filozofii i moralizatorstwa ojca, wiecznie dudniącytelewizor w salonie na dole, dziwnieponure, poszarzałeksiążki w bibliotece napierwszym piętrze, równo przystrzyżone iglaki wogródku,dzwonek do drzwi wygrywający"Błękitną rapsodię", sterylne czysta, biała łazienka, w którejczłowiek boi się odkręcić wodę, żeby nie nachlapać, choć pod umywalką leży specjalna filcowa szmatka służąca do natychmiastowego powycierania "za sobą" zbędnych kropelek, a półki uginają sięod wybielaczy w żelu, mleczka do szorowania powierzchni porcelanowy^aREOTi^ch domestosów, nic tylko pucować i pucować,krzy^? naści^e wkażdym pokoju, a nawet w kuchni (tylko

17.

w kiblaku jakoś brak religijnych symboli), szafy, w których sweterki i bluzki leżą poukładane według kolorów i faktur materiałów -dzianina pod spodem, bawełna w środku, a len i jedwab na samym wierzchu - wszystko to jest obce, całkowicie obce, obce do bólu. Izawszeta tak było.

Uświadamiam sobie, paradoksalnie, że mój pokój we wczesnej, dość burzliwej młodości wyglądał inaczej - i był jedyną przestrzenią w tym domu, którą wolno mi było troszeczkę oswoić; kolorowa grafika na ścianach, jakiś plakacik, porozrzucone tu i ówdzie maskotki.

Nastolatki mają prawo do wyrażania swojej osobowości.

Moi rodzice respektowali to prawo, w rozsądnie wytyczonych przez nich samych granicach.

Plakaty mogły być dwa, przyklejone do tynku takim specjalnym glutem, który nie niszczy i nie dziurawi ścian.

Maskotki tylko napianinione i na półeczce nad łóżkiem.

Wszystko w jasnych, przyjemnych kolorach.

Żadnej czerni, ponieważ przygnębia, i bez przesady z jaskrawością, bo rozprasza i nie pozwala się uczyć.

Nieśmiertelne paprotki.

I przede wszystkim wszędzie - porządek i ład.

A teraz - cóż, nie jestem już nastolatką.

Jestem dorosła i tym bardziej mam się dostosować do stylu, jaki przystoi ludziom dorosłym.

Ze ścian zniknęły moje licealne plakaty.

Ciekawe, że dopiero teraz zwróciłam na to uwagę.

Pojawiły się też jeszcze dwie paprotki.

Znalazłam plakaty.

Zwinęte w schludne ruloniki, spięte gumką spoczywają w szufladzie biurka.

Czy mam je rozwiesić?

Rozwinęłam jeden.

Spojrzałam na mnie z żółtym, wyszczerzonym uśmiechem twarzą członków jednego z topowych niegdyś, a obecnie niemal zapomnianych boysbandów.

Żenada.

Kochałam się kiedyś w gitarzystę tego zespołu.

Chciałam wyjechać do Anglii, poznać go przypadkiem w jakimś modnym pubie, oczarować swoją osobowością płynną angielszczyzną i mieć z nim trojdziesięć, które od urodzenia będą grały na gitarach.

Mam jedno dziecko.

Z Polakiem, który po angielsku potrafił się tylko zmyć.

I właśnie wróciłam z Anglii.

W pubie mieszkałam do świtu do zmierzchu, nawet dłużej, ale nie spotkałam mojego gitarzysty ani w ogóle żadnego ze słynnych gości, ponieważ pracowałam głównie na zapleczu.

A jak awansowałam w końcu na kelnerkę, nie

miałam czasu z nikim zamienić dwóch zdań poza "Co podać?"

Cieszę się, że smakowało".

18

A piwo w angielskich pubach jest kwaśne i ciepłe.

Marcel się dzisiaj u babci.

"Wiesz - powiedziała moja mama, jak już się wykąpałam i rozpakowałam podstawowe rzeczy, zjadłam grzecznie kolację i obejrzałam "Panoramę" - uważam, że nie powinnaś brać go do siebie także raz.

Mogłby się w nocy przestraszyć płakać.

Powinnaś dać mu czas, żeby się do ciebie z powrotem przyzwyczaił.

Dzisiaj będzie spał w swoim łóżeczku, w naszej sypialni, takie małe dziecko nie może przeżywać gwałtownych zmian.

Ja go uśpię, a ty zajmij się sobą".

Wiem.

Zajmę się sobą.

Na nic więcej nie mam zresztą siły aniochoty.

Obcy, obcy, obcy świat.

Siedemnasty

Wysłałem z Marcelkiem na spacer.

W progę, zdziwiony, obejrzał się na babcię, która pomachała mu pogodnie ręką i uśmiechnęła się promiennie.

W porządku.

Westchnął i usadowił się wygodnie w wózek.

Jest tak, jak ma być.

Przemierzamy niespiesznie Bronowice, kierując się w stronę parku Jordana.

Jeszcze wczoraj myślałam, że poświęcę cały tydzień na sprawy techniczne - rozejrzę się za studiami, poszukam pracy, wpłacę pieniądze do banku, od razu wysyłając je tam, gdzie trzeba, może zadzwonię do jakiejś koleżanki.

Ale rano, przy śniadaniu - Marcel patrzył na mnie z takim zdumieniem, na małej buzi malował się wysiłek: "Muszę sobie przypomnieć, skąd znam tę panią", oczywiście karmiła go moja matka ("On tu ma swoje miejsce i łyżeczkę, jeszcze zdążysz wszystko zrobić, ja go teraz nakarmię tak, jak lubi, będzie szybciej") - podjęłam decyzję, że zacznę od spraw zasadniczych.

Spróbuję odbudować więź z dzieckiem.

Z moim dzieckiem.

Pamiętam, jak stałam przy oknie w naszym szalonym, nieuporządkowanym gdańskim mieszkaniu, z Marcelkiem na rękach, patrzyłam, jak za szybą zaleje deszcz i wiatr, i czekałam na powrót Krystiana, spóźnionego - jak zwykle - już cztery godziny.

Zasta 19.

nawiałam się, gdzie jest i co go zatrzymało tym razem.

Koncertplenerowy, który w tym deszczu przedłużył się ponad ludzką miarę?

Bardzo ważne spotkanie w sprawie przyszłej pracy następnych wspaniałych biznesów?

O drugiej w nocy?

Żona, o której wiem od niedawna, a która podobno od bardzo dawna z nim nie rozmawia?

Napastliwi wierzyciele, domagający się, słusznie rzecz się, zwrot kolejnych zainwestowanych w

błyskotliwego Krystiana pieniędzy?

Kolejna utrzymywana w identycznym luksusowym mieszkaniu.

ku kochanki z dzieckiem w ramionach?

Ta noc rozwiła w siwy dym moje rozmaite złudzenia i plany, i wszystkie nadzieje oprócz tej jednej.

Mały Marcel ek trzymał się mocno mojej koszuli i wtulał mi zapłakaną buzię - bolały go zęby, tak mocno, jak mnie cała dusza - we włosy.

Mam cię, myślałam wtedy i starałam się go ukołysać, jak umiałam najlepiej.

Może nie jestem najlepszą matką, może jeszcze w ogóle nie dorosłam, ale mam cię, kocham cię i nigdy cię nie opuszczę.

Dwa tygodnie później wylądowałam u moich rodziców, chwilę później - w samolocie do Londynu, gdzie polecałam pracować jak szatan, aby jak najszybciej spłacić długi i rozpocząć nareszcie tak zwane normalne życie.

Pamiętam jeden z koncertów organizowanych przez Krystiana jeszcze w czasach jego prosperity - to jest w okresie, kiedy nowego pracodawcy nie zdążył jeszcze naciągnąć na grube pieniądze, a starzy pracodawcy nie znali jego nowego adresu.

Stałam tuż pod sceną, w obcisłej czarnej sukience i ukochanych glanach, z młodym w ramionach, śpiewałam, krzyczałam i pisałam jak trzeba, a Marcel śmiał się radośnie, marszczył małe brewki, kiedy basy stawały się przesadnie głośne, aż w końcu zmęczył się tym gwarem i hałasami zwyczajnie usnął, potrząsany przeze mnie w rytm muzyki.

Wtedy wszystko było takie zwariowane, takie piękne, takie proste.

Skakałam pod sceną, ludzie odsuwali się na bezpieczną odległość, uśmiechnięci życzliwie, a dziecko podrygiwało, małe nóżki

łaskotały mnie po brzuchu, a potem spokojnie spał przytroczony do mnie w nosidełku.

Pamiętam, jak pomyślałam w tamtej chwili, że z takim dzieckiem można wszystko, można pozwolić sobie na każde szaleństwo - to chyba było wtedy dla mnie najważniejsze - i w takim razie nigdy w życiu nas nie rozdzieli.

20

Cztery miesiące później Kaśka, odprowadzając mnie na dworzec, wcisnęła mi w garść dwieście złotych, o które nawet nie śmiałam prosić.

"Oddasz, jak będziesz mogła" - powiedziała.

I przytuliła do siebie Paulinę.

Stała na peronie, tuląc do siebie małą córeczkę takim samym gestem jak ja po drugiej stronie szyby przytulałam Marcela.

Niekochane dziecko tuliła misie.

Niekochane żony (i kochanki) tuliły dzieci.

W identyczny rozpaczliwy, zaborczy sposób.

Spojrzałyśmy sobie w oczy i była w nich historia; ta, którą nigdy nie ośmieliliśmy się podzielić.

Pociąg ruszył.

Dwie godziny później, jak napisała mi potem Kaśka, do mieszkania Krystiana wparowała policja.

Szukała i mnie, i jego.

Znalazła sprzątaczkę.

Sprzątaczką mówiła tylko po rosyjsku i nie wiedziała nic.

Przynajmniej teoretycznie.

Sześć dni później za poradą ojca i zaprzyjaźnionej (zójcem) księgowej udałam się do Urzędu Skarbowego i do ZUS-u złożyć donos nasamą siebie.

Dwiesympatyczne panie w średnim wieku, obie w okularach, wysłuchały kolejno historii mojej firmy, która tak naprawdę nie była moja, i mojej miłości, z której też nic nie zostało.

Pokiwały głowami, powzdychały, wytłumaczyły co mogą dla mnie zrobić, a czego nie, i rozłożyły moje zadłużenie na stosowne raty.

Odsetki umorzono, w ramach pomocy publicznej, kary też uniknęłam, niemniej jednak suma, która pozostała do spłacenia, zaparła mi dech w piersiach.

Mojemu ojcu też.

Zdobyl się na czyn heroiczny i bez precedensu, a mianowicie zaproponował, abyśmy nie mówili wszystkiego mamie.

Trzymając mocno w ramionach synka, kolejny raz pozwoliłam sobie na mały, pełen ulgi żart.

- Widzisz, tato- powiedziałam - nie jest tak źle.

Marcelek -podrzuciłam młodego do góry - jest jedyną pozostałością po Krystianie, od której wciąż mi będą narastać procenty.

Resztę jakoś spłacę, nie martw się.

- Ale jak?

- stropił się ojciec, nagle mały i postarzały, zupełnie inny, niż pamiętałam go sprzed lat.

- Jak ty sobie, dziecko, dasz radę?

Bez wykształcenia, bez niczego?

- Jakoś, tato.

Jakoś.

Jak nieznajdę dobrze płatnej pracy tutaj, to wyjadę na chwilę.

Dużo moich koleżanek jeździ do Irlandii albo gdzieś - rzuciłam od niechcienia.

21.

Na swoje, w pewnym sensie, nieszczęście.

Ojciec, ten mały, nieporadny filozof, podszedł do sprawy zadziwiająco poważnie.

Niemięły dwa tygodnie, jak wyciągnął mnie któregoś wieczora na niespodziewany spacer.

- A gdzie wy otej porze?

- rozdarła się matka.

- O tej porze todziecko kąpać trzeba, przecież zawsze kąpiemy go o ósmej!

Dziecko potrzebuje regularności!

Gdzie się wybieracie?

Musicie go zabierać?

Kaszkę grzeję!

Moja matka mieszkała z "tym dzieckiem" od dwóch tygodni.

I już wiedziała, że kąpiemy go o ósmej, w obrzydliwej plastikowej wanience, w której kąpałam się dawno temu ja i jeszcze ze cztery moje kuzynki.

Ja przeżyłam z młodym dziewięć miesięcy, nie liczących w brzuchu, i wiedziałam, że kąpiemy się wtedy, kiedy mam natoochotę.

Razem, w zwykłej wannie wypełnionej do połowy wodą i łobow hotelowym brodziku; siadałam w nim po turecku z dzieckiem na kolanach i jakoś się udawało.

Albo niekąpiemy się wcale, tylko wycieramy mokrą szmatką.

Wanienka nie istniała, a co dopiero kaszka!

Młody żywił się cyckiem, dopóki się dało, oraz różnymi produktami w słoiczkach.

Moja matka do dzisiaj nie wierzy w słoiczki.

- Mamo, wykąpię Marcelka, jak wrócimy.

Nie wychodźmy nadługo.

- Później będziecie hałasować, a ja rano wstaję.

- burknęła matka, ale, ku mojemu zdumieniu, ojciec delikatnie wypchnął nasna ganek i zamknął za sobą drzwi, całkowicie ignorując rozpoczynający się właśnie monolog.

Zaprowadził nas do swojego przyjaciela, który przedstawił mimo jego przyszłego pracodawcę.

Pracodawca miał na imię Robert, był ortodoksyjnym żydem i jeździł "w interesach" po całym świecie.

W swoim domu, w Londynie, pozostawiał zahukaną żonę, dwoje dzieci, ich nianię oraz ojca, chorego na alzheimera.

Zaoferował mi pracę - wymagającą, niezłe płatną i w dość nietypowych godzinach.

Miałam być do dyspozycji ich całej rodziny od dwudziestej do ósmej rano w tygodniu

oraz praktycznie dwadzieścia cztery godziny na dobę w weekendy, zajmować się ojcem, pomagać przy dzieciach i dodatkowo sprzątać cały dom.

W zamian otrzymywałam niezłą kasę oraz dach nad głową i pomoc w uzyskaniu dodatkowej pracy w tygodniu, wtedy, gdy potrzeby rodziny zaspokajała

22

niania.

Spać miałam w pokoju "pana", czyli tego ojca z alzheimem, i pozostawać do jego dyspozycji.

Co podobno nie było łatwe, stąd wysokość pensji.

Spodobało mi się otwarte postawienie sprawy.

Zgodziłam się, zanim ojciec zdążył otworzyć usta.

Uściskałam tylko i tyle.

Tydzień później byłam już w Londynie.

Matka poburczała pod nosem, o tyle, że nikt nie zapytał jej o zdanie, bo poza tym całość jej się podobała.

Wyliczyliśmy, że przy pensji zaproponowanej przez Roberta, przy zerowych wydatkach i znalezieniu jakiejś dodatkowej pracy w pięć miesięcy jestem w stanie odrobić zaległość finansową.

Uwinęłam się w trzy miesiące z hakiem i Bóg jeden wie, ile mi to kosztowało.

Nauczyłam się na przykład spać na stojąco, w zatłoczonym metrze.

Moja matka szczęście pracuje w budżetówce, tu wzięła urlop, tam chorowała i zajęła się moim dzieckiem.

Zagarniając dla siebie na dobre.

Wysadziłam młodego z wózka, umieszczając go troskliwie w kąciku piaskownicy.

Sama usiadłam obok, podwijając pod siebie bladawe odnóża.

Gdzie się miałam opalić tego roku, w metrze czy może nad wrzącym olejem pełnym frytek, w knajpie, gdzie pracowałam całymi dniami?

Albo w sypialni "pana"?

Cholera, mogłam przynajmniej przejechać po wystających z odzieży częściach ciała jakimś samoopalaczem.

Wyróżniam się tłumem.

Sprawnie wykonałam dla młodego długi szereg babek.

Roześmiał się zadowolony, a następnie wziął mnie za rękę i pokazał, że mam porobić palcem w babkach dziurki.

Sam też wetknął mały paluszek w każdy z piaskowych kopczyków, tuż obok mojego.

Ucieszyłam się.

Pamiętał!

Robiliśmy tak zawsze, nad morzem, w tamtym innym życiu.

Tęsknię za morzem jak szalona.

Specjalnie zamieniłam powrotny bilet lotniczy na osiemnastogodzinny w autokarze, nie tylko dlatego, że taka opcja była nieco tańsza.

Przede wszystkim dlatego, że autokar musiał jakoś przedostać się przez kanał La Manchei bardzo liczyłam na przeprawę promem.

Zupełnie zapomniałam, że jakiś idioci kilka lat temu wykroili pod dnem tunel i o mały włos

23.

zamiast na promie, wylądowałabym w tunelu, gdyż oczywiście taki przejazd sobie w amoku zapewniłam.

Normalnie poryczałam się ze złości i rozczarowania, kiedy -jużna Victoria Station - uświadomiłam sobie ten przykry fakt.

Naszcześnie moim spektakularnym szlochom zainteresowała się miłastarsza pani, z Zakopanego rodem, która oczekiwała na swój autokar, zwyczajem starszych pań przyszedłszy dwie godziny przed czasem.

Jej autobus akurat przeprowiał się promem, co dla pani nie było szczególną atrakcją, gdyż obawiała się choroby morskiej, wielkich nawałnic i spienionych fal (na Kanale).

Ku wielkiemu zadowoleniu nas obu oraz równie wielkiemu zadowoleniu personelu firmy obsługującej oba autokary, uparliśmy się dokonać zamiany.

Wreszcie na coś się przydał mój płynny angielski.

Miła starsza pani językiem nie władała, poniekąd na szczęście, gdyż mogłam spokojnie odmalować pilotce moją potworną klaustrofobię i obawy przed zawałeniem się tunelu.

Wy tłumaczyłam, że bilet kupiłami osoba, która nie była świadoma, że pod ziemią dostają z miejsca ataku paniki i duszności, i że raz już trzeba byłoby wzywać domnie lekarza, gdy przypadkowo mnie winda zawiozł do piwnicy i tam się zacięła.

Malowniczy opis moich dolegliwości przekonał panią pilotkę, a mam też przecucie, że mogłby podsunąć starszej pani kilka pomysłów na urozmaicenie bliźnim podróży, gdyby, rzecz jasna, zrozumiała z niego choć słówko.

Na szczęście niezrozumiała, a sama z siebie nie wpadła na pomysł, że tunel mogłby się zawalić, i nie wymyśliła, przynajmniej przy mnie, tuzina innych możliwych kataklizmów. Jej wyobraźnia podsuwała tylko nieszczęścia o charakterze wodnym.

Mojanie.

Przez godzinę i piętnaście minut byłam najszczęśliwszą istotą na Ziemi.

Stałam na pokładzie, wiało jak diabli i zewsząd

otaczały mnie fale.

Bezczłowym sklepikom nie poświęciłam nawet pięciu minut.

Teraz też jestem szczęśliwa, pomimo że od morza dzieli mnie

piękna nasza Polska cała.

Za to mój mały synek pamięta jeszcze nasze wspólne zabawy!

Kupiliśmy sobie precelka i zjedliśmy po połowie, lekceważąc

oblepiający go tu i ówdzie piasek i miliony bakterii na każdy centymetr kwadratowy Babci nazłość.

Popiliśmy obrzydliwie słodkim sokiem z kartonika.

24

Z oczu Marcela powoliznika zdumienie i pewien szczególny rodzaj nieśmiałości.

Zaczyna nawet pokazywać różki, zawsze był niego straszliwy uparciuch, po mamusi.

I dobrze.

Osiemnasty

Sobota.

Cicho wszędzie, leniwie, tylko ojciec, jak zwykle, trzepiedywany.

W ogródku rodzice zainstalowali specjalny drąg, taki prywatny trzepak.

Ciekawe, czy w dobie wodnych odkurzaczy i innych karcherów ktoś jeszcze ma we własnym, reprezentacyjnym skądinąd ogródku coś takiego.

I czy trzepie dywany, całe osiem sztuk, w każdą sobotę.

To ostatnie specjalnie z powodu Marcela, wyjaśniła mi mama.

Wcześniej trzepali codwa tygodnie albo nawet co trzy, ale przecie dziecko nie wolno narażać na jakieś alergię czy inne choroby, wynikające z brudu i zaniedbania.

Dlatego z całym poświęceniem trzepią co tydzień.

Odkurzacz wielkości młodego słonia również jest, a jakże.

Matka z dużą determinacją ciągnie po schodach, stękając przy każdym stopniu.
Schody też nim odkurza, co wymaga niezłej ekwilibrystyki.

Wciągają, sapiąc, nawet na strych.

Na strychu też odkurzają raz w tygodniu, choć z innych powodów wchodzi się tam
mniej więcej raz na cztery lata.

Sprzątać jednak trzeba i to znowu ze względu na dziecko.

Ponieważ przy dziecku w domu nie może być miejsca, w którym gromadziłby się kurz,.

Kurz jest, w pojęciu mojej matki, czymś w rodzaju jedenastej plagi egipskiej i źródłem
wszelkiego zła.

Babą-Jagą, która tylko czyha na młode organizmy.

Żeby je pożreć.

Uniwersalnym antidotum na nieszczęścia świata jest, dla odmiany, szmata nasączona
domestosem.

I wojskowy ład.

Zjadłam śniadanie (mama znowu nakarmiła młodego własnoręcznie ugotowaną kaszką
z jabłuszkami: "bo trzeba się pospieszyć, dzisiaj jest dużo do zrobienia, widziałam wczoraj przy
kolacji, jak się z tym guzdrzesz") i z westchnieniem zabrałam się dościerania kurzu z regałów w
salonie.

Już zapomniałam, że moja matka wszędzie ustawia tysiące bibelotów.

- Nie tą stroną, kochanie, nie tą stroną!

- krzyknęła mama, raz 25.

no machając ściereczką po szybie.

Chuchnęła dwa razy i polerowała dalej.

- Drewno ścieramy niebieską, nie pamiętasz?

Szybko przełożyłamwelurową szmatkę na drugą stronę.

Jakmogłam zapomnieć?

Niebieskastrona do drewna, a różowa doszła.

Ta ściereczka, zszyta z dwóch kawałków aksamitu, obrębiona starannie, żeby nie powiedziec - artystycznie, funkcjonuje w rodzinie bodajże dłużej niż ja sama.

Nigdy nie mogłam zrozumieć tejhecy z kolorami.

Oba kawałkimająidentycznąfakturę.

Ścieranie kurzu było moim obowiązkiem, od kiedy skończyłamsześć lat, ale minęłyjeszcze dobredwa, zanim odważyłam się, w ramach eksperymentu, przejechaćpo blacie szklanego stołu niebieską stroną.

Wstrzymałam oddech na dwie minuty.

i nic się nie stało.

Istółwytrzymał, i ściereczka.

Kiedy mama przyszła z kuchni sprawdzić, jak miidzie sprzątanie- zawsze tak robiła -

wyciera^łamjuż półeczki na regale,czerwona z emocji, i serce było mijak;

szalone, kiedy podeszła do szklanego blatu.

Nie zauważyła.

Pochwaliła mnie nawet.

- Mamo, powiedz mi wreszcie, bo od zawsze mnie to intryguje -zdecydowałam się nagle,rozśmieszona wspomnieniem -co za różnica, którą stroną ścieram szkło, a którą drewno?

Przecież i takpokażdym sprzątanilupierzemy ściereczkę i obie strony są czyste?

- No jak to?

- zdziwiła się mama.

-Przecież na drewnie brudosadza się inaczej, wsiąka w niegotłuszczci inne rzeczy.

Po co go

później rozsmarowywaćpo szybie?

Na szybkach brud jest.

bardziej czysty.

Aha. Wyjaśniła się wielka tajemnica mojego dzieciństwa.

Marcelek, usadzonyw wysokim stołeczku, grzecznie gmerał

w małym pudełku z zabawkami, podstawionym przez perfekcyjnie

zorganizowaną babcie.

Nie przeszkadzał.

Dwiegodziny później mama przesadziła Marcelka na taras, bosłońce zaszło za szopę sąsiadów i na tarasie zagościł już cień.

Dałam małą miskę,rozebrała go do pampersa -dzień był upalny, jakna koniec września, chybafaktycznie żyjemy w dobie anomaliiiklimatycznych- i przykazała bawić się grzecznie.

Młody wyglądał nazachwyconego,pluskał w wodzie opalonymi łapkami, aja zostałam usadzona obok, z nożykiem i wiaderkiem z ziemniakami.

Na

26

obiad będą placki po węgiersku.

Ojciec skończył z dywanami i złapał za froterkę.

Dzieci mają zajęcie, a mieszkanie odzyskuje blask.

W garnkachbulgoczą sos do placków i pożywna zupa, w czeluściach lodówkiteżeje galaretkaz ananasem.

Obok chłodzi się kremowa śmietanka,do ubicia tuż przed podaniemdeseru na stół.

Na tym polegapiękno egzystencji, według mojejmatki.

Mój własny dom, przez tę chwilę, kiedy wydawało mi się, że gomam - mój i Krystiana, i małego Marcelka - wyglądał zupełnie, ale to zupełnie inaczej. W ciągu dnia chaos, niemal hotel, przechovalnia rzeczy izdarzeń, do której wpadał się na krótko - przebrać się i coś przekąsić w biegu.

Ożywał wieczorami.

Pośród bałaganu ustawialiśmy nastrojowe świece, ze stołu zwałało się papiery, ciuchy, gazety, wjeżdżała przygotowana przez nas kolacja, flaszka wina (albo wódki), przychodzili znajomi, sąsiedzi, praktycznie niezamykały się drzwi.

Ale w przeciwieństwie do domu moich rodziców, którzy o byle bzdurę potrafili skakać sobie do oczu, wbijać szpile tu i ówdzie pomiędzy wypowiedzi bądź nie odzywać się do siebie przez dwa dni (oczywiście mama dalej gotuje pożywną obiady i podstawi je ojcu pod nos, prychną, a także prasuje mumajtki w kant), w moim zwariowanym królestwie chaosu panowały niepodzielnie luz, śmiech i ogólna życzliwość.

Do czasu.

Tak, wieczory, o ile w ogóle spędzaliśmy je w domu, zawsze były cudownie zakręcone i pełne życia.

Marcel gdzieś w tym czasie jadł swoją porcję papki ze słoika, wypijał butelkę mleka i bratudził w imprezie, siedząc na moich kolanach, dopóki nie zamknęły mu się oczka.

Odkładałam go wtedy na kanapę w salonie albo, jeśli gości było szczególnie dużo, bądź znajdował się wśród nich palacz - do jego własnego koszyka w drugim pokoju.

Na ogół nie lubiłam się z nim rozstawać nawet na minutę, więc nosiłam go z sobą wszędzie.

Nie był uciążliwy i wyglądał na zadowolonego.

Teraz też wygląda.

Jest również tłusciutki (wcześniej nie był) i wygląda jakoś tak, jakby był bardziej wypoczęty czy coś.

Babcia zdecydowanie go przekarmiła, bez przerwy przebiera w nowociuszki i bezustannie organizuje mu czas.

Za to prawie z nim nierozmawia, jakby był skomplikowanym w obsłudze sprzętem, a nie dzieckiem, to znaczy - człowiekiem.

27.

Zastanawiam się, która z nas ma rację, ja czy moja matka, i ciotka naprawdę oznacza słowo "miłość".

Dziewiętnasty
Niedziela.

Pierwszy raz od stu lat byłam w kościele.

To znaczy, tak naprawdę od kilku miesięcy, ale przez ostatnie dwa lata bywałam w nim nieregularnie i niekoniecznie w niedzielę, jeśli już.

Do głowy mijednakże nie przyszło ujawniać tego faktu przed moimi rodzicami.

Poszłam grzecznie, bez szemrania, zmieniłam nawet spodnie na sukienkę ("Chybanie pójdziesz tak dokościoła, jak jakiś obdartus?

Idź, włóż coś porządnego i dziecko też ubierz ładnie.

I koniecznie weź smoczek i butelkę z pićm, żeby przypadkiem nie płakał w kościele.

No chyba że zostawisz go z ojcem, a ojciec pójdzie sobie wieczorem.

").

To moja matka.

Znikimnie będę młodego zostawiać, jeśli dziecko zapłacze, to przecież mury kościoła jakoś wytrzymają i inni wierni również.

Już dość zostawiania.

Poza tym z blizy nieokreślonych przyczyn nie chcę przebywać sama na własną matką, stresuje mnie to.

Może boję się pytań, które prędzej czy później zostaną zadane, znam ją dobrze, a może nie i już.

Pójdziemy wszyscy razem, skoro naprawdę musimy iść.

Może jednak tak trzeba, myślę sobie, siedząc w ławce tuż przy ołtarzu, w tej samej, w której moja rodzina zasiada od lat.

Nie oczekiwania odczuwam wzruszenie.

Może właśnie na tym polega dorosłość, na ustawicznym, niezłomnym porządkowaniu spraw.

Na nadawaniu rytmu i stałości uczuciom i zdarzeniom.

I na wierności.

Nie wiem tylko, czy odpowiada mi tak typowe dla mojej mamy przemęczenie i złość.

Nielicząca z powagą organowych pieśni z solidnym, mocnym uściskiem dłoni przy przekazywaniu znak pokoju.

Tym razem mamę zirytował fakt, że ojciec znowu nie zmienił karpetek i świeci teraz nieskalaną białą spod garnituru.

Nie o mieszkaniu wysyczeć mu do ucha swojej opinii na ten temat, groźnym szeptem, gdzieś w połowie mszy.

Dokumentnie niweczając całą nastrój.

Ojciec się nastroszył i lekko obraził.

28

Wyczuwam w tym wszystkim jakiś zgrzyt, jak zawsze, i ciągle nie wiem, jaki.

Jutro powinnam zacząć szukać pracy, tak na poważnie.

Wciąż przesładują mnie męczące sny, trudnego uchwycenia i zapamiętania.

Dwudziesty pierwszy

Na uczelni przyjęli mnie bez zdziwienia, przepisali z dziennych na wieczorowe, zażądali opłaty reaktywacyjnej i oddali mi mój stary indeks sprzed trzech lat.

Jak dobrze, że wygłupiłam się dopiero na wakacjach i trzeci rok w zasadzie mam skończony.

Jakieś tam drobne różnice programowe, wszystko do przejścia ze śpiewem na ustach.

Jestem na liście studentów.

Ha.

Z pracą gorzej.

Przecież nie będę opiekunką do dziecka, w czasiegdy z moimdzieckiem będzie siedziała inna opiekunka, za podobne pieniądze.

Moja mama powinna już wracać do pracy.

I to miesiąc temu.

Trzymają jej miejsce, dzielnie, za wybitne zasługi, ale jeśli się szybko niejawia w robocie, wiecznie czekać nie będą.

Co jest zrozumiałe.

Z drugiej strony, w tej szkole niema aż tak wielu godzin i będzie mogłami pomóc popołudniami.

Najlepiej, żeby pracowała od czternastej wżwyż, zarabiałakokosy i wszystkie weekendy miała wolne na studia i życie rodzinne.

W mojej głowie lęgną się pomysły zastraszające.

Odpędzam jereszką sił.

Próbuję myśleć jak normalny człowiek.

Najbardziej mnie ciągnie do branży rozrywkowej.

Wymyśliłam barmankę, bo jeśli chodzi o knajpy, to mam ogromne doświadczenie niejako z obu stron.

Moja matka uważa, że powinnam się załapać od razu w jakimś biurze projektów, nabrać doświadczenia zawodowego i rozwijać się.

Nie da się rozwijać od czternastej w górę mam nadzieję, że w końcu to do niej dotarło.

Dostałam wstępne, ostrożne błogosławieństwo na pracę za barem.

I niewiele więcej.

Jeśli chodzi o oferty pracy, to nawet istnieją, ale dla tych w pełni dyspozycyjnych.

Nikt się nie będzie dostosowywał do moich grafików, to ja powinnam być dostosowana.

Pozatym większość knajp funkcjonuje w trybie "do ostatniego klienta", a już

29.

widzę, jak będzie na mnie patrzeć matka, jeśli kolejne noce zacznę spędzać w knajpie i będę wracać do domu o czwartej nad ranem.

Niech to szlag.

W ramach zabicia czasu i stłumienia narastającej paniki chodzę wytrwale z młodym na spacer.

Mam wrażenie, że mnie z powrotem polubił, ale też czuję napięcie w samej sobie.

Nigdy wcześniej nie miałam problemów w kontakcie z małym, a teraz mam nieodparte wrażenie, że każdy mój ruch, nawet, gdy przebywamy daleko od domu, każde słowo, zabawa, próba przytulenia - bezustannie jest pod obserwacją mojej mamy.

Czuję się trochę zagubiona w tym wszystkim i nie odnoszę się do młodego naturalnie - tak, jakbym nie umiała zdecydować, czy lepiej być z nim, czy raczej z nią.

Nic mnie nie cieszy.

Umówiłam się w piaskownicy z Beatą, moją dawną koleżanką z roku.

Właśnie zaczęła pracę.

Ma ośmiomiesięczne dziecko, dziewczynkę, miłą i pogodną.

- Chłopa ci brakuje.

- Wzruszyła ramionami.

Nie sądzę.

Mam dość chłopów, wstrętnych kłamliwych gadów, na długim czasie.

Poza tym kwestia młodego pozostawała zawsze wyłącznie w moich rękach, Krystian traktował synka jak maskotkę, do której miło przytulić się wieczorem, najlepiej jak już śpi, i która tak fajnie uśmiecha się rano.

Resztę zostawiał mnie.

Nikt poza mną i młodym, za małym by to ocenić, nie wie, jak bardzo w tym wszystkim byłam nieporadna.

A jednak jakimś cudem dziecko rozwijało się dobrze i wyglądało na szczęśliwe.

Teraz nawet to wymyka mi się z rąk.

Dwudziesty ósmy

Wyściubiłam nos z domu, to znaczy umówiłam się z dwiema dawnymi koleżankami na babskie piwko.

Może pomogą mi w sprawie pracy

Jedną z nich to Edytka.

Baliśmy się tego spotkania.

Z Edytą niewidziałam się już od dawna, chociaż pisałyśmy do siebie mejle cały czas.

To z nią pojechałam wtedy nad morze i nie wróciłam z naszej wyprawy, bo poznałam Krystiana i jakby zasłona spadła mi na oczy.

Nic się już nie liczyło ino, tylko on.

30

Edytkę Krystian się nie spodobał od początku, choć w pewien sposób byli do siebie podobni. Zresztą to ona pierwsza spadła mi na oko.

Ale on jej - nie.

Mimo wszystko traktowałam jej uwagę krytyczną z przymrużeniem oka, jak element potencjalnej rywalizacji.

W ilu punktach miała świętą, niepodważalną rację, przewidując jego zachowanie i przestrzegając mnie przed tym oraz owym, miałam okazję przekonać się dużo później.

Zupełnie jakby siedziała w środku jego głowy albo miała doniej zajrzeć w ciągu krótkiego czasu wspólnej znajomości.

Spytałam ją ostatnio ot przez telefon, a Edytka prychnęła lekko.

- Ten typtakma - powiedziała.

- Mówiłam ci.

Nie wiedziałam, gdzie podziąć oczy i jak ją powitać.

Alena szczęście Edynią wszystko jest proste.

- Hej, ciotka, daj pyska!

- przywitała mnie.

- Stęskniłam się zatobą jak ten wariat.

- Który wariat?

- roześmiałam się

- Wszystko jedno.

Ten, który też się stęsknił.

- Nie ma takiego- odwzajemniłam uścisk i posmutniałam.

Może Beata ma rację, może zwyczajnie chłopu mi potrzeba.

A oprócz chłopu: pracy, czasu dla dziecka, pieniędzy na wczoraj jeszcze paru innych rzeczy, "prawnego mózgu, przede wszystkim.

- Jak tam w domu?

- spytała Edytka, patrząc namnie uważnie.

Wzruszyłam ramionami.

- Szttywno.

Ostrożnie i na paluszkach jak zwykle.

Żadnych trudnych tematów, naszczęście, ale nie wiem, czy długo wytrzymam.

Chyba nie mam innego wyjścia, z młodym, studiami i ewentualną pracą bez mamy nie dam rady - westchnęłam.

- Muszę się dostosować, dopóki nie przyjedzie nazłotym koniu książę z bajki mnie nie uratuje.

Edytkę znam od zawsze.

Chodziła ze mną do podstawówki całe osiem lat i znała mój dom.

Nie musiałam gadać zbyt wiele.

Westchnęła również, tak dla towarzystwa.

- Się ci porobiło.

A młody fajny jest.

- Pochyliła się nad zdjęciem mojego Marcelka, które od zawsze noszę w portfeliku, co kilka tygodni zmieniając na świeże.

- Grubaśny.

- Moja matula go tak odkarmiła.

Przy mnie nie miał szans dorobić się pięciu podbródków - przyznałam z uśmiechem - Ale fajny jest, fakt.

Zaczyna już mówić.

31.

-1 co mówi?

-zainteresowała się Edynia.

- Najczęściej "nie ciem!

". Moja krew.

Moja przyjaciółka w zadumie pokiwała głową.

- Boty, Domiśka, zawsze rogata byłaś.

Nie doceniasz, co masz, a niekiedy wręcz przeciwnie, w psiej kupie widzisz arcydzieło abstrakcjonizmu.

Krystian się odzywa?

Szybko doszliśmy do punktu, w którym musiało paść to pytanie.

- Skąd.

Kamień w wodę.

Ostatni raz go widziałam, jak przyszedł do firmy zabezpieczyć mieszkanie.

Wtedy, kiedy w końcu poznałam jego żonę.

Powiedział mi: "Zadzwoń jutro i wszystko, ale to wszystko ci wytłumaczę", a jego żona uniosła brwi.

I nie zadzwonił.

Ani nie wytłumaczył.

Przemieszczałam u Kaśki dwa tygodnie, a później wróciłam do domu, wiesz przecież.

Pisałam ci.

- Pisałaś, ale twoje relacje były chaotyczne, delikatniemiowiąc.

Może opowiedziałabyśmi od początku?

- Od początku początku?

-Najlepiej.

Nabrałam powietrza w płuca i w tym momencie przyszła Baśka.

Wypuściłam powietrze ze świstem.

W garść.

- Hej, hej!

- powiedziała rażno.

-Witamy na łonie.

Wróciłaś nadobre?

Podobno ten twój były to jakiś mafioso, opowiesz mi?

A z dzieckiem ktoci został?

Znowu wrobiłaś mamę?

Wieśćgminnaniemie, że wróciłaś już w lutym i zaraz pojechałaś gdzieś dopracy, czy to prawda?

To po twoim kochasiu nic ci nie zostało?

Musiałaś sama zarabiać na życie?

A dziecko nie płakało?

- Baśka, jak się nie zamkniesz natychmiast, to wyleję ci piwonagłowę, nie baczącna koszty - powiedziała Edytka groźnie.

- Dajdziewczynie spokój, będzie chciała, to nam opowie.

Ajak nie, to nie.

Baskaspojrzała na mnie pytająco, a ja kiwnęłam głową naznak, że w porządku, mogę opowiedzieć niech się nie peszy.

Basiateż chodziła z nami do szkoły W czwartej klasie założyłyśmy klubfeministek i głosiliśmy wszem wobec, że faceci to dno.

Potem namprzeszło, najbardziej jakdoklasy przyszedł niejaki Bartek, aleprzyjaźńpozostała.

Do Baśki po prostu trzeba się przyzwyczać.

Tak naprawdę to bardzo serdeczna i dobra dziewczyna, tyle że lubi byćdokładnie o wszystkim poinformowana.

Zasłyszanych informacji nie puszcza w obieg.

Co najwyżej użytkuje sama ikazania praw.

32

Do kazań to ja jestem przyzwyczajona od pierwszych godzin życia.

- Opowiem, opowiem - westchnęłam.

- Może przy okazji sama sobie to jakoś poukładam w głowie, bo do tej pory nie miałam czasu.

A ten mój, tak dla porządku, to żaden mafioso, zwykły mały oszust.

No, może nie takimi, ale jeśli chodzi o kwoty, ale jeśli chodzi o zasięg, przestępczość indywidualna i kompletnie bez sensu.

Mimowszystko do dzisiaj jestem przekonana, że większości przekrętów, o których dowiedziałam się ostatnimi czasy, nie dopuścił się premedytacją, tylko.

bo ja wiem?

Z nieuwagi?

Z bezmyślności?

Z chęci zysku owszem, ale w tym nie było na dłuższą metę żadnych planowych działań, trochę jak dziecko.

Tu zawyżył koszty wynajęcia sali - był takim uniwersalnym menedżerem artystycznym do wynajęcia

- tu zapewnił zespół, że jest w trakcie dogrywania kontraktu ze sponsorem, choć tak naprawdę przypadkiem wpadła mu w ręce jakaś wizytówka, tu "przypadkiem" nie przelał komuś na konto grubszej kasy, tylko trzymał u siebie w banku, a odsetki rosły, takie tam.

Szczytem była próba wydostania dotacji od wojewody na działalność, której w ogóle nie zamierza rozpocząć, ito dotknęłam osobiście, bo firmę-widmo, nie pierwszą zresztą, założył namnie.

Dużo by gadać.

Krystian, jak się okazało, to kompletny świr.

I mitoman.

Ale.

wiecie co?

- Dziewczyny słuchały mojej nieskładnej wypowiedzi, mrugając oczami.

- On był cały czas.

no, prawie.

.. przez te dwa lata był dla mnie takim fajnym, miłym towarzyszem.

Ujmujący, zabawny, hojny.

Ostatnie akurat wynikało z tego, że kompletnie nie liczył się z kasą ani swoją, ani cudzą - teraz wiem, ale wiercie mi, że długo to domnie nie docierało.

Większość wyciągniętych odinnych pieniędzy, tych legalnych itych nie bardzo, poprostu radośnie przebulaliśmy.

Bywało super.

A teraz.

- Zamilkłam na dłuższą chwilę.

Baśka położyła mi rękę na ramieniu.

- A teraz co?

- spytała, jak na siebie wyjątkowo delikatnie.

- Teraz czuję się, jakbym obudziła się z długiego, wyjątkowo zwariowanego snu i nie do końca wierzyła w przebudzenie - sprecyzowałam powoli.

- Chodzę po mieście i dziwię się światu.

Niewiem, czy rozumiecie.

Dziewczyny wolno pokiwały głowami.

- Rozumiemy - szepnęła Baśka.

- Wszystko jest dziwne i nowe, dom, drzewa, tramwaje.

Chodzisz ulicami, oglądasz swoje odbicie w szybach wystawowych i powtarzasz sobie bezustannie:

Tak.

33.

To ja.

Ato moje miasto, mój czas, moje dziecko.

I moje życie.

Takto właśnie wygląda.

I cały czas masz ochotę się uszczyplnąć.

Pamiętam ten stan, zaraz porozwodzie.

Małżeństwo Baški trwało niecałe dwa lata i zakończyło się kompletną katastrofą.

Zapomniałam o tym.

Zresztą, nie było mnietuwtedy - ostatniakt dramatu rozgrywał się wzeszłym roku.

Wiedziałam, ale nie obeszło mnie to nic a nic.

- A teraz?

Jak ci jest, jak sobie radzisz?

- zapytałam cicho.

Baška spojrzała na mnie błyszczącymi oczami.

- Już dobrze.

- Uśmiechnęła się.

-To.

uczucie nierealności minęło po kilkumiesiącach.

Rozpoznaję siebie w lustrze.

- O co poszło?

- Tymrazem ja postanowiłam niebawić sięw dyskrecję.

Aco!

Też umiem.

Baška zapaliłapapierosa i zamyśliła się na chwilę.

- O wszystko po kolei.

Najbardziejchyba o to, żeon chciał, żebypo urodzeniu dziecka natychmiast wszystko między nami byłotak, jak dawniej.

Długie, leniwe wieczory spędzane w okolicachłóżka, wyjścia do knajpy, do kina, trzymanie sięza rękę.

A ja nagle niepotrzebowałam już namiętnego kochanka, tylko faceta, takiego prawdziwego, który podejmie wraz ze mną odpowiedzialność za dom i dziecko.

On chciał zainteresowania, a ja- pomocy.

Wspólnego rozwiązywania różnych spraw.

Stopniowo brałam nasiebie coraz więcej i nieuchronnie odsuwałam się od niego.

Trudno towytłumaczyć tak w pięćminut.

- Mamy całą noc - powiedziała Edytka i dołała nam wina.

-Ja się czułam coraz bardziejsamotna, ale teżcoraz lepiej zorganizowanai zadowolona z siebie.

A on.

On czuł się pomijany.

'Był wciąż dużym dzieckiem, dużym, przystojnym, błękitnookim?

dzieckiem, które dalej chciało miećswoje miejscena piedestale.

Ażw końcu je znalazł, ale.

jużnie u mnie.

Takie towszystko typowe- zaśmiała się Baška z zakłopotaniem.

- Ten typ tak ma - powiedziałam, kiwając głową.

- Mój Krystian był identyczny, jeśli o to chodzi, tyle że z większą fantazją realizował swoje potrzeby.

Aja.

ja akurat spełniałam jego oczekiwania, przed urodzeniem Marcelka i po.

Stałam, że tak powiem, całkowicie po jego stronie i również lubiałam się dobrze bawić.

Z dzieckiem na kolanach albo gdzieś pod stołem.

Tak sobie myślę, że mój młody we wczesnym niemowlęctwie przeżył ciężkie

34

chwile, nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie zobaczyłam, jak tańczy wokół dziecka moja matka.

- Twoja matka przesadza - mruknęła Edytka ciemno.

Znałam ją matkę od czasów, w których mamusia ten sam taniec wykonywała nade mną - i nad nią, bo rodzice Edytki, lekarze na dorobku, naderchętnie pozwalali jej zostawać u mnie na noc.

To właśnie jest najlepsze w starych znajomościach.

Nie musisz tłumaczyć swojego zachowania psychoanalizą domowej roboty:

"Bo mój dom.

bo moja matka.

". One dokładnie wiedzą, jak zachowywała się twoja matka, i jak wyglądał twój dom.

Nie musisz rozszarpywać strzępy wspomnień, bo macie te same wspomnienia.

Wróciłam do domu dobrze po północy, niosąc w sobie wszystkie nasze popękane historie.

Długo myślałam o Baśce.

Jej problem polegał na tym, że wydorosła po urodzeniu dziecka.

Mój - że nie chciałam wydorosnąć, ani trochę, mój Krystian również nie, a dzieci nie powinny mieć dzieci i musiało się skończyć jakąś katastrofą.

Nie opowiedziałam im, rzecz jasna, wszystkiego.

Nawet sobie nie opowiadam.

W każdym razie teraz, tuż przed snem.

Październik

Siódmy

Zaczęły się zajęcia na uczelni.

Dziwnie się z tym czuję, ale i tako wiele lepiej mi niż na dziennych.

W mojej grupie jest całkiem dużo osób o równie pokręconych życiorysach, młodych matek z trzęsieniem - i wcale nie jestem najstarsza!

Uff.

Po zajęciach poszliśmy wszyscy na kawę.

To taki zwyczaj - ciekawe, że zupełnie nie praktykowaliśmy tego na dziennych.

Może dlatego, że tam ćwiczenia są codziennie, a nie raz na dwa tygodnie.

Ileż można się szlajać po knajpach.

Nową jestem ja itaka jedna Aldona.

Ona, już pojednych studiach (jakaś inżynieria ładowa), pracuje w Urzędzie Miasta, a architekturę robi, bo od zawsze była jej marzeniem.

35.

Co jest moim marzeniem?

Nie wiem.

Zastanawiałam się nad tym przez pół dnia, i wychodzi na to, że nie mam nawet własnych marzeń.

Dziewiąty

Nie jestem przyzwyczajona do dwunastu godzin wykładów i to w niedzielę.

Zadzwoiłam do domu tylko cztery razy.

Mama mnie w końcu ochrzaniła za rozrzutność.

W końcu zakomórka się płaci.

A ja dalej nie mam stałej pracy.

Edytka miłosiernie zainstalowała mi w komputerze jakieś straszliwe programy graficzne, wydrukowała nawet do nich instrukcję obsługi, bo wygodniej ją mieć pod ręką, a nie przełączać ekranu na "pomoc" co piętnaście sekund, i każe mi się uczyć.

Uczę się po powrocie z zajęć.

Boże, jakie to skomplikowane!

Czy ja naprawdę jestem na studiach technicznych?

A może raczej artystycznych?

Jedno czy drugie, powinnam poradzić sobie ze skłonieniem dwóch koślawych rybek, które narysowałam (liniaposzarpana, jakby rysował pięciolatek w delirium), żeby pływały tam z powrotem po ekranie.

Na razie ruszają z miejsca, a następnie odpływają w kosmos, poza krawędź monitora i tyle.

Nie chcą zawracać, ani cholery.

W dodatku, jak się spotkają na ekranie, to robi się z nich jednawielka, glutowataryba, która już nigdzie nie odpływa, tylko miga denerwująco.

Powinny się wzajemnie przenikać, ponieważ umieściłam je na innych poziomach, czy jak to się tam nazywa.

A może nie?

W każdym razie moja matka, przechodząc wieczorem koło mojej sypialni, usłyszała to i owo i uniosła brwi.

-Co to za słownictwo?

-zgorzzyła się moją przemową do jednej z rybek, która znów mi zniknęła z monitora.

-Inaczej cię wychowywałam!

"Kochana rybko" to ja raczej nie mówiłam.

Jak mnie wychowywałaś mamusiu, proszę, powiedz?

Nakogo?

Bo ja, niestety, nie wiem.

36

Dwunasty

Plusy: rybki zawracają i już nie zbijają się w konglomerat.

Wodorosty mają gładkie krawędzie.

Młody powiedział: "mamo, oć!

".

Do mojej matki.

Minusy: vide ostatnie zdanie.

I jeszcze to, że młody nie znosi wsiianki namleku.

Mama twierdzi, że to moja wina.

Czy mam go zahipnotyzować?

Niewiem, w co się ubrać na rozmowę kwalifikacyjną - Edytka naraziła mi potencjalną pracę, w którą bym chciała.

Knajpa nazywa się "Smutny Banaś".

Czy powinnam przyjść ubrana w żałobne fiolety?

Właścicielka jest podobno strasznie zakręcona, alesympatyczna.
Sama ma dziecko,a z drugim jest w ciąży.
Z godzinami pracymożna siędogadać.
Poza sezonowymi kelnerkami na ogródku pracująu niej sami faceci.
Magda, ta właścicielka, podobno tak lubi,ciekawe, dlaczego w takimrazie zgodziła się ze mną porozmawiać.
Może spodziewa się wielkiej, wąsatejbaby z biczem w garści?
Może powinnamubrać się w garnitur?
I melonik?
O,Boże.
Czy jestem gotowa stawićczoło hordom facetów, doktórych podejście mam chwilowo dokładnie takie, jak w wiekudwunastu lat?
Czternasty
Byłam.
Przeżyłam.
Przesłuchiwał mnie niejaki Miecio, bo Magdaw ostatniej chwili źlesię poczuła izostała w domu.
Mietek jestgłównymbarmanem i czymś w rodzaju menedżera,Magda dużospraw zostawia w jegorekach.
Na hasło "menedżer" zeszywniałam lekko, bo z tego typu egzemplarzem miałam ostatnio dużo do czynieniai mam dość.
Ale Mietek jest zupełnie inny od Krystiana.
Miły, serdeczny,trochę gapowaty.
Widać, że nie uważa perfekcyjnej organizacjipracyzza coś istotnego iwszystko odrobinę wymyka mu się z rąk.
Nieistotne, najważniejsze, żeby było sympatycznie.
Jest błyskotliwyi wyraźnie woli gadać, niż działać.
Ale jakimś cudem utrzymujetowszystko wkupie, choć jest to rodzaj kupy, że się tak wyrażę, związanejniedbale konopnym sznureczkiem.

To miejsce jest dziwne.
Zupełnie inne niż londyńskie puby.
O wiele bardziej przypomina dom niż lokal.
Wszystko na wariackich papierach.
Zamówienia składane w ostatniej chwili to tu, totam, bałagan w dokumentach, teczki z fakturami leżą wszędzie jest ich ze sześć.
Nie to, żeby ich zawartość była uporządkowana jakoś metodycznie czy podzielona na kategorie.
Po prostu Mietek, nie mogąc znaleźć teczki, do której powinien odłożyć kolejną fakturę, leci do kiosku i kupuje następną.
Tę poprzednią kiedyś się przecież znajdzie.

Najczęściej znajdujesię dopiero, jak przyjdzie właścicielka.

Przy czym "jak" oznacza "jeśli", bo Magda ma ostatnio na głowie inną pracę, problemy ciąży i przygotowania do ślubu, a jej życiowy partner, formalnie właściwy posiadacz "Banasia", znów pojechał w delegację, tym razem aż do Australii.

Wraca trzy tygodnie przed własnymi ślubami Magda twierdzi, że to znakomicie.
Możenie zdąży się z nim pokłócić.

Po dwóch godzinach wiem wszystko o wszystkich, łącznie z pułastalych klientów.
Zostałam przyjęta na trzymiesięczny okres próbnny.

Stali klienci w tym lokalu włączają za bar, podłączają komórki do firmowej ładowarki, sami nastawiają wodę na herbacianą i odgrzewają pizzę w mikrofalówce.

Pizzę dzielą się z personelem.

W toalecie na drzwiach wszyscy naklejają coraz to nowe zdjęcia, zabawne albo po prostu piękne.
Zebrała się już sporą galeria, druga, jak twierdzi Mietek, bo na pierwszą zwymiotował kiedyś Rowerzysta.

Po tym pożalowania godnym incydencie Rowerzysta ma zakaz wstępu do lokalu, chyba że jest zupełnie trzeźwy, co się rzadko zdarza.

Mietek obiecał, że pokaże mi go kiedyś palcem, żebym wiedziała, na kogo uważać.

Miło tu jest.

Zaczynam od soboty.

Szesnasty

Jestem kobietą pracującą.

Nieprawdą jest tylko, że się nie boję.

Boję się.

Oni wszyscy są tutaj radośni, tacy zżyci z sobą.

I tacy straszni bałaganiarze, tak przy okazji.

Nie wiem, czy do nich pasuję.

38

Na początek posprzątałam w szufladach za barem.

Czego tamnie było!

Mietek, rozpromieniony, rozsiadł się po drugiej stronie baru, palił jednego kiepaza drugim i wznosił okrzyki zaczynające się na literę "o".

- O! Moja ulubiona zapalniczka!

O! Rachunek za colę, który zapomniałem oddać księgowemu!

O! Ja cię, ktoś tu wsadził gumki, ciekawe, czy dobre.

Plemniki bójcze, pokaż!

O! Tu jest ta zapasowa pieczęć, której tak długo szukałem!

Ciekawe, gdzie jej szukał, skoro leżała spokojnie w szufladzie.

Co prawda w tej najniższej, pomiędzy na wpół zużytymi papierowymi ręcznikami a kolekcją korków od piwa.

Walały się w niej też damskie koronkowe majtki.

- O! Majtki Edytki!

- wykrzyknął Mietek, po czym popatrzyła mnie z przerażeniem i wyraźnie ugryzł się w język.

Edytki?

Mojej Edytki?

Ciekawe.

Udałam, że zapamiętałam czyszczenie kolejnej szuflady i nie zwracam uwagi na jego okrzyki.

Ale z Edyni wyduszę przy okazji, co i jak.

Mietek, o ile się niemylę, ma żonę w piątym miesiącu ciąży i to mnogiej.

Skąd w nim tapewność co dowłascicielki inkryminowanej sztuki garderoby?

Udzieliło mi się słownictwo od pewnego młodego policjanta, którego poznałam przy okazji.

Stały klient.

Mówią na niego Baroni nikt chyba nie ma pojęcia, jak gość ma naprawdę na imię, chociaż wygląda na zaprzyjaźnionego.

Po cywilnemu przyszedł, nie w mundurze (a szkoda), ale odpalał fajkę za fajką czarną zapalniczką z napisem POLICJA.

Ciekawe, czy świeci nią zbrodniarzom po oczach.

Opowiadał, jak na sali gimnastycznej ćwiczyli odbijanie kradzionego samochodu.

W roli samochodu oraz radiowozów wystąpiły drewniane ławeczki.

Czterech domniemyanych zbrodniarzy latało po sali, taszcząc ławeczkę, a za nimi stękając galopowały identycznie wyposażone ekipy policjantów, wyjąc głosem modulowanym.

Blokowali złodziejom przejazd.

Chciałabym to zobaczyć, ale, niestety, na ćwiczenie wpuszczają kibiców.

Trudno się dziwić.

W ślad za Baronem przybyło brodate indywiduum zwane Dudusiem.

Czy oni tutaj w ogóle nie używają imion?

Chyba że to imię, ale nie bardzo mogę sobie wyobrazić jakie.

Duduś podobno jest pisarzem.

A nie wygląda.

39.

Mietek roześmiał się, jak mu to powiedziałam, i powiedział, że kiedyś pokaże mi jeszcze Martusię. Martateż jest pisarką i niewygląda na to dwarazy bardziej niż Duduś.

Zawsze wdżinsach i jakichś porozciąganych podkoszulkach, chodzi objuczona wielkimiplecakami i stertą reklamówek, wiecznie coś gubi i nigdy nie robimakijażu.

Czasemprzychodziz chmarą dzieci, to znaczy z dwójką,ale podobnoznów jest w ciąży.

Chętnie słucha, mało sięodzywai pisze na starym, odrapanym laptopiesklejonym tu i ówdzie taśmą, bo już dawno pogubiła wszystkie śrubki.

Lubi koty i w ogóle ma w sobie coś z czarownicy.

Możeto tylko wrażenie spotęgowane przez nieład na głowie.

Studiuje medycynę.

Od wielu, wielulat.

Mazarażliwy, nieco koński śmiech.

Jej starsza córka wyglądjak precyzyjna, niecotylko pomniejszona kopia jej samej.

Ale plotkarzz tego naszego Mięcia.

Ciekawe, w jakich pięciuzdaniach potrafiobsmarować moją skromną osobę.

Pomyślałam, że Marta musi być fajna.

Z racji soboty klientów byłocałkiem sporo i nie mogłam sięskupićna opowieściach Barona, czego bardzo żałuję.

Nadrobię kiedyś.

Ciekawe, czy ma babę.

Jest to typowy przykładciekawości luzem, bez najmniejszejprzyczyny.

Dwudziesty drugi

Knajpy pełne studentów po brzegi.

Po zajęciach zaciągnęłamkilkadziewczyn z grupy do "Banasia", bo jeśli już mamygdzieś popijaćkawkę, to czemu nie w moim osobistym miejscu pracy?

Miałam nadzieję spotkać Barona, polubiłamgo.

Ale go nie było.

Zamiast tego był barman, którego jeszcze nie poznałam.

Ma naimię Paweł.

Dużo już o mnie słyszał (pewnie od Mięcia), ale niebardzo umiałsprecyzować, co.

A może niechciał.

Dziewczyny z grupy stwierdziły, że barman jest szalenie przystojny i zapowiedziały, że będą tu wpadać częściej.

Aldona miała wątpliwości, czy nie jest gejem.

Nie mampojęcia.

Spytam Mięcia, na pewno chętnie mi odpowie.

Jakaś dziewczyna siedziała przy barze, popijała piwko istukała

zawzięcie na laptopie.

Zapewne Martusia.

Mam wrażenie, że skądśją znam.

40

Aldona załatwiła mi dodatkową pracę.

W przyszłym tygodniuumamy iśćmierzyć mieszkaniakomunalne, takie zlecenie z UrzęduMiasta.

Całkiem nieźle płatne.

Zgodziłam się, ale nie mam pojęcia, jak to zrobić.

Z pracą, dzieckiem, studiami i wymaganiamimojej matki doba nagle stałasię żałośnie krótka.

Przedpołudnia najchętniej spędzam w łóżku, próbując odespać zarwaną noc, a Marcel przewala siępo mniei ciągnie mnie za uszy.

Nazywa się to, że się nimopiekuję.

Zdarza się, że na śniadanie schodzimydopiero wtedy, gdyw drzwiach zgrzytają już klucz, co oznacza, że mojamatka wróciłazeszkóły.

Ma trzy-cztery godziny dziennie i wychowawstwo, co oznacza, że tyle samo czasu spędza w szkole, co w domu nad papierkami.

Matka kręci głową z politowaniem, robi miny i gotuje dla nasowsiankę.

Nienawidzę owsianki.

Marcel się przystosował i zjada zesmakiem swoją porcję.

Ostatnio uparcie próbuje jeść sam, a moja matka czatuje obok ze szmatką w dłoni.

Ojciec zaproponował, żeby pod wysokie krzeselko podłożyć folię malarską i zmieniać co dwadzi.

Matka spojrzała na niego i prychnęła z pogardą.

- Tylko facet mógłby wymyślić coś takiego - powiedziała.

Tak? Robiłam tak czasem w Gdańsku, tyle że używałam starych reklamówek.

Może jestem facetem.

Facetem zesprawnie działającą macicą.

I stąd się biorą wszystkie moje kłopoty z przystosowaniem się do rzeczywistości.

Dwudziestysiąsty

O, Boże.

To mierzenie mieszkań!

Komedia, jakich mało.

Zaniosło nas dzisiaj na Stare Pogórze.

Weszliśmy do kamiennicy, klatka schodowa ciemna i ponura, miotły nie widziały odstuleci.

Szmaty dookien również nie.

Pukamy do mieszkania napierwszym piętrem, bo na parterze tylko jakieś sklepy i zakład krawiecki, zostawiłyśmy to sobie na deser.

Długacisza, później jakieś szuranie i jazgot pieska, z gatunku tych małych choraz upierdliwych.

Nie pomyliłam się, jamniczek.

Aldona od razu się cofnęła, boi się psów, ale zaraz zapsem

41.

objawiła się babcia.

Taka potwornie zasuszona staruszka.

Zgarnęła pieska z podłogi i wpuściła nas do mieszkania.

Wyjaśniłyśmy jejkrótko, ocochodzi, wszyscy zresztą dostali specjalne pisma zapowiadające naszą wizytę, ale w sześćdziesięciu przypadkach na stoludzie i tak nie czytają, więc zawsze wyjaśniamy raz jeszcze.

Babcia była ubrana w syntetyczne gieżło z falbanami, kompletnieprzezroczyste, cycki jej pod tym gieżłem dyndały na boki, a niżej.

A niżej obie szybko przyjęłyśmy, że babciana po prostu cieliste majteczki, bardzo niewidoczne. Zupełnie niewidoczne, szczerze mówiąc.

Gieżło było w różyczki.

Babciamachnęła do nasręką, zemożemy robić, co nam siężywnie podoba, a onawraca naswoje miejsce, bo akurat rozmawia przez telefon.

Pokój był strasznie brudny i bardzo zagracony.

Na środku, pod ścianą było coś, cochyba najlepiejokreślić słowem "barłóg", bo słowo "łóżko" tozdecydowanie za dużo.

Wszystko tam było, a na samym wierzchu babcia i pies.

- I słuchaaaj, kochaneńkaaa, ion mi na to powiedziaaaa! - zapiszczała babcia do telefonu tonem, od którego zaświdrowało mi w uchu.

- Ion mi powiedziaaa!

Jamniczek natychmiast zaczął jazgotać widentycznej tonacji.

Aldona, przekrzykując wszystko, próbowała podać mi jakieś wymiary, pies szczekał, babcia się darła, a z telewizora, dudniącymbasem dobiegała pieśń: "Jestem opadem atomowym, bum, bum. Jestem opadem atomowym!"

".

- I słuchaaaj, kochanaaaaj już wytrzymać nie moooogę.

- jazgotała babcia.

- ...

Ciaf, ciaf, ciaf!

- jazgotał j amniczek, precyzyjnie naśladowując intonację - ciaf, ciaf!

- Sto osiemdziesiąt sześć!

- darła się Aldona.

- Trzymaj to wyżej, wyżej trzymaj!

Chyba sześć i pół!

- Ciaf, ciaf!

- szczekał j amniczek.

- "Jestem opadem atomowym, bum, bum!"

"- dudnił telewizor.

Wyszłyśmy po dwudziestu pięciu minutach, ocierając pot zczoła.

Aldona zarządziła przerwę na kawę.

W samych drzwiach "Klubu Oko" potknęłam się o niewielkiego pieskawielorasowego.

Piesek zaniósł się pełnym pretensji jazgotem.

- Jestem opadem atomowym, bum, bum!

- zaśpiewałyśmy ide42

alnie zgodnym ponurym chórkim, na co właściciel pieska okropnie wybałuszył oczy.

Nawet moja poważna mama posmarkała się radości, jak opowiedziałam jej dziś wieczorem nasze przygody.

Minus tej pracy jest jeden, zasadniczy - wychodzę z domu przed pierwszą, ruszam z Aldoną w miasto, mierzymy, co trzeba, a później jakiś obiad w barzemlecznym, bo nie oplaca mi się wracać na Bronowice.

Na osiemnastą "Banasia".

Cholerni studenci bawią się napotęgę przesiadujądo rana w barze, czasami mam ochotę wziąćmiotłę i wymieść ich za próg, razem z bałaganem,który po sobie zostawiają. Gdy docieram do domu, rodzina już śpi, a moja mama znowuwzięła Marcelka do siebie. Takjest wygodniej, tłumaczy, jak mały zapłacze, a mnie jesczzenie ma, nie musi biegać do niego na górę.

W pracy denerwują mnie śmieci i chaos, a w domu obsesyjny,sterylny porządekmojejmatki.

Czego ja chcę?

Smutno mi nad ranem, gdy kładęsię spać w pustym, ciemnym pokoju i nikt nie zarzuca mi na szyję małych rączek.

To tylko trzytygodnie, skończy się mierzenie mieszkań i będęmogła pracować w "Banasiu" od drugiej, co drugi dzień.

Tak będzie lepiej i będę miała czas wieczore^i uśpićmojego synka.

Co drugi dzień.

W pozostałe dni mamai takgo weźmie do siebie.

Czasem mam wrażenie, że bawię się z nią w wielkie przeciąganieliny.

Jestemzmęczona.

Dwudziesty dziewiąty

Dalej mierzymy mieszkania i znowubył dzień pod znakiem psa.

Tym razem do jednego z mieszkań zostałyśmywpuszczone przezdrobną, szczuplutką blondynkę wwieku średnim.

Też po dłuższymczekiwaniu.

To mieszkanie z kolei lśniło czystością, aczkolwieknieco posepną, gdyż ściany były pomalowanena różne ciemne kolory, zeszczególnym uwzględnieniem brązowego.

Cóż, każdy urządza się, jak lubi.

Po balkonie, na szczęście zamkniętym, skakał olbrzymipies.

Aldona schowała się za mnie, plecami do ściany.

43.

- To rottweiler - wyjaśniła nieśmiało blondynka.

- Suka.

Zamknęłam ją, boja sama nie bardzo daje sobie z nią radę.

Jest uparta i bardzo silna.

Wolęnie ryzykować.

Aldona zbladła.

- To w zasadzie pies mojego syna.

Teraz u mojego syna jest małe dziecko, więc Milusiamieszka u mnie.

Ale syn przychodzi wyprowadzając na spacer - powiedziała pani, rzucając spłoszone spojrzenia na balkon i szalejącego po nim zębatego potwora.

Milusia, też coś!

Pomiarów dokonaliśmy w piorunującym tempie, przy czym Aldona mało sobie głowy nie odkręciła, próbując jednocześnie nie spuszczać wzroku z drzwi balkonowych.

- Może napiją się panie kawy?

- zaproponowała drżącym głosem blondynka.

Żal mi się jej zrobiło, wyglądała na smutną i samotną w tych ponurych ścianach, z psem, którego sama się boi.

Zgodziłyśmy się na malutkie espresso, Aldona nieco nerwowo i niezbyt wyraźnie.

Jasie psów nie boję.

Blondynka usadowiła nas przy stole w salonie, kiedy do mieszkania przybył syn wypacerować pieska.

Wypuścił zwierzątko z balkonu, biorąc przytomnie ulubienicę od razuna smycz.

Cóż z tego, kiedy chcąc wyjść z pomieszczenia, musieli oboje przejść koło stołu.

Bydlątko z miejsca wypatrzyło Aldonę, która zatrzęsała się w sposób wyraźny.

Na to piesek, przechodząc koło niej, zniżył łeb i wydał sobie krótkie, gardłowe szczeknięcie.

Aldona podskoczyła i jednym sprawnym ruchem wylała całą kawę za siebie, na ścianę.

- A dlaczego właściwie ta ściana jest brązowa?

- zapytała podejrzliwie, jak tylko psinka poszła, awrócił jej głos.

Popatrzyliśmy po sobie razem z właścicielką i wszystkie jednocześnie parsknęłyśmy śmiechem.

Uwolniona chwilowo od towarzystwa kochanego pieska pani właścicielka okazała się szalenie sympatyczna, gadatliwa i dowcipna.

Umówiłyśmy się z nią na kawę za dwa dni, chciała dokonać różnych przeróbek w mieszkaniu i potrzebowała fachowej porady.

- Ja to bym jej przemaalowała te ściany - mruknęła Aldona, wychodząc.

- Na miłe, słoneczne kolory.

Chociaż, jak się psinka rozpanoszy, to może najlepszy będzie czerwony?

Zamaskuje bryzg krwi pozostałe po gościach.

44

LISTOPAD

Z pamiętnika Dominik!

N.

Pierwszy

Święto Zmarłych.

Mietek zastanawiał się wczoraj, czy powinniśmy wystrugać jakąś dynię, mruknęłam coś odniechcenia, że jak dla mnie, to głupie, całe zamieszanie z Halloween, zupełnie jakbyśmy nie mieli własnych "Dziadów" i innych tradycji.

Zapomniałam, że pracuję bandą postrzeleńców.

Trzy godziny później zapanowało istne pandemonium, zjawiła się Magda wraz ze swoją przyjaciółką Goską, próbowali ściągnąć jeszcze tę mityczną Martę, ale nie odbierała telefonu. Może i dobrze, zupełnie nie wiem czemu, ale jakoś boję się ją poznać.

Czuję, że to osoba, która odegra w moim życiu znaczącą rolę.

Głupia jestem, wiem.

Pół życia spędziłam, oglądając się nerwowo za siebie, ponieważ bez przerwy miewałam jakieś tam przecucia.

A jak moje życie zaczęło się komplikować naprawdę, na żadne przecucia nie było już czasu ani miejsca, żadne mnie też nie ostrzegły.

W każdym razie dziewczyny zarządziły zebranie personelu, wciągnęły do niego też Dudusia i tego miłego policjanta, Barona.

Chciały, żeby został Baranem, ale uparł się, żeby być Upiorem, gdyż, jak twierdzi, ma talent dramatyczny.

Barankiem będzie Duduś, a Zosią, rzecz jasna -ja.

W roli Guślarza Mietek obsadził samego siebie.

Oczywiście wystawiamy "Dziady", dzisiaj o północy.

Ponieważ na naukę tekstu już zapóźno, będziemy czytać, ale kostiumy i pełna zmiana wystroju lokalu obowiązują.

Cały ranek latałam z młodym w wózku po lumpeksach, kupując czarne firanki i białe giezła dla Guślarza.

Moja matka, której zwierzyłam się z naszych szalonych planów, nieoczekiwanie błysnęła zębami w uśmiechu, wywlokła ze strychu blade zieloną, powiewną sukienkę, w której występowała niegdyś jako druhna, własnoręcznie uplotła mi wieniec z chryzantem i nieśmiało spytała, czy może przyjść zobaczyć nasze przedstawienie.

Młodego zostawi ojcu na godzinę.

45.

Zaskoczyła mnie.

Zgodziłam się bez oporu - wiem, że nie dokońca aprobowała fakt, że pracuję w zwyczajnej knajpie, ale nagle uświadomiłam sobie jedną rzecz.

;

"Banaś" nie jest zwyczajną knajpą.

Jest mądrym i uroczym miejscem, którego zupełnie nie muszę się wstydzić.

;

Może to i dobrze, że matka wreszcie je zobaczy, i pozna moich nowych przyjaciół - pracodawców i kolegów.

Drugi

Było naprawdę pięknie i przyszło tyle ludzi!

I to bez żadnych ogłoszeń, plakatów, nic z tych rzeczy!

Prosto jakoś nagle się zjawili.

Moja matka przyszła późno, gdzieś po jedenastej - już myślałam, że się rozmyśliła.

Siedziała cichutko w kątku, przymalunkim stole, sączyła białe wino i uśmiechała się.

Nie zraziła się nawet do Mietka, który latał po zapleczu, rycząc: "Przymocuj mi jakoś tę cholerną brodę, bo mi do gęby wchodzi!"

I gdzie masz, kurwa, ten badylek?

Zosia musi mieć badylek i baranka u boku!

Gdzie ten spóźnialski kretyn?

Duduś, do nogi!

".

Może z zaplecza do jej stolika te ryki nie dochodziły.

Paweł wyglądał super jako Kruk.

Jegorola zaliczała się raczej do tych mniejszych, ale zrobił wrażenie.

W czarnym, obcisłym podkoszulku, ciemnych dżinsach, ze złotym dziobem z kartonu naczarnych włosów, w diabolicznym makijażu, który zrobiła mu Magda.

Naprawdę robił wrażenie.

Upinałam mu ten dziób na lokach.

Ma takie miłe, gęste włosy.

I niesamowite oczy.

Spojrzał na mnie przez ramię, tak że przez całe moje ciało przebiegł dreszcz.

Dziwne, że z opuszek palców, którymi wpinałam tu i ówdziewsuwki, nie poleciały iskierki.

Zaczerwieniłam się, a jakże.

Dobrze, że w blasku świec, pod makijażem, pozostało to niezauważone.

Nie dostrzegałam wcześniej, jaki jest przystojny, moje koleżanki z roku były bystrzejsze, a ja wcześniej tylko wzruszałam ramionami.

Może wszyscy mężczyźni powinni się malować?

Na wspomnienie jego oczu, w oprawie gęstych, pociągniętych Magdy tuszem rzęs, robi mi się gorąco do tej pory.

Niejako zaocznie.

46

Dziwny wieczór.

Mama obejrzała inscenizację, podeszła pogratulować, nie omieszkała przy tym szepnąć, że wianek mi się skrzywił - cała ona!

- i pojechała do domu.

Obawiałam się przez chwilę, że będę musiała wracać razem z nią, uprzedziłam nawet Magdę natę okoliczność, ale mama nie powiedziała ani słowa.

Tylko: "Dziękuję za miły wieczór, przypomniały mi się moje studenckie lata, też tak wyprawialiśmy. Jadę do dziecka, pa".

Nie wiem nic, zupełnie nico młodych latach mojej mamy.

Odkąd ją znam, była dojrzała, spięta i poważna.

Nie jestem takajak ona, myślałam często.

Ona zupełnie nieumie się bawić.

Możesz się myłę?

Może kiedyś było zupełnie inaczej?

Możeja samateż kiedyś przestanę się głównie dobrze bawić,i myśleć o sobie?

Jeśli nie, to grozi mi, że nie będę wiedziała nic omlodych latachnietylko mojej matki, ale i mojego dziecka.

Poranki spędzane znimpolegajągłównie na odsypianiu pracowitej nocki i lekkiegokaca, popołudniu najczęściej mnie już nie ma, wnocy, jak wracam z pracy,on już dawno śpi.

Co drugi weekendspędzam w całości nauczelni.

Dlaczego mam nagłe wrażenie, że życie mi się rozplywa w tysiące małych, nieważnych spraw, chociaż jest dokładniena odwrót -wreszcie, polatach,zaczęłam porządkować je jakoś, studiuje, pracuje, choćby i w knajpie, ale mam efekty?

Naukowe, finansowe,i nie tylko?

Po dwóch tygodniach mogę już chyba powiedzieć, że zostałamzaakceptowanai przyjęta do grona w tym śmiesznym lokalu.

Mietek wielbi mnieza ład i porządek, który mimowolnie wprowadzam- stresuje mnie,jaknie mogęznaleźć podstawowych rzeczy, wołę jemiećpod ręką.

Resztateż siędo mnieprzekonała.

Paweł.

o, nie.

Nie będę na razie rozmyślać o Pawle.

Nie znoszę facetówi nie mam ochoty uwikłać się w kolejną głupawą historię.

Czyon w ogóle wie, że mam dziecko?

Muszępowiedzieć Mieciowi, zęby trzymał ruchliwy jęzor zazębami.

Tak na wszelki wypadek.

Od kilku tygodni nie śnił mi sięKrystian, i już nie czekam na jego telefon.

Co mógłby mi powiedzieć,zresztą?

Przepraszam,niechciałem?

47.

Nie chciałem oszukiwać, ani ciebie, ani moich pracodawców?

Nie chciałem mieć żony, a już na pewno nie chciałem, żebyś się taki sposób o niej dowiedziała?

W to ostatnie wierzę całym sercem.

Krystian z pewnością wołałby, że bym nigdy się nie dowiedział o jego żonie, z którą może naprawdę niewiele go już łączy - inaczej nie spędzałby ze mną większości wieczorów przez prawiedwa lata; nie wyobrażam sobie żony, która by uważała, że to normalne.

Nie chciałby również, aby żona wiedziała o mnie - byłabym zszokowana jak ja, zwłaszcza tym, że mamy wspólne raczkujące już dziecko (oni nie mieli dzieci).

Może myślała, że po ich nieformalnym zresztą rozstaniu Krystian żyje sobie gdzieś na odludziu, samotny jak mnich?

Wiem, że Kaśka, która odważyła się moim imieniem porozmawiać z policją, że Krystian miał od kilkunastu miesięcy jeszcze jedną kochankę (fakt, czasem dużo pracował i do domu wracał dopiero nad ranem).

Jezus Maria, może to samomyślnie żona przez ostatnie dwa lata?

). Dłaniej też wynajmę mieszkanie.

Nie zdążyli się jeszcze rozmnożyć.

Kaśka doniosła mi później, że oprócz trzech bardzo poważnych związków mój Krystianek niemal w każdym mieście miał jakieś ciepłe gniazdko, to znaczy - babę.

Możenie lubi nocować po hotelach.

Pamiętam, z jaką niechęcią wyjeżdżał w swoje nader liczne podróże służbowe, i w głowie mi się nie mieści, że mogłaby to niechęć pozorowana.

Z jaką radością wracał do domu.

Czy możliwe, że z taką samą ulgą i entuzjazmem wkraczał do wielu swoich domów w całej Polsce?

Krystian nie chciałby również, aby którykolwiek z pracodawców, zespołów, ludzi wynajmujących sale koncertowe, potencjalnych sponsorów dowiedział się o jego machlojkach.

Niestety, największy pech Krystiana polegał na tym, że ludziami są paskudny zwyczaj rozmawiania z sobą.

I powiedzieli sobie to i owo.

Skojarzyli fakty

Jaki pech.

Po prostu, ludzie to świnie.

Niewiem, czy będą jeszcze umiała tak po prostu zaufać komuś poza moimi rodzicami.

Wracam do domu jak do hotelu, wiem.

Ale w tym hotelu jest mój własny pokój i moje osobiste miejsce przy stole.

48

Rodzice widzą, jak ciężko pracuję, przedwczoraj przyniosłam też pierwsze pieniądze.

Prawie całą wypłatę dałam mamie.

Nie robią mi żadnych wyrzutów.

Pytanie zasadnicze: jak długo tak pociągnę, po co, i do czego to wszystko prowadzi?

Marta KASOWANIE SMS-ÓW

Raz na jakiś czas muszę opróżnić własną skrzynkę i na komórce jest to swoista wyprawa w przeszłość, jako że kasować najlepiej - w wypadku mojego telefonu - od tyłu.

Podróż w czasie, migawki z ostatniego miesiąca jak na starym projektorze.

ZNOWU SIĘ KUR.

ZAKŁUŁAM - brzmi pierwsza wiadomość z dawno minionych dni.

To Anka.

Dość nieważnie zaopatrywała pewnego pacjenta i w końcu dziabnęła się igłą z jego krwią.

Szczegół drobny był taki, że pan został przywieziony do szpitala na ostro, badań nie posiadał przysobieżadnych, a jego obecny stan wskazywał na dość rozrywkowy tryb życia.

HIV, żółtaczka zakaźna, kiła i mogły być mu obce, więc Anka mocno się zestresowała, zrobiła mu badania, na co tylko się dało - panna szczęście nie zgłaszała żadnych głupich obiekcji - i

przeżyła bardzo nerwowe dwa tygodnie.

Procedura przeprowadzona starannie wymaga jeszcze przebadania pana - lub Anki - ponownie, po trzech miesiącach, uwagi natak zwane okno serologiczne dotyczące HIV.

Od zarażenia dopierwszych testów laboratoryjnych, które wychodzą dodatnio w przypadku wirusa HIV, a więc potencjalnego zarażenia AIDS, musi minąć około dziewięćdziesięciu dni.

W tym czasie człowiek może być już zarażony, ale żaden test jeszcze tego nie potwierdzi.

Trzeba powtórzyć.

Pan wyleczył swoje jednostki chorobowe i znikł w dalisinej, w związku z czym test musiała wykonać sobie osobiście Anka.

Co przeżyła, to jej.

Ale na szczęście pan był, wbrew pozorom, wolny od wirusów.

49.

WELCOME TO T-MOBILE SŁOYENSKO!
DIAL 1188FORTOURIST INFORMATION!

To oznaczało mniej więcej tyle, że byliśmy wraz z ukochanym małżonkiem w Tatrach i zniemacka dostaliśmy się w zasięg sieci komórkowych na Słowacji. Jak przyszedł tensms, wisałamwłaśnie oburączna łańcuchu pomagającym w zejściu z Granatów iżałowałam, że nieznajduję się gdziekolwiekindziej, choćby na egzaminie z chirurgii bezprzygotowania albo na obiadku u zniemawidzonej cioci.

Przeżyłam i nawet, o dziwo, nie urwałam łańcucha.

Mało brakowało.

Embrion też przeżył.

Nikommu się do owej eskapady nie przyznaliśmy, oficjalniepo prostu byliśmy w Zakopcu.

Na WszystkichŚwiątych.

Rodzina próbowała się przyczepić, że nie jedziemy z nimirnamogły przodków, ale mój mąż wyjaśnił dobitnie, że cmentarzedziałają na mnie depresyjnie, czego w moim obecnym stanie powinnam raczej unikać.

Natomiast zgadza się z tym, jak najbardziej, że dzieci powinni znać zwyczaje i uczcić pamięć swoich dziadków i pradiadków, więc: "maszto, mamusiu, jedną wnuczkę, drugą wnuczkę, butelkę, kaszkę, kurtki i pampersy, i foteliki dosamochoodu, pa!"

".

Zanim rodzina zdążyłaochłonać, zniknęliśmy w zawiei.

Nie jestem pewna, co może być bardziej ryzykowne w ciąży, cmentarze czy wiszenie na łańcuchach, ale z pewnością drugiebyłoprzyjemniejsze, przynajmniej wewspomnieniach.

URZĄDZAMY RYTUALNĄ POPIJAWĘ ABY ZAPEWNIĆSOBIE PRZYCHYLNOŚĆ ZMARŁYCH.

PIĘĆ KROPLI Z KAŻDEGO KIELISZKA NA ICH CZEŚĆ.

DLA CIEBIE KUPIĘMSOKBANANOWY PRZYJDŹ KONIECZNIE!

JAKNIE PRZYJDZIESZ ZABIJEMY CIĘ MŁOTKIEM I NIE WYPIJEMYZASPOKÓJ TWEJ DUSZY.

To Dudek.

Różne preteksty dopijaństwasłyszałam jużz jegostrony, ale takiego jeszcze nie.

CZEMU MŁOTKIEM?

- odpisałam.

BOTANIO - opowiedział.

- KOSZT MŁOTKA I JEDNEGOPORZĄDNEGO PRANIA.

Prosto zZakopanego wpadliśmy na chwilę do "Banasia" i trzebaprzyznać, całej ekipieudało się nas zaskoczyć.

Spodziewaliśmy się conajwyżej dyniowej mordy w oknie, jak wszędzie na Kazimierzu.

Tymczasem wewnątrz "Banasia" było przeobrażonecałkowicie, wszę50

dzie wisały czarne i fioletowe kotary, dyndały jakieś złociste firanki, w kącie stał lekko podniszczony plastikowy szkielet, w płaszczuz czarnego aksamitu i z szablą w dłoni.

W roli oświetleniawystąpiłyporozstawiane tu i ówdzie grube gromnice, na barze leżały jakieśsięgi, gałęzie oraz kilka glinianych miseczek, do których Magdanasypała ziaren i orzechów.

Zalogawygłądała, jakby ją żywcem przeniesionoz inscenizacji "Dziadów" -Paweł przebrany za Kruka, Mietek, z doczepioną sznurkową brodą, za Guślarza, Magda z Goską, omotane czarnymi chustami robiły poprostu za Kobiety z Gminu, a zachwycone bliźniaki biegały po lokalu boso, w białych koszulach i z wiankami na głowie.

Józio i Różia, jak Boga kocham!

Gibelec, w szarej szacie, z pióramiwczepionymi w rastafariański berecik i w gigantycznychokularach po babci, robił za Sowę.

Ewidentnie ekipapozsła nacałość.

W pewnym momencie z zabaruu wychynęła młoda, szczupła dziewczyna z włosamido pasa, w

zielonej sukience.

Na głowie miała wianuszek z chryzantem.

Pomyślałam przelotnie, że tylko baranka brakuje, dopóki z za jej pleców nie wyłoni się Duduś zowczą skórą na grzbiecie i rogami ze złocistej bibuły

Odbiło im zupełnie podmoją nieobecność!

Klienci wchodzili, szczęki im opadały i

zostawali, dzwoniąc do znajomych.

Zmusiłam małżonka, żeby przejął dzieci i pozwoliliśmy zostać, bo takiej hecy przepuścić niemożę!

Za piętnaście dwunasta Mietek pozbierał wokół siebie szaty, z lumpeksu rodem, i wskoczył na bar, biorąc doręki jedną z książek.

- "Zamknijcie drzwi od kaplicy i stańcie dokoła truny!

Zadnej lampy!

Zadnej świecy!

W oknach zawieście całuny!

" - wrzasnął władczym tonem, a cała ekipa - i spora rzesza klientów zaczęła mamrotać monotonie:

"Ciemno wszędzie, głucho wszędzie.

"

- "Niech księżyc jasność błada szczelinami tu niewpada!

"-kontynuował Mietek w natchnieniu, trzymając przed sobą księgę.

- "Tylko żwawo!

Tylko śmiało!

"

- "Jak okazałeś, tak się stało" - odpowiedział namaszczone głosem Mikołaj z Kazimierza, grający Starca.

On jeden nie wymagał charakterystyki.

Nie musiał również trzymać tekstu przed nosem.

Zastukał kuflem w stół.

Trzy razy Zbiorowy dreszcz przebiegł przez salę barową.

- "Ciemno wszędzie, głucho wszędzie" - mamrotała niestrudzenie publiczność.

- "Co to będzie?"

Co to będzie?

"

Nie była to do końca inscenizacja, raczej odczytanie z podziałem na role, ale przygotowali się nieźle.

Krążyły egzemplarze, zgromadzili ich chyba pięć, a gdy ciemnegokorytarzyka wyłoniła się mroczna, bezkształtna postać, która ewidentnie była Upiorem, a po bliższych oględzinach okazała się również Baronem, nie tylko nie dech zaparło całkowicie.

- "Dzieci!

Nie znacie mnie, dzieci?

" - odezwała się przenikliwym, szeleszczącym szeptem - "Przypatrzcie się tylko bliska, przypomnijcie tylko sobie.

"- Tu potoczył dokoła upierścienioną dłonią, wystającą spod autentycznych łachmanów. Dłoń była zielonosina.

- "Ja nieboszczyk pan wasz, dzieci!

" - Podsunął zakrzywione szpony pod nos jednej z klientek, a ona cofnęła się z piskiem.

Nie podejrzewałam Barona o podobnej miary talent dramatyczny.

Tłum zebrał się taki, jakiego nie było nawet na koncertach.

Adaś Amelia, przejęci, wydukali swojej rolę, zacinając się tu i ówdzie, ale wypadło to słodko i przekonywająco.

Ciekawe, że Gośka, taka porządna, zdyscyplinowana mamusia, pozwoliła im wziąć udział w imprezie i pozostała z nimi w lokalu niemal do drugiej.

Zdradziła mi, że cały wystrój i inscenizacja były pomysłem Dominiki, nowej barmanki, i zostały przyjęte z zachwytem przez resztę jako antidotum na panoszące się wszędzie Halloween. Poczułam się troszkę pominięta - wszyscy znajomi brali udział w przedstawieniu, nawet Duduś w roli Baranka, tylko ja nie.

Gośka powiedziała, że wręcz przeciwnie, wydzwaniali domnie od wczoraj, a lenie odbierałam.

Ona została ściągnięta wcześniej z uwagi na dzieci.

Bliźniaki były po prostu konieczne.

Poza tym nie tylko ja zostałam zaproszona na gotowe - Edytka, Anka, Lilka, znajomi barmani, wszyscy szczerze wypełniali lokal w charakterze publiczności.

Nie odbierałam, ostatnio rzadko bywam w świecie, więc sięgnęli potych "aktorów", których mieli codziennie pod ręką.

Fakt, bywam rzadko.

Od tej całej ciąży potwornie chce mi się spać.

Nawet nie zauważyłam, kiedy zbarowego mebla, domownika, stałam się raczej "znajomym".

Trochę to smutne.

Ale nie można mieć wszystkiego.

Zaczęłam szósty, ostatni rok studiów, jestem w ciąży, Miśka w zerówce mazadania domowe, których muszę dopilnować i.

brakuje mi czasu na bezproduktywne siedzenie w lokalu.

52

Dlatego mam nagłe wrażenie, że życie mi się rozplywa w tysiące małych, nieważnych spraw, chociaż jest dokładnie odwrotnie - wreszcie, po latach, zaczęłam porządkować je jakoś, studiuje, pracuję, nieprzesiaduję po knajpach, ale - mam efekty?

Naukowe, finansowe, i nie tylko?

Ta Dominika mnie intryguje.

Pogadałabym z nią dłużej, nie chcę jednak przeginać zaraz poskończonym występem krótkiej rozmowy z Gosią zwiżam się do domu.

Ładna jest.

Mam wrażenie, że skądś ją znam.

LUNCH: BEFSZTYK.

OBIAD: SZYNKA JOGURT

To mój mąż.

Postanowił zredukować samego siebie za pomocą diety kopenhaskiej.

Ja byłem odpowiedzialna za aprowizację oraz przyjąłem wdzięczną rolę chłopca do bicia, ewentualnie falochronu.

Wszelkie przejawy niezadowolenia z życia pełnego ograniczeń ukochanym małżonkom kumulował na mnie.

Wywiązywałem się z tej roli niekoniecznie dokładnie.

NIE MA W DOMUSZPINAKU!

- donosił na ten przykład mój zestresowany mąż.

UGRYŻ SIĘ W DUPE - brzmiała natychmiastowa odpowiedź

E kochającej żony, prosto z sali seminaryjnej.

Omawialiśmy właśnie; choroby wątroby i nie szpinak był mi w głowie.

KLUSKA JUŻ SPAŁA JAK ZAMYKAŁAŚ DRZWI.

MIŚKA MALUJE FARBAMI.

TKWIĘ GRZECZNIE PRZY KOMPIE - donosił mój mąż, już po diecie, więc życzliwość do świata wzrosła mu o jakieś sto pięćdziesiąt procent.

Korzystając z okazji, wzorowa mamuska i kobieta brzemienna poszła na balangę, zostawiając mi bardzo zaryzyczne potomstwo w ilościach hurtowych.

Już w taksówce - czyli po pięciu może minutach - w mamusce odezwały się wyrzuty sumienia i pytała dyskretnie, sms-em - jak tam?

Kocham mojego męża, mówiłam to już kiedyś?

HEJ RÓŻOWY SŁONIKU ZDAŁAM ALE Z MAŁĄ ILOŚCIĄ PUNKTÓW

NIENAWIDZĘ TESTÓW JESTEM MNIEJ NIŻ ZERO JEŚLI CHODZI O ICH ZDAWANIE ALE
OBLEJEMY TO Z ANKĄ CO TY NA TO?

Dagmara.

Moja koleżanka z byłego roku, dawno już skończyła staż, różne stypendia i właśnie zrymasię na wyniki Lekarskiego

53.

Egzaminu Państwowego.

W jej wypadku "mała ilość punktów" oznacza średnią krajową i to tylko dlatego, że Dagusia młodość swą spędziła w Anglii i język polski to właściwie dla niej język obcy.

Radziszobie z nim całkiem nieźle, fakt, czyta i pisze nieco gorzej niż mój, na pewno była obryta jak prosię w deszcz.

Nawet nie wie, baba jedna, jak jej zazdrościć.

Ja nadal, sierota, tkwię na szóstym roku.

. j

Napiwo poszłam, czemu nie?

Z uwagi na mój stan piłam głów'nie sok pomidorowy, ale też było fajnie.

CZEŚĆ MARTA POTRZEBUJĘ TWOJEJ POMOCY CZY ZNALAZŁABYŚI H?
NAJLEPIEJ DZIŚ DO 24.

Gacia, przyjaciółka mojej przyjaciółki Lilki.

Obecnie ze mną naroku.

Dziewczę młodei bardzo roztrzępane.

Razem nadrabiamy rozmaite zaległości, pewnie znów coś zmalowała i idzie odrabiać.

Gacia nie chodzi na częściej, bo jej się nie chce.

Ja też nie chodzę, bo jestem w ciąży, oprócz tego mam dwoje niezbyt dużych dzieci i pracę.

Jasię staram osiąść jakąś wiedzę, głównie dzięki dyskusjom z Anką oraz z Lilką, która zaczęła specjalizację ortopedii.

Gacia w miejsce wiedzy posiada ogromny urok osobisty.

Macharzęsami i ściemnia na potęgę.

Tak naprawdę, uzupełniamy się wzajemnie.

PRZYJEDŹ - odpisałam krótko.

MARTA MAM GOŚCI I JESZCZE SIEDZĄ - napisałam.

WYRZUĆ GOŚCI I PRZYJEDŹ - zaproponowałam.

Miałam wolny wieczór.

MARTA GOŚĆ ZOSTAJE DO JUTRA!

CZY MOGŁABYŚMI POŚWIĘCIĆ 40 MIN RANO?

PRZYJADĘ PO CIEBIE.

OK. ? PROSZĘ ŁADNIE - brzmiała odpowiedź Gaci, na którą oczekiwałam się po trzech godzinach.

Najlepsze w tym wszystkim było to, że nie miałam pojęcia, z jakiego przedmiotu Gacia wymaga nagłych korepetycji.

OK - zgodziłam się w ciemno, zrezygnowana.

WPADNĘ DO CIEBIE NA 30 MIN OKOŁO 8 - zaproponowała Gacia.

O 8 JESZCZE ŚPIĘ - odpisałam.

O ósmej kończę przekładać bruch nad drugą stronę, ale o tym nie muszą wszyscy wiedzieć, nieprawdaż?

54

O 9:40 ROZPOCZYNASZ ZAJĘCIA - odpowiedziała dość przytomnie.

- TO BĘDĘ O 8:30.

OK - poddałam się w końcu - PRZYJEDŹ.

Gacia nie przyjechała.

Nocny gość zajął ją natyle, że nie wstałano.

Korepetycji, jak się okazało, z immunologii, udzielałam dopiero po południu.

^

MARTA, DOKTORKA WPISAŁA CI ZALICZENIE I POWIEDZIAŁA ŻE DO NIEJ JUŻ NIE MUSISZ CHODZIĆ.

NIEWIEM CO Z SEMINARIAMI, ALE ZAWSZE JEDNO DOPRZODU!

Joasia, moja największa sojuszniczka i pomoc na tych zwariowanych studiach.

Bywa, że istnieje na zajęciach w dwóch osobach - za siebie i za mnie.

Kocham Joaškę.

Nie wiem, co bym beźniej zrobiła, na przykład kiedy Malwina złapie kolejne zapalenie uszu, albo moje życie wewnętrzne w formie płodowej skopie mniepo pęcherzu tak, że znowu mi zacznie schodzić piasek.

Studiowałaby następne trzynaście lat?

ZNÓW ZALICZYŁAM ZGON.

ZA TO WRESZCIE IDĘ DO DOMU.

MOŻE TEŻ POWINNAM BRAĆ DRAGI?

Znowu Anka.

Nie ma, jak być zupełnie dorosłym - i odpowiedzialnym - lekarzem.

Nie chcę, nie chcę.

Mamusiu!

A może jednak - chcę?

I zazdroścę?

Anka tak naprawdę nauczyła się już bardzo dużo.

Nauczyła się odreagowywać - choćby pomocą krótkiego sms-u - i iść dalej, doprzodu.

Przejmuje się ludźmi naprawdę, przeżywa głęboko - i jest w stanie pomagać dalej.

Jest uważna i bardzo dzielna.

Chłopak, który zmarł, przedawkował chyba dziesięć razy, nie miał szans.

Miał dwadzieścia dwa lata i małe dziecko, zmagające się z głupoty i przez przypadek.

Bardzo się starał, choć cała rodzina była przeciw.

Do czasu.

A w końcu się poddał i pozwolił, żeby żarła go rzeczywistość.

Dziecko po nim nie płacze, za małe jest.

Ono tylko nie będzie miało szans zapamiętać jego twarzy i być może zapłacze kiedyś dużo, dużo później.

55.

Na razie ryczy na potęgę jego dziewczyna - nie żona, ale prawie- i, o wiele dyskretniej - ociera samotną łzę pewna mu zupełnieniana pani anestezjolog, Ania P.

Nie poddam się nigdy, nietak głupio.

Żeby nie wiem co.

Uroczyście przysięgam.

MAM DLA CIEBIE BIUSTHALTER Z BIAŁĄ KORONKĄ.

To Anka.

Różnymi się w rozmiarach od dobre dwa numery - namoją.

hmm.

powiedzmy, że korzyść (to znaczy mnie jest więcej) i wszelkie niezbyt trafione zakupy puszcza w Wielki Obieg Wzajemnej Wymiany. Ja mam dla niej szalową kieckę, którą kupiłam sobie tuż przed drugą ciążą i do tej pory wisi u mnie w szafie jako swoiste memento.

W trzeciej ciąży muszę w końcu przyznać sama przed sobą, że w innej roli już chybanie wystąpi. Nawet gdyby nastąpił cud i znalazłabym w sobie dość silnej woli, żeby poporodzie zredukować masę własną o dobre piętnaście kilogramów, musiałabym jeszcze dodatkowo zeszlifować sobie kolce biodrowe przednie, żeby się w nią zmieścić, bo zwyczajnie - miednica mi się rozjechała i suknia, przyłożona do mojej figury, kończy się wszędzie tam, gdzie moje osobiste biodra jeszcze się nie kończą.

Nie wiem natomiast, co podkusiło Ankę do zakupu sobie biustonosza w moim rozmiarze.

Chwilowy brak samokrytyki?

A może planowała upchnąć w nim skarpetki?

Musiałaby wybrać takie długie, płaskie i dość hakowate.

Ja na brak samokrytyki, jak widać, nie narzekam.

Jeszcze jedna laktacja i będę mogła wyprowadzać dziecko do ogródka, przykazując, jak w starym dowcipie, żeby trzymało się cycusia i nie odchodziło za daleko.

A JA SIĘ POCHWAŁĘ ŻE MŁODA OD TYGODNIA JUŻ NIE CYCA POCZĄTKI CIĘŻKIE ALE WARTO BYŁO JASTRACIŁAM APETYT A ONA JE CAŁY DZIEŃ CHOCIAŻ MLEKASIE NIE CHWYCI.

Znowu o cyckach.

Tym razem Joaśka.

Karmiła dzielnie przezrok z okładem, bardzo się obawiała, jak jej mała zniesie bolesne rozstanie, jak widać na załączonym obrazku - było ciężko, aleniemłodej, tylko mamusi.

56

Zawsze tak jest, mogę odpowiedzieć z całym przekonaniem jak mama dwojgaj trzeciego w fazie produkcji.

Rozstanie z karmieniem, zwłaszcza tym wieczornym, najgorzej zawsze przeżywałam ja.

Smutno mi było i nawet porzyczałam sobie dopoduszki.

Dzieci jak dzieci, szybko zaaprobowały substytut w postaci butli z ulubioną kaszką i wisią im.

Takie życie.

NO WIĘC JAK NA WOLNY DZIEŃ PRZYSTAŁO WRÓCIŁAM WŁAŚNIE Z PRACY. JEDNO SIĘ POPRAWIŁO - NIE JESTEM JUŻ ROZLAŻŁA, JESTEM TYLKO ŻŁA.

Anka.

Oczywiście, będąc młodą lekarką, ma dyżury we wszelkie dni wolne, świąteczne, sylwestrowe i tym podobne.

W Święto Zmarłych weekend po nim również.

Ania zbliża się do granicy wydolności własnego organizmu, za to nie musi wreszcie pożyczać od rodziców na czynsz.

WZIEŁAM 2 PARY BUTÓW 3 TOREBKI 18 PARMAJTEK ALE NIE ZABRAŁAM ZESZYTU W KTÓRYM BYŁO NAPISANE DOKŁADNIE GDZIE I O KTÓREJ MAM PRZYJŚĆ NA TEN STAŻ.

Anka w ramach szkolenia specjalizacyjnego pojechała na tygodniowy staż do stolicy - no i

jak wyżej.

Swoją drogą, po co jej na tydzień osiemnaście par majtek?

ZADZWOŃ DO KOGOŚ Z KURSU INIE PANIKUJ - odpisałam.

TELEFONY DO LUDZI Z KURSU TEŻ MIAŁAM W ZESZYCIE.

No ładnie.

Utworzyłyśmy telefoniczny Łącuch Serc i w końcu uzyskała telefon do jednego z kolegów, przez jego babcię, do której zadzwoniła matka koleżanki, która była kiedyś z nami na roku .

„i trochę ich znała.

To znaczy koleżanka znała nas, a jej matka babcię kolegi.

Kolega też wybierał się na ten kurs, Anka zastanawiała się chwilę wcześniej, jakim cudem puściła go świeżo poślubiona zaborczamażonka.

Plotkarstwo się przydało, zapamiętałam informację i wiedziałam, kogo poszukiwać.

Uff.

JAK TAM W KRAKUSOWIE?

W STOLICY ZIMNO I POTWORNĄ NUDA JESZCZE TYLKO CZTERY DNI.

PO DZISIEJ57.

SZYM WIEM DO CZEGO SŁUŻY MĘŻCZYŹNIE KRAWATI ŻE POWINNAM ZAJĄĆ SIĘ CZYMŚ BARDZIEJ KONKRETNYM I PRECYZYJNYM NA PRZYKŁAD NAPRAWĄ ZEGARKÓW TRADYCYJNIE ZEPSUŁ SIĘ TRAMWAJ SAM Z SIEBIE.

Znowu Anka.

Mózgjej chyba zamarza albo zanika z nieużywania.

Czemu chce się zajmować naprawą zegarków, skoro zepsuł się tramwaj?

Do czego, na litość boską, może służyć mężczyźnie krawat i to ten sposób, że Anka miała okazję zaobserwować na oddziale intensywnej terapii?

Zapomniałam spytać.

HEJ! JA PRZETRWAŁAM JAK TAM TWOJE DZIECKO?

Lilka.

Z braku Anki - znów się gdzieś szlaja po szkoleniach - zadzwoniłam do niej w środku nocy, bo moja młodsza dostała zapalenia krtani, dusiła się okropnie i w dodatku jakoś dziwnie spuchła, obrzęk pod powiekami jej wywalilo taki, że wyglądała jak nie przymierzając Chińczyk, oczka jak szpareczki. Lilka telefon odebrała, a lenie bardzo mogła rozmawiać, bo również złapała zapalenie krtani i tylko charczała niewyraźnie.

Skończyło się tak, że w środku nocy obie odpaliliśmy komputery i przeprowadziliśmy rozmowę na Gadu-Gadu, do czego krtani na szczęście była potrzebna.

Lilka wypisała mi listę leków, które sama zażywa - większość na szczęście miałam w domu, listę badań do wykonania rano i listę objawów, które jakbym zauważyła, to mam się nie wygłupiać, tylko natychmiast wzywać pogotowie albo brać młodą na ręce i pędzić do pobliskiego szpitala.

Na szczęście leki zadziałały i po godzinie rykuz kaszlem naprzemian młodej wrócił w miarę normalny oddech; usnęła.

Lilka mówi, że albo jestem głupia, albo mam wyjątkowo mocną energię.

Bez komentarza.

NO TO MAM JUŻ JEDEN ZGON I ZAŁOŻONE WKŁUCIE CENTRALNE.

JESZCZE JEDEN ZABIEG - CZEKAMY AŻ WYTRZEŻWIEJE NIEMIECKI TÓREMU WPADŁA PINA Z KADŁO DRÓG OD DECHOWYCH.

CIEKAWY JAK?

Anka.

MOŻE OBGRYZAŁ PLAKATY - zasugerował mój mąż.

58

CZEŚĆ NIE KUPIŁAM MIŚCE WODY BO NIE BYŁO TEJ ZDZIÓBKIEM

Opiekunka.

Ma za zadanie wysłać moją najstarszą natenisa, a Miśka, jak Miśka, wymaganiama.

I nieustąpi.

CHRZAŃ DZIÓBEK ALBO W OGÓLE CHRZAŃ.

NIECH WYSCHNIE Z PRAGNIENIA SKORO TAKA MA DRA - odpisała prosto z sali wykładowej (mam jeden upierdliwy popołudniowy fakultet) kochająca mamusia, czyli ja.

Miśka musi się nauczyć, że cały świat nie może biegać wokół niej.

Sorry.

Z pamiętnika Dominik!

N.

Ósmo

Ten cały Duduś jest taki zabawny.

Zgryźliwy, poza wszystkim.

Ostatnio wzięli z Baronem na tapetę Edytkę - ona wpada tu dość często, chociaż przez dwa minione tygodnie nieco rzadziej, bo poznała niejakiego Kompozytora i Duduś z Baronem nie mogą jej tego wybaczyć.

Nabijają się z niej tak okrutnie, że sama zmiatałabym na jej miejscu gdzie pieprz rośnie.

Unosząc wielbiciela spod ostrzału ich złośliwości, choćby i pod pachą.

Edytka tak właśnie robi, ale czasem nie wytrzymuje i nas odwiedza.

Loża szyderców tylko czyha.

Kompozytor wielkim człowiekiem jest, bez żadnej przesady.

Napisał muzykę do kilku filmówzalegających ostatnio w polskichkinach.

I w ogóle.

Kompozytor przysiadł się do baru, któregoświeczora,i zauważył Edynię.

Edynia, jak Edynia.

Barwnym ptakiem jest.

Obiekt przeniesionyw czasie żywcem z lat siedemdziesiątych, tych wczesnych.

Obcisłe,kolorowe bluzki z głębokimdekoltem, świecidełek więcej niż na bożonarodzeniowej choince i powiewajęcspódnice odsłaniająceznienacka to i owo.

Zwłaszcza, gdy Edytka złapie wenę i tańczy na stole.

Od bardzo wczesnej młodości pracuje w bardzo znanej firmiereklamowej, miewa bardzo błyskotliwe pomysły i na brak gotówkiraczej nie narzeka.

Inwestuje we własny wygląd i kolekcjonuje

59.

mocne wrażenia w różnych zakątkach globu, jeśli tylko ukochana firma wypuści ją z pazurów i pozwoli wziąć urlop.

Resztkę czasu wykorzystuje na imprezowanie.

Edytka żyje intensywnie i dość hałaśliwie.

Kompozytor przyszedł któregoś wieczora wraz z psem, zamówił dwa piwa - dla siebie małe, dla psa duże, bosam w planie miał ważne spotkanie.

A pies był owczarkiem i dorównywał mumasą, a na spotkaniu nie musiała się udzielać i ośniewać błyskotliwością.

Nalałamsu piwo do miednicy.

Wypił, westchnął i położył się kacie koło baru.

Kompozytor obrzucił Edynię długim, powłóczyłym spojrzeniem i zaczął niezobowiązującą dowcipną konwersację.

Edytka poprawiła spódnicę, niechcący odsłaniając długą, smukłą nogę ozdobioną bransoletką.

Pan westchnął, zupełnie jak jego podopieczny

Rozmawiali i rozmawiali.

Duduś strzygł uszami.

Pies również.

Po tygodniu codziennych, powiedzmy - że przypadkowych spotkań w "Banasiu", Edytka i kompozytor znikli z horyzontu, przenosząc znajomość w inne rejony Kazimierza oraz w ogóle na wyższy poziom.

Jak właśnie się okazało.

- Jacek zaprosił mnie do domu - relacjonowała przejęta, rozmarzonym i rozwlekłym tonem.

Duduś przewrócił oczami na zapas.

Ja mu poprzewracam, żonę i drugie dziecko w drodze.

- Uaaa!

- powiedział Baron Dudkowi nazłość.

- No i co?

- Piękny ma dom, a właściwie mieszkanie na strychu, takie w poziomie.

Obrazyna ścianach, wszędzie pełno kwiatów, oczywiście fortepian.

Kolację zrobił i butelkę wina.

- A to zdolniacha!

- Baron pokiwał głową.

- Ja bymnie umiał na poczekaniu wykonać butelki i to wina.

- Debil - skomentowała krótko Edytka.

- Butelkę wina otworzył, przepyszne, francuskie.

A potem usiadł do fortepianu i grał moich ustach.

- Co grał?

- zdumiał się Duduś i zarechotał.

- Powtórz, bo niedosłyszałem?

- Nie śmiej się, to było piękne.

- Edytka przeciągnęła się, rozmarzona, a niezliczone wisiorki zabrzęczały na jej dekolcie.

- Usiadł do fortepianu, zaczął grać i powiedział, że gdy patrzy na moje usta,

60

czuje potrzebę stworzenia czegoś naprawdę doskonałego, tak jak one.

I wie, że to niemożliwe, ale mimo to próbuje.

Igrał.

Cudownie grał.

Duduś złapał się za głowę.

- Jezu, takiej ścierny to w życiu nie słyszałem!

- jęknął.

- Że też laskina takiego gadzety leca.

Żenada!

- Wcale nie!

- oburzyła się Edynia.

-Zazdrościsz mu, bo potrafi stworzyć coś naprawdę niezwykłego, a wy.

- zaczerpnęła tchu -a wy.

awy nie potraficie!

Tępy krawężnik i specjalista od literatury rynsztokowej!

- dołożyła z furją.

- Heę, heę - zarechotał Baron.

- Fakt, nie potrafię zagrać ody doust twoich, ale inne rzeczy potrafię, i to całkiem nieźle -
zareklamował się.

-Duduś zapewne też.

- Tak?

- zdziwiła się Edynia, podnosząc rękę dotykając ukradkiem warg, na co Dudekzarechotał obleśnie.

-Na przykład?

- Naprzykład wiem, że usta to nie Wielka Brama Kijowska i służą do zupełnie innych celów.

- Baron, miłośnik Musorgskiego, pochwalił się dyskretnie, że on też nie wypadł srocespod ogona.

Jednak go ubódł ten tępy krawężnik.

- A onco?

Tylko tak grał i grał?

- Nie tylko, jeśli koniecznie musisz wiedzieć- fuknęła Edytka, rozzłoszczona.

- Ech, wam to coś powiedzieć.

Beznadziejni jesteście!

- Gość ma pewnie ze trzy takie melodyjki, przygotowane oddawna - zachichotał Duduś.

- O ustach, o rzęsach.

może jeszcze o łkciach albo lewej pięcie?

I gra je kolejnym laskom na zmianę.

Jak widzimy, działa.

Edytka z hukiem odstawiładrinka i wymaszerowała do sali barowej.

- Aleś jej pojechał.

- Baron pokiwał głową i przybił Dudusiowi piątkę.

-Przez tydzień się nie odezwie.

- Nie wytrzyma - zlekceważył Duduś.

- Zagra jej jeszcze takijeden z drugim o dziurkach w nosie albo w dwunastnicy i przylecisie
pochwalić.

Ja ją znam.

- Byli tu tacy, co śpiewali o dwunastnicy - przypomniał sobie Baron.

- Na Death MetalParty.

Ale to nie była romantyczna muzyka.

- Noi co z tego.

- Duduś też był przelotem na pamiętnym koncercie.

-I tak laski na nich wisiały jak płaszcze na wieszaku.

Ty, może założymy zespół?

61.

- Tak.

Ja będę grał na fujarce, a ty na grzebieniu.

I nazwiemy się", Nieustraszeni Ściemniacze.

W repertuarze będziemy mieli pieśni fo dowolnie wybranej części ciała, zamówienia można składać w In-ternecie z tygodniowym wyprzedzeniem.

- Po co aż tygodniowym?

Wystarczy improwizacja.

- Nie wystarczy.

- Baron pokręcił głową.

- Bo my jesteśmy profesjonalści.

Dziewiąty

Pogadałam sobie tak od serca z właścicielką, Magdą.

Rzadko tubywa, jestw siódmym miesiącu, nie miałam okazji poznać jej bliżej.

Teraz spędziłyśmy ze sobą blisko cztery godziny.

Pomagałam jej robić różne rozliczenia.

Powiedziała, że bardzo ceni moją pracę, porządek, jaki dzięki mojej skromnej osobie wreszcie zapanował w firmie - co oni wszyscy z tym porządkiem?

Całe życie myślałam, porównując się z moją matką, że jestem leniuchem, który wprowadza wokół siebie minimum ładu, niezbędne dodawszej bezproblemowej egzystencji, a teraz okazuje się, że to minimum jest dla większości poziomem zorganizowania, którego sami nie mogą osiągnąć.

Dlaczego?

Wyznała też, że zasadniczo nigdy nie lubiła zatrudniać kobiet, ponieważ zaraz zaczynasie wokół nich napięcie - jakieś drobne niesnaski z otoczeniem, flirty z klientami i resztą personelu, zawiść.

Twierdzi, że pod tym względem zaskoczyłam ją in plus.

Nic z tych rzeczy

Opowiedziałam jej co nieco o moim życiu.

Wytrzeszczyła oczyma wieść, że mam dziecko i to jeszcze malutkie.

To znaczy, Edyta jej mówiła, rekomendując mniedo pracy w lokalu, ale do tego stopnia nie wpływa to na moją pracę, że udało jej się o tym całkowicie zapomnieć.

Pytała, jak to robie.

Nie wiem.

Zastanowiłam się nad tym głośno.

Po pierwsze, mam mamę, która matkuje małemu pod moją nieobecność.

I w mojej obecności zazwyczaj też.

Po drugie, jak przychodzę do pracy, problemy domowe dla mnie nie istnieją.

Przez kilka godzin nawet niemyślę o młodym, jestem po prostu barmanką.

Jak idę na zajęcia, jestem studentką, niemyślę ani o pracy, ani o Marcelku.

Jak jestem w domu.

jak jestem w domu, to akurat głównie śpię.

Albo sprzątam.

Albo wycząjnie

62

^

odpoczywam.

Czasem baraszkuje z młodym, powyglupiam się chwile, pobawię, nic więcej.

Nie wiem, czy mogę być z tego dumna.

Raczej nie.

Boże miłosierny, powoli względem młodego zamieniam się w Krystianka.

Fajna zabawa, dwadzieścia minut dziennie, później buzi-buzii nic więcej mnie nie obchodzi.

Nagle się rozryczałam.

Aż mi się głupio zrobiło.

A Magdzie- nie.

- Hej, stara!

- powiedziała ciepło, wręczając mi chusteczkę.

-Wierz mi albo nie, ale doskonale wiem, jak to jest.

Sześć lattemuzhakiem wróciłam ze Stanówpozałatwiać na studiach różne sprawy (wcześniej wzięłam dziekanę).

W Stanach miałam faceta, Polaka z pochodzenia, na pierwszy rzut oka bardzo ciekawy, rozrywkowykoleś.

Dobrze nam było razem.

Miałampobyć tu trzymiesiące, a potem znowu wybrać się za ocean, z dyplomem w garści.

Zaraz po powrocie do Polski wyszły na jaw dwie rzeczy -popierwsze, że z moimi studiami wcale nie jest tak różowo, zmienił siędziekan, a nowy nie pozwolił mi tak po prostu się reaktywowaći pozdawać egzaminów po kilkumiesięcznej przerwie.

Musiałampowtarzaćostatni rok.

Na szczęście to był mój drugi fakultet i nietaka gardłowa sprawa, mogłam już pracować.

Podrugie, okazałosię żejestemw ciąży.

Powiedziałam to temumojemu przez telefon,a on mina to, w dużym skrócie, że jego ojciec jest sędzią federalnym i on się tak łatwo na dziecko złapać nie da.

Ryczałam przez tydzień, a później - cóż, później po prostu wzięłam się do roboty.

Teżbyło ciężko.

Mieszkałam początkowo wakademiku,potem dostałam mieszkaniepo babci.

Pomagały mi tabuny bliższych i dalszychkoleżanek, ale to na nic, pracapochłaniała mniebez reszty - wiedziałam,żejestem samai muszę jakoś utrzymać nas dwie.

Na psychologii przeniosłam sięna zaoczne.

Musiałam w końcu ściągnąćwłasną matkę, a wierz mi, moja matka i ja w jednym małymmieszkanii to mieszanka wybuchowa z samej definicji.

Przeżyłam takdwalata.

Skończyłam studia, możesz się śmiać, alenawet z wyróżnieniem,a uścisk dłonidziekana (tego buca, przez którego trwałoto półtora roku dłużej, niż planowałam) miałdlamnie naprawdęduże znaczenie.

Dałam sobie radę ito nieźle.

Później poznałamniejakiego Marka, a praca zaczęła przynosić dochody wystarczajęcenaopiekunkę. Delikatnie pogoniłam mamuszkę precz.

Rok późniejAgatka, moja córka, poszła do przedszkola i problem się skończył

- ustawiłam sobie robotę tak, żeby mogła się nią opiekować popraczy.
W najgorszym wypadku - pracowałam wtedy w firmie farmaceutycznej - zabierałam ją ze sobą na objazdy po szpitalach, ja grzebałam w dokumentacji, a młoda czarowała kolejnych portierów.
Mój związek z Markiem po dwóch latach zżakiem skończył się dość nagle i sama do końca nie wiem, czemu.
Poznałam Kazika.
Tatusia tego tam.
- Poklepała się po okrągłym brzuchu.
- Ustawiłam sobie wszystko w ten sposób, żeby nigdy i od nikogonie być przesadnie zależną.
Z tego też jestem dumna.
Ichciaż za kilka tygodni wybieram się za mąż, wiem, że dalej tak jest.
Decyduję sobie sama.
Dzieci też są moje.
Teraz.
Ale by taki czas, kiedy moja Agatka, rąbnawszy się w kolanko, wymijała mnie szerokim łukiem pędziła wprost w ramiona babci.
Teraz już nawet tego nie pamięta.
- Popatrzyła na mnie uważnie i podała mi następną chusteczkę.
- Nie bój się, zaciśnij zęby i zrób swoje.
Reszta przyjdzie z czasem.
Aha i wiesz, co?
Nigdy tak naprawdę lubiłam swojej mamy. Ale polubiłam ją, w ostatnich latach, niepostrzeżenie.
Dobrze z tym, a młoda ma babcię, którą może kochać do woli i nie ma już tym rywalizacji.
Kiedyś była, o, tak.
Ale się skończyła.
Wysłuchałam przemowy, co rusz pociągając nosem.
Pokiwałam głową.
Magda zrobiła mi drinka na uspokojenie.
- Super baba z ciebie - powiedziała.
- Widzę to.
Dasz radę.
Może.
A może nie?
Mam ochotę kopnąć młodego w kolanko i przekonać się, do kogo poleci.
Dwunasty
Po jakimś czasie w dobie komputerów rysunek na zaliczenie mamy wykreślić odręcznie?
Cały mój pokój tonie w papierach.
Matka wyciągnęła z piwnicy monstrualną stolnicę, robi zadeskę kreślarską.
Stolnica, nie matka.
Klnę jak szewc.
Już wołałam rybki znikające z ekranu.
Młody dorwał się do butelki z tuszem i dosłownie zrobił się naszaro.
Matka pucuje go moim peelingiem do twarzy.
Narzeka, że nie schodzi.
A ojciec znowu trzepie dywany Sztukosiem.
Trochę nadużyłam wina wczoraj, korzystając z tego, że mamuśka przestała mnie już
64
obwąchiwać po powrocie z baru, i głowa mi pęka.
Zaraz zacznę krzyczeć.
Pozwoliłam sobie na małą imprezę po pracy.
Siedzieliśmy jeszcze godzinę po wyjściu ostatnich klientów, ja, Mietek i Paweł.

Paweł niby niechcący oparł rękę tuż obok mojej.

Jego dotyk parzył.

Wytrzymałam pięć minut i wyszłam do toalety.

W lustrze ujrzałam własną zaróżowioną twarz i podejrzenie błyszczące oczy.

Odetchnęłam głęboko kilka razy

Jak wróciłam, chłopcy dyskutowali zawzięcie o jednym z klientów i jego żonie.

Paweł rozsiadł się wygodniej, oparty o moją ramę, idotykając moich włosów, demonstrował

Mietkowi, jak powinna się czesać owa pani, żeby nie wyglądać jak stara prukwa.

Tak im jakoś wynikło z dyskusji, a ja przez pięć minut nie mogłam zapalić papierosa, ponieważ wyraźnie drżały mi dłonie.

Beata ma rację.

Chłopa mi trzeba, najlepiej głupiego i najednanoc.

Może mi przejdzie dziwne napięcie.

Dokładnie tak.

Nie chcę żadnego związku.

Chcę chłopa.

Chwilowego jurnego chłopa, który nie zagnieździ się w moim życiu i nie będzie mi na starość walił dywanami po uszach.

Piętnasty

Zimno jak cholera, a jeszcze nie tak dawno temu było lato.

Wyciągnęłam z piwnicy moje stare kozaki.

Coś je pogryzło, widać jak nadłoni, ale oburzona mama twierdzi, że w jej domona pewno niegnieźdzą się żadne gryzonie.

Sama też się wypiera.

Wychodzi na to, że z bliżej niezbadanych przyczyn moje obuwie pogryzał ojciec.

W ramach relaksu.

Marcel już nie tyle chodzi, ile biega.

Galopem.

Moja matka zanim.

Nauczył się również pluć na odległość, najlepiej wychodzi mu plucie szpinakiem.

Zasięgma do trzech metrów.

Rozbryzgrównie imponujący.

Okutałam go szczelnie w kurtki i szaliki i poszliśmy na spacer.

W ramach spaceru odwiedziłam Edytkę i mojego kota, Tobołka, którego wywiozłam z Gdańska Krystianowi na złość.

Bez sensu, bo moja matka nie toleruje żadnych zwierząt, po których zostają łaki na świętej podłodze.

Musiałam go wcisnąć Edytce, zgodziła

65.

się bez większego entuzjazmu, a teraz świata za sobą nie widzą.

Utył wszerek ze dwa razy, zupełnie jak Marcelek.

Chyba byłam złą matką i w dodatku złą panią dla kota.

Edytka po pierwszych zachwytach na temat Kompozytora odygodnia zrobiła się trochę bardziej powściągliwa.

Coś przebąkuje jakimś Kudłatym.

Nie znam gościa, podobno jest właścicielem pobliskiej knajpy i całe lata pracował jako ochroniarz.

Jest bogaty i ma niezłą muskulaturę.

Zapytałam, czy faktycznie jest taki kudłaty, i dowiedziałam się, że wręcz przeciwnie, łysy jak kolano.

Ale łysy w sposób atrakcyjny.

Ciekawe.

Jutro idę do pracy.

Za barem, oprócz mnie, Pawełek.

Nie wiem, co będzie dalej, i boję się snów.

Dziewiętnasty

On jest taki dziwny, ten Paweł.

Nie wiem, o co chodzi.

Raz wyczuwam z jego strony niemal widoczny płomień, innym razem zachowuje się zupełnie jak kolega i opowiada mi o jakichś świeżo zapoznanych dupciach (jego określenie).

Zaczyna mnie to denerwować.

W ramach rekompensaty o mały włos, a przespałabym się z Baronem.

Oprzytomniałam w ostatniej niemal chwili.

Nie to, żeby Baronowi czegoś brakowało.

Jest uroczy był pierwszym samcem, na którego zwróciłam uwagę w tym lokalu.

Lubię słuchać jego zwariowanych historii, i tego, jak kłóci się z Dudkiem na tematy polityczne.

Przepraszam, dyskutuje.

Obaj mają język cięty jak żyłeta.

Jest też miły, jeżeli chce.

Potrafisz słuchać.

Tyle że rzadko to robi.

Przeważnie sam nawija.

Ale teraz akurat słuchał mnie uważnie, zyczliwie i nawiązała się między nami prawdziwa nieporozumienia.

Aż przesadnie.

Trochę wina, szum w głowie, jakieś pogadanki o życiu-nieżyciu znalazłam się nagle na zapleczu, w jego ramionach.

Otrząsnęłam się zaraz po pierwszym pocałunku, co może nie wypadło zbyt przyjemnie, tym bardziej że pocałunek był niczego sobie.

Ale nie.

Nie w tym gronie i jeszcze nie teraz.

Za bardzo go lubię, zbyt go cenię, żeby miał być facetem na jedną noc.

Ana dłuższy związek nie jestem gotowa, i na pewno nie z nim.

66

Nie wiem, skąd ta świadomość, ale wiem, że jest prawdziwa.

Nie było iskierek.

Uświadomiłam sobie, że powoli, niepostrzeżenie, moje ciało i serce otwierają się i zaczynam czekać.

Może nie być trwałości, perspektyw, może nawet nie być zrozumienia - ale iskiereki muszą być.

Na styku naszych dłoni, moich i Krystiana, było napięcie i było światło, do samego końca.

Jak on mógł mnie tak zawieść, jak mógł zawieść w ten sposób też inne kobiety, jakim cudem

to, co wyjątkowe, zdarzyło mu się kilka razy, i to jednocześnie?

Niewiem.

W głowie mam pustkę, szum i chaos, i jest mi smutno.

Baron popatrzył na mnie zaraz po tym, jak go odepchnęłam, w jego spojrzeniu pojawił się żal, ale godzinę później przysiadł się do mnie i objął mnie zwyczajnie, jak przyjaciel.

Za dużo wódki.

Zcałą pewnością, ponieważ opowiedziałam mu to i owo.

Od razu włączyła mu się żyłka zawodowa.

- Nie możesz tego tak zostawić, przecież ten cały Krystian cię szukał i to obrzydliwie!

- oburzył się.

- Dlaczego go spłacałaś grzecznie wszystkim długiem, które nie były twoje?

A dziecko?

Czy próbowałaś.

no, czy on jakkolwiek podjął odpowiedzialność za jego utrzymanie?

Jakieś alimenty, cokolwiek?

Wydawałaś naprawdę wstrząśniętą.

- Formalnie były moje, te długie - wymruczałam prosto w jego rękaw.

- Zostaw, to już przeszłość.

- Głos mi się załamał, ale troszkę.

- Nie chcę od niego nic.

Amłody.

wiesz, nie byliśmy oficjalną parą.

Nazywało się to, że nie zależy nam na papierkach i faktycznie, w tamtym okresie mi nie zależało.

Dziecko w całości zapisałam na siebie, on tak zaproponował, wytłumaczył to jakoś, już nawet nie pamiętam jak.

Obraziłam się wtedy z lekka, to pamiętam, i uniosłam honorem.

Więc ojciec Marcelka jest N.

N. Tak jest lepiej, naprawdę - powiedziałam stanowczo, bo Baron popatrzył na mnie z oburzeniem.

- Dopóki znami mieszkał, to nas utrzymywał i nie skarżył się.

A teraz.

poradzę sobie.

Nie potrzebuję jego forsy, wątpliwego zresztą pochodzenia.

I tyle.

- To nie są pieniądze dla ciebie, tylko dla młodego - odparł Ba67.

roń, nerwowo pstrykając swoją policyjną zapalniczką.

- Nie możesz myśleć w ten sposób!

Tłumaczył mi jak krowie namiedzy przez dłuższą chwilę.

Ale ja jestem potwornie uparta.

- Nigdy w życiu nie pozwolę, żeby Krystian miał do Marcelki jakieś prawa - powiedziałam po prostu.

- Nie ufam mu.

Nie wiem, co z tego mogłoby wyniknąć, ale na pewno nic dobrego.

- Twarda z ciebie baba - uznał Baron po namyśle.

- Podobasz mi się.

Toteż już było stwierdzenie przyjaciela, nie potencjalnego gacha i oboje rozumieliśmy to dobrze.

Przytuliłam się do niego mocno, z zaufaniem.

Jedna relacja ustawiona po mojej myśli.

A Paweł mnie denerwuje, nawet w snach.

Szczególnie - chwilę po przebudzeniu.

I na jawie.

Dwudziesty drugi

Wreszcie poznałam mityczną Martusię!

I to wcale nie w "Banasiu", tylko w okolicznym sklepiku, przy placu, dokąd poszłam z Marcelkiem po niezbędne zakupy.

Pożyczyła mi forszę, dwadzieścia pięć złotych, bo jakimś cudem miałam przy sobie tylko grosze.

Coś mizeżarło kapitał, nie przyznałam się do tego, ale sama w sobie kwestia jest niepokojąca.

Przysięgłabym, i to na wszystkie świętości, że wczoraj wieczorem pobrałam z baru stówkę, w ramach zaliczki.

W sklepiku, już po złożeniu zamówienia, okazało się, że wielkie gówno.

Ani śladu stówki, w portfelu sam drobiazg, nie starczyłoby na połowę.

Marta okazała się moją sąsiadką.

Nie zdziwiłam się zbytnio, wiedziałam, że skądś znam tę twarz.

Ponieważ w domu bywam raczej w nocy, nie znam własnych sąsiadów, od tego jest mama.

Alena w tonie niekojarzy elementu napływowego, a Marta należy do takowego.

Wprowadziła się do niebieskiego domu, niedaleko mojego, jakieś dwa lata temu.

Zbudowali go z mężem od podstaw, działkę dostali od teściów, wcześniej przez całe lata w tym miejscu ziała dziura porośnięta bujnymi chwastami.

Pamiętam tę parcelę.

Chodziłam tam w podstawówce zakopywać skarby.

68

Marta, podobnie jak ja, nie uznaje wózków.

Mamy też identyczne rękawiczki.

Ciekawe, czy to coś znaczy.

Zaprosiła mnie na kawę dziś wieczorem.

Wydaje się spragniona towarzystwa, z dwójką dzieci i trzecim w drodze - trudno się dziwić.

Rzadko bywam "Banasiu", choć dawniej musiałabywać tam co dnia, bo wszyscy ją znają i obgadują obficie.

Marta za to opisuje ich w swoich książkach.

Pójdę na kawę, czemunie, ale chyba muszę uważać, co mówię, żeby nie zostać przekształconą w tworzywo literackie.

Marta Osiem minut dłużej

Wreszcie poznałam nieco mityczną już dla mnie barmankę Dominikę.

Magda cały czas się nią zachwyca - nie poznaję jej, dawniej wieszkała psyna wszelkich babach, ale

może faktycznie Domiśka jest wyjątkowa.

Nie miałam okazji sprawdzić, prawienie bywałam "Banasiu" ostatnimi czasy.

A Dominikę poznałam wcale nie w lokalu, tylko kilkaset metrów od własnego domu.

Wyszłam na plac targowy po warzywa dla dzieci oraz kobiet w ciąży.

Z racji pory dnia - okolice czternastej - tłum był dziki i tłuszcza mieściła się w budkach targowych nawcisk.

Wypięłam doprzodu wystający nieznacznie brzuch i wśliznęłam się do warzywniaka, ciągnąc za rękę nadąsaną Malwinę.

Też bym nie chciała mieć nosa na tej wysokości, ale trudno.

W śniegu wózek mi grzęźnie, a w tym roku śnieg spadł już w połowie listopada.

Czyli tydzień temu.

Zamiast ciągnąć za sobą wózek w tym śniegu, wolę uprawiać piesze powolne wędrówki.

Dziewczyna w żółtej puchówce dopchała się wreszcie do lady.

Wcisnęłam się w kąt za nią, jednym zgrabnym ruchem wymijając dwie posępne babcie w identycznych, przysypanych śniegiem moherowych beretach.

Na moherze śnieg długo się trzyma.

Mniejsza z tym.

Byłam tu wcześniej i tyle.

- ...

Poproszę jeszcze dwa kilo ziemniaków, kilogram cukru

69.

i sześćdziesiąt deko pieczarek.

- Dziewczyna postanowiła chyba wykupić pół sklepika.

Dopiero teraz zauważyłam, że spod jej kurtki, z przodu, wystawał mały łypek w kolorowej czapeczce, bez wąpłienianależący do niewielkiego jeszcze egzemplarza z gatunku homo sapiens sapiens.

Przyjrzałam się bliżej malowniczej parze.

Ale numer, barmanka z "Banasia", pamiętam ją z "Dziadów".

Grała Zosię.

Dziecko spało, zapewne w nosidle, czego na pierwszy rzut okaniebyło widać spod puchówki.

- Coś jeszcze?

- uśmiechnęła się pani Mania, ekspedientka.

- Cztery banany, dużegokubusia, rodzynki, kilogram mandarynek i tragarza - wymieniła jednym tchem dziewczyna.

Poczułam, że naprawdę ją lubię.

Pani Mania zachichotała.

- Niestety, tych ostatnich dzisiaj nie dowieźli - powiedziała przepraszająco.

- Za całą resztę dwadzieścia cztery pięćdziesiąt.

- Kurr.

- jęknęła po chwili mało elegancko młoda matka - zapomniałam pójść do bankomatu, niech to szlag.

Trochę mi brakuje - powiedziała, grzebiąc w portfelu oraz po kieszeniach.

Mohery

fuknęły z dezaprobatą.

Dziewczyna zajrzała bezradnie do siatek z zakupami.

- To może.

- Pożyczę pani - powiedziałam w natchnieniu, całkiem zadowolona z faktu, że mogę poznać bliżej pokrewną, jak przewidywałam, duszę.

- Nie trzeba - powiedziała pani Mania.

- Może być przy okazji, pani z okolicy, prawda?

- Dwie ulice dalej - powiedziała dziewczyna, bardzo czerwona.

- Mieszkam tu od niedawna, to znaczy.

od dawna, ale ostatnio byłam za granicą.

Bardzo przepraszam.

- Nie ma za co - zachichotała pani Mania.

- Każdy jeździ, jak go stać.

- Za kasę przepraszam.

- uśmiechnęła się dziewczyna.

- Muszę pani zrobić manko, no chyba, że.

- Popatrzyła nieśmiało w moją stronę.

- Pożyczę - powtórzyłam.

- Też jestem z okolicy.

I jeszcze.

może później pogadamy.

No i pożyczyłam.

Bankomat znajdował się niedaleko i nowa znajoma była u mnie na liście dłużników może przez osiem minut.

Szłyśmy zresztą tym samym kierunkiem.

70

- Wielkie dzięki - powiedziała dziewczyna, oddając mi kasę.

- Słabo mi się zrobiło na myśl o lataniu tam i z powrotem, dziś mam już w nogach milion kilometrów, a młody takim znowu piórkiem jest.

Nienawidzę wózków -zakończyła nieoczekiwanie.

- Też nienawidzę -powiedziałami pomyślałam, że znajomośćzapowiada sięcoraz ciekawiej.

Tym bardziej żeod bankomatu wciąż szłyśmy wtę samą stronę.

- Wózki zimązakopują się w śniegu, poza tym dochodzi problem z parkowaniem przed sklepami oraz w tramwajach inigdy nie wiadomo,co robić.

Wyjąć śpiączdziecko czy zostawić na minutę.

- ...

Na pastwę porywaczy i społeczeństwa w beretach, litującego się nad porzuconą sierotką -dokończyła dziewczyna.

-No, mytu mieszkamy.

- A my tam- roześmiałam się, pokazując na mój dom, dokładniepodrugiej stronie ulicy.

- Niewiedziałam, że mamy nowych sąsiadów!

- Starych też macie.

Wróciłamdo rodzinnego gniazda pół roku temu iniemal od razu znowu wyjechałam.

Mieszkam tu od września i wyglądana to, żena dłużej, niechto szlag.

U moich rodziców

- odpowiedziała dziewczyna, grzebiącw kieszeniach kurtki, zapewne w poszukiwaniu kluczy.

Z lewej kieszeni wypadł jej telefon.

- Cholera!

- zaklęła i podtrzymując młodego, żeby nie wypadłgóram, bez namysłu schyliła się po komórkę.

- Pomogę ci!

- zawołałam w tym samym momencie, pochylając się.

I tym sposobemstrzeliłyśmy sobie nawzajem klasycznego baranka, aż mi w oczach pociemniało. Orazprzeszłyśmy na "ty".

Popatrzyłyśmy nasiebie, masując się po czołach, każdapo swoim.

Dziecko spało.

Malwinka podniosła na nas z dołu błękitneoczęta i zaśmiała się krótko.

- Balan buc!

- podsumowała zdarzenie.

- Dominika.

- Dziewczyna zaśmiała sięrówniezi wyciągnęła rękę.

- Marta - wymieniliśmyścisk dłoniw identycznych, jak dopiero teraz zauważyłam,

polarowych rękawicach.

-Pracujesz w "Banasiu" - raczej stwierdziłam, niżzapytałam.

- A ty piszesz książki, w których obrabiasz tylek moim współpracownikom i znajomym.

Oddawna chciałam cię poznać, alejakoś nie było okazji- zaśmiała się Dominika.

- Możliwe - przyznałam.

- Ale zwykle autoryzuję przed opublikowaniem.

Zapraszam nakawę, jak już wykonasz dostawę towaru

71.

i inne przyziemne czynności.

Przyjdź z dzieckiem.

Moje potomstwo się ucieszy.

- Przyjdę z przyjemnością- ucieszyła się.

- Dziewczynki fajne są.

- Fajne - potwierdziłam.

- Ale tym razem chyba będzie chłopczyk.

- Poklepałam się po brzuchu, niezbyt widocznym spod puchówki.

-Trzecie?

- Dziewczyna uśmiechnęła się i pokręciła głową.

-Coś słyszałam.

No, nieźle.

Już się przyzwyczaiłam.

Wszyscy kręcą głową.

- Dzięki za zaproszenie.

Jeśli można, wpadnę po piątej.

- Wpadaj.

Ja siedzę plackiem - zapewniłam, grzebiąc dla odmiany po własnych kieszeniach.

- A ja poślądkiem - powiedziała Dominika, zanim zamknęła drzwi.

WYBRYKI DOMINIKI

- Ja cię błagam i zaklinam na wszystkie świętości, zatrudnijmy ją na czas nieokreślony - powiedział Mietek do Magdy błagalnym tonem.

Dominika pracowała w "Banasiu" od dwóch miesięcy. Jeszcze nie minął jej okres próbny.

- Zrobię, co chcesz, dziecko z ciebie urodzę, położę płytki wkorytarzu, wyczyszczę wszystkie lodówki na zapleczu szczoteczką do zębów albo napiszę sonet natwoją cześć, ale zrób to! Jak najszybciej!

- Dlaczego szczoteczką?

- zapytała rozśmieszona Magda.

- Żeby byłodokładniej.

- Mietek machnął ręką.

-To co, zgadzasz się?

Zrób to, zanim urodzisz.

- Urodzićmogę w każdej chwili.

- Magda obciągnęła wdółsweterek, który przedciąga wisiał na niej jak na wieszaku, a obecnie był bardzo, ale to bardzo obcisły - Termin co prawda odległy, dwa miesiące, ale wczoraj miałam jakieś dziwne skurcze.

- To wsiadaj w taryfę i wóń do domu.

- Anka pogroziła jej palcem.

-Ostatni poród odbierałam na stażu i to wcale niesama.

- On mi tu jeszcze jakąś papierkową robotę proponuje.

- Magda popatrzyła na Mietka uważnie.

-Dostałhopła na punkcie tejnowej barmanki.

Sama nie wiem.

- Wielka mi robota, jedna malutka umowa!

- Mietek już grzebałpo teczkach, szukając odpowiedniego formularza.

-Ja cię proszę.

- Nie rozumiem, co cię opętało.

Mięciu.

- Magda wzięła do ręki

kidługopis i namalowała kwiatusek wprost na blacie.

W ciąży zrobiła się wyjątkowo roztargniona, zupełnie jak ja.

Tyle że u mnieta stan nie zależy od ciąży do ciąży się nie ogranicza.

- Dlaczego nie możemy jej zatrudnić normalnie, po okresie próbnym, a potem zrobisz sobie, co zechcesz, przecież przepiszę na ciebie całą knajpę, jak się umawialiśmy?

Będziesz mógł zwać i zatrudniać, kogo chcesz, i na taki okres, najaki ci się żywnie podoba.

Kazik wrócił z Australii i zastrzelił Magdę niemal w progu pomysłem na emigrację.

Wozila się z tym tydzień, zwołała babską konferencję naszczycie, zasięgnęła porady i udzieliła wstępnej, ostrożnej zgody.

"Banasia" postanowili oboje zostawić Mietkowi.

Zawezwano księgowego i różne papierki poszły w ruch.

Mieteko mało nie dostał zawału, gdy usłyszał nowinę.

- Sęk w tym, że nie do końca - powiedział teraz ponuro po dłuższej chwili i westchnął.

- No dobrze, powiem ci, tylko się nie śmieję.

Magda z Anką uśmiechnęły się szeroko, na zapas.

- Kinga ci zabroniła zatrudniać baby!

- domyśliła się Anka, zanim zdecydował się otworzyć usta.

- A ty jej obiecałeś!

Mietek spojrzał na Ankę spode łba.

- Przed tą wiedźmą to nic się nie ukryje - mruknął.

- Dlaczego nie zostałeś psychiatrą, tylko anestezjologiem?

- Bo faceci psychiatrzy to dupy wołowe, a faceci chirurdzy mają fajne mięśnie.

- Anka przewróciła oczami.

- Ja i psychiatria, zwariowałeś?

Każdej znerwicowanej babie kazałabym się przelecieć trzy razy dookoła Szerokiej i łbem o synagogę, jak mawia Doktor Beata.

Postać książki, którą smaruje po godzinach Zaprzyjaźniony Barman - dodała, bo Mietek spojrzał na nią jakoś dziwnie.

- Mam rację?

- nie dała się zbić z tematu.

- Kingusia ci zabroniła?

- Pod tym warunkiem przejmujemy knajpę.

- Mietek pokiwał głową z rezygnacją.

- Nie będę zatrudniał żadnych młodych dup.

Tylko faceci i ewentualnie kelnerki w sezonie ogródkowym, te, które ona zaakceptuje.

Żona, która sama była barmanką, to kompletnie przerąbana sprawa.

Wie o wszystkich przekrętach, nawet o tych, o których człowiek jeszcze nie zdąży pomarzyć - westchnął chyba po raz czterdziesty tego wieczora.

- Dominika nie jest znowu taka młoda - zauważyła Anka.

- Ale za to fajna - odpowiedział Mietek.

- Ma tu i ówdzie, w głowie też ma.

Zrobił tu w.

tydzień taki porządek, jakiego daw73.

no nie było.

Pamięta, o wszystkim.

Klienci ciągną do niej jak muchy do miodu.

Tyle zewłaśnie.

za ładna.

Nie będę ryzykował.

A jakby Magda ją zatrudniła, i tożuzod razu, to przecież ja jej nanowo zatrudniał nie będę, ja jej jedynie nie zwolnię, z przyczyn szlachetnych i humanitarnych, jak na przykład posiadanie przez pracownicę małego dziecka.

Taka polityka prorodzinna małych firm.

I Kinga nie będzie się mogła przyczepić.

Madziu- Mietek przechylił się przez bar i położył umowęMagdziena kolanach - błagam.

- Ona jest naprawdę taka świetna?

- spytałaMagda z powątpiewaniem.

-Lubię ją, doceniam jej pracę, do tej pory nie miałam zastrzeżeń,ale sam rozumiesz.

Baba.

Zamieszania wam w mózgach nie narobi?

- Naprawdę świetnai nie narobi.

Dopilnujesprawy osobiściejak pies ogrodnika.

Chłopaków będę trzymał krótko, a mnie przecieżtrzymaj krótko żona.

Spoko leszcza.

- No, dobrze - zgodziła się Magda i podpisała co trzeba.

- Niepodobam się to coś wtwoichoczach - powiedziała do Mięcia.

- To coś w moich oczach również będę trzymał krótko - obiecał.

Nie minęły dwa dni, a Dominika zapowiedziała się do mnie napopołudniową kawę, jakoś tak nagle iniespodziewanie - zazwyczajwpadała na chwilę raczejwieczorem, kiedy uspiła młodego, a miałaakurat wolny dzień.

Odrazu wiedziałam, że są jakieś wiadomości,które nie mogą poczekać dowieczora, leżą jej na języku i swędzą.

Przyszła, rzuciła Marcellem o kanapę, gdyż zdążył zasnąć podrodze,i zrobiła kawę, sobie imnie, niejako przy okazji.

Goście wmoim domu szybko uczą się samodzielności.

Niech zgadnę, czemu?

Po czym sprzedała mi prawdziwąbombę.

- Umówiłam się z Pawełkiem - powiedziała konfidencjonalnie.

-Na co?

- spytałam, głupio, jak sięokazało, alebyłam przekonana, że chodziło o sprawy raczej zawodowe.

- A to się jeszcze okaże.

- zachichotała Dominika, rozsiadając się na kanapie.

Poderwała się zresztą zaraz i sięgnęła po cukier,a na zagrychę wyjęła rodzynki z jednej z moich szafek.

Ciekawe, że

ja takie rzeczy w moimdomu znajduję za piątym podejściem,a ona od razuwie, gdzie są.

Doszło do tego,żejuż dwukrotnie dzwoniłam do niej z pytaniem, czyprzypadkiem niewie, w którym miejscu po moim domupłące się smoczek.

I dwukrotnie mi powiedziała, bez sekundynamysłu.

Bywa w moim domu od dziesięciu dni.

74

Wiem już, dlaczego od razu pokochali ją chłopcy z "Banasia".

Dominika,jak każdzodiakalna Panna, porządkuje świat.

- To znaczy - wyjąkałam w końcu - umówiłaś się.

że się umówiłaś?

W Narodowym Teście Inteligencji, do którego zmusił całą pozostającą w zasięgu rodzinę mój teść, osiągnęłam całkiem niezły wynik, czego zupełnie po mnie nie widać.

A szczególnie - nie słyhać.

- Umówiłam się, że się umówiłam - przyświadczyła Domiśka, śmiejąc się.

- Nie mów, że się nie domyśliłaś, że on mi się podoba.

Żółta żaba żarła żur.

Strasznie dużo tych "że", ale jak to żaba, tymrazem kumam, o co chodzi.

To nie tak.

Oдноśnie Dominiki.

cóż, ostatnio zwizytowałam "Banasia", w porze nocnej (Święto Lasu, jako kobieta brzemienna po knajpach się raczej nie szlajam, a lena kilka dni przedostatnim egzaminem, po tym jak nawrzeszczałam na Miskę, że ma głupią minę, a w męża rzuciłam obuwiem sportowym, bo mówił do mnie niewyraźnie i znalazł komputera, co interpretowałam jako brak zaangażowania, tenże mąż zajrzał mi głęboko w oczy, następnie zamówił taryfę, otulił mnie kurteczką, wręczył pieniądze na hulanki i swawole i kazał iść się zabawić NATYCHMIAST) i pierwsze, co ujrzałam - był poniedziałek, ogólnie pustka i degrengolada, impreza wkroczyła już powoli w fazę, w której bawił się głównie personel - to Dominikę, tańczącą na barze.

Wywijiała biodrami tuż przed nosem Pawełka, ale JAK!

Dawnotemu, zaraz po maturze, Domiśka spędziła wakacje w Hiszpanii, gdzie pracowała między innymi jako tancerka.

Doświadczeniem doświadczeniem, ale z kierunku hmm.

tańca, osioł by się domyślił, że coś jest na rzeczy.

Micio też usiadł w niezłym miejscu i poruszał brwiami, ale huraganu tym nie wywołał.

Natomiast nie domyśliłam się zupełnie, że Paweł - a znam Pawełka już ładnych parę lat - odważy się pomyśleć o kobiecie, która ma dziecko.

I to do tego małutkie.

A jak powszechnie wiadomo, do tańca trzeba dwojga.

- Nie wiem, czy facet z miejsca pracy, w dodatku barman, to dobry pomysł - powiedziała powoli, szczerze i sceptycznie.

- Też jestem barman.

- Dominika wzruszyła ramionami.

75.

- Nieprawda - zaprotestowałam.

- Jesteś studentką architektury, nic to, że zaoczna, za barem pracujesz ciężko, z czystej konieczności, ponadto jesteś grzeczną córeczką i kochającą mamusią.

A Paweł to barman, koniec, kropka.

Jest najbardziej barmanowatym barmanem, jakiego znam.

Jegoosobowość tosto procent barmaństwa.

Wiesz, to nietak, że mam coś przeciwko barmanomjako takim, obracam się w tym środowisku dzięki Magdzie i takiejjednej Lilcejuż naprawdę bardzo długo.

Mam wśródnich naprawdę bliskich przyjaciół, większość to bardzo sympatyczni ludzie.

Paweł w sumieteż, tylko że.

On żyjeknajpą i tylko nią, wiesz?

Całyjego świat to knajpa, praca do późna, flaszka po pracy, nadranemkac, drzemka do południa, a potem doknajpy, to znaczy do pracy.

i tak w kółko.

Wwolnejchwili - do knajpy, dla relaksu, posiedzieć zdrugiejstrony baru ipopatrzyć, jak koledzy się uwijają.

- Może żyje tak,bo nie ma niczego innego?

Nikogo, kto mógłby nadaćjego życiu inny sens.

- powiedziała Dominika marzycielskim tonem.

Wzięło ją na dobre.

Oj.

- To nie tylko kwestia pustki, także przyzwyczajenia - kontynuowałam kruczającą siłą rozpędu.

- Do pewnego rodzaju beztroski, dopapierosów - i nie będę ściemniać- przede wszystkim do ogromnychilości alkoholu.

Aprzyzwyczajenie do tego typu rzeczy nieprzechodzi zdnia na dzień, wyłącznie siłą zakochania się.

- Przechodzi, przechodzi - powiedziała Domiśka, rutynowosprawdzając, czy młodemu na

kanapie ucho się nie odgięło.

Marcelma uszy kłapciate, które dość łatwo się zawijają.

A Dominika mana tym tle fioła.

-Mnie tam kiedyś przeszło.

Z dnia nadzień.

- O? - Zastosowałam maksymalną na jaką mnie stać zachętedo dalszych zwierzeń.

- Na długo?

^

- Na jakieś trzy tygodnie - zaśmiała się Dominika.

- Był takijeden, który koniecznie chciał, żebym prowadziła się porządnie.

Dawnotemu, na moim pierwszym roku.

Ale przegiął.

Zrobił mi awanturę, po tym jak poszliśmy do knajpy całą grupą,bo nie było wolnejsali wykładowej.

Asystent zdecydowałsięprzeprowadzić seminarium w najbliższej kawiarni, bardzo sympatycznie było zresztą.

A Józek zrobił mi awanturę na czteryfajerki, boprzedtem wymógłna mnie przyrzeczenie, że do żadnej knajpy nawet się nie zbliżę.

-I przyrzekłaś?

Józkowi?

- zapytałam ze zgrozą.

76

- Przyrzekłam.

-Józkowi?

- Zależało mi -powiedziałaDominika.

W głosie miała zarówno kruchę, jak i rozbawienie.

- Na Józku?

- zapytałam, wciąż ze zgrozą.

-Jak ty w ogóle naliego mówiłaś?

-Józek, a jak?

- ŻadnychJózków - oświadczyłam stanowczo - jak równieżFranciszków, Stanisławów oraz Włodzimierzów- powiedziałami zachichotałam nagle, bomi się przypomniało.

- Moja matkaw młodości powtarzała jeszcze, żeżadnych Wiesławów, bo to najbardziej wiejskie imię, jakie zna.

Twierdziła również, żeżadnych fizyków - miała pewne podstawy, by tak utrzymywać, bo po tym, jaksię niedostała, głównie z powodu braku punktówwza pochodzenierobotniczo-chłopskie, na wymarzoną architekturę, studiowała z nudów przez cały rok fizykę - bo to najbardziej porąbani ludzie, jakich zna.

Oraz nic ponad jej rok urodzenia, wszyscy wcześniejsi tostaruchy, a jej się podobają wyłącznie rówieśnicy.

Dla twojej informacji - mój ojciec był fizykiem, miałna imię Wiesiek i był siedemlatstarszy odmojej matki.

Jest to, poniekąd, bardzo budującyprzykład na siłę miłości, która potrafi wznieść się ponaduprzedzenia.

-Właśnie - Dominikapokiwała głową - wznieś sięponaduprzedzenia i pozwól nam żyć.

- Pozwalam- powiedziałam pochwili.

- Ja nie mam uprzedzeń,ja mam jedynie prognozy.

Nie wiemtylko, co na to Magda.

Z pamiętnika DominikiN.

Dwudziesty ósmy

Tradycja piątkowa nakazuje, abyśmy udały się po zajęciach doknajpy, na kawę.

Znów wyciągnęłamtowarzystwo do "Banasia".

- Tenbarman jest naprawdę niezły - powiedziała po raz setnyAldona, obserwując Pawła - I wiesz, co?

Podobasz mu się.

Wciążna ciebie patrzy.

- Taak?

- zdziwiłam się uprzejmie.

-Jakoś nie mam takiego

wrażenia.

77.

Aldona, lat trzydzieści osiem, matka dwojga dzieci i żona trzeciego męża (jeden zmari, drugi uciekł do Austrii z dziewiętnastolatką), tylko parsknęła znacząco.

Jak na złość, Paweł niewytrzymał i przykręcił się donas po godzinie.

- Zostań dzisiaj, proszę - wyszeptał mi do ucha.

Oblałam się rumieńcem, nieod tego, co powiedział, ale poprostu od jego oddechu.

Od ciepłego tchu na mojej szyi.

Aldona znacząco uniosła brwi.

Paweł zrejterował za bar, czyli na swoje stałe miejsce pracy.

Dobrze, że też tu pracuję.

Nie musiałam się zbyt tłumaczyć, tylko od razu pomknęłam za nim.

Aldona jest mądra i wie wszystko, a reszta taka głupia, że nie dostrzega nic, więc dlaczego miałabym się przejmować?

- Paweł, dzisiaj nie mogę - wyszeptalam.

- Mam wychodne do ósmej, urwałam się z zajęć, apotem wracam do domu, do dziecka.

Przez ułamek sekundy wyglądał, jakby ktoś uderzył w twarz.

Czy to możliwe, że nikt mu niewygadał?

W sumie, trudno się dziwić, sama o to prosiłam.

Ale niewierzyłam, że Mietek i Magda zastosują się do mojej prośby.

A jednak.

Paweł, ze spuszczoną głową, przez chwilę polerował kufelek.

- Mąż czeka?

- spytał ostrożnie.

Dotknęłam jednym palcem jego dłoni i z nienacka spojrzeliśmy sobie w oczy.

Uniósł głowę, a ja tym razem nie miałam zamiaru spuszczać wzroku.

Za dużo było ostatnio napięcia między nami, napięcia, - które było oczekiwaniem, również jego strony, zrozumiałam to teraz, j,

- Nie mam męża - powiedziałam ze ściśniętym sercem, czując że w pewien sposób ważą się nasze losy, i że Paweł czekał na ten moment w równym napięciu jak ja.

Sekunda prawdy, chwila wyjaśnienia.

Możliwe, że ostatnio nawiedzały nas te same sny.

- Mam nadzieję, ono nawet formalnie.

jest tylko moje.

Synek, półtoraroczny.

Z jego ojcem od dawna nie mam kontaktu.

Mieszkam z rodzicami.

Wyrzuciłam to jednym tchem.

Paweł milczał.

Przez chwilę stałam obok, nasłuchując.

Cisza.

Przestał nawet polerować kufel, zapanował bezruch absolutny.

Po kilkudziesięciu sekundach zrobiłam głęboki wdech i wyszłam zza baru.

Możliwe, że zatrzasnęłam bramkę odrobinę zbyt mocno.

Od strony Pawełka nie dobiegał najbliższy dźwięk.

78

Dołączyłam do naszego babskiego stolika.

- Co mu powiedziałaś?

- spytała z miejsca Aldona, wskazując głową na Pawła.

Odważyłam się spojrzeć w jego kierunku.

Siedział nieruchomo, ze spuszczoną głową, przy barze na szczęście - czy też nieszczęście

- nie było nikogo.

Czarna, kręcona grzywa opadła mu na twarzy zasłoniła oczy.

- Prawdę- szepnęłam cicho do Aldony.

Pół godziny później zbierałam się do odlotu, wraz z resztą dziewczyn.

Paweł podszedł do nas i z niespodziewaną dla niego energią odwrócił mnieza łokcie, przodem do siebie.

- Przyjdź jutro- powiedział, zaglądając mi prosto w oczy.

- To znaczy, wiem, że będziesz w pracy, ale postaraj się, proszę, pozostać chwilę później i wygospodarować czas dla mnie.

Proszę - powtórzył, jakoś tak, że znów nagły dreszcz przeleciał mi po plecach.

- Okej - szepnęłam i z najwyższą niechęcią oswobodziłam łokcie, bo dziewczyny zbierały się już do wyjścia.

Strzygły uszami nawszystkie możliwe strony.

- Mówiłam?

Mówiłam.

- Aldona zademonstrowała pijacką czkawkę.

To, co określałyśmy mianem "kawy po zajęciach", nader często przypominało dużą ilość wina.

- On jest naprawdę zajebiście przystojny.

Aty wyraźnie jesteś w jego typie.

Pokazałam jej gest dość brzydki, na szczęście pięścią schowaną w kieszeni puchówki.

Nie dotarł do adresatki.

Dwudziesty dziewiąty

No i stało się.

Przez cały wieczór - nic, dokładnie nic.

Narastające napięcie między nami, milion niczego nie podejrzewających studentów do obsługi.

Przypadkowy dotyk, tak pełen znaczeń, że aż bolesny.

Kwadrans po pierwszej bliskabyłam walenia głową w blat.

Jakiś kretyn zamówił jeszcze trzykawy mrożone idwa kamikaze.

Paweł delikatnie wyjął mi shaker z rąk i sprawnie zrealizował zamówienie.

Ręce mi się trzęsły i to bez shakera.

79.

Po głowie wciąż mi hulały słowa Marty, z popołudnia.

"Jest najbardziej barmanowatym barmanem, jakiego znam.

To nie tylko kwestia pustki, także przyzwyczajenia.

Do pewnego

rodzaju beztroski, do papierosów i- nie będę ściemniać - przede wszystkim do ogromnych ilości alkoholu".

Fakt, Paweł dużo pije.

Niekiedy zbyt wiele.

Ja również, zwłaszcza ostatnio.

Ostatnie trzy dni.

Zanim zamknęliśmy drzwi za ostatnim klientem, nad nami

z hukiem i westchnieniem przeminęła wieczność.

Pięć sekund później tonęłam w długim pocałunku, bez żadnych wyjaśnień.

Wszystko było boleśnie pięknie nieoczekiwanie proste.

Paweł wziął mnie na ręce, jak małe dziecko i zaniósł na dół, do ostatniejsali.

Przytuliłam się do niego po drodze, a on całował moje włosy, całą bujną, sterczącą na boki czuprynę.

Dotykał mnie jak, jakby w jednej chwili chciał mnie zapamiętać na wieki, nazawsze, iskierki tańczyły pod jego palcami pierwszy raz od dawna nie musiałam niczego ubierać w słowa.

Cała byłam gestem, tysiącem gestów, tak starych, tak nieodmiennie nowych.

Zamknęłam oczy, nie dlatego, że nie chciałam go widzieć, ale dlatego, że znałam go od dawna i jego dotyk wtapiał się we mnie jak promień.

Całował moje zaciśnięte powieki.

Jest granica, do której trudno dotrzeć, nie będąc razem i nie

spędzając ze sobą dwustu lat, ale my jakimś cudem przekroczyliśmy tę granicę.

Potem płakałam.

A on wtulał się całym w moje dłonie i nie pozwolił ukryć w nich mojej twarzy

Trzydziesty

ś

Naprawdę nie wiedziałam, jak mu spojrzeć w oczy, po tym, co się stało, ale on jeszcze raz podniósł mnie za łokcie i zbliżył twarz do mojej twarzy.

Zobaczyłam w niej tylko to, co tak bardzo chciałam zobaczyć.

Moje życie jest pogmatwane i mgliste jak sen.

80

Grudzień

Marta

STUDENCKIE ŻYCIE

Ostatni egzamin to była tragikomedie.

W każdym razie profesora udało mi się ładnie zgasić, zupełnie nie chcący.

Jeszcze nie skończył mi się etap porannych nudności, a w gabinecie profesora nie pachniało różami, tylko jakąś spaloną gumą.

Egzamin dawaliśmy ustnie, w drużynach trzyosobowych.

Cała nasza trójka nie emanowała zbyt nadmiarem wiedzy, a mniejsze dodatkowo bruździły zjawiska fizjologiczne.

Najpierw wierciłam się i wzdychałam, starając się oddychać głęboko, a zarazem dyskretnie, później odpowiadałam chaotycznie i dość powściągliwie, starając się jak najkrócej otwierać usta, wreszcie, zasłużyszyna trójka z plusem zawisła nad głową profesora jak sęp, odczekałam dwie sekundy po tym, jak wpisał mi ocenę, i wydarłam mu indeks, częściowo dlatego, że spieszyło mi się na świeże powietrze, a częściowo - żeby przypadkiem nie zaczął go wertować, bo wtedy zawsze padają głupie pytania, dlaczego tyle lat byłam na piątym roku.

Najmądrzejsza z odpowiedzi, którą wymyśliłam, to ta, że szalenie mi się podobały na tym roku ćwiczenia i wykłady, więc postanowiłam przeżyć to jeszcze raz.

I jeszcze raz.

I jeszcze.

Mam też przygotowaną inną odpowiedź, że zaraz po moim drugim piątym roku, który powtarzałam zwyczajnie, z głupoty, porwali mnie kosmici i odwieźli na Ziemię dopiero po czterech latach, prosto pod dziekanat.

W każdym razie pan profesor zdumiał się lekko i zaprotestował.

- Co mi pani tak wydziera, przecież nie zjem pani tego indeksu!

- A, panie profesorze, raz mi go ukradli i miałam przez to okropne perypetie, i teraz jestem do niego nadzwyczaj przywiązana - palnęłam równie bezmyślnie, co prawdziwie.

- Jakiś profesor pani zarębał?

- zdumiał się egzaminator.

- Nie, skąd, zwyczajny złodziej, wyrwał mi torebkę - wyznałam, lekko zaróżowiona, ale indeksu nie wypuściłam już z garści.

- Bardzo przepraszam.

- Pani w ogóle nerwowa jakaś - skrzywił się profesor, zdjął okulary.

lary i przyjrzał się mi z bliska.

- Dlaczego pan jest taka nerwowa?

- chciał wiedzieć.

- A tak ogólnie.

- Machnęłam ręką, upychając indeks do torebki.

Bardzo chciałam już wyjść.

- Życie jest stresujące.

Profesor prychnął z lekceważeniem.

- Taak?

A cóż takiego stresującego w życiu koleżanki studentki?

Rodzina na głowie, mąż, troje dzieci?

Pokiwałam radośnie głową poklepałam się po umiarkowanie płaskim jeszcze brzuchu.

- Trzeci w drodze - wyjaśniłam.

Panu profesorowi obniżyła się szczęka w widoczny sposób.

- Eee.

Aaa.

- powiedział - a, eee.

rozumiem.

Skorzystał kolega, średnio przygotowany, któremu osłupiały pan profesor też wpisał z rozędu dość dobry i niepytał więcej.

O nic,

w ogóle.

Minęły dwa miesiące, zbliża się pierwszy poważny egzamin (chirurgia), a ja wciąż grzecznie chodzę na ćwiczenia.

Nie unikam ich, nie opuszczam bez wyraźnego powodu, frekwencję mam tak wysoką, że sama jestem tym szokowana.

Może mój mózg dojrzał wreszcie i polatach dotarło do szarych komórek, że uczę się dla siebie, przychodzę tu też dla siebie, i często jest to ostatnia okazja, żeby starsi stażem pokazali mi rzeczy, które przecież muszę znać na wyrywki, ponieważ już za rok stanę oko w oko z pacjentem i całkiem możliwe, że nikogo mądrzejszego nie będzie akurat w pobliżu?

A może przyczyna leży zupełnie gdzie indziej?

Z racji ciąży rzuciłam w końcu palenie (niech będą błogosławione poranne nudności, na sam widok popielniczki mam ochotę zrygać) i nie ciągnie mnie do knajpania zliczone kawki, w związku z czym nagle mam mnóstwo czasu.

Znowu czuję, jak moje życie wygładza się i wycisza.

Dużo czasu spędzam we własnym domu z dziewczynkami.

Sporo się uczę, mimo chłodu przesiaduję na naszym tarasie do późna w noc, nademną jesienne gwiazdy albo ciężkie chmury - i czuję się tak zwyczajnie, po prostu szczęśliwa.

Moja psychika dojrzewa skokami i wyłącza ciężkich.

Gdybym planowała wyhodować własnym sumptem drużynę piłkarską, może przy okazji sama wyrosłabym na człowieka?

82

Lepiej nie.

Wiem, że trzecie dziecko to górna granica rozsądku.

Wynika z tego, że w ciąży jestem ostatni raz w życiu.

Cieszę się każdym dniem.

Dominika, sąsiadka, przychodzi codziennie, choćby na pięć minut.

Odpowiada jej moje towarzystwo.

A ona mnie wzrusza.

Bardzo przypomina mnie samą sprzed kilkulat.

Oczywiście sytuację życiową mam zupełnie inną, ale jest coś w jej gestach,

sposobiereagowania, komentowaniu zdarzeń.

Chyba podobny rodzaj zagubienia.

Ona też nie wie, kim jest.

Ja też długotego nie wiedziałam, dowiaduję się powoli, i teraz już wiem, że to proces, który trwa.

W Dominice widać, poza zagubieniem, niecierpliwość.

Ma za sobą różne ciężkie przejścia, nie mówi mi o wszystkim, ale z tego, co już zdradziła, wiem, że nie jest jej łatwo.

Mnie życie oszczędziło, w porównaniu z nią, ale były lata, kiedy zupełnie tego nie widziałam i również swój sposób czułam się nieszczęśliwa i bezradna.

Możetó uczucie pojawia się u pewnych osób niezależnie od okoliczności zewnętrznych, może każdy człowiek musi przebrnąć przez swoją pulę nieszczęścia, a jeśli nie odnajduje jej w rzeczywistości, to stwarzają sobie sam, w głowie.

KASOWANIE SMS-ÓW

U NAS WSZYSTKO OK.

ZWIERZĄTKA GRZECZNE, BARDZO ŁADNIE POSZŁY SPAĆ.

ZIMNO.

CAŁUSY.

W grudniu matka się wypuściła na zieloną szkołę - blok zajęciowy z ortopedii.

Klinika w Krakowie przestała istnieć dwa lata temu i teraz wszyscy studenci muszą wyjeżdżać na zajęcia do Zakopanego.

Uczelnia zapewnia wikt i opierunek, a nawet zwraca za przejazd z Krakowa do Zakopca, z niewiadomych przyczyn nawet sześć złotych więcej, niż wynosi koszt biletów PKS.

W roli pierwszego asystenta wystąpiła Lilka, która akurat odbywała tu kurs specjalizacyjny. Jak ja to kocham.

To znaczy, bardzo 'lubię Lilkę, ale to kolejna osoba, z którą byłam kiedyś na roku i totym powtarzanym.

Lilka też była studentką późniejszą w rozwoju, na swój sposób - wyeliminowała się ze studiów natrzy lata, ale w przeciwieństwie do mnie - jak już się wzięta do kontynuacji, to po 83.

rzładnie.

Wskoczyła z powrotem na czwarty rok - po błędach młodości - i skończyła z fanfarami. Średnia na dyplomie znacznie powyżej średniej, że tak się wyrażę niestylistycznie, za to prawdziwie.

Podrodze dziecko i różne dramaty.

A jednaksię udało.

Herod baba.

Zajęcia prowadziła ciekawie i z humorem.

Taka malutka jestem przy niektórych.

Plusem wyjazdu do Zakopanego były wieczorne spacerunki po Krupówkach, zakończone posiadówką w Cafe Piano, moim ukochanym lokalu z huśtawkami.

Na szczęście nie jest mi już tak niedobrze i jakoś znoszę widok popielniczek.

Nadругie szczęście, nikt z mojej grupy nie pali (ta dzisiejsza młodzież jest nadspodziewanie rozsądna, nie to co ja kilka lat temu.

i czasem do tej pory), więc mogłam sobie z nimi posiedzieć do woli, bez uszczerbku na podwójnym zdrowiu.

Oni radośnie się upijali, a ja obserwowałam, jak głupio człowiek się zachowuje w dniu w siebie kilku głębszych.

Ciekawe, czy po tym doświadczeniu będę miała kiedykolwiek ochotę na alkohol?

Wróciłam z eskapady młodsza o pięć lat, uśmiechnięta, odprężona i nieprawdopodobnie wprost stęskniona za rodziną.

Żal mi tych wszystkich samotnych studentów.

Im nikt nie zarzuca rano małych, lepkich od kuleczek z mleczkiem rączek na szyję, nie budzi zaślinionym pocałunkiem.

Poco w takim razie w ogóle wstawać?

Mam takie piękne, takie miłe dzieci.

I dokładnie takie samozycie.

A PAN TO SKĄD SIĘ URWAŁ?

NO TAK - CHOINKA-PRZECIEŻ ZBLIŻAJĄ SIĘ ŚWIĘTA.

DŁUGO TOON NIEPOWISIAŁ.

Mam przedmiot pod tytułem Zdrowie Publiczne.

Fragment seminarium dotyczący zabezpieczeń na wypadek braku prądu w szpitalu publicznym zacytowałam Ancesms-em.

Z czystych nudów.

Anka ostatnio przerabiała przerwy w dostawie prądu na żywej sytuacji w jej szpitalu - niestety nie do teorii, wyłożonej nam właśnie przez pana Z.

Wiedziała o tym doskonale.

Co mi szkodziło podenerwować ją troszkę?

JASNE ŻE WIEDZIAŁAM GDZIE TO JEST.

TYLKO NADRZWIACH JEST NAPISANE: CAFE DAVIDOFF.

To, naszczęście zupełnie z innej beczki - też od Anki, tyle że kilkadni później.

Umówiłam się z nią na Kazimierzu, chciałyśmy pogadać

84

od serca i bez podsłuchiwaaczy, dlatego zamiast w "Banasiu" umówiłam się z nią w "Singerze".

Próbowałam trafić samodzielnie i niezbyt jej wychodziło.

Łaziła w kółko po placu Nowym, szukając dużego i wyraźnego napisu: SINGER, którego nie było.

Czekałam na nią od dawna, z ogniem w oczach, gdyż czasu nie miałam zbyt wiele, a temat był ważny, w końcu nadeszła, powiewając jak zwykle apaszkami.

- Co robisz?

- spytała ciekawie, gdyż zapamiętałam stuknięcie w komórkę.

- Piszę cisms-a, w którym mówię, co o tobie myślę - odwarknęłam, bo byłam wkurzona.

-A, to ja ci odpiszę - odparła radośnie, wyciągając telefon.

I odpisała.

CZEKASZ WCIAŻ NA MIKOŁAJA?

A ON URWIE TOBIE JAJA, KOPNIE W DUPE I OPLUJE, ON CI NIGDY NIE DARUJE - ON SIĘ ZJAWI CHUJWI SKĄD- CZUJNIE ŚPIJ - WESOŁYCH ŚWIĄT!

To bardzo optymistyczne życzenia mikołajkowe od Anki.

Życie Ani układa się ostatnio na pozór perfekcyjnie - ma miłego narzeczonego, dom z ogrodem (niez ogródkiem, ale prawdziwym, gęstym, ogromnym ogrodem, w którym są stare drzewa i prywatny kawałek strumienia).

Ale są dni, kiedy przytłaczają ją ta cała gęsta rzeczywistość.

Zaczęła dyżurować całkiem samodzielnie i jest to dla niej duży stres.

Głupia by była, gdyby tego nie odczuwała - przerabiała tokażda z moich pracujących już koleżanek.

Nagła odpowiedzialność, gdyś samotnie zostajesz z rzeszą pacjentów na oddziale.

Brr.

Na szczęście narzeczoney Anki również jest lekarzem, rozumieją i wspiera, tyle że czasem ma dość rozmów o szpitalu.

Więc tradycyjnie służę za odgromnik.

Obiemy świadomość tego, że jak jazaczne na dobre pracę i dyżury - będę u niej szukała zrozumienia, tym bardziej że na każdą, najmniejszą wzmiankę o szpitalu, rozcinianiu, dusznościach i kropiówkach mój mąż zatyka sobie uszy głośno śpiewa.

Na większość tematów medycznych ma alergię, niedobrze musię robi.

I nie będę miała poza Anią nikogo, z kim mogłabym porozmawiać o pracy.

A wygada się trzeba koniecznie, żeby nie zwariować.

Pod tym jedynym względem ona ma lepiej.

85.

JA JUŻ PO.

MAM ZA SOBĄ NAJDŁUŻSZA W ŻYCIU OPERACJĘ, NALEŻY MI SIĘ NAGRODA W
JADŁOSPISIE - BĘDĘ ROBIŁA SPAGHETTI I SAŁATĘ Z BOCZKIEM.

BIERZ

ZWIERZAKI I PRZYJEŹDŹAJCIE, MOŻECIE ZOSTAĆ DOJUTRA.

Anka.

Na trzecimz kolei samodzielnym dyżurze odrazu trafiła nazabieg, który rozpoczął się dziewiątej
ranoi zakończyło pierwszejtrzydzieści w nocy.

Zaraz po dyżurze pogoniła na plac, kupiła produkty - docenia-;
jąć ten zryw, wybrałam się na wyprawę do niej, do Wieliczki.

Jej facet też zszedł z dyżuru, mój dołączył po pracy i spędziliśmy u nichbardzomiły weekend.

Rzadko się trafia, że wszyscy mamyjednocześniekilo czasu i należało to wykorzystać.

A narzeczony Ani, Bartek, jestnaprawdę świetnym, uroczymchłopakiem ibardzo się cieszę,
że w końcu byłaokazja zapoznaniago z moim mężem.

Wcześniej nie było - może dwa, trzy wyjścia napiwo i tyle - bo obaj panowie są
potworniezpracowani.

Przypadli sobie do gustu.

Super.

Umówili się nawet na tenisa.

Rany Boskie, mójfacet i tenis!

Zobaczmy, coz tego wyniknie.

NIC MNIE ZŁÓŻKA NIEWYCIĄGNIE.

MAŁA ŚPI.

Che, che.

Mamy trzy dni wolnego, na uczelni, z bliżejnieokreślonychprzyczyn itwardo umawiałam się z
Joašką, że pójdziemy nadrabiać zaległości, bładym świtem.

Oczywiście zaspiałam - przeszen mójmózg doskonale rozróżnia, czy budzik wzywa mnie na zajęcia
bezwzględnie obowiązkowe, czy takie trochę mniej, i na tedrugie reaguje wyłączeniem sygnału
szybkim ruchem ręki, bezudziału świadomości.

W związku z tym wstałam dobrzepo dziewiątej i słałam Joasi rozpaczliwie sms-y z przeprosinami,
że nie dotarłam na wcześniej ustalone miejsce.

Jak widać, jej mózg też posiada tęszczególną właściwość.

I też nie dotarta.

URODZIŁAMDZIŚ BLIŹNIAKI - PARKĘ I JEDNEGOSYNKA LUZEM.

TERAZ BĘDĄ ZNÓW BLIŹNIAKI.

DZIŚNIE WRACAM,BO MOŻE MI ZAMARZNAĆ ZWROTNICA.

NAJLEPSZE JEST TO,ŻE W TEJCAŁEJ ANESTEZJI MAŁEJ

86

r

CZUJĘ SIĘBARDZO DOBRZE.

DO NASTĘPNYCH TRUDNYCH INTUBACJI.

Anka znów w Warszawie, na szkoleniu.

Szaleje z radości na ginekologii, zakłada znieczulenia zewnątrzoponowe i wydajejej się, że w końcu,
w obrębie własnej specjalizacji, odnalazła coś, co jącieszy, szczerze i prawdziwie.

Ciekawe, jak się potoczą jej dalszezawodowelosy.

ROBOTA MNIEKOCHA.

WŁAŚNIE PRZYJECHAŁ PACJENTKTÓRY OD 10 DNI SIĘ DUSI I TRZEBA GO
OPEROWAĆ NATYCHMIAST A NA DRUGIM STOLE LECI REOPERACJA Z RANA.
SIĄDĘ SOBIE POJUTRZE.

Anka, już naoddziale macierzystym.

Bez komentarza, po prostu dzień jak co dzień.

Krótki sms, dwieminuty rozmowy.

Tak niewiele, a tak bardzo
potrzebne.

Dobrze jest mieć przyjaciół - i dobrze, och jak dobrze, czasem być przyjacielem.

Tak rzadko się to, bądźmy szczerzy, zdarza.

Zazwyczaj zmuszających, w tym Anię, do tańczenia wokół moich własnych dylematów i problemów.

Ostatnio jakby trochę mniej.

DUCHY NASCHODACH

Studia są, czasami, najlepszą rozrywką świata i nieomal żałuję, że się kończą.

Ostatnio odrabiałam zajęcia z pulmonologii z grupą czternastą.

Grupa czternasta to studenci wieczorowi - zajęcia bynajmniej nie odbywają się wieczorem, nazwa oznacza jedynie konieczność słonego opłacania każdego kolejnego roku.

Do grupy czternastej przynależy jeszcze paru zabłąkanych cudzoziemców, którym ubrdało się, że potrafią studiować po polsku.

Uczelnia posiada w ofercie kurs anglojęzyczny, ale płaci się za niego jeszcze więcej niż za polską wieczorówkę.

Niektórzy cudzoziemcy mają mało kasy, za to sporodeterminacji i wybrali wmieszanie się w polski tłum.

Efekty owej determinacji bywają rozmaite.

Taki na przykład Tumboto Babano, Murzyn, postać niemalże legendarna, uczestniczył w owych ćwiczeniach.

Dołączyłam, jak zwykle spóźniona, w chwili gdy Tumboto pracownicy osłuchiwał

87.

pacjenta.

A dokładnie - pacjentkę, rumianą babeczkę koło sześćdziesiątki.

Wyglądała na lekko przerażoną, Tumboto jest wielki jak niedźwiedź i czarny jak smoła.

- Czeczenia jest - powiedział z pełnym przekonaniem do asystentki, kiwając ponuro czarną, kudłatą głową.

Asystentka wytrzeszczyła oczyma tę niespodziewaną w tym miejscu i tej scenie deklarację niepodległości.

- Rosja ma na ten temat inne zdanie - zachichotał Oskar.

Tumboto postanowił wyrazić się jaśniej.

- Ta pacjentka w połciach ma szerczenia - powiedział z naciskiem.

-1 czeczenia.

Połciów palenie.

Wszyscy, z asystentką na czele w milczeniu przeżuwalii otrzymaną informację.

Tylko Gacia, uzdolniona językowo, wzruszyła ramionami.

- Ta pacjentka w płucach ma rżżenia i trzeszczenia - przetłumaczyła płynnie.

- Zapalenie płuc.

- Bardzo dobrze, proszę pana!

- rozpromieniła się asystentka.

- Proszę zebrać z pacjentką krótki wywiad - zarządziła.

- Którą pani jest dupą tu?

- przystąpił ochoczo do wywiadu Tumboto, nachylając się czule nad pacjentką.

Pacjentka otworzyła buzię i tak już została.

Asystentka wybiegła z gabinetu jakby ją ktoś gonił.

Z ręką na ustach.

- Którą dobę przebywają w tym szpitalu?

- przetłumaczyła Gacia bezmrugnięcia okiem.

- A! - zrozumiała babka po dłuższej chwili, chociaż Gacia akurat wyrażała się jasno.

- Od niedzieli leżę, to jest.

czwartą.

- Kaszele byli?

- Tumboto twardo przeprowadzał wywiad.

- I cим?

A duchy?

- Duchów nie było.

chyba - powiedziała słabo pacjentka.

- Kaszele owszem.

- On pyta, czy miała paniduszności i czy kaszel był jakąś wydzieliną - wyjaśniła Gacia.

Tumboto pokiwał energicznie głową.

Pacjentce zaślnił w oku błysk zrozumienia.

- A, duszności.

Myślałam, że halucynacje.

Duszności to miałam, oj, miałam - powiedziała.

- I kaszel straszliwy, i w piersiach bolało.

- Ci ropą, ci krewą, alibo zielony?

- sprecyzował Tumboto.

- A duchy ci nocą ci raczej na schodach?

- dołożył inachylony nadpanią, wyraźnie oczekiwał odpowiedzi.

Pacjentka milczała przez dłuższą chwilę, wyraźnie wstrząśnięta wizją duchów na schodach.

- Czy duszności pani miała tylko przy wysiłku, na przykład przy wchodzeniu na schody, czy też w spoczynku, i czy budziły panią w nocy - zlitowała się Gacia.

- Na początku na schodach, a tuż przed szpitalem to w ogóle mogłam oddychać -

dostosowała się do konwencji pacjentka.

-Iw nocy, iw dzień.

- Połcie wodniste byli -pokiwał mądrze głową naszczarny koleżka.

- A bardzie gorącia kiedy panibyła i jak?

-zapytał z troską.

- W latach sześćdziesiątych - roześmiała się końcu pani, i tymrazem Tumboto wytrzeszczył oczy.

- A jak, to nie powiem.

-Puściłado nas oko.

- Rozumiem, żepyta pan o gorączkę.

Otóż, proszę pana,gorączki to ja nie miałam zbyt wysokiej,jakieś trzydzieści osiem, to najwyżej, w dniuprzyjęcia.

Dlatego zresztą trochęzlekceważyłam tę chorobę -no i jest, jak jest.

Ale jużmi lepiej,chociaż strasznie siępocę.

I głowa mnie boli.

- Tabelki niedane?

- zmartwił się Tumboto.

-Ci nudno?

Miotłowała?

Tym razem nawetGacia miała problem,z tabelkami,w którychzazwyczaj z natury znajdują siędane.

Pomógł Oskar.

- Tabletki.

Czy dane.

Czydostaje pani tu leki przeciwbólowe -domyśliłsię.

-I czy miała pani nudności bądź wymioty.

- O, to, to!

- potwierdził Tumboto.

-Ci był u pani zwymiot.

- Nie był.

- Potrząsnęła głową pacjentka.

-A tabletki różne tomi dają, ale jakoś na głowę nie pomaga.

- Ciebie mówić - poradził Tumboto.

- Ciebie mówić doktor" ogłowie.

Au dziadów jaka choroba się siezi?

- Oh, my God!

- wyszeptala poliglotkaGacia, słysząc tę wersjęzapytania o chorobywystępujące w rodzinie.

Tumboto niespodziewanie błysnął w uśmiechu olśniewająco białym uzębieniem.

Dwie godziny ćwiczeń w tym styluwydatnie poprawiły mi humor, bomiałam taki sobie-potwornie boję się chirurgii.

A egzaTninjuż za dwa dni.

Ponieważ zajęcia skończyły się grubo przed czasem,moje nogibez udziału i zgody narządów wyżej położonych zaniósł mnie do ("Banasia").

Czasem trzeba zaszaleć.

89.

W "Banasiu" trwały przygotowania do Festiwalu Reggae, odpołowy Szerokiej słychać było bębny afrykańskie, w które szanowni artyści walili z taką siłą, że Żydom siedzącym przy kawie w Arielu trzęsły się pejsy

Co będzie wieczorem?

Bokto będzie, to wiem.

Policja, na stoprocent.

Cała nadzieją tym, że może lubią reggae.

Na placu przed synagogą tańczący z płomieniami ćwiczyliswojepląsy.

Na sucho, to znaczy bez odpalania sprzętu.

Wywijali nierozpalonym, a i tak wyglądało to nad wyraz atrakcyjnie.

Gibelec, szczęśliwy jak nigdy wcześniej, jedyny buchałogniem, ku ucieszegawiedzi.

Ćwiczyl "smoki", czyli zianiez ust.

Ile przy tym nafty się opił, to jego.

- Uważaj, żebyci się żołądek nie zapalił!

- zawołał do niego Paweł stojący w drzwiach "Banasia".

Gibelec puścił "smoka" w jego stronę i poparł go gestem, który nie miał wiele wspólnego z duchem aloha.

Przy barze, do towarzystwa Gibelcowi, ziała ogniem Magda.

To znaczy wyrzucała z siebie słowa równie obelżywe, jak gesty Gibelca.

Mietek, odsunięty na bezpieczną odległość, słuchał jej z podziwem w burych oczkach.

- Chrzań się!

Chrzań się cztery razy!

- wrzasnęła do słuchawki.

Jak się okazało, ta litania nie była przeznaczona dla Mietka, tylko dla kogoś po drugiej stronie.

- Ty debilu prądkowany!

Wdupę sobie wsadź.

- Odsunęła telefon od ucha i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Wyłączył się.

Normalnie się wyłączył!

- powtórzyła zdumiona.

- Ciekawe, czemu?

- zapytał Mietek identycznym tonem, podszytym lekką zgrozą.

Iparsknął śmiechem.

- Co to miało być?

- włączyłam się w serię zdań pytających.

- Ślub miał być - warknęła Magda.

- Alenie wiem, czy będzie.

Kazio to kretyn, w dodatku nerwowy

- A ty jesteś wzorem stoickiego spokoju - zauważył Mietek, kiwając głową.

- Oj, Madziu, Madziu.

- Nie mów do mnie "Madziu", bo tego nieznoszę!

- wrzasnęła.

- Madzia to dzimdzia.

Z różową wstążeczką.

- A ty jesteś damą w każdym calu.

Tylko ci troszkę hormonki wirują - powiedział Mietek ze stoickim spokojem człowieka, który ma żonę w szóstym miesiącu ciąży, szefową w ósmym, przyszła

90

do niego koleżanka w trzecim i w zasadzie to już mu wszystko jedno, od kogo dostanie po łbie.

- Ja ci zaraz pokażę hormonki!
Zamknij się, bo ugryzę!
- zapowiedziała bojowo Magda.
- Czy oni muszą tak walić w te bębny?
- zapytała z wyrzutem w głosie.
- Macica mi wpada w rezonans.
- Można wiedzieć, o co chodzi?
- spytałam cichutko.
- O to, że Kazik jest kretyn - odpowiedziała mi wyczerpująco i wyszła na zaplecze.
Popatrzyłam na Mięcia.
Ruszał brwiami przez chwilę przygryzał wargi.
- Rozmawiała chwilę wcześniej tym swoim - powiedział w końcu.
- Wiesz, którym.
Zygmuntem.
Tym z Warszawy.
Niewiem, o czym, bo wyszła dokuchni.
Wróciła z czerwonym nosem od razu się wściekła na Kazika, o byle co.
Jakiejś tam knajpy niezarezerwowalczy coś.
Nie rozumiem, po co Magdzie knajpa.
Maprzecież swoją.
- Opuścił ręce i westchnął przeciągle.
- Ja tam niewiem, czy dobrzesię stało.
- powiedział cicho.
- Że nie zarezerwował knajpy?
Chyba nieszczęśliwie, sądząc reakcji Magdy.
Może chodziło o knajpę na wesele?
- Mamna myśli to, że została z Kaziem, i to z przyczyn.
wiadomych - wyjaśnił i znów przygryzł dolną wargę.
- Nie nam toroz strzygać, Mięciu.
Pozatym stało się i już.
Idęz nią pogadać.
Na zapleczu Magda siedziała nieruchomo i wydłubywała dziurę w blacie.
Oczy miałam mokre.
- Ssss.
- zasyczała - A, to ty.
Siadaj.
- Co jest?
- zapytałam skróto, nie chciało mi się bawić w dyplomację.
- Gadaj.
- A co ma być?
- uśmiechnęła się dosyć smutno.
- Jest jak jest.
Niepotrzebnie się tak denerwuję.
Nic już nie zmienię, nic a nic.
Wiesz, czasem nie lubię tego dziecka.
A czasem wyobrażam sobie, żeto jego, Zygmunta.
I wtedy kocham je najbardziej.
Głupie, conie?
Zastanawiam się, jak to jest nosić w sobie dziecko faceta, którego naprawdę się kocha, ale tak naprawdę.
Ta świadomość, że rośnie w tobie częśćka jego samego, towarzyszy ci, gdziekolwiek się udasz, w tobie zasypia i w tobie się budzi.

Nigdy mi się to nie zdarzyło.

^Usiadłam obok, a ona oparła się o moje ramię.

- Jak to jest, urodzić mu dziecko i zachwycać się nim każdego dnia, ponieważ,
91.

gdy dotykasz twarzy dziecka, to tak jakbyś dotykała również jego twarzy, i jak przytula się do ciebie, to tak, jakby on sam się przytulił, gdziekolwiek się znajduje.

Nigdy w życiu tego nie doświadczę.

Siedzieliśmy przez chwilę w absolutnej ciszy.

- Przesadzasz - odezwałam się w końcu ostrożnie.

- Przecież Kochasz Kasia.

- Nie.

Ja go tylko bardzo, bardzo lubię - powiedziała Magda.

- A to różnica.

Z pamiętnika Dominiki N.

Czwarty

Jest dziwnie.

Z Pawłem prawie nie rozmawiamy, wieczorami zgodnie obsługujemy kolejnych klientów, jeśli akurat mamy razem zmianę.

Jeśli jestem z Mięciem, Paweł przychodzi, niby to przypadkiem, pije wódkę przy barze, dyskutuje ze wszystkimi dookoła.

Tylko na mnie niemal nie patrzy.

Za to jak tylko zamkną się drzwi za ostatnim klientem jak tylko uda nam się spławić Mięcia - ostatnio Pawełek musiał udawać, że idzie z nim do autobusu nocnego, wrócił po pięciu minutach - cóż, rzucamy się na siebie jak dwoje dzikusów.

Z tego dziwnego napięcia chyba piję zbyt dużo.

W dzień się kamuflujemy; zgodnie uznaliśmy (bez słów, oczywiście), że lepiej będzie, jeśli na razie nie dowie się o nas nikt.

Ani Mięcio, ani, broń Boże, Magda.

Trochę na samym początku wygadałam Marcie, ale później nie rozwijałam tematu.

A po fakcie jestem zazwyczaj zmęczona, trochę wstawiona i spieszę się do domu.

Wciąż nie ma okazji porządnie pogadać.

Porozumiewamy się w nieco inny sposób i jest to rodzaj porozumienia, który mnie ciągle wprawia w zdumienie.

Jest takie.

pełne.

Piękne i proste.

Dużo w tym czułości.

Tylko jakoś się nie przenosi na inną dziedzinę życia.

Znam Pawełka i nie znam zarazem.

Tęsknię za nim natychmiast, jak tylko zamykam drzwi taksówki.

Moje sny są pełne jego dłoni i ust.

Ale wciąż niewiem, jak to z nami jest i na czym stoję.

92

Piąty

Spędziłam trzy godziny, włócząc się po mieście i usiłując kupić dla wszystkich prezenty mikołajowe, jak zwykle ostatniej chwili.

W zabawkowym przeżyłam chwilę konsternacji, patrząc na te wszystkie kolorowe cuda.

Dotarło do mnie, że nie mam pojęcia, czym się aktualnie lubi bawić moje własne dziecko.

Smutno mi z tego powodu.

Kupiłam mu klocki, chyba o wielena wyrost.

Każdy chłopiec musi mieć klocki i rozwijać prawą półkulę.

Przysięgam sobie, że nauczę go bawić się nimi, może nie teraz, może za kilkanaście miesięcy.

Ale to będę, na sto procent, ja.

Mamie, po długim wahaniu, kupiłam jedwabną apaszkę i balsam do ciała.

Mama jest trudnym przypadkiem, jeśli prezent nie trafiony, kręci nosem i okazuje to wyraźnie, a janie

zadałam sobietrudu, żeby się zorientować, co byją mogło naprawdę ucieszyć.

Z ojcem, moim książkowym, przynajmniej nie miałam kłopotu.

Wczoraj ukazała się nowa pozycja zeszłorocznego noblisty.

Mam tylko nadzieję, że jeszcze nie zdążył jej nabyć.

Marcie, sąsiadce, kupiłam krem narozstępny, może nie jest to szczytem taktu, ale jęczała ostatnio, że wskutek dziur w budzecie chwilowo jej nie stać obawia się o całość swojej skóry. Dziewczynki dostaną identyczne laleczki Poily Pocket - Miśka je zbiera, a Malwinka jej podbiera i obgryza im fryzury, piski obu siostrzynek dolatują czasami aż do mojego domu.

Teraz młodą będzie miała Swoją, do obgryzania.

Mam nadzieję, że nie połknie bućków innych małych dodatków, i że Marta mnie z domunie wyrzuci.

Czy powinnam kupić coś Pawłowi?

Jeśli kupię, może pomyśleć, że wyobrażam sobie wiadomo.

Na przykład, że jestem jakąś jego cholerną dziewczyną.

Jeśli nie kupię, a spodziewasz się, że owszem - może mu być zwyczajnie przykro.

Dobłą godzinę wałęsałam się po Galerii Kazimierz, bijąc się myślami.

W końcu wymyśliłam - wróciłam do księgarni i nabyłam taką jedną fajną książkę, typu fantasy.

Poczekam na ruch z jego strony.

Jeśli coś od niego ostanie, dam mu tę książkę.

A jeśli nie - przeczytam ją sama.

Howgh.

93.

Szósty

Nie doceniłam swojego dziecka.

Rozpakowało klocki - blaskszczęścia na małej bu[^] takie wielkie i kolorowe, i tak fajnie grzechocze przy przesypywaniu!

A następnie całkiem fachowo wykonał z nich małą wieżę.

Później ją rozwalilo.

I znowu zbudowało.

Nie doceniłam mojego ojca - książkę, którą chciałam mu ofiarować, kupił sobie od razu tego dnia, kiedy wyszła, to znaczy przedwczoraj, tylko trzymał ją w pracy Dlatego nie zauważyłam. Mina mi się mocno wydłużyła, ale kochany tatuś zażądał ode mnie paragonu - na szczęście nie wyrzuciłam, tylko odruchowo wepchnęłam do portfela - i ze szczęściem w oczach pomknął wymienić sobie na coś innego.

No, i nie doceniłam mojej matki.

Pochwaliła apaszkę, zarzuciła ją sobie na szyję i przez cały wieczór zachwycała się, jaka jest ładna imiła w dotyku.

Żadnego zrzędzenia.

I przeceniłam Pawefka.

Nie uznał za stosowne przynieść mi choć cukierka.

Wychodzi na to, że kupiłam sobie książkę.

Czytam ją właśnie.

I trochę mi smutno.

Od najbliższych również dostałam książki, od mamy jeszcze dodatkowo sweter i jakieś kosmetyki.

Od Marty srebrny wisiołek w kształcie kota.

Bardzo ładny

Marta wie, że oprócz morza i spokoju tęsknię za moim kotkiem, którego oddałam Edycie.

Edycie nic nie kupiłam, ona mirównież nie, ale umówiliśmy się na wódkę.

Dla odmiany.

Marty młodsza, Malwinka, na widok laleczki wpadła w zachwyty absolutny Całowała ją i przytulała.

Buciki i inne małe elementy oddała Marcie sama, ze słowami: "Nu, nu, nu.

Do buzi nie wolno!

".

Jej też nie doceniłam.

Ósmy

Magda ma takie smutne oczy To dziwne, jak na kogoś, kto właśnie założył rodzinę.

Czasem dotyka swojego brzucha jakby z niedowierzaniem i długo milczy Zapytana o coś, unosi głowę i rozgląda się nieprzytomnie, jakby wyrwana z głębokiego snu.

94

Może poprostu boi się porodu.

Też się bałam, ale Krystian był czujny, zagadywał mnie i rozśmieszał, odzywał się cienkim głosikiem pochodzącym rzekomo z głębokości mojego brzucha, i wszystkie nierozsądne strachy przechodziły jak ręką odjął.

Tacy byliśmy wtedy szczęśliwi, i tak szybko to wszystko rozpadło się wpył.

Nie pozostało we mnie nic.

Ani złości, ani tęsknoty.

Tak, jakby nie istniał.

A Marceli wypączkował ze mnie w cudowny sposób, jak nie przymierzając młode z jaszczurki.

Nie przywołuję innego, powszechnie znanego przykładu.

Gdyby nie dziecko, nie uwierzyłabym w ani jedną chwilę ze spędzonych w Gdańsku szalonych lat.

Czasami tak nie wierzę.

Trudno mi nawet uwierzyć w Marcelka.

Zdarza się, że budzę się pośród nocy w tygodniu, które moja mama oddaje mi pod opiekę - może ze dwa wieczory tygodniowo - i ze zdumieniem patrzę na jasnowłosego malutkiego chłopca przy moim boku.

Czy to naprawdę moje dziecko?

Zmieniają się moje relacje z najbliższymi.

Nie wiem, czy w dobrą stronę.

Jedenasty

Staram się znaleźć jakiś odcień pustki w pocałunkach Pawła, coś, co pasowałoby do całości sytuacji.

Nic z tego.

To pół godziny spędzane razem zawsze jest pełne zaangażowania, żaru i delikatności.

Poza tym - cisza.

Mogłabym go zapytać, ale nie bardzo wiem, o co.

Czy traktuj mnie poważnie?

Kim jestem - wypoczynkiem po pracy, wypełniaczem pościeli, maskotką?

Kobietą, którą kocha?

Na to ostatnie pytanie chyba jeszcze za wcześnie.

Ja również nie umiem określić własnych emocji.

A żadne większe wyznanie nie przeszłoby mi przez gardło.

Nie ma takiej osoby, w stosunku do którejby mi przeszło, swoją drogą.

Nawet w mojej relacji z Marcelkiem jest tak dużo poczucia winy, że trudno to nazwać po prostu miłością.

Rozpływam się w pustce.

Tylko nauczelnicy funkcjonują jeszcze jako tako.

95.

Trzynasty

Zupełnie niechcący podsłuchałam rozmowę Magdy z Martą, nazapleczu.

Weszłam do lokalu przez tylne drzwi.

Chciałam się od

razu przebrać, ale w kantorku usłyszałam głosy, dotarła do mnie ich treść i zamarłam.

To nieprawda, że Magda boi się porodu.

Ma za to obawy, że niepokocha swojego dziecka tak, jakby chciała je pokochać, ponieważ - jeśli dobrze rozumiałam - nie jest to dziecko jej ukochanego mężczyzny, tylko kogoś zupełnie innego.

Żaliła się, że nigdy się nie dowie, jak to jest.

Nosić w sobie dziecko tego, do którego wyrzywa się całe ciało, serce, i spora część ducha.

Ja to akurat wiem.

Zaszłam w ciążę po trzech miesiącach znajomości, w fazie ostrego, podsycanego hormonami zakochania.

Przeżyłam bardzo nerwowe trzy dni, ale Krystian zareagował entuzjastycznie.

Dosłownie nosił mnie na rękach.

Często, zwłaszcza pod koniec piątego miesiąca, kiedy dziecku urosło już tak, że odczuwałam jego poruszenia, myślałam z zachwytem właśnie o tym, o czym mówiła, z taką tęsknotą w głosie Magda.

O tym, że jest to właśnie jego dziecko.

Bez końca głaskałam swój okrągły brzuszeczek, zachwycałam się nim, upajałam się myślą, że mieszkawę mnie cząstka kogoś, komu jestem oddana bezgranicznie.

I co?

Granice mojego oddania ustanowił czas i różne wydarzenia, które sprawiły, że w odruchu samoobrony zamknęłam swoje serce.

Ciąża była pięknym przeżyciem, magicznym, metafizycznymi w dużej mierze także erotycznym.

W pewien przewrotny sposób.

Natomiast macierzyństwo - nie minął jeszcze rok, jak utraciłotę właściwość i Marcel stał się wyłącznie moją własnością.

Nie nadługo, zresztą.

Teraz muszę się dzielić z moją matką i nie ma w tym nic z erotyki.

Tfu.

Magda ma jeszcze przed sobą całe życie i perspektywę.

Sama powiedziała, że bardzo, ale to bardzo lubi swojego partnera.

Z tego z czasem może wyrosnąć miłość ogarniająca wszystko - w tym i współnedzieci.

Czego jej życzeń trochę zazdroścę.

Dla mnie to już przegrana sprawa.

96

Siedemnasty

Dzisiaj mnie szlag trafił zaraz po tym, jak skończyliśmy wydawać piwo, spakowałam manatki i wyszłam.

- Nie zostaniesz?

- spytał zdziwiony Paweł, kiedy już prawie zamykałam drzwi.

- Dziś nie mogę - odparłam, nie patrząc mu w oczy.

- Szkoda - powiedział i wrócił za bar.

"Szkoda".

Tylko tyle.

Poprosiłam Magdę o trzy dni wolnego, rzekomo w celu przygotowania się do kolokwium.

To znaczy, wcale nie tak rzekomo, naprawdę mam się przygotować, tyle że jakoś zeszło to nadalszy plan.

A teraz musi wskoczyć z powrotem na swoje miejsce.

I już.

Ciekawa jestem, czy Paweł zadzwoni.

Albo coś.

Moja mama lekkosię zdziwiła, widząc mnie w domu zaraz popółnocy, Jeszcze nie zdążyła się położyć.

- Piłaś coś?

- zapytała podejrzliwie, gdy odruchowo nadstawiłam jej policzek na przywitanie.

Łobwaczenie, jak się okazało.

Akurat dzisiaj piłam tyle, co kot napłakał, jednogodzinna i dwielampki wina, naparstek w porównaniu z tym, co zwykle.

Trzeba było widzieć wczoraj.

To znaczy - nie trzeba.

- Yyy.

- zająknęłam się jak przyłapaną na gorącym uczynku nastolatka - szefowałam drinka postawiła, za pomoc w remanencie - wybąkałam.

- Nie wypadało odmówić.

- Jakto, nie wypadało, przecież ty masz dziecko!

- obruszyła się matka.

- Ona musi to zrozumieć, nie może was rozpijać, zwłaszcza ciebie, która ma tyle obowiązków!

Nie podoba mi się to.

- Spochmurniała.

- Lepiej by ci porządnie zapłaciła za ten tydzień, pracujesz coraz więcej, a coraz mniej przynosisz, jak tak można?

Ona was wykorzystuje - rozpędziła się mama.

- Chyba muszę z nią porozmawiać.

- Coś ty, mamo, żartujesz chyba!

- przestraszyła się nienazarty.

Magda była pod tym względem krystalicznie uczciwa, tygodniówki rozliczała porządnie i terminowo i nie miała pojęcia, jak często personel (w tym ja) wypija jej zapasy.

Staraliśmy się zresztą uzupełniać spustoszenia cichaczem, własnym zakresie.

Nie miała również pojęcia, jak i moja matka, że ostatnio siedzę w knajpie cięgiem z powodów prywatnych i nie można tego siedzenia nazwać pracą.

Nijak.

97.

Ładnie bym wyglądała, jakby moja matka wyjechała do niej pretensjami.

- Nie trzeba, mamo.

Ona jest w ciąży, tuż przed porodem inienależy jej denerwować.

chciała być miła, wiesz, przyzwyczajona jest głównie do facetów, może faktycznie powinnam z nią porozmawiać, uświadomić, że to nie to samo.

A co dopensji, to ona policzyła dobrze, tylko.

eee.

Tylko nie mogła nam ostatnio wypłacić wszystkiego, bo remontuje instalację, wysiadła nam pompa, taki nagły wypadek.

I...

I wszyscy się zgodzili, że wezmą połowę, a drugą połowę wypłaci nam w przyszłym tygodniu, na pewno - paplałam przedziutko i niezbyt składnie.

- Magda jest uczciwa, naprawdę, i można jej ufać.

Pracuję dużo, to fakt, i dostanę za to wynagrodzenie, tylko trochę później.

Co do grosza - zapewniłam.

- To dobrze - powiedziała mama - tylko masz mi tego dopilnować!

Już ja słyszałam w życiu jedno "później", nie odwzorać chodzę po tym świecie.

No, zobaczymy.

Ranyboskie!

Skąd ja w przyszłym tygodniu wytrzasnę dodatkowe dwie stówy, biorąc pod uwagę to, że właśnie wzięłam trzy dni wolnego?

- 1 nie pij w pracy!

- powiedziała surowo matka.

- Nie jeden kelner już przez to wyleciał, jak się przyzwyczaisz, to też tak skończysz.

Tatwoja Magda pijaczki w barze trzymać nie będzie.

Ja w domu też nie!

Spojrzała na mnie surowo i wyszła, powiewając połami szlafroka.

Po prostucudownie.

Tak to jest mieć dobre chęci i raz wrócić do domu o przyzwoitej porze.

Przez kilka tygodni wracałam nad ranem, naciężkiej bani, i nikt się nie czepiał.

Ponieważ wszyscy spali.

A dzisiaj wróciłam przedwcześnie, jak się okazało, i od razu kanat.

Iteraz muszę uważać na mamuszkę.

Dziewiętnasty

Paweł nie dzwoni.

Czyja muw ogóle dałam swój numer telefonu?

Nieważne.

Gdyby mu zależało, mógłby wziąć od Magdy albo od Edytki.

Albo z książki telefonicznej, choć nie jestem pewna, czy ma choć bladepojęcie o tym, gdzie mieszkam.

Albo jak mam na nazwisko.

Całe przedpołudnie przesiadałam u Marty. Dostaliśmy z Marcelkiem zupę pomidorową i klopsy. Marcel bawił się z Malwinką -

98

to znaczy wyszarpywali sobie nawzajem kolorowe pluszaki albo kładli się obok siebie na sofie, patrzyli sobie w oczy i zaśmiewali się.

Wyglądał w każdym razie na zadowolonego.

Ja trochę mniej.

Ciągle mi smutno i dziwnie.

Marta jest taka zabawna.

W jej domu niepodzielnie królują chaos, książki, zabawki, tony gazet i ciuchy czworga

domowników z całego tygodnia.

Wszystko przysypane wykładami z ortopedii, traumatologii i innych przedmiotów o równie mądrze brzmiących nazwach.

Marta porusza się w tym całym bałaganie ruchem węża, podczytuje notatki, od niechcenia gotuje obiad z półproduktów i pozwala się obłądzić dzieciom.

Śpiewa, wkładając naczyńka do mywarki, śmieje się, że to jakiś oddech, podobnie jak przy zmiataniu.

Sądząc ze stanu podłogi w salonie, zmiata raczej rzadko.

Moja matka po półgodzinie spędzonej w tym domu dostałaby zawału, ale Marta jakoś ogarnia to swoje życie i wyraźnie je lubi.

Czasem tylko się złości, gdy zupełnie nie może czegoś znaleźć, na przykład kluczy, i kolejno się oczekują przed drzwiami dziesięć minut, ponieważ Marta ma w drzwiach wejściowych zamki, które wymagają klucza również przy otwieraniu od środka.

Kiedyś było normalne, ale Marcie udało się zgubić komplet kluczy bezpowrotnie, gdzieś na mieście, i musiała zmienić.

- Takie były tańsze, a poza tym tych z motylkiem nie było w żadnym sklepie w okolicy - wyjaśniła, wruszając ramionami, gdy nieśmiało spytałam, czy takie rozwiązanie techniczne jej nie denerwuje.

- Nie chciało mi się jeździć nigdzie dalej.

Można się przyzwyczaić.

Miśka!

- wrzasnęła nagle w stronę starszej córki, która twardo oglądała "Trio z Belville" na rzutniku, swój ulubiony film - nie wiesz może, gdzie posiałam klucze?

- Leżą na podłodze przed pokojem, pod szafką - odrzekła zestojącym spokojem Miśka, nie odrywając oczu od rzutnika.

- Pod butami Malwiny.

Tam, gdzie je rzuciłaś razem z torbami.

- Dziękuję, Pyszczku!

- zawołała wesoło Marta i pobiegła wpuścić do domu skostniałą ekipę, składającą się z Dudusia, i mojej ulubionej władzy porządkowej, to znaczy Barona.

- Otwierać, policja!

- darł się od dłuższej chwili Baron na całą dzielnicę.

^

- Otwieram, otwieram - powiedziała przepaszająco Marta.

- Sorry, znowu posiałam klucze i nie mogłam znaleźć.

99.

- Dlaczego nie kładziesz ich gdzieś pod ręką - zdumiał się Baron.
- Nie musiałyś szukać.
 - Bo moje ręce stale są w ruchu i nie wie lewa, co czyni prawa, a co czynią obie, nie wie nawet mózg - prychnęła Marta.
- Właźcie, zrobię wam rozgrzewającą herbatkę. Zsoczkiem malinowym.
 - Z soczkiem?
- rozczarował się Baron.
- I co ma mnierozgrzać, ten soczek?
 - Aco byś chciał?
 - Może babę?
- zastanowił się Baron.
 - Zaparzaną w herbatce?
- Toż to perwersja!
- Duduś, sapiąc, zdejmował buty.
 - Dudek, nie zdejmuj, bo zaraz będziesz je ubierał- powiedziała Marta.
- Nie będziesz mi latał boso po tarasie, tam leży śnieg.
 - Co ty myślisz, że ja nie przychodzę do ciebie, tylko od razu natwój taras?
- obruszył się Dudek.
 - Aha!
- przytaknęła Martusia.
- Zazwyczaj.
- Nie ściągaj, mówię ci, nie ma sensu.
 - Duduś dalej stękał wytrwale.
 - Nie ściagam - wysapał.
- Zakładam.
- Cześć, Dominika.
- Twój kochaś o ciebie pytał.
 - Marta spojrzała na mnie pytająco, a ja poczerwieniałam.
- A tenską wie?
 - O co pytał?
- spytałam możliwie spokojnie.
- Duduś zastanowił się przez pół sekundy.
 - Kiedy będziesz i takie tam.
- Czy wpadniesz wieczorem, mając Mietkiem dwie finlandie do rozpicia, Miecie dostał od wielbiciela. I czy coś się stało, że tak nagle znikłaś.
- I w ogóle.
 - Aco to Duduś, twoja niańka, czyco?
- prychnął zazdrośnie Baron.
- Od czasu naszej ostatniej rozmowy poczuwał się do opieki nad moją skromną osobą. Uświadomiłam to sobie właśnie, i było to miłą świadomością.
- Naprawdę interesował go mój los.
 - W sumie szkoda, że nie byłych iskier między nami.
- Baron jest taki miły, stanowczy i męski, choć to ostatnie wrażenie pewnie odwieczne oddziaływanie munduru na samiczy mózg.
- Szczegół, że nigdy nie widziałam Barona w mundurze.
 - Powiedzmy, że chodzi o potencjalną wizję munduru.
- To samo m powiedziałem - przyznał Dudek, zwracając strumień mojej świadomości w kierunku Pawełka.
- Kropka kropkę.

- A co on na to?
- zainteresowała się Marta w moim imieniu.
Nie miała wątpliwości, o kim mówimy, cholera.
- Powiedział, że myślał, że się przyjaźnimy - prychnął Dudek.
- Co on, nie może do ciebie zadzwonić, czyżak?
Zaproponowałem mu
- I?
- Odpowiedział coś zupełnie idiotycznego.
Że nie będziesz narzucał czy zawracał ci głowy albo coś w tym stylu.
- Dudek wzruszył ramionami i otworzył drzwi do ogrodu.
- Moim zdaniem, kretyństwo.
To co, mogę nataras?
Chodźże ze mną, mości Baronie.
Moim zdaniem to również głupie.
Zwyczajny telefon, z pytaniem zdrowie już narzucasz, a wszystko, co robimy.
hmm.
po godzinach, to- co?
Pogawędka o pogodzie?
Marta przypatrywała mi się z uwagą.
- Coś tam wynikło z tego umawiania, tak?
- zapytała w końcu.
Nie śmiało, Marta raczej nie pyta.
- Coś tam - odpowiedziałam, zwijając nerwowo serwetkę.
- Kiedyś ci opowiem, bo na razie to sama nie jestem pewna.
Muszę sobie to uporządkować.
Tak naprawdę, to nie wiem, co miałabym porządkować, ale to zupełnie inna historia.
Raczej należałoby w końcu z Pawłem porozmawiać otwarcie.
Nie wiem dlaczego, ale strasznie się boję.
Dwudziesty pierwszy
Wróciłam do pracy po moim krótkim urlopie, z mętlikiem w głowie jeszcze większym niż przedtem.
Marcel zdążył się już do mnie z powrotem przyzwyczaić i głośno oprotestował moje wyjście z domu.
Skubany, zaczął wycić, jak tylko przystąpiłam do tuszowania rzęs.
Dobrze wie, że na wspólny spacer raczej się nie maluję.
- Miej litość nad dzieckiem i wracaj jak człowiek - dołożyłam mamę.
- I upomnij się o pieniądze.
Ciekawe u kogo mogłabym się upomnieć nieistniejące nadgodziny.
A może.
- Cześć, Paweł!
- zaczęłam, zanim się na dobre otrzepałam ze snu.
- Masz pożyczyć dwie stowy?

- Cóż za miłe, bezinteresowne powitanie - mruknął Pawełek.

Dziwny był dzisiaj, nastroszony.

- Masz czy nie?

- nie zamierzałam odpuścić.

-Bo bardzo potrzebuję.

Jaknie, wal śmiało, zakręcę się wokół Mięcia.

- Taak?

- Uśmiechnął się pod nosem.

-Wymieniłabyś mnie na Mietka z powodu dwóch stówek?

- Wokół kasy Mięciasię zakręcę, baranie!

- wkurzyłamsię.

Rozstawialiśmy stołki i stoliki, w knajpie jeszcze nie było nikogo.

Magda zdecydowała w okresie zimowym otwierać lokal dopiero drugiej.

- Potrzebuję dwóch stówek, bo matkaczepia się mnio godziny pracy.

Zarobiłam mniej, niż jej zdaniem powinnam.

Z wiadomych powodów -wygarnęłam.

-Oj - przejął się Paweł.

Naprawdę się przejął.

- Jak tak, to trzeba to jakoś rozwiązać.

Ja akurat w tym tygodniu jestem zupełnie splukany, kupiłem sobie wieżę.

Ale coś wymyślimy Hej.

- Wyciągnę rękę idiotką mojego policzka jednym palcem.

-Hej, nie martw się.

- Jak mam się nie martwić?

- rozżaliłamsię nagle.

-Nie rozmawiasz ze mną, nawet nie zadzwoniłeś, tylko próbujesz coś tam podpytywać przez

Dudusia, głupio zresztą.

Dudek to plotkarz.

Traktujesz mnie jak.

jak.

nie wiem, jak mnie traktujesz - zakończyłam żałośnie.

- Nie mam pojęcia, co się dzieje pomiędzy nami.

Paweł przysiadł na blacie baru i patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

Zrobił głęboki wdech i wziął moją dłoń w swoje dłonie.

- Też nie mam pojęcia - powiedział z westchnieniem.

- Toty, Domisia, ze mną nie rozmawiasz.

To ty masz swoje życie, różnego rodzaju zobowiązania, o których nie byłaś uprzejma mnie poinformować, chociaż dobrze wiedziałaś od pewnego czasu, że mi na tobie zależy.

..Podobasz mi się, lubię z tobą pracować, nawet gdy przez cały wieczór panuje między nami to dziwne milczenie.

Uwielbiam się z tobą kochać.

Mam wrażenie, że o tym wiesz, i wiesz także.

No, wszystko wiesz, w każdym razie staram się to wyrazić.

A ty ciągle milczysz.

Myślisz, że mi jest łatwo?

Nie uważasz mnie za przyjacielą.

A ja bardzo, bardzo chciałabym nim być.

Podniosłam na niego zdumione oczy.

- To dlaczego.

dlaczego nic nie mówiłaś, o nic nie pytałaś?

- poskarżyłam się.

-Myślałam, że zależy ci tylko na jednym - wyznałam.

- Zależy mi.

Na jednym, jedynym: na tobie.

Nie chciałem pytać.

- Możesz pytać, o co tylko chcesz - wymamrotałam prosto

102

w jego sweter, bo moja głowa jakoś znalazła się na wysokości jego brzucha, ciasno wtulona.

Bar, na którym siedział, jest dosyć wysoki.

- Zawsze mogłeś.

- Powiemy Magdzie?

- zapytał natychmiast Pawelek.

- Nie chcesz dłużej ukrywać, to głupie.

Zawahałam się.

Nie wiem, co na to Magda.

To znaczy- wiem, Marta mi mówiła.

Raczej nie lubi romansów w pracy.

- Może jeszcze nie teraz?

- zastanowiłam się głośno.

Paweł zeszywniał lekko i wypuścił mnie z objęć.

- Sam widzisz - powiedział wyrzutem.

- To ty nie traktujesz nas wystarczająco poważnie.

Był miły, zagadywał mnie przez cały dzień, na mało istotne, zabawne tematy.

Ale to on dziś wieczorem powiedział, że musimy już iść do domu.

Czuję, że wszystko wymykami się z rąk.

I że aż boleśnie - sam nie wiem, czego chcę.

Wracałam nocnym, szkoda pieniędzy na taksówkę.

Nie wiadomo skąd zaczął padać deszcz, bury, smutny i brzydki.

Za trzy dni Wigilia.

Dwudziesty trzeci

Z racji mojego nie do końca przemyślanego urlopu kilka dni temu pracuję do samego końca, do jutra, i właściwie nie biorę udziału w przedświątecznym szaleństwie.

Zapomniałam już prawie, na czym polegają udane święta według mojej matki.

Niezależnie od liczby osób w domu, kilka dni wcześniej panuje absolutny obłęd zakupowo-kulinarno-sprzątalniczy.

Zwykła sobota pomnożona przez pięćset.

Przylapałam mamę, jak małą szczotką szorowała do połysku wnętrze pawlacza, na którym znajduje się zazwyczaj pewna ilość zapasowych reklamówek i korki elektryczne.

Byłam ciekawa, czy korki też wypucuje do białości, polerując szmatką, i nie pomyliłam się wiele.

Reklamówki złożyła w koszyk i podzieliła na trzy kategorie, według grubości i wzrostu.

- Po co to robisz?

- nie darowałam sobie.

Szykowałam się do wyjścia.

- Spodziewamy się gości maniakalnie zwiedzających skrzynki z korkami?

- To są święta- odpowiedziała mama, promienna i w dobrym

103.

humorze.

- Zapraszamy Boga do mieszkania.

Poza tym niewolnowchodząc w Nowy Rok ze starym bałaganem, tłumaczyłam ci to, kiedy byłaś malutką dziewczynką.

Moja matka to mutant.

Gdyby mi ktoś kazał porządkować wnętrza wszystkich szafek, zgrzytałabym zębami na samą myśl. A ona jest szczęśliwa.

- Czytałam kiedyś, że mężczyźni mają największe poczucie harmonii i kontroli nad swoim życiem, kiedy prowadzą samochód, a kobiety, kiedy trzymają odkurzacza w ręce - uśmiechnęła się mama, jakby odczytując moje zbuntowane myśli.

- Jestem typową kobietą.

Jazda samochodem, zwłaszcza po Krakowie, to dla mnie duży stres, bynajmniej nie mam wtedy poczucia kontroli, wręcz przeciwnie.

Widziałas, że młodemu rosną zęby z tyłu?

Za chwilę będzie miał komplet.

O której wracasz?

Będę piekła makowce.

- Nie mam pojęcia, mamo - powiedziałam, co dotyczyło zarówno powrotu, jak i zębów młodego.

- Wiesz przecież, że pracujemy do ostatniego klienta.

- Zapłacili ci za te poprzednie nocki?

- przypomniała sobie natychmiast.

- Dzisiaj zapłacą - powiedziałam lekko i zamknęłam za sobą drzwi.

- Tylko nie zapomnij, sprawdzę cię!

- dobiegło zza nich natychmiast.

Czasem ją lubię, tę moją mamę, a później od razu mówi albo robi coś takiego, że flaki mi się wywracają na lewą stronę.

I ciągle mam, patrząc na nią, poczucie winy.

Jeśli widzę ją taką radosną, mimo całej tej krzątaniny, tym gorzej.

O wiele łatwiej ją obserwować, jak jest zgryźliwa, skwaszona i zmęczona całodziennym bieganiem.

Wtedy można pomyśleć krótko: "Nie będę się tak męczyć

tylko po to, żeby później warczeć na otoczenie".

I już leniwo sprawiedliwie.

Ale gdy widzę, jak trud i wysiłek w porządkowaniu wydarzeń rzeczy sprawia jej wyraźną, widoczną satysfakcję, kiedy promienieje, patrząc na to, co uczyniła własnymi rękami, czuję się zupełnie zbita z tropu.

Źródło szczęścia niedostępne dla mnie, choć właściwie - czemu?

104

Dwudziesty trzeci cd.

Hurra!

Magda przytoczyła się, z ogromnym już brzuchem, specjalnie po to, aby podzielić się z nami opłatkiem, oraz - uwaga!

- poto, żeby wypłacić nam specjalne, świąteczne premie.

Dostałam pięćset złotych ekstra.

Kocham ją.

Spadło mi jak z nieba, nie muszę nagabywać Pawełka ani w ogóle nikogo.

Niech się gryzie.

Paweł był dziwnie poruszony, uśmiechał się do mnie ciepło, potarł policzkiem o moje ramię, niby przypadkiem, ale kilka razy.

O dwudziestej drugiej powiedział, że jeśli chcę, mogę iść już do domu, na pewno czeka na mnie dużo obowiązków przed świętami.

Pocałował mnie w policzek i wręczył kurteczkę.

Sama nie wiem, coo tym myśleć, bo nastawiłam się psychicznie na malutką randkę w godzinach.

- Mamo, zapłacili.

- Tryumfalnie położyłam stos banknotów na blacie, starając się oddychać w jej kierunku i zachować trzeźwy, promienny głos, albowiem "opłatek" zasadniczo był w płynie.

Cholera, mogłam pić sok jabłkowy, jak szefowa.

Ale nie piłam.

- Bieżące, zaległe i trzy stówki premii, na święta.

- Phi!

- powiedziała moja matka.

- Trzy stówki, też się wysilili!

Półwy prezentów byś za to nie kupiła, powinno być co najmniej pięć.

Było, mamusi, było, tyle że nie tobie o tym teraz wiedzieć.

Aaaaa!

Kurde, mo! prezenty!

Dwudziesty czwarty

- Mamo, jamuszę wyjść - zapowiedziałam przyśniadaniu.

- Zapomniałam.

ważnych notatek na studia, w.

w pracy jak ich dzisiaj nie odzyskam, to przez święta nie będę mogła się uczyć.

- Gdzie ty masz głowę?

A dzisiaj w ogóle ktoś us[^]s pracuje?

Barbarzyńskie zwyczaje.

Bezwzględny, galopujący kapitalizm i wyzysk człowieka - perorowała moja matka, ostrząc nóż.

Zasadzała się na karpia, od trzech dni zajmującego wannę, przynależącą do mojego pokoju.

Może to i dobrze, do łazienki rodziców wchodzi się tylko przez ich sypialnię, stresuje mnie to.

Wiem, co bym

105.

czuła, gdyby przez moją sypialnię bez przerwy pielgrzymowały tabuny dzieci.

Choć tu nie ma tabunów, tylko ja i Marceci.

Młodego i tak mama kąpie w swojej łazience.

Zostajeja.

Ale ja lubię kąpać się dwa-trzy razy dziennie i mam wrażenie, że mojej gospodarnej matce to się nie podoba.

Jakby mogła, zamontowałyby dozowniki na wodę, jakna mydło w płynie.

Można użyć, ale rozsądnie określoną ilość.

- Muszę się kiedyś spotkać z tą twoją szefową - kontynuowała.

- Nie można tak.

- Daj jej, mamo, spokój - poprosiłam słabo i zastosowałam żelazny argument.

- Ona jest w ciąży.

Adziś musi być chociaż przez chwilę otwarte, bo.

bo..

bo to dzielnica żydowska kiedyś byłą płaczą się po niej wycieczki z Izraela.

Oni mają gdzieś nasze święta, zato pozostawiają sporo kasy.

- Tak się żydostwu podporządkowywać - burknęła matka.

- Niepodoba mi się.

Jak musisz, to idź, byle szybko.

Moja mama chyba przesadza z tym negatywnym nastawieniem, od pamiętnego wieczora, kiedy to miała okazję zaobserwować, w jakim stanie wróciłam z pracy.

Pomijając fakt, że zazwyczaj ten stan jest dużo gorszy.

Biedna Magda.

Zaocznie spadają na jej głowę zupełnie niezasłużone gromy i kalumnie.

Wcale nie muszę iść do pracy, nieprawdą jest też to, jakoby lokal był dzisiaj otwarty.

Po prostu muszę polatać po mieście i nabyć

prezenty dla rodziny, o których wcześniej kompletnie zapomniałam.

Tak na amen.

Rynek wygląda bajkowo, rozświetlony tysiącem świecidełek, wszędzie tłum podobnie myślących jak ja, którzy zawsze wszystko pozostawiają na ostatnią chwilę.

Rozpychają się przy straganach, wypełniają sklepiki.

Znalazłam co trzeba, nawet szybko, ale dziwnie nie chciało mi się wracać.

Zadzwoń telefon.

Moja matka, roztrzęsiona zupełnie.

- Błagam, pomóż, stało się nieszczęście - zaapelowała bez wstępów, a mnie serce podeszło do gardła.

Marceci!

- Jesteś może gdzieś w pobliżu placu targowego?

Jakie nieszczęście wymaga placu targowego, i to takim tonem?

- Co się stało?

- zapytałam, głosem mi zadrżał wyraźnie.

106

- Ten karp!

- wydyszała moja matka.

- Ten karp jest jakiś dziwny. Niby świeży, zabiłam go pół godziny temu, ale jakiś żółty.

Mięso, mam na myśli.

I śmierdziećchemią.

Czy ty mu czegoś przypadkiem niedolałaś do tej wanny?

- Nie przypominam sobie - parsknęłam.

Ulgi rozbawienie przetoczyły się przezemnie wielką falą, aż przysiadłam na ławeczce przedmiesiączką beczką zgrzanym winem.

- Oj, mamó, myślałam, że stało się coś poważnego.

- Nieudana Wigilia, bez karpia, to twoim zdaniem mało poważna sprawa?

To po co ja się tyle męczę, wysilam.

Nieważne, nie spodziewam się z twojej strony nie wiadomo czego.

Proszę cię tylko, załatw karpia, jeśli jeszcze będzie, takiego półtorakilogramowego, z rzadką, dużą łuską.

Konieczny wybierz takiego, który żywo się rusza, zajrzyjmu w skrzela, mają być różowe, i w oczy, nie mogą być mętne.

Możesz poprosić, żeby ci go ubili, ale przy tobie!

Jakby sprzedawca chciał gdzie indziej, wejdź z nim na zaplecze, bo on często podmieniają!

Klient wybierze sobie karpia, a oni - myk- i wciskająmu jakieś cięstwo, które zdechło dwa dni temu.

Tak więc patrz im na ręce, a jak ci go poda, to obejrzyj dokładnie, czy to ten sam.

Konieczny sprawdź skrzela.

Jak będą ładne, możesz kupić dwa, zamrozę i będzie na Trzech Króli.

Liczę na ciebie, córeczko.

Wracaj jak najszybciej!

Uff. Cała moja matka.

Dobrze, że w krocze mi nie kazała zaglądać, chociaż może karpie niemają krocza.

- Mamó - dzwoniłam doniej chwilę później, starając się odpowiednio przejąć rolę.

- Niema półtorakilogramowych, są albo takie małe, albo ponad dwa.

Te średnie się skończyły Były dwa, tylko miały mętne oczy.

Różne rzeczy w życiu robiłam, ale żeby latać po całym mieście z wywieszonym językiem, i zaglądać napotkanym rybom prosto w oczy?

Tego jeszcze nie przerabiałam.

- Poszukaj jeszcze!

Małe mają dużo ości, a duże śmierzamulem- powiedziała mamai odłożyła słuchawkę.

Obleciałam trzy sklepy i jeden plac targowy.

Wszędzie to samo.

Znam swoją matkę, i wiem, że jeśli wrócę z karpem w złym rozmiarze, święta będą zepsute.

Moja mama smaży rybę, ale potem będzie ją żuła leniwie, przypatrywała jej się natarczywie i wzdychała.

Swoją drogą ciekawe, co się stało z katem zamieszkującym moją łazienkę?

Używał mojego płynu do kąpieli?

107.

Znalazłam!

Po półgodzinie, jak już wracałam do domu, z zamiarem wyciągnięcia ojca do hipermarketu, bo tu w Śródmieściu marne szanse.

Ale w jednym z sklepów, dosłownie przy przecznicę od mojego domu, zauważyłam napis: "Piękne karpie królewskie, promocja!

".

No imam.

Piękne, królewskie, półtora kilo jak w mordę strzelił, sama nie wiem, jak im się udaje takie równe wyhodować.

Może bilansują im dietę, jak cukrzykom, aż do osiągnięcia wagi idealnej.

Te ruchliwe z natury dostają dwie granulki więcej.

Odmierzane pipetką.

Miały skrzela, jak trzeba i oczy promienne jak dwa brylanty.

Za

życia przynajmniej.

Zaniosłam je do domu biegiem, żeby im te oczyszczenia nie zaszybieli mem śmierci i żeby potem nie było na mnie.

Mama była zadowolona i z miejsca usadziłam mnie do lepienia pierogów.

Tata bierał choinkę.

A Marceli rozbierał.

- Dominika, masz jakieś drobne?

- zapytałam mama.

- Potrzebuję dla Świętego.

Moja matka w święta oprócz rodowych tradycji uprawia jeszcze przesady osobiste i piecze dla swojego ukochanego świętego Spirydiona ciastka z monetami.

Przez całą wieczność leżą na stole, w specjalnym koszyczku, a w Nowy Rok gdzieś je wynosi.

Do tej pory nie wiem, gdzie.

Nikt z rodziny nie słyszał o podobnej tradycji i wszyscy uważają to za nieszkodliwe maniactwo.

Matka twierdzi, że dzięki tej składanej w samotności ofierze Spirydion ma w opiece nasz dom i kasę, przez cały rok.

Kilka lat temu wymogłam na niej obietnicę, że jak już będę miała porządną, własną dominię dzieci, zdradzi mi instrukcję obsługi Świętego.

Widocznie to dziecko, które mam, nie wystarczy, ponieważ nie zająknęła się jeszcze słowem na ten temat.

Przypomniałam sobie, że dostałam całą garść monet od pana z karpiami i upchnęłam je niedbale zgrabiętymi rękoma w kieszenikurтки.

Wyciągnęłam wszystkie.

i jeszcze coś.

Małą, kolorową torebeczkę.

W środku był mały, śliczny wisiołek na cieniućkim, złotym łańcuszku.

Ikartka.

Udało mi się zgarnąć całość niepostrzeżenie i uciec na chwilę do swojego pokoju.

I dobrze, miałam gdzie usiąść.

108

"Głupcy mówią, że opale przynoszą nieszczęście, ale nie wierzą głupcom.

Mieniący się opal zawiera w sobie wszystkie tajemnice świata, a szczęście i nieszczęście zależą od nas samych.

Chciałem Cidać to już na Mikołaja, ale byłaś tak spięta i nieprzystępna, że bałem się wygłupić.

Dużo złego można wyrządzić, trzęsąc się o siebie - a napewno już nic dobrego.

Już nigdy nie będę takim kretynem.

Wesołych Świąt, moja Tajemnicza Dominiko.

Życzę Ciszczęścia, wewszelkich możliwych znaczeniach tego słowa, i tego, co nazywamypotocznie fuksem, ślepym trafem (też się przyda), i tego, co poruszai uskrzydla, uczucia, podobnego do tego, jakie ja odczuwam, trzymając Cię w ramionach.
NiechCi się spełnią kolorowe sny!

"

Bez podpisu,ale po co podpis?
A ja mu nie dałam tymrazem nic, zupełnie nie!
Chyba też zasłużyłam na miano kretyna, to znaczy kretynki.
Zeszłam na dół z głupkowatym uśmiechemna twarzy,aż moja
matka spytała podejrzliwie: "Co ty tam robiłaś?"

".

Obawiam się, że ten uśmiechbędzie mi towarzyszył przez całe
święta.

Możliwe, że dłużej.

Marta

KASOWANIESMS-ÓW

Z GÓR PEŁNYCH ŚNIEGU, TU PANUJE MIKROKLIMAT, WOKÓŁ DOMUCHODZI

SIĘ TUNELAMI!

JUŻ PO PASTERCE, ŚLĘŻYCZENIA DOBRYCH, CIEPŁYCH, SERDECZNYCHI
ŚWIĄTECZNYCH DNI.

MARYŚKA

Też życzenia, alejak bardzo inne.

okrucz światła od osoby,która równieżpo licznych wybojach drogą zdecydowanie
nieprostądotarła do miejsca, gdzie jestjej dobrze.

Czytamwiadomość zszerokim uśmiechem i życzę jej jak najlepiej.

Należy się dziewczynie.

I trochę zazdroścę tej pasterki.

Ja też w tym roku miałam bardzo ambitne pasterkowe plany, ale po szalenie intensywnej,
pełnejśmiechu, hałasu idzieci płaczących się wszystkimpodnogami Wigilii u teściów - było nas
jużczternaście sztuk,licząc z najmłodszympokoleniem kiwającym zaślinionymi mordkami w
wysokich

krzeselkach - w końcu nie marzyłam już o niczym innym jak o gorącej, relaksującej kąpieli i własnym zatłoczonym przez potomstwo łóżeczku.

Na pasterkę pójdziemy w przyszłym roku, już na pewno!

I tak było pięknie.

Dawno, dawno temu - to już dziewięć lat - nastąpił taki smutnyrok, w którym w ciągu miesiąca odeszli do lepszego ze światów kolejno: mój dziadek (ojciec taty), mój ojciec i moja prababcia (babcia mojej mamy).

Trzy filary, na których niezauważalnie wspierał się cały tamtendom.

Jakwiele to zmieniło, widać było dopiero, gdy nadeszły kolejne święta i okazało się, że - ponieważ niema już prababci, nieodbędzie się wielka rodzinna Wigilia, która odbywała się zawsze. Odkąd pamiętam.

Zabrakło osoby, wokół której zbierały się dzieci, wnuki, prawnuki.

Podmuchiwnego wiatru przeleciał nad głowami i rozproszył nas wszystkich.

Trzech synów mojej prababci pierwszy rozpędziło święta osobno, przy czym ich dzieci i wnuki również pozostały w swoich domach.

Nic pękła i nie znalazł się nikt, kto umiałby w porę zawiązać supełek.

Pierwsze Boże Narodzenie domu mojej mamy: tylko ona, ja i moi dziadkowie.

Nawet nie mieliśmy wprawy w urządzeniu świąt.

Zazwyczaj było tak - Wigiliu prababci, a w pierwszy dzień święt jechaliśmy do dziadka ze strony taty, do całej "tamtej" rodziny - i znowu był wielki stół, ciotki, wujkowie (tato miał czworo rodzeństwa), moje trzy kuzynki, kuzyn z żoną, dużo śmiechu, hałasu i wspomnień.

Podmuchiwnego wiatru przemknął również nad tamtym domem.

W te same święta uświadomiłam sobie, że już nie pojedziemy wizytą.

Skończyło się nagle i nieodwołalnie, nie ma dokogo jechać - i nie ma też komu.

Również z tego prostego powodu, że obie z mamą nie posiadamy prawa jazdy, naszym dyżurnym szoferem był zawsze ojciec.

A zresztą, po co?

Prosto z naszego pustego domu do równie opustoszałego domu, w którym pozostała tylko moja ciocia - i może jeszcze jej córki, jeśli w ogóle chciało im się przyjechać?

Bo całej reszcie rodziny już się nie chciało.

Może spotkamy się na Wszystkich Świętych, nad grobami.

A może nie.

110

To nieprawda, że w naszej kulturze nie ma miejsca dla starych ludzi.

Może ich nie widać - w telewizji, w kinie, na barwnych kolorowych reklamach - może rzeczywiście sprzedaje się tylko to, co młode, zabawne i kolorowe.

Ale oni SĄ.

Omijani w codziennym pędzie, jak kolumny podtrzymują nasz świat i naszą tożsamość, niesprzedawalni i niemal niewidzialni, z czystą miłością i zupełnie gratis gromadzą nas wokół siebie choćby na dwa dni w roku - a te dwa dni, na które się czeka i nosi się głęboko w sercu przez pozostałe tygodnie, choćby nawet nie przychodziło nam to do głowy.

Jak ściany, o których się nie myśli, nie pisze o nich wierszy, rzecz najzwyczajniejsza, najprostsza.

Coś, bez czego nie jest możliwe zbudowanie domu.

I nazwanie go - Domem.

Prosto istnieją, do czasu.

A później odchodzą - inagle nie ma już tamtego domu ani świąt, nie ma potrzeby podtrzymania więzi, niema już nic.

Moje dzieci nigdy nie widziały córeczek mojej najstarszej kuzynki.

Razna dwa lata w przypadkowej rozmowie telefonicznej obiecujemy sobie nareszcie się spotkać i naprawić ten stan.

Później absorbują nas inne, ważniejsze sprawy - a może nie ważniejsze, może nic nie jest ważniejsze

-tylko po prostu bliższe, pozostające cały czas w zasięgu wzroku i uwagi.

Nitka pękła i niema nikogo, kto zechce zawiązać naniej maleńki supełek.

Coraz częściej myślę o tym, że nadszedł powoli czas przejęcia odpowiedzialności.

To takie dziwne uczucie, zwłaszcza jeśli ponad połowę życia spędziło się pod różnego rodzaju ochronnymi parasolami.

Gdy w głębi duszy pozostaje się ciągle niesfornym, roztrzepanym dzieckiem, trochę zbuntowanym, bardzo nieuporządkowanym, podświadomie oczekującym zawsze, że przyjdą dorośli i wezmą się do nas, skrzyczą, pogonią roboty, pomogą ogarnąć ten cały bałagan, który nazywa się - naszym życiem.

I nagle szok - nie ma już bardziej dorosłych ode mnie.

Są tylko - starsi.

Bardziej zmęczeni, bardziej schorowani, powoli rozglądający się za kimś, kto im samym pomoże się odnaleźć.

To ja, chcę czy niechcę, jestem dorosła.

Kiedy to się stało?

111.

Nawet się nie obejrzałam, jak po latach pustych, zimnych, niemalsamotnych świąt znowu jestem otoczona liczną, hałaśliwą, domagającą się przeróżnych rzeczy rodziną.

Ale to już zupełnie innarodzina.

Teraz święta spędzamy w domu moich teściów.

To oni gromadzą wokół siebie dzieci i wnuki -już pięcioro!

Totam powoli zaczyna brakować miejsc przy stole i wszyscy przepychają się, śmieją tłoczą.

I śpiewają kolędy.

Nanich teraz wspiera się Dom -mój i moich dzieci, i ich kuzynów.

I jesttak, jak ma być.

Przyjdzie takirok, kiedypałeczka tej wielkiej sztafety przypadnie mnie, osobiście.

Już o tym wiem.

Jeszcze nie teraz, może za dwadzieścia lat, może za piętnaście.

Może zatrzydzieści.

Już wiem.

I wiem, że warto ją podjąć, jeśli nie się zerwie -powiązać supełkii dalej trwać.

Bez wahania, bez lęku.

Napiszę w końcu do mojej najstarszejkuzynki długi list i zaproszę ją wreszcie do siebie, do Krakowa.

Zawiążę sama, osobiście, pierwszy supełek.

Takie mam noworoczne postanowienie.

NU, NAWZAJEM.

I RYCHŁEGO KOŃCA KANONADY.

DZIECKO MI ZBUDZILI.

Sylwester.

Kochający, wzorowy mąż i ojciec, Duduś.

Szampańskiwieczór spędzaw domu, z rodziną, w związku zczym drażnią gowszelkieprzejawy hałaśliwej zabawy, z fajerwerkami na czele.

Swojądrogą, naszadzielnica chyba oszalała, ostrzał trwa już od godzinyz hakiem i moje młode teżnie śpią, a szkoda, bo jakwreszcie usną, to możemy położyć im do łóżka teściową i pójść sobie w miasto, ha.

A Duduś nie może.

PIJOKI SPAŁEM JUŻ A OD DWÓCH GODZIN JESTEM NANOGACHZ SYNKIEM.

WITAMY W NOWY ROK.

Nie przyjmującdo wiadomości Dudusiowej metamorfozy zwzwierzątko domowe, słaśmymukoło drugiej w nocy alarmujące sms-y, żeby do nas dołączył, bo uspiłiśmy w końcu co nasze, z teściowąwłącznie, i ruszamy w miasto.

Nie odpowiadał, choć czekaliśmy długoi nawet ofiarowaliśmy się pojechaćpo niego cudem upolowaną taryfą.

Nie, to nie, trudno.

Myślałby kto.

112

Z czystejemsty za nocny alarm Duduś przysłał nam tegosms-a oósmej trzydzieści, w Nowy Rok.

Nie rozumiem, dlaczego wymyślamy od pijaków.

Bawiłam sięznakomicie, popijając sok bananowy, czy to naprawdę takie pijaństwo?

Młody skopał mnie po brzuchu od środka i cały następnydzieńspędziłam w łóżku, wypoczywając za dwa organizmy naraz.

StyczeńMarta

FERIE NA BANI

Na początku stycznia, zaraz po sylwestrze, zapakowałam babyw samochód tatusiai kazałam sięodwieźćna narty do Białki.

Wypoczywało tam całe gromadzenie zaprzyjaźnionych mamusięk wraz z dziećmiarnią, głównie z Miśki przedszkola.

Starsze pokolenie;

moja mama, babcia oraz jedna z ciotek rwały włosy z głowy, twierdząc że zupełnie mniej już pokopało, jechać samej, z dwójką małych dzieci i w dodatku w ciąży.

Po pierwsze, nie jechałam sama, tylko wraz z armią koleżanek.

Podrugie, dzieci, owszem, małe, ale nóżki mają i nosić ich nie muszę (takmi się przynajmniej z początku wydawało), a wszystkie inne czynności ciąży są szkodliwe.

Po trzecie, nie jadę w głąb Puszczy Amazońskiej, tylko do nowoczesnej miejscowości wypoczynkowej położonej tuż obok Zakopanego, a w Zakopanem cywilizacja i zaplecze szpitalne jest, i to takie, że niech się cały Kraków schowa w krzewy.

Wiem, miałam tam zajęcia.

Po czwarte i najważniejsze - jestem dorosła i wiem, co robię.

A po piąte, moja teściowa jakoś włosów nierwie, jedyna z tego towarzystwa urodziła trójkę dzieci i nie takie siupy w ciąży wyprawiała.

Nie zgłosiła zastrzeżeń.

A ja mam do niej pełne zaufanie.

Poszłam, przecież wzięłam pod uwagę swój stan i poszłam na ustepstwo.

Ustepstwo polegało na tym, że namówiłam całą ekipę na wyjazd w styczniu, a nie pod koniec lutego, jak zwykle.

Dzieciom się ferie należą już.

Dla Miśki to ostatnia szansa spędzenia czasu wolnego z narzeczoną, pomijając wszystko.

Rodzice

113^.

narzeczonego zdecydowali się bowiem na emigrację - następni!
-i wyjeżdżają na stałe do Irlandii już w połowie czerwca.

Nie będę jej tego odbierać.
Pojechałam.

Na miejscu luksusy, pokój z szykanami, łazienka dostosowana do moich rozmiarów i na szczęście z wanną, żarcie, które wydatnie przyczyniło się do zwiększenia mojej objętości - w tydzień utylamsześć i pół kilograma, czego nie da się w sposób prosty wytłumaczyć ciążą. Jaja na kiju się zaczęły, jak chciałam się przeprowadzić w kierunku wyciągu. Już pierwszego dnia.

Mój mąż zdeponował nas w pensjonacie i czym prędzej odjechał w stronę dal.
Upchnęliśmy się wszystkie w aucie koleżanki imieniu Dorota, jedynej, która zabrała ze sobą tylko jedno dziecko, Amadeusza, bo tyle ma na stanie.
Malwinka namoich kolanach, jeśli to w ogóle można nazwać kolanami.
Raczej siedziałam młodszemu rodzeństwu wprost na głowie.
Miśka gdzieś pod fotelem, Amadeusz, wbrew wszelkim przepisom, dumny i bładny, jechał przodu i udawał że ma metr czterdzieści.
Narty płatały się wszędzie, kijki włożyły mi do nosa, buty narciarskie pchały się Dorocie pod dźwignię biegów, apłastikowe saneczki waliły ją po głowie.
Naszcześnie do wyciągu nie było daleko.
Pod wyciągiem działa się sceny rozmaite.
Tłum dziki i kolorowy kłębił się, przelewał, tratował, wciskając sobie kijki w oczy i inne części ciała, za pomocą saneczek, nart oraz młodszego rodzeństwa podcinając sobie nawzajem nogi obleczone w obuwie narciarskie.

Jakiś młodzieniec polewał wszystkich z góry grzanym piwem, zapewne bezwiednie i przez przypadek, drugą ręką tuląc do piersi trzy pary nart rozmaitej długości oraz kielbasę zwyczajną, przeznaczoną, jak mi niemam, na grilla.

Brodą przytrzymał komórkę i darł się dramatycznie: "Witek!

Witek!

Tu jestem, na Bani!

".Trudno powiedzieć, czy rzeczony Witek miał go usłyszeć przez telefon, czy raczej również kłębił się gdzieś w okolicy. Trudno było również stwierdzić, w jakim sensie ów hałaśliwy osobnik na bani był.

Przypuszczalnie w dwojakim.

Jakieś dziecko wparowało w sam środek tłumu, narty mu się rozjechały na klasyczną zabę, więc przytrzymało się pana stojącego nieopodal, celując precyzyjnie w tę część ciała, którą miało na wysokości wyciągniętej łapki.

W łapinie majtał się kijek.

114

Pan zgiął się wpół.

Sezon narciarski rozpoczął się na dobre.

Baniato taka górka w Białce, zaraz obok Kotelnicy.

Razem stanowią największy kompleks wyciągów w tej zachwycającej miejscowości i przyciągają licznych turystów.

Wyglądało na to, że przyjechała tu cała Polska i okolice.

Słysząc było języki obce, w tym włoski.

Jakby, cholera, własnych Alp nie mieli.

Wysoka dziewczyna w żółtej puchówce, z dzieckiem na plecach, próbowała precyzyjnie się w stronę najmniej obłożonej ławeczki.

Natrasie stanął jej facet od Witka i kielbasy i ochlapał ją piwem.

Dziewczyna, niewiele myśląc, odepchnęła go nabok z takim impetem, że usiadł z jękiem na tylnej części ciała, gubiąc komórkę i rozsypując narty.

Piwo nadal dzierzył wysoko, w uniesionej dłoni, i niewychlapał go owiele więcej niż poprzednio.

- O Jezu, przepraszam - pochyliła się nad nim dziewczyna - przepraszam najmocniej.

Wie pan, ja akurat odwczoraj rzucam palenie.

Facet spojrział na nią z dołu nagle wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A, rozumiem - powiedział.

-1 jak?

- Jak widać na załączonym obrazku - roześmiała się dziewczyna, posadziła dzieciaka na ławce i pomogła zbierać rozsypany sprzęt.

- Przebojowa się zrobiłam aż przesadnie.

- Nic nie szkodzi - zapewnił ją facet, otrzepując telefon ze śniegu.

- Cholera, wyłączył mi się.

- Ojej - zmartwiła się dziewczyna.

- Może wyschnie.

- Spoko, bateria się odłączyła - odkrył chłopak, wstając w końcu z podłoża z pewnym trudem.

- No, działa.

- Cał szczęście - westchnęła z ulgą dziewczyna.

- Nie żryj tego, to nie nasze!

- rzuciła się w kierunku ławeczki i chłopaczka, który z zapalem konsumował oścypka ciągnącego się jak sznurówki.

- No i skąd ty to wzięłaś?

Dzieckonie miało więcej niż półtora roku, ale przysięgam, wrzuciło ramionami.

Dziewczyna rozejrzała się ^radnie po okolicy.

- A niech je na zdrowie - powiedziała jakaś zażywna babeczka, pochylona nad grillem, na którym smażyło się ze dwadzieścia identycznych kawałków krakowskiej.

Grill obracał się i cztery osoby wpatrywały się w niego z natężeniem, próbując zapamiętać, która kielbaska należy do nich, a która do sąsiadów.

Babka padła na pomysł i w swoje kielbaski powtykała wykałaczki.

- Ten ser to mojej wnuczki, nie ma sprawy.

Przyjedzie, to pójdzie sobie ponastępny.

Najbardziej itak lubikupować, a potemsmażyć, jeść już niekoniecznie.

- To ja panikasz oddam, dobrze?

- ofiarowała się dziewczyna.

- On lubi przesadnie jeść, o, już zeżarł.

Zostaw!

- Przytrzymała dziecko za kapturek, bo pełzło po ławeczce w kierunku upatrzonej kielbaski w stanie surowym, którą jakaś mamusia nacinała dopiero ostrym nożem.

- No cholery dostanę.

Dam ci jogurcik, kochanie, dobrze?

- Pochyliła się nad młodym.

- Nie dobrze- odparł młody zdecydowanym tonem i sięgnął po kielbasę.

Przyglądała się mu z wyteżoną uwagą.

Cholera, mam wrażenie, że znam to dziecko.

Kontemplację zachwycającej scenki rodzajowej przerwałami

Miśka, która dołączyła do mnie, spokojnie przejeżdżając ludziami po nogach.

- Malwinka z Jaśkiem pod płótnem - doniosła konfidencjonalnie.

- Z nogami do góry.

Zerwałam się jak oparzona.

No tak, ja sobietu obserwuję poczynania cudzych dzieci i młodzieży, a tymczasem moje własne poszło sobie w siną dal.

Toznaczy prosto pod wyciąg.

Jasiek tonaręczony Miśki, od lat trzech.

Niezmiernie przypadło gustujcej młodszej siostrze, ale na szczęście nie spodziewam się tego powodu jakichś krwawych dramatów, po pierwsze dlatego, że Jaś jest wierny i inne adoratorki nie robią na nim przesadnego wrażenia, po drugie dlatego, że Malwinka ma dwa lata, pięć mniej niż obiekt uwielbienia, co akurat w tym wieku stanowi różnicę dyskwalifikującą.

Piętnaście lat później może nie być tak łatwo.

Malwinka i tak, ilekroć widzi Jasia, stara się jak może, chodzi zanim jak po sznurku, głaszcze go, przytula i zagląda mu w oczy.

Oraz stara się naśladować każdy jego ruch, niekiedy na moje nieszczęście.

Godzinę wcześniej Jaś się wygłupił i czekając na swoją kolej nawyciągu, wywinął pięknego orła na śniegu pod płótnem.

Malwinka, która akurat stała tam ze mną w charakterze kibica, obserwując wyczyny sportowe starszej siostry i jej ukochanego - natychmiast poszła jego ślady.

Co więcej, uznała, że jest to miejsce do leżania na śniegu najlepsze i jedyne.

Nawet jak starałam się ją wynieść

116

odrobinę dalej - jeszcze mi jakiś rozpedzony narciarz przejeździł markulę bez kasku - natychmiast wyrwała się i z rykiem podzieliła się właśnie tam, choć Jaś już zrezygnował z rozrywki i wrócił na wyciąg.

Miśka również - i z miejsca wywalila się spektakularnie.

Półowę trasy zjechała na zębach, co jej nie zachwyciło.

Jasiek tak się zagapił na jej poczynania, że upadł i przejechał po nim snowboardzista.

W jednej sekundzie zabrakło mi rąk, nóg i w ogóle zdolności bilokacji.

Matka Jaśka jeździła tymczasem ze starszym synem nadużym wyciągu, gdyż zapewniłam ją pogodnie, że sobie z tą trójką poradzę.

Hmm. Nie poraz pierwszy okazuję się przesadną optymistką.

Dorota, nieoceniona kumpela od samochodu, poszła kibicować swojemu synowi na pierwszej w życiu lekcji z instruktorem.

W ten sposób zostałam sama z plecakami, Malwinka, własnym wielkim brzuchem dodatkowo musiałam mieć na oku dwójkę szanownych narzeczonych, wracających do zesłorocznej formy namalym wyciągu.

Naszcześnie Miśka, dojechawszy z nartami w powietrzu na samdół, pozbierała się samodzielnie, do Jaśka doleciała obsługa orczyka i wypłatała go ze snowboardzisty, a Malwinka? Cóż, wielce zadowolona leżała w ulubionym miejscu, patrzyła w niebo i machała wszelkimi możliwymi kończynami.

Zestresowałam się i zarządziłam przerwę.

I dopiero wtedy zabrakło mi moich własnych dodatkowych klonów.

Miśka chciała pić, Jasiek sikać - przy czym trzeba mu towarzyszyć, bo sam się kombinezonu nie wypłacie, młoda dorwała metalowy szpikulec służący do smażenia kiełbasy i zapagnęła nadzieć na niego cokolwiek.

Zaczęła od butów starszej siostry.

Auuu!

Skazałam bliźnich na spektakularne efekty akustyczne, wydarłam jej szpikulec, wręczyłam młodemu po butelce z napojem, przykazałam Miśce pilnować Malwinki - może sobie nawet na niej usiąść, byle nie zdążyły zrobić nic głupiego - i polecałam wysikać Jaśka.

Po drodze zderzyłam się na szczęście z jego mamą, która też jeździła na przerwę.

Zostawiłam jej tańczącego drobnymi kroczkami potomka i wróciłam do stolika.

Miśka z Malwiną, piszcząc potwornie, ćwiczyła na sobie szczypanki wykręcane.

Gdyby wzrok ludzkimógł przybierać formę stałą, zginęłabym ukamienowana.

Po przerwie podrzuciłam Miśkę mamie Jaśka, w charakterze odwetu, a mnie została do pilnowania jedynie młoda oraz pięć ple117.

czaków.

Oczywiście znowu udało jej się zwiać.

Gdyby plecaki miałynóżki, na pewno również poszłyby w ślady mojej córki.

Pozostawiłam plecaki pod czujnym okiem paniod wykałaczeki pobiegłam zgarnać Malwinę z trasy zjazdowej.

Jak dobrze, że mój najmłodszy potomek jeszcze mieszkaw brzuchu i nigdzie zwiać nie może. Jakbym miała ze sobą Ich Troje, a wszystko mobilne, to by się dopiero wszyscy dowiedzieli, że jestem, jaka jestem.

Nie wiem, czyza dwa lata odważę się pojechać znowu sama, czywtedy będębezwzględna, złapię męża, zwiążę, żeby nie przeszkadzałw pakowaniu i nadam jako przesyłkę poleconą, bo nie ma nic bardziej stresującego niż podróż z facetem, który bez przerwy narzeka:

"Czy musiałaś brać tyle rzeczy"!

Czemu młoda tak jęczy,zrób z niącoś!

Naprawdę musimyco chwilkę się zatrzymywać na siku?

Miśka,nie kop w mój fotel, bomnie to rozprasza.

". Przy czym podróżzsamcem pociągiem albo autobusem nie wchodzi wgrę, w jakiś niepojęty sposób jest dużo poniżejpoziomu jego osobistej godności.

Facet musi się przemieszczać własnymsamochodem i zrzedzić.

Z dziećmi (pociągiem) pojedają, a męża wysłę pocztą.

Rozpakujędopiero w pensjonacie i będę trzymała krótko.

Przeżydzień.

Przy dwojce jeszcze się jakoś hamuję i wbrew zaleceniom psychoterapeutów tłumię negatywne emocje.

Na szczęście dla otoczenia.

Wzięłam Malwinę pod pachę, ażrozdarła się w niebogłosy:

"Ciem lezieć!

Ciemlezieć!

Ciem gżibka!

".

Grzybki to oscypki i z dwojga złego lepiej zainwestować w jednego niż leżeć.

Do panaz grzanympiwemdołączył posepny młodzieniec, zapewne Witek.

Dziewczyna w żółtej puchówce znikła wraz z dziecięciem.

Wrąz nimi przepadła gdzieśjedna zmoichosobistych kiełbasek, przygotowanych nagrilla, które w oczekiwaniu na swoją kolejkę położyłam na plecaku.

Mam nadzieję, że młodemu nie zaszkodzi, bo to byłakiełbasapięciodniowa.

Kupiona w Makrow ilościach hurtowych, z przyczyn oszczędnościowych.

Gotówkimamy ostatnio tyle,co kot na18

plakał, przyczym przez dwanaście lat hodowania kotów ani razunie widziałam kocich łez.

Tatus uruchomiłkartę kredytową i prowiant dodatkowytypusoczki, wafelki, kiełbaski i symbolicznailość piwaprzyjechał z namiz Krakowa.

Forsa, którą przywiozłamze sobą,wystarczyna opłacenie pobytu, kilku lekcji z instruktorem dla

Miśki, tygodniowego karnetu nawyciąg i może jeszcze na jedną kawę jedną porcję frytek dziennie.

Co tam,i tak jest fajnie.

Jasiek zimpetem wjechał w budkę od wyciągu.

Wyciąg się zatrzymał, a z budki, jak diabełz pudełka,wyskoczył bardzo brodaty jego mość z ogniem w oczach, ale nawidok maleńkiej kupki nieszczęścia osuwającej się po ścianiewyraźnie zmiękł, pomógłJaszkowi pozbierać się z podłoża, poprawiłmu kask,opadający naoczy, wyjął z kieszeni chusteczkę, wytarł młodemu nos i podprowadził chłopca wyżej, do kolejki.

Bardzofajni ludzie tupracują.

Parsknęłam śmiechem, bo przypomniał mi się obóz narciarskina Słowacji,jeszcze w liceum. Pojechaliliśmy do miejscowości Zuberec - Zverovka, był tam niewielki ośrodek narciarski zwany

Rohace, składający się z trzech wyciągów o bardzo różnym stopniu trudności.

Największy wyciąg był orczykowy, podwójny, starego typu zwanego popularnie patyczakiem.

Wyciąg służył nam do zacieśniania więzi międzyludzkich pomiędzy uczestnikami obozu i nie tylko.

Najwyższa dziewczyna w klasie, której nudziło się w końcu wyjeżdżanie wyciągiem z patykiem w okolicach kolan, ona tej wysokości reszta z nas miała zadki, pogardziła w końcu naszym towarzystwem i przerzuciła się na dostosowanego do niej wzrostem kolegę.

Są małżeństwem do dziś mają dwójkę bardzo długich dzieci.

Nagórnej stacji tego wyciągu trzeba było wypuszczać orczyk z ręki powoli i delikatnie, jeśli

zrobiło się to zbyt gwałtownie, wystrzelał do przodu i lecąc szerokim łukiem, walił w kość w budkę usytuowaną na szczycie.

Z budki wyskakiwał brodaty facet, i groził pięścią niefortunnemu narciarzowi, wrzeszcząc: "Ty głupi trupie!

".

Do tej pory nie wiem, czy to zdanie należy tłumaczyć dosłownie.

Ale komunikat śmieszył nas nieprzytomnie niektórzy chłopcy walili w budkę dla czystej rozrywki.

Sam z Kaśką zrobiliśmy tak dwa razy, w celach naukowych.

Nie dowierzałyśmy bowiem opowieściom chłopców same musiałyśmy sprawdzić, czy ten gość tak wrzeszczy.

Wrzeszczał.

W drodze powrotnej z wyciągu do auta wpadłam na pomysł pozornie genialny: chcąc przyspieszyć całą operację, wsadziłam Malwinę na saneczki, właściwie należące do Amadeusza, syna Doroty.

Malwinka była już bardzo zmęczona i nóżki nie działały jej tak, jak powinny.

Dołożyłam jej trochę sprzętu, dwaplecaki, i

wywaliałam wszystko z hukiem napierwszym zakręcie.

Moja córka znalazła się pod sankami, obliczem do dołu.

Pozbierałam wszystko, sapiąc jak lokomotywa - mój brzuch nie nadawał się zbyt do ćwiczenia skłonów - ulokowałam oburzoną młodą z powrotem na sankach, sprzęt również, i pociągnęłam parę metrów.

Po czym znów trafiłam na jakiś wredny wystający kamień i wszystko wysypało się z sanek raz jeszcze.

Tym razem dziecko wylądowała na samym wierzchu.

Efekt tych moich starań był taki, że Malwinka do końca tegorocznej zimy dostawała spazmów na sam widok saneczek.

A ja, chcąc się spieszyć gdziekolwiek, musiałam oczywiście nosić ją na rękach, i wrzeszczała mnie cały świat, z paniami kucharkami z pensjonatu włącznie.

Następnego dnia znowu natknęłam się na dziewczynę w żółtej puchówce.

Tym razem mały żarłok stał tuż przy niej i kurczowościskał ją za kolano.

Wyglądał na głodnego.

Ubrany był w szafirowy skafander, który znałam skądinąd doskonale.

- Marceli?

- spytałam z niedowierzaniem.

W tej samej sekundzie coś mnie z impetem łupnęło w plecy.

- Marta?

- Usłyszałam tuż nad uchem roześmiany głos.

- Dominika!

- zawołałyśmy zgodnym chórem, ja i dziewczyna w puchówce.

- Co tu robisz?

- spytałyśmy następnym chórem, tym razem ja i Dominika.

- Jestem na nartach z babami - powiedziałam, tym razem solo.

- Weź go, błagam, on jest jak szarańcza, zjada wszystkich poluwidzenia - jęknęła tamta

dziewczyna.

- Babcia mu żołądek rozepchała, dawniej tak nie był - mruknęła przeproszająco Dominika.

- Już go biorę, leć pojeździć, a ja tym czasem sobie porozmawiam.

To Marta, moja sąsiadka - powiedziała, pokazując na mnie - a to Iza, moja siostra fakultatywna 120 na. Przyjechała z Madrytu na tydzień i wyciągnęła mnie do Białki.

Fajnie tu jest.

Odpoczywamy od wszystkiego.

- Twoje dziecko zjeżdżało mi kielbasę - przypomniałam sobie.

- Wczoraj.

Dominika wzruszyła ramionami i pokazała palcem na Miskę, szusującą po stoku.

- Twoje dziecko zrobiło mi zdupę garaż.

Pięć minut temu.

Więc jesteście kwita.

Miło cię widzieć.

- Co to znaczy "siostra fakultatywna"?

- zainteresowałam się.

- Myślałam, że nie masz rodzeństwa?

A może to jakiś zakon?

- Coś ty, Iza i zakon!

- prychnęła.

-Jak byłam w liceum, rodzice i przyjaciele moich starych od zawsze, wyjechali za granicę, a ona uparła się, żeby zostać tutaj i kończyć szkołę.

Jesteśmy w tym samym wieku.

Na co dzień mieszkała w internacie, ale każdy weekend spędzała u nas, nie opowiadałam ci?

Przez cztery lata.

Moje rodzice próbowali w tamtych czasach wychowywać i mnie, i Izunię, a my obie zgodnie robiłyśmy im wbrew.

Śmiesznie było, czasem miałyśmy inny pogląd na rozmaite sprawy, ale dzięki Izie nauczyłam się dużo i nie byłam już taka samotna.

Po maturze wyjechała do starych, do Madrytu, a ja za nią, na wakacje.

Czasem się odwiedzamy.

Przeżyliśmy razem najbardziej szalone lata.

Ona jest.

ona naprawdę jesto wiele bardziej moją siostrą niż koleżanką.

A ponieważ pojawia się i znika, więc jest siostrą fakultatywną - wyjaśniła.

-Aha.

Okazało się, że dziewczyny wraz z młodym mieszkają kilka domów dalej, odwiedziłam je tego samego wieczoru.

Jasny pokój, czysto i przytulnie.

Wszystko szło jak w zegarku, jedna karmi dziecko, druga rozstawiała na stole piwko i krakersy.

- Witamy, witamy - powiedziała Iza.

Zauważyłam, że one nawet fizycznie są podobne do siebie, mają te same gesty i podobne głosy.

- Dużo słyszałam o tobie, sąsiadko.

Same miłe rzeczy.

Spędziłyśmy uroczysty wieczór, po dwóch godzinach czułam się, jakbym znała Izę od stu lat.

Obserwowałam Dominikę - odprężona, szczęśliwa, bez zwykłego napięcia w głosie i sposobie bycia. Niesamowite.

- Ona jest dla mnie jak prozac - powiedziała, gdy już wychodziłam.

Coś w tym jest.

121.

Kolejny wieczorek odbył się u nas, zaprosiłam dziewczyny donaszej babskiej komuny i zapoznałam z moimi "przedszkolnymi" mamuškami.

Znowu to samo.

Młody zapiszczał, jedna ponosiła go przez chwilę, potem druga, w tym czasie pierwsza mogła sobieradośniepic, jakoś tak się to wszystko odbywało naturalnie i bezproblemowo, jakby Marcelek był ich wspólnym dzieckiem.

Nieprawdopodobne zgranie.

Znam masę sióstr, całkiem zwyczajnych, i niekoniecznie występujących między nimi zjawisko o charakterze telepatii.

Mniejsza z tym.

Siedziałyśmy w sporym babskim gronie, starszedzici spały w pokoikach, młodszym rozłożyłyśmy barłóg w kącie jak już wszystkie posnęły na kolankach, położyłyśmy je pokotem.

A impreza trwała, tylko na papierosa trzeba było wyjść przeddomek.

- 1 powiedzcie mi, kochane baby - Dorota przeciągnęła się rozmarzeniem i upiła kolejny łyk piwa - po jasną cholerę nam jacyś faceci?

Dominika nieznacznym gestem dotknęła łańcuszka na szyi, na którym wisiało coś ładnego, dopiero teraz zauważyłam.

- Dla ozdoby?

- zaryzykowała.

- Dla ozdoby to ja mogę sobie drewnianego murzynka w kącie postawić - prychnęła Dorotka.

- Pytam o życie.

Zwyczajne życie.

- Żeby nie było zbyt łatwo - mruknęła Mirka.

- Wiecie, "kto nie zazna goryczy na ziemi, ten nigdy nie może być w niebie".

Faceci nam robią życiorysu ścieżkę zdrowia.

- To z "Dziadów" - ucieszyła się Dominika.

- Wystawialiśmy to na Wszystkich Świętych, grałam Zosię.

Opowiedziałyśmy wszystkim zgromadzonym o Banasiowej inscenizacji, przy okazji robiąc reklamę lokalu.

Mietek się ucieszy.

- Przerzuciłam się z powrotem z dziadów nachłopów, powiem wam coś - odezwała się Basia, od czterech lat samotnie wychowująca córeczkę.

- Odkryłam, że się starzeję.

Niby umawiam się czasem na randki, ale tak mi się nie chce.

Mówimi jeden z drugim:

"Chciałbym dziś z tobą zrobić coś fajnego", amniepo głowie chodzi: "Może byś mi tak pomógł w sprzątanii balkonu?"

". Oni mają na myśli posiadówkę najpóźniej, a ja w duchu mruczę:

"Amożebym tak zaległe zakupy w hipermarkecie?"

Półki w piwnicy przybijać, balustradę naprawić, ugotować specjalnie dla mnie

122

obiadek z trzech dań, odebrać młodą przedszkolną?

". Jakby któryś z nich zaproponował, padłabym mu do stóp.

Nie chcę żadnych romantycznych randek, nie mam na to czasu.

Potrzebuję partnera.

- O, to, to!

- przyklasnęła Mirka, szczęśliwa mężatka, matka dwóch dorosłych synów, z których jeden zamierza zostać moim zięciem.

- Ja mam dokładnie taksamo.

Mój mąż przychodząc do pracy mówi zmysłowym tonem: "Amożebym tak gdzieś wyskoczyli?"

". Amnie się marzy, żeby pójść razem, owszem, ale do tego odpowiedniego Urzędu Skarbowego, z którym

sobie jakoś ostatnio nieradzę, do Biura Paszportowego, pogadać z firmami oferującymi przeprowadzki.

Alegdzietam.

On by ze mną chętnie porozmawiał, zaręczkę potrzymał w przypiływie fantazji, po godzinach, a cała reszta świata niech dalej będzie namojej głowie.

Dobrze muz tym.

Czasami mam dość, nie myśl, Baśka, że jesteś wyjątkiem.

Tyzawsze możesz jeszcze upolować macho do tańca i różańca, a jamam osobnikakontraktowanego i dokładnie te same pragnienia.

Żeby takzdjął mi z głowy, choć na chwilę,całodzienną krzątanię.

Odebrałabym to jakzaproszenie na najwspanialszy bankietswiata, najpiękniejszy dowód miłości.

- A on o tymwie?

- wyrwało mi się niechący.

- A twój wie?

- odpaliła Mirka.

-Nie mów, że nie masz podobnych ciągotek, widzęjak wszędzie biegasz z babami sama.

Niemasz nigdy wrażenia, że najseksowniej wygląda facet, który samodzielnie wkłada gary do zmywary?

Albo przewijadziecko z popołudniowego kuponu do pasa?

Zamilkłyśmy wszystkienałuższą chwilę;każda przeżuwaławłasne marzenia i kawałki swojegożyciorsu.

- Masz rację - roześmiałam sięw końcu.

- Do licha,poczwórnierację masz.

Dlaczego nie ma zwyczaju mówienia o tymwprost?

Facetom,mam na myśli?

- Boimy się ichwystraszyć?

- zasugerowała Baśka.

-Niezależnie od stażu związku?

- Boimy się własnej nieatrakodności - szepnęła Dominika cicho.

- Tego, żesame, zaplątane pomiędzyzlewem i zakupami,z głową wypełnionąmyśleniem o dziecku, obiadku, rodzajubalustrady na balkonie, nie wydamy się im wystarczająco sexy.

Więcniezależnieod stażu, jak to ujęła Baśka, udajemy,że wcale nas tadamowa stronarzeczywistości nieobchodzi.

Wszystko się dzieje

123.

lekko, niechcący i mimochodem, a my jesteśmy w głębi serca napalonymi, rozrywkowymi kociaczkami, z którymi można i wódki się napić, i kochać się do rana.

Tak to ma wyglądać.

- Ale tak nie jest.

To znaczy, knajpy owszem, seks do rana również, ale to niewszystko.

Czemu wszystkie boimy się prosić o więcej?

- powiedziała Dorota.

- Przecież same doszliśmy do wniosku, że sprzątanie i dbanie o dom jest bardzo sexy.

Więc skąd ta obłąda?

Może oni myślą podobnie i kręcimy się wokół siebie nanieustającej, kolorowej karuzeli złudzeń?

Wchodząc jeden po drugim w rolę rozrywkowego macho, bo myślimy, że tego właśnie ponich oczekujemy?

- Jeszcze jedno mi się nasunęło - zaczęła z namysłem Mirka.

- Spójrzcie na naszych rodziców.

Nie wiem, jak u was, ale w moim domu rodzice skupiali się głównie na sprawach organizacyjnych, jeśli gdzieś wychodzili razem, to właśnie po zakupy, dokładnie tak, jak nam się roilo przed chwilą.

I wiecie co?

Wcale nie byliśmy znowu szczęśliwi.

Tak, jakby stwarzając nam dom, ramię przy ramieniu, zagubili gdzieś swój drogi własny, intymny świat, siebie nawzajem.

- Popatrzyła na nas uważnie, wszystkie oprócz Izy zgodnie pokiwały głowami.

- Porządek, dzieci na pierwszym planie, życie zaprojektowane z precyzją architekta, tu szukamy dobrej szkoły, tam zbieramy pieniądze na wakacje.

Ich wzajemne relacje praktycznie nie istniały.

- Też niedobrze.

- Mirka pokręciła głową.

- Więc może te wszystkie randki są potrzebne?

- Jaki wniosek?

- spytała celnie Iza.

Siedem kobiet jednocześnie wzruszyło ramionami.

- Jesteśmy ofiarami przemian ustrojowych, ot co - powiedziała Baśka.

- Dla naszych przodków bożkiem był sprawnie funkcjonujący dom.

Uczucia, wrażenia i nastroje były sprawą drugorzędną.

My żyjemy w czasach, kiedy wszystko technicznie jest o wiele prostsze, o nic praktycznie nie trzeba walczyć.

Załatwiać, stać w kolejkach.

My staramy się pielęgnować emocje i trochę się chyba w tym same gubimy. Przed nami, tak

naprawdę, otworzyła się przestrzeń pubów, restauracji, parków wodnych, tych wszystkich cudniek świata, można w nich spędzić życie, nie zahaczając o dom.

Nadrzędnym imperatywem stała się dobra zabawa.

- Jesteśmy ofiarami własnej nieszczerości, przede wszystkim - powiedziałam z głębi własnego zamyślenia.

124

- Może - odpowiedziała Baśka.

- To co, następnego kandydata do mojej łóżnicy mam spytać na wstępie: "Alubisz zamiatać podłogę i zajmować się dzieckiem?"

".

- Może.

- Dominika znowu dotknęła bezwiednie łańcuszka naszyi.

- Może dokładnie tak.

JASIEKI DOPALACZE, CZYLI OGRANICACH WZWIĄZKU CD.

Porankina feriach zawszewyglądają tak samo.

Pierwszabudzi sięMalwinka i tak długo wierci mi palcem woku, aż wreszcie to okootworzę.

Nastawiam zwykle budzik wtelefonie, ale tak naprawdęmija sięto z celem -młoda wstaje regularnie jakieś piętnaście minut wcześniej.

Na szczęście o poranku jest prosta w obsłudze, wystarczydać jej biszkopta - aco mi tam, okruszki wytrzepiemy później - nalać do butelki trochę wody z sokiem i włączyć telewizor.

Program obojętny i tak najbardziej kręcą ją reklamy, a tych wszędzie jest dużo.

Na dźwięk telewizora uaktywnia się Miśka, otwierajedno oko, potem drugie, a chwilepóźniej ubranai gotowa do wyjścia skacze pod drzwiami.

Otwieram jej drzwi, wkładam Malwinie skarpetki, żeby smarkula nie zmarzła - i mogę spać dalej.

Miśka wprasza się na poranną zabawę do narzeczonego.

Mirka, mama Jaśka, twierdzi, że sen ma twardy i nie przeszkadza jejnawet, jak oboje budują jej nagłowie zamek z klocków.

Budzi siędopiero, gdy nastaje pora na śniadanie.

Dziś zbudziła się i usłyszała kłótnię młodej pary.

Bawili się bioniczlami.

To takie pajakopodobne potworki budowane z klocków.

- On musimieć dopalacze- powiedział Jasiek.

- O, tutaj będą.

- Tutaj nie- sprzeciwiłasię Miśka.

- Tu miał być turboakcelerator.

Tutaj mogą być dopalacze.

- Głupia jesteś- powiedział czule narzeczony.

- To sąoczy.

- A nie mogą byćw oczach dopalacze?

- oburzyła się Miśka.

- Nie - powiedział stanowczo Jasiek i zabrał jej zabawkę.

-A nibyczemu nie?

-zaprotestowała kłótniwie Miśka.

- Bo nie - wyjaśnił Jasiek.

-No to cześć - powiedziała Miśka, wychodząc z pokoju.

Wróciła po sekundzie.

- Nie będziesz oglądał tejmojej książki o gadach, bo ci jej nie

125.

pokażę!

Nigdy w całym życiu!

Nawet jak będziesz bardzo starym dziadkiem!

- dołożyła i trzasnęła drzwiami.

Przez chwilę panowała w pokoju cisza, Jasiak zawzięcie budował dopalacze w dowolnie wybranym miejscu i w dużej ilości.

- Tak naprawdę, to chciałem obejrzeć tę książkę - powiedział dotrzymując rękę bionicla.

- Ale jak nie, to trudno.

Adopalacze niemożną być w oczach, bo oczy się spalą.

Przy śniadaniu narzeczeni siedli tyłem do siebie.

- Zostaw - powstrzymała mnie przed interwencją Mirka.

- Dadzą sobie jeszcze po razie i będzie święty spokój.

Muszą się nauczyć.

Jak zwykle ma rację.

Tylko ja jestem niecierpliwa, bo nie znoszę konfliktów.

Dziesięć minut później już siedzieli przytuleni przed telewizorem.

Nawet nie zauważyłam, kiedy się pogodzili.

- Widzisz?

- Mirka się roześmiała.

- Już nie jesteśmy im do tego potrzebne, sami się dogadują.

I dobrze.

Na szczęście Misia nie odziedziczyła zawziętości poróżnionych przodków, choć mogła.

Byle tylko nie była z kolei przesadnie ugodowa, po innych przodkach, czyli po mnie.

Mirka ma rację, że mnie powstrzymuje - ja zdecydowanie mam tendencję do uczenia jej uległości, zupełnie nie chcąc. Po prostu cenię sobie spokój.

I jestem niecierpliwa.

Muszę pozwolić jej szukać własnych dróg do równowagi - i doszczędzić.

To o wiele trudniejsze, niż myślałam.

KASOWANIE SMS-ÓW

JA JUŻ DODOMKU, BO NIANIA MA EGZAMIN, BASIADA CI SYGNAŁ, MA TWOJE KROPIDŁO, OLGA CHCIAŁA POŻYCZYĆ, ALE JEJ NIE DAŁAM, UBIERZ SIĘ CIEPŁO, BO JA ZAMARZŁAM.

Joaśka.

Obie obciążone potomstwem, zajęcia odbywamy metodą zmiany warty, ja się spóźniam, a ona urywa się wcześniej.

Mojania też ma sesję egzaminacyjną i przychodzi później niż zazwyczaj, bo zakuwa dorana.

Kler się wypuściła świat po koleżance, w związku z czym w naszej grupie prowadzimy handel wymienny,

126

od tygodnia przekazując sobie nawzajem ciężkie żelazne krzyże, takie do ustawienia na stole, gromnice, słoiki z wodą święconą, białe obrusy oraz kropidło mojej teściowej.

Muszę, niestety, rozczarować Olgę - nie mogę pożyczyć kropidła, bo ksiądz właśnie wybiera się do nas.

Dotarłam w końcu na ćwiczenia, Baśka puściła mi sygnał, co oznaczało, że nastąpił moment sprawdzania obecności i mam przyspieszyć kroku, wkręcić się w tłum dookoła asystentki i bezczelnie udawać, że byłam tu od rana.

Udało się.

Mnie też czekało rozczarowanie, bo roztargniona Agatka zapomniała przetaszczyć gromnice. Kropidło odzyskałam, obrus wręczyła mi Baśka, wodę święconą również, Gosia przekazała mikrzyż z poleceniem, żebym koniecznie wieczorem podrzuciła Grażynce do akademika wraz z całym pakietem, bo ona też ma dziś kolebę, zaraz po mnie.

Zobowiązałam się, toniedaleko.

Kupię podrodze jakieś białe świecek.

Oczywiście zapomniałam, i tuż przed koledą musiałamlecieć donajbliższego kiosku, zostawiając teściowej na pięć minut potomstwo i polecenie czatowania na księdza.

Teściowa podejrzliwieobejrzała własne kropidło, które miało już kilka przygód wśródowisku akademickimi trochęwyłysiało.

Zwaliłamna Malwinę.

Poszłam do kiosku, na rogu naszej uliczki, i grzecznieustawiłam się w kolejce.

- Ma pani może świecek?

- zapytałam.

-Takie białe,możliwiegrube.

Pani uśmiechnęła się uprzejmie.

- Dwie?

- upewniła się.

-Świecek mam, ale.

koperty mi sięjuż skończyły - dodała domyślnie.

Chwilę wcześniej musiała byćcała dzielnica.

Podskoczyłam.

Cholera, zapomniałam o kopercie!

Rzuciłyśmy się z Miśką przeszukiwać szuflady.

Odkąd całą mojąkorespondencję załatwiam mejlowo, takich produktów jak koperta w moim domunie uświadczysz.

Miśka zastanowiła się przez chwilę i poleciała nagórę, grzebaćw swoichmagicznychkolorowych pudełkach.

I ksiądz otrzymałw końcu swoją dolę,w mikroskopijnej różowej kopercie z wymalowaną tęczą inapisem "Barbie".

Nawet okiem nie mrugnął.

^

127.

KROCZE MIAŁAŚ TEORETYCZNIE CZY TYLKO POKAZOWO?

Grażynka, mójjaniół stróż zwydawnictwa.

Pochwaliłam jej siępięknym zdaniem egzaminem z wiedzy o kroczu, czyli z ginekologii. Krocze, wyjaśniam dla porządku, było tylko teoretycznie, chociażjeden egzaminatorów ma zwyczaj przepyttywania studentówz prowadzenia porodu w rozmaitych mniej lub bardziej skomplikowanych ułożeniach i wtedy zamiast długo i pokrętnie wyjaśniać, lepiej jest posłużyć się fantomem, czyli naturalnych wymiarów.

dolną częścią ciała,wykonaną precyzyjnie z drewnai materiałów skóropodobnych.

Do kompletu przynależy jesszczedzidzius ztwardym drewnianym łebkiem i zamszową resztą.

Tymdzidziusiem manewruje się zręcznie podczas egzaminu, wykonując odpowiednierękoczynny, opisane w literaturze według nazwisk.

Uwalnianie rączek metodą Mullera, metodą Lovsetta i tym podobne.

Klinika ma kilkatakich eksponatów na stanie, służąstudentom od lat i wśród nich istnieją kroczabardziej lub mniejprzechodzone, niektórym dzidziusiom poprzedni studenci uwolnili rączki raz na zawszei opróczfantomu zarówno zdający, jaki egzaminator muszą posłużyć się jeszcze znaczną dozą wyobraźni; z różnym skutkiem.

Mnie na szczęście to ominęło.

MÓDLSIĘDO KOGO MOŻESZ.

MAM DYŻUR JESTDZIESIĄTA A JUŻ ZALICZYŁAM OBRZEK KRTANI A TODOPIEROI Z 6 ZABIEGÓW.

Anka.

Czy ja jużwspominałam, że nie chcę być lekarzem?

KUPMIĘSO NA GRILLA SZCZOTECZKĘ ŚREDNIAI SPRAWDŹ MI PROSZĘZĘBY.

Mąż. Na szczęście to ostatnie wcale nieoznacza, że mam mugrzebać w jamie ustnej, tylko że potrzebuje namiaru na dobregodontystę.

Muszę podzwonić po znajomychalbo poszukać w Internecie, ponieważon sam, biedactwo, zbliżej nieokreślonych przyczyn nie może.

Rączki mu od tak przerażających czynnościopadają.

Może za to zorganizować imprezęfirmową od A do Z, dopięćna ostatniguzikbardzo ważny kontrakt i porozmawiać (służbowo)

128

z prezydentem miasta.

Z dentystą nie może, ponieważ jest nieśmiały.

Niepojęte.

Z pamiętnika DominikiNy

Dziwiąty

Ferie z Izą, nieoczekiwane, fantastyczne, minęłyjaksen.

Kosztowały mnie sporo, cooznacza, że przez następny miesiąc nie wyjdęzza baru, ale nic to.

Marcel byłszczęśliwy ija też.

Izunia, mamwrażenie, również bawiła się dobrze.

Zaprzyjaźniła się z Martą.

Wyjeżdżając, szepnęła: "Mam wrażenie, że zostawiam cię pod dobrąopieką".

I nie miała na myśli tylko moich rodziców, chociażichrównież.

Przyjaźni sięz nimio wiele bardziej niż ja sama, mozędlatego, że mimo wszystko nie są to JEJ rodzice.

Z moją matką odzawsze potrafiły gadać godzinami, pamiętam, że w dawnych czasach bylamo to szalenie zazdrosna i robiłam jej sceny nie wprost, Ze mną mama nigdy tak długo i serdecznie nierozmawiała.

Mozędlatego, że Iza mimo wszystko nie była JEJ dzieckiem.

Nie musiała wymagać.

Przynajmniej nie aż tak.

Nie miała teżna myśli Pawła, bo nie zdążyła gopoznać.

Wróciłam do pracy pełna sprzecznychuczuć, tęsknoty i niechęcizarazem.

Znowu przyzwyczaiałam się do codziennej opieki nadmłodym i żal dupę ściska, że muszę go zostawiać mojej mamie.

Postanowiłam, że nie będęzostawać w pracy po godzinach.

A przynajmniej nie każdej nocy.

Musimy to z Pawłemrozegrać inaczej, on sięmusi jakoś włączyć w moje życie.

Jeżeli chce.

Cały czas tkwi mi w głowienasza rozmowa o związkach, na feriach, wbabskim gronie.

A z drugiej strony -jak to zrobić, żebynie ujawniać całej prawdyMagdzie ani moim rodzicom?

Czuję, że jeszcze nie jestem gotowa na tenkrok.

To może byćcoś.

ciężkiego, nieodwołalnego.

Biję się z myślami, pot mi spływa zczoła.

Wirtualnypot.

Mózg paruje.

To znaczy, że jeszcze go mam.

^ 129.

Postanowiłam również, że nie będę aż tyle pić i będę bardziej przytomna o poranku.
Chcę przebywać z młodym w stanie pełnej gotowości, a nie śpiączki wywołanej kacem.

Na razie mi się udaje.

"Na razie" oznacza raptem jeden dzień.

Po prostu wczoraj Pawła nie było w pracy.

Dwunasty

Wciąż jestem wzorową córką i mamuszką.

Do domu przychodzę przed północą, załatwiłam to sobie z Mietkiem - jeśli niema żadnych koncertów, po dwunastej pozostaje niewielu gości i jeden barman znakomicie sobie radzi.
To oznacza, że zarobię odrobinę mniej, ale są rzeczy ważniejsze niż kasa.

Na przykład to, że Marcelek przytula się domnie o poranku, a ja mogę od razu otworzyć oczy na oścież i obsypać go pieszczołami.

Chichoczymy radośnie już od siódmej rano, wczoraj mama przybiegła sprawdzić, co się dzieje.

Nic się nie dzieje.

Prosto spędzam czas z moim synem.

Przygotowuję mu owsiankę, nauczyłam się.

Czytamy książeczki.

Potrafi pokazać tłusciutkim paluszkiem literę "O".

Mój tato go nauczył.

Mamy ambicję wychować wnuka na mola książkowego.

Pawełek, kretyn jeden, skreślił nogę.

Nie będzie go w pracy jeszcze dwa tygodnie.

Dzwoni do mnie codziennie, ale jeszcze nie odważyłam się go odwiedzić.

Czuje się lekko urażony i tym ostatnim, i moim nagłym wyjazdem na ferie, pechowo w dniu, w którym zdarzył się feralny wypadek.

Nogę skreślił w klubie, wynosząc po schodach jedną z klientek, która nadużyła mocnego piwa i zasnęła przy barze.

Nie wiem, co o tym myśleć.

Dlaczego nie zadzwonił od razu, pochwalić się osiągnięciem w dziedzinie wspinaczki po schodach z obciążeniem?

On sam stwierdził, że czuł się urażony, ponieważ moim nagłym wyjeździe zawiadomił go, jak zwykle, Mietek.

Też mogłam zadzwonić.

Chciałam, ale jakoś wyleciało mi z głowy.

Ta wariatka, Izunia, zagarnęła nas dla siebie w całości, mnie i Marcelka, idąca nam trzy godziny na spakowanie się.

Dokładnie tak, zagarnęła nas dla siebie raz, jest chyba pierwszą osobą - i jedyną - która traktuje mnie i mojego syna jak nierozdzielny zespół.

To bardzo pomaga uporządkować różne rzeczy.

130

Myślałam o Pawle dużo, ale najpierw czekałam na odzew z jego strony, a później nie miałam czasu czekać.

Znowu, niechcący, oddaliśmy się jakoś od siebie.

A Mietek, relacjonując mi incydent ze schodami, ruszał brwiami obficie i wyczułam w nim dziwne wahanie.

Ciekawe, co to znaczy.

Pewnie nic, pewnie kolejny wytwór mojej wyobraźni.

Zacząłam ćwiczyć jogę, Iza mnie namówiła.

Ćwiczy od lat, zaczęła jeszcze tu, w Polsce, nawet chodziłam razem z nią na jakieś warsztaty, ale mnie nie wciągnęło tak pogrywkę.

A ją owszem.

Twierdzi, że kilka prostych asan(asanów?

) powtarzanych co dzień sprawia, że jej życie stało się bardziej harmonijne, i że nabrała zaufania zarówno do własnego ciała, jaki umysłu.

Co pomogło jej przetrwać różne ciężkie chwile.

Fakt, ciało ma szczupłe i umięśnione, tylko pozazdrościć.

Emanuje spokojem, inaczej niż za naszych młodych lat.

Wtedy to onabyła bardziej nieuporządkowana niż ja- ponieważ bardziej się bałam.

Nauczycieli.

Rodziców.

Wystawiania nosa poza ramy.

Bardzo mi jej brakuje, choć był czas, kiedy nie poświęcałam jej nawet myśli.

Przelotnej.

Ona mi również.

Jej facet, tam, w Madrycie, dwa lata temu zmarł na raka.

Miał trzydzieści dwa lata, ona dwadzieścia sześci poradziła sobie z tym zupełnie sama, ponieważ rodzice od początku nie akceptowali jej związku i odcięli się.

A o mnie usłyszała, że mam swoje problemy i nie chciała sprawiać kłopotu.

Tęsknię za nią.

Chciałabym, żeby wróciła do domu.

Do tego, w którym mieszkam.

Przecież to również był jej dom.

Gdyby wróciła, może w końcu stałby się też moim domem.

Tak do końca.

Czternasty

Obsługiwałam dziś grupę lektorów języka angielskiego.

Śmieszni ludzie.

Wieczni chłopcy, pozbierani z różnych stron świata, tych, w których od urodzenia mówi się po angielsku.

Uczą angielskiego w różnych polskich szkołach, głównie prywatnych, i trzymają się razem.

131.

Jeden z nich, Brian, porzucił na dłuższą chwilę towarzystwo i usiadł przy barze.

Wciągnął mnie w pogawędkę.

Po dwóch piwach gadało mi się z nim po prostu świetnie.

Brian jest dziwnym człowiekiem.

Żyję w wysoce specyficznym świecie, jakiego w Krakowie liczni nativespeakers - wynajmuje mieszkanie na Kazimierzu, bezpośrednio nad jedną z ulubionych knajp, w tej swojej szkole językowej zgarnia niezłą kasę, którą przeznacza w całości na hulanki, swawole, wysiadanie po barach, życie bez większych zobowiązań.

Wśród jego kumpli są tacy, którzy od lat przemierzają się po Europie, zmieniając kraj, jeśli udaim się narobić sobie gdzieś kłopotów.

Najstarszy kłopot, przynależący do jednego z kolegów Briana ma może z pięć lat i jedyne, co dał mu przefruwający z kraju do kraju jak motylek tatuś, to nazwisko i z łaski na pociechę alimenty w wysokości osmiu procentów z zarobków; nawet Urząd Skarbowy zgarnia więcej.

Nie jest to dla owego młodzieńca zbyt dużym obciążeniem.

Naprawdę - ciekawi ludzie.

Ten Brian jest naprawdę przystojny, tak na marginesie.

Opowiadał mi różne rzeczy, o tym koledze i nie tylko.

Miałam zadzwonić wieczorem do Pawła, ale nie zadzwoniłam.

Mietek znów ruszał brwiami, kiedyś go Bozia skarżyła i mu odpadła.

Wprost dokieliszka z Finlandią.

Szesnasty

Uznałam, że przeginam pałę i że powinnam jednak odwiedzić chorego, to znaczy Pawełka.

Zastałam uniego jakąś babę, podobno

koleżanka, jeszcze z podstawówki.

Ma na imię Olga.

Duże, końskie zęby.

Nie wiem do końca czemu, ale mnie zirytowała.

Pochylała się

nad nim jakoś tak.

zaborczo, jakby obsikiwała teren: "To moje, tutaj byłam".

Wcale nie zabierała się do wychodzenia, chociaż Paweł przedstawił nas wyraźnie.

"To moja dziewczyna" - powiedział o mnie.

A ona wyszczerzyła swoje zęby, jakby chciała warknąć.

I zaparzyła herbatkę, sobie również.

132

Wytrzymałam godzinę czterdzieści, tylko dlatego że postanowiłam przeczekać tę babę.

W końcu poszła sobie.

Paweł aż nadtę wyciercił się i wzdychał, i chyba dotarło.

Nie miał zadowolonego wyrazu twarzy.

Siedzieliśmy naprzeciw siebie, Paweł trzymał mnie za rękę, i nawet, po jej wyjściu, zaczęliśmy się całować, ale rozmowa się nie kleiła.

A z nogą w gipsie naprawdę niewiele można zdziałać, chyba że się bardzo, ale to bardzo chce.

Nam się jakoś nie chciało.

Dziewiętnasty

Krystian napisał do mnie, mrugałam gwałtownie przed ekranem, ale mejl nieznikał.

Wiadomość brzmiała: "Kochanie, załatwiłem już większość swoich spraw, powoli staję na nogi, bardzo chciałbym zobaczyć się z Tobą i z moim synkiem.

Nie chcę, żeby rozdzieliły nas jakieś głupie porozumienia i zawistni ludzie.

Powiedz, proszę, kiedy możesz w najbliższym czasie przyjechać do Łodzi - teraz mieszkam w tym mrocznym mieście.

Wszystko Ci wyjaśnię, tęsknię za Tobą.

Twój K.

".

Potem zaczęłam rozkładać wiadomość na czynniki pierwsze:

Nie wiem, czy to, co się wydarzyło zeszłej zimy, a zwłaszcza wszystko, co przy okazji wyszło na jaw, można nazwać "głupim nieporozumieniem".

Poza tym, od tamtego czasu minął prawie rok!

Przez cały ten czas ani słowa, listu, mejla, nic.

A teraz: "daj znać, kiedy możesz przyjechać"?

A po jakiego grzybamam gdzieś jechać?

Jakich "zawistnych ludzi" ma na myśli?

"Powoli staję na nogi".

Na nogi?

Sam staję?

Fajnie, cieszę się bardzo, ale wydaje mi się, że sporą część zadłużenia, dotyczącą nieszczęsnej firmy-widma, spłaciłam ja.

Kosztowało mnie to prawie czterymiesiące śpiania po dwie godziny na dobę i rozłąki z dzieckiem.

"Pozatwiał sprawy".

I dumny z siebie, kurna mać.

Odpisałam krótko: "Nie wybieram się do Łodzi, pomijając wszystko, mam stałą pracę, a urlop już wykorzystałam.

W weekendy też pracuję albo studiuje.

Nie potrzebuję wyjaśnień, nie interesują mnie.

D."

Po dłuższym namyśle dodałam jeszcze: "Ty mnie również nie interesujesz".

Nie darowałam sobie tej przyjemności.

133.

Odpowiedź przyszła jeszcze tego samego wieczora.

"Kochana Dominiko, nie bądź dla mnie taka surowa, Myślę Tobie dzień i noc i bardzo mi Ciebie brakuje.

Nie mów, że nie byłam dobrze razem.

Wiem, sporozawaliłem (aprzynajmniej tak to wyglądało z zewnątrz), ale mam nadzieję, że zrozumiesz i dasz mi szansę.

Poza tym, mam chyba prawo do widzenia z dzieckiem, jeśli mi go odmówisz, będę zabiegał o to formalnie.

Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Twój K.

".

"Tak to wyglądało z zewnątrz"?

Z jakiego zewnątrz?

Bo ja mam wrażenie, że byłam raczej wewnątrz całego układu, całej obrzydliwej, utkanej przez Krystiana sieci kłamstw i pozorów.

Co mogło wyglądać tak naprawdę inaczej?

Żona, która okazała się za chwilę przyrodnią siostrą tym samym nazwisku?

Drugą dziewczyną (nie pamiętam już jej imienia, chyba Ela albo Ala) okazała się tak

naprawdę sierotką z domu dziecka, której z litości wynajął mieszkanie, i udawał narzeczonego też z litości?

Czysto charytatywnie?

Tabuny chętnych babeczek w każdym mieście?

Wierzyście, którzy rozpętali całe to szaleństwo, boudało im się w końcu upolować nieuchwytnego Krystiana?

Pomylili adres i teraz przysłali telegram z przeprosinami?

Może Urząd Skarbowy też się pomylił i niedługo przysłał miczeki przeprosiny?

Wiem dobrze, że nie.

I nie dam się zastraszyć.

"Zabiegać formalnie".

Nie wiem o co, moje dziecko formalnie ma ojca.

A może jednak można to udowodnić?

Istnieją przecież testy DNA i inne rzeczy.

Rany boskie!

Przestraszyłam się nagłe i odpisałam o wiele ostrożniej.

"Krystian, ja naprawdę nie mogę teraz wyjechać z Krakowa.

Sprawę spotkania możemy uzgodnić, nie potrzebuję niczego od Ciebie, ale wojny też nie chcę.

Wolałabym, żebyś Ty przyjechał, jeśli musisz.

D."

Poproszę Edytkę o wypożyczenie narzeczonego i jego kolegomu szczerze wypełnić miejsce spotkania bandą łysych osiłków.

Krystian zawsze był tchórzem i bał się przemocy

Albo skonfrontuję go z moją rodziną, z cioteczka na czele.

Mam taką ciotkę, język ma ostry jak brzytwa i uwielbia nim jeździć po ludziach i zjawiskach.

dzić po ludziach i zjawiskach.

Na pewno mu powie kilka ciepłych słów, i to tak, że siwy dym po nim nie zostanie.

Wiem o tym doskonale, cioteczka trenuje od lat, między innymi na mnie.

Teraz się przyda.

Ten pomysł jest nawet lepszy niż poprzedni.

Można nawet połączyć jedno z drugim i zrobić garden party.

Ciotka na pierwszym planie, a łysolęw tle.

Zaprosić Krystianka na imprezę, i, proszę bardzo, możemy sobie porozmawiać.

Przy świadkach, moi przyjaciele i ja nie mamy przed sobą tajemnic.

Ten pomysł rozbawił mnie tak, że napięcie opadło i nawet udało mi się zasnąć.

Marcelek pomrukiwał przez sen i macał mnie małymi, chłodnymi łapkami po twarzy.

Nad ranem odkryłam, że śpimy, już spokojnie, trzymając się za ręce.

Po co Krystianowi mój Marcel?

Bo że po coś dziwnego - tego jestem pewna.

Niewierzę, że stęsknił się tak zwyczajnie, jak człowiek.

Dwudziesty drugi

Krystian już nie odpisał, ciekawe, co to znaczy.

Naprawdę to, co się dzieje w głowie tego człowieka, jest dla mnie niepojęte.

Nie potrafię zrozumieć.

Jak można, na przykład, utrzymywać przy sobie jednocześnie trzy baby, i to tak z pełnym zaangażowaniem, żeby każda myślała, że jest tylko jej?

Poco?

Po co zakładać trzy rodziny naraz?

Normalni ludzie tak nie robią, istnieją przecież jakieś granice.

Można na początkowym etapie randkowania flirtować nawet z pięcioma facetami, ale dalej?

Z jedną podtrzymywać małżeństwo, z drugą wychowywać dziecko, trzeciej obiecać ślub? W jakim celu?

To chyba najważniejsze pytanie, być może bez odpowiedzi.

Może bez celu.

Tak po prostu wyszło.

Dopóki nie wyszło całkowicie, to znaczy na światło dzienne.

Był czas, kiedy wydawało mi się, że go znam, rozumiem, podzielam jego upodobania i dobrze nam ze sobą.

To wszystko okazało się fikcją.

135.

Łeb mam jak balon, pełen bolesnych pytań i niechcianych wspomnień, które poruszył jego mejl i teraz nie dają mi spokoju.

Niewiem, co zrobię, jeśli jednak zdecydujesię przyjechać.

Paweł wydzwania, zaprasza, i wypytuje, czemu mam taki zmęczony głos.

W końcu warknęłam: "a jak myślisz?"

"choć mogę się założyć, że prawdziwej przyczyny nigdy nie zgadnie, choćby nawet myślał ciągiem od śniadania do kolacji.

Może idź.

Dwudziesty ósmy

Nadal ani słowa od Krystiana, zupełnie jakby go wysysała (i wypluwała z rządu) wielkaczarna dziura.

Nic to.

Co z oczu, to z serca.

Chyba on też tak ma to od młodości.

Paweł wrócił.

Coś popękało między nami, pomimo dobrych chęci z obu stron.

Ręce straciły przyczepność, myśli chyba też.

Krząjemy się za barem, zabiegani, zaangażowani w pracę aż miło.

Swoją drogą, dziś jakaś ogromna impreza, przylazło wielu panów pod krawatem i pań pod brokatem, przez lokal przelatuje powiew wielkiego świata, powinnam chyba obsługiwać gości z większym zaangażowaniem, bo to podobno rozmaici decydenci.

Może któryś pomógłby mi zdecydować, co mam zrobić ze swoim życiem?

- Wiem od Mietka, że chciałaś wychodzić przed północą, więc.

jeśli chcesz, to idź - powiedział do mnie Paweł tuż po jedenastej.

Obrzuciłam wzrokiem bar, nad którym niezliczone krawaty pochylały się coraz niżej, i popukałam się w czoło.

- A ty rozmnożysz się cichutko na zapleczu, tak?

Przepracowanie?

- Nie, ale.

może dam sobie radę, najwyżej poczekają chwilę dłużej.

Nic im się nie stanie - uśmiechnął się Pawełek.

- Umówiłam się z Mięciem, że jeśli będzie potrzeba, to zostanę.

Nie chrań, mój miły, dzięki za dobre chęci, ale wedwojkę wyrabiamy się ledwo co.

Zostają tak długo, jak będzie trzeba.

- Dziękuję pani bardzo.

- Pochylił się komicznym ukłonie.

- Uratował pani mój tyłek, z którego i tak już się kurczy.

136

Uff. Coś między nami wraca do normy, przynajmniej na gruncie czysto przyjacielskim.

Zgodnie zrobiliśmy sobie po drinku i zgodnie postanowiliśmy odkupić jutro butelkę Finlandii.

Rodzajówki też nam się zgadza.

O drugiej krawaty przy barze zwiślały już malowniczo tu i ówdzie jak zmęczone, przerośnięte dżdżownice i przyplątał się Mietek w celach towarzyskich.

W zasadzie mogłam iść do domu.

Ale nie poszłam.

Piłam sobie radośnie, żartowałam z obydwojma chłopakami, chciałam raz w końcu się zresetować tak zupełnie bez celu.

O trzeciej panowie zdecydowanym ruchem wstawili mi niedo taksówki.

Dwudziesty dziewiąty

Obudziło mnie słońce i radosny głosik mojego dziecka, którego zdeponowała mi na brzuchu mama.

Kac wypełniłmój mózg miękką, obrzydliwą watą, ale postanowiłam się nie poddawać. Poszłamz młodymdo wanny, przeleżeliśmy w niejgodzinę, wypiałam dwadzbanki soku z żurawiny (podobno oczyszcza organizm), poprawiłam czerwoną herbatą i postanowiłam poćwiczyć jogę.

Rodzice weszli do pokoju akurat w momencie, gdy Marceli wybebeszą! moją szufladęz bielizną, zakładając sobie na szyję wszystkie koronkowe majtki, a ja stałam na głowie.

- Co ty właściwie robisz?

- zapytał mój tato.

- Dotleniam szare komórki.

Do organu,położonego najniżej,dopływa najwięcej krwi, przez co poprawia mu sięfunkcjonowanie- zaczęłam tonemwykładowcy,nie zmieniając pozycji.

- Chcę sobie dolać oleju do głowy, więc stoję na głowie.

Mam nadzieję, że mózg zacznie mi pracować odrobinę lepiej.

- Nieżle - przyznał ojciec.

- Może jateż tak powinienem.

- Ty tobyś lepiejpompki poćwiczył - mruknęła mama.

Musiałam wrócić do pozycji wyjściowej, ponieważ stojąc nagłowie, ciężko sięmiać, a urażona mina mojego ojca była naprawdęszałenie komiczna.

W każdymrazie poczułam sięgotowa stawić czoło nadchodzącym dniom.

137.

Luty

Marta

JAJA JAK BERETY

Magda urodziła.

Trzytygodnie przed czasem, ale jej młody zdążyłw brzuchu nabyć sporo sadelka - trzy dziewięćset, więc nie ma naco narzekać.

Jakby posiedział jeszcze zmiesiąc, trzebaby było wyciągaćgo dźwigiem.

Kazik uparcie nalega na emigrację, Magda zasadniczo była za, ale teraz, w okołoporodowym rozchwianiu hormonalnym, ten pomysł przestał jej się podobać.

Odwiedziłam ją w szpitalu i zastałam w stanie w pełni rozwiniętego cyckowściku.

- Leje mi się wszędzie!

- warczała.

- A ten młodyżarłok w ogóle nie śpi, widziałaśkiedyś, żeby ktoś w dobę po porodzie miał jużtyle mleka, co ja?

Podobno trzeba dobrych dwóch dni intensywnego ssania, żeby laktacja ruszyła porządnie.

A on, jak się przyszał, to dał radę nawet prawom natury.

Może mnietrzeba na jarmarkachpokazywać jako kuriozum?

Przeszkadzają mi te balony, nabruchu się nie mogę położyć, a przezostatniepół roku trzymałamnie myśl, że natychmiast po porodzie położę się wreszcie tak jaklubię, pokażę dupę światu, a tu co?

Jakieś arbuzymi z przodu wyrosły, spróbujsię na tym ułożyć wygodnie.

- Coś ty, Madzia, przecież to twoje drugie dziecko -zdziwiłamsię.

- Nie wiedziałaś?

- PrzyAgatce mogłam się położyć na brzuchuod razu, pamiętam - upierała się.

- Agatka była przyzwoitym człowiekiem.

Chodź, toci coś pokażę.

- Wstała, ułożyła młodegona przewijakui rozwinęła pampersa.

- O, już narobił, sorry.

Wytarła synka mokrą szmatką, nieco pobieżnie.

- Popatrz.

Widziałaś, jakie on ma wielkie jaja?

Roześmiałamsię.

- Oni wszyscy takmają, na samym początku.

No, prawie wszyscyNiektórym zstępują dopiero po urodzeniu, ale to w zasadzie patologia.

- Ale takiewielkie?

- Cóż mogę ci powiedzieć, zasadniczo mam doświadczenie wy138 łącznie zdziewczynkami.

Ale z tego, co widziałam na porodówce, młodzi mężczyźni wyglądają jakoś podobnie.

- A małego ma małego - zafrasowała się Magda.

- Wyglądatoco najmniej dziwnie.

- Proporcje się z czasem zmieniają- pocieszyłam ją.

- Coś tydzisiaj taka nabuzowana?

- A boKazik mi przyniósł w prezencie jakieś formularze.

Zatrzy tygodnie mam jechać do Warszawy, starać się o wizę z pozwoleniem na pracę - westchnęła ciężko.

- Nie chce mi się.

- Teraz o tym nie myśl - powiedziałam stanowczo.

- Teraz myśłytko o swoim cudownym, małym mężczyźnie.

- .. .

zwielkimi jajami -dokończyła Magda.

Kwadrans po mniewpadła Gosieńka, niewidziałam jej od stulat.

Cholera, schudła jakoś, a myślałam, że w jejprzypadku nie da się jeszczebardziej zmniejszyć masy

ciała.

Niedobrze.

- Hej!

- Uściskała Magdę, poczochnęła młodemuwichek naczole i pocałowała mnie w policzek.

- Miło mi widzieć was obie naraz, ostatnio rzadko się to zdarza.

- Studiuję.

- Westchnęłam ciężko.

- Nawet nie wiesz, jak intensywnie, ostatnimi czasy.

Egzamin zaegzaminem.

- Rozumiem - powiedziała łagodnie Gosia.

- Ale zadzwonićczasem mogłabyś.

- No -poświadczyła groźnie Magda.

- Albo wychynąć choćtrochę na świat.

- I to mówi ta, która przezpółciąży nie wychodziła z domu!

-oburzyłamsię.

- Sama mogłaś wychynąć, na przykład domnie.

- Wychynęłam ostatnio i nadziałam się na twoją opiekunkę.

Patrzyła namnie jakoś krytycznie, może dlatego że spod spodni u góry wystawały mi grube beżowe rajstopy, naciągnięte na brzuch.

Coja poradzę, że tak mi najcieplej?

Nie jechałam na pokaz mody, tylko do przyjaciółki.

Magda, firmowa elegantka, w ciąży odpuściła sobie różnestarania i zrobiła się obwisła.

W ubiorze i zachowaniu.

- Nie przejmuj się, na mnietęż patrzy krytycznie.

Zwłaszcza jakchodzę po domu, twoim wzorem, w grubych wełnianych rajtkach,bo mi zimno dołem, oraz w przechodzonej koszulce na ramiączkach, bomi dusznogórą.

Każdy patrzy.

139.

- Właśnie.
- Magda bojowo pociągnęła nosem.
-Zero wyrozumiałości.
- Ja wciąż starałam się wyglądać ładnie - pochwaliła się Gosia.
- Zawsze.
Nawet na tapczanie zalegałam w różnych tunikach, jak nosiłam bliźniaki.
Nie wżadnych piżamach.
- Ty, Gośka, starasz się wyglądać dystyngowanie, rzygając pochemii - prychnęła Magda.

- Zawsze się starasz, owszystko.
Temat leczenia Gosi stał się z czasem dla nas czymś zupełnie normalnym,
zgodnie uznaliśmy, że tak będzie lepiej.

To znaczy Gosia uznała ipierwsze swobodne, głupawe komentarze popłynęły z jej własnych ust.
Onajest w ogóletwarda, ta nasza Gosia.

- Pewnie, że się staram!
- powiedziała, unosząc wysoko podbródek.
-Sprawia mi frajdę, jeśli prezentuję się jak człowiek, zawsze.

Kiedy mam dbać o wygląd, w ósmej dekadzie?

Młodycichaczem zrobił kolejną kupę i Magda mogła przy okazji pokazać Gośce jego jaja.
Też zapewniła ją, że to normalne.

Jak matka dwóch synów była o wiele bardziej wiarygodna.

Siedziałyśmy u Magdy nieprzyzwoicie długo, zdążyła nakarmić go trzy razy.

W końcu zaczęła ziewać.

Świat obgadany w odpowiednim gronie jest o wiele lepszy.

W KRAINIE ZBRODNI I MEDYCYNY

Mam blok z medycyny sądowej, chodzę bardzo pilnie na zajęcia, kolebiąc się na boki jak słoń.
Z każdą ciążą mój brzuch robi się coraz większy i szybciej nabiera kształt ugiętej piłki.
Moja grupa jest w szoku, może nawet nie dlatego, że chodzę, ale głównie dlatego, że słucham uważnie, notuję wszystko jak leci i nie zasypiam.

Zastanawiam się sama, co myśleć sobie, skoro z całej, obszernej przecież, medycyny
najbardziej przypadły mi do gustu psychiatria i medycyna sądowa?

Tylko Michał zrozumiał i zajęłomu to niecałdzieście minut, podczas których obserwował,
okrągłymi oczami, jak niemalże spijając każde słowo z ust pana, zapisuję kolejne strony
notatkami, łącznie z żartami i anegdotami oprowadzającego nas po muzeum medycyny sądowej
asystenta.

Asystent miał wybitnie skrzywione poczucie humoru, pasowało mi.

140

Michał przyjrzał mi się uważnie jeszcze raz, i w oku mu błysnęło.

- Ty!

- wyszeptał mi poufale, wprost do lewego ucha.

-Będiesz pisać kryminał?

Wzruszyłam ramionami.

Może tak, może nie, tak perspektywicznie jeszcze nie myślałam, ale informacje z pierwszej ręki
są niedo pogardzenia, takiej okazji nie przepuszczę.

Asystent ruchem prezydenta wyjął z siebie kolejną mocno zdezelowaną czaszkę.

- A to co, proszę państwa?

Jak myślicie?

W czaszce wybitny był okrągły otwór, mniej więcej w połowie lewej skroni.

-Rewolwer?

- strzelił Michał na chybił trafił i spudłował.

Asystent pokręcił głową.

- To jest rewolwer.

- Pokazał nam kolejną czaszkę.
- Otwór byłznacznie mniejszy i jakby postrzępiony - Włot.
- A tu wylot.
- Pokazał z drugiej strony większą, bezkształtną dziurę.
- Baśka zzieleniała.
- No?
- zachęcił asystent.
- Jeszcze jakieś propozycje?
- Rusznica?
- zapytał Oskar, grupowy żartowniś.
- Armata?
- A może wiertarka?
- Wiertarka najbliżej - przyznał asystent i wyjawiał nam tajemnicę.
- Zwykły kij od miotły
- Wytrzeszczyliśmyoczy.
- Asystent wziął bładozieloną Baśkę sprawnie dokonał rekonstrukcji zdarzenia.
- Oczywiście wiemy to z analizy kryminalistycznej, nie tylko medycznej.
- To czaszka młodziejki.
- Przystawił bezwolną Basieńkędo ściany - Oczywiście musiała być przyparta, o tak, inaczej nawetnajsilniejszy cios jedynie odepchnąłby ofiarę na pewną odległość.
- Rzecz się odbyła w ten sposób: z jednej strony ściana, z drugiej sprawca uzbrojony w kij, o, tak.
- Stuknął Baśkę w skroń kijemściągniętym z półeczki.
- I patrzcie: czaszka zablokowana, cios zadany z dużą siłą oraz precyzją, przypadek zapewne, sprawca nie był specjalnie wykształcony, ale sami widzicie.
- Przeszło przez najcieńszemiejsce, tak zwany locus minorisresistantiae, wie ktoś coto znaczy?
- Miejscenajslabszego oporu - wyszeptała Baśka spod kija.
- Termin dość często stosowany w medycynie, nie tylko sądowej.
- Dokładnie tak - pochwalił asystent i uwolnił Baśkę.
- A narzędzie zbrodni dokładnie to samo.
- Potrzęsnał jej kijemprzed nosem.
- Zdobyliśmy od policji, pardon, milicji, rok osiemdziesiąty szósty

Baśka zmieniała kolor na czerwony i wypadła z sali jak burza.

Asystent mówił dalej, niezrażony

- Spójrzcie, na tych półeczkach mamy całą kolekcję.

A to, waszym zdaniem, to co?

- Wyciągnął kolejną czaszkę, podziobaną w okolicy czołowej jak sitko.

Jeden z otworów był na wylot.

Reszta powierzchowna, ale zauważalna.

Nie mieliśmy pojęcia.

- Samobójstwo - powiedział z satysfakcją.

- Dokonane skutecznie śrubokrętem, o, tym.

Justyna też zbladła.

Baśka wróciła i przepchała się na sam koniec, pod okienko.

- A teraz uwaga!

- wykrzyknął radośnie asystent i otworzył wielką, metalową szafę.

- Oto nasza kolekcja broni palnej domowej produkcji i nietylko.

Otrzymaliśmy fachowe przeszkolenie w temacie różnic pomiędzy pistoletem a rewolwerem, oraz w jaki sposób zmodyfikować pistolet gazowy, żeby nadawał się do strzelania ostrymi nabojami, jak wykorzystać w zbrodniczych celach sprzęt do wstrzeliwania kółek w drewno oraz aparat do uboju bydła.

I jeszcze jakich błędów się wystrzegać, konstruując broń palną metodą chałupniczą.

Naprzykład należy posługiwać się rurą wyginaną, dobrej jakości, a nie uszczelniać zwykłą rurką wałkiem korka, bo efekt może być taki, że pocisk wyleci do przodu, a korek do tyłu, trafiając z impetem w czaszkę strzelającego.

Odpowiednią czaszkę też nam zademonstrowano.

Puczające.

W ramach zajęć w muzeum obejrzelśmy jeszcze kolekcję tatuaży, starannie zakonserwowanych w słojach z formaliną, osobiste hobby jednego z pracowników, szerepę tli wisielczych z bardzo różnych materiałów (ludzkość bardzo pomysłowa jest), miniaturową czaszkę indiańskiej kobiety, zmniejszoną pośmiertnie tubylczymi metodami (muzeum do niedawna posiadało jeszcze czaszkę męczyzny, ale przypuszczalnie rąbnął ją jakiś student, bo po poprzednim bloku zajęciowym stwierdzono jej brak).

Oraz inne tym podobne eksponaty.

Na kolejnych ćwiczeniach pan z całym spokojem wyświetlał nam kolejne makabryczne zdjęcia i kazał rozpoznawać - czy rana postrzałowa jest wlotowa czy wylotowa?

Czy rana kłuta została za 142

daną ręką własną, czy był to może akt zbrodniczy, popełniony przez osoby trzecie?

Osoby Trzecie zaczęły się śnić po nocach, czująco.

Baśce też.

Sądząc o kolorze Baśki.

Z pamiętnika Dominiki N.

Szósty

Wysłałam Krystianowi na adres, z którego ostatnio do mnie pisał, krótką, niespecjalnie urzeczającą wiadomość: "Znowu gdzieś Cię wciągnę?"

Naprawdę mam szczerą wolę porozmawiać, ale proszę, traktujmy siebie nawzajem poważnie. D".

Po kilku sekundach dostałam wiadomość.

Od systemu: "Przepraszamy, skrzynka o podanym adresie nie istnieje.

Wprowadź poprawny adres".

Aha.

Paweł jest miły i uważny, zapytał czy coś mnie trapi, opowiedziałam mu to i owo.

Zasepił się.

Kochaliśmy się wczoraj, tak przelotnie, ale nie spędzamy, jak dawniej, godzin na zapleczu.

"Dawniej".

Śmieszne, to było kilka tygodni temu.

Z drugiej strony czuję, jak nieprzerwanie niepowstrzymanie buduje się między nami zwyczajna przyjaźń.

Nie obejmuje wszystkich dziedzin życia, ja się nie dopytuję jego sprawy i ontakże, ale nasz wzajemny kontakt wzbogaca się i trwa.

Paweł jest ciekawym człowiekiem.

Pracuje za barem od wielu lat, nie skończył studiów, w pewnym momencie przestało mu grać.

Zdziwiło mnie, że jest ode mnie sześć lat starszy, nie wygląda.

A zwłaszcza się nie zachowuje.

Można powiedzieć nawet, że bywa dziecinny.

Po drugim, trzecim piwie oczy mu błyszczą i zaczynają snuć skomplikowane plany - jak to za chwilę powróci na studia, zdobędzie wreszcie porządną pracę, może wyjedzie, a może wybuduje sobie dom za miastem.

Innym razem opowiada o genialnym pomysle na biznes, który zrodził się w jego głowie i jego kolegów, i że zaraz rozkręci firmę, jakiej świat nie widział.

Już jutro, pojutrze wstaną, zabiorą się do roboty, już mają nagranych doradców, już im znajomy inżynier robi plany.

143.

Następnego ranka przychodzi kac i wielkie plany zostają odłożone na półeczkę.

Na jedną, malutką chwilkę.

Odżywają wieczorem, przy trzecim piwie - ach, co to będzie, jak już się rozpocznie praca, co to będzie!

Sporo czasu zajęło mi zrozumienie, że to, co widzę, to niestety wielka czarodziejska moc alkoholu, która pobudza słowotok, a zabija chęć i możliwość działania.

Przedpołudnia mój nowy, uroczy skądinąd przyjaciel spędza w gęstym kokonie kaca, paraliżując go wolę.

Po południu, wtedy gdy zazwyczaj się widzimy, Pawełek jest już po kilku porządnych barmańskich kuracjach i wszystko wydaje się w porządku - na pozór.

Za barem Paweł pracuje uczciwie, rzetelnie i nie upija się, dopóki są jeszcze w lokalu jacyś goście.

Za to upija się chwilę później.

Życie na niby, od jednego radosnego wieczoru do drugiego, życie pełne porywów i chęci stłamszonych przez kaca.

Życie dziurawe jak szwajcarski ser.

A jednak go lubię, co więcej - do szczerzej sympatii dołączają się teiskierkiw naszych dłoniach, ostatnio zastanawiałam się nawet: jeśli golubię, jeśli są iskierki, może to już jest miłość? Czego więcej potrzeba?

Zastanawiam się, czy kochałam Krystiana, ale nawet nie muszę się zastanawiać.

Wiem, że tak.

Było w nas jeszcze coś, coś nieuchwytnego, czego nie da się rozdzielić na czworo i przeanalizować: porcja sympatii, szczypta wspólnych upodobań, spora dawka udanego seksu, odrobina zazdrości.

Ponad sumą składników było jeszcze Coś.

Było.

Ale się skończyło.

Dziewiąty

Brian ma jakiegoś metafizycznego nosa.

Zawsze przychodzi, nieodmiennie z grupą swoich kolegów lektorów, tylko i wyłącznie wtedy, kiedy na zmianie jesteśmy ja i Mietek.

Nigdy jeszcze nie trafiła Pawełka.

Grupa grupą, ale rozmawia niemal wyłącznie ze mną.

Opowiada ciekawe historie, nie jest "zwykłym" lektorem motylkiem, upodobał sobie nasz kraj i zapisał się na studia podyplomowe na UJ.

Historia Polski, kurs dla cudzoziemców.

Próbuje mówić po polsku,

skąd, śmieszniemu wychodzi.

"Idę mieć trochę pizzy i zaraz wracam.

Czy coś chcesz mieć?

".

Chcę mieć miłego, normalnego faceta, własne mieszkanie, dużo czasu dla dziecka i sporo pieniędzy, ale tego mu przecież nie powiem.

"Nie, dziękuję" - odpowiadam z uśmiechem.

"Przyszedłem z powrotem do ciebie - chwali się.

- Popieprzyłem jedną panią, co stawa szeroko we drzwi.

Stawa i stawa.

Po co ona tak stawa, zapytałem jej, a ona na to, że tak się jej podoba.

A mi się nie podoba i dlatego popieprzyłem jej trochę".

Przyłapałam się na zastanawianie, jakby mogłoby wyglądać nasze wspólne życie, w jakim języku rozmawialibyśmy przy stole, gdzie byśmy zamieszkali po skończeniu studiów.

Podobno Anglicysą kiepscy w łóżku, nudni i schematyczni.

Taksłyszałam.

Chociaż Brian, jak na Anglika, jest bardzo radosny i żywiołowy w zachowaniuunaco dzień, więc może?

Może warto spróbować?

Zapraszał mnie do siebie już zedwa razy, wynajmuje mieszkaniez kolegą niedaleko stąd.

Jeszcze nie skorzystałam.

Ale kiedyś?

Kto wie?

Tak z czystej ciekawości, rzecz jasna.

Interesujące jest też, oprócz spraw łóżkowych, ileoni tak naprawdę zarabiają, ci lektorzy Bobarmani raczej niewiele, zwłaszcza po odliczeniu tego, co sami wypili w godzinach pracy.

Pod tymwzględem już lepszy ten ochroniarz Edytki, zwłaszcza od kiedy dostał spory spadeki prowadziosobistą knajpę.

Edytka to się zawszeumiałaustawić, a ja?

Nawet jak mi się wydawało, że umiem, skończyło sięto.

Wiadomo jak.

Na starość przeistaczam się wmaterialistkę.

Na razie od środka, bojakby ktoś miał oceniaćpo moich facetach, to wżyciu by siętego nie domyślił.

Trzynasty

Jak to trzynastego, zatkał mi sięodpływ w umywalce, a

Marcelidostałjakiejśprzedziwnejwysypki pod pachami, chyba go swędzi,bo charakter pogorszył mu się w mgnieniu oka.

Przeszkadzał mi

145.

w czynnościach higienicznych, w rezultacie wyszłam do pracy zestarannie umalowanym okiem lewym i to był koniec mojego makijażu, a na dodatek przyszedł mejl od Krystiana.

Ijak tu nie wierzyć mądrości ludowej?

"Moja kochana Dominiko!

- pisał z zupełnie nowego adresu.

-Wybacz, że nie odpisałem od razu, ale ostatnio miałem różne rzeczy do załatwienia.

Będę w Krakowie jutro, liczę na to, że wygospodarujesz dla mnie wolny wieczór, a może i więcej.

Zatrzymam się w hotelu Campanile, przy Plantach.

Podaj mi, proszę, swój telefon, zadzwonię, jak tylko przybędę.

Do zobaczenia, Twój K".

Jasne.

Pierdolną tym wszystkim i polecę, jak mawiał pewien hipopotam, taplając się w bajorku.

Jego bezczelność zapieram się.

Chociaż, możliwe, że zachowanie Krystiana niezmieniło się ani najotę od czasu, gdy byliśmy razem.

Zawsze to on decydował o wszystkim, zmieniając plany w ostatniej sekundzie, tyle że ja wtedy żyłam sobie bez troski, zapatrzona w niego jak w obrazek święty, i z zachwytem przyjmowałam wszystkie zwariowane propozycje.

On też, mieszkając ze mną, wiedział, jak wyglądają moje potrzeby i moje życie i niewymagał nie wiadomo czego.

A teraz nie wie.

Prawdopodobnie nie wie nawet, jak bardzo się zmieniłam.

Najśmieszniejsze jest to, że jutrzejszy wieczór mam wolny.

Jeśli poproszę mamę, żeby została z młodszym, mogę wyjść nawet na catanoc.

Pytanie tylko, czy chcę.

-Pawełku, help!

- powiedziała bez ceregieli jeszcze w drzwiach, mocując się z guzikami przymoim wysoce idiotycznym płaszczu.

Właściwie to nie były w ogóle guziki, tylko jakieś kołki, prezentujące się nawet ładnie, ale okropnie skomplikowane w obsłudze.

Przywiozłam sobie to dziwo z Londynu.

W każdym razie kuszący striptiz rozpoczęty od tego płaszczu nudził bynajbardziej napalonego ooięra.

-Co jest?

- Pawełek uniósł głowę i uśmiechnął się do mnie.

W oczach miał samo ciepło.

-Wyjąć cię z płaszczu?

- Nie oto chodzi - wymruczałam, stękając.

Jeszcze tylko dwa guziki.

albo kij im woko, wylezę górą.

- Jutro przyjeżdża Krystian, ojciec Marcelka, mój były.

146

Nie uprawialiśmy naszych wieczornych igraszek od tygodnia, trudno nazwać Pawelka moim partnerem, ale zeszywniał tak, że mogłybyśmy pozazdrościć woskowe figury Madame Tussaud.

- Ico z tym zrobisz?

- zapytał.

- Ej, nie nadymaj się tak, ja go w ogóle nie chcę.

Ale muszę się nim spotkać, przecież wiesz.

Coś mówił o prawie widywania dziecka.

Chociaż w ostatnim mejlu nie było ani słowa o dziecku, natomiast prosił mnie o zarezerwowanie całego wieczora.

Ciekawe, jak długo Paweł może wytrzymać na wdechu.

- Może się okazać, że będę potrzebowała twojej pomocy -kontynuowałam.

- Wiesz, nie traktowałam tego nigdy poważnie, między nami zawsze było wporządku, małe, zwykłe napięcia, ale jego własnych opowieści o przeszłości (a może to nawet teraźniejszość, kto go tam wie), wiem, że Krystian potrafi być.

nieobliczalny.

Problem w tym, że nie mam bladego pojęcia, czego on tak naprawdę ode mnie chce.

Mam do niego wrócić, tak jak stoje?

Zameldować go u siebie w mieszkaniu i schować przed światem?

Wiem tylko, że nie będzie to nic zrzeczy, na które mogłabym się zgodzić.

Paweł wypuścił powietrze i pokiwał głową, słuchając uważnie.

- Postanowiłam, że umówię się z nim w miejscu neutralnym, niedaleko stąd, może w Alchemii.

I zobaczę.

Jakbym się czuła jakoś niepewnie, to albo zadzwonię - wtedy ty się zjawisz po chwili i usiądziesz sobie przy stoliku u bok - albo inaczej, ja wyrażę gotowość zmiany miejsca i ściągnę go tutaj.

- Jakby się dało, to lepiej tutaj - powiedział przytomnie Pawełek.

- Nie będę musiał zostawiać Mietka samego zabarem.

Jutro będzie spory ruch.

Jasne, możesz na mnie liczyć.

- Zmiał już zupełnie i pocałował mnie w policzek, jednocześnie skanując wzrokiem otoczenie.

-Poradzimy sobie.

Czternasty

O, Matko z córką i pięciorgiem wnucząt!

Jakbym wiedziała, jak Pawełek zamierza sobie poradzić, to.

Nie wiem co.

Ale może od początku, choć w głowie mi się lekko kręci od tego, co się nawyrabiało.

147.

Krystian zadzwonił z samego ranka, choć zbyłam wzgardliwym milczeniem jego mejlową prośbę o numer telefonu do mnie.

Ja, w przeciwieństwie do niektórych, nie mam zwyczaju zmieniać telefonu co parę miesięcy, jest ten sam odcztych lat.

Niech mi nieopowiada, biedactwo, żenie pamięta.

Pewnie, wygodniej by było, gdybym jednak zmieniła, mógłby powiedzieć: "Szukałem cię, kochanie, długoi wytrwale, alecóż.

nie dałem rady.

Dopiero teraz, szczęśliwym przypadkiem.

".

Przypuszczam, że pytanie o numer miało na celu przygotowanie sobie ewentualnego gruntu pod podobną gadkę.

Szczegół, że adresu mejlowego też niezmieniłam oraz zamieszkałam - któż by się tego mógł spodziewać?

- w domu moich rodziców, w którym byłam zameldowananiemal do dnia porodu.

Przed porodem musiałam zmienić adres z przyczyn formalnych, dziecko musiało mieć swojego lekarza na miejscu.

Krystian sam mnie wymeldował przy okazji swoich licznych podróży służbowych.

Denerwujemnieta świadomość.

Umówiliśmy się w Alchemii, o ósmej wieczorem.

Przed randkąstulecia pobiegłam do Marty.

- Ratuj, wymyśl coś!

- zażądałam.

- Spotykam się z moimeks.

Muszę wyglądaćodpychająco, żeby przypadkiem nie zechciał domnie wrócić, a zarazem nie jak ostatnia fleja, żeby znowu nie myślał, że tak tu cienko przędę, ciul jeden.

- Trzeba się było przejść po byle którym urzędzie i zaczerpnąć wzorce - roześmiała się Marta.

- One tam wszystkie wyglądają bardzo schludnie, niemniej jednak koszmarne.

Wiek nieokreślony.

Wiesz, o czym mówię: kraciasta spódnica do połowy łydki, śnieżnobiała bluzeczka pod samo gardziele i marynarka ze złotymi guzikami.

Jadowicie zielona.

- Wypisz, wymaluj moja matka.

Niektóre nauczycielki, te starsze, też się tak ubierają.

Młodszych się nie czepiam - parsknęłam.

- Wiesz, że to jest myśl?

Pomknęłam do domu jak strzała, wyminęłam na schodach moją matkę i ku jej zdumieniu rzuciłam się w kierunku jej własnej garderoby.

- Muszę pożyczyć od ciebie jakiś kostium albo marynarkę - wyjaśniłam.

- Też uważam, że powinnaś wyglądać porządnie!

- ucieszyła się matka.

- A pożyczaj, pożyczaj.

148

Z naręczem dóbr wszelakich zameldowałam się z powrotemu Marty.

Wymyślałyśmy charakteryzację, chichocząc jak hieny.

- Ale mam grube łydy - obracałam się przed lustrem w pokoju Miśki, było to jedyne duże lustro w całym domu.

- Taspódnica jestobleśna.

- Spójrz tylko na to!

- Martawyciągnęła ze stosu odzieży kolejną spódniczkę, nieco krótszą, w kolorze szarym.

-Ty, ta jest gładka, będziesz mniej podejrzana o robienie sobie jaj z pogrzebu.

Ubrałam się wrzeczony ciuch.

Nie wiem, jak moja mama to robi, ale ona w tych wszystkich rzeczach wygląda w miarę naturalnie.

Ja wyglądałam jak panienka z poczty w Świebodzinie.

Złydkami jak balerony.

Ta spódnica eksponowała je jeszcze wyraźniej.

- Super!

- ucieszyła się Marta.

-Niby nic, a jednak paskudnie.

Włóż ten sweterek.

- Miała być marynarka.

Zielona.

Przyniosłam taką.

- Przymierz marynarkę - zgodziła się.

Przymierzylam i zgodni wydałyśmy sobie okrzyk zgrozy.

- Faj, ale ohyda.

- Marta zamruwała oczami.

-Z tymi poduchami na ramionach i łydka mi pierwszym planie wyglądasz jak kulturysta przebrany za dziewczynę.

Chyba przegięłyśmy z lekka.

- No.

Krystian pomyśli, że zwariowałam.

Miałaś rację, wystarczy sweterek.

Też brzydki.

Przez chwilę zastanawialiśmy się nad fryzurą.

- Onoszą koki, te urzędniczki - powiedziała z namysłem Marta.

- Poczekaj, spróbuję cię uczesać.

- Złe - zdecydowała po pięciu minutach.

- Szalenie ci do twarzy w tym koku.

-Skrzywiła się.

- Wyglądasz rewelacyjnie, pomimo ubioru.

Nie o to nam chodzi.

Z żalem przyznałam jej rację, fryzura również przypadła mi do gustu.

Muszę się zacząć tak czesać.

Tyle że nie umiem.

- Wielkie mi halo, byle jak zwinąć z tyłu i poupiąć klamrą spinkami - zbagatelizowała sprawę Marta.

- Nauczysz się.

A teraz zrobimy cię na topielicę, z przedziałkiem z boku.

- Brr!

- otrząsnęłam się, patrząc w lustro

- Perfekcyjnie!

- ucieszyła się w tej samej sekundzie Marta i utrwaliła moje uczesanie lakierem do włosów.

- Nawet śmierdzisz jak klasyczna biurowa.

149.

Cała akcja przyniosła pewne rezultaty, bo Krystian na początkuwcale mnie nie poznał. Przymaszerował przezcałą salę i już miałzawrócić, gdy pomachałam mu ręką zza stolika.

- Cześć, tu jestem!

- zawołałam pogodnie.

Podszedł i lekko opadła mu szczęka.

- Yyy.

Cześć, przepraszam, niezauważyłem cię - zaczął niepewnie.

- Wyglądasz jakoś dziwnie.

- To znaczy?

- zapytałam groźnie.

- Yyy - widać było, że lekko się speszył- to znaczy.

inaczej.

Kiedyś byłaś.

szczuplejsza?

- To nie jest najmiłsze powitanie świata - zauważyłam chłodno.

Nawet nie przypuszczałam, że przez całą temaskaradę będę nawejściudwa punkty do przodu, ponieważ mój wygadany Krystianwydawał się zupełnie zbity z tropu.

Przełknąłślinę dwa razy.

- Coś pijesz?

- zapytał w końcu.

- Kawę.

- Pokazałamna filiżankę stojącą przedemną.

-Spóźniłeś się.

- Nie mogłem trafić.

Nie znam tego miasta.

- Aha!

A koncerty jazzowe w Krakowie kto organizował?

-przypomniałam słodziutko.

- W Alchemii, o ile się nie mylę.

-Pokazałam muwielkinapis "Alchemia" na karcie, leżącej na stoliku.

Nie poddał się łatwo.

- Wtedy mnie przywożono pod samą knajpę.

W najgorszym razie jechałem taksówką.

- A dzisiaj taksówki zeżarło- podsunęłam z uśmiechem.

- Bęc,i potaksówkach.

- Nie kłóćmy się, proszę.

- Krystian przysiadł ciężko na krześle.

- Nie od razu, i nie o takiejgłupoty Naprawdę cieszę się, że cię widzę.

Choćniejestemprzekonany, czy to twoja najbardziej twarzowafryzura.

- Uśmiechnął się łobuzersko, ścisnął mnie za kolanoi pomknął do baru.

Maurok, cholernikjeden.

Byłam przekonana, że nic, ale to nicz jego strony nie zdoławzbudzić we mniechoć cieniapozytywnychuczuć.

Ale wystarczył jedenuśmiech ijużmoja lodowa skorupanieco osłabła.

Niekoçam go, bez przesady,już nie.

Ale nie będę dla niego zbyt odpychająca.

Boi dlaczego miałabymbyć?

150

Dziesięć minut później gadałam i gadałam, a Krystian, promieniejący zyczliwością, słuchał odpowiedzi na pytanie "co tamu mniestychać".

Nie przechwalałam sięani nie tragizowałam.

Opowiedziałam mu, szczerze i z nieoczekiwaną ulgą, o ciężkiej sesji egzaminacyjnej, którą dopiero co przebrnęłam, a do której zupełnie nie miałam czasu się przygotowywać (na szczęście jakimś cudem egzaminatorzy na to nie wpadli, a moje poplątanie w zeznaniach złożyli na karb nerwów, jeden mnie nawet poczęstował cukierkiem z melisy).

Opowiedziałam też trochę o młodym i mojej mamie (nieprzesadzał z uważnym słuchaniem, oczy zrobiły mu się lekko szkliste), i oprawy za barem.

Krystian potrafiłby być dobrym słuchaczem, jeśli chciał.

Zanim doszłam do facetów, zawahałam się lekko.

- Teraz ty powiedz, co u ciebie słyhać - zaproponowałam wymijająco, lecz bez złości.

Krystian westchnął ciężko i wziął mnie za rękę.

Nie wiem, co z tymi facetami, wszyscy uwielbiają trzymać mnie za rączkę, jak w przedszkolu.

Zazwyczaj przy okazji wygłaszają jakieś rewelacje.

- Domiś, wiem dobrze, że zachowywałem się jak ostatni kretyn - powiedział.

- Nie umiem ci wytłumaczyć, dlaczego.

Sam się w tym pogubiłem.

- W tym, to znaczy w czym?

Wykonał jakiś bliżej nieokreślony ruch ręką.

- We wszystkim, Domisia, we wszystkim.

Jan naprawdę nie chciałem nikogo oszukiwać, jakoś tak wyszło.

- Jakoś wychodziło ci przez dłuższy czas - zauważyłam złośliwie.

Zdenerwowałam się; te oczyszczonego szczeniaczka to mniej więcej tak, jak moje przebranie.

Coś mają na celu.

- Nie będę cię nawet prosił o przebaczenie.

- Westchnął po raz setny.

- Mam nadzieję, że z czasem udowodnię ci, jak bardzo się zmieniłem.

Pozalałwiałem różne sprawy zawodowe.

Wiem, że powinienem ci oddać pieniądze, i to sporo, bo chyba trochę straciłaś przezemnie.

Trochę?

, obruszyłam się w duchu.

Dwadzieścietysięć to jest trochę?

Milczałam wyczekująco.

No i doczekałam się.

- Widzisz.

Sam nie wiem, jak ci to powiedzieć.

yyy.

niechcę, żebyś pomyślała, że nadużywam twojej cierpliwości, ale cho151.

dzi o to, że mam w końcu okazję się odkuć, tyle że wiesz, wszelkie początki wymagają inwestycji, a ja, niestety, nie bardzo mam co inwestować. No i pomyślałem, że może zawarlibyśmy taki deal, umowę znaczy to jest.

gdybyś zechciała dołożyć się trochę.

Krótko mówiąc, potrzebuję pożyczki, niedużej, a w zamian gwarantuję, że oddam ci wszystko, to, co straciłaś przede mną i jeszcze więcej.

Możemy się nawet umówić na jakieś odsetki.

- Ustawowe?

- prychnęłam.

Przez rok nzebierałoby się ich troszeczkę.

- No.

nie wiem.

może, może nawet, jeśli chcesz - powiedział Krystian, marszcząc brwi.

- Cokolwiek, tylko pomóż mi teraz, proszę.

Bez tego niestanę na nogi.

A twój ojciec pewnie mógłby pożyczyć, gdybyś mu jakoś ładnie to uzasadniła.

Twoi rodzice chyba nie są biedni, macie ładny dom.

Zeżliłam się.

Odczep się od mojego domu, palancie, warknęłam w duchu.

Krystian to cwana sztuka.

Wymyślił sobie, że jak mam dom i dwa samochody, to można nasokubać z nadmiaru kasy.

Sę w tym, że moi rodzice aktualnie posiadają nadmiar.

A nawet gdyby, to nie zamierzam "inwestować" w Krystianka.

- Ile ci potrzeba?

- zapytałam od niechcienia, bawiąc się popielniczką.

Zaświeciły mu się te bure oczka.

- Niedużo, naprawdę niewiele.

Pięć, osiem tysięcy.

Może dziesięć, jakby się dało.

- Krystian ożywił się wyraźnie, usiadł prosto, gestykulował gwałtownie.

Myśliwy natropie.

- Widzisz, bez tego jestem pogrzebany, a jak by się udało.

to naprawdę duża sprawa i szybko się zwróci!

- Duża sprawa za pięć tysięcy?

- zainteresowałam się.

- Możliwe jakieś szczegóły?

- No, nie za pięć, trochę więcej, ale nie będę przecież wykorzystywał cię aż tak.

Liczę na innych sponsorów.

Nie będzie mnie wykorzystywał, łaskawca.

Zimna furia przesłoniła mi wzrok.

- Składka nadziadka?

- spytałam, jad sącył się każdej sylaby.

- Zrzutka byłych kobiet w całej Polsce na biednego Krystianka?

- Nie traktuj tego w ten sposób!

- zawołał piskliwie.

- Aw jaki?

- Po prostu.

liczę na pomoc przyjaciół.

przyjaciółek też.

- To zwróć się, proszę, do nich, i odczep ode mnie - zakończył 152

łam tę farsę.

Farsę forsie.

- Nic z tego, Krystian, nie ma szans.

Poza tym, nie wiem, co po tym wszystkim daje ci prawo nazywania siebie moim przyjacielem.

Wstałam, otrzepałam paskudną spódnicę, jakby przyczepiło się do niej coś oślizgłego.

Przeszła mi ochota na wyciąganie z niego choćby pobieżnych szczegółów wspaniałego planu.

- Zostań jeszcze chwilę, proszę - odezwał się Krystian.

- Wiernaże to głupio z mojej strony, ale ja naprawdę chcę pospłacać wszystkie długi.

- Zaciągając następne, co?

-Nie.

to znaczy tak, ale tylko w ten sposób mogę coś zdziałać - powtórzył.

- Pomóż, proszę.

- Nie - powiedziałam, ale usiadłam z powrotem, przez grzeczność.

Wysłuchałam jeszcze około tuzina różnych błagań, ale znudziły mi się w końcu.

- Jesteś śliski - oświadczyłam mu na zakończenie.

- Oślizgły obrzydliwy, i niewierzący nic a nic.

Nie wiem, co mógłbyś zrobić, żeby zmienić zdanie o tobie.

- Postaram się udowodnić ci, że jest inaczej - powiedział Krystian, unosząc podbródek.

Z frustracji i rozczarowania obudził się w nim pewien rodzaj dumy.

Dobre i to.

Zostawiłam niedopitą kawę i wyszłam.

Nogi same podały w kierunku "Banasia".

Nie uszłam czterdziestu metrów, kiedy za sobą usłyszałam okrzyk:

- Dominika!

- Spieprzaj, dziadu!

- zacytowałam pana prezydenta.

Odwrociłam się z morderstwem w oczach i.

zobaczyłam swojego wychowawcę z liceum, Robaczka.

Uczył nas biologii.

Robaczek wyhamował tuż przed moim nosem, z szerokim uśmiechem na pysku.

Uśmiech przygasał z lekka, a w jego miejsce pojawiło się zdumienie.

Nie takiego powitania się widać spodziewał.

- O Jezu, sorry, panie profesorze!

-jęknęłam.

- Myślałam, że to

mój były.

- Od miłości do nienawiści jeden krok - westchnął sentencjonalnie Robaczek.

- Co tu robisz, w takim nastroju i tak ślicznie ubrana?

Prezentujesz się doskonale.

Jak rozłuszczona żmijka, nawet cido twarzy.

153.

Nie żartował, o zgrozo.

Notak, Robaczek zapewne przekroczył już czterdziestkę i gust ma ukształtowany przez piętnaście lat przebywania w pokoju nauczycielskim.

- Definitywnie zrywam z poplątaną przeszłością, panie profesorze- powiedziałam smętnie.

-Nie mów do mnie, błagam, "panie profesorze", bo czuję się staro.

Robert jestem.

Właśnie, może usiądziemy gdzieś na chwilę wypijemy bruderszaft jak ludzie?

Opowiesz mi, czego dokonałeś ciągu ostatnich ośmiu lat!

- Nie ma sprawy - powiedziałam.

- Opowiadanie nie będzie zbyt długie.

Nawet studiów nie ukończyłam.

Mam dziecko.

Pracuję za barem.

Możemy iść do mojej macierzystej knajpki, tam jest miło.

Robaczek, to znaczy Robert, posłusznie podążyła mną.

Podrodzeczach wyciął się moimi włosami imoim zdrowym, promiennym wyglądem.

Wiedziała, że ta spódnica mnie pogrubia.

Weszliśmy do "Banasia" niepostrzeżenie, w dzikim tłumie wywalczyliśmy wolny stół.

Zza baru wypatrzył nas Pawełek, i ruszył w naszym kierunku, choć zasadniczo unas jest samoobsługa.

Na śmierć zapomniałam, w natłoku emocji, że wczoraj poprosiłam go o dyskretną pomoc.

No i Pawełek dyskretnie pomógł.

- Ty głupi chuju!

- dopadł Roberta, który właśnie owijał sobie wokół palca pasmo moich włosów, zastanawiając się głośno, jakim alkoholem należy uczcić przejście na "ty" z najpiękniejszą ze swoich wychowanie.

I przyładował mu centralnie w pysk.

Zdębiałam niemniej niż Robaczek.

On miał szybki refleks, odzawsze.

- Czy ten pan również mnie z kimś pomylił?

- zapytał uprzejmie, rozcierając policzek.

- Czy też wita w podobny sposób wszystkich klientów?

Złapałam go za rękę i pokiwałam głową, jednocześnie machając ręką w kierunku Pawła, że to wszystko nie tak, nie tak.

Obaj panowie spojrzeli na mnie baranim wzrokiem.

Niczego nie zrozumieliz owej pantomimy

- O Jezu, przepraszam - powiedziałam do Roberta po raz drugi w ciągu pół godziny.

- Jasne, że pomylił, i to z tym samym, co ja.

154

Myślał, że jesteś moim eks.

Paweł, uspokój się, proszę.

To nie Krystian, to mój wychowawca z liceum, Robaczek.

To znaczy, Robert.

- I zaczęłam się histerycznie śmiać.

Pawełek rzucił się przeproszać Robaczka, a ten tylko westchnął.

- Oj, kolego, kolego.

Masz szczęście, że od siedemnastu lat pracuję z młodzieżą i nie takie akcje w życiu oglądałem.

Choć muszę przyznać, że pierwszy raz dostałem w pysk za nie swoje grzechy.

W pozostałych przypadkach na podobne potraktowanie zapracowałem sobie sam.

Przesunął stół, robiąc miejsce Pawłowi, którego wyraźnie ucieszyło nazwanie go młodzieżą.

Paweł polecił po wódkę, co stam wytłumaczył Mietkowi, który, jak to Mietek, uniósł

wysokokrzaczaste brwi.

Bruderszaft wychyliłiśmy we trójkę.

- Bardzo ładnie pogoniłaś tego Krystiana - pochwalił Robaczek, ponieważ oczywiście musiałam opowiedzieć im całą historię.

Paweł tylko uściśnął mnie za rękę.

- Sorry, myślałem, że się pogodzili, i trochę mnie poniosło - wytłumaczył Robertowi.

- To znaczy, nie trochę.

- Spojrzał namnie przeprasząco.

- Wiem, że prosiłaś, żebym w razie czego wkraczał do akcji dyplomatycznie, ale zupełnie straciłem kontrolę nad sobą.

Jak zobaczyłem że on.

to znaczy Robert.

dotyka twoich włosów, a ty się uśmiechasz, nie zdążyłem pomyśleć, a już brałem zamach i waliłem go w pysk.

to znaczy Roberta.

- Roześmiał się naglenacale gardło.

Robert zawtórował.

- Przepraszam, przepraszam.

.. Ta wódka jest ode mnie, pijcie, ile chcecie.

Jamuszę wracać do pracy.

- Nie bij nikogo po drodze, waleczny rycerzu - poradził mu Robaczek - to ludność cywilna, niczemu nie zawiniła.

Twój wróg znajduje się daleko stąd.

i wiesz, co ci poradzę?

- Co?

- Pawełek zatrzymał się w połowie wstawania.

- Jak już go spotkasz, waltrzy razy mocniej.

I po obu stronach.

I jeszcze dodaj jedną fangę w moim imieniu.

Z dedykacją.

- Masz to jak w banku - obiecał Pawełek i z powagą uściśnął prawicę Roberta.

- To twój chłopak, co?

- zagadnął mnie Robert chwilę później.

- Tak jakby - przyznałam.

- Raczej bez zobowiązań.

Robert roześmiał się i pomasaował policzek raz jeszcze.

155.

- Akurat.

Bez zobowiązań nie wali się ludzi po pysku.

Musi być bardzo tobie zakochany.

I, jak prawdziwy wychowawca, przeprowadził ze mną rzetelny wywiad.

Kim jest Pawełek, co robi, gdzie mieszka, ile ma lat i ile zarabia.

Był wyraźnie zgorszony moją niewiedzą w wielu kwestiach.

Później, równie dokładnie, wypytał mnie o moje własne życie.

- Jesteś, Domiśka, na niezłym zakręcie - podsumował.

- Ale wiesz sama.

najciemniej jest przed świtem.

Używaj dobrze rozumu, masz taki.

A czasem - używaj też serca.

I zawsze, jakby coś się stało, wiedz, że możesz do mnie zadzwonić.

Pogadać, uporządkować myśli.

Masz we mnie przyjaciela.

Umówiłam się z nim już na najbliższą sobotę.

Na wszelki wypadek zdała od "Banasia".

Niewiem, co mojemu porywczemu obrońcy może jeszcze przyjść do głowy, jak znowu zobaczy nas razem.

Szesnasty

Tak się okropnie denerwowałam tym Krystianem.

Nie wiedziałam, czego chce, wyobrażałam sobie wszelkie możliwe scenariusze, ale tego, że przyjechał wyciągnąć ode mnie następną kasę - nie wymyśliłam.

A przecież to nie jest w żaden sposób zaskakujące.

Tylko smutne.

Swoją drogą, musi mieć chłopak naprawdę spore problemy, nikt z normalnych ludzi mu już chyba nie ufa.

Dawniej nie miał kłopotów z znalezieniem inwestora na najbardziej szalony projekt.

Zęby musiał zebrać po byłych babach?

A, co tam.

Nie obchodzi mnie.

Szkoda tylko, że z uroczego łgarza z fantazją stał się takim nędznym, żalonym człowieczkiem, dla którego nawet określenie "cwaniak" jest na wyrost.

Coś się w nim skończyło, uleciały gdzieś wdzięk i swoboda, z jaką dawniej owijał sobie wszystkich wokół palca.

Problem w tym, że on tylko owijał.

A na dłuższą metę z tego owijania nie wynikało.

Dziwne, swoją drogą - Krystian naprawdę zdolny jest, wygadany, w dodatku niezły w swoim fachu.

Tyle żeniczego nie potrafi doprowadzić do końca.

Zaczyna kombinować,

156

wprowadzać udogodnienia, zgarniać nerwowo do siebie, co się da, i nie rozumie, że do osiągnięcia zamierzonego celu bardziej potrzebna jest wytrwałość niż olśniewająca błyskotliwość i umiejętność przekonywania.

Pochłania życie jak trzylatek słodczyce: szybko, bez zastanowienia, garściami.

Konsekwencje nie są istotne - liczy się ilość wrażeń na minutę.

Niczego nie da się na tym zbudować.

Ani firmy, ani współpracy.

ani rodziny.

Budzi zaufanie, na pierwszy rzut oka najbardziej.

Taką matwarz - to dar losu albo przekleństwo.

Pod jego wzrokiem miękni najtwardsi negocjatorzy.

Ale przychodzi w końcu taki moment, gdy wszyscy, którzy zainwestowali w niego swój czas lub pieniądze, zaczynają żądać spełnienia obietnic: dotrzymania umowy, a przynajmniej efektów, które można zmierzyć, zauważyć bądź po prostu obliczyć.

A tu chała.

Nic się, cholera, samonie zrobiło, w czasie gdy Krystian był Zajęty negocjowaniem następnego wspaniałego kontraktu.

Może to jakiś defekt organiczny?

Uszkodzenie mózgu na przykład?

Wada wrodzona?

Do Krystiana uzupełnienie dociera, że przedstawione plany trzeba jeszcze wykonać.

Wydaje mu się, że słowa mają moc sprawczą: tak, jasne, zrobi toczy tamto!

I wszyscy się cieszą.

Aon poprzestaje na uściśnięciu ręki i satysfakcji z wrażenia, jakie wywarł na ludziach.

Wśród osób broczarowanych brakiem rezultatu nierzadko on sam bywa tym najbardziej zdumiony.

"Jak to?

Nie udało się?

Ojej, jaka szkoda, a tak bardzo chciałem.

"

Chyba uważasz za Wszechmogącego.

Mówi: "Stań się!

" i czeka, aż się stanie.

Powinien być zostać Mesjaszem.

Tyle że jakoś niktgo w tej roli nie obsadził.

Przywołuję różne sytuacje z przeszłości i widzę, jak mój byłzawsze działał w podobny sposób.

Jestem zdumiona, że nie ogarniałam tego wcześniej, nie

traktowałam poważnie rozmaitych niepokojących sygnałów.

Dopóki mieliśmy na czynsz i hulanki, nieobchodziło mnie nic.

Przy tym wszystkim Krystian witał radośnie

157.

każdy dzień i nieprawdopodobnie umiał cieszyć się życiem.

A jawraz z nim.

Ufałam mu!

Jaka jabyłam głupia.

Przylapałam się na tym, że mi gozał.

Tak zwyczajnie.

Roztrwoniał cały swój potencjał, dar zjednywania sobie ludzi, okazje, które same pchały mu się w ręce.

Dlaczego?

Nie znam odpowiedzi.

I nie chcę jej znać.

MartaMAGDA, SNOB I GOŁĄBECZKI

Zastanawiałam się kiedyś, jak tylko Dominika bąknęła coś nieśmiało natemat romansu z Pawełkiem - co na to Magda.

Moja ciekawość została zaspokojona któregoś pięknego, sobotniego dnia, gdy zanosłomnie do "Banasia"po południu, z laptopem w plecaku.

Chciałam spokojnie oddać się twórczości literackiej,a w domu wisiały na mnie niezliczonedzieci (takie przynajmniejodniosłamwrażenie), stada teściowych przychodziły po poradęmedyczną, a tabuny mężów narzekały na bałagan.

Zeżliło mnie to wszystko razem, dokonałam przetasowania - teściową zajęłam, przekazując jej młodszą córkę wraz z wyposażeniem(nocnik, cztery pary majteczek na zmianę, butla z kaszką, smoczeki dwa błękitne dinozaury, które moje dziecko ostatnio pokochałonad życie i wszędzie z nimi łązi).

Starszą zajęłam, włączając jejgręna komputerze, a tym samym organizując rozrywkę również mężowi, bo jak znam Miskę, co pięć minut będzie rozlegał się okrzyk:

"Tatooooo!

Boja sobie tu tak kliknęłam i mi się zrobiłoooo!

".

Sama też często wznoszę podobne okrzyki.

Trzasnęłam drzwiami i wyszłam.

Do "Banasia", czerpać natchnienie z atmosfery pełnej absurdu i ciętych komentarzy.

Zasiadłam przybarze - ruch jeszcze niewielki, ale z racji weekendu narastał, należało korzystać z dostępu do gniazodka,dopóki się da.

Później przyłażą hordy różnych dziwolągów i w oczekiwaniach

niem na kolejne piwo czytają mi przez ramię.

A tego nie lubię.

Rozłożyłam laptop.

Nie minęło piętnaście minut, jak do "Banasia"wpadła Dominika, trzaskając drzwiami.

Ostatnio jest na zmianę zgaszonai wściekła, nie wiem, o co chodzi.

Mietek westchnął ulgą i przekazał jej miejsce za barem.

Zaczął się zbierać do domu, jego żona odporodu Magdy wpadła w histerię położniczą i co pół godziny wydaje jej się, że to już.

Nie chce zostawać sama.

Magda z Dudusiem nadciągnęli tuż za Dominika.

Czuję, że już sobie dzisiaj popisałam, aż furczy.

- A tyco tak,sama do pracy?

- zapytał Duduś.

- A zazwyczaj chodzę z ochroną?

- zdziwiła się Dominika.

- On pyta o Edytkę - domyśliłam się.

Duduś zamówił wino.

- A co, nie wolno?

- wkurzył się w końcu.

- Ciekaw jestem, co tam słyhać u muzy najslawniejszych artystów Krakowa.

Z czystej ciekawosci.

- Zazwyczaj czlowiek jest ciekaw z ciekawosci - wytknela znanemu pisarzowi Magda.

- Poza tym Edytka nie jest juz muzą artystów, nie slyszales?

Zaczela kręcic z Kudlatym, we wsi powiadaja, ze moze nawet cos z tego bedzie.

No co?

- spytala, rozsmieszona, bo Dudek sie skrzywil.

- Taka subtelna duszyczka iochroniarz?

- Taka subtelna duszyczka i ty?

- dopiekla mu Magda.

- Ja do Edytki nic nie mam - odparl Dudus.

- Maszchorą wyobrazenie.

- Myslam otwojej zonie - odcielasię natychmiast.

- Tez jestu osobieniem delikatnoscii, a trafil jej sie toporny brodacz.

- Widze, ze jajniki cisię uruchomily i produkują samiczą zlosliwosc.

Wolalem, jak bylascw ciazy.

- Wtedy mnie tu praktycznie nie bylo.

- Wzruszylamionami.

- Wlasnie - mruknal Dudus, a Magda omal nie obrazila sie nazawsze, ale na szczescie jej uwage odwrócila na chwile Dominika, która zaczela wykładać na bar rozmaite firmowe papierki.

- Znalazles moze umowe z papierosami^ - zapytala Mięcia.

- Nie bardzo - przyznal Mietek, naciagajac na glowe ulubioną szanke.

Wygladal jak Wujaszek Wania.

Mam nadzieje, ze zimasię niedlugo skonczy, bo inaczej wystraszy smiertelnie wlasne dziecizaraż po urodzeniu.

Magda przewrocila oczami.

159.

- A szukałeś?

- spytała Dominika celnie.

- Jak wyżej - zachichotał Duduś.

Dominika westchnęła ciężko iż miejsca przystąpiła do porządkowania baru i zaplecza.

- Ona takma - wyszeptał Mietek na stronie, do Magdy.

- Cały czas.

Czyste błogosławieństwo, dosłownie i w przenośni.

Utrzymywała nas przy życiu, jak cię nie było, i mam nadzieję, że będzie tak dalej.

Magda rozpromieniła się, bo Dominika już dawno przypadła jej do gustu.

Ciekawe tylko, co powinna jej romans z Pawełkiem, o którym, jak mniemam, ci dwoje nie pisnęli ani słóweczkiem.

Pawełek dobrze znał zdanie szefowej na temat zawirowań miłosnych w miejscu pracy.

Gdzie kuszajesz, nie jebajesz, mawiał swego czasu kucharz Ukrainiec i Magda w pełni się z nim zgadzała, przy czym jej zdaniem kuszajesz oznaczało nie tylko pozywianie się, ale i wiele innych czynności, na czele z pracą zarobkową.

Wśród wielu swego czasu facetów Magdy nigdy nie było nikogo z jej pracy, a wcześniej, ze studiów.

Uważała, że łączenie jednego z drugim rodzi rozmaite komplikacje i niepotrzebnie zawęża horyzonty.

W końcu jeśli z własnym facetem będzie wstawać rano, wychodzić do roboty, cały dzień wspólnie wykonywać podobne czynności i wracać do tego samego domu, stale i bez przerwy w tym samym towarzystwie, to oczym będą z sobą kiedyś rozmawiać?

"Nie bierz dupy z własnej grupy" - to była z kolei wersja pewnego asystenta, którego zdanie

Magda wysoko sobie ceniła i stosowała w praktyce.

Spróbowała odstępstwa raz - właśnie owym asystentem - i wygłoszona przez niego sentencja była zarazem zdaniem kończącym ich burzliwy romans oraz podsumowującym przyczynę niepowodzenia.

Magda zapamiętała je na całe życie.

Będą jaja, czuję to.

Zaczęły się niemal natychmiast, bo przyszedł Pawełek, rzucił się zabar zestłumionym okrzykiem i wyhamował na widok Magdusi, zręką pięćcentymetrów nad pośladkiem Dominiki, która, schylona, grzebała w rachunkach.

Pawełek zgłupiał i w zamyśleniu podrapał się po nosie.

Magda parsknęła śmiechem.

- Chciałeś ją klepnąć w tyłek, widziałam!

- pochwaliła się.

- Dominika, wytrzymujesz to jakoś?

Nie molestują cię aby za nadto?

Dominika wynurzyła się zza baru, tryumfalnie podnosząc dogórz zagubioną umowę w dość żalonym stanie.

160

- Co? E.

- Napotkała wzrok Pawełka, który postawił oczyw straszny, ostrzegawczy słup.

- A, nie, nie za nadto.

Przyzwyczaiałam się - zbagatelizowała.

Pawełek z sykiem wypuścił powietrze, na szczęście Magda przyglądała się Dominice.

- Ecto gamma - mruknęła Dominika i zachichotała.

Magda dziwiła się.

- Ecto gamma!

A cóż to znaczy?

Uczyłam się kiedyś łaciny, alenie kojarzę?

- To z "Piątego elementu" - wyjaśniła pogodnie Dominika, a Pawełek znowu zaczerpnął tchu.

- "Nigdy bez mojej zgody".
- Puścił do niego wspaniałe perskie oko.
Magda przyjrzała się uważnie obojgu.
- No, no - powiedziała surowo.
- Lepiej niech sobie nie pozwalają w ogóle.
Przyzwyczajają się i będą mi potem poklepywali wszystkich, jak leci, ze mną na czele.
A tego nie lubię.
- Czyżby?
- zdumiał się Duduś.
- Wszystkich jak leci?
- zapytał w tej samej sekundzie Mietek, spojrzał na Dudusia i otrząsnął się.
- Wszystkich tonie - powiedział pełnym przekonaniem.
- Żadnych nie - zakończyła dyskusję Magda.
- Ecto gammameum sze forum.
- Podanie mam napisać?
- zapytał Pawełek zjadliwie, nerwymiutrochę puściły.
- Jak już nie będziesz mógł wytrzymać, to napisz - odcięła się Magda.
- W trzech egzemplarzach: jeden dla mnie, drugi dla potencjalnego obiektu poklepywań, trzeci do archiwum.
- Mamy tu archiwum?
- Miecio, cały czas gotowy do wyjścia, jakoś nie mógł zebrać się w sobie.
Przyjrzała się krytycznie tej części baru, przez którą nie przeleciała jeszcze opętana manią porządku Dominika.
- Wyłącznie - warknęła Dominika i przestawiła Mietka za łokcie jak mebel.
Utrudniał jej dostęp do schowka na szczotki.
- A najbardziej archiwalnym materiałem jesteś ty.
- Długopis poproszę - powiedział Pawełek.
- Będę pisał podanie.
- Widzisz, jak ona się do przyszłego potencjalnego szefa zwraca?
- poskarżył się Mietek.
- Czy mogę w końcu doprosić się o piwo?
- warknął niecierpliwym klient, zwany przez wszystkich Snobem ze Szczecina.
Snob

ze Szczecina bywał u nas mniej więcej raz w miesiącu i zawsze trafiał na jakieś folklor, w związku z czym nieodmiennie krytykował personel i miejsce, co nie zmieniało faktu, że ilekroć pojawiał się Krakowie, piwko w "Banasiu" było stałym punktem programu.

- Dzień dobry - wrzasnął chórem cała personeli wyprężył się na baczność.

Jedno z pierwszych przemówień Snobze Szczecina dotyczyło faktu, że, jak twierdził, we wszystkich kulturalnych lokalach na świecie, jak wchodzi klient, to personel mu grzecznie "dzień dobry" mówi, a w tym cholernym Krakowie wszyscy siedzą, gadają, olewają gości i człowiek się musi upominać, żeby ktoś w ogóle spojrzał na niego raczył.

Magda uważnie przyjrzała się całej załodze.

- Jaką muzykę pan sobie zyczysz? - zapytał słodko Miecio, omijając Dominikę z daleka i podchodząc do komputera.

Drużyna przemowa Snoba ze Szczecina dotyczyła muzyki.

W większości kulturalnych lokalach na świecie, twierdził, zwłaszcza tych czynnych po południu porą, serwujących lekkie drinki i kawusie, muzyka jest łagodnie puszczana z odpowiednim natężeniem, żeby klienci mogli swobodnie sobie porozmawiać, głośno bywa jedynie w ramach koncertów na żywo.

A w tym cholernym Krakowie wszyscy jakby ogłuchli, muzyka chaotycznie denerwująca, wzmacniacz ryczy tak, że człowiek własnych myśli nie słyszy, a o miłej pogawędce ma mowę. Człowiek miałby ochotę wstać i wyjść, ale po pierwsze, już się tu umówił i czeka, a po drugie, zamówił nieopatrznie piwo, a piwa marnować nie będzie.

I tak dalej.

- Tym razem może być - wyburczał Snob ze Szczecina.

- Widzę, że się uczyicie.

Miskę dla psa proszę.

Magda uniosła brwi.

- Psa?

- spytała z rezerwą.

Nie to, żeby miała coś przeciwko psom, ale pan wyraźnie nie przypadł jej do gustu.

- Z personelem rozmawiam - burknął Snob.

- Pan zawsze przychodzi z pieskiem - powiedział łagodnie Mietek, który pierwszy z towarzystwa już dawno temu polubił Snoba.

Śmieszyl go.

- Poprosił o pozwolenie już dawno temu i pozwoliłem.

- A co w tym dziwnego?

- zapytał Snob, mrużąc oczy.

- W większości kulturalnych lokalach na świecie.

162

- ...

nie obsługuje się klientów w odzieży sportowej - wpadła mu do głowy Magda, patrząc wymownie na nieskazitelnie białe adidasy i czerwoną baseballową czapkę, w którą się wystroił.

Naramiona miał narzucone coś w rodzaju futerka.

Snob nabrał powietrza.

- Tonasza szefowa.

- Miecio z błyskiem w oku dokonał nagle prezentacji.

Z pana uszło powietrze w ułamku sekundy.

- Była namacierzynskim i wróciła.

Nie nadługo, ale zawsze.

- wyjaśnił, siadając z powrotem na miejsce.

Snob zdjął czapkę nagle uśmiechnął się, co odmieniło jego napiętą twarz nie do poznania.

- Przepraszam, jestem szalonym upierdliwym klientem, zwłaszcza po bardzo stresującym dniu

- powiedział miękko, podając Magdzie rękę.

- Andrzej.

Ze Szczecina.

Oni mnie już znają.

- Magda -przedstawiła się.

- Magda z Krakowa, jeszcze przez kilka tygodni.

Ja jestem szalenie upierdliwą szefową i oni wszyscy znają mnie także.

Snob doprowadził pieska do kąta, pies ułożył się wygodnie, a jego właściciel dosiadł się do baru, na siódmego, skutecznie zagrażając dostęp kolejnym klientom.

Po zdjęciu czapeczki i rozpuszczeniu stresu w piwie ciemnym mocnym Snob jest, tak naprawdę, sympatycznym, błyskotliwym facetem i da się lubić.

Dlatego jeszcze go nie zabiliśmy.

Wystarczy przeczekać pierwszych piętnaście minut.

Magda też przekonała się do niego po kwadransie.

Kolejny klient położył się jej na plecach i wrzeszczał nad uchem, więc zaproponowała przesiadkę do zwykłego stolika.

Snoba zabraliśmy ze sobą, nie był dziś, wyjątkowo, z nikim umówiony, przyszedł sobie ot, tak, corównież świadczyło o tym, że mimo wszystko na lokale w tym cholernym Krakowie, łącznie z "Banasiem", narzeka ot, tak, dla zasady.

- A oni co?

- zapytała Magda podejrzliwie, nie spuszczać wzroku z Pawełka i Dominiki, którzy wycofali się w głąb baru, z zasięgu naszych długich uszu coś tam dosiebie nerwowo szeptała.

Dotarło donich, że całej reszcie zaczęło coś świtać.

- Co?

Wasze gołąbeczki ze schowka na zapleczu?

- zarechotał Snob, zanim Duduś zdążył kopnąć go w kostkę.

- Że co?

- spytała groźnie Magda, podrywając się.

Duduś wyciągnął łapę i upchnął Magdę z powrotem w fotelu.

163.

- Ano tak - przyświadczył powoli, udowadniając, że on też maoczy.
- Spokojnie, romansują sobie od pewnego czasu i nie wpływa imto na efektywność.

Nie czepiaj się, mają prawo do prywatnego życia.

- Tonie jestycieprywatne, tylko publiczne- mruknęła z niezadowoleniem, obserwując nieznacznie, spod spuszczonej ręki, jakPawełek, rzucając niespokojne spojrzenia na boki, przelotnie dotknął ręki Dominiki, patrząc na nią błagalnie.

Domisichyba się niespodobało to, co powiedział jej chwilę wcześniej, bo pokręciła głową i ostentacyjnie wytartarekę ospódnicę.

- I co z tego?

Mam zwolnić z pracy Pawła, któryjest z nami odpięciu lat?

CzyDominikę, która pracujelepiej niżdwunastu barmanów razem wziętych?

Ona naprawdęjest dla mnie nieocenionąpomocą.

A Paweł to przyjaciel - zirytował się w końcu Mietek, patrząc na Magdę twardym wzrokiem.

-Wiem, co robię - zastrzegł się.

- Na Dominice wszyscy tu polegamyjak naZawiszy.

- No pięknie -zarechotał Andrzej.

- Wszyscy?

Ja myślałem, że tylko polega ten barman.

- Pokazał głowąPawełka.

-A raczejpoleguje.

- Magda, wyluzuj - poprosił Duduś, biorąc ją za rękę.

- Proszę.

Tonaprawdę fajniludzie, oboje.

Odpowiedzialni.

Poza tym spokojnie, Dominika ma na oku jeszczejednego faceta, Anglika, nie wiadomo, jak to się wszystkoskończy - pozwolił sobie na małą ploteczkę.

Magda fuknęła gniewnie.

A ja się zdziwiłam.

Anglika?

Nie wiem, co jest ostatnio z tą rzeczywistością.

Dotego, że niedocierają do mnie zmiany w planie zajęć lecę przez pół miasta naseminarium,które odbyło się tydzień temu, już prawie sięprzyzwyczaiłam.

Ale żebym nie była na bieżąco w sprawach osobistychmoich najbliższych znajomych, to już przesada.

Stanowczopowinam żyćbardziejważnie.

- A, toś mnie pocieszył - warknęła Madzia.

- Już ja tamwiem, jak sięto skończy.

Zakrety,pretensje i ogólnadezorganizacja.

Sambędziesz tu pracował, jak oni się wzajemnie powykańczają - zagroziła mu.

Dudusiowi zaśmiały się oczy.

- Ale groźba, że uch!

- zachichotał.

-Z przyjemnością.

- Obrzucił wzrokiem ekspozycję butelek za barem.

-Tylko wiesz, to takjak wpuścić lisa do kurnika.

- Lepiej nie -zreflektowała się Magda.

- Zatrudniętwoją żonę.

- O, nie!

- Duduś przeraził się śmiertelnie i raczej nie udawał.

-Tego mi nie zrobisz!

- Dlaczego nie?

- zaśmiała się Magda.

-Jadwiga jest bardzo odpowiedzialna, pić nie lubii w dodatku chyba poszukuje pracy.

Zdażyłam już wypaplać jej to i owo.

- Ale napewno nie za borem -powiedział stanowczo Duduś.

-Ona poszukuje pracy zgodnej z wykształceniem, w dziale kultury.

Wysokiej.

Muzea, i te sprawy.

- Masz coś do naszej kultury?

- zgorszyła się Magda.

Snob ze Szczecina znowu zarechotał.

- Zeniby niska jest?

Wśród personelu i stałych klientów sami pisarze i przyszli pisarze, poeci różnej maści artyści.

Marta, Zaprzyjaźniony Barman, nawet ty sam.

A muzeum niejedno przychodzi, zwłaszcza wczesnym wieczorkiem.

- Wskazała końcem papierosa trzy zażywe babcie sączące koniaczek.

-Zachowując prywatne uwagi dla siebie, z całą pewnością mogę stwierdzić, że panuje tu bardzo wysoka kultura.

- Tak - zachichotał Duduś.

- Wysokości stołkabarowego.

Zachichotałam i ja.

Przypomniałam się, jak ostatnio uprawialiśmy zbiorowo literaturę, ja i Zaprzyjaźniony Barman, któremu w miejscu pracy ciągle przeszkadzali, więc po skończeniu dniówki przyszedł do "Banasia".

Wraz z laptopem, równie zdezelowanym jak mój.

Siedzieliśmy oboje, na dwóch różnych końcach wyjątkowo zatłoczonego przez stałych klientów baru, i każde zapamiętało stuknięcie swojej klawiatury.

Muszę dodać, że odkiedy oboje osiągnęliśmy znamienitą pozycję debiutantów w świecie rodzimej literatury, nasze rozmówki barowe przebiegają dość specyficznie.

Jak dawniej opowiadamy sobie rozmaite anegdoty, każdą jednak zaopatrując wstępem: "Słuchaj, zdarzyła mi się taka rzecz- i zamierzam to wykorzystać.

".

Siądme: nie kradnij.

Zwłaszcza nie kradnij cudzej powieści.

Z ferii zimowych w Białce przywiozłam sporo historyjek wartych zapamiętania, dość jednolitych tematycznie - wszystkie o zwierzętach.

Zasłyszane w trakcie kolejnych imprez świetlicowych, kiedy to dzieci słodko spały w wyłożonych sosnową boazerią pokojach, a matki wspólnie celebrowały swój czas relaksu.

W ramach tego relaksu w powietrze płynęły cudowne anegdoty, najlepsze były dwie: o żyrafie oraz o misiu koala.

Opowiedziałam obie Zaprzyjaźnionemu Barmanowi.

Oczka mu się zaświeciły, bo pisze książkę, w której w każdym opowiadaniu występuje

przynajmniej jedno zwierzę, oraz jego całkowicie ludzki odpowiednik.

- Daj mi żyrafę, błagam - poprosił.

- Strasznie mi pasuje, brakowało mi jakiejś ciekawej historii z żyrafą.

Please!

Z westchnieniem zdecydowałam się ulec prośbie, w końcu to opisze o zwierzątkach, nie ja. Mnie wystarczy menażeria z baru.

Piszę sobie i piszę, opowieść układa mi się pod palcami, w dużej mierze zasilana rzeczywistością, jak zwykle - i z nienacka przypomniałam sobie o misiu.

- Tomek!

- wydarłam się przez bar i ludność koliczną.

Zaprzyjaźniony Barman ma tak na imię.

- Tomek, wykorzystasz może misia koala?

- Nie, wykorzystam żyrafę!

- odwrzasnął mi, aż szklanki zabrzęczały.

- A co?

- Bo strasznie mam ochotę na misia, faza złapałam!

- odpowiedziałam gromko.

- Muszę go mieć!

- A bierz sobie, ja się zadowolę żyrafą!

- krzyknął.

- Bierz sobie na zdrowie i rób z nim, co chcesz!

W tym momencie jeden ze stałych klientów, któremu głowa latała na bok od jednego z nas do drugiego, zapytał drżącym głosem:

- Ludzie, możecie mi powiedzieć, O CZYM WY WŁAŚCIWIE ROZMAWIACIE?

- O upodobaniach - zgasił go natychmiast Zaprzyjaźniony Barman.

- Prywatnych.

Stały klient, gulgotając, walnął sobie banię i nic już nie powiedział.

Taka to nasza wysoka kultura, proszę państwa.

Duduś nie wytrzymał i podszedł do baru.

- Możecie się nie wygłupiać.

Ona już wie.

- Ruchem głowy wskazał na Magdę.

- Powiedziałeś!

- Pawełek spojrzał na niego z wyrzutem.

- Plotkarzu ty!

- Nie ja - Duduś przyjął postawę obronną - to Snob ze Szczecina.

Nie jest tak ślepy i ograniczony, jak by się wydawało.

Ja tylko musiałem wytłumaczyć Magdzie to i owo.

Nie żęre was.

- Napewno?

- upewnił się Pawełek.

- Na pewno - przyświadczył Duduś.

- Poza tym Mietek wygłosił 166

sił na wasz temat płomienną mowę obrończą.

Zachwilę zostanie on jako wyłączny szef, a wy będziecie mieli życie jak w Madrycie.

Ja również dołożyłem swój trzy gorsze.

Mogę być ojcem chrzestnym, jakby co?

- zarechotał oblesnie.

Dominika popukała się w czoło.

Magda nadal wyglądała na niepokojoną.

Snob przysunął się bliżej i zajrzał jej prosto w pochmurne zielone oczy.

- Hej, będzie dobrze, poradzą sobie - powiedział ciepło.

Magda uśmiechnęła się lekko.

Mietek obrzucił ich oboje uważnym spojrzeniem, zdjął uszankę i przysunął sobie krzeselko.

Najwyraźniej postanowił trzymać rękę na pulsie.

- Nie miałeś wcześniej okazji poznać naszej Magdusi, bo ona dopiero co wróciła z macierzyńskiego - powtórzył z naciskiem, próbując przekierować uwagę Snoba na siebie samego i wtłuc mudo głowy to i owo.

Tak na wszelki wypadek.

- Urodziła fajnego chłopaka, do kompletu, bo starszą ma córkę - dodał, ponieważ Snob jakoś nie wydawał się wstrząśnięty poprzednią informacją.

- To żona naszego właściciela, Kazia - dołożył po namyśle.

Snob w zasadzie nie słuchał.

Mietek westchnął ciężko i zwrócił się do Magdy, przerywając tamtemu w pół słowa.

- Właśnie, Madziu, jak tam szanowny małżonek?

nie widziałem go wieki!

Magda wymruczała coś niewyraźnie.

- Przepraszam, nie usłyszałem - powiedział bezczelnie Duduś.

- Właśnie, jak tam małżonek?

Ostatnio znikł z horyzontu.

Snob wreszcie nastawił uszu, co nie uszło uwagi Mięcia.

Mietek zmarszczył brwi.

- Lata za papierami - powiedziała Magda.

- Albo w ogóle lata.

Już dwarazy był tam, na miejscu, i wszystko przygotowuje.

I wiecie, co?

Im bardziej on jest zachwycony, im wyraźniej rysuje się tamasza piękna australijska przyszłość, tym bardziej ją, tak naprawdę, wcale nie chcę tam jechać.

Właściwie to mam coraz większą ochotę rąbnąć wszystkim i oświadczyć, że nigdzie nie pojedę.

Szkoda tylko, że zezwoliłam się z pracy i to z hukiem.

Magda, upojona początkowo perspektywą wyjazdu na inną półkulę, nie poprzestała na prostym złożeniu wypowiedzenia, ale urządziła w firmie pożegnanie.

W ramach pożegnania - ponieważ od początku nie mogła karmić, mogła za to się upić, wykorzystała

więc okazję i w poczuciu ostatecznego wyzwolenia oraz bezkarności powiedziała paru osobom, co myśli tak naprawdę o nich i tej całej pracy.

Nie przypuszczam, aby przyjęli ją z powrotem w swe szeregi szeroko otwartymiramiomami.

- Poza tym ostatnio trochę sięklóćimy.

Kazik dostał normalniekosmicznego pierdolca napunkcie Szymona.

Szymon to nasz syn, ma trzy i półtygodnia - wyjaśniła Snobowi.

- Nie pozwala mi używać nosidła, żeby młodemu się nie wygiął odcinek lędźwiowy.

Tłumaczyłam chłopu jak krowie namiedzy, że Agatę nosiłam przy sobie od pierwszych dni życia i jakoś jej się nicnie wygięło, jeśli komuś nosidło może uszkodzić odcinek lędźwiowy, to już raczejjmnie.

A on na to, że nieprawda, bo Agata ma krzywą łopatkę.

Iniemogę mu dać żadnej gwarancji, że to nie dlatego.

Facet w sile wieku, a zachowuje sięgorzej niż moja własna babcia!

- prychnęła.

- Pamiętacie jego podejście do dzieci, chociażby sprzed roku?

W życiu niesądziłam, że tak mu odwali.

Nazywa mnie nieczułąi niedbałąmatką, bo nie mierzę temperatury wodyw wanience.

Termometrem.

Albo sypię mieszanki do butli na oko.

Zawsze sypałamwszystko na okoi jakoś okoliczna ludność to przeżyła - zakończyła z furją.

- Potrafi, po dyskusjize mną, zadzwonić do mamusi.

Teżmi autorytet.

Ona odchowała jedno dziecko, i jak widać, wyrosłona debila, a ja już mam dwójkę.

Mam nadzieję, że jak już wyjedziemy, to mu świeże powietrze dobrze na mózg zrobi.

Poza tym niebędzie dzwonił do mamy codziennie, bo zbankrutujemy.

- Będzie pisał mejle - zachichotał Duduś.

- Albo gadał przezskype'a.

- Zgiń, przepadnij, a wcześniej wypluj to, co powiedziałaś!

- mruknęła Magda icipiężko westchnęła.

- No i tak.

Andrzejowi zaświeciły się błękitne oczka.

- To chcesz jechać, czy nie?

- zapytał w końcu.

- Bo sobiezaprzeczasz.

Milczała przez chwilę.

- Nie chcę.

Ale jak już muszę, to niech z tego przynajmniej wyniknie jakaś korzyść.

- Dziecici się angielskiego nauczą - podsunęła zza baru Dominika, praktyczna ja zwykle.

- A zapomnapolskiego - powiedziała ponuro Magda.

168

- Nie przesadzaj.

Możemy się wymieniaćnimi na wakacjach, raz ja zaproszę do siebie Agatę, no i Szymkajak już podrośnie, razy weźmiesz do siebie moje baby.

I młodego, jak już podrośnie - powiedziałam ja.

- Na wszystko się znajdzie jakieś rozwiązanie.

- Snob uśmiechnął się krzepiąco i poklepał Magdę po dłoni.

Magda tej dłoni niecofnęła, chociaż na ogół nie lubi takich gestów.

Oczywiście Miciozarejestrował ten fakt i obmachwał brwiami jak należy.

W końcu stwierdził, że nikt zupełnie z nim się nie liczy w tymtowarzystwie, zamówił taksówkę i odjechał do domu, trzymać swąciężarną żonęza brzuch, żeby się jeszcze nierozleciała.

A S nob, ku zdumieniu wszystkich, podzielał na Magdę naprawdękojąco.

Po dwóch godzinach, gdy opuszczaliśmy nasz ulubiony lokal, Madzia była o wiele pogodniejsza i życzliwiej nastawiona do świata.

Z perypetiami miłośnym personelu włącznie, na szczęście dla Dominiki.

Nazajutrz, pod silnym wpływem Snoba ze Szczecina, Mietek postanowił wznieść się na wyżyny kultury osobistej, podnosząc zarazem standard lokalu.

Do baru dotoczył się akurat pan o przekrwionych oczkach, w wyświechtanej skórzanej kurteczce.

- Piwo!

- warknął.

- Dzień dobry!

- przywitał go uprzejmie Mietek.

Pan pokiwał się chwile na piętach i obdarzył go złym spojrzeniem.

- Czy pan jest głuchy?

- burknął.

- Piwo!

- A czy pan jest głuchy?

Dzień dobry!

Pan wymruczał pod nosem coś, co jak "dzień dobry" zdecydowanie nie brzmiało.

Mietek nalał mu piwa i postawił przed nim złośliwym.

- Proszę bardzo!

- powiedział z naciskiem.

- Eee.

- mruknął klient.

- Eee.

Dobranoc.

Połowiczny efekt wzajemnego wychowywania się Mietek uznała osiągnięty.

169.

MarzecZ pamiętnika Dominiki N.

Drugi

Ładne kwiatki.

Snobze Szczecina zdemaskował nas przed szefową, i to w momencie gdy sami ze sobą nie możemy dojść do porozumienia.

Inna sprawa, że zrobił to jakoś tak.

łagodnie, nie wiadomo jak, ale Magda nie zgłosiła większych zastrzeżeń.

Nic nie mówi, za to nas obserwuje.

Ja z kolei obserwuję Pawełka, więc możliwe, że facet może się ostatnio czuć pod ostrzałem. Zastanowiło mnie to, co powiedział Robaczek - że Paweł jest we mnie bardzo zakochany. Mimo jego gwałtownej reakcji w pamiętny wieczór (ponieważ się dotarło do nas wszystkich, że były to walentynki, w natłoku różnych zdarzeń zgodnie nie zwróciliśmy na ten fakt uwagi) nie byłabym tego taka pewna.

Chociażby te walentynki - zapomniał o nich, czyż nie?

Gdyby był taki zakochany, to by pamiętał.

Robert uparcie obstaje przyswoim.

Ja próbuję rozeznąć się w uczuciach, przede wszystkim własnych.

Czy jestem zakochana?

Może troszkę?

Dlaczego w takim razie nie dalej niż wczoraj śnił mi się Brian i był to sen z gatunku takich, po których człowiek przez cały dzień chodzi na miękkich nogach i odczuwa ciepło w rejonie podbrzusza?

Wszystko układa się powoli, Magda wie, Robert akceptuje, nawet Marta przestała kręcić nosem, w zasadzie nie ma przeszkód, żebym ujawniła Pawełka na forum rodzinnym, a jednak się waham.

Uwielbiam gadać z Robertem.

On jest taki miły, Mądry, ciepły i z ogromnym poczuciem humoru.

Ciekawe, dlaczego się rozwiódł to pięć lat temu.

Zdradził mi ten fakt ostatnio, ale nie śmiałam dopypywać szczegóły. Chociaż pewnie mogę, on mnie bezlitośnie przesłuchuje ze wszystkiego.

Sam niewie, czy ma być moim kumplem, czy dalej wychowawcą.

W każdym razie wyraźnie go cieszy ta nasza znajomość, rozkwitająca po latach.

Umówiliśmy się na piąte z rzędu spotkanie.

Jak jeszcze on mi się zaczął śnić po nocach, to się zastrzeżę.

170

Trzeci

Jakby mi było mało rozmaitych zajęć, zapisałam się na kurs masażu tybetańskiego, wraz z Edynią.

Muszę coś zrobić ze swoim życiem.

Na razie czytam różne filozofie Wschodu i uzupełniam niedobory minerałów według wskazań naszego instruktora.

Oprócz masażu wykładają nam jeszcze elementy farmakognozji, czyli wiedzy o uzdrawiającej mocy ziół.

Edytka też ma faszę na odmianę, ona jeszcze rozpracowuje uzdrawiającą moc kolorów.

Ostatnio się nosi wyłącznie na zielono.

Kudłaty próbuje ubierać w czerwienie, ale on się buntuje.

Ostatnio nawet się obraził, ponieważ Edytka zrobiła mu wykład, dlatego musi sobie dołożyć energii i w jakiej dziedzinie.

Kudłaty trzasnął drzwiami, a tuż przed trzaśnięciem wrzasnął, że w tej dziedzinie akurat nigdy niczego mu nie brakowało.

I poszedł w miasto.

Edytka obawia się, że przegięła, i jeszcze się obawia, że Kudłaty będzie teraz musiał udowodnić sobie, że wszelaką energią dysponuje w nadmiarze i niejedną Edytkę może nią obdzielić.

A ona przecież chciała mu tylko pomóc!

Wlałam w Edytkę butelkę czerwonego wina i uspokoiła się.

Za dużo zieleni- oto moja diagnoza.

Zdecydowanie sama odczasu do czasu musi zażyć coś czerwonego.

Machała na mnie obiema rękami, że mieszam pojęcia i nic nie rozumiem, ale w końcu się poddała i zakończyliśmy wieczór wspólnym pijackim chichotem, w którym odczasu do czasu znalazło się nawet miejsce na łzy.

Marta

MAGDA ODLATUJE

Magdanie była specjalnie zachwycona kielkującym firmowym romanssem, ale Domiśka umiała ją rozbroić.

- Jak już wiesz o nas, to ci coś opowiem - zagała któregoś wieczora, korzystając z okazji, że Pawła akuratnie byłow pracy.

-Zdradzę ci mianowicie, w jaki sposób doszło do tego, że tu, w twoim lokalu, twój barman, a mój kochanek, zdzielił po mordziemego pana od biologii.

171.

Magda wytrzeszczyła szeroko oczyska.

- No nie, to już przechodzi ludzkie pojęcie - wyjęczała po wysłuchaniu całej historii, trzymając się za brzuch.

Wiedząc z doświadczenia, jak bywam miesiąc poporodzie, zdawałam sobie sprawę, że ma ochotę potrzymać się raczej za krocze, ale nie wypada.

- I co na to twój wychowawca, tak na dłuższą metę?

- Zaprzyjaźnili się w pewien sposób - powiedziała z zadowoleniem Dominika.

- Na dłuższą metę Robert jest za.

Tylko ja samą teogonię wiem.

Tak na dwieście procent.

- Janiewiem nawet na sto, chociaż jestem świeżo poślubie - przyznała się Magda.

- Marta, aty?

Wiesz nadwieście procent?

- Na dwieście to nie - odparłam po krótkim zastanowieniu - chociaż poślubie jestem bardzo, ale to bardzo nieświeżo.

Zależy, o co pytaacie, o wolę czy o uczucia.

- O uczucia - powiedziały chórem.

Pokiwałam głową.

- Jeśli chodzi o uczucia, to dwieście procent wystarcza na krótko.

Jeśli chodzi o wolę, to nadłóż.

Jeśli mówią o woli, to chyba jestem bliska tych dwustu procent - stwierdziłam po kilku minutach namysłu.

- A ja nie - powiedziały unisono Magda z Dominiką.

I roześmiały się obie.

Sprawa pomiędzy tymi dwiema załatwiona.

Posiedziałam z nimi jeszcze pół godziny, a potem wciągnęłam do siebie studencko-domowo-zawodowe życie na dobre dwa tygodnie.

Zaniedbałam wszystkich hurtem: Magdę, Gośkę, Ankę, Lilianę i Dominikę.

Tę ostatnią najmniej, bo sama do mnie wpada od czasu do czasu na krótką popołudniową kawę.

Niemogę się udzielać, zwyczajnie mam czasu.

Uczę się wytrwale, piszę drugą książkę - przecież nie będę gorsza od Dudusi tylko dlatego, że mam na głowie studia.

On swoje zakończył już zesto lat temu, zanim na dobrego poznałam, i sam ten fakt sprawia, że jestem do tyłu.

W przerwach usiłuję wychowywać swoje liczne dzieci, dogodzić córeczkom codzienną porcją wieczornych rozmów i czytania i trochę porozpieszczać własny brzuch.

Jest ogromny, w tramwaju ustępują mi miejsca bez żadnej dyskusji.

172

Usiłuję też dzielnie uczestniczyć w zajęciach, w miarę swoich skromnych możliwości, i bardzo żałuję, że człowiek w ogóle musi spać.

Ja muszę szczególnie, jestem narkoleptykiem i jeśli niezadbam o odpowiednią ilość snu, to później na wykładzie zasypiam z otwartymi oczami i widzę, jak z głowy asystenta wyrastają fioletowe pomarańcze.

Cotrozkę zakłóca mi przyswajanie wykładanego materiału.

Mniejsza z tym, uparłam się, że skończę studia w tym roku.

I skończę.

Piękny rok, swoją drogą, trzynasty na tym samym kierunku.

A propos trzynastego.

Na rok szósty, rzecz jasna, nie wpisałam się znowu jak człowiek, w okolicach września, tylko wzięłam wszelkie możliwe warunki.

Pan dziekan, którego melduję się regularnie raz na pół roku z różnymi petycjami, i który zna mnie

już na tyle dobrze, że nawet nie muszę mu się przedstawiać, tylko westchnąłem i dałem mi termin do połowy stycznia.

Dwa dni przedterminem, dumna i blada, wkroczyłam do dziekanatu.

- Zaliczyłam wszystko - pochwaliłam się ulubionej pani sekretarce, która zna mnie również, jeszcze lepiej niż dziekan.

- Tu jest mój indeks.

Poproszę o kartę wpisową.

- Czy pani, z przeproszeniem, upadła głowę?

- oburzyła się śmiertelnie pani sekretarka.

- Dzisiaj pan przychodzi?

Dzisiaj?

Pani?

- A co, dzisiaj nie można?

- Też się, szczerze mówiąc, śmiertelnie zdumiałam.

- A co dzisiaj jest?

- Jak to co, jak to?

- Pani sekretarka była wyraźnie wstrząśnięta.

- Piątek, trzynastego!

Pani, z przeproszeniem, z pani szczęściem inaczej, po tylu latach chce się wpisać na ostatni rok akurat dzisiaj?

W życiu!

Po moim trupie!

Proszę sobie zabrać kartę wpisową, jeśli pani musi, ale dobrze radzę, niech pani się nie waży dzisiaj nie krzyżka postawić!

Proszę przyjść w poniedziałek.

- W poniedziałek będzie już szesnasty - powiedziałam niepewnie.

- Mam termin do piątnastego.

- Proszę przyjść w poniedziałek - uparła się pani sekretarka.

- Na moją odpowiedzialność.

Jakby dziekan pytał, wszystkemu wytłumaczę.

I normalnie wyrzuciłam mnie za drzwi.

Wyszłam, mrugając oczami.

Przyszłam w poniedziałek i zostałam wpisana na szósty rok bez żadnych problemów.

A teraz uparłam się ten rok zakończyć jednym płynnym ruchem dlatego klęknę jak szewc nad różnymi seminariami, na które oczywiście nie mogłam chodzić jak człowiek, z grupą, tylko muszę zaliczać je wytrwale po kolei.

I po godzinach.

Podwójnych tygodniach objawiłam się w ulubionym lokalu jak diabeł z pudełka.

Natrafiałam na początek wspaniałej awantury.

Magda z Mieciem konferowali zawzięcie, zagrzebani w papierach po uszy.

Wywijali tymi papierami i przemawiali do siebie tonem piskliwym, z tendencją do crescendo.

Doszli już do mezzo forte.

- O, Boże, weź mnie stąd, bo nie wytrzymam!

- zamachała rękami Magda, jak tylko wkroczyłam do lokalu, wachlując się gazetą.

Niby marzec, rano był przymrozek, a w południe upał jak diabli i spociłam się wszędzie.

- Mówiłaś do mnie, czy do Boga?

- zainteresowałam się.

- Wszystko mi jedno.

Niech się ktoś zlituje!

Ten debil mnie pyta, po co ma uzgadniać kolorystykę ogródka z Naczelnym Plastykiem Miasta Krakowa czy nie może wymienić skrzynek na czerwone, bo te zielone są ponure.

Tłumaczę mu, że może, ale zmianę też musi uzgodnić z plastykiem, nie mam pojęcia, po co, ale trzeba.

Taki jest wymóg, był i zawsze będzie.

Jak kiedyś kupiłam doniczki w dowolnych kolorach, sfotografowała je wiza lokalna przyszło wspomnienie.

I musiałam przez cały wieczór machać pędzlem, bo łatwiej przemaalować niż przesadzać kwiatki. Nie pamiętacie?

- Pamiętam!

- ucieszył się Miecio.

- Ale jakoś słabo.

- Słabo to mi się robi od dobrej godziny. Przecież ty nie masz pojęcia o zarządzaniu firmą, nie wiem, jak możesz tych rzeczy nie wiedzieć, przecież wykonywałaś moje polecenia i to niektóre całkiem sprawnie!

Jak ci się udawało, jeśli w ogóle wiesz, o co chodzi?

Pyta mnie, po co studentom płacić ZUS, skoro uczelnia za nich płaci.

A czy ja jestem orzecznikiem albo innym stawodawcą?

Skąd ja mam wiedzieć, po co?

Mniej niż innym, ale płacić im trzeba.

Jak nie będziesz płacił, to capną cię za dupę!

- Polecenia to polecenia - powiedział Mietek obronnie.

- Mogłem wykonywać bezmyślnie i nie wiedzieć, po co.

Nikt mnie za dupę łapać nie będzie, ani ZUS, ani Zaprzyjawniony Barman, odczepcie się!

- Już się odczepiam, bo za chwilę dojdzie tu do scen wysoce gorszących - powiedziała Magda.

174

- Zdejmiesz spodnie?

- ucieszyłam się Miecio.

- Albo lepiej bluzeczkę?

- Wezmę cię za ten głupi łeb i tak długobędę waliła nim o faktury, aż wreszcie się nauczysz je poprawnie księgować - warknęła Magda.

- Sam wiesz, że księgowy to papraniec, musisz mu wszystko podać na tacy, inaczej się pogubi.

- Wiem!

- ucieszył się Mietek.

- Zmienię księgowego!

Wynajmę sobie jakąś atrakcyjną lalę w krótkim kostiumiku, z nogami donieba.

- ...

i sianem zamiast mózgu - wpadła mu w słowo Magda.

- Już ty lepiej nie kombinuj, bardzo cię proszę, tylko podejź do sprawy poważnie.

Nawet jakbyś wynajął Balcerowicza, sam też musisz wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi i trzymać rękę na pulsie.

Inaczej nic z tego nie będzie.

- Balcerowicz nie chodzi w spódnicach - powiedział Mietek i zanurkował przezornie pod barem.

Magda westchnęła ciężko i wymanewrowała mnie do stolika w rogu.

- Ale od lot - mruknęła.

- Myślałam, że po tylu latach pracy Mietek choć trochę kuma zarządzanie firmą tak małą jak nasza knajpa.

Przecież to nie jest straszna filozofia, wystarczy trochę systematyczności i odrobinę smykałki do rachunków.

- Brr - otrząsnęłam się.

- Dwie najpaskudniejsze rzeczy na tym świecie.

Systematyczność i rachunki.

A ja myślałam, że prowadzenie knajpy to fajna zabawa.

- Mietek też tak myślał - zachichotała Magda.

- I ja sama też, na początku.

Ale ja się przystosowałam, a on.

Ech, niema co rozważać, będzie, co ma być.

Najwyżej rozłoży biznesa łopatki, trudno.

W końcu to jego sprawa.

Ja się stąd zmywam i to już za tydzień.

Może ta twoja Dominika coś pomoże, choć nie wiem, czy to wystarczy.

- Nie pozwolimy nic rozkładać - obiecałam.

- Naprawdę już za tydzień?

Ale szybko zleciało.

- No.

- Magda zapaliła papierosa, jako matka niekarząca mogła sobie pozwolić.

Popatrzyłam żałośnie na fajki i pociągnęłam nosem.

Magda odruchowo wyciągnęła paczkę w moim kierunku.

- Apage, Satana - odpędziłam ją.

- Nie kuś mnie do złego.

- Tak jeden, malutki.

Przecież w trzecim trymestrze wszystkie narządy są już ukształtowane, a zresztą ileci przejdzie z jednym.

go papierosa przez łóżysko?

Tyle co nic.

- Magdazwykle stosujesz do podobnych próśb mniej więcej na odwrót.

- Zdziwiłabyś się, ile przechodzi, czytałam raporty - odparłamtwardo.

- Wytrzymałam jużtyleczasu, wytrzymam jeszcze paręmiesiący, a może i dłużej?

Na starość coraz bardziej potrzebuję czystegosumienia - przyznałam.

Magda uśmiechnęła się.

- A wiesz, że ja tak samo?

- powiedziała nagle.

-Chociaż akurat w nieco innej kwestii.

To znaczy, w każdej kwestii, ale akuratpomyślałam o innej.

O Zigmuncie.

- O? - spytałam ostrożnie.

Kilkamiesiący temu (Magda jeszczebyła w ciąży, która jakoś wpływała jej destabilizująco na mózg) zapytałam nieostrożnie i niefrasobliwie, Madzia akurat przetrawiała jakąśtrudną rozmowę telefoniczną z owym panem i efekt był taki, że przetydzień na zmianę chodziła ze zwieszoną głową albo rzucała mięsem.

Od tej pory starałam się zapomnieć, żeistnieją imionana literę "z".

- On ma normalnie fisia - powiedziała Magda, zaciągając siętak łapczywie, że musiałam odwrócić wzrok.

- Amnie się udziela.

Odkąd dowiedział się, że nic z tego, dostał hopla na moim punkcie, odwrotnie niż każdy normalny facet na jego miejscu.

W życiuubym się po nim nie spodziewała, sama wiesz, jaki to był rozważny,odpowiedzialny człowiek.

Myślałam, że czasem mu przejdzie, alewygląda na to, że wciąż się nasila.

A przecież.

właśnie minął rok od naszego pierwszego spotkania i ładnych parę miesięcy od rozstania.

A on, ile razy się spotykamy.

- Widujecie sięjeszcze?

- zdziwiłam się.

-Nieży masochizm.

- No właśnie.

- Magda pokiwała głową.

-Też tak uważam, alez drugiej strony.

Nie myśl, że romansuję na boku, albo coś - zastrzegła sięnagle.

- Tylko się widujemy Zwyczajnie.

Wmiejscach publicznych.

Pierwszy piątek każdego miesiąca, z wyjątkiem tego, w którym urodziłam.

Dobrze to na mnie nie wpływa, ale.

nieumiemy przestać.

Kazik nic nie wie, tylko Gośka, no i teraz ty Muszę wyjechać.

- Nie chrzań, stara, że nie romansujesz, skoro jest, jak mówisz.

To jest romans na boku i tow czystej postaci - powiedziała twardo.

Trzeba przyznać, że byłam nieźle zszokowana.

Wiedzialiśmy dwóch spotkaniach, jeszcze w zeszłym roku.

Raz Magda przyjechała z Warszawy tak struta, że w końcu się wygadała, a drugim ra 176

zem było jeszcze gorzej, pokłócił się z Kaziem, także o mało ze sobą nie zerwali dziewięć dni przed ślubem, i też maczał w tym palce Zygmunt.

Tyle wiedziałam.

Potem sprawa jakoś przycichła, Magdawyglądała na pogodzoną z życiem, a nawet szczęśliwą, i

dogłównymi nie przyszło, że oni uprawiają wciąż te spotkania i to regularnie.

- A cona to nasza wzorowa mężatka?

- Zapewnia mi alibi wobec całego świata - powiedziała Magda.

- Nie pytaj dlaczego, bonie wiem.

Jakoś tak wyszło.

Nie protestowała.

Gośka w ogóle bardzo się zmieniła od czasu choroby.

Stała się jakaś.

mniejradykalna, jużnie tak przesadnie dynamiczna w działaniu, życzliwa jak dawniej, wyrozumiała, ale dawniej była to wyrozumiałość starszej siostry, z odcieniem pobłażliwości, a obecnie - zrozumienie.

Gośkę zaniedbałam również, tym bardziej że ostatnio nie wychodzi z domu.

Zawstydziłam się nagle.

- Zróbmy sobie dzisiaj albo jutro babski wieczór, we trzy - powiedziałam nagle.

- U mnie albo u Gosi, jak tam jej lepiej.

Musimy się jeszcze porządnie nagadać przed twoim wyjazdem.

- I przed jej wyjazdem.

- Magda pokiwała głową.

Spojrzałam na nią ze zdumieniem.

- Leci do Bostonu, nie mówiła ci?

Andrzej jej załatwił miejscę w klinice, będzie operowana.

- Operowana?

- zamrugałam oczami.

Nie widziałam się z Gosią może dwa tygodnie, ale dzwoniłam do niej od czasu do czasu.

Myślałam, że jestem na bieżąco.

Może to nie są tematy na telefon.

Zarumieniłam się jeszcze bardziej, bo uświadomiłam sobie, że ostatnio ładnych parę razy Gosia próbowała mnie ściągnąć na chwilę do siebie, a ja z dnia na dzień odmawiałam, bo ciągle miałam na głowie bardzo ważną i bardzo własną sprawę, a w ramach relaksu wygodniej mi było wstąpić na kawę do "Banasia", niemalże po drodze, niż specjalnie wlec się na Azory do Gosi. Moje potrzeby towarzyskie zaspokajałam znakomicie, a Gosi?

Wstydz się, przyjaciółko od siedmiu boleści, powiedziałam sobie w duchu.

Kto nie podroże albo sam za mną nie łązi, to do odstawienia.

Przepięknie.

Ciągle mi się wydaje, że wszystkie jesteśmy u progu dorosłego życia i ciągle jeszcze mamy czas.

A tu - może już nie być czasu i nie ma żadnego usprawiedliwienia.

∴

Chwyciłam za telefon.

∴, Gosia się cieszyła i zaprosiła nas do siebie wraz z potomstwem.

Uświadomiłam jej, że jeśli obie z Magdą weźmiemy wszystkie dzieci, to razem z domową progeniturą będzie siedem sztuk, nie licząc mojego brzucha, i jak zdołamy w tym młynie porozmawiać, będzie to rekord świata w dziedzinie plotkowania w niesprzyjających warunkach.

- Przyjdźcie, przyjdźcie wszyscy - powiedziała Gośka.

- Nie zależy mi jakoś szczególnie na plotkach, chciałabym po prostu jeszcze wami pobyc.

Nie powiedziała nawet "zanim wyjadę" ani nic w tym stylu.

I tak wiem, i ta świadomość spadła na mnie nagle jak ciężki głaz, żeto właściwie będzie pożegnanie.

Definitywny koniec pewnego okresu w życiu naszej trójki, bo nawet jeśli Gosia wróci z Bostonu szybko i szczęśliwie - to Magda, wedle wszystkich znaków na niebie i ziemi, pozostanie w tej swojej Australii dłużej.

Umówiliśmy się nawzajem na wieczór, zakończenie dnia.

Ostatni wieczór przyjaźni w tym beztrójskim kształcie, w jakim trwała przez całe lata, koniec epoki. I koniec świata.

Magda zabrała z knajpy kawę, jakie było na stanie.

Specjalnie dla mnie dorzuciła dwa kartony soków bananowego.

Gosia zapowiedziała nam przez telefon, że już wyjmie stolnicę i pieczę szarlotkę.

Ja obiecałam przynieść tonę serów, czarne oliwki, ulubione Gosi, i wielki album sprzed lat, z czasów, kiedy rozpoczynała się nasza znajomość.

Dlaczego, choć wieczór się jeszcze nie rozpoczął, nie mówiąc o zakończeniu, no dlaczego nagle chcemy się ryczeć?

Nic nie uciszymorza, nie zatrzyma biegu fal.

SPAL ŻÓLTE KALENDARZE

I co mam powiedzieć mocnorozsądnej na mnie asystentce, która patrzy na mnie spod byka i straszy donosem do dziekanatu, ponieważ pomimo obiecanej poprawy znów przyszedłam na dwie ostatnie godziny ćwiczeń, uzyskując w ten sposób frekwencję czterdziestu i siedem

procentową, która w żaden sposób pani asystentki nie satysfakcjonuje?

Chyba nie mam wyjścia, tylko znowu spotkać się z dziekanem i złożyć doniesienie na siebie samą, prosząc jednocześnie o zgodę na odrobienie ćwiczeń inną grupą.

A pani asystentce nie powiem nic, bo co mogę powiedzieć?

Że haniebne i przesadne spóźnienie w dniu dzisiejszym wynikało z faktu, że brzemienna studentka przesiedziała całą wieczór większą część nocy w towarzystwie dwóch starych przyjaciółek, z których przynajmniej jedną traci na długo, jeśli nie na zawsze?

I w związku z tym musiałam, po prostu musiałam, siedzieć na tym spotkaniu jak długo się dało, to znaczy do czwartej nad ranem, a potem wtaszczyć kolejno dwoje śpiących dzieci i jeden gigantyczny brzuch do taksówki, a z taksówki do domu, co również trochę potrwało?

W rezultacie położyłam się spać po piątej, a o wpół do szóstej moja młodsza córka z blizną nieokreślonych przyczyn była już całkiem wyspana i gotowa do urzędowania własnej balangi!

I tak naprawdę to mogłam przyłożyć głowę do poduszki dopiero, jak o wpół do dziewiątej przyszła opiekunka i zdjęła mi z głowy, najzupełniej dosłownie, dwierybrykane ponad ludzką miarę dziewczynki.

Właśnie dlatego przyszedłam, kiedy przyszedłam, oraz wyglądam, jak wyglądam.

Wczorajsza impreza była nadzwyczaj udana, starsze dzieci spokojnie zajęły się sobą - może przesadziłam trochę z tym spokojem, wrzaski czyniły straszliwe, ale na szczęście z dala od nas.

Młodsze spały i wystawiłyśmy je na balkon w wózku po bliźniakach.

Wbrew obawom dało się pogadać.

Rozmowę jakoś dziwnie zdominował temat lotów samolotem.

Gośka boi się latać.

- Chyba będę musiała coś zażyć - otrząsnęła się.

- Raz leciałam do Grecji wystarczyło mi nadługo.

To znaczy dwa razy, ale z powrotem urzęnąłam się profilaktycznie, tak że nic nie pamiętam.

Teraz niemożę pić, jestem na lekach.

- Wtedy też nie mogłaś, bo byłaś w ciąży - zachichotała Magda.

- Owszem.

- Gosia pokiwała głową.

- Zaszłam w nią prawdopodobnie dwa wieczory wcześniej.

Myślisz, że w tym wieku te trzykomórki na krzyż były specjalnie wrażliwe na alkohol?

179.

- Skąd wiesz, że nie dlatego się podzieliły?

- zapytała Magda.

-Może jakbyś zapilaryja razjeszcze, miałabyś czworaczki?

- Przecież moje bliźniaki są dwujajowe, baranico.

- Gośka popukała się palcemw czoło.

-Myśl logicznie.

Nic się nie podzieliło,są z dwóch osobnych komórek.

- Tomożejakbyś zapila ryjawcześnie, wyprodukowałabyś cztery komórki?

- nie dała się Magda.

Upiładuży łyk czwartej lampkiwina iwyrażnie zaczęła odstawać od towarzystwa.

Niestety z różnych przyczyn nie mogliśmy dotrzymać jej kroku.

- I miałabyśczworaczki?

- Coty tak z tymi czworaczkami?

- zdziwiła się Gośka.

-Małoci dzieciw okolicy?

- No, nie.

- Magda posłuchała chwilę straszliwych odgłosówdobiegających z sąsiedniego pokoju.

-Sama nie wiem, comnie taknaszło.

A co ci się dzieje od latania?

Niedobrze ci?

Mojemu małżonkowi ostatnio jedna baba narzygała prosto do laptopa - przypomniała sobie.

- I tobyła najstraszliwszarzecz,jaka mu się wydarzyła w samolocie, a on lata bezprzerwy.

- Nie robi mi się niedobrze, ale za dobrze też nie - mruknęłaGośka i wstała, nastawić kolejną herbatkę.

Winoraczej wachała,niz piła.

- Zwyczajnie się boję.

Ci wszyscy terroryści i w ogóle.

- He.

Jak mój mąż ze Stanówwracał, dawnotemu, jeszczepzed jedenastym września, to zawrócili samolot, którym leciał, bona pokładzie znalazł się terrorysta.

Z Bukowiny rodem - przypomniałam sobie i ja.

Wlałam do mojegokieliszka trzecią szaleniesymboliczną porcję wina.

- Z Polski?

- zdziwiła się Gosia.

-Jak to, zPolski?

- Ano, zwyczajnie.

Jedenkoleś, góral z oblicza oraz charakteru, konsumował własną wódę spod kozucha, bo w tych liniach tylkosoczki były darmowe, piwko i inne rzeczy należało zakupić, a rodakpłacić nie chciał. Stewardesa się zorientowała, a ponieważ nie wolnona pokład samolotu wnosić własnej żywności, próbowała samodzielnie odebraćmu flaszkę.

Pan był już w ostrej fazie, wciąż jednakspragniony,flaszki zatem odebrać sobie nie pozwolił, twierdząc żeto nie żywność, tylkorozrywka.

Zaczęli się szamotać i okazało sięw tej szamotaninie, że pan w czeluściach kozuchaukrywa niejednąmałą butelczynę, lecz spory zapasik.

Pani zawołała na pomoc drugąpanią, przyszedł też z zaplecza pan techniczny i wdali się z naszym

180

rodakiem w walkę wręcz.

Szło imdość ciężko, a pan bluzgał na niktak kwiecieście, że mój mąż zatkałsobie ustadłonią i postanowił dokońca podróży buzi nie otwierać, żeby się mu przypadkiempolskiesłowo zniejnie wyrwało.

W efekcie całej hecy pan został wstępniespacyfikowany, ale pierwszypilot postąpił zgodnie z

procedurą "groźny osobnik napokładziesamolotu" i zawrócił do Bostonu.

- Ciekawe, co się stało z koleśkiem.

- Magda dołała sobie jeszcze wino.

Nie przejmując się tym, że w zasadzie upija się sama, spełniała wytrwale obowiązek za nas trzy.

- Jak by to było po jedenastym wrześniu, zpuściła by nie wyszedł to długo.

- I tak przypuszczalnie miał zaswoje - powiedziałam.

- Z tego, co mówił znajomy admirał wstanie spoczynku, obciążą go kosztami całego zdarzenia, a paliwo lotnicze tanie nie jest.

Była to najdroższa bania w życiu owego górala.

- Ktowie, czy nie najdroższa bania w historii Polski.

- Też sobie dołałam wina.

Jakieś dwie łyżeczki.

A co!

- Aha, ten admirał mówił jeszcze, że wszelkie procedury dotyczące bezpieczeństwa naprawdę zostały mocno zaostrzone i latanie jest być może bezpieczniejsze niż kiedykolwiek.

Bramki na lotniskach zamontowały takie, że już raczej nikt się nie przemknie z nożem, nie mówię nawet o terrorystach, ale przede wszystkim o pospolitych świrach.

- Wiem, wiem.

- Magda zachichotała nagle.

- Moja teściowa wracała z Londynu i zęby jej dzwoniły.

- Ze strachu?

- zapytała Gosia.

- Nie, z metalu.

Ma implanty na tytanowych wkrętach oraz złoty ząb.

Jak tylko weszła do bramki, torebkę, rzecz jasna, podając inną stronę, to włączył się alarm i wyło jak wściekłe.

Teściowa mocno się zdziwiła, bo jako kobieta oblatana, od dawna wiedziała, że nienależy wkładać pasków z klamkami, metalowych spinek czy biżuterii, ino takiego nie miała na sobie.

Obsługa lotniska zasugerowała, że może buty.

Teściowa obejrzała buty, zwykle skórzane pantofle, ale zdjęła posłusznie, bo kto ich tam wie.

Buty przeszły przez bramkę luzem i zawyły, widocznie miały jednak w sobie coś metalowego, po czym przeszła teściowa i zawyła również.

Zglupiała.

Myślała intensywnie i wymyśliła fiszbinę odstanika.

Ponieważ moja teściowa narwana jest, z miejsca poczyniła pod swetrem stosowne manewry ku rozbawieniu panów z obsługi podała im staniczek.

Przepuścił go przez maszynę, zawył, więc wszyscy odetchnęli z ulgą, na jakieś

trzy sekundy - relacjonowała Madzia z ożywieniem.

Nawet język przestał jej sięplątać.

- No i wzięli teściową do pokoiku obok, na rewizję osobistą.

Teściowa lekko się nadeła, z drugiej strony była ciekawa, co jeszcze wymyślą, może jej gastroskopię zrobią, na którą niemoże dotrzeć już od czterech lat!

Nic z tego, przyszła miła pani i zaczęła odwywiadu.

Czy może teściowa ma za sobą jakąś operację?

Endoprotezę stawu biodrowego, sztuczną szczękę, uzupełnienia stomatologiczne?

Tu teściową olśniło, otworzyła jępej pokazała zawartość, składającą się głównie z uzupełnień stomatologicznych.

Noi wpuścili ją na pokład.

Obsługa uznała, że za pomocą jednego złotego zęba nie udasię zastraszyć załogi i porwać samolotu.

- A mój mąż ostatnio pobił Żyda w samolocie - pochwaliłam się.

- Jak to, pobił?

- zdziwiła się Magda.

- Przecież to taki łagodny człowiek.

- Też się zdziwiłam - powiedziałam, znów dolewając sobie wina, powiedzmy, że odruchowo.

- Wrócił ostatnio z podróży do Berlina i pierwsze, co powiedział po przyjeździe do domu, to: "Słuchaj, pobiłem Żyda w samolocie!"

"Ja od razu spytałam, za co, a on nato, że właściwie bez powodu.

Wylosował po prostu miejsce obok jednego Żyda, ubranego dość tradycyjnie.

Tuż przed startem przypomniał sobie, że niepotrzebnie trzyma bagaż na kolanach, wstał, żeby go upchnąć na półce, nad siedzeniem, i jak cofał łokcie, już po upychaniu, to Żyd też wstał.

Mój mąż przydzwonił mu łokciem w jarzmę, aż mu w łokciu chrupnęło, a może raczej Żydowi w kręgosłupie szyjnym, trudno powiedzieć.

W każdym razie mąż rzucił się przeproszać, we wszystkich znanych mu językach, a Żyd siedział w fotelu i trzymał się za głowę.

Jęczał.

Jak już się wyjęczał - mąż akurat przeproszał w języku niemieckim, bo na angielski nie uzyskał reakcji - Żyd spojrzął na niego przerażonym wzrokiem, wstał chwiejnie i uciekł natychmiast z samolotu, zajmując jedno z wolnych miejsc.

Wysiadł z kompresem na głowie, mąż specjalnie patrzył.

- Wszyscy nasi rodacy są udani - powiedziała Magda.

- Zwłaszcza ci, którzy przy wypełnianiu karty pokładowej

w języku angielskim, w rubryce "Sex" piszą "Yes" - zachichotała Gośka.

- Myślałam akurat o Maćku od Dagi i łyżeczkach.

- Zielone oczka Magdy zaświeciły się złośliwie.

182

Parsknęłyśmy wszystkie.

Daga i Maciek, obecnie obywatele Stanów Zjednoczonych, latali po świecie długo i wytrwale, zarówno służbowo, jak i prywatnie, albowiem podróże do różnych dziwnych zakątków naszego globu stanowiły ich ukośne hobby.

W trakcie tych podróży wpadła im w oko zastawa, na której serwowano posiłki w samolotach jednej z popularnych, zwłaszcza w Stanach, linii lotniczych.

Postanowili ją sobie skompletować metodą kradzieży, oczywiście na raty, bo przecież żadni z nich złodzieje.

Tylko kolekcjonerzy.

Za każdym razem wynosili z samolotu jedną rzecz, jako ostatnie do kolekcji pozostały sztuce.

Zbrodniczy ten proceder uprawiali przez rok z hakiem bez przeszkód, ponieważ swego czasu w Stanach do samolotu, zwłaszcza krajowego, wsiadało się jak dotąd, pies z kulawą nogą się

nie przyglądał, zwłaszcza wysiadającym.

Później dziecko im się urodziło i zachwyceni synem siedzieli z nim w domu, nigdzie dalej się nie wybierając.

Nie mieli szans zarejestrować zaistniałych zmian.

W końcu firma zmusiła tatusia-Maciusia do opuszczenia ukochanej rodzinnej chwili i odbycia podróży służbowej, ponieważ gdzieś tam w świecie odbywała się niezmiernie ważna i prestiżowa konferencja, na którą zostali zaproszeni wszyscy menedżerowie firmy, z nim samym na czele.

Maciek westchnął, ucałował w czołko Dagę i młodego, wbił się w garnitur, wyglansował obuwie i zabrał pod pachę laptop.

Poleciał, wraz z tłumem identycznie odzianych kolegów.

W drodze powrotnej - konferencja była nadzwyczaj udana, ich prezentacja wywołała poruszenie w odpowiednich kręgach, wracali ztarczą i z wielkim zadowoleniem - Maciek przypomniał sobie o zaniebanej ostatnio kolekcji.

Niewiele myśląc, zarał łyzeczkę i wsunął ją sobie do kieszeni spodni.

Opuszczając samolot, rozpromieniony jak słońeczko, zagadany, szedł jak posznurku za szefem, szedł, aż w końcu doszedł.

Przy wyjściu była bramka z wykrywaczem metalu, której jeszcze pół roku wcześniej tam nie było.

Siłą rozpędu wszedł w bramkę i zawył.

Został poproszony o odłożenie na bok wszelkich sprzętów, odłożył i znów wszedł.

Wyło dalej.

Poprosili go grzecznie o opróżnienie kieszeni i zdjęcie obuwia, zmartwił na chwilę, bo dopiero wtedy uświadomił sobie, co w tych kieszeniach posiada.

Wyjął z marynarki klucze, buty zdjął, ale niestety niewiele to dało.

Wciąż wyło.

Obsługa patrzyła na niego nieruchomo, szef również, pan przejechał po nim wykrywaczem ręcznym i zadzwoniło mu wyraźnie w okolicach krocza.

Mówił później, że jak by mógł sobie przez kieszeń ową łyżeczkę wsadzić w tyłek, na pewno by to zrobił, bo na upuszczenie dyskretnie na podłogę już było za późno.

Ale się nie dało, i musiał ją wyjąć.

- Ups - powiedziała niewinnie, mrugając oczami.

- Musiała mi się jakoś wśliznąć przez przypadek.

Obsługa, szef i koledzy z pracy obdarzyli go długim, identycznym wyrazem spojrzeniem, od którego wielki szef projektu, Maciuś, nieco poczerwieniał.

Ze względu na pozycję, ubiór oraz towarzystwo, w jakim się znajdował, wszyscy grzecznie udali, że mu wierzą.

Ale łyżeczkę, rzecz jasna, skonfiskowano.

- Utrwałamy stereotypy, che, che - zarechotała Gośka.

- Twój mąż bije Żyda, apotem przeprosza go po niemiecku, Macki z Polski rodem kradną łyżeczki wsamolotach, ciekawe, co nam się przydarzy.

..

- Ja przemycam grzyby, śledzie w marynacie i kapustę kiszoną - przyznała się Magda.

- Kolega Kazia sobie zażyczył.

Mam nadzieję, że obsługa lotniska słoikownie potłucze, bo zapakowałam w bieliznę osobistą.

- 1 wystąpisz w Australii jako ^Polka śmierdząca kapustą - dokończyłam.

- A ja jako matka rodziny wielodzietnej siedzęw domu przy garach i nigdzie nie jadę - dodałam po chwili.

- Oj, baby, baby, smutno mi bez was będzie.

- Ja też wolałabym siedzieć w domu i nigdzie niejechać - powiedziała cicho Gosia.

Magda objęła ją ramieniem.

- Wiem.

- Wrócę, najszybciej jak się da - obiecała Gosia, ocierając oczy.

- Na pewno wrócę.

- A ja nie - westchnęła Magda i posmutniała.

- Ech, cholera.

Boże, Boże.

Jak ja mam żyć dalej w tym beznadziejnie pustym mieście, bez Magdy, bez Gosi?

Co prawda ostatnio, jak wypomniła mi delikatnie sama Gosia, widywałam ją może raz w miesiącu, więc może jakoś bez tych trzech godzin miesięcznie wytrzymam?

Niewiem, czy wytrzymam.

Nie chodzi przecież o ilość spędzanego razem czasu, tylko o obecność.

Świadomość obecności.

184

A może właśnie chodzi?

Mam wrażenie, że przez ten ostatni zwariowany, szalenie intensywny dla mnie rok, sama, zupełnie bez sensu zaniedbałam stare przyjaźnie.

Dziewczyny próbowały się przecież ze mną kontaktować, gdyby nie one - to nie spotkałybyśmy się chyba ani razu.

Rozmyślałam o tym i zwyczajnie mi wstyd.

Gdzieś pomiędzy pracą, komputerem, studiami i dziećmi coś miumknęło i to bezpowrotnie.

Żałuję.

I niczego nie zmieni mój żal.

Jeszcze mi została na pocieszenie Anka, choć ostatnio też bywau nas rzadziej, bo jest zaabsorbowana pracą oraz narzeczonym.

Ma na imię Bartek, bardzo ładnie.

Jakby to imię było na literę "M", ochrzciłabym tak własnego syna.

Już wiem, że będzie chłopak i mam problem z wymyśleniem imienia na naszą ulubioną literkę, zgodnie z rodzowym zwyczajem.

No jeszcze została mi przecież Dominika.

Znią widuję się częściej, bo zwyczajnie mam bliżej.

I bardzo ją lubię.

Z podobną determinacją jak ja, swego czasu, szuka siebie - w oczach innych ludzi, zwłaszcza facetów, w niezliczonych poradnikach, na kursach programowania neurolingwistycznego (brzmi bardzo mądrze, ale tak naprawdę to rzadkie kretyństwo, mniej więcej o tym, jakich czasowników i zwrotów używać, a jakie omijać, żeby życie zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki), w konfesjonale, na kursach masażu tybetańskiego i na treningach jogi.

Dominika wciąż szuka czarodziejskiej różdżki, której dotknięcie na zawsze przemieni ją w rozsądną, odpowiedzialną osobę, żyjącą pełnią życia i odnoszącą sukces za sukcesem.

Nie widzi tego, że już jest rozsądną odpowiedzialną swoją osobą.

A także nieco zwariowana - po prostu należy do osób, które potrzebują w życiu odrobiny szaleństwa i magii.

Nie wie, że czarodziejskie różdżki dotykają jej dzień po dniu, ukryte wśród zwyczajnych zdarzeń: dobrze przygotowany koncert, pierwsze słowodziecko, pierwszy niezdarne wykonany rysunek, wieczór spędzony w dobrym towarzystwie, niespodziewany a szczerzy komplement, kwitnąca azalia własnoręcznie uchroniona przed mrozem, zaliczony egzamin.

Wszystko może mieć moc uzdrowienia.

I ma.

Dominika wciąż poszukuje rzeczy spektakularnych.

Pamiętam dobrze ten etap, choć obecnie pragnę raczej spokoju.

185.

Z pamiętnika Dominiki N.

Dwunasty

Szefowa wyjechała.

Smutno bez niej, pusto, mam wrażenie, że udało mi się z nią zaprzyjaźnić ostatnio na tyle, że teraz odczuwam jej brak.

Mietek jest takinieuważny.

Muszę mu powiedzieć parę słów na temat prowadzenia firmy od początku do końca.

Na razie jeszcze nie śmiem, ponieważ moje doświadczenie w porównaniu z jego osobistym, przynajmniej w sensie wysługi lat, jest żalosne.

W zamian zrzęczę do ucha Pawłkowi.

Przyznaje mi rację, ale jakoś dziwnie nic z tego nie wynika.

Moja mama przygląda mi się z troską - jej zdaniem znów za bardzo angażuję się w pracę, z której nic nie mam, a przynajmniej niewiele.

Powiedziałam jej w końcu, że w firmie trochę się pozmieniało, Magda wyjechała i zastąpił ją Mietek, który w wielu sprawach radzi sobie tak sobie, i że wymaga to od nas wszystkich dużego zaangażowania.

Ku mojemu wielkiemu zdumieniu, zrozumiała.

- Pogadaj z ciocią Adelą - poradziła.

- Ona jest księgową od dwudziestu lat, nauczy cię podstaw prowadzenia firmy.

Im dłużej mieszkam z moją własną matką, tym częściej mnie ostatnio zaskakuje.

I coraz mniej wkurza.

Ostatnio sama zaczęłam zabiegać, żebym spędzała czas z Marcelkiem i nie wyręczała mnie w wszystkim.

- Praca pracą, ale nie możesz pozwolić, żeby uciekli ci najlepsze lata jego życia.

On jest taki słodki, sama zobacz.

Marcel akurat pełzał na czworakach z ołówkiem w zębach, i warczał.

Chwilę później usiadła na dywanie i w skupieniu zaczęła puszczać bańki ze śliny

- No nie wiem - powiedziałam ze śmiechem.

- Mam wrażenie, że chłopak przeżywa regres.

Robił tak, jak miał pół roku.

- Bawi się piaską - wyjaśniła mama - ostatnio często bywamy u cioci, jest zafascynowany Rampą.

Rampa to jamnik mojej ciotki.

Ten Rampa.

Psychodeliczny pies, który próbuje kopulować ze wszystkim, co się rusza, ba, zbytnio ruszać się nawet nie musi.

Próbował wykorzystać moją nogę, kuchenny stół, kota sąsiadów, dobermana poznanego w parku,

186

pluszowego misia należącego do mojego dziecka, a jakbym mu pozwoliła, to i samo dziecko.

Moja matka wprowadza wnuków demoralizujące towarzystwo.

- Jamniczek też puszcza bańki?

- Nie, to jakiś inny motyw.

Może pana z Rynku?

- Zastanowiła się przelotnie moja mama.

- Idźcie sobie naspacer, tylko wróćcie po trzeciej, nastawię ziemniaki.

- Dobrze, mamusiu.

- Zebrałam z podłogi Marcela i moje studenckie notatki, doprzejrzę nad piaskownicą.

Ostatnio uczę się wyłącznie w parku Jordana.

Dobrze, że skończyła się ta wredna zima.

Palce mi nie sztywnieją od przewracania stron.

Wróciliśmy, oczywiście, lekko spóźnieni.

Ale szczęśliwi.

Rzadko zdarza nam się taki leniwy, wspólny dzień.

Moja mama postawiła przed nami parujące talerze bez słowaprzygany

Marta

OKULARY ISER

Nawiedziłam "Banasia".

Entuzjazm do podobnych wycieczek zmalał u mnie niemal do zera - rozmiar mojego brzucha nie zachęca do aktywności w najmniejszym stopniu - ale obiecałam Magdzie, że będę wpadać od czasu do czasu i donosić, jak radzi sobie Mietek z samodzielnym prowadzeniem firmy.

Poza tym wskutek notorycznego przemęczenia połączonego z niedoborem tlenu odczuwam melancholię.

Miałam nadzieję, że atmosfera mojej ulubionej knajpy dobrze mi zrobi.

Nie zawiodłam się.

Ledwie dobrnęłam do ulubionego miejsca i rozłożyłam laptop - postanowiłam przy okazji popracować twórczo - do baru przepchnęła się jedna piskliwa klientka, która chwilę wcześniej przynim siedziała i zapamiętała gadała przez komórkę.

- Pularysek!

- zaatakowała Mięcia.

- Pan zabrał mi pularysek, bezczelnie, stąd, z baru!

- wyterkotała prędko i ze wzburzeniem.

Micio wytrzeszczył gały.

Oderwałam się od klawiatury, w takich chwilach najlepsze co może zrobić początkujący pisarz, to siedzieć cichutko i obserwować rozwój wydarzeń.

187.

- Jakie okulary i ser?
 - zapytał Mietek.
 - Jakie okulary i ser?
 - powtórzyła babka
 - No pytam, jaki ser, nie widziałem żadnego sera?
 -Skąd się panu wziął ser?
 - Skąd mógłbym wziąć ser?
 - zapytał coraz bardziej skołowanyMiecio.
 -Ponoć leżał nabarze.
 - Pularysek leżał, PU-LA-RY-SEK!
 A teraz gonie ma!
 - Boże, a co to?
 Już lepszy był ser - mruknął Miecio do siebie.
 -Nie rozumiem,co pani do mnie mówi!
 - Pularysek zgubiłam, taką portmonetkę,leżał na barze!
 - powtórzyła klientka ze zniecierpliwieniem.
 -Musiał pan go widzieć.
 - Nic nie widziałem - powiedział stanowczo Mietek.
 - Żadnejportmonetki ani okularów
 - Nie miałam okularów!
 To pan mi wmawia, że miałam okulary!
 - Oraz ser- podsunął jej uprzejmie Miecio.
 - Sera teźnie widziałem.
 - Odczep się pan od sera, i szukajpularyska, to jest.
 portmonetki.
 Takiej małej, brązowej -zniecierpliwiła sięklientka.
 - Bopana do sądu podam!
 -Uch, alesięboję!
 - wkurzył sięMietek i stracił nieco nauprzejmości.
 -Zamkną mnie za ser.
 - Nie zaser!
 Za kradzież portfela!
 Zostawiłam na barze, ateraz gonie ma!
 - A w torebce pani szukała?
 Albo pod barem?
 - Gdybymmiała w torebce, to bym nic nie mówiła, a pod barem.
 .. - zaczęłababa i umilkła.
 - A pod barem jest- dokończyłaślabo, pochylając .
 się i podnosząc z podłogi małeńki portfelik.
 -Najmocniej przepraszam.
 - Okulary bysię przydały - mruknął Mietek, lekkowstrząśnięty całą sytuacją.
 - To jest.
 nie ma za co.
 Cała przyjemność po mojejstronie.
 - Co to było?
 - spytała Dominika,która właśnie przyszła do pracy i obserwowała scenę, stojąc w drzwiach.
 - A, jakaśporąbana - wzruszył ramionami Mietek.
 - Upierała
 się, że ukradłem jejser.
 To znaczy, portfel, ale nazywała go jakośpodobnie do sera.
 Dominika zamrugła oczami,188

- Jak można nazwać portfel, żeby był podobnie do sera?

Żółtego czy białego?

- Tego nie dociekałem - przyznał Miecio.

- Takiego w okularach.

- Idź stąd na zaplecze i włóż głowę do kostkarki, ja cię bardzo proszę, albo sam to zrobię.

- Włóż głowę do kostkarki, jeśli koniecznie musisz - zgodził się Miecio.

- Tylko nie zęrzyj całego lodu, dziś będzie duża impreza.

- Twoją głowę do kostkarki chcę włożyć, nie swoją.

Bo bredzisz głupoty.

Dziś duża impreza, fakt, sama nie pociągnę, zwłaszcza, że jestem niewyspana i zła.

Obiadu zjeść nie zdążyłam.

Ukradłeś jej w końcu ten ser, czy nie?

- zainteresowała się nagle.

- Nie ser, tylko portfel, mówię przecież.

Też ci się już miesza.

Nie ukradłem, spadł jej na podłogę i grzecznie tam leżał.

Włóż głowę do kostkarki - poradził zyczliwie - to był dobry plan.

Wkładaj zawsze zaraz po przyjściu do pracy.

- Bydlę - warknęła Dominika.

- Włóż sobie jajko do wyparzacza z Unii Europejskiej, wczoraj nam przywieźli.

Możemy teraz podawać jajka.

I lody.

- Wyparzane?

- Przyrządzane na miejscu, z tych jajek.

Albo inne, gotowe.

Wcześniej nie mieliśmy pozwolenia na żadne.

- Przecież i tak podawaliśmy, na ogródku?

- zdziwił się Miecio.

- Podawaliśmy nielegalnie - uświadomiła go Dominika.

- Jak myślisz, dlaczego w naszej karcie lody figurowały pod nazwą "Deser niespodzianka"?

- Bo jak cię nie było, przyrządzał je Pawełek i ta nazwa była szalenie adekwatna.

- Bo nie mogło być w karcie słowa "lody", matole.

Sanepid by nas zeżarł.

- Niech sobie sanepid sam wyparzy jajka - wymruczał Mietek niewyraźnie.

- Dobrze mu to zrobi.

- Sanepidna ogół jest płci żeńskiej i jajek nie posiada - zauważyła Dominika.

- Zamówiłeś piwo?

- A po co?

- A bo mamy takie coś w sprzedaży, to znacznie mamy, jeśli nie zamówiłeś.

- Niemamy?

- zdziwił się Miecio.

- Przecież sam piłem.

Wczoraj.

- Wczoraj było, ale się skończyło.
Gibelec nad ranem dopił resztki.
- Gibelec zawsze dopija resztki - zauważył Mietek.
- To nicszczonego.
- Alew kebach już nic nie było!
- wrzasnęła Domińska.
- Niezauważyłeś?
Nie lałeś dzisiaj?
- Lałem, czy nie lałem, to moja prywatna sprawa - nadął się Mietek.
- Piwo czy nie lałeś!
- A, piwanie lałem.
Użerałem się z serem, a potem przyszłaś.
- To dzwoń popiwo, na co czekasz?
- Na telefon, na przykład.
Dasz mi komórkę?
- A z naszego nie możesz?
Knajpianego?
- Nie mogę - przyznał Mietek ze skruchą.
- Tak jakby niedziała.
- Co?
Dlaczego?
- Tak jakby nie zapłaciłem - wymamrotał Mietek z twarzą podbarem.
- Zgubiłem fakturę i nie pamiętam, ile mam zapłacić.
- Boże, Boże - westchnęła ciężko Dominika i wygoniła Mietka z baru.
Chwilę grzebała w teczkach i szufladach.
- Przecież jest - powiedziała zdziwiona pominucie.
- Tu, w brązowej teczce.
- Właśnie tam gdzie zgubiłem - mruknął Mietek - dzięki.
- Wyparz sobie mózg - poradziła Domińska.
- Raz, a dobrze.
A potem leć na pocztę, ja zamówię piwo.
Magdy nie ma od czterech dni, a my już mamy telefon wyłączony i braki w asortymencie.
- No.
Cytryny wyszły i mleko się kończy - odkrył Mietek, zaglądając do schowka.
- 1 chleb testowy
- Myślisz, że same przyjdą?
Co ty robiłeś od rana?
- Kawę - powiedział Mietek.
- Nawet trzy kawy? Won na plac, ale już!
- Dominika nie miała ochoty zachowywać się w stosunku do szefajki jakkolwiek.
- Na plac, na pocztę domonopolowego, bo jak cię znam, to wódki też nie zamówiłeś.
- W monopolowym się nie opłaca.
Trzeba z hurtowni.
- Z hurtowni przywiozą jutro albo nawet w piątek, a dzisiaj co?
Będziesz tłumaczył klientom, że odwódki jest za krótki?
I proponował mleko z miodem?
- Miód też się skończył.
Do naszej firmowej kawusi.
- Mięciu, kocham cię bardzo, ale jak jeszcze raz otworzysz usta,
190
zamiast działać, to ci wsadzę pipę w dupę!

- zapowiedziała Dominika wojowniczo.
- Podoba mi się, jak rozmawiacie - powiedział klient, od dłuższej chwili stojący przy barze.
- Ale tej figury to sobie nie wyobrażam.

Mogę jedno piwo?

- Nie!

- wrzasnęli chórem Dominika z Mietkiem.

- To jest.

może pan, oczywiście, ale butelkowe.

To z piwy się skończyło, przepraszamy bardzo - zreflektowała się Dominika

- A, więc to jest pipa - zrozumiał klient, patrząc na sprzęt do nalewania piwa.

- Wszystko jasne.

Dobrze, niech będzie butelkowe.

- Butelkowe się kończy - powiedział Mietek ledwo słyszalnym szeptem i zwił z lokalu.

Dominika wieczorem wygłosiła expose i zarządziła generalny remanent.

Micio otrząsnął się cztery razy, ale nie miał innego wyjścia, jak wyrazić góde.

O CZARNYM KOCIE, SZKIELETACH FOSFORYZUJĄCYCH I WYCHOWYWANIU ZA
POMOCA MOPA

- Gdy ci kot przebiegnie drogę, nie mów, że to pech, że to pech!

- zagrzmiał przeraźliwie Micio, na melodię zbliżoną do "Yellow Submarine", przelewając martini z powrotem do butelek.

Robił remanent przelewany, gdyż, zmuszony przez Dominikę do przejścia pełnej odpowiedzialności za lokal, nagle poczuł się wreszcie u siebie.

Oprócz odpowiedzialności, odczuł jeszcze potęgę i władzę.

Oraz potrzebę sprawowania absolutnej kontroli nad otoczeniem.

- Wyrwij kotu jedną nogę, żeby prędzej zdechł, żeby zdeeeechł!

- Miiieeeci, szefuniu kochany, zmiłuj się nad nami.

- zawył ponurym basem Tymon, wynurzając się z podziemi.

Na zupełnie inną melodię.

Taszczył następne butelki.

- Tak właściwie po co my to robimy?

Tymonanie było poprzedniego dnia na pamiętnej naradzie.

Cowięcej, nie było go w ogóle przez ostatnie osiem miesięcy, gdyż w przypływie ullańskiej fantazji zdecydował się nagle na emigrację i wyjechał do Anglii.

Nie zaaklimatyzował się jednak za Kanalami wrócił dwa tygodnie temu.

Mało nie przypłacił tego atakiem serca, gdyż wciąż jednego wieczora dowiedział się o zmianach w firmie,

dotarło do niego, że szefem będzie Mietek we własnej osobie.

Tegosamego wieczorazobaczył za barem macierzystej knajpy Dominikę, z którą przepracował dwa miesiące w jednym z londyńskich pubów.

Oczy miał jak spodki.

Mietek uznał, że jako właściciel - iswieżoupieczony ojciec dwojga dzieci naraz - będzie miał dużo mniej czasu na zwykłą posługę za barem i bez mrugnięcia okiem przyjął Tymonado pracy.

Teraz musi się chłopina zaaklimatyzować.

Trzeciszok przeżył dwa dni temu, kiedy dowiedział się, że Dominika- zimna, nieprzystępna i piękna Dominika, do której samwzdychał bezskuteczniepół roku temu - chodzi z jego najlepszymprzyjacielem, Pawłem.

Zapewne pomyślał wtedy, że przez tę cholerną emigrację dużo stracił.

Miał towypisane na ogłupiałym obliczu.

- Rozplaszcz kota opodłogę, żeby wreszcie zdechł, żeby zdeeeech!!

- kontynuował niezrażony Miecio.

-Jak to, po co robimyto wszystko!

- oburzył się po chwili.

-RemanentkońcowydłaMagdy.

I początkowy dla mnie.

- Magdzie to wszystko zwisa, nie będzieszjej przecież przysyłałraportów do Australii - skrzywił się Tymon sceptyczniei powąchałjedną z butelek.

- Ty, zobacz, czy tonie jest jakieś zleżałe?

- Sam jesteś zleżały - powiedział Mietek i przelał dodzbankaz podziałkąkolejną flaszkę - od leżenia pod barem.

Właśnie, żebędę wysyłał raporty,bo ja jestem bardzo porządnygość.

- Mietkowizdecydowanie przypadł dogustu jegonowy, wspaniały charakter i zamierzał go wykorzystać.

- Bierz się do roboty, panie kolego, bopojadę po premii!

Tymon fuknąłjakrozszzczony jeż i pokazał Mieciovowi za pomocą środkowego palca, co Miecio sobie może zrobić w wolnejchwili.

Chłopcy mieli zdecydowanie problemy z przystosowaniem siędo sytuacji, w której jeden z nich został szefem drugiego.

Pracowali razem ładnych parę lat izawsze zajmowali równorzędne stanowiska.

Mietek chciał zostawić wszystko niemalżejak było, ale Domiśka zdecydowanie uświadomiła mu, że tak się nieda.

Ktoś musibyć szefem i tyle.

Na przetrwanie tejprostej prawdy Mietek potrzebował dwóchwieczorów i dwóch flaszek finlandii, ale wygląda na to, że jakoś się przemógł.

Nowa zabawa zaczęła mu sięnawet podobać.

Tymkowizdecydowaniemniej.

192

1

Dominika miała z kolei wyraźne problemy z przyjsciem do pracy trasą,przez którą ustawicznie przelatywał czarnykot.

Dobrzewiedziała, że to śmieszne.

I co z tego?

- No dobrze.

Jestem przesądna- wyjaśniła mi, kiedy postanowiłam ją zwizytować w miejscu pracy akurat dziś i przyłapałam na kluczeniu wokół lokalu.

- Wierzę w znaki, czarne koty, tarota i nagleprzebłyski intuicji.

Jak dotąd nieźle na tymwychodzę.

A to bydlę sąsiadów, Noirotte, czy jaką tam zwą, siedzi na donicyi tylko czeka, aż podejdę, bomusi przeciąć mi drogę - powiedziała z furją, rzucając Mieciowi nieprzychylnie spojrzenie.

Miecio okazał rozbawienie.

Najbardziej podobało mu się to, że Domiśka też nie jest takim brylantem bez skazy, najakiego wygląda.

- Widziałam ją z daleka.

Nikt minie w mówi, że koty nie myślą.

Większość znanych mi czarnych kotów nic innego nie robi, tylko myśli.

Jakby tu zrobić mi na złość.

Mietek parsknął i pomagając sobie lejkiem, wlał zawartość dzbanka z powrotem do butelki.

To, co zostało, wypił z esmakiem dopiero potem przepłukał dzbanek.

- Wiem, że cała masa ludzi chodzi po świecie trasą swobodnie wybraną i koty w dowolnym kolorze wcale im nie szkodzą.

A mnie szkoda - kontynuowała Dominika, owijając się szczelnie służbowym fartuchem.

- Moja własna, osobista dobra passa mapo prostualergię na czarne koty oraz zakonnice w ilościach parzystych.

Wypróbowałam nieraz.

Oprócz rozbawienia okazaliśmy zainteresowanie.

- Jak przykład niech posłużą miniwakacje sprzed trzech lat - powiedziała Dominika, rozsiadając się na razie z drugiej strony baru, bo za barem klębili się chłopcy i było za gęsto.

Na kolana wzięła sobie teczki z fakturami, i przeglądała je, nie przestając gadać.

Jak każda matka, ma wysoce podzielną uwagę.

- Pojechałam z Edytką nad morze, nie byłam wtedy jeszcze zaciężona.

To miał być jeden z naszych relaksujących, malutkich wypadów, raptem cztery dni czystej bezmyślności oraz odpoczynku.

Dwie zakonnice dosiadły się nam do przedziału zaraz na stacji Kraków-Płaszów.

Miejsca w kuszetkach były numerowane.

Nic się nie dało zrobić w tej sprawie.

Zresztą już je zobaczyłam, więc przepadło.

- Pokiwała posepnie głową.

- Mogłam się równie dobrze wódki z nimi napić, na jedno wychodzi.

Zrezygnowana, odwróciłam się tyłkiem do wszechświata i pstryknęłam lampką.

Zarówka w lampce była, rzecz jasna, spalo 193.

na. Zwlokłam się z półki, zabrałam książkę i wyszłam na korytarz. Edyta, którą już znacie i jej szalony tryb życia trochę też, skończyła poprzedniego dnia rano bardzo ważny projekt i od razu zapowiedziała, że w drodze nad morze będzie niekulturalna i nietowarzystwa.

Zamierzała odsypiać cały poprzedni zwariowany tydzień.

Dlatego wzięłam ze sobą "Wahadło Foulcauta".

Chciałam wziąć "Imię Róży" (bo grubsze), ale akurat migdzieś wyszło, pewnie Gruba wyniosła.

Gruba to była moja współspaczka, swego czasu.

Używała moich rzeczy notorycznie i dotej pory się dziwię, że jej nie zabiłam.

- Domisia!

- zawołał Mietek, machając ręką przed jej oczami.

- Co jest?

- Zrób wdech!

- poradził Miecio.

Dominika przewróciła oczami, zrobiła wdech i kontynuowała opowieść.

- Pogrzebałam po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów.

Szlag!

W ostatniej chwili zmieniłam kurtkę na cieplejszą i nie przełożyłam fajek z kieszeni do kieszeni.

Edynia niedawno rzuciła palenie, ażakonnice nie podejrzewałam o posiadanie produktów tytoniowych.

Żegnaj, cudowna, nastrojowa, relaksująca podróż.

W przedziale lampka nie działa, na korytarzu frustruje mnie brak tytoniu, koszmar!

Nie wiedziałam, kogo mam zamordować najpierw, Grubą czy zakonnicę.

- I kogo zamordowałaś?

- zainteresował się Tymon, który markował staranne miareczkowanie alkoholu, a tak naprawdę w spis produktów wpisywał ilości określone na oko.

- Nikogo.

Postanowiłam pójść w ślady Edytki i położyć się spać.

Zanim umościłam się wygodnie na półce, dojechaliśmy do Warszawy i do przedziału dosiadła się matka z dzieckiem.

Takim dwulatkiem, może trochę mniej.

Dzieciak był ślicznie ubrany - w jasnofioletowe spodenki, takiz kubraczek i o ton jaśniejszą bluzeczkę z maleńkim żabotem.

Trudno było ustalić płeć.

Młode o płci nieokreślonej nietryskalo entuzjazmem ani radością życia.

"Moku!

" - rozdarło się, jak tylko pociąg ruszył.

- "Moku - moku - moku daj!

"Matka w popłochu zaczęła przeszukiwać torebkę oraz obmacywać się po kieszeniach.

Oczy jej się zaokrągliły.

"O Jezu" - jęknęła, aż jedna z zakonnice się skrzywiła.

- "O Jezu, zapomniałam zabrać smoczkę.

Michałku.

- powiedziała do dziecka, rozstrzygając tym samym kwestię płci - poczekaj, zaraz mamusia coś wymyśli.

".

194

"Moku - moku - moku daj!

Daaaaj!

" - darło się dziecko.

Edynia uniosła głowę, obdarzyła jedną z zakonnice pełnym pretensji spojrzeniem i nakryła głowę

poduszką.

"Moku daaaaaj!

" - wyło dziecko.

-Wdech!

- powiedział Mietek, i niepytany wlał Dominice dosoku pięćdziesiątkę wyborowej, bo chciał wyrzucić butelkę.

Dominika wymownie spojrzała na zegarek.

Dochodziła dziesiąta.

Wzruszyła ramionami i upiłacyjczek.

- Nawijaj - przyzwolił Mietek jakby nigdy nic, grzebiąc w pudle z fajkami.

- Zakonnica ze środkowej półeczki, dokładnie na wprost Edytki, wychyliła się ze swej grzędy i próbowała pocieszyć małego - kontynuowała Dominika po chwili przerwy.

- "Popatrz, a ciocia ma dzwoneczek!

" - zaczęła i pomachała bachorowi przednosem wielkim kluczami z dzwoneczkiem.

Jato bym mu te klucze w okowsadziła, anie ćwierkała głupio, ale cóż.

"Posłuchaj, jak ładnie dzwoni!

" - wdzięczyła się zakonnica, a dziecko przestało wyc i popatrzyło na "ciocię" spode łba.

I tu nastąpiło najlepsze: "Żdylaj - powiedział dziecko po chwili.

- "Żdylaj, żdylaj, żdylaj!

" - powtórzyło, lekceważąco odpychając rękę z kluczykami.

"Co ten dzidzius mówi?

- zagruchała słodko zakonnica.

- Powtórz, kochanie, ciocia nie zrozumiała.

". "Śpiadalaj - uściślił dziecko, zanim purpurowa jak burakmatka zdążyła otworzyć usta.

- Moku daaaaaj!

" - rozdarło się nowu.

Zakonnica wzorem Edyńi zrobiła odwrót strategiczny i nakryła głowę poduszką.

Też chciałam to zrobić, ale jakiś debil przykleił gumę do zucia do poszewki, którą PKP co prawda starannie wyprały i wyprasowały, co wpłynęło na kształt świństwa, ale następień przyczepności nie.

Przykleiłam sobie poduszkę do włosów, syf!

- Straszny syf!

- powtórzył Miecio z udawaną zgrozą.

- I jak ty sobie, biedactwo, poradziłaś?

- Nakryłam głowę powieścią Umberto Eco - odpowiedziała Domisia i bezwiednie podstawiała bojowo szklę pod kolejną butelkę, którą Miecio zamierzał opróżnić.

Miecio, równie odruchowo, opróżnił.

- W końcu po coś ją wzięłam ze sobą.

Po jakichś sześćdziesięciu pięciu kilometrach dziecku zużyły się struny głosowe i usnęło - ciągnęła, wychylając do dna.

Tymon spojrzał na nią z mimowolnym szacunkiem, bo tym razem to były resztki śliwownicy. Domisia, w ferworze opowiadania, nie skrzywiła się nawet.

- Później dopiero zaczęły się jaja - wspominała, potrząsając teczką z fakturami.
- Nad ranem przyszedł konduktor i okazało się, że wraz z papierosami zapomniałam przelożyć do grubszej kurtki legitymację studencką.

I została spisana.

Kazali mi wyjaśnić sprawę ciągu siedmiu dni albo uiścić opłatę podwyższoną.

Matka, dziecko oraz zakonnice patrzyły namnietał, jakbym to ja przynosiła pecha albo co najmniej darła się "moku dać!"

" przez półtorej godziny.

- Cześć, Dominika!

- zawołała Kinga, przepychając przez drzwi wózek bliźniaczy typu tramwaj.

Kupili go sobie na Allegro.

- Słychać cię już w połowie Szerokiej i to z wyrazami!

Oczym nawijasz?

- Jedzie nad morze.

Od piętnastu minut - wyjaśnił Mietek.

- Narazie dojechała do Warszawy.

- O przepraszam, właśnie wysiadam - sprostowała z godnością Dominika.

Kingusia zadrżała do obuprzegródek najdłuższego wózka w Krakowie.

Pasażerowie spali.

Matka dzieciom z wyraźnym zadowoleniem usiadła przy barze.

- Boże, jak miło usłyszeć kogoś, kto mówi w naszym ojczystym języku, a nie chrząka i pojękuje!

- westchnęła.

- Mietek chrząka i pojękuje?

- zapytał Tymon z rozbawieniem, przerzucając się chwilowo z liczenia flaszek na czyszczenie ekspresu.

Mietek spojrzał na własną żonę ze zgrozą.

^

- Skąd, mówię o bliźniakach.

Mietka to ja ostatnio widzę trzygodziny dziennie, w trakcie których przede wszystkim chrapie.

Przychodzi śpiąc, jak już śpię, a jak wychodzę na spacer, to on śpi - mruknęła.

- Jak wracam, to już go nie ma.

Całe dni spędzam sama z tymi potworkami, dziś już nie wytrzymałam.

Poproszę kawę, a ty, Domiś, opowiadaj dalej - zadysponowała.

Tymon, wycierający ekspres niezbyt czystą szmatą, spojrzał na nią z wyrzutem.

Już umierał z przepracowania.

- Dobrze, już opowiadam - ucieszyła się Dominika.

- Dzień pierwszy relaks spędziłyśmy niemal w całości na poszukiwaniu wolnego pokoju w małej nadmorskiej i potwornie zatłoczonej miejscinie.

Na swoją prywatną listę do odstrzału wpisałam sąsiada, który przekonywał mnie, że nie ma sensu rezerwować wcześniej pokoju w dobie agresywnego kapitalizmu, gdyż pensjonatów jest więcej niż ziaren piasku na plaży oraz redaktorów wszystkich durnych gazet, w których stało jak byk, że Polacy w ostatnich latach

196

coraz rzadziej rozważają wakacje nad ojczystym morzem.

Możenie rozważają.

Może wszyscy przyjechali tam odruchowo, ja nie wiem.

Mietek pokazał Domisi na migi, że ma zrobić wdech.

Domisia, nie zawieszając głosu nawet na sekundę, pokazała mu coś zupełnie innego.

- W każdym razie - kontynuowała na wydechu - kwatery znalazłyśmy dobrze po szesnastej (zaczęłyśmy szukać odziewiatę rano) i to cudem.

Pani gospodyni przyjrzała się namuważnie i wywaliła z pokoju własnego syna. Syn, bardzo zadowolony, poszedł spać do dziewczyny (której rodzice wyjechali do Turcji), solennie obiecał matce, że o jej przyzwoleniu nie dowie się ani ojciec, ani przyszli ewentualni teściowie.

W pokoju wisiały plakaty posępne i krwawe, i naturalnej wielkości szkielet, fosforyzujący w ciemności.

Nic to.

Późnym wieczorem dotarliśmy w końcu nad morze.

Na horyzoncie wisiały ciężkie, deszczowe chmury.

- Dominika westchnęła.

- Całe trzy dni przesiedziałyśmy w knajpie przy porcie i właśnie poznałam mojego Krystiana.

- Ups - powiedział Miecio, który już zdążył poznać Dominikę na temat ojca jej dziecka.

- No, stara, przekonałaś mnie.

Zakonnice ciszkodzą.

Najbardziej przekonał mnie ten szkielet.

- Jaki szkielet?

- zapytała z roztargnieniem Dominika, której myśli zapewne zawisły na Krystianie.

- Fosforyzujący - odparł z kamienną powagą Miecio.

Obawiałam się odrobiny przyszłości Dominiki w firmie - znam Kingę nie od dziś i wiem, że na samicy za barem jest jeszcze bardziej uczulona niż Magdusia.

Ale moje obawy okazały się całkowicie bezpodstawne.

Kinga ją polubiła i co naprawdę rzadkie, nie uważała za zagrożenie dla swego małżeńskiego szczęścia.

Zapewne osobiste zaangażowanie konkretnego faceta, w postaci Pawelka, też stanowiło sprzyjającą okoliczność.

Mogła się nie obawiać o swojego męża, Mietek był lojalny.

Nawet jeżeli nie względem niej - Kinga należała do typów zazdrosnych oraz podejrzliwych - to względem przyjaciela.

Tego akurat mogła być pewna.

Poza wszystkim, Domiśka też była mamą i obie od razu znalazły masę wspólnych tematów.

Też mam dzieci, synka w brzuchu i wspólne tematy.

Lubię Kingę, choć drażni mnie jej wieczna podejrzliwość.

Ja bym nie mogła żyć w takim napięciu, jakie ona sama sobie stwarza w wyobraźni.

- Żona, która była kiedyś barmanką, to kompletnie przerażająca sprawa - uparcie powtarzał Mietek, jak tylko Kinga zniknęła z horyzontu.

- Z góry wie o wszystkich przekrętach, powiem więcej - wie o takich przekrętach, jakich jeszcze sam nie wymyśliłem.

- Szef, który sam był niedawno barmanem, to dopiero przerażające - w podobnym tonie pożałował się właśnie Tymon, gdy Mietek w końcu przyłapał go na odmierzaniu alkoholu "na oko" i solidnie ośmieszył.

Za karę powąchał pozostawioną pod barem colę Tymona i odkrył w niej rum Seniora.

- Nie wiem, czy długo wytrzymam - westchnął ten, obserwując jak Mietek spokojnie i bezczelnie wypija mu drinka.

- Ej, ty!

Pracujesz dziś za barem, tak samo jak ja!

- zdenerwował się w końcu.

- Mnie tam szef pozwolił się napić - powiedział Mietek, korzystając z tego, że Kingusia wyszła do toalety.

- A mnie?

Dlaczego mnie nie pozwolił?

- oburzył się Tymek.

- Bo nie pytałeś.

- Mietek wzruszył ramionami, dolewając sobie rumu do kolejnej coli.

- Trzeba było zapytać.

- Ej, ej!

Nie przesadzasz przypadkiem z tym rumem od rana?

- Kingusia wróciła niepostrzeżenie jej bystre oko wylapało, co trzeba.

- Myślisz, że jak już jesteś tu szefem.

wolno ci się upijać?

Tymon z szerokim uśmiechem na twarzy, odtańczył lambadę.

Mietek szybko wręczył mu colę.

- Ależ skąd, kochanie, to mała premia dla pracownika - powiedział słodko.

- Chłopak przyszedł pomóc w remanencji, poza godzinami pracy - wyjaśnił.

Tymon pokazał mu pod barem obelżywy gest oburzenia, po raz bodajże dziesiąty tego dnia, ale do coli przypiął się od razu.

Dominika westchnęła i poszła liczyć soki na zapleczu.

Zostawiłam menażerię i pomaszerowałam grzecznie na zajęcia.

Jeszcze tylko trzy miesiące.

Trzy miesiące!

Ta myśl zdecydowanie pozwala mi wytrwać na studiach, tym razem, mam nadzieję, do samego końca.

W końcu za szóstym roku jestem pierwszy raz.

Frekwencję mam, owszem, siedemdziesięcioprocentową i ląduję na dywaniku u dziekana co kwartał, za miesiąc.

Wszystko się urodzi siłą rzeczy z harmonogramu na chwilę, ale nic to.

Cóż to jest wobec moich siedmiu lat piątych?

To znaczy w trakcie tych siedmiu lat częściej nie byłam naliczaniem studentów, niż byłam, ale w sumie po tylu dokładnie latach sfinalizowałam sprawę - i przeszłam na szósty.

Czasem ludzie - zwłaszcza współstudenci - pytają mnie, czemu.

A bo ja wiem, do cholery?

Pojęcia nie mam.

Bardzo bym chciała się dowiedzieć, bo jeśli będę znała przyczynę tamtego przestoju, to łatwiej uniknę podobnej historii kiedyś tam, w przyszłości.

Czasem boję się przyszłości.

I przeszłość również.

A terazniejszość?

Dopiero teraz zaczęła być przyjazna, taką bardziej moją.

Do niedawna miałam nieodparte wrażenie, że moje życie toczy się jakoś samo z siebie, bez mojego udziału.

Dom mi się zbudował.

Dziećmi wyrosły.

Mąż.

mąż akurat zmałał, to znacznie żeby skurczył się jakoś, broń Boże, nigdzie mu nic nie brakuje, ale ostatnio wszyscy zapadli na manię odchudzania i on też schudł.

Trochę ćwiczy i zregłownie mandarynki, aż z niepokojem patrzę, czy facet nie zrobi mi się pomarańczowy jak flamingi od jednokolorowej diety, choć flamingi akurat są różowe.

Pomarańczowy już lepszy.

Na zajęciach zapanowało istne pandemonium, bo odbywało się losowanie egzaminatorów dla pierwszego bloku.

Zinterny.

Dodatkowo tak zwany samorząd studencki ogłosił namuroczyście, że koszt ukończenia studiów zamykają się w sumie sześćset złotych od osoby, co mnie leciutko wgniotło w ziemię.

Zdjęcia do dyplomu i do tablo, album zawierający wszystkie mordy z całego roku, impreza absolutoryjna - my, studenci, musimy opłacić wynajęcie sali, jadła i napoje dla szacownego grona, które z racji kierunku studiów zapewne przebija nas liczebnością, oraz wypożyczenie strojów zwanych togami.

Wyobraziłam sobie Tumboto Babano oraz Oskara z mojej grupy, wyglądającego zazwyczaj jak zwyczajny łysy dresiarz, kroczących dumnie przez Królewskie Miasto ramię w ramię i w togach i aż zabrakło mitchu.

Najkosztowniejszy jest komers - czyli libal absolwentów, jedynetry stówki od.

pary.

Do tego jeszcze suknia, makijaż, fryzura, taryfa - czyli rzeczyniewzględnie przez samorząd wkosztorysie, aczkolwiek konieczne.

Ech, chyba wolę własnym chłopem do Za199.

kopca pojechać za zblizoną cenę i leżeć trzy dni w jacuzzi w naszym ulubionym hotelu.

Na szczęście bal nie jest obowiązkowy.

Dopytałam się i odetchnęłam z ulgą.

Obowiązkowa jest opłata zakartę absolutoryjną, w której złotymi literami na bordowym tle będzie stało, że ten ten.

w roku takim a takim.

ukończył.

Na szczęście nie będzie stało, kiedy zaczął.

Egzaminatorawylosowaliśmy podobno bardzo sympatycznego, aczkolwiek uprzedzono nas, że bywa humorzasty.

Kto na tej uczelni nie bywa?

Szefendokrynologii.

Nie jestem zdziwiona, trudno wymagać odczłowieka pracującego w miejscu nasyconym taką ilością rozmaitych hormonów, żeby był stały w emocjach i niewzruszony jak głaz.

Przysłałam w końcu do domu.

Dominika zadzwoniła, że wpadnie na kawę, bo wysprzątała wszystko na wysoki połysk, łącznie zeschowkiem na szczotki, pomogła w remanencie i Mietek z Tymonem uznali, że poradzą sobie sami.

Może iść.

Poszła, ale po drodze szwedacz jej się włączył i nie chce siedzieć w domu z rodzicami, oglądając kolejną cudowną telenowelę.

W oczekiwaniu na Dominikę musiałam coś zrobić, gotować mi się nie chciało, bo za wcześnie, posprzątała niania, uczyć się nie będę, bo nie mam z czego, to znaczy - nie mam pieniędzy na podręcznik, jako że nastąpił chwilowy niż finansowy.

Zdarza się.

A moje notatki z wykładów są paskudne - szkoda, że nie przyszło mi do głowy pisać na laptopie, mój charakter pisma był przez całe lata jedynym dowodem, że nadaję się na lekarza.

Nie mam wyjścia, muszę pojechać na sępa i pożerować kolegankach, które zdały egzamin wcześniej.

Jak mi się uda dopaść mojego małżonka pomiędzy powrotem z pracy a przyssaniem się do domowego komputera (mam nato jakieś dwadzieścia minut), to pojedę do Baški do akademika i zabiorę całą makulaturę, obiecała mi.

On też mi obiecał, choć niechętnie.

Pomnik mu za to postawię ze szczerego złota, jeśli kiedyś rzecz jasna przestanę kończyć studia i zacznę robić tak zwaną karierę.

Jak już się przyssie do klawiatury, to piłam mechaniczną oderwać się nie da.

Przyssałam jak gekon, jakby podwiesić komputer na

200

suficie, to pewnie trzymałbys się zaraz pod sufitem, głową w dół samą siłą woli.

Z braku innych zajęć zagoniłam baby do wanny i umyłam im głowy.

W przypadku Malwinki jest to czynność, przy której z naszego domu dobiegają dźwięki zdecydowanie przekraczające normy decybeli dla hałasu dziennego naterenie zabudowanym.

Dziwię się, że jeszcze nigdy sąsiedzinie nasłali policji.

Może ciągle mają nadzieję, że właśnie zarzynam kota, tego, który leje im nawycieraczki.

Z Mišką jest nieco łatwiej, bo jest damą.

Umyć pozwala się chętnie, bez żadnych protestów, natomiast jaja zaczynają się przyrozczesywaniu.

Miśka jest bardzo kobiecą istotą.

Włosów, z wyjątkiem grzywki, nie pozwoliła dotknąć nożyczkami przez ostatnie trzy lata.

Wiecznierzoczochrane, bujne pasmasięgają jej prawie do pasa.

Zamiłowanie do kobiecości nie rozciąga się, niestety, na proces czesania i następne upiorne wycie dobiega z naszej łazienki piętnaście minut po pierwszym.

- Uważaj!

- rozdartasie Miśka, jak co trzeci dzień o tej porze, i jak zwykle złapała się za łeb, zasłaniając mi dostęp do części nieuczesanej.

- Ciagniesz mnie!

- Nie ciągnę, tylko czeszę!

- wycedziłam przez zaciśnięte zęby, starając się pamiętać, że szczęście i spokój zależą przede wszystkim od naszego wewnętrznego nastawienia.

- Jak bym cię miała zamiar ciągnąć, niepotrzebny byłby mi grzebień, i bardzo możliwe, że zaraz to zrobię.

Oburącz.

Siedź spokojnie, babo!

- Au!

- wrzasnęła Miśka po dziesięciu może sekundach, szarpiąc głową na boki.

- Au!

Au!

- Ej, albo siedzisz spokojnie, albo idziemy do fryzjera natychmiast!

- zagroziłam.

- Z mokrymi włosami?

- zapytałam głosem pełnym grozmoja
nieodrodna córeczka.

Parsknęłyśmy śmiechem obydwie, co uspokoiło Malwinę, która jak zwykle przybiegła
bronić uciśnionej starszej siostry.

Tym razem przywlokła ze sobą sznurkowy mop, jako broń zaczepną, i widać było, że nie zawaha się
go użyć.

Niemam żadnych złudzeń.

Kiedyś, jak Miśka zaczęła swoje jęki, moja słodka niebieskooka córeczka Malwinka zacisnęła różane
usteczki w wąską kreskę i re201.

gularnie zbombardowała mnie klockami Duplo, jednym nawet trafiając mnie w oko.

Strach pomyśleć, gdzieby mimogła wsadzić teraz mop.

Postanowiłam wykorzystać przyrząd do celów dydaktycznych.

Odwróciłam go sznurkami do góry.

- Jak się nie będziesz dawała czesać, porobią ci się dredy i bę";, dzieszwylądała tak!

- postraszyłam Miškę, potrząsając jej mo-^pem przed twarzą.

- Podoba ci się?

Zmarszczyła brwi i usiadła spokojnie, sztywno wyprostowana.

- Ale lala!

- doceniła siostrę Malwinka i wyrwała mi z rękimop.

- Ale lala bije tak!

I przejechała mi mopem po twarzy.

Malwinka, dziecko środkowe, ma twardego charakter.

Tak zwany,,model zaczepny

Miškę i jej przyjaciela z dzieciństwa, Amadeusza, znakomicie;1 sscharakteryzowała jego matka, Dorota.

Pojechaliśmy dużą zwariowaną grupą nad morze i tam miałyśmy okazję poczynić różne obserwacje.

- Są dzieci, które ładnie jedzą.

- zaczęła powoli Dorota, patrząc na nasze starsze pociechy, stojące nieruchomo w wodzie pokolana, bo dotąd odważyły się wejść do morza pierwszego dnia.

Zarówno na Miśce, jak i na Amadeuszu można było uczyć się anatomii kośćca, ze szczególnym uwzględnieniem żeber.

- Są takie, które rozwijają się głównie motorycznie i cały czas biegają.

- ciągnęła, patrząc, jak Amadeusz po długim namyśle przestawiło półkrok w przód lewą stopę.

Miśka statecznie podążyła za nim, przestawiwszy dla odmiany stopę prawą.

Reszta zaprzyjaźnionej hałastry uganiała się wokół z wrzaskiem.

- A nam się trafił typ filozoficzny - dokończyła.

Nasze dzieci stały, trzymając się za ręce, fale biły o brzeg, a w oddali zachodziło słońce.

Obserwując je wraz z nieruchomymi figurkami, można było odnieść wrażenie, że wpadło do morza nagle.

Dziw, że nie chlupnęło.

Tak więc moja Miśka to typ filozoficzny.

Dużo myśli.

Czasem wymyśli coś naprawdę fajnego, swoją drogą.

Może kiedyś będzie pisać komedie, bo poczucie humoru ma ogromne - na tej bazie

zresztą dogadujemy się najlepiej - idąc niekonwencjonalnie jak naswoje sześć i pół roku.

202

Ostatnio zdenerwowała się szalenie, ponieważ znów wieczorem zamiast matkować dziewczynkom i układać w poziomie potężne brzuszyśko, zaczęłam się stroić i malować paszczę.

- A ty gdzie się znowu wybierasz?

- zapytała mnie surowo, takim samym tonem jak moja matka trzynastu lat wcześniej.

- Umówiłam się z Dominiką i Grażynką, na wieczorne plotki.

- Przynajmniej dziecku nie muszę ściemniać, w przeciwieństwie do matki.

Tak mi się przynajmniej wydawało.

- Mogę iść z wami?

- podskoczyła Miśka.

- Mamo!

Proszę!

Jatak lubię Grażynkę!

Dominikę też lubię.

Proszę, błagam.

- Nic z tego - rozczarowałam ją.

- Wychodzimy do knajpy, a tonie miejsce dla małych dzieci - powiedziałam twardo i przejechałam błyszczkiem ustach.

- Dlaczego nie?

- chciała wiedzieć Misia.

- Bo nie i już.

Do większości lokali czynnych w porze nocnej wstęp mają osoby od dwudziestego pierwszego roku życia - podparłam się ustawą o wychowaniu w trzeźwości, bo zabrakło mi argumentów.

- Ale dlaczego?

- drażniła dalej moją starszą córkę.

Przechwyciła cichaczem mój puder i machając pędzelkiem, nakładała czwartą warstwę na nos.

- Wytłumacz mi, mamo.

- Wieczorem w lokalach spotykają się dorośli ludzie, piją alkohol i palą papierosy - powiedziałam jej prosto z mostu.

- To nie jest atmosfera, w której powinny przebywać młode organizmy.

- Będziesz pić alkohol i palić papierosy?

- zapytała z grozą Miśka, łapiąc błyszczek.

Wcześniej użyła szminki, więc, wymyśl tego, co propagują kobiece magazyny, błyszczek utrzyma się na jej wargach o wiele dłużej.

Wiecznie zapominam o tej zasadzie.

Znów doświadczyłam przelotnego wrażenia, że słyszę moją własną matkę, rany kota!

- Janie - powiedziałam, wyjmując jej z ręki mój cień do powiek.

Używając pędzla do pudru (odpowiadała jej wyraźnie), moja córka zdążyła sobie pomalować na zielono powieki.

Wyszło prawidłowo, tylko z lewej strony zahaczyła o czoło.

- Ja jestem w ciąży.

Ale dziewczynowo, chociaż umiarem.

Wszystko dla ludzi, o ile potrafią tego rozsądnie używać.

Wymaga to pewnej dojrzałości i dlatego zarezerwowane jest dla dorosłych.

- Wiesz, mamo?

- odezwała się Miśka po chwili.

Zdążyła niepostrzeżenie pociągnąć rzęsy tuszem i, pomijając nadmiar zieleni

203.

na czole, umalowała się sprawniej niż ja.

-Jak będę duża, to będę walczyć o prawa dzieci.

Jak Jordan.

- O prawa do knajpy?

- upewniłam się.

- Przede wszystkim - powiedziała Miśka i wygrzebała z mojej kosmetyczki perełki rozświetlające.

Użyła ich fachowo, na strefę "T", trzema płynnymi pociągnięciami ulubionego pędzla.

Wypytałam ją później, skąd jej się wziął Jordan.

Okazało się, że obchodzili w przedszkolu Dni Jordanowskie.

Miśka mapamięć jak słoń i potrafi analizować informacje.

Oraz perfekcyjnie tuszować rzęsy.

Jej się jakimś cudem w ogóle nie sklejąją.

Z pamiętnika Dominiki N.

Osiemnasty

Marta ma obłęd w oczach, zaczęły się poważne egzaminy Przychodzi czasem do "Banasia", obkłada się skryptami i siedzi na tyłku bite trzy godziny, przeglądając wykłady.

Podziwiam, jak w ogóle można się skupić w tym szumie, ale twierdzi, że tu jej najlepiej.

W domu cał czas wiszą na niej dzieci, rodzina domaga się konwersacji i zaangażowania i dopiero wtedy trudno okoncentrację.

Pijeli trami sok bananowy - Mietek się zlitował i rozlicza ją po cenie hurtowej, nakartony.

Wzrok ma zupełnie nieprzytomny.

Dawniej uczyła się z jakąś Anią, ale obecnie Anka pracuje nadw i pół etatu i rzadko ma czas.

Z braku Anki Marta referuje mi ciekawsze problemy medyczne.

Jestem już całkiem nieźle oblatana, na przykład z rehabilitacji chorych pozawale.

Z pediatrii niedługo będę lepsza niż pani doktor, doktórej zanoszę Marcelkanaszczenia.

Szkoda, że sama nie zostałam lekarzem.

Interesuje mnie to.

Szkoda również, że nie przerabiamy z Martą aktualnie psychiatrii wieku starczego.

Przydałoby mi się.

Paweł obiecał pomóc matce odtransportować babcię do szpitala gdzieś nad drugim końcem Polski.

Tam mieszka babcia, chwilowo całkiem sama, bo dziadek zmarł trzy miesiące temu.

Nagle.

Całe życie był

204

silny, dobry, opiekował się wiecznie schorowaną babcią, dopóki nie powalił go udar mózgu, pierwszy i zarazem ostatni.

Jak przyjechał pogotowie, po dwudziestu raptem minutach, już było po dziadku.

Umarł tak, jak żył, raz a porządnie i nie sprawiając nikomu kłopotu.

Kłopot tylko z babcią, która od jego śmierci z nudów rozchorowała się na swoje niepoważne jednostki chorobowe trzy razy bardziej.

I wyprawia awantury.

Największym marzeniem mamy Pawła jest zabranie swojej krewkiej matuli do siebie, do Krakowa, ale babcia nie chce.

Za skarby świata.

I teraz mama Pawła ma straszny dylemat.

Czy to oznacza, że powinna zostawić wszystkie krakowskie sprawy, dom i pracę (rok przed emeryturą), no i ukochanego syneczka, samopas?

I zamieszkać z babcią w mazurskiej osadzie, którą trudno nawet nazwać wioską?

Sołtys chwalił się kiedyś, że była to jedyna najpóźniej zelektryfikowanych miejscowości w Polsce, prąd dotarł do nich w połowie lat sześćdziesiątych.

Do najbliższego telefonu stacjonarnego cztery kilometry to pod warunkiem, że ksiądz proboszcz nie zapisał ryjachwilę wcześniej i nie będzie się wstydził otworzyć zakrystii.

Zasięg ma tylko Era, a i to na dwie kreski.

Cztery, jeśli wejdiesz na okoliczną górkę, na górce zaś - nadrzewo, najlepiej wysokie.

Dopiero wtedy można swobodnie rozmawiać.

Ukochany syneczek, Pawełek, ma trzydzieć nakarku, ale nie pała entuzjazmem do pozostania w wielkim mieście samotnie, bez mamusi.

Paweł ma świetną mamę, poznałam ją wreszcie.

Nic z typowej zaborczości kobiet samotnie wychowujących dziecko.

Zdradził mi zresztą kiedyś - że samotnie, jak samotnie.

Jego ojciec, co prawda, wyjechał do Izraela, jak Pawełek miał trzy lata (takie życie, czasy i układy), i zerwał kontakty, zwłaszcza po tym gdy matka, w kolejnej dyskusji na zasadnicze tematy, o choczko pomogła mu się spakować i wystawiła walizki za próg.

Ślubu nie mieli, rzekomo ze względu na brak zgody jego rodziny - zresztą jej też nie pałała entuzjazmem.

Ojciec Pawła urodził się na Ukrainie, miał obywatelstwo pięknego Kraju Rad, a w Krakowie studiował właściwie przez przypadek.

Zdaniem rodziców Ady, katastrofa - nie dość, że Żyd, to jeszcze Rusek.

Nie istniało w owym czasie gorsze zestawienie, za to w krótkim czasie zaistniała dzieckowi mama

Pawła uparła się na ślub.

205.

A ja się zastanawiałam, dlaczego Paweł ma takiego.

hmm.

gładkiego członka.

Przeleciało mi nawet przez myśl, że może został obrzezany, ponieważ jednak do kościoła latał z własnej woli chętniej niż ja sama, uznałam tę myśl za absurdalną.

Nie zapytałam wprost, bo jakoś głupio mi było, a nigdy jeszcze nie miałam do czynienia z obrzezanym.

W końcu uznałam, że taka uroda.

Niesłusznie, jak się okazało.

Podobno Paweł, jedynie z urodzenia, manier i charakteru, mawiał tym Izrael przyrodniego brata.

Najśmieszniejsze zaś, że to brat.

pół roku starszy.

Przepraszam, w tej całej sytuacji jest rzecz jeszcze zabawniejsza - i on, i matka dowiedzieli się o istnieniu tamtego drugiego, jak obaj chłopcy osiągnęli pełnoletność.

Ojciec leżał wtedy nieprzytomny w szpitalu, po ciężkim wypadku, i jego adwokat postanowił samowolnie uporządkować sprawy spadkowe.

Ładnych paru osobom w dwóch różnych miejscach globu od tego porządkowania włosy stanęły dęba.

Boże, czy wszyscy mężczyźni są pokopani w podobny sposób?

Matka Pawła, wyprawiwszy byłego syna, rozpoczęła nowe, samodzielne życie.

Była wtedy młoda (młodsza ode mnie!

), pięknie i energiczna, i w owym czasie Paweł, jak sam to określił: "miał dużo wujków".

Wtrącali się w jego wychowanie w różnym stopniu.

Najlepiej wspomina tych, którzy nie wtrącali się wcale.

Znam te wszystkie historie od niedawna.

Wiele tłumaczy.

Między innymi to, dlaczego Paweł przy dużym, deklarowanym przynajmniej zaangażowaniu w moją skromną osobę, tak mało interesuje się moim dzieckiem.

Zasadnicze pytanie brzmi: czy taki układ odpowiada?

Nie jestem przecież jego matką.

Przede wszystkim nie jestem nawet w połowie tak samodzielną, jak ona.

Kilka lat temu Ada uznała, że mężczyźni nie są w ogóle do czegoś potrzebni.

Wystarczą przyjaciele, praca, pięknie, z fantazją urządzone mieszkanie, podróże.

Dużo jeździ po świecie.

Pojechała ostatnio również do Izraela, specjalnie po to, aby z satysfakcją obejrzeć, jak brzydko postarzał się jej były Utył, posiwił i okropnie się poci.

Stęka przy wstawaniu i zęby mu pociemniały

Ona sama zaś wygląda jak moja odrobinę starsza koleżanka.

A różnica wieku między nami to trzydzieści cztery lata.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie obstawiałby nawet połowy

206

Nie życzy sobie stałego związku, ale, jak doniósł mi poufnie Pawełek, nie rezygnuje z przelotnych romansów.

Twierdzi, że emocje dobrze robią na cerę.

Rozumiem, dlaczego się nie zdrzywiła ani nie zgorszyła naszą znajomością, jej ulotnością i niedookreśleniem.

Rozmawialiśmy z sobą dłuższą chwilę przy pierwszym spotkaniu nie jak teściowa z synową, ale jak dwie kobiety, które los doświadczył na pewnym etapie życia w podobny sposób.

- Przyjdzie czas, gdy zrozumiesz, że lustro jest niezbędne do makijażu, w innych dziedzinach życia natomiast niekoniecznie.

Niepotrzebujesz widzieć w oczach innych swojego odbicia, żeby istnieć.

Dopiero wtedy będziesz naprawdę dorosła- powiedziała mi.

- I może jeszcze wtedy, kiedy spędzisz całą niedzielę na wywabianiu plamy z ukochanej spódnicy, pełnej wspomnień, zamiast wyrzucić ją do śmieci i polecieć do sklepu ponastępną, a bez cienia żalu pognasz precz faceta, który się nie sprawdził, i polecisz po następnego.

Albo pójdziesz sobie sama napiwo i frytki.

O, Boże, kocham ją.

Chciałabym, żebyśmy zostały rodziną.

Jestem tego pewna o wiele bardziej niż tego, czy chcę być z jej synem.

Tyle że obie te sprawy jakby sprzężone są.

Nie jest zaborcza.

Ale nie lubi rozstawać się z Pawłem i zawsze wraca do niego z wojaży.

Naprawdę się przyjaźnią.

Gadają ze sobą godzinami, a ona toleruje większość jego wybryków.

Chociaż potrafi powiedzieć dobitnie dwa słowa, które później jej synek roztrząsa godzinami i obiecuje poprawę.

Szczerzej współczuję sytuacji, w której się znalazła.

Jej mama, wieczna mimoza, przeżyła swoim słabym zdrowiu siedemdziesiąt parę lat i zapewne jeszcze długo pociągnie, pomimo chwilowego pogorszenia.

To pogorszenie jest zresztą jednym wielkim wołaniem o ratunek i mama Pawła dobrze to rozumie.

Tyle że nie wie, co robić.

Jechać tam?

I przystosować się do dojenia jedynej, wyleniałej krowy bladym światem czy też zlikwidować tamten mazurski dom oraz gospodarstwo, na siłę przyholować babcię do Krakowa i zamknąć w mieszkaniu, w którym będzie powoli usychać z tęsknoty za swoim ogrodem, jeziorem za miedzą, szerokim niebem nad siwą głową i przyjaciółką sąsiadką, z którą odmawiały majowe litanie przy kapliczce?

207.

Na razie wymyśliła szpital.

Podlecą tam staruszce świeżo wykrytą cukrzycę, podreperują ogólnie organizm, zapewne dołożą jakieś pigułki dla duszy, po których być może uda się poczynić z babcią jakieś uzgodnienia.

Bo na razie uważa, że jak tylko zaśnie, do jej domu zakrada się ta gruba Mańkazza kościoła i szpera po pokojach w poszukiwaniu biżuterii.

GrubaMańka od czterech lat nie?

wychodzi z domu, bo kolana już całkiem jej wysiadły, ale babci to 'nie przeszkadza.

Nigdy jejnie lubiła.

- Nie martw się, Ada - powiedziała impulsywnie przywspólnej kolacji wprzeddzień wyjazdu.

Byłoto nasze drugiespotkanie.

'Na ty przeszliśmy po dziesięciu minutach znajomości.

- Jedźciei spokojnierozpoznajcie się w sytuacji.

Na pewno coś wymyślimy.

Doprawdy nie wiem, skąd mi się wzięło "my".

Dwudziesty

Paweł wyjechał i zaraz oczywiście, wiedziony instynktem, objawił się Brian.

Zaczynam podejrzewać, że to jednaknie przypadek.

Jeśli już, to szalenie dużo małych przypadków.

Wydebiłam od Mietka flaszkę wina i pozwolenie na wcześniejsze zakończenie pracy.

Groźnie nastroszył brwi, ale wytłumaczyłam muszybko, że nie zamierzam robić nic zdrożnego.

Po prostumam ochotę usiąść nareszcie z drugiej strony baru, w niekrępującym towarzystwie, napić się winka i potrenować angielski.

Takiedarmowekonwersacje.

- Darmowe!

- prychnął Mietek i wręczył mi wino ceną do przodu.

- W ramach twoich darmowych konwersacji ja pozbywam się towaru.

Spojrzałam na niego tak, że w końcu odwrócił wzrok.

A co, też potrafię poruszać brwiami.

- Po pierwsze, pożyczam, a nie zabieram na stałe, uspokój się - powiedziałam.

- Dołożę ze swoich przynastępnym zamówieniu.

Nie takie ilości brałam bez pytania i nigdy nie było problemu, nierozumiem, czemu się czepiasz!

Podrugie.

wiesz, niektóre firmy sponsorują pracownikom kursy językowe.

- Chybanie knajpy?

- mruknął Mietek.

- Dlaczego nie?

Za chwilę się zacznie sezon ogródkowy, cudzoziemców nalezie się jak psów.

Będzie jak znalazł!

208

- Spadaj nadzewo, babo, i nie irytuj mnie.

- Machnął ręką.

- Nie musisz nic odkupywać.

ale pamiętaj, mam cię na oku!

Anioł stróż się znalazł, cholera jasna.

Następnym razem umówię się z Brianem gdzie indziej!

Hmm.

A czy w ogóle będzie następny raz?

Sama niewiem.

Spędziłam bardzo miły wieczór, swoją drogą.

Brian ma gadane.

Mogłabym go słuchać godzinami, nie tylko w celu przypomnienia sobie angielskiego.

Miły, zwariowany, zabawny Zainteresowany, co widać, słysząc i czując.

W miarę ubywania winaw butelce czułam to zainteresowanie w różnych częściach ciała:

a to mi rękę na kolanie położył, a to przypadkiem dotknął moich włosów, ramienia, dłoni.

Niezachowywał się przy tym natarczywie, wręcz przeciwnie, raczej pełno było w tych gestach wzruszającej nieśmiałości, jakby się chciał upewnić, że naprawdę tu jestem z nim rozmawiam.

Dłonie miał chłodne, dotyk ulotny, na granicy pewności, że naprawdę zaistniał.

Wiem, że cokolwiek się zdarzy, i tak pełno go będzie w moich snach.

Już jest.

Zastanawiałam się, patrząc na niego na jawie, jak to jest z tymi snami.

W przeszłości zdarzyło się, i to ze dwa razy, że facet zaczynał mi się śnić na długo wcześniej, zanim doszło do jakichkolwiek bliższych kontaktów w świecie rzeczywistym.

Co było pierwsze, jajko czy kura?

Czy mój mózg rejestruje zainteresowanie obiektem, zanim dotrze ono do mojej świadomości, czy też zdarzało mi się zakochać dopiero pod wpływem snów?

Nie wiem, która z tych dwóch możliwości tu zachodzi, ale w snach robimy z Brianem takierzeczy, o jakich z Pawłem w rzeczywistości zdążyliśmy już zapomnieć.

Potem rumienię się na sam widok tego pierwszego.

On na mój zresztą też.

Chciałabym znać przyczynę.

Dwudziesty pierwszy

Paweł dzwonił i wrobił mnie w poinformowanie Mięcia, że pozostanie na Mazurach jeszcze tydzień, pierpałyż babcią mają straszliwe, nie chciał relacjonować wszystkiego przez telefon.

Pogadałam chwilę z jego mamą.

Jest szczerze zmartwiona, ale postanowiła

209.

działać.

Zawezwała na pomoc brata i różnych pociotków, naradziła się w przyszłą środę.

Ciekawe, że Mietek się zirytował przedłużającą się nieobecnością Pawła, a ja wcale.

Wręcz przeciwnie.

Wczoraj, przy naszej niespiesznej, miłej rozmowie z Brianem -całkowicie niewinnej - coś się jednak wydarzyło.

Pośrednim sprawcą, o ironio losu, był Mietek.

Przypatrywał nam się z baru świdrującym wzrokiem, na tyle nachalnie, że w końcu Brian całkowicie naturalnie i swobodnie zaproponował następne spotkanie w zupełnie innym miejscu.

Za trzy dni, bo ma obecnie nagłówieróżne sprawy rodzinne.

Ja się zgodziłam, z równym wdziękiem i naturalnością.

Zaintrygowały mnie przy okazji rodzinne sprawy człowieka, który oddwóch lat przebywa w zupełnie innym kraju.

Okazało się, że jego mama, gdzieś tam w Edynburgu, ciężko się rozchorowała.

Opowiedział mi o tym pobieżnie, niechętnie, chociaż wydaje mi się, że ten problem godręczy.

Pytałam, czy w związku z tym wybiera się do domu, ale pokręcił głową, że na razie nie.

Urodzaj jakiś chorej matki czy co?

Dwudziesty drugi

W trakcie nerwowego wybebeszania własnej szafy w poszukiwaniu stosownej odzieży (tym razem matczynej garderoba nanie się nieprzyda) uświadomiłam sobie, co czynię.

Gorączkowo przygotowuję się do randki z facetem, na którym chcę zrobić olśniewające wrażenie, co samo w sobie nie jest zbyt naganne, tyle że.

jednego faceta to ja już mam.

Chyba.

Machnęłam ręką na tę myśl i szalałam dalej.

Fryzjer, kosmetyczka- od wieków nieregulowałam brwi, kiedy trzeba.

Maseczka na pysk.

Żel ujędrniający na te części ciała, które kobieta po porodzie ujędrnić musi.

Nowy tusz, podkreślający rzęsy, i błyszczący do ust.

W pół dnia wydałam całą tygodniówkę.

Moja matka przypatrywała mi się z dala z nieodgadnionym śmiechem na twarzy.

Dobrze, że nie powiedziałam jej o Pawle.

Dziwne, że na okoliczność Pawelka nie zawsze chciało mi się porządnie uczesać.

Chyba od samego początku chciałam, żeby akceptował mnie taką, jaka jestem, a Brian.

210

U

Przy nim czuję, że powinnam dać z siebie wszystko.

Niepodobami się to.

Mimo to z randkinie zrezygnuję.

Jedną z definicji inteligencji podaje, że jest to zdolność do umotywowania własnych działań w każdych okolicznościach.

W związku z tym znalazłam sobie usprawiedliwienie.

Muszę przerwać, w jakikolwiek sposób, ten dziwny stan, w którym wszystko pomiędzy mną a Brianem opiera się na półsłówkach, spojrzeniach i przypadkowych dotknięciach.

Ponieważ jest to stan dla mojego właściwego związku najbardziej szkodliwy.

Pracuje wyobraźnia i niewiele więcej, ale czy nie jest tak, że stan zakochania zaczyna się w mózgu i niejednokrotnie do niego się ogranicza?

Napisałam to.

Czarno na białym.

Zakochałam się w Brianie.

No, to pięknie.

Dwudziesty czwarty

Nie wytrzymałam.

Przed domniemaną randką umówiłam się z Robaczkiem i zasięgnęłam jego rady.

Rozwazałam też pogawędkę z Martą, ale pokrótce namyśle uznałam, że wierną mężatkę odlat ośmiu mogą przerazić moje dylematy niejako z definicji.

Jak się poniewczasie okazało, niesłusznie, bo Marta miała za sobą młodość bujną i urozmaiconą.

To Robaczek solidnie obsobaczył i nie chciał słuchać okolicznościach łagodzących.

A przecież są takie.

Cóż ja biedna mogę poradzić na emocje, które spadają na mnie jak grom z jasnego nieba?

Niech się wszyscy odczepią.

Kupiłam sobie w lumpeksie szalową kreację, której mi brakowało w garderobie, oraz rozświetlającą maseczkę do twarzy w drogerii.

Na znak protestu.

Dwudziesty piąty

W zasadzie mogliśmy umówić się od razu u Briana w domu, ponieważ w tej wymyślonej naprędce obcej knajpie nie posiedzieliśmy nawet pół godziny.

Nie było klimatu.

211.

Za to u niego w mieszkaniu był.

Osiemgodzin później Brian odgarnął mi z twarzy wilgotny, spocony kosmyk włosów i zanucił cicho, wprost do ucha: " Well, life is full of Mondays.

And I know I really must let you go.

".

"Życie jest pełne poniedziałków.

A ja wiem, że naprawdę powinienem pozwolić ci odejść.

". Głos miała miły, melodyjny i nieoczekiwanie głęboki.

Fakt, poniedziałek był.

A ja nie wróciłam na noc do domu.

Napożegnanie pocałował mnie w usta, miękko, przepaszająco.

Potańczył moje ramię i znowu była w tym nieśmiałość, pomimo że ostatnie ćwierć doby wyglądało dokładnie tak, jak w moich snach.

Jeszcze bezradność była w tym ostatnim geście - i brak nadziei.

Wiedziała, co to oznacza, powiedział mi.

Mama jest w ciężkim stanie i on musi wracać do domu natychmiast, aby uporządkować różne sprawy.

- Wrócisz tu jeszcze?

- zapytałam szeptem tak cichym, że sama siebie dobrze nie usłyszałam.

Ale on usłyszał i w milczeniu pokręcił głową.

- Nie sądzę - powiedział w końcu.

- Muszę zaopiekować się siostrą.

Ona jest bardzo chora.

to znaczy, upośledzona.

Zawsze tak była.

A ja teraz będę jej jedynym opiekunem.

Tam ma swoją siostrę i lekarzy.

Nie rozwodził się długo na ten temat, a ja nie nalegałam.

W końcu, kim byłam, żeby mieć prawo dopytywania się o takie sprawy?

Nie docierało do mnie, że początek stał się zaraz końcem, choć Brian wydawał się rozumieć to doskonale.

Zanim wyszłam, zaprowadził mnie do kuchni, itam, pobrzękując cichutko na gitarze, zaśpiewał mi piosenkę, którą ułożył specjalnie dla mnie.

Była piękna, ito był dokładnie ten gest, którego potrzebowałam, żeby nie poczuć się przypadkową podrywką na ostatnią noc, a także po to, żeby zakochać się już kompletnie, bez rozumu i bez pamięci.

Tramwaj, którym jechałam do domu, wydawał się piękny, wypełniony wschodzącym słońcem, a na wspomnienie głosu Briana czułam mrowienie w całym ciele, od kolan po czubek głowy. Coś we mnie narosło i trwało, myślałam, że zaraz wszystko pęknie z hukiem i zacznę śmiać się płakać, i śpiewać na całe gardło.

212

Drzewa przed moim domem były świetliste, zielone, a moja matka otworzyła mi drzwi bez zdziwienia i nie odezwała się ani słowem.

Dwudziesty siódmy

- Co jest?

- zapytał Mietek, jak tylko weszłam do "Banasia" dwadzieścia po drugiej.

Makijaż miałam pełny, ale nie wystarczył do przemalowania spojówek z powrotem na białe.

Siadłam przy barze, zapaliłam papierosa (ostatnio pałę coraz częściej, cholera) i zagapiłam się tępo w rząd butelek na półce.

- Nie lubię Pana Boga - powiedziałam po chwili.

- Stwórz Howar dokładnie na moje zamówienie i wysłań na eksport.

Mietek milczał dość długo.

W końcu westchnął głęboko.

- To dokładnie taksamo, jak w moim wypadku -wymruczał.

-Wcześniej jeszcze obarczył dwójką dzieci, a ostatnio,na domiarzłego, legalnym małżonkiem.

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

- O kim mówisz?

-A ty?

-zapytał Mietek słodko.

Prychnęłam.

-Zgadnij.

- Sama zgadnij.

- Wzruszył ramionami.

Skoro mam zgadywać, to chyba ją znam?

Kto ma dwójkę dzieci,a wyszedłza mąż dopieroniedawno i wdodatku wyjechał?

O, cholera!

- Nie?

- zdumiałam się.

- Coś taka zdziwiona, myślałem że w tym plotkarskim świeciewszystko wiedzą.

Tak, podkochałem się w Magdziedobre cztery lata.

A ona.

ona mnie po prostu nie dostrzegala.

Jakbym był innego gatunku albo coś.

Prosty barman, czyli nietesfery.

Dobrze, że wyjechała.

- Ja tam się.

niecieszę.

- Machnęłam ręką na wszystko po koleii pogadaliśmy od serca.

Nie chciałomi się zastanawiać nad tym,żemówię do najbliższego przyjacielamojego faceta.

I oplakuję innego.

Okazało się, że o sytuacji rodzinnej Briana wiedział od dawna,i to o wiele więcej niż ja.

Rozżaliłam się.

Czemu rozmawialiśmy o tysiącu nieistotnych spraw, a niedotknęliśmytego, costanowio naszym życiu?

Czemu Brian odszedł,tak po prostu, i nie dał mi żadnej szansy?

213.

Jak on sobie poradzi z utrzymaniem siebie i siostry w ojczystym kraju, jeśli jedyne, co potrafi, to nauczać języka angielskiego?

Kogo tam będzie uczył, rodaków?

- Naszych rodaków - pocieszył mnie przytomnie Mietek.

- Najechało ich się na Wyspy odgroma i trochę.

Wyjeżdżają hurtowo całe wieś.

Poradzi sobie, nie martw się.

Pomyśl lepiej o sobie.

Co zrobisz, jak wróci Paweł?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem.

Możenic.

Czy to ważne teraz?

- Oj, Domisia, Domisia - westchnął Mietek.

- Co ja z tobą mam.

Zrobił midrinka, po którym był zmuszony udostępnić mi na parę godzin kanapę na zapleczu, a moim największym problemem stało się to, jak ukryć mój pożałowania godny stan - zanim nadeszła pora powrotu do domu, zdążyłam się dorobić potężnego kaca - przed mamą i innymi potworami.

Dwudziesty ósmy

Kto oglądał głupawego skądinąd "Titanica" albo przynajmniej słuchał ścieżki dźwiękowej, tenz pewnością zna słowa piosenki, śpiewanej przez Celinę Dion: "

love can touch just one time, and last for the life time.

".

Miłość może dotknąć jedyny raz i pozostać na całe życie.

Ja, Dominika, matka Marcela, była konkubina Krystiana, tkwiąca po uszy w niedo końca zdefiniowanym związku z Pawłem, dziewczyna na jedną noc, noc pożegnania z naszym pięknym krajem dla mężczyzny o imieniu Brian, mogę tylko zaświadczyć, że to prawda.

I chociaż nieupłynęło całe życie, a zaledwie dwa dni - tak właśnie to odczuwam.

Inie rozumiem, dlaczego stało się tak, jak się stało.

Dlaczego, do cholery, on nie mógł powiedzieć czy zrobić nic więcej?

Gdyby mnie poprosił: "poczekaj", czekałabym.

Gdyby powiedział: "pojedź ze mną", rzuciłabym wszystko i w dwie godziny później byłabym na lotnisku.

Tak przynajmniej mi się wydaje.

Ale on nie zrobił żadnej z tych rzeczy.

Prosto odszedł.

Pojutrze wraca Paweł, a ja nie mam mu nic, absolutnie nic dopowiedzenia.

214

Micio też nic nie ma, na szczęście.

Sam z siebie zadeklarował się, że nie powie.

Może dobrze, może źle, nie mam siły o tym rozmyślać.

Kwiecień

Marta

SIOSTRO, TLENU!

Na terenie Królewskiego Miasta Krakowa tajemnicze Coś wyssało z powietrza cały tlen.

Pozostały tylko azot, różne tlenki i dwutlenki oraz siarka.

Wokół mnie same beztlenowce, nic ich tonie rusza.

A ja, jak dwa lata temu o tej samej porze - znowu jestem w dziesiątym miesiącu ciąży.

Z tego prostego powodu zaległam w domu, uznawszy, że nie muszę już chodzić na zajęcia i wykonywać podobnie skomplikowanych czynności.

Wystarczającym wyzwaniem jest głęboki wdech.

Moje płuca zalegają cienką warstwą gdzieś w okolicach szyi, reszta mnie to brzuch.

Postanowiłam urodzić dopiero w czwartek, po świętach.

W ten prosty sposób młody - już wiem, że to facet, a przynajmniej mam taką dziewięćdziesięcioprocentową pewność oraz tak zwane przecucia - będzie młodszy od Malwinki jak w pysk strzelił dwa lata.

Jeśli chodzi o organizację imprez urodzinowych, to do końca podstawówki luz i wygoda, jedna balanga, jeden tort, wystarczy po zdmuchnięciu świeczek przez Malwinę wyjąć dwie i znowu podpalić.

Nawet prezent, przy odrobinie inwencji, można wymyślić jakiś wspólny

Rany kota.

Za parę dni będę mamą trojga.

Większość populacji tak stawia oczy w słupną wieść, że już mam dwoje.

Nie mam pojęcia dlaczego.

Gacia, koleżanka z roku, twierdzi, że po prostu wyglądam niepoważnie.

A w świadomości większości - dzieci to bardzo poważna sprawa.

Miewam na ten temat odmienne zdanie, ostatnio coraz częściej, bo Malwinka uczy się mówić, a to, co wygłasza, sprawia, że posiadanie dzieci przypomina raczej utrzymywanie w domu małego prywatnego kabaretu, działającego trzynastę godzin na dobę.

215.

Prosty przykład.

Wczoraj długo próbowała nabić sałatę na widelec, a w końcu odłożyła go na talerzyk, potrząsnęła blond loczkami i rozłożyła ręce.

- Nie mam siły - westchnęła, kręcąc głową.

- Nie mam.

Umarliśmy ze śmiechu, ja zaczęłam się wymądrzać do Anki, zaproszonej na obiad, jak to małe dzieci rozumieją więcej, niż myślimy, i niż początkowo są w stanie powiedzieć, po czym mój mąż wziął Malwinę na kolana i zaczął dopytywać się jej w kółko, czy już ma siłę, czy dalej nie.

- Nie mam- powiedziała z pełnym przekonaniem młoda, rozkładając rączki.

- Nie mamsiły A co jest siłą?

-zapytała nagle,przechylając główkę.

I jak to słusznie zauważyła Anka, cała moja mądra teoria wzięła w łeb.

Wieczorem, jako że nadszedł Wielki Czwartek, wtaszczyłam się do taksówki (jak tylko wyszłam z domu, pan taksówkarz rzucił się przesuwać fotel daleko do przodu i w rezultacie to Anka jechała z zębami na kolanach) i zabrałam baby na mszę do dominikanów.

Malwinie się nudziło, dałam jej więc torebkę do przegrzebania.

Wyciągnęła z niej paszport.

- Mama!

- ucieszyła się głośno, oglądając ostatnią stronę.

-Ładna mama.

Po czym przerzuciła się na stronę pierwszą, tę z godłem.

- Popatś, kaćka!

- wykrzyknęła entuzjastycznie.

-Ładna kaćka!

Trzy schodki nad nami ryknęły śmiechem.

- Głupia jesteś - powiedziała Miśka, też niespecjalnie cicho.

-To niekaczka, tylko orzeł.

W zasadzie powinna być kaczka.

-dodała ponamyśle.

- A dokładnie: dwie kaczki - dodała Anka i trzy schodki nad nimi chichotały przez pięć minut.

Następny popis dała Miśka, boprzy ołtarzu zasiadło dwunastu mężczyzn i zdjęło buty Lewe.

Wy tłumaczyłam jej, że napamiątkę uczynku Jezusa z Ostatniej Wieczerzy kapłan będzie mył nogi.

- O, Jezu - zmartwiła się nabożnie młoda.

- A ja mam rajstopy.

Wyjaśniłam jej, że ksiądz nie będzie mył nóg wszystkim, tylko tym dwunastu, jak dwunastu apostołom.

- O, Jezu - relacjonowała z przejęciem, przewieszona przez barierkę.

- On go w tę nogę pocałował.

Po umyciu.

- Logiczne.

-

216

Mamo, czy Jezus też mył każdemu z apostołów tylko jedną nogę?

-chciała wiedzieć, a młodzież nad nimi zatykała sobie usta, czym tylko mogła.

No i co?

Śmiertelnie poważna sprawa?

Duduś przychodzi mnie odwiedzać.

Też wytrzeszcza oczy w dodatku wytrzeszczonym nie wierzy Twierdzi, że wyglądam jak dwójka małżonki razem wzięte i dodatkowo szafa z przedpokoju.

Ha. Jego żona, która, trzeba to przyznać uczciwie, dwa dni przed porodem obejmowała szczupłymi ramionkami wielką piłęczkę, jakby przytroczoną do jej smukłej sylwetki z wyraźnie

zaznaczoną talią (jakiś koleśna przystanku klepnął ją w tyłek w celachrozrywkowychi jak się obróciła, to się strasznie zdziwił) -otóż ona urodziła w połowie dziewiątego miesiąca.

A ja jestem w dziesiątym.

Niemieszczę się w drzwiach do piwnicy.

Nigdy nie przypuszczałam, że jeszcze w tym wcieleniu osiągnęmasę dziewięćdziesięciu kilogramów z hakiem i w dodatku zupełnie niebędę się tym przejmować.

Ponieważ nie będę tak tyła sobie sama, w ramach postuwielkopiątkowego zaprosiłam dzisiaj rodzinę na ziemniaki z piekarnika.

W przyływieułańskiejfantazji skonstruowałam do nich różne sosiki i masełka w czterech smakach (czosnkowe, koperkowo-ziołowe, pieprzowe ipaprykowe z imbirem) oraz dwiesuróweczki.

W rezultacie moich starań siedem dorosłych osób i dwoje dzieci wepchnęło siebie ponad czterykilo gruli inażarto się tak, że wszyscy mieliproblemyz powstaniem od stołu.

Ja nie miałam.

Mam wprawę.

- Ale post!

- westchnął mój mąż, klepiąc siępo brzuchu.

-Lubię taki.

- Mamo.

- Malwinka podeszła do mnie i stanęła wyprostowana, poważnie kiwając główką.

Wygląda jak aniołek, błękitneoczka, główka cała w lokach - ztym że aniołki rzadko gryzą alboplują. I nie ciągną za włosy.

-Mamo.

- Co, kochanie?

- Poglądziłam ją po tych loczkach.

- Mamo.

Jeś - tem.

Jestem - ogłosiła.

- Dobrze, że jesteś -wygłosiłam staryoazowy slogan.

- Bardzosię z tego cieszę.

- Mamo - Malwinka dalej kiwałągłową, wlepiając we mnie badawcze spojrzenie - mamo, cio jest ciało?

217.

No i masz.

Wytlumacz dwulatce prosto i przystępnie, co to jest ciało.

Wcale nietakie banalne zadanie.

Na szczęście Miśka pospieszyła z pomocą.

- To rączki, nóżki, brzuszek, no, wszystko, co masz, wszystkorazem wzięte - powiedziała, przy okazji szczypiąc młodszą siostręw celach edukacyjnych w odpowiednie części rzeczonoego ciała.

-Uszka, policzki, nosek.

- I kozia - dokończyła Malwinka, dłubiąc w lewej dziurce.

-Nie, koza nie - wyjaśniła rzeczowo Miśka.

- Chociaż, dopóki jest w nosie, to chyba należy do ciała.

Mamo, jak to jest?

Należyczynienależy?

Rzuciłam przelotnie okiem na miny współbiedników.

- Skończcie, laski, chwilowo ten temat, bo ciocia nam zaraz odda ziemniaczki, choć wcale ich nie pożyczalam - wymruczałam do Miśki na stronie.

- Skupcie się może na innych przykładach.

-Oczka, uszka.

- A śpiochy z oczek?

Takie z uszków, zółciutki?

- zapytała Miśka cenicznym szeptem.

-To ciało, czy nie ciało?

- Nie - rozstrzygnęłam szybko kwestię.

- Tylko wydzieliny.

- Faj - skrzywiła się Miśka.

- Nie mów takich obrzydliwych rzeczy.

Mamy trochę odmienne zdania w temacie, co jest obrzydliwe, a co nie.

No i poszli sobie goście.

Wieczorem pojechaliliśmy wszyscy do kościoła; żeby było ciekawiej, zaniósł nas ażna Stare Podgórze.

I tu się zdziwiliśmy, ponieważ godzina była za ledwie dwudziesta pierwsza, czuwanie przy grobie powinno być w toku, a kościółna Rynku Podgórskim zamkniętyna głucho, przynajmniej od frontu, a jak się wchodzi w różne zakamarki, niestety nie wiemy Żadnej konkretnej informacji, nic.

Pojechaliliśmy do redemptorystów, ucieszyliśmy się, bo kościół był oświetlony rześście, ale nasza radość trwała krótko, jako że wszelkie dostępne nam drzwi okazały się również zamknięte na amen.

Razemz nami próbowały się wdrzeć do środka cztery inne osoby, nic z tego.

Najprawdopodobniej uroczystość właśnie się skończyła.

- Jest Bozia?

- spytała zdezorientowana Malwinka, poraz kolejny wsadzana i wysadzana z fotelika.

-Jest?

Ci nie ma?

- Dobre pytanie.

- Pokiwał głową mąż.

-Perfekcyjne.

218

- W tym dniu nawet Jezus miał wątpliwości - dołożyła Anka, która wybrała się z nami na wycieczkę.

Świętaspedzała w (Crakowie, głównie na macierzystym oddziale, ponieważ rozpisali ją na wszelkie możliwe dyżury.

W Wielki Piątek akurat miała fajranti przysłała do nas po oddychać rodzinną atmosferą.

"Jednym z największych dramatów naszych czasów są zamknięte kościoły" - napisał kiedyś

ktoś mądry, bodajże ksiądz Mliński, i po tej wycieczce skłonna jestem się z nim zgodzić.
W Wielki Piątek, w dzień, w którym umarł Bóg, podobno od wieków spowiadali się najwięksi grzesznicy.

Przychodzili późno, pod osłoną mroku, i próbowali oczyścić czarne dusze.

A teraz co?

Zbłąkanym owieczkom pozostaje, jak co dzień, kupić dużą flaszkę i wyspowiadać się sobie nawzajem oraz burej, wezbranej Wiśle na bulwarach.

Tyle zew ten sposób nie uzyska się rozgrzeszenia.

Najwyżej zapomnienie. Można jedno wychodzi.

W końcu dotarliśmy na Skalkę i tam nareszcie było jak trzeba:

główne wejście otwarte, przygrobiespora grupa ludzi, kwiaty, świece, dwóch spowiedników oczekujących w konfesjonale.

Potrzeba było aż klasztoru.

Może prawdą jest, że ludzie zamknięci w zakonach rozumieją potrzeby innych bardziej niż ci, którzy żyją tużobok, w codzienności?

Wszystkich innych?

Nawet tych innych całkowicie?

Może klasztorna modlitwa może więcej niż nieustanna obserwacja, raporty i kartoteki parafialne?

W każdym razie Bozia się znalazła.

Wielka Sobota.

Ja dalej w całości, zgodnie z planem.

M^owinka pomalowała się na zielono farbą do jajek.

Na farbach napisane, zenietoksyczne, itego się będę trzymać.

Miśka pomalowała cztery jajka, jedno krzeselko, spory fragment stołu, bluzkę i serwetkę.

Udało mi się zmyć wórczość ze wszystkiego z wyjątkiem jajki sporych fragmentów młodszego dziecka, ze szczególności i uwzględnieniem paznokci.

Ponieważ młoda z natury jest gruba, powinnam chyba domalować jej jakieś wzorki i zanieść do święcenia w charakterze największej pisanki.

Machnęłam ręką sama po "malowałam dwa jajka.

Malwinka, spuszczone z oka na sekundę, odgryzła baranowi głowę i biedak zginął jako poganin, przed poświęceniem.

Zanieśliśmy baranie szczątki do kościoła.

Zanieśliśmy również szynkę, dwie babki drożdżowe, chrzan, so, pieprz, mokre jeszcze jajka, które farbowały wszystko po kolei' ar"

219.

mię czekoladowych króliczków i mnóstwo kurczaków z przeróżnych materiałów, od cukru poprzez czekoladę do wełny.

- Ksióść mi nasikał na kjojika- podsumowała wyprawę Malwinka -kjojidłem.

Wieczorem zostawiłsmymłodszychz moim mężemi poszłyśmyz Miśką oraz Dominika na mszęwigilii paschalnejdo dominikanów.

Udało namsię, zaraz po poświęceniu ognia wejść do ciemnegojeszcze, wypelnionegopo brzegi kościoła i ulokować się pod ulubioną drabiną.

Chwilę później wniesiono pascha!

i coraz więcejjodpalanychod niego świec błyskało w ciemnościach.

Moje starszedziecko, z roku na rok starsze i bardziej świadome, w tej jednejchwili ciągle jesczczema w oczach ten sam zachwyty i to samo światło.

Gdy paschał dotarł do ołtarza,nagle w całym kościele rozbłyły wszelkie możliwe świece i żarówki. Zrobiło sięjasno, radośnie.

- Światło Chrystusa - zaśpiewał po raztrzecicelebrans, uroczyście.

-Bogu niech będą dzięki!

- krzyknęła Miśka najgłośniej,jakumięła i klasnęła w dłonie.

Może to tylko granie na emocjach, może niema nic wspólnegoz dojrzałą religijnością, alecoś mnie nagle złapałoza gardło i pomyślałam, żewszyscy, absolutnie wszyscy, małe dziewczynki i duże,i nawet te pochylone pod ciężarem wieku i doświadczeń dziewczynki w pierwszych ławkach potrzebują takich właśnie magicznychchwil, nagłych wzruszeń, widocznego symbolu odradzającej się nadziei.

Słuchałyśmy w milczeniu pięknie zaśpiewanejprzez celebransa pieśni ku czci Chrystusa - światła, nazywanej przez moją najstarszą "pieśnią o pszczole", bo faktycznie jest tam mowa oświecy -woskowej kolumnie, którąna chwałęPana wykonała pracowitapszczoła.

Przez chwilę świat był dokładnie taki, jaki powinien być.

Potem zaczęły się czytania.

Od czterech lat Miśka zasypiała zawsze w tymsamym miejscuceremonii,tużpo psalmie, któryśpiewali Izraelici po przejściuprzez Morze Czerwone.

Tym razem wytrzymała odrobinę dłużej.

Również wysłuchała pierwszych trzech czytań bardzo uważniei oczywiście miała coś do powiedzenia.

Po czytaniu o przejściuprzez morze, ksiądz zapowiedział jejukochany psalm słowami:

"Stanął lud Izraela nad brzegiem morza, ujrzał wielkie dzieło, jakiego dokonał Pan, i zaśpiewał taki oto psalm na cześć Pana".

220

- Wschód słońca, plaża - wyszeptęła mi do uchaMiśka sennym głosem - wszędzie porozwalane te egipskierydwany, aoniwszyscy żyją.

wyobrażasz sobie, mamó,jaka musiała być po tym impreza?

Nigdy tak otym niemyślałam, ale.

cóż,wyobrażamsobie.

Zagrały bębny i popłynęła pieśń: "Śpiewajcie wszyscy, bo wielka Jegomoc i chwała.

".

Miśka słuchałaz błyszczącymi oczami.

Wyjątkowo przetrwała jesczczeczytanie z KsięgiIzajasza:"Nielekaj się, Jerozolimo (.

) W przystępie gniewu ukryłem przed tobęna krótko swe oblicze, ale wmiłości wieczystej nad tobę się ulitowałem, mówi Pan, twój Odkupiciel.

Dzieje się zeMną tak, jak zadni Noego, kiedy przysięgłem, że wodypotopu nie spadną już nigdy na ziemię; tak teraz przysięgam, że się nie rozjątrzę na ciebieani cię gromić nie będę.

".

Miśka zmarszczyła brwi.

- Mamó, a czy to nie było tak, że bardzo wielu Żydów zginęłowczasie wojny?

- zapytała nagle, półgłosem, aż kobieta, siedząca obok na małym rybackim stołeczku, obróciła się i popatrzyła na nas uważnie.

- I źli ludzie chcieli wymordować ich wszystkich, i prawie się udało?

- ciągnęła Miśka niezrażona, a ja milczałam, zbita z tropu.

- Dziadek mi opowiadał.

I to się nazywało pogromy właśnie.

Mamo, czy to oznacza, że Bóg kłamał?

Kobieta na stołeczku poruszyła się niespokojnie.

- "Myśli moje nie są myślami waszymi ani drogi wasze moimi drogami" - odpowiedziałam cytatem, bo to mi jedynie przyszło do głowy - Nie sądzę, kochanie, żeby Bóg kłamał, ale sens tego wszystkiego nie jest dla nas jasny w tym świecie.

Dowieśmy się wszystkiego w innym życiu.

- W innym życiu - powtórzyła Miśka bardzo sennie.

- To ja się zapytam.

I zasnęła, z głową opartą o moje kolana.

Obudziła się, tradycyjnie, na liturgię chrzcielną i z zapamiętaniem grzebała w świeczce, polewając woskiem cały świat.

Siedmiolatki to fascynujące stworzenia.

Czasem bardzo dziecinne, chcą się jeszcze bawić i przytulać, a czasem patrzą na świat zaskakująco dojrzałe i wygłaszają tezy, o których ciarki przechodzą po plecach.

221.

Dodatkową atrakcją było to, że po skończonej mszy spieszyliśmy się do samochodu i Dominika z dużym poświęceniem wzięła Miskę na barana.

Nazajutrz wszędzie miała drobiny wosku i obolałą szyję.

Ale poranek wstał piękny i promienny.

Śniadanie u teściów było radosne, pełne hałasu i bardzo obfite.

- Życzę ci, żebyś nareszcie skończyła te studia, a potem ewentualnie zajęła się pisaniem - powiedział z uśmiechem teść, wtykając mi do ust kolejne jajko, zapewne po to, żebym nie mogła od razu odpyskować.

Przełknęłam jajko.

- Wiesz, tato, moje studia są już wreszcie na takim etapie, że pierwszy raz w życiu te życzenia nie wkurzają mnie do białości - przyznałam bez troski.

Teść otworzył i zamknął usta jak ryba.

Parsknęłam śmiechem i objęłam go.

- Zdrówka życzę, bo naurodę już za późno - odcięłam się.

Poczochnęłam fryzurę.

- Wyrabiasz się - powiedział z uznaniem.

Odpowiedziałam śmiechem.

Kiedyś trzeba.

W niedzielę po południu, lekko znużeni tarzaniem się po łonie rodziny, zostawiliśmy potomstwo babciom i udaliśmy się na szybką kawę na Kazimierz.

Zabraliśmy ze sobą równie zmęczoną rodzinną atmosferą Dominikę.

Anka siedziała plackiem w szpitalu i pisała do mnie pełną niezgody na świat sms-y.

Zapewniliśmy ją, że wypijemy w jej intencji kawę cappuccino, jej ulubioną.

Nie powiem, co odpisała.

"Banaś" był zamknięty, bo Mietek zarządził malowanie podłogi, ale "Singer" i "Alchemia" działały normalnie, jak się okazało nie tylko na użytek turystów, ale i wszelakich podobnie znużonych.

Całkiem spory tłum.

- Popatrz, maszyny do szycia!

- wykrzykiwało jakieś dziewczę, ciągnąc energicznie towarzysza w stronę baru.

- Jak tu pięknie!

Jakie ściany!

Odrapane!

I czynne dzisiaj, a na barze jajka!

Malowane!

I taka muzyka!

Mąż przewrócił oczami.

- Popatrz, jakie serwetki!

I cukierniczki, i lustro!

Jakie stare!

- kontynuowało dziewczę.

- 1 dwa piwa proszę!

I kawę!

222

- 1 relanium!

Ineospasminę!

Ciekawe, skąd to się urwało!

- mruknął mąż.

- Nie z choinki, bo to nie te święta.

- Wyleciało zajaczkowispodogona - szepnęła Dominika.

Wracając z eskapady, słuchaliśmy jak zwykle Radia Jazz, które nadawało rozmaite nastrojowe

święteczne kawałki.

Niekoniecznie jazzowe.

Natrafilismy akurat na Cohena.

Najpierw poleciało "Hallelujah", w wersji ze "Shreka" zresztą, a później pan prowadzący usiłował zapowiedzieć następną piosenkę:

- A teraz piękne, nastrojowe "If it be your will, I will speak no more", czyli, w wolnym tłumaczeniu: "Jeśli taka jest Twoja wola, nigdy więcej nie będę już śpiewał" - powiedział pan i dodał jeszcze fragment tekstu, który dość sprawnie przetłumaczył: - A więc, zapraszam do wysłuchania: Leonard Cohen, "If it be your

billi".

Mój mąż zawył z radości, boprzejęzyczenie sprawiło, że tytuł brzmiał: "Jeśli to twój rachunek".

- To zapłać, panie, albo wyrzucę z lokalu - zarechotał mąż.

Święta, święta i poświęta.

Piękne były.

A ja dalej w ciąży.

Mietek mnie ciągnie do "Banasia" i namawia na stół, bo wie, że na barze to się nie odważy, zwłaszcza po wspólnym występie mojego męża, Andrzeja oraz Kazika zaraz po cywilnym Kazia i Magdy.

Panowie dali taki popis, że bar nie wytrzymał zwyczajnie pękł, przyczym Kazio, spadając, rąbnął siedzeniem kegi.

Magda przysięga, że jeszcze przez tydzień miał na pośladkach siniak w kształcie kółka.

Mój spadł do przodu, na jedno krzesło i w sposób klasyczny podbił sobie oko, Andrzej, który akurat użytkował świecznik jako rurę, ocalał.

Stał tylko, osłupiały, przez dłuższą chwilę jedną nogą w górze, i wybałuszał oczy.

Zsuwając się z uszkodzonego baru, wbił sobie w tylne rejony sporą drzazgę, żeby przynajmniej było sprawiedliwie.

Tak więc żadne takie.

Stół, ten najniższy, mogę jeszcze ewentualnie rozważyć.

Miecio nalega, bo chce opowiadać, że w tym lokalu są takie imprezy, że nawet ciężarne już po terminie na stołach wywijają.

Poza tym nigdy nie widział baby w dziesiątym miesiącu.

Lilka z Anką mają przyjechać i odholować mnie w obie strony, jako eskorta.

223.

Z pamiętnika Dominik!

N. Pierwszy

Znów chodzę jak we śnie, ale tamten sen sprzed kilku miesięcy obejmował Pawła, a ten wręcz przeciwnie.

Widzę, jak próbujesz przebić przez szklaną kulę, którą się otoczyłam.

I nie tylko on.

Jeszcze pół roku temu denerwowało mnie, że moja mama przy wspólnym śniadaniu rwie się do karmienia młodego, do pojenia goz kubeczka, do przytulania i wycierania mu nosa.

Teraz odczuwam już tylko ulgę, że samanie muszę tego robić, ponieważ ja.

po prostu nie zauważam.

Nie widzę, że dziecko ma zatkany nos, płamę nabluzeczce, że pojękuje, stojąc przed lodówką - co znaczy, że chce mu się pić.

Wiem, bo mama mi powiedziała.

W życiu bym się nie domyśliła.

Zęby zrozumieć czyjeś zachowanie, trzeba najpierw spojrzeć w jego stronę.

Najchętniej usiadłabym gdzieś w kącie i zacisnęłabym powieki tak mocno, żeby nie doleciał do mnie najmniejszy promień światła.

Gdyby to było możliwe, zamknęłabym również uszy, jak foka.

Dostęp do mnie ma tylko Mietek i troszeczkę Marta, ale ona przygotowuje się powoli do porodu.

Za dziesięć dni mija termin, ten kalendarzowy.

Kurs masażu tybetańskiego jest głupi.

Na jogę nie mam czasu.

Chyba pójdę tradycyjnie na rekolekcje wielkopostne.

Możedo spowiedzi?

Coś muszę ze sobą zrobić, inaczej skurczę się do punktu w przestrzeni i zniknę na wieki.

Czwarty

Powoli wychodzę z otępienia.

Ileż w końcu można obracać w pamięci tych samych osiem godzin, zwłaszcza jeżeli nie pamięta się ich zbyt dokładnie?

Wszystko zlało się w jedno wielkie olśnienie, nie mogę sobie przypomnieć poszczególnych gestów.

Zresztą niegesty były tu istotne.

Wiem, czego mi brakuje.

224

Morza.

Kryzys sprzed roku przetrwałam w dużej mierze dzięki temu, że kiedy było już bardzo źle, mogłam zabrać dziecko na plecy i godzinami wędrować po pustej plaży, a wokół szumiały fale, zderzały się kry - morze właśnie rozmarzało, a jego huk otulał mnie bezpiecznie, oczyszczał serce i umysł.

Później wróciłam do Krakowa, zaraz potem wyjechałam do Anglii i tyle się działo, że nie miałam czasu na zapadanie się siebie.

To dziwne, ale teraz mam czas.

Nic z tego, nie będę się rozklejać.

Swoją drogą, coś mi się ta Anglia przewija w życiorysie.

Może to jednak oznacza, że Brian.

Nie. Niei nie!

Nie będę rozmyślać na ten temat ani przez pół sekundy.

Morze jest szerokie i głębokie, a ja muszę się nad nim znaleźć i to już wkrótce.

Inaczej zwariuję.

Piąty

Wzięłam sprawy w swoje ręce, korzystając z przypływu energii i nadziei, jakie dał mi mój

chytry plan samw sobie.

Zadzwoiłam doKaśki, załatwiłam kwatere, powiadomiłam Mietka, że na najbliższyweekend zostają z Tymonem sami, i dopiero wtedy poinformowałamPawełka, że jedziemy do Gdańska.

We trójkę: ja, on i Marcelek.

Wciągnął powietrzez swistem tylko troszkę, do pępka nie dotarło.

Zgodziłam się bez namysłu, zresztą nie brałam pod uwagę innejmożliwości.

Mojej mamiepowiedziałam ogłędnie, żejadę odwiedzić Kasię.

Obserwowała w milczeniu, jak pakuję do walizki moją szalową kieckę i parę innych drobiazgów, oczka jej znowu podejrzenie błyszcząły, ale nie powiedziała nic.

Upewniła siętylko, że wrócena święta.

Nie poznaję rodzonej matki.

Zaczynam podejrzewać, że uznałamnie już za podstarzałą pannę, której jaknajszybciej należy znaleźćmęża, i cieszą ją wszelkie przejawy kokieterii z mojej strony Zaskoczyłomnie to.

Spodziewałam się tysiącapytań, w stylu:a po co właściwie jedziesz, agdzie będziesz spała, czy ktoś jestz tobą i ktototaki.

Tak było dawniej, odkąd pamiętam.

A tu cisza.

Itylko tenj chytry uśmieszek na twarzy, kiedy przyłapałamnie na poprawianiufrizuryprzed wyjściem.

225.

Uświadomiłam sobie, że już od paru miesięcy moja mama o nic nie wypytuje, moje późne powroty do domu przestały jej przeszkadzać, właściwie mogę wyprawiać, co mi się żywnie podoba.

Więc to tak?

Do dwudziestki piątki pilnujemy jedynaczki jak skarbów Sezamu, a potem niech szlag trafi wszelką przyzwoitość, byle dziewczyna w końcu przyprowadziła do domku kawalek marynarki?

No, no.

Kto by pomyślał.

Za karę dalej nie powiem im nic o Pawełku.

Zresztą, sama nie wiem, jak jest między nami.

Może ten wyjazd coś zmieni na lepsze - we mnie, bo w nim chyba nie potrzebuje nic zmieniać.

Paweł cały czas stoi blisko mnie.

I trwa.

Postanowił przeczekać moje fanaberie, takie mam wrazenie.

Nieproszony, nie komentuje moich stanów.

Służy radą, pomocą i różnymi częściami ciała, jeśli mam ochotę.

Czasem obserwuje mnie spod grzywki, kiedy wydaje mu się, że nie patrzę, i uśmiecha się.

Jest w tym podobny do mojej mamy. Być może przypadlibyś o biedo gustu, gdybym im dała taką możliwość.

Sęk w tym, że coś głęboko we mnie mówi: "poczekaj".

Jedenasty

Wróciłam.

Głowę mam jak balon, a w okolicach serca ciężki kamień.

Choć tak naprawdę było fantastycznie.

Ku mojemu zaskoczeniu, Paweł zgodził się spędzić w Gdańsku może trzy godziny, że bym zdążyła się nagadać z Kaśką (zabrał Marcel kana spacer wzdłuż Długiego Targu i nad martwą Wisłę, karmili razem mewy.

Dziecko wróciło zachwycone, roześmiane, lepkie odwaty cukrowej i nie chciało odstąpić od Pawła na krok), następnie grzecznie podziękował za gościnę i oświadczył stanowczo, że nie po to przejechał całą niemal Polskę, żeby z jednego pięknego miasta, pełnego zabytków i dzikiego tłumu zamieszkać w drugim.

Chce wynająć pokój w jednej z małych nadmorskich miejscowości, w normalnym pensjonacie, nawet nie musi być tuż przy plaży, nóżki ma i lubi spacerować.

Kaśka wzruszyła ramionami i zadzwoniła do Ostrowa, do swojej przyjaciółki.

226

Ostrowo to w zasadzie wiocha, taka niewielka miejscowość pomiędzy Karwią a Jastrzębią Górą.

Nie istnieje na zwykłych mapach.

Poza sezonem składa się z trzech uliczek, czterech knajp, dwóch sklepów, kiosku i apteki.

W sezonie dochodzą jeszcze prowizoryczne budki z zabawkami, rozmaite knajpki na świeżym powietrzu, park rozrywki składający się głównie z rzeczy nadmuchiwanych i pewna liczba obozów harcerskich wokolicy.

W kwietniu było tam pusto, pięknie i zielono.

Ogromna plaża, fale, wiatr.

Spacerowaliśmy niespiesznie brzegiem morza, Paweł nosił młodego na barana albo puszczał przodem, a Marcel przebierał krótkimi nóżkami i starał się dogonić rozwrzeszczane mewy.

Wieczorami mimo zakazu paliliśmy ogniska na plaży.

W promieniu kilku kilometrów i tak nie było nikogo, nieliczni tubylcy wyprowadzali na spacer psy, a później znikali w gęstniejącym mroku.

Moje żarłoczne dziecko ze szczęściem w oczach pochłaniało kielbasę, następnie usypiało w rozłożonym wózku, przykryte polarem, a my gadaliśmy o wszystkim i o niczym.

W trakcie jednej z takich leniwych rozmów Paweł powiedział micoś, od czego krew ścięłam się w żyłach, choć wieczór był, jak nakwiecień, wyjątkowo ciepły.

Zaczął się niewinnie, odzartobliwej pogawędki na temat trybużycia klasycznego barmana. Sama się niechcący, podłożyłam.

- Przyznaj się, Paweł.

- Szturchnęłamgo w ramię, klimat i druga flaszka hiszpańskiego wina zrobiły swoje.

- Wystarczy ci palców u rąk i u nóg, żeby policzyć wszystkie dziewczyny, z którymi spałeś?

Spojrzał namnie z ukosa spod tej swojej kudłatej grzywki.

- Pewnie się zdziwisz - powiedział cicho, odgarniając z czoła kosmyk włosów.

- Jesteś moją czwartą kobietą, odkiedy przestałem być tak zwanym prawiczkim.

Nie liczę, rzecz jasna, różnych przytulank, pomacania w tańcu czy pocałunków przy księżycu.

Mówię o seksie.

To prawda, zdziwiłam się.

Czterech facetów tomiałam i ja, a me uważam się za szczególnie rozwiązłą.

Przepraszam, od tygodnia z hakiem mogę mówić o pięciu.

- Serio?

- spytałam, a Paweł roześmiał się z podejrzliwości, która zabrzmiała w moim głosie.

Znowu.

- Różne rzeczy o tobie mówili.

227.

- Mówili - przytaknął spokojnie.

- Mówią i mówić będą.

Ale ci, którzy mają najwięcej do powiedzenia, mają też zazwyczaj najmniej informacji.

Gówno wiedzą, mówiąc krótko, moja miła.

- Nie ściemniasz?

- spytałam.

Wgłowie mi się nie mieściła

rozbieżność pomiędzy plotkami a tym, co właśnie powiedział Pawełek.

- Gdzieżbym śmiała!

- zapewnił gorąco i spoważniał.

Wziął moją dłoń, przez chwilę bawił się pierścionkiem, który dostałam odojca na osiemnaste urodziny, i którego nigdy nie zdejmuję, a później przyłożył ją sobie do policzka i siedział tak dłuższy czas w milczeniu.

Po chwili odezwał się cicho, zupełnie innym tonem:

- Widzisz, Domiś, nie wiem jak ty, ale ja traktuję seks bardzo poważnie.

Wolę zresztą mówić o "kochaniu się" niż "uprawianiu seksu", chociaż nie zawsze mam odwagę.

Obie moje ręce znalazły się w jego ciepłych dłoniach.

Spojrzałam w oczy przeciągle, uważnie.

- Mogę tańczyć z wieloma kobietami.

Mogę się z nimi nawet całować albo, za przeproszeniem, pomacać po cyckach, zwłaszcza jeśli nadają się do macania.

Ale miłość fizyczna to inna sprawa, bo.

bo jest po prostu miłością, i tyle.

Chodzę do łóżka wyłącznie z tymi, które kocham.

W takim czy innym sensie, krócej albo dłużej, ale uczucie musi być.

Nie wyobrażam sobie, że bym mogło być inaczej.

Milczałam, ponieważ dech mi zaparło, oczy zwilgotniały i zrobiło mi się zwyczajnie, tak po prostu wstyd.

Nie traktowałam Pawła poważnie.

Przez długi czas, chociaż akurat w omawianej sferze dobrze nam było ze sobą.

Ale.

Myślałam, że jestem dla niego jedną z wielu, miłym przerywnikiem po godzinach pracy, może nawet przyjaciółką, z którą od czasu do

czasu można się zabawić na wszelkie możliwe sposoby, i że nie ma w tym związku większych zobowiązań.

Sama, wobec takiego postawienia sprawy, nie czułam się tą relacją przesadnie związana.

Myliłam się.

To Paweł wiedział, jak postępować.

Był wobec mnie i wobec samego siebie krystalicznie uczciwy, bez zarzutu.

Ponieważ właśnie powiedział to, co powiedział.

228

Dobił mnie zresztą po dziesięciu minutach.

Znowu sama zaczęłam.

- To opowiedz trochę o tych kobietach - powiedziałam lekko.

- Tak po cztery zdania.

- Pierwsza była Olga.

Czekaj, ty chyba nawet ją poznałeś, jakleżałem z nogą?

- Ruda z zębami?

- Dokładnie.

Licealna miłość.

Byliśmy ze sobą prawie cztery lata, do dziś się przyjaźnimy.

- Wyglądałaś taką, która chciałaby czegoś więcej niż przyjaźni - podzieliłam się wrażeniem, jakie zostało we mnie po tym spotkaniu.

Paweł wzruszył ramionami.

- Teraz już chyba nie, ale długo tak było.

Nic z tego, to ona mnie zdradziła.

A ja nie potrafię wybaczyć zdrady.

Zamarłam.

- Uważam, że każdy temat można w związku przepracować, a tego jednego nie - kontynuował Paweł, nieświadomy tego, że w mojej głowie właśnie wybuchł granat.

- Dlaczego?

- spytałam szeptem.

- Bo nie i już.

Ponieważ, jak ci już przed chwilą mówiłem, dla mnie ten rodzaj kontaktów między dwójgim ludzi jest rzeczą świętą.

Nie pozwalam sobie myśleć o tym inaczej.

Sama widzisz, Domiśku, co się dzieje dookoła.

Ludzie żonacii nieżonaci, młodzi i całkiem dorośli robią to, z kim chcą, kiedy tylko im się zachce i nic z tego nie mają.

Zupełnie nic.

Wszystko chwilowe i bez znaczenia, zawieszony w próżni.

Nie chcę tak.

Oparł głowę o moje kolana i obrócił się tak, żeby widzieć moją twarz.

Zamknęłam oczy i siedziałam sztywno jak słupek, przerażona.

- Dla mnie zdrada to rodzaj gwałtu.

Wpuszczenie obcego w strefę prywatności.

Koniec miłości, bo co to za miłość, kiedy robimy sobie nawzajem takie rzeczy?

Nie odważyłam się otworzyć oczu, pokiwałam tylko głową naznak, że rozumiem.

Modliłam się w duchu o cud i nastąpił, udało mi się ostatnim wysiłkiem woli opanować łzy.

- Mówisz piękne rzeczy - odezwał się schrypniętym głosem.

W końcu znalazłam sposób, aby ukryć twarz: przyciągnęłam go do siebie i przytuliłam się mocno.

- Dziękuję.

229.

Długo nie mogłam zasnąć i myślałam, że szlag mnie trafi.

Bałam się wypićchoćby łyżeczek więcej.

Moje opanowanie wisiało nawłosku, odrobina alkoholu mogła sprawić, że powiem o pięć słówza dużo.

Ja już cię zdradziłam, Pawełku.

Nie traktowałam tego jak zdrady.

Jeśli przemknęło mi przez myśl co nieco, to tak przelotnie, że niemalniezauważalnie.

Czy można nazwać zdradą przymierzenie kilku kolorowych sukienek w butik, zanim człowiek zdecyduje się na jedną?

Zawstydziłam się tej myśli tak, że schowałam głowę głęboko pod kołdrę i w końcu zasnęłam.

Osiemnasty

Dobrze, że w święta nie musiałam pracować.

Chodziłam grzeczni do kościółka, poczynając od Wielkiego Czwartku, w Wielką Sobotę byłam z Martą święcić jajka, w niedzielę znalazł się czas nawet na kawę w "Singerze".

Jak dobrze czasem usiąść z drugiej strony baru!

Ogarnął mnie spokój.

W poniedziałek wzięłam Marcelka na Emaus.

Kupiłam mu balonik.

We wtorek po świętach wróciłam do pracy i cały mój spokój w jednej sekundzie trafił jasnyszlag.

Zyję jak na bombie.

Paweł jest dla mnie taki miły.

A mnie jakby się oczy otworzyły na niego.

Już nie mam wątpliwości, snyo Brianie uleciały z wiatrem, patrzę na Pawła iściska mnie w gardle, dotyka mojej ręki, a przeze mnie przelatują wszystkie dreszcze świata.

Kocham go.

I był taki dobry dla Marcela.

Dziecko też go pokochało od pierwszego wjrzenia, spędził trzy dni przyklejone do jego lewej nogi, a Paweł ze śmiechem targał mu czuprynę i bawił się świetnie.

Co jest przyczyną tego nagłego olśnienia?

Czy tamto nocne wyznanie miłości - bo przecież to było wyznanie?

Czy fakt, że zrobiłam, na wpół świadomie, coś strasznego i nadnaszym świeżo rozkwitłym związkim zawisło widmo zagłady?

Co będzie, jak Paweł się dowie o Brianie?

230

Marta

MAM NOWEGO FACETA

Całkiem nowego, powiedziałabym wręcz - nowego fabrycznie.

Narazie nie jest zbyt piękny, bo mordę ma wróżne czerwone kropki.

Ale wypięknieje.

Zadatki na przystojniacę już widać: pięknie wysklepione czoło, kształtna czaszka, co prawda wciąż jeszcze ozdobiona niewielkim przedgłowiem, przezco, w połączeniu z kropkami żywo przypomina wielkanocne jajo, całkiem na czasie.

I niewiadomo skąd - bardzo ciemne oczy.

Granatowe.

Do piersi dobiera się fachowo, w każdym razie, i nawet się umie podrapać po jajkach.

Udostępniam mu swój biust, choć nie wiem jeszcze, jak ma naimię.

Czasem się to zdarza.

Koledze mojego męża taka jedna udostępniła swój biust, całkiem sporych rozmiarów, na dwie noce z rzędu (niezła była impreza), po czym, opuszczając hotelowy pokój, zostawiła karteczkę treści: "Zadzwoń do mnie, już tęsknię.

" I numer telefonu.

Piersi tej pani koledze przypadły do gustu, więc postanowił wpisać w swoją służbową komórkę ówczesny numer, i w połowie wpisywania zorientował się, że nie ma bladego pojęcia, jak tej paninaimię, nie mówiąc o nazwisku.

Ich znajomość bowiem wkroczył w dość zażyłą fazę w momencie, gdy poziom alkoholu wylałachobojga był taki, że uniemożliwiał zapamiętywanie jakichkolwiek informacji, jak również racjonalne myślenie.

Kolega zastanowił się przez chwilę, po czym wpisał nową znajomą jako "Pani E.

", gdyż na tyle dokładnie ocenił rozmiar jej biustu.

Zapewne zgodnie z prawdą, gdyż kolega wprawę i doświadczenie posiada ogromne.

Tak więc mam faceta, chwilowo N.

N.

Jest wielki, we wszystkich tego słowa znaczeniach.

Z siatek centylowych i z głowy pani położonej wystaje górą, sama słyszałam, jak wyszeptwała, zdejmując go z wagi: "W głowie się nie mieści.

".

Bo i też nie w głowie miało się zmieścić, proszę pani.

Wręcz przeciwnie.

I zmieścił się z trudem.

Jeszcze nie ochłonęłam z wrażenia, jakoby, z przeproszeniem, wybuchł mi w tyłku granat.

Dzisiejsze śniadanie zjadłam na stojąco, gdyż nawet bokiem nie mogę usiąść,

231.

szwy mnie gryzą.

Teżbym kogoś chętnie pogryzła, ale nie ma chętnych.

Są za to chętni do gryzienia mnie i tow dodatku po cyckach.

Odwiedziłam męża i powiedział, namoje nieszczęście, następującą historię: Wczoraj, prosto z porodówki, pognął niemal nasygnale na Bardzo Ważną Imprezę Firmową.

Zęby było śmieszniej, musiał dojechać do Dobczyc, gdyż tam właśnie odbywała się owa impreza, w bardzo sympatycznym zajeździe, w którym ich własna Firma intensywnie zacieśniała stosunki przyjacielskie z Inną Firmą.

W planach mieli bowiem nawiązanie długotrwałej współpracy.

Wspomniany powyżej kolega, ten od komórki i problemów z pamięcią, w ramach zacieśniania stosunków przysiadł się do dwóch kobiet z Innej Firmy, które roboczo można określić jako Pani A.

oraz Pani B.

, też nie bez związku z ich rozmiarami.

Do gustu przypadła mu Pani B.

, ale emablował je obie tak jakoś nieszczęśliwie, że namiętnością kuniemu zapalała głównie Pani A., a koleżanka, nie chcąc tej drugiej utrudniać zadania, zmyła się dyplomatycznie, kurozpaczy kolegi, po pewnym starannie wyliczonym czasie.

Koledze zdecydowanie nie o to chodziło i postanowił zawiadomić mojego męża na ratunek.

Wysłałmu sms-a o treści: "Weź TO odemnie, błagam!

". Mąż, nieco dezorientowany, przybył, jednym rzutem oka ocenił sytuację i stan kolegi, po czym zabrałmu piwo sprzed nosa.

Kolegę zatkało.

Po pięciu minutach przyszedł następny sms: "Nie piwo, idioto, tylko tę babę weź sobie, zrób z nią co chcesz, zabij, przeleć, wystaw za okno, ale odklej ją jakoś odemnie!

". Kolega miał bowiem miękkie serce oraz zwyczajnie palenia za sobą mostów w żadnej sytuacji i sam nie był w stanie odstawić damy na bezpieczną odległość.

Mąż westchnął ciężko, rąbnął sobie baniędła kurażu i przybył na ratunek, robić własne show i ogólną boreę.

Powyróbowanie różnych technik przestawił się na standardowe podrywanie, machał rękami i prawił lasce komplementy, ku wielkiej radości tamtego kolegi.

W końcu dość bezceremonialnie wywłókł babę na parkiet i zaczął nią tańczyć.

Dezorientowana laska przez dłuższą chwilę pozwalała się adorować, po czym wyszeptała mu do uszka:

- Wiesz, ja tak jakoś nie mogę.

Wiem, że masz żonę.

Dziecko ci się właśnie urodziło.

Nie chcę ci rozbijać rodziny.

Mój kolega tyle nie paplać na samym początku.

232

Mąż ubawił się setnie, wyjaśnił pani, że kilka sympatycznych tańców z rozbijaniem rodziny niema wiele wspólnego.

Pani jednak tym bardziej uznała, że niewarto i przełączyła się z powrotem na kolegę.

Jakoś tak się impreza potoczyła, że kolega z ową panią równocześnie opuścili lokal i zniknęli w czeluściach zajazdu, udając się zapewne do pokoju owej pani.

Mój frywolny mąż nie wytrzymał po półgodzinie i wysłał do kolegi sms-a o treści: "No i jak tam bzykanko?

".

Jak wiadomo, komórki firmowe są kupowane w ilościach hurtowych i bywają identyczne, a trzy lata temu jedna z firm oferowała na wyjątkowo atrakcyjnych warunkach bardzo porządny model telefonu, który do dnia dzisiejszego nosi pół Krakowa.

Takie właśnie komórki mają mój mąż, jego kolega oraz, między innymi, owa pani.
Niewiele myśląc, odebrałaś - a, myśląc że tego niej.

No i kolega miał niezły bal.

Pani określiła jego i mojego męża mianem popapranych i w ogóle zmieszała z błotem, a że kolega jest bardzo wrażliwy na wszelkie posądzenia o niedoskonałość, zrobił zatem co mógł, aby pani zmieniła onim zdanie.

Cał noc ciężko harował, na zmianę tłumacząc i wykonując nieco inne czynności.

W rezultacie owych starań umówił się z panią na niedzielny obiad i w perspektywie, na dalsze spotkania.

Teraz rwie włosy z głowy.

Na szczęście ma co wrywać.

Mój mąż to sadysta.

Opowiedział mi całe zajście w taki sposób, że musiałam się trzymać łóżka, usilnie starając się śmiać wyłącznie górną częścią ciała.

- A żeby cię pokreśliło - wyjęczałam.

- Usiądź kiedyś na jeżu, a wtedy też ci coś śmiesznego opowiem.

Mąż przyniósł dla młodego zestaw spiozów, z których największe kończyły mu się gdzieś w okolicach kolan.

Najmniejszemu w okolicach pępka.

Kazałam mu wrócić do domu i przegrzebać piwnicę w poszukiwaniu większego rozmiaru, chociaż w duchu, bo biorąc pod uwagę stan piwnicy, posłałam go tym samym naciężkiem roboty fizyczne o charakterze wykopalisk.

Spłodził monstrum, niech ma.

Monstrum, z natury ogromne, dodatkowo żre jak maszyna, a nie bardzo ma jeszcze co.

Z narażeniem życia oraz kręgosłupa karmię go w zwisie, bo obojczykmu strzelił.

Ta sytuacja to po

233.

części moja wina i oprócz szwów tu i ówdzie i łupania w krzyżach odczuwam jeszcze ciężkie wyrzuty sumienia.

Oraz nie mogę się zdecydować, czy popaść w depresję poporodową, czy jedynie dostać kompletnego fioła na punkcie swojego nowego dziecka.

I tak zdecyduję hormony.

Na razie jestem potwornie niewyspana, bopan N.

N. niemal od początku naszej znajomości bez przerwy domaga się dopuszczenia do piersi.

Podobno małe dzieci śpią kilkanaście godzin na dobę, ciekawe jak małe?

On się do małych niezalicza.

Może w tym problem?

Ale cudowny jest ten mój nowy koleś.

Czoło ma pomarszczone i takie poważne spojrzenie.

Uparłam się urodzić go dołem, chociaż za pomocą badania

USG doktor wywróżył mi masę urodzeniową wokolicach pięciu kilogramów.

Zadzwoiłam do pięciu znanych mi lekarzy, wszyscy zalecali cesarkę.

Usiadłam na Internecie, pogrzebałam w podręcznikach i dowiedziałam się, że u wieloródki spokojnie można puścić dołem dziecko o pół kilograma cięższe od poprzedniego, bo wszelkie otwory są odpowiednio rozepchane.

To, że podręcznik był z lat osiemdziesiątych, kiedy średnia waga urodzeniowa w polskiej populacji nie przekraczała trzech kilogramów, nie przyszło mi do głowy.

Płynąc na fali zalewających mnie hormonów, krzyczałam na kogo się dało, oświadczyłam, że zamierzam skompletować drużynę piłkarską własnym sumptem, nikomu nie mówię do tego i w ogóle ręce precz od macicy, jak mawia docent K.

Bez wyraźnego powodu pociąć się nie pozwolę, bo macica wielokrotnego użytku potrzebna mi i tyle.

Poza wszystkim, panicznie boję się usypiania, intubowałam chorego na ćwiczeniach wystarczająco dużo razy, żeby nie chciało narzązać się choćby na minimalne ryzyko podobnego zabiegu.

Zwłaszcza w klinice, gdzie istniało ryzyko dopuszczenia do mojego osobistego gardła jakiegoś studenta.

Nie dam!

Tłumaczyli mi, że cesarki obecnie robi się w znieczuleniu miejscowym, ale wzruszałam ramionami.

Wiedziałam to z podręcznika.

I co z tego?

I tak część cesarek kończy się znieczuleniem ogólnym, to też wyczytałam.

Nikt mnie bez pozwolenia zwiotczał nie będzie i koniec.

234

- Sam się zwiotczaj i obcy tak zostało!

- Nawrzeszczałam na zaprzyjaźnionego ginekologa bez sensu, na co okropnie wytrzeszczył oczy.

Efekt końcowy był taki, że tak zwany poród siłami natury trwał prawie dwie doby (dłużej niż pierwszy, anomalia przyrodnicza), pod koniec wspomagany siłami całego personelu.

Ci, którzy aktualnie nie siedzieli mi na brzuchu, pokątnie odmawiali różaniec, jak mi doniesiono już po całej hecy.

Dwóch doktorów czekało ze skalpelem w dłoni, sala operacyjna była przygotowana, ale jak się baba uprze.

Znieczulili mnie i tak, i to ogólnie, bo popękałam w różnych miejscach i utraciłam więcej krwi, niż stacja wojewódzka miała nastanie.

Po czym się okazało, że jeżaw gardle po tym całym aparacie do znieczulenia mam, ale wcale nie większe niż po wypaleniu całej paczki na raz, na imprezie.

Studentów nie było, bo mimo że do porodu przyjechałam zgodnie z planem, wczwartek,

urodziłam, jak już wspomniałam, dopiero w sobotę.
W sobotę anokujony drzemią wózkach, aleserzypod barem.

A co tam.

I tak będę urzędzała potomkom wspólne urodziny.

Dało się wytrzymać.

Za to teraz młody ma strzelony obojczyk, a ja.

no, nie obojczyk w każdym razie, tylko.

otworek.

Też na "O".

MajMarta

KRÓTKI KURS FOTOSYNTETY

Oraz obywatnia się bez snu.

Przeżywam takie coś od dwóch tygodni.

Moje baby to anioły były, jak jeden mąż.

Mój mąż też anioł.

I też były.

Młodego mężczyzny, przyssanego do mnie nastale, nie mogę, niestety określić tym mianem.

Choć niektóre cechy posiada.

Naprzykład czuwa i w dzień, i w nocy, mam wrażenie, że nieustannie.

Mąż nadmuchał sobi materac i wyprowadził się do komputera

235.

(wiedziałam, że kiedyś to nastąpi, w końcu na razie nie jestem w stanie ugotować mu ulubionej zupy serowej ani nie nadaję się do spełniania innych obowiązków małżeńskich, w związku z czym komputer zyskał nade mną przewagę totalną), co mu się nie zdarzyło ani przy Miśce, ani przy Malwinie.

Młody zwyczajnie wygryzł go z łóżka.

Mąż, jak się trochę wyśpi, czyli po jakichś trzech-czterech godzinach, przychodzi i próbuje mnie zmienić na posterunku.

Z miernym skutkiem, bo poddaje się, gdy młody próbuje dobrać się do jego osobistych sutków.

Mąż uważa, że to już przesada.

Znajomi zaczęły nam składać wizyty.

W charakterze pierwszego gościa przybył Dudaś, jak zwykle rozpoczął jakąś barwną opowieść i w połowie tej opowieści nastąpił cud.

Młody zasnął głęboko i spał nieprzerwanie przez dobre dwie godziny.

- Nie idź!

- ryknęłam, widząc że Dudaś spogląda na zegarek.

- Siedź na tyłku i gadaj byle co!

- Ja nie gadam byle czego - obraził się - ja poruszam kwestie istotne i to w interesujący sposób.

Napewno nie usnął z powodu mojej przemowy.

- Usnął, usnął i chwala ci za to.

- Poklepałam Dudka po ramieniu.

- Dzięki.

- Mój syn od pierwszego dnia życia słuchał mnie z uwagą - powiedział zaczepnie.

- Należyta.

Wasz młody to kaczan.

- To imię mi się nie podoba - oświadczyłam, z ulgą wyciągając się na kanapie, bez dodatkowego towarzystwa, na jakieś trzy sekundy.

Natychmiast materializowali się przy mnie Malwinka i kot.

- Poza tym musi być na "M", do kompletu.

Ponieważ nadal nie wiemy, jak młodemu na imię, nie został jeszcze wciągnięty w stosowne rejestry.

Czas nagli, za chwilę przychodzi się przyczepi.

- Melchior?

Maurycy?

- podsunął Dudaś z uciechą.

- Malachiasz?

Miłosz?

- dołączył natychmiast mój mąż, który pokpiwa nieco z mojego przywiązania do jednej literki w alfabecie.

- Maurycy to był taki struśna kiju, zabawka dzieciństwa.

Nie będę dzieckanazywała po strusiui to w dodatku na kiju.

A Miłosz

raźną mi zeszyt do ruskiego, w piątej klasie, i dostałam minus.

Niei nie.

- Mateusz?

- spytał Dudaś.

Żywiołowo zamachałam rękami.

236

- Na to imię mam odruch wymiotny Jeden Mateusz zjadał własne kozy.

- Gdzie?

- zdziwił się Dudaś.

- W przedszkolu.

Chodziłam z nim do starszaków -wyjaśniłam.

Duduś przytrzymał oburącz własną głowę.

- Może Marek?

- zaproponował.

Mój mąż wyraził zainteresowanie.

- Kolegajca.

Strasznie owłosiony - skrzywiłam się.

- No i co z tego?

- spytał mąż.

- Myślisz, że imię wpływa na porost włosów?

- A jeśli wpływa?

Nie znoszę włochatych.

Poza tym on miał brodę.

Bałam się go we wczesnej młodości.

- Michał?

- Michała zużyła mi Kinga, żona Mięcia, dopiero co.

Chciałam Michała.

- I sądzisz, że zasób Michałów uległ wyczerpaniu?

- drażył

Duduś.

- Nie - warknęłam.

- Tylko nie lubię popełniać plagiatów.

Michał nie - dodałam ze smutkiem.

- Maks?

- rzucił Duduś od niechcenia.

- Pies mojej ciotki - odrzekłam krótko.

- Miron?

- Jeden znajomy Magdy.

Ogólnie w porządku, ale nie pije.

Nic, w ogóle.

Albo niezmiernie rzadko.

- W ogóle nic?

- zdumiał się Duduś.

- Wielbłąd?

- Skąd, zwykły facet.

Alkoholu nie pije.

- To źle?

- Mój mąż zamrugał oczami.

- Nie tyle źle, ile dziwnie.

W naszym wieku?

Ja chcę, żeby mój syn był normalny.

- Miron jest normalny - zaprotestował mój mąż.

Bardzo lubi Mirona.

- Ale ja chcę, żeby młody był bardziej normalny - powiedziałam stanowczo.

- Mariusz?

- Duduś niestrudzenie próbował dalej grzebiąc w Internecie na moim laptopie.

- Jeden mnie śmiertelnie wystraszył, wyskakując z szafy na lekcji biologii, a drugito mąż

Marzenki, alkoholik - podsumowałam.

- Obu nie lubię.

Nicz tego.

237.

- Przed chwilą nie podobał ci się abstynent, teraz znów alkoholik.
- Duduś się skrzywił.
-Zdecyduj się.
- Co tu jest do decydowania, chcę, żeby mój syn umiał korzystać z życia radośnie i z umiarem.
Żadnych ekstremów, bo szkodzą charakter.
A on ma być perfekcyjny - dodałam, ziewając.
-Podkażdymwzględem.
- Współczuję ci, młody.
- Duduś wzniosłaost kawą w kierunku kołyski, w której zdeponowałam śpiącego młodego.
Bodajże poraz pierwszy mi się to udało.
- Stara ma fisia.
Ito na twoim punkcie,przerąbane.
Dlaczego babsię tak nie czepiasz?
Malwinka od dłuższejchwili siedziała obok mnieprzytulona,korzystającz okazji.
Ponieważ Duduś podniósł na nią wzrok, natychmiast się ożywiła.
- Kuciki mam - pochwaliła się, dotykając ręką włosków,któreopiekunka zebrała jej za uszami w dwie zabawne kitki i młoda była z nich nadzwyczaj dumna.
- Jak dziewczinka.
Lubiśdziewcinki?
-spytała Dudusia.
- Lubię.
- Duduś uśmiechnął się obleśnie.
-Oj, lubię.
Ale trochę starsze.
- Bab się nie czepiam, bo baby podobają mi się takie, jakie są -wyjaśniłam mu jednocześnie.
- Poza tym, nie czepiam się, bo onemają być swoje własne, takie, jak chcą.
- A młody ci się nie podoba?
Nie możebyć, jaki zechce?
- Szalenie mi się podoba - przyznałam.
- I właśnie dlategochcę, żeby pozostał idealny.
Taki, jaki jest, i nawet jeszcze lepszy.
Bo on jest mój.
- Ciekawe.
- Duduś pokiwał głową.
-Naprawdę ciekawe.
Też tak myślę.
Jakiś rodzaj pazerności nagle się we mnie uruchomił, samato widzę.
Nie wiem, czy dlatego, że to facet, czy dlatego, że raczej nie planuję już więcej dzieci i chcę nacieszyć się tymostatnim maleństwem, wychowywać je w miarę możliwości własnymi siłami, mieć na niego wpływ, być najważniejsza na świecie,kształtować jego charakter i poglądy.
Może po prostu się starzeję?
A może młody kosztował mnie już tylenerwów, niewyspania.
Cośw tym jest, że najbardziej kochamy właśnie to, co kosztuje nas najwięcej wysiłku, uznajemy za własne to, nad czym napracowaliśmy się najbardziej.
Dotyczy to wszystkiego jak leci, dziecka, faceta,pracy, nawetdomu.

Pamiętam, jak wprowadziliśmy się do nowego domu, i przezpierwszych kilka miesięcy czułam się w nimtak dziwnie, tak obcoi tymczasowo, jakbym nagle zamieszkałw cudzym mieszkaniu i wiodła zupełnie nie swoje życie.
Ale później spędziłam wiele, wielegodzin, malując ściany, zeskrobując resztki fugi

położonejniezbytuważnie przezpanów robotników, szlifując kredensy z przeceny i pokrywając je lakierobejca.

I któregoś dnia obudziłam się wewłasnym domu szczęśliwa.

Pamiętam, jak nawłasnym chłopaku, aktualnie mężu, zaczęłomi tak naprawdę zależeć nie wtedy, gdy on wyłaził ze skóry, żebymniej poderwać, ale gdy sama narobiłam głupot i musiałamnaprawdę staraćsię o przebaczenie, takie prawdziwe.

Pamiętam,jak mąż mi zapadł na szajbę ogrodniczą isamodzielnie zakładał ogródek, a japatrzyłam na to okiem życzliwym,leczdość obojętnym do momentu, wktórym musiałam chwycić za łopate, aby pomóc mu przesadzać drzewka, i od tej pory ogródek stałsię również moją własnością.

Coś w tym jest, że z kolejnejnieprzespanej nocynagle wyrastataki rodzaj więzi, którego nie czułam żżadną z moich córek,w każdym razie nieaż tak.

Co nie znaczy, absolutnie, że baby poszły w odstawkęjuż ichniekocham.

Kocham, tylkoinaczej.

Więcej przyjaźni w tym niżbiologii.

Może miprzedzie z czasem, bo zaczynam się obawiać, że Dudek ma rację.

Młody może miećprzegwizdane.

Z pamiętnika Dominiki N.

Dziewiąty

Jak długo można przesiadywać w towarzystwie sympatycznych, oddawna zaprzyjaźnionych ludzi,i własnego faceta, cały czas na wdechu i z łopatkami ściągniętymi tak, żena pewnoporobiły mi się jużmarszczki na kręgosłupie?

Cały czaspotwornie się boję,żektoś napomknie o Brianie.

Cokolwiek.

A wtedy Mietek sobie przypomni i wygada resztę.

Wiem, żemi obiecał nie puścić pary z gęby.

Wiem również, że wileniechcia239.

ných spostrzeżeń potrafi wypluć z niego odpowiednio mocny trunek.
Uwielbiam mojego szefa, ale to chyba największa z jego wad.

Pracuję z duszą na ramieniu.

Oddychamna chwilę, kiedy w pobliżu nie ma Pawła albo odwrotnie - jak jesteśmy sami.
Złapałam się na rozmyślanie, gdzie i kiedyby tu jeszcze wyjechać na chwilę, nie tylko po to, żeby
zwyczajnie odpocząć, ale przede wszystkim zabrać ukochanego z zasięgu rozplotkowanych gąb.

To chyba już jakaś obsesja.

Trzynasty

Długi majowy weekend był bardzo udany pod względem finansowym i Miecie, kochany,
szarpnął się na premie.

Dostałam czterystówkę!

Trzy odłożyłam na czarną godzinę, bądź wręcz przeciwnie, złocistą.

Zależy, co się trafi.

Jedną postanowiłam przehulać.

Poszliśmy z Marcelkiem do parku wodnego.

Mało mu oczka nie wyszły na wierzch, kiedy zobaczył te wszystkie sikające dinozaury, zjeżdżalnie
i inne atrakcje.

Paweł wziął go na kolana i zjechali razem z dużego krokodyla.

Piskna całe miasto.

Zachwytu, rzecz jasna.

Ganiali się w brodziku naczworakach i ujeżdżali różne sprzęty pływające.

A wyrodna matka obserwowała ich spodpuszczonych rzęs, grzejąc dupsko w jacuzzi.

To lubię.

Pełny relaks trwał może jakieś dziesięć minut, po czym woda w jacuzzi podniosła się i
przełała przez waty.

Dołączyła do mnie blondynka w wieku przedemerytalnym, niewiele mniejsza w obwodzie niż samo
jacuzzi.

Ale nie to było najgorsze.

- Dominika?

- pisnęła po chwili.

- To naprawdę?

Ciotula, czyli moja chrzestna matka.

Niech nas niebiosamają swą opieką!

- Ciotcia?

- wysiliłam się na błyskotliwe powitanie.

Niestety, niezdałam w porę oderwać wzroku od moich facetów, wręcz przeciwnie, oczy mi
nerwowo poleciały w ich stronę.

Ciotula to hiena.

Naprawdę ma na imię Urszula, ale we wczesnym dzieciństwie popełniłam wyżej wymienione
słowo twórstwo, nazywając ciotkę Ule Ciotula, co zostało skwapliwie przechwycone przez resztę
rodziny.

Nikt już nie nazywał jej inaczej.

240

Od razu wywęszyła sensację i podążyła za moim spojrzeniem.

Marcelek, bydlę prądkowane, akurat zaczął wrywać się w moim kierunku, wyciągając ręce i
wrzeszcząc "Mama!

Oć! Mama!

Oć!".

Paweł, zaśmiewając się, trzymał go za kąpielówki.

Gumka rozciągała się nieskończoność i wyglądało na to, że młody spokojnie dobrnie do mnie,
podczas gdy Paweł będzie stał w basenie, trzymając go za zagacie.

- Patrz, Dominika, w te majtki można wsadzić pół przedszkola!

- wrzasnął radośnie.

- A jednak nie spadają.

Ciekawe, z czego one są!

Nie mogłam nijak pokazać mu na migi, żeby stulił ryja i udawał, że się nie znamy, ponieważ Ciotula sobietylko znanym sposobem nie spuszczała świdrujących oczek i ze mnie, i z niego.

- Czy ja, twoja chrzestna, o czymś nie wiem?

- zapytała w końcu, dość cierpko.

- Ależ skąd- mruknęłam pod nosem, wzruszając jednocześnie ramionami.

Ciotula z reguły wiedziała o wszystkim, nawet o tym, co w ogóle się nie wydarzyło.

Uważała to za swój obowiązek.

Tylko dlatego, że od jakichś trzech, może czterech lat moja matka zaczęła mieć kochanej siostrzyczki po dziurki w nosie i ochłodziła wzajemne stosunki (narażając się na obmowę i nieprzychylnego spojrzenia czterech innych ciotek), chrzestna mamusia nie miała mojego życiorysu zaksięgowanego dzień po dniu.

Możliwe, uświadomiłam sobie nagle, że stało się to wtedy, gdy podjęłam decyzję o zamieszkaniu w Gdańsku, z Krystianem.

Matka nie zdziwiła awiny pytań, na które w ogóle nie знаła odpowiedzi, oraz lepkiego, podszytego uciechą współczucia, emanującego zapewne z Ciotuli w tamtych dniach.

- Wyszłaś za męża?

- zapytała Ciotula, z wrodzoną dyskrecją; wpijając wzrok w moje palce.

Nie dostrzegła na nich nic ciekawego, ale w końcu byliśmy na basenie.

Mogłam zdjąć.

- Bo że masz synka, to wiadomo dawna.

Czy to jest ojciec?

- Nie - odpowiedziałam, nagle rozbawiona.

- Ojciec siedzi w domu i trzepie dywany.

Nie jest to również matka.

Głupie pytanie, głupia odpowiedź.

Zaraz Ciotula wstanie i obłoży mnie anatemą.

- Pytam o ojca dziecka - nadęła się lekko.

- Też nie - odpowiedziałam spokojnie.

- Kolega.

Pawełek tymczasem chyba zgłupiał doszczętnie i puścił gumkę.

Plasnęło.

Młody zawył i poleciał do przodu, trzymając się za tyłek.

241.

- Zwariowałeś?
- Jednym susem wyskoczyłam z ciepłych bąbelków - Nie strzelaj moim dzieckiem z majtek, to nie proca!
Przecieżto go boli!
- Ciekawy byłem, gdzie doleci- przyznał Pawełek, chichocząc.
Wziął młodego naręce.
- Nie przesadzaj, nicmu nie będzie.
Niewiele myśląc, chwyciłam go za kąpielówki i wystrzeliłam.
Zasięg też miałyniezły.
- Auuu!
- zapiszczał Paweł.
-Zgłupiałaś?
Pół basenu zobaczyłomój kosmatytyłek!
Tu są dzieci!
I strzelił mi z biustonosza.
Z przodu.
- Prymitywna forma zalotów - odezwała się chłodno cioteczka, wynurzając się z wody jak wieloryb.
Brakowało tylko fontanny naczubku.
- Kim panjest właściwie?
- Pełnoetatowym barmanem, niedoszłym inżynierem, instruktorem tańca towarzyskiegoi mężczyzną życia tej oto Dominiki -odpowiedział swobodnie Pawełek, zanim zdążyłam zamknąć mujapę.
Czymkolwiek.
Zapewne myślał, że to jakaś anonimowababka.
Zmierzył ją teraz uważnymspojrzeniem, ale za późno.
- A pani?
- Nie stracił fasonu pod ukłuciem szpilkowatych źrenic.
- Jestem matkąchrzestną Dominiki inajstarszą siostrą jej matki - wyjaśniła godnie Ciotula, siadając z pluskiem.
- Interesujemnie los rodziny.
Siadaj, chłopcze.
- Wskazała mu miejsce oboksiebie, gestem godnym królowej.
- O - zdziwił się Pawełek.
- Coza spotkanie.
Bardzomi miło.
Usiedliśmy na wprost Ciotuli, wzięłam młodego nakolana i za-;
padła cisza.
Nie trwała długo, l
- Dlaczego ja pananie znam?
- zadała jedno ze swych arcymą-, 'drych pytań, t
- Nie mampojęcia -przyznał błyskotliwiePawełek.
- Pewniej;
dlatego, że nigdy jeszcze się nie spotkaliśmy ii
- Właśnie chcę się dowiedzieć, dlaczego?
- Ciotula przeniosła ciężkie spojrzenie na moją skromnąosobę.
-Dlaczego, Dominiko, kryjeszsię ze swoimmężczyzną - to ostatnie wypowiedziała tonem ociekającym ironią- gdzieś po kątach, zamiastprzedstawić go rodzinie?
Doprawdy nie wiem, co mogłabym odpowiedzieć na takie pytanie.
- Zapewne dlatego - odezwał się Paweł, wciąż rozbawiony - żejestem nim od niedawna i zwyczajnienie zdążyliśmy mnie.

hmm..

zaprezentować szerszemu gronu.

Poza tym, wcale się pokątach nie kryjemy - oświadczył z godnością.

- Tomiejsce trudnotak określić.

- A jak długo się znacie?

- chciała natychmiast wiedzieć Ciotula.

- I czy topoważne?

Jejminaświadczyła o tym, że śmie powątpiewać.

Strzelaniez majteknie utwierdziło jej w przekonaniu, że można w tym towarzystwie mówić o powadze.

Zresztą samanie znam odpowiedzi nato pytanie.

Cholera.

Żebyśmy musieli takie sprawy rozstrzygać przy Ciotuli?

- W jakim sensie?

- Paweł postanowił nie dać się wielorybom.

- W sensie sakramentu, rzecz jasna - powiedziała Ciotula.

- Ciocia od razu z grubej rury- odezwałam się w końcu.

Staralam się zachować lekki ton.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o konkretach.

- Jak to?

Przed chwilą ten młodzieniec powiedział, że jest mężczyzną twojegożycia.

Chcesz z nimżyć bez ślubu, ty, z takiego domu?

- obruszyła się Ciotula, cospowodowało wyciek następnejporcji wody górą.

Niewiele byjej zostało, szczęście, że cały czas napływała nowa.

- To znaczy z jakiego?

- zainteresował się Paweł.

Chciałam gokopnąć wkostkę, ale chyba kopnęłam ciocię, bo spojrzała na mnie z oburzeniem.

Przez techolerne bąbelki nic nie widać.

- Z dobrego, młody człowieku, z dobrego.

Z tradycjami - warknęła i ku mojemu szczęściu wzrok jejpadł na zegar.

- Zapraszam was na herbatę, w piątek po południu, życzę sobie poznać cię bliżej- powiedziała do Pawła i hałaśliwie pocałowała Marcelka w mokryłepkę, aż się skrzywił.

- A teraz muszę już wychodzić, bo mi tecwaniaczki doliczą następnągodzinę.

Nawet minuty człowiekowi nie darują, wyzyskiwacze.

- Dziękuję za zaproszenie, ale w piątek pracuję - powiedział Paweł, wstając.

Podał cioci rękę, o którą się wdzięcznie oparła, wychodząc z jacuzzi.

Pawełek ugiął się lekko.

- A Dominika ma zajęcia.

- To w sobotę.

- Ciotula nie ustąpiła.

- W sobotę też mam zajęcia - powiedziałam szybko.

- Jestem na zaocznych.

- To ustalcie ze sobą termin i zadzwoń do mnie, proszę.

- Ciotula nigdy się nie poddawała.

- Tylko nie w przyszłym roku.

Do tygodnia.

Czekam.

Odwróciła się i odeszła, potrząsając monstrualnym zadem, obleczonym w kostium w kolorze turkusowym.

W gwiazdeczki.

- O, Boże!

- Pawełek otarł z czołakropelki wody.

-Co to było?

To naprawdę twoja matka chrzestna?

Zachichotałam.

- Niezła jest, prawda?

Obawiam się, że na tę herbatkę wykopienas choćby spod ziemi, więc musimy iść.

Dobrze sobie zniaradzisz, swoją drogą.

- Dlatego, że ona mi w gruncie rzeczy zwisa - uświadomił mnie Paweł.

- Chyba, że niepowinna?

- Sama nie wiem.

- Wzruszyłam ramionami.

-To rodzinnymegafon, najstarsza z rodzeństwa.

Ładny klops.

Jednoci powiem -roześmiałam sięnagle.

- Jest taka głupia teoria, według której psychicznie jesteśmy podobni do rodziców chrzestnych.

Otóż przysięgam ciuroczyście, że ja nie jestem.

W żadnym calu.

- Nie mamco do tego żadnych wątpliwości - oświadczył Pawełek ipocałował mnie w same usta.

- Tyjesteśpo prostu perfekcyjna.

Aco do cioteczki, to trzeba wymyślić jakąś śmiesznastrategię -rzucił lekko.

- Możebyć niezły ubaw.

Niech mówi, co chce, ja jestem przerażona.

Zapewne Ciotuli niezdażą wyschnąć włosy, jak już obdzwoni z sensacjącałą rodzinę.

Z moją matką na czele.

Niech to szlag.

Skąd to babsko się wzięłosamo w parku wodnym,tak swojądrogą?

Czternasty

Moja matka i tak wytrzymała prawie całą dobę.

Jakna nią, to chyba rekord.

- A ten kolega, z którym byłaś na basenie, to kto?

- spytaław końcu, kiedyzgodnie kroiliśmy warzywa na niedzielną sałatkę.

Westchnęłamsobie po cichutku, tylko troszkę.

- Ciotula dzwoniła?

- zapytałam zupełnie niepotrzebnie, tylko po to, żeby odwlec nieuniknione.

Mama krótkokiwnęła głową.

-Dziś samego rana.

Opowiadała same ciekawe rzeczy.

-Odłożyła nóż ispojrziała na mnie z namysłem.

W jej wzroku nie było wyrzutu ani przygany.

244

- Kolega z pracy - wyjaśniłam ostrożnie.

- I.

przyjaźnimy sięodpewnego czasu.

Może nawet coś więcej.

Nie gniewaj się, mam - powiedziałam nagle i równieżodłożyłam mordercze narzędzia.

Oparłam sięo stół i wyrecytowałam szybko wmarzewki: -Jest bardzo miły,możliwe, że nawet

zakochany.

Ale.

Nic niemówiłam, bo nie było o czym.

Sama jeszcze nie wiem, jak to z nami jest.

- Nie mam pretensji - powiedziała mama z leciutkim zdziwieniem.

- Nie musisz się tłumaczyć.

- Tylko co?

- Nic.

Po prostu się zdziwiłam.

- Mama podeszła do mnie i potarła nosem o moje ramię.

- Hej.

Denerwujesz się, prawda?

Co powiem ja, co powiedzą wszyscy.

rozumiem.

A ty zrozum, że ja.

cóż, byłoby bardzo miło, gdybyś miała domnie tyle zaufania, żeby czasem coś opowiedzieć o swoich problemach czy też sympatiach, ale widzę, że z jakiegoś powodu ci trudno.

Sama dociekać ani wypytywać nie będę.

Jesteś dorosła i ufam, że wiesz, co robisz.

Obserwuję tylko z daleka, jak przyjaciel.

Ostatnio mam oczy w mokrym miejscu.

Rozpłakałam się.

Mama zdziwiła się jeszcze bardziej.

- Hej, a co to ma być?

Przez dłuższą chwilę pociągałam nosem, próbując dyskretnie obetrzeć go w rękaw, aż mama zlitowała się i podała mi papierowy ręcznik kuchenny.

- Dzięki, mam - wybąkałam.

- To jest.

Nie tylko za ręcznik.

Myślałam.

Wiesz.

Już raz zawałam, o mało nie spieprzyłam sobie życia, musieliście mnie zbierać - rozgadałam się nagle.

- Myślałam, że.

- Że z tego powodu dopótej starości będziemy baczenie obserwować i ingerować w każdy twój ruch?

- domyśliła się mama.

- Wiem, że zawałam.

Uciekałam z domu, nie pytając nikogo o zgodę, związałam się z tym.

Krystianem, którego nigdy nie poznałam.

- Zamyśliła się.

- Nie żałuj - odrzekłam krótko.

- To szmata, nie człowiek.

- Niemów tak - ofuknęła mnie.

- Człowiek zawsze zostaje człowiekiem.

Kiedyś go kochałam.

Szanuj samą siebie.

- Myślałam, że jest zupełnie inny - odparłam obronnie.

A on tylko udawał.

Kręcił.

I kradł.

245.

- Wiem - odparła mama.
- Chociaż możliwe, że oceniasz go zbyt surowo.
Ale nie o tym chciałam mówić.
Wiesz, po tym, jak nagle odeszłaś, dużo bezsennych nocy spędziłam, zastanawiając się, dlaczego tak się stało.
To nie jest zarzut!
- dodała, patrząc na moją nieszczęśliwą minę.
- Tylko stwierdzenie faktu.
Myślałam o tym, co zrobiłam nie tak, że moje jedyne dziecko wyprowadziło się z domu w taki sposób.
- Ale ja chciałam inaczej, nie pamiętasz?
- powiedziałam cicho.
- Zadzwoń do was.
Mówiłam, że zostaję na pewien czas, że chciałabym wziąć urlop dziekański i zobaczyć, w jaki sposób wszystko się ułoży, tak zwyczajnie.
I usłyszałam: "Moje dziecko powinno przede wszystkim skończyć studia, a nie robić, jak uważasz."
Obrażonym tonem.
Zrozumiałam, że z wami nie ma dyskusji.
Albo spędzę życie w tym domu, obserwowana bez przerwy, podporządkowana całkowicie, albo odcinacie się zupełnie.
I nie mam doczego wracać.
Skoro "twoje dziecko powinno skończyć studia", a ja mogę robić, co chcę, to nie jestem już twoim dzieckiem.
W życiu nie myślałam, że kiedyś jej to opowiem.
- Przecież wróciłaś - zauważyła trzeźwo mama.
- I niksię odciebie nie odcinał.
Zresztą, co tu kryć, nie podobała mi się ta twoja decyzja.
Ale naprawdę.
miałam na myśli tylko to, co powiedziałam.
Uważałam, i dalej uważam, że skończenie studiów było najważniejsze.
Dzięki nim możesz być prawdziwie niezależna - i od nas, i od kogokolwiek.
To ty się obraziłaś.
I nie odzywałaś się do nas przez rok.
- Nie obraziłam się, mamo.
Poczułam się odrzucona.
Naprawdę chciałam zrobić sobie tylko rok przerwy, a potem zobaczyć.
Może przenieslibyśmy się z Krystianem tutaj, a może ja przeniosłabym papiery na uniwersytet w Gdańsku, cokolwiek.
Myślałam, że uda mi się was przekonać, ale nie miałam szans.
- Miałaś - powiedziała mama i westchnęła.
- Zawsze miałaś.
Przez dłuższą chwilę stałyśmy obok siebie bez ruchu.
W końcu to mama podeszła do mnie pierwsza.
- Ale się porobiło - wymruczałam, wtulona w jej ramię - Wtedy
- Długo myślałam nad tym, gdzie popełniłam błąd - powtórzyła mama.
- Dlaczego nie masz do nas ani trochę zaufania.
246
- Mam - stwierdziłam, na poły ze zdumieniem.
- Teraz mam.
- A wtedy?
- Nigdy ze mną nie rozmawiałaś - wypomniałam jej bez złości.

- Tylko wypowiadałaś dyrektywy.

Bałam się ciebie, wiesz?

Może niepotrzebnie.

Mam wrażenie, że gadamy z sobą po raz pierwszy w życiu.

- Może.

- Mama odsunęła się i potarła ręką czoło, jakby budziła się ze snu.

- Zobaczymy, jak sobie poradzisz, gdy Marceli dorośnie.

Tyle rzeczy trzeba przekazać młodemu człowiekowi.

Niewiem, jak to zrobić, nie będąc ani trochę apodyktyczna - roześmiała się nagle, ale jej oczy pozostały smutne i zmęczone.

- A ty zawsze byłaś rogata.

Pierwsze twoje słowo brzmiało "nie".

- Będziemy z sobą rozmawiać, mamo?

- Będziemy rozmawiać - powtórzyła mama, jak echo.

Zabrzmiało to trochę jak pytanie, a trochę jak obietnica.

W kuchni mojej matki nastąpił taki historyczny moment, w którym majonez wysechł góra, bo nikt go nie zakręcił, marchewki kapciały, a ogórki podeszły wodą i nikt, ale to nikt nie zwrócił na to należytej uwagi.

W totalnym rozgardiaszu nalaliśmy sobie po lampce wina i usiadaliśmy obok siebie, na szeroki kuchenny parapet, ponieważ stół był zastawiony fragmentami niedoszelej kolacji.

Pogodzinie wszedł ojciec, zobaczył nas dwie i bałagan, uśmiechnął się ciepło i wygrzebał sobie z lodówki wczorajszego kotleta.

Nucąc coś pod nosem, udał się do swojego pokoju na górze.

Zreferowałam mamie minione pół roku w wersji nie dla dzieci.

Bez przemilczeń.

Opowiadając, poczułam się chyba po raz pierwszy zupełnie u siebie i wolna.

Do drugiej lampki wina zeżaraliśmy niemal wszystkie pokrojone warzywa oraz żółty ser, tylko majonez powędrował do kosza na śmieci.

I nikt po nim nie płakał.

Ojcu zaniosiłam na górę drugiego kotleta i resztę ogórków.

Zostałam u niego mojego małego synka, nawet nie usłyszałam, kiedy się obudził.

Oglądałam razem z nim przed czterdziestu latami i świetnie się przy tym bawili.

Zasypiając w swoim odwiecznym pokoju, po raz pierwszy poczułam, że jestem naprawdę u siebie.

247.

Szesnasty

Cały czas myślę o tym, co powiedziała mi moja mama przedwczoraj.

Gdy wspomniano przygodzie z Brianem (tak, naprawdę odważyłam się to zrobić) i o podejściu Pawła do zdrady, i jeszcze ców związku z tym czuję, moja mama długo milczała, a w końcu odpowiedziała tak: "Pewien mądry ksiądz powiedział mi bardzo dawno temu, że kwestia zdrady jest sprawą między tobą, Bogiem a twoim spowiednikiem.

I nie dotyczy twojego partnera.

Oczywiście jeśli chodzi o sprawę dokonaną, jednorazową i dawnominioną.

Wyznawanie takich rzeczy partnerowi uważał za próbę przerzucenia odpowiedzialności na drugą osobę, zupełnie niepotrzebnie.

Zawaliłaś?

Miej odwagę uporać się z tym sama.

- Pomilczała jeszcze chwilę.

- Nie zgadzałam się z nim w tamtych czasach, ale.

czas pokazał, że chyba miał rację.

Weź to pod uwagę".

Pierwszy raz moja mama powiedziała mi coś tak osobistego, w dodatku świadczącego o tym, że w przeszłości nie była brylantem bez skazy.

Chyba nikt nie jest bez skazy.

Chociaż moi rodzice natakich starali się zawsze wyglądać.

Posłucham mamy.

Troszkę.

To znaczy pójdę do spowiedzi i zobaczymy, co to da.

Jej spowiednik nie uwzględnił tylko jednej rzeczy: że nie tylko osoba, która dopuściła się zdrady, może się wygadać.

W moim wypadku może to zrobić co najmniej jeszcze jeden człowiek, i to z gatunku tych bardzo gadatliwych.

Nie jestem pewna, czy jakkolwiek spowiedź pomoże na ten przykry fakt.

Marta

ZBRODNIA I MEDYCYNA CD.

Ponieważ postanowiłam jednak nie dać się hormonowi dać młodemu trochę luzu - i mnie przy okazji też - przypomniałam sobie studia, które od trzech tygodni z hakiem leżą kwiczą. Akurat blok zajęciowy mam taki, że mogłam sobie pozwolić na taryfę ulgową 248

wą, bez angażowania w to armii dziekanów.

Medycyna rodzinna do odrobienia popołudniami, połowę sądownictwa robiłam przed porodem, połowę nieobecności pozwolono mi zaliczyć ustnie, a medycynę pracy mają w zadku nawet prowadzący i pies z kulawą nogą niesprawdzał obecności.

Ostatni pani puściła tylko karteczkę z poleceniem wpisania nazwisk studentów obecnych.

Szczegół, że jakiś idiota ją ponumerował.

Wyposażyłam własne nazwiskow numer pierwszy, inni się machinalnie dostosowali i pani czarno nabiła otrzymała listę, na której widniało jakbyk, że wpisanych zostało czterdzieściosob, podczas gdy na sali było może osiemnaście.

Na szczęście poprzestała na pełnym rozbawieniu uniesieniu brwi.

Rozparcelowałam potomstwo po świecie - Miśka do zerówki, Malwina z opiekunką, a młodego wręczyłam teściowej, wciąż bezimienia, za to paczką pampersów, bo wciąż maw brzuszku pojemnik na jedną jedyną porcję pożywienia i podanie następnej powoduje natychmiastowe wypchnięcie poprzedniej.

Zostawiłam im jeszcze herbatkę, jako że przecież cycków im nie zostawię.

Choćbardzobym chciała.

Na butelkę się nie zgadzam.

Nie będziemigłupiasoja dzieckakarmiła.

Wciąż waży dziewięćdziesiąt dwa kilogramy.

Na młodego wołały roboczo Mopsik, bo jest tak tłusty, że policzki mu w dół zwisają z kwadratowej buźki.

Mopsik jest na "M".

Wzięłam taryfę - dalej przysiadam dystyngowanie tylko na jednym pośladku, nie będę odstawiła komedii w tramwaju, poza tym tramwaj trzęsie - i pojechałam na sądówkę, odrobić drugie półbloku.

I tu objawiła się zasadzka - odsiedziałam grzecznie dwa semina, bo zaczęły się już zajęcia dla kolejnej grupy, i to właśnie takie, jak mi było trzeba, i poszłam do jednego z asystentów umówić się na dalsze odrabianie.

- A, co ja będę kobietą w takim stanie dręczył i odpytywał.

- Asystent machnął ręką.

- Naucz się pani przecież, honorowo, prawda?

- Jasne, że się nauczę - przyświadczyłam żywiołowo, patrząc jak pan hojną ręką wstawia mi wszystkie brakujące plusiki.

- Jeszcze jak!

Egzamin i tak pewnie będę zdawać z następnym blokiem.

- A to dlaczego?

- zdziwił się asystent.

- Przecież jest pani dopuszczona, a wasza grupa pisze test.

No, właśnie.

Dzisiaj.

Za dwie godziny.

Kiedy pani ma termin?

- zapytał, oglądając mnie z góry nadół.

249.

- Termin czego?
- nie zrozumiałam w pierwszej chwili.
 - No, porodu - powiedział asystent.
 - Dwudziestego dziewiątego kwietnia - przyznałam, chichocząc w duchu.
 - To już było- zdziwił się asystent.
- Tak długo pani nosi?
 - Skąd, właśnie wtedy urodziłam.

Terminz kalendarza miałam osiemnastego - wyjaśniłam radośnie.

- To czemu pani.
- zaczął i urwał, skrobiąc się po głowie.
- Czemu dalej jestem w ciąży?
- zaśmiałam się całkiem jawnie.
- Otóż, nie jestem.

Mam tylko taki brzuch, bo jestem gruba oraz boto moje trzecie dziecko.

No nie.

Żeby lekarzowi musiała tłumaczyć?

- Yyy - zadumał się pan doktor - eee.

tym bardziej, niech pani sobie zrobi szybko powtórkę i podchodzi do egzaminu, potem będzie pani miała jeszcze dużo innych rzeczy, a dziś jest okazja.

- Pogonił mnie precz, zrzęcznie zmieniając temat.

Zadzwoiłam do teściowej zapytać, co myśli o pozostaniu z młodymi jeszcze przez trzy godziny.

Teściowa oświadczyła mi radośnie, że młody głównie śpi i kłopotu żadnego nie sprawia, a jak będzie bardzo ryczał, zatkaj go herbatką, trochę ponosi i ogólnie dasz mu radę.

Mam zdawać, jeśli jest okazja.

Ciekawe, czym zatkam własne cycki.

Mam nadzieję, że nie wybuchną w połowie egzaminu, s;

Ponieważ nie miałam przy sobie zbyt wielu notatek, za to przyzwyczajenia zabrałam laptop, zamówiłam taryfę i pojechałam na sygnał dokąd najwyposażonej w Internet.

W sieci, o dziwo, znalazłam bardzo porządne strony na temat interesującej mnie dziedziny wiedzy i tak się zajęłam jej zgłębianiem, że w końcu na egzamin spóźniłam się dziesięć minut.

Zasiadłam w pierwszej ławce, fatalnie, bo musiałam bazować wyłącznie na własnej pamięci świeżej.

Dostałam test do rozwiązania.

Trzeba przyznać, że niektóre pytania dostarczyły mi rozrywki.

Pytanie trzynaste:

W Polsce dozwolone jest: a) posiadanie narkotyków, b) zażywanie narkotyków, c) sprzedawanie narkotyków.

Co za idiotyzm, pomyślałam na wstępie, nic z tego nie jest dozwolone, a jednak trzeba wybrać jakąś odpowiedź.

Zawołałam nawet pilnującego nas asystenta, aby się upewnić, czy w pytaniu nie

250

ma błędów w druku.

Asystent zachwycił się i odszedł, co sprawiło że zaczęłam myśleć odrobinę intensywniej.

W końcu wymyśliłam!

Posiadanie i sprzedawanie jest zabronione na mocy kodeksu karnego, natomiast te brane z powietrza narkotyki można zażywać dowolnie!

Tego kodeksu zabrania, jeżeli tylko ktoś umie zażywać, zarazem nie posiadając.

Wniosek?

Zawsze należy zażywać cudze.

Pytanie dwudzieste siódme: jakie ciało obce znalezione w głębinach NIE nasuwa podejrzenia

rany postrzałowej: a) kawałek miedzi, b) odłamek kostny, c) drobiny utwardzonego plastiku, d) fragment metalowej łopaty

Najpierw czysto platonicznie rozczuliła mnie ta łopata, bo skąd niby patolog ma wiedzieć, czy znaleziony w ranie kawałek jest z łopaty, grabi czy korony królewskiej, potem długo i intensywnie szukałam prawidłowej odpowiedzi, co nie było łatwe, bo z tego, co pamiętałam, i miedź, i plastik, i metal jako taki mogą pochodzić różnego rodzaju naboju, kości też nikt nie może zabronić złamać się wskutek postrzału, rwałam włosy z głowy, po czym nareszcie skojarzyłam, że ludzie, nawet w największym amoku, nadzwyczajnie strzelają do siebie z łopaty.

Inne pytania były bardziej standardowe, co gorsza niektóre wymagały wiedzy trochę szerszej niż nabyta przeze mnie przed godziną.

I tak wyszłam najgorzej.

Zasłużyłam na trójkę z plusem, a wynalazca Internetu na Nagrodę Nobla.

Za równy miesiąc testz pediatrii, a ja znam tylko te jednostki chorobowe, na które zapadały moje osobiste dzieci, i dodatkowo kalendarz szczepień.

Do siódmego roku życia włącznie.

IDZIEMY NA SPACEREK

Tuż przed wyjazdem do Bostonu Gośka ofiarowała mi wózek typu tramwaj, czyli spacerówkę przeznaczoną dla bliźniaków.

Błogosławieństwo.

Zdażyłam go przechwycić w ostatniej chwili, bo już ją

' zaczął nagabywać Micio.

Być może Micio w bardziej się należał - wszak urodziły mu się bliźniaki, ale w końcu kto zna Gośkę? Żej, j a czy jakiś barman?

I zachowałam się po świńsku i gwizdnęłam mu sprzęt sprzedano, niemal dosłownie.

r

; 251.

No i mam.

Po wsadzeniu do wózka czegoś w rodzaju nosidłaotrzymujemy jedno miejsce leżące, dla Mopsika, a drugie siedzące, dla Malwinki.

Minus jest taki, że miejsce nanosidk) jest tyłkow drugim przedziale, w związku z tym cięższedziecko siedziz przodu, co urąga prawom fizyki i utrudnia prowadzenie pojazdu.

Nie miałam pojęcia, że w tymcholernym mieście jesttak okropnie dużo krawężników.

W ramach pierwszegodłuższego wyjścia zdecydowałam siępojechać w kierunku Kazimierza, gdzie są szalenie atrakcyjne spacerowetereny nad Wisłą, no i "Smutny Banaś". Przybyłam do niego równoz Dudusiem, który jechał z Nowej Huty, gdzie zamawiał meblościankę tak się tym zmęczył, że postanowił nieco zboczyć trasy.

- Witamy, witamy.

- Kurtuazyjnie otworzył mi drzwi.

- Młodypierwszyraz w lokalu?

- Ano - przytaknęłam, sapiąc, bo oczywiście prógzadziłał jakcztery krawężniki razem wzięte.

- Najwyższy czas, jutro kończymiesiąc.

- Po co się tu pchasz z tym pojazdem, co?

- przywitał mnieMiecioszalenie uprzejmie.

- Zaparkuj na ogródku, kelnerkapodejdzie.

- Macie kelnerki?

- zdziwiłam się.

- Przecież zawsze mamy w sezonie ogródkowym - zdziwił siękolei Miecio.

- Lato tuż-tuż.

- Fakt - przyznałam, szarpiąc się z wózkiem, bo już zdążyłamwepchnąć przez prógprzednie kółka i musiałamwyciągnąć je z powrotem.

- Ja się zawiesiłamgdzieś w połowie wiosny i nie zauważam upływu czasu, jedynie dziecko robi mi się coraz grubsze, a moja fryzura coraz bardziej szalona.

Dudek, siadźmy, proszę, naogródku.

Duduś przewróciłoczami.

Od kiedy jeden z sąsiadów "Banasia" o czwartej w nocy obrzucił goziemniakami puree, przerywającpieśnpatriotyczną, którą Duduś pełną piersią prezentował światu, ma uraz do ogródków.

- No, chodź, nie będę przecież siedziała tu sama- pogoniłamgo.

Też nie lubię ogródków.

Ja mam z kolei uraz po tym, jak nakryłamnie na paleniu papierosów moja własna ciotka.

Siedziałam sobie spokojnie na Rynku, w babskimgronie, a ta mnie przyuwałyłai doniosła rodzinie.

Od tej pory wolęchować sięw głębi lokalu.

252

- Zarazdo was przyjdę, tyłkoskończę liczyć - obiecał Mietek.

On nie manic do ogródków, za to zdecydowaniemęczy goliczenie.

- Jak tam Melchizedek?

- zapytał Duduś, zaglądnącdo wózka.

- Ja cię, ale tłusty.

-No - powiedziałałam z dumą.

- Siedem osiemset, na samym cycu.

- A na reszcie ciała?

- zachichotałDuduś.

- Głupi jesteś - powiedziałałam mu.

- Jak tam książka?

-zapytałam w odwecie.

Duduś zbliżał się do ukończenia kolejnego arcydzieła polskiej literatury i narzekał, że wena mu siadła.

Duduś musi mieć sto procent weny, żeby w ogóle zasiać do pisania.

W tej samej sekundzie coś mnie z impetem klepało po głowie.

-Dominika!

- ucieszyłam się.

-Ty tutaj?

Myślałam, że jeszcze smażyysz tłuszcze w słonecznej Hiszpanii?

Dominika doprowadziła do stanu używalności firmę, nakładła Mietkowi do głowy to i owo, czyli w dwutygodnie dokonała tego, co Magdzie nie udawało się przez wiele miesięcy, chociaż to Magda była szefem Mięcia, a tu jest odwrotnie.

Może wolno myśliciel Miecio przyjmuje dyrektywy tylko od podwładnych?

Zmęczyła się tym szalenie i zażądała urlopu, i to podwójnego, dla siebie i dla Pawełka.

Akurat nawinęła się Paulinka, która wciągnęła jeszcze do stałej pracy.

Siedzi w domu i wychowuje dziecko na absolutnego despotę, ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich zainteresowanych.

Ale po starej znajomości zgodziła się wskoczyć za bar nadwutygodnie.

Jasiek pisze doktorat, może gorównie dobrze pisać w domu, popychając nogą kołyskę.

Zastrzyk finansów im się przyda.

Miecio, acz niechętnie, wyraził zgodę i pojechali we trójkę do Izzy, do Madrytu: Domiśka, Paweł i mały Marcelek.

- Wróciłam wczoraj - powiedziała Dominika.

- Załapałam się na rekord meteorologiczny, takiej deszczowej pogody nie mieli odczterdziestu lat.

Nic to, bawiłam się po pachy, później ciopowiem.

Dudek, jak tam książka?

- Następna - westchnął.

- A co to ja jestem, przodownik pracy?

Wszyscy tylko: książka i książka.

"Ile już masz?

Dużo napisałeś?

Kończysz już?

" Tylko takie pytania teraz słyszę, głównie od żony.

Chciałaby obuwie.

- To jej kup.

- Mietek wzruszył ramionami, rozwaliwszy się przy stoliku.

Przecież zarobiłeś.

253.

- Zarobiłem i prze.
zainwestowałem.

Głównie w wasz lokal -wyjaśnił godnie Duduś.

- A onaupatrzyła sobie takie od Prądy.

Też pyta, kiedy kończę i kiedy podpiszę umowę.

- To tak jak mój mąż -zachichotałam.

- Jak wracam z.

powiedzmy, że z pracy, choćby z własnego tarasu, pyta, ile stron natrzaskałam.

Z wierszówki mnie, cholera, rozlicza.

Też czuję się czasem jak najemnik, pracujący na akord.

- Sama widzisz- odrzekł Duduś.

- Aletak naprawdę, to jużprawie skończyłem -przyznał z dumą i zarechotał niespodziewanie.

-Grozi mi tym samym, że zostaniecie moją wyłączną rodziną,bo przejechałem się trochę.

hmm.

po różnych zjawiskach.

Takich bardziej kobiecych.

- Rozumiem, że niektóre.

zjawiska.

podobne dotwojej połowicy są?

- zapytała z uciechą Dominika.

- Tak jakby- przyznał.

- Tak mi się jakoś.

napisało.

Potemszkoda było zmieniać.

Podobało się.

- Żonie?

- zdziwił się Miecio.

- E..

Nie, jeszcze nie czytała, nie lubi maszynopisów.

Wydawnictwu.

- Duduś z uwagą obejrzał własne poharatane paznokcie.

Obgryza jak sześciolatek.

- Mówię przecież.

Wysłałem już pierwszą wersję, niewiele myśląc, a teraz się waham.

Po ptokach, zaakceptowali.

Czekają na zakończenie.

- No i co ztego?

- zbagatelizowała rzecz Dominika.

-Martateż obsmarowuje wszystkich po kolei i jeszcze nikt jej nie zabił.

Chociaż Magda, na przykład, wygłaszała tu kiedyś groźby karalne.

- Ja również -oświadczył Duduś.

- Ale my jesteśmy ludzie kulturalni, i na pogróżkach się skończyło.

- A twojażona nie?

- zdziwił się Miecio, który bardzo lubił Dudusiową żonę wraz z jej elegancją i nieskończoną delikatnością.

Jadwiga była czymś w rodzaju elfa,z urody i z zachowania.

Stworzenieefemeryczne i nieco kapryśne, zrzadka pojawiające się w towarzystwie.

Elf typu domowego.

Urok osobisty w dodatkuogromny.

- Nie.

to znaczy tak, kulturalna to ona jest zcałą pewnością,za toja niezawsze.

Przeczytacie, zobaczycie.

- Westchnął ciężko.
- Może ktoś udostępni mi jakieś pomieszczenie w piwnicy.

Do zamieszkania.

- Niezła reklama - przyznała Dominika.
- Ja przeczytam z pewnością.
254
- I oto chodziło!
- zachichotał Duduś.
- Będę miał zaco nie'
 - Wredny typ - skomentowała.
- W mojej piwnicy nie zamieszkasz.
 - W twojej piwnicy nawet dziada z babą nie brakuje, bo mieszkasz z rodzicami - odparował.
- Na ciebie nie liczę.

Zresztą, przesadziłem.

Chciałem zobaczyć wasze miny.

Jak na komendę wyszczerzyliście się wszyscy jak debile.

- Zadowolony?
- zapytała Domiśka.
- Ty się czasem do lustrapopatr, wystarczy ci wrażeń na długie miesiące pisaniny o pokręconych typach.
 - Zawsze piszę osobie - wyznał Duduś z pewnym odcieniem dumy.
- Wyłącznie.
 - Taak?
- zarechotał Miecio z esmakiem.

A ten menel, któremu mocno przechodziła dziwka wyciągnęła z kieszeni ostatnie w pocie czoła ukradzione pieniądze, to także ty?

Duduś wypił wino duszkiem i zachował pełne godności milczenie.

Przeciągało się.

- Może bez przesady - sprostował z godnością.

To tylko pewien opis potencjalnego stanu świadomości, czysto hipotetycznego.

- Ech, wy, literaci - westchnął Mietek.
- Jak was o coś przycisnąć to od razu "

ści,

pści i

ości".

Od razu "czysto" bądź "mglisto", czyli żadnych konkretów.

- Jeśli już, to "mgliście".

- Poczuliśmy się urażona na równie z Dudusiem.

- Nie przesadzaj.

Mniemożesz pytać, o co chcesz.

- Ciebie akurat pytać nie potrzebuję - odpyskował Miecio.

- Z ciebie to taki literat, jak z koziej dupy.

no, instrument.

Wszystko, co napisałaś, to praktycznie reportaż.

Włącznie z rozterkami" miłosnymi znajomych - wypomniał mi.

- No - powiedział groźnie Duduś.

- Dokładnie tak.

Drzwi otworzyły się z głośnym skrzypnięciem, a Dominika skrzywiła się i spojrzała wymownie na Miecia.

Ten lekceważący wzruszył ramionami, nigdy nie miał głowy do szczegółów tak mało istotnych jak zacinający się drzwi.

Domiška już niejeden raz załamywała ręcei wyrażała się na temat jego samego jako gospodarza. Z drugiej strony, wystarczy chwilę poobserwować Mietkaw kontakcie z klientem, zwłaszcza nieco problematycznym, abywszelakie wątpliwości odpłynęły w siną dal. Socjotechnikę maMietek opanowaną do perfekcji.

255.

Jak na zamówienie, na ogródku zmaterializował się Snob ze Szczecina, wraz z pieskiem.

Chociaż do Snoba nie trzeba nam już żadnej socjotechniki, bouznaliśmy dziwadło za swoje już dawno temu.

Jego piesrównieżnaspolubił.

- Cześć, Duduś!

- powiedział radośnie.

-Jak tam książka?

- Jestem szalenie znanym pisarzem, nie tylko w Krakowie -stwierdził zadowolonym Duduś, zamiast rzucić w tamtego czymś ciężkim.

Niekiedy nie rozumiem faceta.

Może na tego typu pytania Snoby mają upoważnienie, a zwyczajni śmiertelnicy nie.

- Słyszeliście?

A książka w porządku, już na ukończeniu.

- Łaskawie podał Snobowi zapalniczkę.

-Myślę nad następną.

- Napisz o mnie - zaproponował Snob.

-Nie chcesz tego - ostrzegł go Duduś.

- Oj, zdecydowanie nie.

O tobie niech napisze Marta, ona jest od obrabiania tyłka ludności kolicznej.

-Może być - zgodził się Snob, który do swojej snobistycznej kolekcji dołożył ostatnio dwoje znanych debiutantów, i trzeba mu przyznać, obie nasze książki uważnie przeczytał i polecał znajomym.

- Tyle że Marta z wszystkiego robi komedię.

A ja jestem postacią tragiczną - oznajmił, kiwając głową.

- Makary się budzi - zauważył Duduś, wskazując na wózek.

-Tak w ogóle, to co mu zrobiłaś?

Odkąd przyszłaś, to śpi.

- Dusila poduszkę.

- Wzruszyłam ramionami.

-To nie ja, to ty.

Gadaj dalej, niech jeszcze sobie pośpi.

- Ubrdałaś sobie - mruknął Duduś.

Młody się uspokoił.

-I nienazywaj go Makary - powiedziałam gniewnie.

-To nie produkt spożywczy, tylko dziecko.

- Mścisław?

- zaproponował Duduś.

- Sam się Mścisław - warknęłam.

Duduś ostatnio chyba czyta do poduszki Wielką Księgę Imion.

Z dziewiętnastego wieku.

Ciekawe, jakie jeszcze kretynstwa wymyśli.

- A jak to dziecko ma naprawdę na imię?

- zainteresował się Snob ze Szczecina.

- Nijak - wyjaśniła Marta.

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

Ale jakoś na "M".

- Mieczysław brzmi szlachetnie i intrygująco - powiedział Mietek, przęcąc pierś.

Dominika przychnęła.

256

- Marta wstydzi się zarejestrować oficjalnie trzecie dziecko, ponieważ współczesne kobiety nie mają tyłu dzieci - zarechotał Duduś.

-Ten cały zakręt z imieniem to tylko ścierna.
Będzie mu imię wymyślać dopóźnej starości.
Do maturymłodypodejdziejako N.
N.

- Do szkoły bez imienia raczej gonię przyjmą - zauważył Snob.
-Naprawdę jeszcze go nie zgłosiłaś?

A nie grozi za to jakaśkara?

- Grozi - odpowiedziałam.

- Uduszenie przez lekarkę rejonową,bo nas zaszczepiła,ale nie wiadomo, czy Fundusz jej zwróci
zaniezgłoszonegonigdzie obywatela.

- To w czym problem?

Czemugo nie zgłosisz?

Naprawdę się wstydzisz?

- Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

Popukałam sięw czoło.

- Słuchaj Dudusia, to daleko zajdziesz- warknęłam.

- Chcę mudać imięna literę "M", sęk w tym, że żadne mi się nie podoba -wyjaśniłam po raz
dziewięćdziesiąty w przeciągu miesiąca.

-Iczekasz na co?

- zainteresował sięSnob.

-Aż ludzkość wymyśli jakieś nowe imię?

Możesz tak czekać parę setek lat, to jakośpowoli się odbywa.

Wzruszyłam ramionami.

- Czekam na jakieś natchnienie - wyjaśniłam.

- Może mi siępodoba któreś ztych istniejących.

- Mieczysław jest fajne - powiedział po raz setnyMietek.

-Merlin.

Maksymilian.

W ostateczności obetnij mu fiutka idajnaimeię Małgorzata.

Wkażdym razie, zrób cośz tym wreszcie.

- Dałam sobie jeszcze dwatygodnie - powiedziałam obronnie.

-Odczepcie się.

- Melchizedek płacze - zauważył Duduś.

-A jaki tytułbędzie miała twojanowa książka?

-Snob postanowił się niezrażać i podtrzymywać uprzejmą konwersację z Dudusiem.

Ten, takim samym gestem jak ja przed minutą, wzruszył ramionami.

- Wszystkojedno.

Mogę ją nawet zatytułować "Dupa".

I takzmienią - powiedziałponuro.

Doswojej pierwszej książki obmyślał tytuł wyjątkowo starannie, tak,aby był błyskotliwy i
intrygujący zarazem,chodził z głowajak balon przez dobre dwa tygodnie,
zadręczałnajomych,urządzał rankingi.

W końcu, nieomal jak pewnemu nobliście wzór nabenzen, rozwiązanie problemu przyszło wczasie
snu, przy czymw wypadkuDudusia była to drzemkaprzy barze, z głową opartą

/o blat, czyli "na gwoźdź".

Ajego ulubione wydawnictwo, które dzieło przyjęło do druku i wypromowało, uznało wymyślony z takim trudem tytuł za nazbyt mroczny i niezbyt marketingowy - no i skłoniło go do zmiany. Duduś ciężko toprzeżył.

- Aha- powiedział Snob.

- Aha.

Malwinka, zwisająca do tej pory bezwładnie w wózek, wyprostowała się nagle i otworzyła oczy.

- Pesiek!

- ucieszyła się nawidok zwierzątka, które leżało grzecznie w kącie koło doniczek.

- Ładny pesiek, malutki.

Snob, jak to Snob, ma pieska rasy owczarek kaukaski i wszystko można powiedzieć o tym stworze, tylko nie to ostatnie.

Takiz niegomalutki jak z orła kaczka, mniej więcej.

Kariery jako zoolog młoda niezrobi.

- Peśka ciem.

- Moja córka zaczęła wyrywać się z wózka.

- Ciem do peśka!

- Spokojnie, laska - pospieszyłam z pomocą.

- Mopsa zbudzisz.

- To nie jest mops - oburzył się Snob.

- To kaukaz.

- Mówię o młodym.

- Chcesz go nazwać Mops?

- zdumiał się Snob.

- Już bym wolał Mścisław.

- Mopsik to ksywa - wyjaśniłam mu.

- Wersja robocza.

Przyjrzyj mu się uważnie.

Snob przyjrzał się zwisającym tłściutkim policzkom oraz czterem podbródkiem i pokiwał głową.

- W tym szaleństwie jest metoda - przyznał po chwili.

Młody znów się poruszył.

- Dominika, popilnuj Malwinki, bardzo cię proszę, bo my idziemy na zaplecze coś zjeść - poprosiłam, wydłubując młodego z wózka.

- A potem wracamy w domowe pielesze, Miskę muszę dziś sama z przedszkola odebrać.

Malwinka zlekceważyła Dominikę, za to wdrapała się na kolana Miciowi, bosiedział najbliżej pieska i

nasikała mu na służbowe spodnie.

- O Jezu, sorry - jęknęłam, gdy tylko Mietek objawił się na zapleczu.

- Ciągłe jesteśmy na etapie odzwyczajania się od pampersa.

- Odzwyczaj ją przy okazji ode mnie, co?

- poprosił.

- To już drugi raz.

Pierwszy był miesiąc temu, u was na grillu - przypomniał mi.

- Czy ja wyglądam jak kuweta?

Kot Anki też na mnie leje ile razy mnie zobaczy.

- Może masz w sobie coś.

toaletowego - parsknęłam, zarzucając młodego na ramię i poklepując z impetem po tłustych łopatkach.

- Wodę toaletową "Zimny Brutal" - mruknął Mietek, przeszukując nerwowo stos odzieży awaryjnej z odzysku.

- I tak się właśnie zachowam następnym razem.

Dokońca dniamusiał występować w obcisłych skórzanych spodniach bliżej nieokreślonego pochodzenia, które doskonale podkreślały jego kształty w różnych ciekawych miejscach. Spodnie były błyszczące.

- Wiem, wiem, wiem - powiedział, lekko zażenowany, wracając do stolika.

- Świecę się jak psujaja.

Ale nie było nic innego w moim rozmiarze.

- Szczerze mówiąc, psu jaja taksie nie świecą, jaktobie - przyznał Snob, przenosząc wzrok ze swego pieska prosto na Mietkowekrocze.

- Nieźle, stary.

- Odwal się - powiedział nasz specjalista od kontaktu z klientem, zrezygnacją w głosie.

- One sądamskie - powiedziała Dominika.

- Musiała je zostawić w lokalu jakaś gorąca laska.

Nie mam pojęcia, w czym ci ludzie wracają do domu.

- Skąd wiesz?

- przeraził się Mietek.

- Myślisz, że męskie miałyby na tyłku haftowany napis "HotSpot"?

- zapytała z zobawieniem.

- Czemu nie?

- zaprotestował Snob ze Szczecina.

- Całkiem sexy.

Ach, Mieczysławie ognisty, zaciskaj pośladki ispierdalaj - poradził życzliwie.

- Podoba mi się.

W ten prosty sposób okazało się, że Snob jest orientacji niecorządziej spotykanej w przyrodzie, co zresztą oddawna podejrzewaliśmy, i że uznaje nas już za przyjaciół, którym takie rzeczy można ogłosić spokojnie i z humorem.

Mietek miał na twarzy wypisaną rozterkę, czy w związku z tym poczuć ulgę - że nie będzie musiał tym razem pilnować moralności koleżanek, czy zacząć się obawiać o siebie samego.

Wątpliwość o rozwiął Snob, wyjmując z portfela zdjęcie swojego chłopaka, z którym mieszkają już od lat paru, w wielkiej zgodzie i z upodobaniem.

Wreszcie mógł się pochwalić.

A było czym.

Obie z Domišką westchnęłyśmy z zachwytu nadcarnookim przystojniakiem, niedbale wspartym o rower górski.

- Aleciało - doceniła Dominika.

-Wiem - powiedział z zadowoleniem Snob.

-1 to wszystko moje!

Duduś na stronie udał, że rzyga do popielniczki.

Dominika dała mu w łeb, nie patrząc.

Trafiła.

Moim dzieciom znudził się pobyt w lokalu i podniosły chóralny wrzask.

Do pracy, rodacy.

Ababy dogarów.

Z pamiętnika DominikiN.

Dwudziesty dziewiąty

No i nie zrobiłam nic z tego, na co się zapowiadało.

Nieposzłamdo spowiedzi, nie podzieliłam się też z Pawłem moimi rozterkami, nie odwiedziliśmy dotąd oburzonej cioteczki.

Nie napisałam teżdwóch praczaliczeniowych, co gorsza.

Zamiast tego spędziliśmy tydzień u Izy w Madrycie.

Zapraszała mnie już od dawna, ostatnioponawiając ofertę cojakieś dwa tygodnie, aż nagle zaproszenieprzybrało bardzo konkretną formę.

"W przyszły czwartek z Krakowa do Madrytu wybiera się samochodem niejaki Gucio, mój przyjaciel od zaraniadziejów.

Chętnie weźmie na pokład jeszcze jedną osobę, zupełniegratis, ponieważ nienawidzi jeździć samw daleką drogę.

Nie róbscen, tylko pakujmłodego i wsiadajcie w Gucia.

U mnie jest wolnypokój, bo współlokatorka wyjechała na urlop.

Gutek załatwia tutaj interesa różne i planuje powrót dwudziestego czwartego, takwięc transportmasz zapewniony w obie strony, wikt i opierunekzapewniam ja.

Zabiję cię, jeśli nie skorzystasz".

Chodziłam przez dwa dni, przygryzając wargi i zastanawiałamsię.

Z jednejstrony, bardzo kusząca propozycja.

Zdrugiej - czymogę znowu opuścić miejsce pracy i to na tak długo?

Dwie dobyjazdy w jedną stronę - nie wierzę, że doMadrytu dolecimy jednymciągiem, to prawie cała Europa w poprzek, dwie w drugą, tydzieńna miejscu - to razem jedenaście dni, jak w pysk strzeleń.

Musiła260

bym opuścić jedenweekend w szkole, asesja zapasem.

Nie jestempewna, czy dziecko wytrzyma tyle godzin w samochodzie.

Musiiałabym zostawić Pawelka na tak-długo, sam na sam z Mietkiem, i diabli wiedzą, jakie tematy zechce imsię poruszać.

Tak naprawdę to pal lichu dziecko, pracę iinneprzeszkody, aleto ostatnie!

A gdyby tak dało się zabrać Pawelka ze sobą?

Zapytałam Izunię.

Milczałprzez dobę, późniejodpisała: "Jeślisprawny kierowca, toGucio na to jak nalato.

Będą się mogli wymieniać.

Bierz chłopą iprzyjeżdżaj, umieram z ciekawości!

".

Poradziłam się mamy.

Mama, poznawszy w końcu mojego mężczyznę (wszyscyjuż o nim tak myślą, więc i ja zaczęłam.

Swojądrogą śmieszne, czyżbym po prostu podświadomie potrzebowała błogosławieństwa mamusi?

), bez sekundy namysłu kazałam się pakować.

- Odpocznicie od wszystkiego, pobędziecie ze sobą, dobrze wam to zrobi - zdecydowała.

I zanim zdążyłam się obejrzeć, już na stole stała bateria słoików z przetworami domowymi mojej matki.

Dla Izy.

- Czego, jak czego, ale porządnych kiszonych ogórków i podgrzybków w occie na pewno jej w tej Hiszpanii brakuje.

Izunia zawsze uwielbiała moje grzybki - powiedziała bardzo zadowolona.

W "Banasiu" jak na zamówienie pojawiła się Paulinka i wskoczyła na moje miejsce.

Paweł złapał się za głowę - miał pomóc mamie przetransportować różne rzeczy na Mazury, bo postanowiła spędzić wakacje, doglądając babci, ale Ada tylko popukała się w czoło: do lipca weekendów jeszcze trochę będzie, to ona jest narwana i chciała już przewozić rzeczy, może równie dobrze poczekać dwa tygodnie.

A jej synek ukochany pracuje jak wół i porządnego urlopu nie miał od dwóch lat.

Niech ma.

W końcu zaświeciły mu się oczka i wyraził zgodę.

Było poprostu cudownie, choć lało przez całą drogę i namiejsu też.

Gucio (naprawdę ma na imię Irek) okazał się prosto chłopakiem Izuni.

Ich związek też jest świeży i ulotny, dlatego nie wspominała o nim wcześniej, za to teraz mogliśmy pogadać od serca.

Wspólnych tematów było całe morze.

Chłopcy przypadli sobie do gustu i znikali razem na całe godziny, co ułatwiało sprawę.

261.

Czasem wychodziliśmy sobie gdzieś we czworo, a w zasadzie pięcioro (Hiszpania jest takim cudownym krajem, gdzie półtoraroczne dziecko brykające o pierwszej w nocy w ruchliwym lokalunikogo nie dziwi).

A czasami Iza z Gutkiem zostawali w domu, bawiąc nasze dziecko, a my mieliśmy kilka godzin na błąkanie się po uliczkach, tylko wedwoje.

Osobny pokój, błogosławieństwo losu, sprawił, że noce też były nasze.

Czy naprawdę napisałam "nasze dziecko"?

Hmm.

W każdym razie wyjazd był tak udany, jak tylko to możliwe.

Zaskoczyło mnie, jak biegle Paweł mówi po hiszpańsku.

Chwalił się kiedyś, fakt, coś tam nawet przy mnie rozmawiał z klientami, ale było tego tyle, co kot napłakał.

Teraz miałam okazję usłyszeć go w akcji i jestem pod wrażeniem.

Zaczynam się zastanawiać, dlaczego człowiek, który mówi biegle czterema językami i na drugim roku na politechnice miał najwyższe możliwe stypendium naukowe, nieskończył studiów i odwieków pracuje jako barman?

Jeszcze nie pora, ale będę musiała nad nim popracować.

Marta

ŻYCIE JAK WMADRYCIE

Za cztery dni test z pediatrii, niech to szlag!

Obłożyłam się literaturą fachową i leżę na tarasie, czytając różne rzeczy i tak głównie własnego komputera.

Młody przestał wycierać noce i teraz koegzystujemy wszyscy w pełnej zgodzie.

Może z wyjątkiem kota, który wziął się na moje notatki z genetyki.

- Ty świnió!

- ryknęłam po raz kolejny, zrywając się z materaca.

Kotek rozkraczył się nad wykładami, porzuconymi przezemnie, dość bez troski, na trawie i rozpoczął procedurę oddawania moczu.

Dopałam bydlę i waliłam po uszach, a kot lał dalej.

Uciekł dopiero, jak już się wysikał.

- Małpa!

A niech cię cholera!

- zdenerwowałam się.

Mąż nadciągnął z głębi domu z kubkiem porannej kawy w dłoniach.

262

k

- On ci po prostu sugeruje, że powinnaś olać ten temat - powiedział z uciechą.

Zamachnęłam się na niego zasilaczem od komputera.

- Kiedy kupimy drugiego kotka?

- zapytała z dużym wyczuciem Miśka.

- Obiecaliście mi na imieniny, dawno minęły, a wy nic - powiedział z pretensją.

- Jak wyhodujecie takie bez cewki moczowej - warknęłam, wycierając zbezczeszczone notatki wilgotną chusteczką, zasadniczo przeznaczoną do wycierania pośladków młodszego potomstwa.

- Malwina, nie obrywaj listeczków!

- Objiwam - poinformowała mnie Malwinka, spokojnie i systematycznie obskubując bluszcz trójklapowy, jakby mało mu było kwiatowych przymrozków i kociego moczu w okolicznej glebie.

Bluszcze są bardzo wytrzymałe.

Ja trochę mniej.

- Nie obrywaj!

Zostaw to natychmiast!

- ryknęłam, aż karasiew oczkuwodnym szwagra wzdrygnęły się wyraźnie i uciekły podkamień.
- Nie ziośtawiam - udzieliła rzeczowej informacji moja młodszacóreczka.

- Nie ciem.
- Zróbcóś z tym dzieckiem, bo nie ręczę za siebie!

- rozdarłam się jeszcze głośniej na użytek męża, który właśnie odpływał, wraz kawa, w kierunku własnego komputera.
- Narobiłeś dzieci, to się teraz męcz!

- dołożyłam tatusiowi Miśka, cichaczem malując sobie paznokciana różowo. Moim ulubionym lakierem.

- Mama się uczy.
Owszem.
Mama się uczy.

Z całej pediatrii najlepiej wchodzi mileczenie nadpobudliwość dziecięcej, środki uspokajające i nasenne oraz neuroleptyk!
dopuszczone do zastosowania u młodych organizmach.
Tabelkę z listą działań niepożądanych omijam starannie.
W mojej świadomości takie specyfikimają wyłącznie działanie pożądane, upragnione wręcz.
Szkoda, że nie mam żadnego pod ręką.
W związku z tym, że mama się uczy, obowiązek przygotowania obiadu dla całej rodziny spadł na tatusia.
Oddelegowałam mu Miskę do pomocy.
Usiedli przed komputerem.
- Co robicie?
- zainteresowałam się po chwili, nasłuchując.
Z salonu dobiegały jakieś szepty i ukradkowe chichoty.

263.

- Obiad - odpowiedział po chwili mój mąż.

- Nic się, matka, nie martw.

Zabrali ze sobą Malwinę i pojechali gdzieś.

Ciekawe.

Wrócili po godzinie z hakiem, już zaczynałam się martwić.

Zdażyłam akurat nakarmić młodego.

Przywieźli ze sobą cały koszyk spełnionych marzeń, jak Święty Mikołaj.

Były w nim zestawy z KFC dla dziewczyn, zabawkami, pizza z salami, którą uwielbiamy wszyscy, dużo chińszczyzny dla tatusia oraz, specjalnie dla mamusi, ukochane sushi.

No tak.

Tatuś zrobił obiad.

A przez resztę miesiąca mamusi będzie produkować placki ziemniaczane oraz podstępem podrzucać dziewczynki do babci w porze obiadowej.

Ale niech tam.

Raz się żyje i czasem jest to życie jak w Madrycie.

Zajęłam się sushi i nie zauważyłam, kiedy kot zdażył mi oblać moczem dziennym wykładę o moczeniu nocnym.

Może mąż marację, powinnam powróżyc sobie kota i zająć się spokojnie resztą materiału.

Tak zrobię.

A w Madrycie była ostatnio Dominika.

Narzekła, że zimno.

No i kot miał rację.

Moczenia nocnego nie byłona teście anicienia, genetyka laboratoryjna na poziomie liceum, klinicznej kotsię nie czepiał, więc się nauczyłam, a w ogóle z racji tego, że zajmowaliśmy miejsca w kolejności alfabetycznej, w promieniu pięciometrów miałam zgromadzenie kujonów i geniuszy i mogłam zarazna początku zweryfikować dyskretnie trochę posiadanych informacji, tok myślenia miałam chyba dość poprawny, więc po dziesięć minutach przestałam zabawiać się w kukułkę i zaczęłam rozwiązywać test samodzielnie.

Nienawidzę ściągania, potwornie się stresuję i od razu widać po mnie nieczyste zamiary

Nie było tak źle.

Rozumiałam, co czytam.

Moje hormony wyjątkowo dały mi spokój, nawet zmartwiłam się gdzieś w połowie testu - od wyjścia z domu minęły już dobre trzy godziny - że pokarm mi znikł, nagle i bezpowrotnie.

Martwiłam się, jak zwykle, na zapas.

W drodze powrotnej, jeszcze w tramwaju, stres nieco odpuścił i robiłam za nieco grubawą seksbombę, marzenie Rubensa.

Pod koniec trochę mnie zalało, więc siedziałam z rękami skrzyżowanymi na wydatnym biuście i tak również szłam z przystanku w kierunku domu.

Oglądali się za mną tylko troszkę.

264

Zastałam młodego w stanie popołudniowej wścieklicy, Malwinę chodzącą krokiem marynarskim na szerokiej podstawie, gdyż właśnie się posikała, i opiekunkę bliską walenią głową w stół.

Z niespodziewaną dla samej siebie energią rąbnęłam torbę w kąt i rzuciłam się ślad za nią niemal w tej samej sekundzie, bo w środku był laptop, którym nie należy walić opodłogę, pozbierałam co trzeba, wpakowałam do wanny siebie i środkowe dziecko, napuściłam młodego wody do wiaderka (od Magdy dostałam w prezencie specjalne wiaderko, w którym umieszcza się niemowlę zbolącym brzuszkiem, oczywiście dolewając odpowiednią ilość ciepłej wody).

Wiaderko jest tak skonstruowane, że dziecko siedzi w tej wodzie skulone w kłębuszek, dokładnie tak jak lubią maluszki, a ciepła woda w połączeniu z pozycją przynosi ulgę zarówno jemu, jak i uszomotoczenia.

Proste, a genialne.

Mój młody przestaje wyć na sam widok wiaderka, w związku z czym ostatnio zdarza mu się łądować nim dwa razy dziennie i jest najlepiej wymoczonym ssakiem w okolicy. Czasem się obawiam, że wyhoduję żabę.

W piętnaście minut sytuacja została opanowana.

Ha. Nabieram wprawy.

Wyniki testu będą pojutrze.

Niech się dzieje, co chce, dziś wieczorem w nagrodę idę do "Banasia".

Mąż mi daje wychodne na całe dwie i pół godziny.

Pomiędzy karmieniami.

Zdałam!

Zdałam test z pediatrii!

Na plus trzy.

W tym roku to moja ulubiona ocena, moja ambicja rozpuściła się w mleku już w pierwszym semestrze.

Tylko z ginekologii dostałam ocenę celującą, czemu w zasadzie trudno siędziwić.

Zdawałam z brzuchem tak wielkim, że ledwo mi oczy nad niego wystawały.

Dostałam trzy pytania, jedno wypisz, wymaluj z mojego drugiego porodu i problemów ze znieczuleniem, jedno z prowadzenia ciąży, a jedno z guzów jajnika, o których po ubiegłorocznych perypetiach Gosieńki wiem nie chcąc wszystko.

Ech, oddałabym wiele, żeby nie mieć tych wiadomości tej pięknej oceny, a za to żeby Gośka była zdrowa.

Muszę do niej zadzwonić.

Może jutro.

Albo wyślę mejla.

Ciekawe, jak jej w tym Bostonie.

265.

Egzamin ustny, też z pediatrii, już za dwa tygodnie.

Tydzień później testz interny.

Trzy dni po teście targi książki ispotkania z czytelnikami.

Dwa dni po targach egzamin z onkologii, dzień później zaległa anestezja, do której chcę podchodzić teraz, nie wewrześnie.

Tego samego dnia zebranie rodziców w szkole - dla tych, którzy rozpoczynają naukę w pierwszej klasie.

Następnego dnia wywiad dla Telewizji Kraków, o książkach.

Trzy dni później ostatni test, z paliatywnej, zaliczenie z fakultetu i termin szczepienia najmłodszego dziecka, wyniki testu z interny i egzamin ustny.

Cztery dni później zawał.

Na grobieżycę sobie napis: "Poległa na placu boju, i jedyne, czego wżyciu żałuje, to że nie zdążyła urządzić pożegnalnej imprezy".

O TRZYDZIESTKACH I INNYCH DEWIACJACH

Przedemną zakręcony miesiąc, milion obowiązków.

Z niewyspaniamam zwiady, z nieuczesania kołtuny.

Jednego i drugiego nie przyjmuję do wiadomości.

Poddałam się i wprowadziłam młodemu mleko zastępcze, boprzecieżnie będę dziecka głodzić.

Szkoda, że w dobie AIDS upadła instytucja mamki.

Smutno mi.

Mam wrażenie, że młody najbardziej kocha opiekunkę.

Do niej pierwszy raz uśmiechnął się na jawie, bo we śnie torechoce od urodzenia.

W nią wtulony najszybciej zasypia.

Aonaprzecież tak głupio szczebiocze!

Nieprawda.

Nie szczebiocze ani przez chwilę, zwraca się do dzieci normalnie i traktuje je jak ludzi, bardzo to w niej cenię.

Świetna babka, zorganizowana, z głową na karku, i bardzo oddana mojemu potomstwu.

Młodszy opiekuje się sprawnie i z uwagą, a z Miśką zwyczajnie się zaprzyjaźniła.

Znakomicie gotuje, nieco gorzej sprząta, o conie mam nawet cienia pretensji, bo sama sprzątam jeszcze gorzej, zwłaszcza jak oblepia mnie ze wszystkich możliwych stron troje dzieci.

Prawdę mówiąc - nie sprzątam w ogóle.

Nie mam czasu.

I chyba robię się zazdrosna.

Jak już zakończę te cholerne studia, za miesiąc z malutkim haczykiem (pięciodniowym), to mój synek będzie już dobrze wyrosniętym niemowlakiem.

Wyhodowanym głównie na butelce.

266

Z własnym mężem rozmawiam może kwadrans dziennie z oczami utkwionymi w monitor bądź w kolejny podręcznik.

Nawet nie mam pojęcia, gdzie wyjechał wczoraj, może na konferencję albo na kolejny bankiet samorządowy, a może po prostu na dzikie baby.

Nie obchodzi mnie, nie mam nato czasu.

A propos bab dzikich.

Mój mąż ma od dawna ugruntowane zdanie: nic poniżej dwudziestki piątki, inteligencja i błyskotliwość jak warunek konieczny, choć może niewystarczający do tego, abymogłuznać dziewczynę za seksowną.

Żadnych głupich cyncatych blondynek, to znaczy cyncate owszem, blondynki też chętnie, ale napewno nie głupie.

I nie nazbyt młode, ponieważ brak życiowego doświadczenia często idzie w parze z niewielką dozą

rozsądku.

Mózg przede wszystkim, a on rozwija się powoli.

Większość znajomych samców ma odmienne upodobania, preferują dobrze ukształtowane szesnastki, acó mają w głowie, to ich niewiele obchodzi, bo też nie zgłowy zamierzają korzystać.

Podobne zdanie wyraził ostatnio Mikołaj, dobry duch Kazimierza, bardzo oryginalna, często lekko zawiana i skora do dywagacji filozoficznych postać z długą, siwą brodą.

Mikołaj spędza żywot wokolicznych knajpach i czasem jest wszędzie, i to w takich ilościach, że niedługo będzie się bała, jak w starym dowcipie, otworzyć lodówkę.

Jest zabawny i zajmujący.

Niekiedy męczący.

Lubi wyciągać mojego męża na rozmaite dyskusje.

Tym razem wyraził się z uznaniem na temat młodej dziewczyny, zapewne jeszcze w wieku licealnym, choć już z piwką w dłoni, odzianej w prześwitujące, koronkowe gieźło.

- Ty, patrz, jaka Lola!

- Wygłosił tubalnie na cały plac Nowy.

- Chciałbyś taką, có?

Zwłaszcza że twoja żona dziecko urodziła (przed Mikołajem nic się nie ukryje) i teraz trochę wygłodzonych chodzisz?

Przyznaj się!

Mąż siedział w ogródku, w "Alchemii", z kolegami z pracy, Mikołaj dosiadł się dość bezceremonialnie.

Koledzy w garniturach, bywający na Kazimierzu dość rzadko, wlepili w Mikołaja oczy jak spodki.

- E, coś ty - powiedział spokojnie mój mąż.

- Przecież to pedofilia.

Ja tam wolę starsze.

I wygłosił po raz kolejny swoją teorię.

267.

Mikołaj w odwecie wygłosił pochwałę młodego, jędrnego ciała, samego w sobie.

- Pedofil- podsumował go mąż.

-Pantoflarz - odwinął Mikołaj.

- Szuka takiej, co go omota i krótko trzymać będzie, bo tak robią wszystkie baby po dwudziestce pięć.

Za jąderka i do fotela przed telewizorem, najlepiej młotkiem.

Wtedy mając łopa na oku.

Koledzy mojego męża ochoczo przytaknęli.

- Ech, cholera, wy.

- rozczarował się mąż.

-Tylko zagruchać i zaruchać cokolwiek, byle świeże.

Zero porozumienia, fascynacji, żadnych uczuć wyższych, bo co zauczucia mogą być z takimisiksami?

- Mocne i gorące - powiedział smakowicie Bartek, szef działu handlowego.

- Krótkotrwałe, ale przecież o to właśnie chodzi, nie?

Nakilka godzin nie potrzebujesz większego zainteresowania.

- Zawsze potrzebuję zainteresowania - zaprotestował mój mąż.

- I to w obie strony. Może bez przesady od razu z miłością, ale jakaś fascynacja musi być i to nie tylko na zasadzie estetycznego zachwytu krągłościami.

W tym celu, z przepszeniem, wolę obejrzeć pornosa.

- E tam - zlekceważył Bartek.

- Mówimy przecież o seksie na jedną noc.

- A mówimy o seksie?

- zdziwił się mój mąż.

-No, a o czym niby?

Duchowo to się można zrealizować w dłuższym związku, na jedną noc wystarczy trochę chemii.

- Jak dla mnie, musi być porozumienie, żeby była chemia - uparł się mąż.

- Jeżeli koniecznie chcesz mówić o seksie, to.

tym bardziej musi być w tym sens.

Nie mam potrzeby prostego rozładowania, wybac.

W tym celu.

- ...

Najlepsza baba to własna graba!

- wtrącił sentencjonalnie Mikołaj, z wyraźną uciechą.

Podobały mu się miny współpracowników mojego małżonka.

Mojego męża nic w wykonaniu tamtego nie było już w stanie zadziwić, za długo się znali, r

- Rozmawiacie czysto teoretycznie?

- zainteresował się nagle Konrad, naczelny administrator systemu i ostoja firmy - Czy jak?

- A jak myślisz?

- odpowiedział mój mąż z pewnym rozgoryczeniem.

- Pomijając inne okoliczności życiowe, wszyscy znani mi faceci mają podobne poglądy.

Szesnaście, góra dwadzieścia i takie

268

tam. Nawet jakbym chciał, to nie mam z kim chodzić na trzydziestki.

A sam jestem nieśmiały.

- Pozatym trzydziestki rzadko siedzą po knajpach - zauważył Mikołaj.

- Częściej w domu.

- Właśnie - zakończył dyskusję mój mąż.

- Przecież nie będę chodził po domach.

Oczywiście całą rozmowę zrelacjonował mi osobiście, w celu zapewnienia rozrywki przy sobotnim śniadanku.

Sam bawi się znakomicie, zwłaszcza gdy docierają doniego informacje o jego własnym rozwiązłym trybie życia.

Znanym towarzystwu szeroko, wyłącznie słyszenia.

Mnie też to bawi.

Spędziliśmy ze sobą ponad pół życia i wiem, że mój mąż to jest klasyczny pies na baby.

To znaczy: głównie wyszczekany.

Poza tym dobrze pilnuje obejścia i najbardziej naświecieceni swoją ulubioną miseczkę.

A miseczkę to jamam wciąż rozmiaru D.

Czerwiec

Marta

REPREZENTUJĘ SIĘ WSZEM WOBEC

Pojechałam do Warszawy Służbowo w związku z pisarstwem, zaraz po tym jak na ukochanych studiach zostałam zmieszana z pyłem przydrożnym przez asystentkę, której nie spodobała się moja frekwencja.

Oraz punktualność.

Wyjazd był balsamem na moją bezwartościową duszę, aczkolwiek też zawierał elementy stresujące.

Musiałam wystąpić w kilku programach radiowych oraz jednym telewizyjnym i opowiedzieć swojej książce, tej pierwszej.

Matko Święta, uświadomiłam sobie w trakcie jednej rozmowy na żywo, oni się domagają ode mnie poglądów!

Różne rzeczy potrzebne do reprezentowania się w mediach, na przykład nowy garnitur sztruksowy - mam, gumowe majtki, trzymające w ryzach i ówdzie moje siedemdziesiąt osiem kilogramów - mam.

Gadane też mam.

Ale tak poza wszystkim to ja je 269.

stem człowiek z buszu.

Telewizji nie posiadam, radia prawie niesłucham, nazwisk wykonawców, nawet tych ulubionych, nie zapamiętuję, podobnie bywa z autorami, tytułami oraz treścią dzieł w porządku chronologicznym.

Zapamiętuję nastrój i klimat oraz niektóre obrazy podsuwane przez mózg w trakcie czytania. I niewiele więcej.

A tu mnie pytają o ulubione tytuły!

Nazwiska!

Ukochanego rodzaju muzyki również nie umiem sprecyzować.

Umiem zanucić, ale przecież nie na antenie?

Od tego mają oryginały.

Pierwszy wywiad poszedł mi tak sobie i zdenerwował mnie donieprzytomności, w rezultacie wyszłam na coś w rodzaju czopka.

Sztywne, blade i do dupy.

Natychmiast po programie wzięłam Grażynkę, dziewczynę od promocji, która została mi przydzielona jako anioł stróż, żeby mi się zgubiła w dzunglizwanej stolicy, i zawlokłam włosy do najbliższej knajpy.

Musiałam odreagować.

Dlaczego w knajpie od razu wracami błyskotliwość i zdolność mówienia, a jak zakładam radiowe słuchawki na uszy, z miejscabelkoczę jak poparzona?

Na drugi dzień bladym świtem, czyli szóstej pięćdziesiąt mia- "łam się stawić w telewizji.

Pierwszą moją myślą było schować się pod łóżkiem, tak żeby mnie nawet obsługa hotelu nie znalazła, i wyleźć dopiero późnym popołudniem.

Przemogłam się jakoś.

Nie było tak źle.

Najpierw rozśmieszył mnie pan taksówkarz, opowiadając o tym że podjeżdżając na Woronicza 17, należy uważnie obserwować, jakie pan portier na bramie ma skarpetki, gdyż bramę wjazdową obstawia na zmianę dwóch identycznych starszych panów, jeden jest miły i pozwala taksówkom wjeżdżać dalej, tam gdzie szanowny klient sobie życzy, a ten drugi szlabanu podnosić nie chce, jeszcze obsobaczyć może i szanowni klienci muszą od bramy wjazdowej dymać na piechotę, odprowadzani warczeniem portiera.

Różnią się skarpetkami, ten miły nosi szare, a ten drugi wyłącznie jaskrawe.

Czerwone lub żółte.

Niestety, tego dnia pan nie ruszał się z budki i skarpetek nie zaobserwowałam, ale bez większych przeszkód dojechałam pod sambudynek F, z czego wnioskuję, że jednak były szare.

Zostałam zaproszona do charakteryzacji, co od razu poprawiło mi nastrój, gdyż po pierwsze, lubię być ładnie umalowana, a sa270

ma nie umiem.

Apo drugie, na fotelu przede mną siedział starszy pan, komendant policji, i właśnie pani pociągałam uśmiechem powieki i obrzuciła łysiną.

Słyszałam kiedyś jakieś mętne plotki, jakoby facetów do telewizji też malowali, a teraz miałam okazję zobaczyć to na własne oczy.

Pani przyjrzała się mojemu dziełu krytycznie, przechylając głowę, i dołożyła panu na policzki drobinę różu.

Potem na fotelu trafiłam ja, i pani nałożyła mi na mordę takie rzeczy, które do tej pory znałam tylko ze słyszenia.

Dla mnie szczyt makijażu to tusz na rzęsy i ustapociągnięte błyszczakiem.

W wyjątkowych okolicznościach decyduję się jeszcze położyć cień na powieki górne.

Po dwóch godzinach i tak ląduje na powiekach dolnych.

Posiadam również fluid, trochę przez przypadek, ale z każdym razem, gdy próbowałam go użyć, efekt końcowy nasuwał mi myśl o dalmatyńczykach.

Mogłam sobie jedynie zanucić na pocieszenie: "U motylka plamek kilka służy ku ozdobie".

Chyba mam twarz spadzistą i wszystko się z niej zsuwa.

Pani, o dziwo, nie miała problemów.

Nałożyła mi tu itam zecztery warstwy smarowideł, przejechała gigantycznym pędzlem poczole i nosie, pomalowała oczy nazielonno, użyła błyszczczyka, przeczesła czymś brwi a na koniec spryskałamnie tajemniczym specyfikiem w sprayu.

Wychyliłam się fotela i przyjrzałam się sobie samej z bardzobliska, pełnaobaw, że pod taką grubą tapetą moją twarz będzie przypominała oblicze japońskiej gejszy.

Nic z tego.

Wyglądałam promiennie i zupełnie nie jak ja.

I bardzo dobrze.

Może nikt mnie nie pozna?

Dostałam herbatkę, w ramach oswojania i oczekiwania na swoje wielkie wejście, poczym razem z Grażynką -przyjechała dodawać mi ducha, na szczęście - rozpoczęliśmy oczekiwanie.

Ręce mi się spociły.

Bardzo miła pani realizatorka, która napatoczyła się poblizze naszego stolika ze scenariuszem w garści, domyśliła się zapewne, że przeżywam lekki atak paniki.

Opowiedziała mi o panu, którego trema zaatakowała dopiero po wpuszczeniu na wizję zamiast rozmawiać z panią prowadzącą, zaczął regularnie i rytmicznie walić głową w blat stolika, przy którym siedzieli.

W sekundzie wszystkie kamery zostały skierowane na panią prowadzącą, która zmiłym, profesjonalnym uśmiechem musiała przeprowadzić wywiad sama ze sobą, to znaczy powiedzieć szanownym telewi271.

dzom o wielu fantastycznych dokonaniach twórcy, który dalej, nieprzerwanie, pół metra od niej walił czerepem w stolik.

To dopiero był stres.

Całkiem możliwe, że to dyżurna anegdotado rozluźniania spiętych telewizyjnych debiutantów, ale podziało.

Nadeszła moja kolej, ustawili mnie przy stoliku obfitującym w paprocie.

Całe szczęście.

Tuż przed emisją uświadomiłam sobie, że moje odwieczne zdarteglany nie należą do tego rodzaju obuwia, który powinien występować w telewizji.

Wsadziłam glany w paprotki, dokonując maskowania zielenią.

Kazali mi potrzymać i pokazać pięciu milionom obywateli moją książkę, i w tej właśnie sekundzie uświadomiłam sobie stan moich paznokci.

Krótkomówiąc, pilnik ostatni raz - ijedyny - widziały przed ślubem, gdy zazwyczaj obgryzam je albo obcinam pierwszymi lepszymi nożyczkami, jakie nawiną mi się pod rękę.

Co stanowczo nie dodaje imurody.

Staralam się eksponować dzieło bez wpuszczania paznokcina wizję, co nie było łatwe.

Państwo prowadzący program byli szalenie sympatyczni i nie zwracali uwagi na moje manewry maskujące.

Uśmiechali się.

Zadali mi kilka miłych, prostych pytanek.

Jakzgasły światła, byłam zdumiona, że to już.

Przeżyłam.

Uff.

Radio było gorsze - godzina z hakiem, a tu wszystkiego raptem cztery minuty.

Poszłam z Grażynką na kawę, poczym czekały mnie następne radio.

Ha, nabieram wprawę.

Przy trzecim z koleiozgadałam się tak, że pani musiała pomachać miręką przednosem, bo czas na audycję się kończył.

Makijaż telewizyjny dodał mi odwagi.

I nie tylko on.

Moja bardzo, bardzo dawna.

może nawet nie przyjaciółka, w pewnym momencie nawet rywalka, ale w każdym razie dziewczyna, z którą byłam kiedyś w dość bliskiej komitywie, przysłała mizaraz poprogramie, tym telewizyjnym, sms-a, że mnie widziała, wyszło super, gratuluje wydania książki itepe.

To zawsze była osoba o wielkim sercu i ogromnej intuicji, obecnie pani doktor.

Owszystkich jej pacjentów jestem najzupełniej spokojna.

272

Jak bardzo potrzebowałam tych słów, dowiedziałam się dopiero, gdy wyświetliły się na mojej komórce.

Stare przyjaźnie są najlepsze.

Może nie zawsze najbardziej intensywne, ale niezawodne.

Bardzo miłym przeżyciem byławizyta w Radiu Jazz.

Po pierwsze, sam fakt, że mogłam na własne oczy zobaczyć miejsce, z którego dolatywały do mojego domu te wszystkie łagodne poranne melodie, które jużna zawsze będą miały dla mnie smak spokojnych, sobotnich śniadań i miłych przebudzeń, smak pasty z sardynek (ze szczypiorkiem), jajecznicy na kielbasie, przyniesionych dopieroco z placu porannych bułeczek, świeżo zaparzonej w magicznym ekspresie kawy z kardamonem.

Wrażenie słońca, przebijającego się tarasu przez krzaki pnących chrósz.

Po prostu smak szczęścia.

Podrugie, prowadząca, Monika, okazała się bardzo miłą, ciepłą kobietą, dzięki czemu ręce nawet nie zaczęły mi się pocić.

Potrzenie, miałam poczucie, że mówię do ludzi, którzy myślą i odbierają świat podobnie jak ja. Szukają podobnych wrażeń, w końcu, tak samo jak my, słuchają jazzu.

Inne radia też się okazały bardzo miłe i w ogóle gdzieś w połowie tego dziwnego dnia opuścił mnie cały stres.

Zaczynam być zwierzem medialnym.

Skoro się powiedziało "A", to trzeba powiedzieć "B", i nie ma, że się nie da.

Nie da się otworzyć parasolaw pewnym ściśle określonym miejscu i tyle.

Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie to swoje pisarstwo.

W głębiduszy miałam nadzieję że usiądę sobie cichutkow kąciku, napiszę książeczkę i dalej będę sobie w tym kąciku tkwiła, sympatycznie i bezpiecznie, czekając na ewentualne przychody.

Rzeczywistość okazała się zupełnie inna i nieco - przynajmniej na samym początku - przytłaczająca.

W dzisiejszych czasach szanowny autor, zwłaszcza dzieła o charakterze rozrywkowym, chcąc pomóc dziełu zaistnieć w przyrodzie i w świadomości potencjalnych nabywców, musi zaprezentować światu oprócz książki również swoją mordę, sylwetkę, połowę życiorysu i - cholera jasna - również poglądy.

273.

- Jaki jest pani ulubiony program?

-Nie wiem, nie mam telewizora.

- Jakiej muzyki pani najczęściej słucha?

-Takiej, jaką barman akurat w knajpie puści.

- Ale przecież ma pani jakieś swoje ulubione zespoły?

-Ha, pewnie żemam.

Jeden zespół na przykład, pomimo prohibicji z powodu przyjazdu Papieża.

Ech, może pokolei.

Jak wiadomo, Papież notorycznie szlaja się poknajpachi mógłby się natknąć na zdegenerowaną, pijaną młodzież, tracąc w ten sposób resztki nadziei i wiary, Papieża trzeba chronić, więc nasze ukochane Królewskie Miasto wprowadziło absolutny zakaz sprzedaży alkoholu na całe pięć dni, przy czym byli uprzejmi zawiadomić restauratorów na dwie godziny przed wejściem w życie owej cudownej uchwały.

Może po prostu obawiali się, że świta papieska, z Watykanu przybyła, urznie się gdzieś w mieście w sposób niekontrolowany, a to dopiero byłaby żenada.

Radni postanowili zadziałać zapobiegawczo.

Straż Miejska wparowała do "Smutnego Banasia" z rozporządzeniem na piśmie o dwudziestej drugiej piętnaście.

Zakaz miał obowiązywać od północy.

Knajpa była pełna żądnych dalszej rozrywki klientów, Magda poszła więc na zaplecze walić głową w wiaderko.

Zespół został powiadomiony konieczności powstrzymania się od picia oraz w ogóle skrócenia koncertu.

Oczywiście owoc zakazany smakuje najlepiej, więc ów szanowny zespół natychmiast zaczął trąbić na zapas, jak stodoła.

Koncertu przerywać nie mieli zamiaru.

Wręcz przeciwnie, talent w nich rozgorzał jasnym światłem, wspomagany wiśniówką, i grali tak, jak jeszcze nigdy nie grali, z szczególным uwzględnieniem głośności.

Magda wyszła z zaplecza i zawiśła w oknie, wypatrując policji.

Zespół grał, pił i świetnie się bawił, barzostał zamknięty, ale panom z kapeli tonie przeszkadzało, gdyż jak się okazało, zawsze przychodzili zaopatrzeni w alkohole własne, które pili spod stolika.

Na szczęście koło pierwszej w nocy gitarzysta urznął się w trupa i niekonsultując tego z resztą ekipy, wyszedł z lokalu.

Zdumionemu Mieciowi, który przyłapał go na wychodzeniu, wyjawiał, gdzie idzie.

274

Szedł mianowicie na dupy.

Ponieważ obawiał się, że następna uchwała Rady Miasta to również zostanie od jutra zakazane. Na całe pięć dni.

Różne ekscesy mogłyby mieć chętkę nie tylko na alkohol, a sprawiedliwość musi być.

Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Ciekawe, że nikt się nie czepił palenia papierosów, zucia gumy oraz oglądania telewizji.

Może z tymi rozrywkami świta papieska przepada.

Trochę nam podpadł zespół przy okazji, przyznając się dopicia spod stolika.

Jeszcze jakieś ulubione zespoły?

Był taki, który w połowie koncertu pokłócił się ze sobą i pan wokalista nasadził panu gitarzyście na głowę bęben afrykański typu jamba, na co pan perkusista pan wokalistę najzwyczajniej na świecie kopnął w jaja.

I wokalista wydał się biegł w rejestrach, o jakiegoś siebie nigdy wcześniej nie podejrzewał.

Basista innego z kolei zespołu również wspomagał swoją wenę wódką prostą i ciepłą, spod stolika.

Efekt był taki, że po godzinie całkiem udanego koncertu ów basista nagle wstał, podjął heroiczny wysiłek przemieszczenia się na drugą stronę iznienacka narzygał na mikser.

Nie barowy, tylko taki do mieszania dźwięków, niezbędny przynagłaśnianiu koncertów. Mikser padł i biedny Plaża po piętnastu minutach akcji reanimacyjnej (miksera) musiał pogodzić się z tym, że dalsza część koncertu przebiegnie kompletnie na żywo, au naturel, czyli bez jakiegokolwiek nagłośnienia.

Jego dusza, wybitnego akustyka i profesjonalisty, ucierpiała średnio.

Wokalista kolejnego zespołu na koncercie w całości sponsorowanym przez pewien bardzo miły (i bardzo znany) browar w połowie imprezy wystąpił z odezwą do zgromadzonej publiczności. Odezwa brzmiała mniej więcej tak: "I przyszliście tutaj, liż dupcy, mfree, nie płacąc za bilety, dobrze się bawicie, pijąc tego zasranego sikacza, i myślicie, że co? Że bierzecie udział w zajebistym wydarzeniu kulturalnym?"

Kłóc wam w dupę!

"

Publiczność zachwycona nie była, browar również, no i obciąż dotację na przyszłe występy.

275.

Jakieś jeszcze pytania, Panie Dziennikarzu?

Że wyglądam inaczej niż na okładce?

Zdjęcie było robione cztery lata i dwanaście kilogramów temu, włosy miałam akurat długie, bożadne niemowlę mi na nich nie wisiało, a teraz wisi.

I muszę mieć krótkie, jeśli nie chcę pokazywać światu potężnego dreda, ukręconego przez usypiające potomstwo nad moim lewym uchem.

Operacji powiększania biustu nie przeprowadzałam, po prostu dziecko zostało w Krakowie z babciami.

A w Warszawie naprawdę nie mam kogo dopiersi przystawić.

Stąd rozmiar.

W krótkiej spódnicy już nie chodzę, bo mam nogi w paski.

Zrozmęściłam.

A okularów ostatnio nie noszę, bo mi się nimi córka pobawiła, ta młodsza, i zrobiły się dwuczęściowe.

Na monokle modę przeminęła sto pięćdziesiąt lat temu.

Noszę szkła kontaktowe, szkiełkami nudzące się dziecko z oka niewydłubie, nawet jak wstanie wcześniej od mamusi i będzie miało dużo czasu.

Tak, naprawdę mam dzieci, co zresztą uważny obserwator pozna po usteczkach z sera, odbitych na ramieniu, bo zapomniałam je sprząść.

Naprawdę mam kota, co też widać, albo może słyhać, niewiem dokładnie, o jakiego kota pan pyta.

Nieważne, mam oba.

Mam też męża, choć naten temat nie będę się rozwodzić, ponieważ go lubię, a jakmu tyłek obsmaruję, to on się może chcieć rozwodzić ze mną.

Może przesadzam, w każdym razie obiecałam go nie obgadywać.

Mąż jak mąż.

Bardzo miły

Co powiedzieli moi przyjaciele na książkę?

Bardzo różne rzeczy:

jeden się nadał i nie przyznaje się ani do mnie, ani do swojego literackiego odpowiednika, drugi się nadał i mapretensje, że niewykorzystałam jego barwnego charakteru w większym stopniu, trzeci się ucieszył, że zaistniał w literaturze, i wszystkim odczytuje stosowne fragmenty, czwarty też w sumie się ucieszył, ale ukrywają książkę przed żoną, część rodziny też się nadała i uważa temat za nieistniejący, a część mi kibicuje i zbiera wycinki.

Dalsi znajomi mają ubaw wielki i dzwonią do siebie, bawiąc się w odgadywanie, kto jest kim i czy go dobrze opisałam, częściami przysyłają mejle z uwagami bądź sugestiami na przyszłość, a część wyraziła nagle chęć spotkania.

Ogólnie cyrk na kółkach.

Młodszy brat koleżanki przeczytał uważnie, poznał własną siostrę, głównie po odzieży, i doniósł rodzicom, jak ona się prowadzi.

Niesłusznie uczynił, akurat fragmenty o jej prowadzeniu się wysłałam z palca, ale wiara ludzkości w słowopisanie jest ogromna

276

i tłumacz tu takiemu.

Na szczęście koleżankę cała sytuacja rozbawiła ogromnie, jej matkę, pokrótce wyjaśnieniach, zresztą też.

Coś jeszcze?

Dlaczego napisałam książkę?

Czy to coś zmieniło?

Nie mam, szczerze mówiąc, bladego pojęcia, dlaczego.

A czy zmieniło?

Chyba tak.

Ale to już moja całkowicie prywatna sprawa, Panie Dziennikarzu.

Z pamiętnika Dominiki N.

Drugi

Cholera jasna, wiedziałam, że z tego wyjazdu wyniknie coś problematycznego.

Paweł dostał amoku, kiedy się dowiedział (odemnie, zresztą), ile w Madrycie potrafią zarobić barmani.

Odbiło mu nagle.

Madryt i Madryt.

Zakochałam się w tym mieście, możliwe że bardziej niż we mnie.

Zachęca mnie do wyjazdu na całe wakacje, w celach zarobkowych, odgrazając się nawet, że jeśli się nie zgodzę, to samopojedzie.

Kasa nam się przyda.

Przyczepił się do Gucia, który bez przerwy jeździ tam i z powrotem, wyciąga od niego rozmaite opowieści i napalił się jak szalony

Ja nie chcę.

Pomijając fakt, że sesja przeciągnie mi się, jak podejrzewam, głęboko na lipiec, po prostu nie mam ochoty ruszać się z Krakowa.

Tu mam rodziców, pomoc przy dziecku, przyjaciół w potrzebie, moją Martę- sąsiadkę (ostatnio wpadam do niej trochę rzadziej, to znaczy co drugi dzień, nie codziennie), Edytkę, Mietka i całego "Banasia".

Tu jest moje miejsce.

Ja już doświadczyłam, co to znaczy żyć w obcym mieście bez rodziny.

to znaczy tam jest Iza, wiem, ale ona jedna minie wystarczy, zresztą ma swoje sprawy i własne problemy.

Nie chcę.

Nie i już.

Pierwszy raz pokłóciliśmy się tak poważnie.

Nie rozmawiamy już od czterech dni.

Paweł jest taki dziecinny.

Do wielu rzeczy podchodzi z entuzjazmem małego chłopczyka: wszystko jedno jak, ale będzie fajnie!

Przyłapałam się na porównywaniu go do Krystiana, przynajmniej jeśli chodzi o niefrasobliwość i hurraoptymizm.

277.

Nie podoba mi się to porównywanie.

I niepokoi mnie jego rezultat.

Możliwe, że nadaję niektórym zjawiskom szersze znaczenie, niż mają w rzeczywistości, ale tak mam tyle.

Jestem zbuntowana.

Trzeci

Próba rzeczowej dyskusji w naszym wykonaniu doprowadziła do jeszcze większej awantury.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale jak się rozkręciłam, to wyjechałam z zarzutami od Adama i Ewy, wypominając mu wszystkie najdrobniejsze grzechy i uchybienia minionego roku.

On też nie słuchał jak pokorneciele, tylko zaczął zgłaszać zastrzeżenia.

Głupi, czy co?

Nie wie, na czym polega ta zabawa?

Powinno być tak: ja płaczę, histeryzuję, a on mnie słucha, poczym przytula, przeprasza i przynosi kwiaty.

A tu chała.

Nie dość, że mi przerywał (czego nie znoszę), to jeszcze wyłącznie po to, żeby wyrazić swoją opinię na temat moich zastrzeżeń mojej osoby. A potem zawinał się, trzasnął drzwiami i poszedł do ciemnej nocy.

Zostałam, jak ta idiotka, nad butelką wina.

Oczywiście wypiliśmy.

Efekt jest taki, że od rana znowu nie rozmawiamy ze sobą.

Czyżbym wygarnęła mu trochę za mocno?

Nie przypuszczałam, że on jest taki obraźliwy.

Zupełnie jak.

ja. Super.

Jeśli jest dodatkowo równie zacięty, to mamy szansę odezwać się do siebie za pięćdziesiąt lat.

Gdy już skleroza sprawi, że oboje zapomnimy, o co nam chodziło.

Marta

O TATUSIACH I TELETUBISACH

Sprawą, która mnie ostatnio zaczyna niepokoić, jest moje małżeństwo.

Gdzieś tam, głęboko pod warstwą codziennych uśmiechów i czułości, wyczuwam jakiś problem.

Jakbyśmy oboje niedo końca potrafili się odnaleźć w nowej roli.

Tyle lat wyrzucałam sobie, że przez wieczne studia, przez konsekwentne unikanie dorosłości jestem tylko pasożytem - nie zarabiam, nie przyczyniam się do bezpieczeństwa i przyszłości mojej rodziny. Byłam pewna, że z tego się biorą wszystkie moje nocne strachy i chwile załamania, i jeśli tylko sytuacja się odmieni, będzie nam jak w raju, tym najbardziej niebiańskim.

A teraz zarabiam.

Nie spektakularnie, ale nawet nieźle.

Nie jestem pasożytem.

Mąż mi kibicuje, wspiera, pogania do roboty, gdy osiadam na laurach, i w ogóle służy wszelką dostępną pomocą.

Cieszy się moimi sukcesami, trochę mniej z tego, że zrobiłam się odrobinę mniej ugodowa, a nieco bardziej bezczelna.

Co było do przewidzenia i w zasadzie to go nawet śmieszy.

Czyli wszystko w porządku.

Mimo to czuję czasami, że moje małżeństwo ulega - może jeszcze nie zachwianiu, ale rozrzedzeniu.

Jakbyśmy, zupełnie nie chcąc, oddalali się od siebie.

Może przesadzam, może to normalne, może przez te wszystkie lata, nie mając swojego prywatnego życia, własnej pasji, owijałam się tylko wokół niego jak bluszczyk, a teraz wreszcie

nadszedł czasurośnąć i odwinąć się wreszcie?

Problem z bluszczem jest taki, że jeśli chce wypuszczać świeżegałązki, to wokół czegoś owijać się musi.

Czuję, że unoszę się w powietrzu i że nie jest to właściwe dla mojego gatunku.

Co będzie dalej?

Czas pokaże.

Nie istnieje na świecie takie zjawisko, którego znaczenia nie odkryłby czas.

A na razie mimowszystko staram się być szczęśliwa.

Dominika podrzuciła mi synka na trzygodziny i mam czworodzieci.

Sama kiedyś chciałam mieć czworo, rany boskie!

Podłoga w salonie wygląda jak.

sama niewiem.

Nie ma takiej stajni.

To znaczy, kiedyś była, ale bodajże Herkules ją posprzątał.

Wpuścił do niej największą rzekę w okolicy.

Też chyba powinnam.

Augiasz przy tej czwórce to pedancik.

Trójce właściwie, ponieważ mój młody tylko patrzy, ale w oczach ma coś jakby żal, że nie może się przyłączyć do zabawy, bo jeszcze nie ma czym.

Końcówki mu nie działają.

Za to umie wrzeszczeć, co

279.

sprawia, że jemu głównie poświęcam uwagę, a reszta robi, co chce.
Na przykład rzucaw siebie biskoptami.

Poddałam się, włączyłam rzutnik, Malwinke Marcelka posadziłam razem na kanapie -jak dorwę tego, kto wymyślił biskopty, to mu całą paczkę w zadek wsadzę, i to taką z Makro. Świństwo, które włoży wszędzie, nawet do majtek i w budowę laptopa.

Kiedyś musiałam zbadać pacjenta na citostetoskopem dokumentnieoklejonym ciastkiem.

Ciśnienie miał w porządku, za to mnie się podniosło.

Innym razem podałam indeks pani profesor i musiała odskrobać sobie w nim własne nazwisko.

I tak dalej.

Zapodałam młodzieży "Teletubisie", wlepili oczka w czwórki kolorowych grubasów.

To ma być chyba forma mentalnej szczepionki na anorektyczne kształty lalki Barbie za lat parę.

Nastąpi kwadrans spokoju.

Mopsik zasnął.

Powinno umyć podłogę po biskoptach.

Ze wszystkich domowych czynności najbardziej nienawidzę prasowania bez telewizora oraz mycia podłogi.

Na to ostatnie nawet telewizornie pomaga.

Zacisnę zęby i przetrzymam.

Miśka wpuściła Dominikę, akurat jak wylażyłam spod sofyz pajęczyną we włosach.

Odgarnęłam ją wdzięcznie jak welon.

- Cześć - wysapałam.

- Sprzątam pobojuwisko.

Imponujące, prawda?

- Spoko, widziałam lepsze w ramach mojej fuchy - roześmiała się Dominika.

- Wtedy, kiedy chodziłam z Aldoną mierzyć mieszkania, pamiętasz?

Jasne, żepamiętam.

Panią z rottweilerem oraz staruszkę odopadów atomowych ciężko by było wymazać z pamięci.

Zrobiła sobie kawę, mnie również i zapadła w swój ulubiony fotel.

- Nie ruszę się z Krakowa - zapewniła, jak co dzień o tejsamej porze.

Robitak odtrzechdni.

- Nawet na nędzne trzy miesiące.

Nie ma szans.

- Paweł tak strasznie nalega?

- Paweł się nie odzywa.

Powiedziałam mu kilka komplementów, przecież wiesz.

- Upiła łyk, skrzywiła się i dołożyła sobie miodu.

Biała kawa z miodem to jej prywatny wynalazek.

- Pogadaj z nim w końcu - mruknęłam.

Rozumiem różne ludzkie zachowania, ale zaciętości akurat nie.

Przez dziesięć lat mieszkam

z moim mężem ani razu nie wyszliśmy z jednego pokoju obrażeni na siebie.

Po naszych burzliwych kłótniach zawsze staramy się dogadać od razu, kiedy tylko opadną najgorętsze emocje.

Choćby chwilę wcześniej siekiery latały w powietrzu.

Na swój sposób jestem z tego dumna.

- Jak mam pogadać, skoro on się do mnie nie odzywa?

- spytała Dominika.

- Do ściany mam mówić, czy jak?

- Zagadaj pierwsza i zobacz, co się stanie - poradziłam.

- Możliwe, że on czeka na gest z twojej strony.

- Akurat.

On też powiedział mi to iowo.

Musi zrozumieć, że zachował się niewłaściwie.

Ja przynajmniej miałam rację, a on anitrochę.

Wysunęła buntowniczo podbródek do przodu i siedziała, nastroszona jak wróbel po deszczu.

- Nie musisz na mnie wyciszyć wyrazu twarzy - roześmiałam się.

- Choćnieżle by to wyszło, gdyby nie fakt, że broda ci się trzęsie.

W końcu parsknęła śmiechem.

- Nie majak sąsiad szczery i życzliwy - powiedziała.

- Dzięki za pocieszenie.

Uważasz, że naprawdę powinnam za nim łązić prosić o wybaczenie?

- Od razu łązić!

Razpodejść, tak zwyczajnie.

Zastanawiałam się przez dłuższą chwilę.

- Nie - powiedziała twardo.

- Nie potrafię.

Może zmienimy temat?

Nie było to takie proste, ale w końcu nam się udało, ponieważ do omówienia miałyśmy przedślubne perypetie wspólnej koleżanki i kłujący romans Edytki z Kudłatym.

My tu sobie gadu, gadu, a Marcelek z Malwinką usnęli, przytuleni słodko do siebie.

- No popatrz - mruknęła Dominika.

- W domu muszę godzinami na rękach nosić.

- Kup sobie Teletubisie - poradziłam.

- Mój mąż też przy nich śpi.

Albo zróbmu siostrzyczkę.

- Kupię Teletubisie.

Szybciej, taniej i znacznie mniej kłopotu - warknęła Dominika, upychając młodego w skafander.

- Można zamówić przez Internet.

- Tatusia, na uparte go, też można zamówić przez Internet!

- zauważyłam.

281.

- Nie chcę tatusia zboczeńca ani popaprańca.

Tfu,co jagadam,w ogóle nie chcę żadnego tatusia.

Precz z tatusiami.

Teletubisie niesą zboczone.

- I tu się mylisz,moja droga.

Jureczek wyczytał, notabene również w sieci, że Kościół katolicki wyraził się krytycznie o Teletubisiach, ze względu na domniemany homoseksualizm jednego z nich.

- Co ty powiesz?

A którego, jeśli wolno wiedzieć?

- Tinky-Winky - odpowiedziałam.

- Jest płci męskiej, a chodzi wszędzie z czerwoną, lakierowaną torebką.

- Faktycznie.

Ale to chyba raczej transwestyta?

- Wszystko jedno.

W każdym razie zboczeniec.

Zdaniem ekspertów.

- Żadnych zboczeńców, tatusiów, a już szczególnie ekspertów.

Wogóle nikogo.

Ciszama być!

- powiedziała Dominika i zamknęła zasobą drzwi.

W tym kontekście nie odważyłam się nawiązać ponownie do Pawelka i konieczności pogodzenia się.

Jak dzieci, pomyślałam tylko, zupełnie jak dzieci.

Dlaczego niektórzy ludzie tak potwornie utrudniają sobie życie?

Prawda jest taka, że dawno, dawno temu sama miałam tendencję do zamykania się w sobie po kłótni.

Wynikało to przede wszystkim ze strachu przez brak akceptacji ze strony drugiej osoby.

I zwykłego wstydu, ponieważ gębę mam niewyparzoną, rozgrzana dobiałości potrafię nagadać różnych rzeczy.

Połowa z nich nijak się mado prawdy do mojej własnej opinii na temat partnera.

Jeśli powiedziałam, co powiedziałam, to jak to mogę cofnąć?

Przecież się nie da.

Usłyszane, zaksięgowane.

Zamykałam się w szklanej kuli mojego strachu, a ponieważ jedyną słuszną formą obrony jest atak, nakręcałam własne poczucie krzywdy wraz z agresją do tego stopnia, że sama już nie widziałam niczego, i nikogo oprócz czerwonej płachty przed oczami.

W takim stanie nie da się do nikogo podejść i szukać porozumienia.

Przez bardzo długi czas mój mąż był tym, który pierwszy wyciągał rękę, i stawał się cud.

Szklana kula pękała jak nakłuty balonik, a błyskawice na czerwonym tle gasły naglenie potrzebne i żenujące.

Dwa głębokie wdechy, szklanka lezi było powszystkim.

Podzięciem minutach potrafiłam normalnie rozmawiać, za to za nic

282

w świecie nie mogłam sobie przypomnieć, co też takiego strasznego miałam przeciwko temu człowiekowi, do którego się teraz radośnie przytulałam?

Dotyk, który był zapewnieniem "tu jestem, nie zjem cię i nigdzie się nie wybieram".

Wystarczyło, żeby przełamać mój błędny strach.

Lęk, mój grzech pierworodny.

Nie wiem, co takiego Dominika mogła nagadać Pawłowi w ferworze dyskusji, nie przyznałam się, ale widzę, jak bardzo się teraz boi.

Nie chcę podejść, miętka i pełna nadziei, i usłyszeć: "rozczarowałaś mnie, pokazałaś, jaka jesteś naprawdę, spadaj!"

".

Przypuszczam, że Paweł gdzieś pod drugiej stronie naszego pięknego miasta odpala właśnie czterdziestego papierosa i zmagają się podobnym uczuciem odrzucenia, które dotąd nastąpiło wyłącznie w jego wyobraźni.

Nie wiem, jak mogłabym im pomóc.

Z pamiętnika Dominiki N.

Czwarty

Łatwo Marcie powiedzieć "po prostu podejdź".

Ona jest po ślubie.

Niby nic, formalność (dla większości), urzędowy papier, ale sprawa, że jest tak prosto zamknąć zasobą drzwi i odejść w sobie tylko znanym kierunku.

W małżeństwie trzeba szukać porozumienia, ponieważ to układ, jeśli nie dożywotni, to przynajmniej na długie lata.

Poza tym czysto technicznie trudniej jest po prostu otworzyć drzwi i zacząć nowe życie.

Wszystko jest tak uporządkowane, wspólny dom, dzieci i rozwiązywanie tego gordyjskiego węzła to ciężka praca.

Dlatego konieczne jest porozumienie, cokolwiek to znaczy.

Łagodzenie konfliktów, czasem przyklepywanie, zamykanie oczu.

Swoją drogą, nie wiem, czy bym tak chciała.

Dla mnie wszystko musi być żywe i prawdziwe.

Może właśnie dlatego jestem tu, gdzie jestem, to znaczy siedzę sama na murku, nad Wisłą, i rozmyślamy tym, jak banalnie prosto jest wszystko spartaczyć.

283.

Jedną z najgorszych rzeczy, jakie wykrzyczałam w twarz Pawełkowi, było to, że doskonale umiem sobie bez niego poradzić, podrywają mnie tabuny facetów i wśród nich bez problemu znajdę sobie lepszego.

Niech jedzie w cholere, gdzie chce i na ile chce.

Ja niewyobrażam sobie związkuna odległość ina pewno nie będę wiernie czekać.

Sama nie wiem, jaki ciąg zdań i myśli doprowadził mnie do wygłoszenia podobnych rzeczy, ale to już nieważne.

Przezięłam.

Swoją drogą, rzeczywiście niewyobrażam sobie rozstania teraz, choćby na trzy miesiące.

Nie jesteśmy gotowi.

Mimowszystko nie potrafięmu zaufać, a jeszcze mniej - zaufać sobie.

Kiedyś nie byłam taka.

Nie wiem, co się stało, może mi Krystian zaszkodził, a może mój własny charakter i postępowanie?

Piąty

No to po ptokach.

Miałam dziś stanąć za barem razem z Pawłem bałam się tej chwili, i czekałam jak na zbawienie, bo może jednak coś się poruszy w układzie, ale Paweł poprosił Mietka o tydzień urlopu i się nie pojawił.

Co on sobie wyobraża, że pierwszadoniego zadzwonię?

Albo pojedę specjalnie po to, żeby znów natknąć się na jakąś jego byłą z użębieniem nutrii?

Mietek schodzi mi z drogi inie patrzyw oczy, a jeśli spojrzy, toz jakimś wyrzutem.

Może sumienia?

Niedobrze.

Szósty

Stało się dokładnie to, czego tak bardzo się obawiałam.

Ten cholerny Mieciu!

Wczoraj nie wytrzymałam, zaraz jak tylko zamknęły się drzwi ostatnim klientem, wyjęłam z lodówki flaszkę Finlandii i odcięłam Mieciowi krzesłem możliwość odwrotu.

Chciałam, żeby powiedział mi, co jest grane.

I dowiedziałam się.

Dwa dni temu o podobną pogawędkę poprosił Pawełek.

Usiedlisobie przy flaszcze - jednej, drugiej i ta świ284

nią, Paweł, wziął Miecia na spytki.

Zainteresowało go nagle moie życie intymne, przed nim i w trakcie, i w ogóle wszystko, co Mietek wiena mój temat.

Tak jakby nie mógł mnie zapytać o to tysiąc razy, kiedy żyliśmy z sobą w pełnej zgodzie.

Nigdy nie pytał.

Powiedziałabym mu przecież wszystko.

oprócz jednego.

A Mietek, jak zapewnia, trochę niechęć, powiedział mu to jedno.

Nie wszystko, ale padło imię Briana, Mietek przytoczył cenzurowaną historię w dobrej wierze, jako dowódna to, że mimo zainteresowania zestrony przystojnego lektora pozostałam przy Pawle.

Kiepski to dowód, ponieważ głównym powodem zerwania znajomości z Brianem było to, że wyjechał.

Paweł doskonale zdał sobie z tego sprawę, jak przypuszczam.

Myślę, że dodatkowym smaczkiem było to, że nigdy nie zająknęłam się do niego na temat Briana.

Ani słówkiem.

Pawełek zna mnie o wiele lepiej niż Mieciu i doskonale wie, że to coś oznacza.

Z limitowanych przez kumpla informacji dośpiewał sobie resztę.

Jestem o tym więcej niż przekonana.

Niech szlag trafi całą poprzednią awanturę i kwestię, kto ma dzwonić pierwszy.

Dzisiaj z samego rana złapałam zatelefon.

Cisza na linii i nikt nie odbiera.

Zadzwoiłam na komórke, z podobnym rezultatem.

Wyrwałam ze snu tego wstrętnego plotkarza, Mietka, i dowiedziałam się, że Paweł kontaktował się z nim pół godziny wcześniej.

Pojechał do babci na Mazury i pozostanie tam przez jakiś czas.

Głupek.

Tak łatwo pozwolił zburzyć w sobie zaufanie do mnie.

Marta

ŚLIMAKI Z OGRÓDKA

Usypiałam ostatnio całe towarzystwo.

Młody, na szczęście, ku mojemu śmiertelnemu zdumieniu, od urodzenia usypia się sam, w swoim kochanym łóżeczku wepchniętym do naszej sypialni nawcisk.

Pojęcia bladego nie mam, jak mi się udało tego dokonać, może sam przeczuł, że matka nie posiada już trzeciego boku, a mo285.

że faceci od urodzenia bardziej osobni są.

Baby, choć starsze, do tej pory odpływają w krainę snu wplątane we mnie całkowicie.

Tak właśnie zasypiały, kiedy Malwince zebrało się na apel wieczorny.

- Mama?

Misia?

- Usiadła, macając rozpaczliwie dookoła.

Stwierdziła niezbita, kamienną obecność nas obu, ale tym nie poprzestała.

- Opsik!

Opsik!

Będę musiała wymyślić w końcu młodemu jakieś imię, pomijając przychodnię, nie może się wszystkim ten "Mopsik" utrwalić.

- Mopsik już leży grzecznie w łóżeczku.

Malwinka popatrzyła w kierunku łóżeczka podejrzliwie, naszcześnie przez rzadką kratkę prezentował się okazały wypięty dogóry tyłeczek braciszka, obleczony w zjadliwie żółtą piżamkę - mój biedny mały mężczyzna większość ciuchów ma z przyczyn oczywistych po siostrach, niekoniecznie w męskich kolorach.

Mam nadzieję, że mu to osobowości nie wypaczy.

- Tata!

- rozdarła się natychmiast Malwinka.

- Tata!

Mogła się drzeć do rana, tatuś siada do komputera i wdziewa słuchawki nauszy.

Też bym czasem chciała.

Zniecierpliwiałam się, bo młoda jak wańka - wstańkanie chciała przyjąć pozycji poziomej dłużej niż dwie sekundy.

- Mama, tata, wszyscy domownicy mają nam się tu zwalić?

Może cięjsze koty przyniosę?

- warknęłam niezbyt czule namłodsza.

- Tak!

- przyświadczyła z uciechą Miśka.

- 1 ślimaki z ogródka!

Wszyscy to wszyscy.

Mój Młody Bezimienny na razie jest typem "a mniemu dobrze i czepiał się nie będę".

Święte dziecko.

Jest, a jakoby nikogo nie było.

Leży w kojcu zadowolony, daję mu jeść - zachwycony, nie daję - wiercisię niespokojnie i aluzje czyni.

Aluzje, nie awantury.

Zasypia, gdy się zmęczy, zawsze i wszędzie.

Na obie siostry reaguje sprawiedliwie i entuzjastycznie, nie zdając sobie na razie sprawy z tego, że Miśka go kochanajszczerszą miłością, a Malwinka chwilowo raczej nienawidzi, ponieważ zdmuchnął ją z piedestału.

Jako jedynaczka i córka jedynaczki zupełnie nie zdawałam sobie sprawy z tego, że każde z dzieci kochasię.

inaczej.

Było to dla mnie samej sporym zaskoczeniem - i dużo wody w Wiśle musiało upłynąć, dużo rozmów "o życiu" w zadymionych knajpach mojej

286

ukochanej dzielnicy musiało przebrzmieć, zanim opuściło mnie permanentne poczucie winy z tego powodu.

I zanim zrozumiałam że "jednakowo" nie zawsze znaczy "sprawiedliwie", i na odwrót.

Zemożna każde dziecko kochać inaczej i zarazem najbardziej i na świecie.

Stara prawda, ale długo zajęło mi zrozumienie, jak bardzo prawdziwa.

Kocham Miskę, bo jest najpiękniejsza, dowcipna, mądra, pozbierana, moja pierwsza.

Przy niej uczyłam się życia i odpowiedzialności, niekiedy boleśnie, nie zawsze z zachwytemi niekoniecznie była to prosta droga.

Tyle pierwszych radości, tyle złości.

I tyle błędów.

Gdy dwa lata temu urodziłam Malwinę, byłam o wiele spokojniejsza.

Popierwsze, dlatego że po prostu miałam doświadczenie, a po drugie, ważniejsze - z tym samym spełniłam moje największe marzenie, sekretną modlitwę właściwą wielu jedynakom: "Boże, proszę, niech moje dziecko nie będzie samo!

Proszę, daj mi choć wójkę!

".

Modlitwa została wysłuchana, i od tego momentu niemal fizycznie odczułam, jak moje pokrecone życie prostuje się nagle.

Bo jedynacy naprawdę są - sami.

Nie mówię o tej najprostszej samotności małego dziecka w domu pełnym dorosłych, samego w pokoju wypełnionym zabawkami.

Jeżeli rodzice są mądrzy, świadomi.

dobrze, jeśli rodzice są właśnie tacy, to dobrowolnie nieskażą swojego dziecka na jedynactwo, ale załóżmy, że rodzice, pozostając mądrymi i świadomymi, z przyczyn różnych niemogą przywołać na świat drugiego dziecka.

Wtedy wystarczy rozsądny dobór znajomości, zapewnienie dziecku towarzystwa rówieśników, akceptacja, w miarę możliwości, jego pierwszych przyjaźni.

Później, w wieku dorastania, podobnie: prawdziwi przyjaciele, kuzyni, sympatyczni sąsiedzi - wszyscy razem są w stanie wypełnić pustkę, nawet z gatunkowych wielkich jałowych przestrzeni.

Schody zaczynają się w momencie, kiedy zły los wyciąga paluch po któregoś z rodziców.

Coś się wydarza: ciężka choroba, wypadek powodujący trwałe inwalidztwo, śmierć albo po prostu starość.

Po śmierci mojego ojca, przez ten krótki moment kiedy mar[^] również nie nadawała się do życia, oddałabym wszystkie królestwa świata za to, żeby mieć brata.

Albo siostrę.

Kogokolwiek, kogo ta

287.

sytuacja dotyczyłaby równie mocno.

I nie chodziło tu o sprawy techniczne, bo do latania po ZUS-ach, zakładach pogrzebowych, zarządach cmentarza miałam całą rzeszę pomocników, z własnym narzeczonym na czele.

Ale, z całym szacunkiem dla narzeczonego, to wszystko byli obcy ludzie.

A chodzi o to, żeby był w tych najtrudniejszych chwilach ktoś, kto niesie podobny ciężar, choćby symbolicznie, choćby z daleka.

Iniechbymieszkał, ten hipotetyczny brat, na drugim końcu świata, niechby nawet z przyczyn losowych odmówił przyjazdu, niechby nawet miał wszystko w dupie.

Przynajmniej miałabym na kogo porządnie się wściec.

Jedna osoba nie zastępuje świata, w końcu zawsze pozostaje się samemu, tylko z własną rodziną, przy czym inna jest rodzina czasu siewu i czasu zbierania.

Uświadomiłam sobie to wtedy, w tamtych trudnych dniach, że tak samo jak w sprawach dotyczących rodziców najbardziej kochający mąż nie zastąpi mi rodzeństwa, które go nie miałam, tak samo najlepszy hipotetyczny brat nie zastąpi męża w sprawach dotyczących dzieci.

Drzewo potrzebuje korzeni, głęboko w ziemi, i gałęzi sięgających nieba.

Slogan stary, ale prawdziwy.

Jedno i drugie to odrębny system, choć dotyczący jednej rośliny.

Jednego człowieka.

Najczęściej o tym się nie myśli, planując rodzinę.

Sporo czasu, energii, marzeń i emocji poświęca się cudownej porzesiewu i wzrastania.

O zmierzchu, o porze odchodzenia niemyśli się wcale.

Do czasu.

Decydując się na jedno dziecko (wnioskuję z zeznań mojej własnej rodzinki, w końcu po kądzieli jestem pierwszą kobietą odrzech pokoleń, która zdecydowała się rodzić więcej niż raz), często bierze się pod uwagę fakt, że jedynakowi łatwiej zapewnić lepszy start, cieplejsze warunki, koncentrację na celu i całą naprzód.

Rzadko myśli się o tym, jaki tym samym zapewni się jemu (i sobie samym) finał.

Że przyjdą lata - i będzie ich owiele, wiele więcej niż tych radosnych, początkowych - lata samotności i przemijania, kiedy każda bratnia dusza jest na wagę złota.

Koniec końcem, z całym szacunkiem dla dóbr nabytych, czyli kochanków, ognistych małżonków i wszelkich znajomości - gdzieś tam, gdzie życie łączy się z bólem, stratą, przemijaniem, liczą się tylko więzy krwi i prawdziwa przyjaźń.

Nic więcej.

Gdzieś tam, na

288

samym końcu, na granicy życia i śmierci, jeśli liczą się współmałżonkowie, to tylko jako drugie z rodziców naszego dziecka, to które czuje dokładnie to samo: nasz brat, nasz przyjaciel.

Widziałam, z racji wykształcenia, rodziców - niejednokrotnie bardzo młodych - nad łóżkiem bardzo, bardzo chorego dziecka.

Czy wyglądali jak zakochani?

Albo czy buchał z nich płomień namiętności, ponieważ znali się raptem trzy lata?

Nie.

Jeśli naprawdę była między nimi miłość, i współodczuwanie, wyglądali jak bliźnięta.

Te same gesty, ten sam wyraz twarzy.

i oczu, szczególnie oczu.

Wysłałam męża za mojego najlepszego przyjaciela, tak po prostu.

Nie kochaliśmy się jak szaleni, niew ten sposób, o którym pieśni piszą, i nie zatrzęsła się pod nami ziemia.

Ponieważ nie mam brata, mój mąż stał się kimś w rodzaju brata.

Podrzucami swoje karpety do prania, robię mu masaż, jak boli go głowa, lubimy się przytulać.

Ale nigdy nie pytam, z kim idzie na piwko, bo na pewnym poziomie jest mi to obojętne.

Nie żałuję.

Wiem, że nie ma nic absolutnie stałego natym świecie.

Ale czuję, że nawet gdybyśmy się kiedyś rozstali, mój przyjaciel z młodości, niemalże z dzieciństwa, na pewno pozostanie moim przyjacielem.

Dlatego może nasze rozstanie jest, w przeciwieństwie do znanych mi rozmaitych stałych - mało prawdopodobne.

Moja najstarsza, Miśka, nie jest moim dzieckiem.

To złe określenie.

Jest moim przyjacielem.

Moją matką siostrzyczką, której nie miałam nigdy wcześniej.

Wymagam od niej dokładnie tego samego, co od siebie, staram się być sprawiedliwa i polegam na niej.

Jestem za nią odpowiedzialna w takim samym stopniu, w jakim ona za mnie.

Oczekuję od niej zrozumienia.

Nie umiem wystąpić wobec niej z pozycji siły, a nawet z pozycji autorytetu.

Równe jesteśmy jednakowo mamie siebie respektować.

Mąż - brat.

Qórka - siostra.

Jedynakom płaczesię życie w rozmaity sposób, na różną modłę podświadomie rekompensując sobie brakrodzeństwa.

Niekiedy właśnie przedstawiając podstawowe role.

Nie wiem, czy to złe czy dobre.

Tak po prostu jest.

289.

Od urodzenia Malwinki zastanawiam się, dlaczego.

Może gdy Miśka ujrzała świat po raz pierwszy, ja nie byłam gotowa być poprostu mamą?

A może tak rozpaczliwie potrzebowałam siostrzyczki, że znalazłam ją we własnej córce i tak właśnie zaczęłam ją traktować, a wszystko inne jest po prostu konsekwencją?

A Malwinka jest moim dzieckiem, w pełni prawdziwie.

Potrafiej jej wepchnąć do paszczy kłęb makaronu, niekoniecznie zgodnie z wolą właścicielki paszczy.

Umiem wymyślać na jej potrzeby rozmaite bzdury, ubrać wbrew protestom w najgrubsze rajstopy i rozśmieszyć zaraz po tym, zażegnując awanturę.

Jestem w stanie zadziałać niejako odgórnie, w różnych sytuacjach, i nie pozostawić najmniejszej wątpliwości co do jedynie słusznego rozwoju wydarzeń.

Miskę zawsze pytam o zdanie i liczę się z nim.

Nigdy jej nieokłamałam.

Nie fantazjowałam nawet.

Jeśli bardzo nie chce jeść kolacji, to nieje.

Malwinie wtłaczam do pyska pożywienie metodą hodowców drobiu: rozewrzeć mordkę, uciskając w okolicy stawów skroniowo-żuchwowych, włożyć porcję pokarmu, zatrzasnąć japę jednym wprawnym ruchem i tak długo gładzić po gardle, aż przełknie.

Pozaludwie kilku takich rękoczynach moje dziecko przełyka, zanimna dobre przystąpię do punktu pierwszego.

Miśce można policzyć zębra, nawet przez podkoszulek.

Ale jest bardzo dojrzała, racjonalna, na swój sposób odpowiedzialna i mądra nad wiek.

Malwinie można policzyć również, tylko że tak zwane oponki, do żeber trudno się dostać przez tkankę tłuszczową.

A młody jest moim księciem.

Nasz śmieszny, brodaty Duduś, domorosły filozof, czasami widzi więcej i wcześniej niż inni.

Miał rację.

Dostałam absolutnego fioła na punkcie mojego najmłodszego dziecka.

Może dlatego, że jest facetem, kolejnym spełnieniem moich cichych marzeń.

Może jeszcze dlatego, że miałam straszne poczucie winy po ciężkim porodzie, na który sama się uparłam, wbrew lekarzom, i każdy dzień przekonujący mnie, że dziecku nic się nie stało i rozwija się dobrze, normalnie - to święto.

A może po prostu wreszcie dorosłam do tego, żeby być mamą, dla której dziecko to centrum wszechświata?

Sama nie wiem.

I nie wiem jeszcze, czy to dobrze, czy źle.

Muszę jak najszybciej wymyślić mu imię.

290

W KRAINIE KANGURÓW

, Imię dla młodego dostałam w prezencie.

Od Magdy.

Przysłała z tych swoich antypodów długi, pełen sprzecznych uczuć mejl.

Cześć, Marta!

- pisała.

- Wreszcie odpaliłam komputer, miałam problemy, bo odgryzł sobie wtyczkę w trakcie transportu.

Mnie przedmioty nie lubią, sama wiesz.

Nudno tu, szlag mnie trafia.

Byłam już na czterech rozmowach w sprawie pracy, bo to, co znalazł Kazik, to porażka.

Szefowa, grube babsko, niewiadomej rasy, alena pewno nie białej, głupia jakobu wie.

Uciekłam i tylko się pomnie sawanna zakurzyła.

Dom jak dom, siedem kilometrów do najbliższego sąsiada.

Agata szaleje, jeździ na rowerze.

Młodemu pasi ten klimat, dostał wysypki, może jest uczulony na torbacze.
Też wsiadłam na rower, mówięci, komedia, ostatni raz siedziałam na rowerze, jak miałam dwanaście lat.
Kury sąsiadasię za mną oglądały.
Sąsiad ma czworo dzieci, stado koni, strusie, nieprawdopodobnie włochate kury i coś bliżej nieokreślonego, podobne do bażantów.
Oraz samochód terenowy.
Też bym taki chciała.
Kazimierzowi, że jak znajdę pracę, dostanę służbowy, tutaj to konieczność, a nie premia dla szczególnie efektywnych pracowników.
Postanowiłam już nigdy w życiu nie być szczególnie efektywna.
Kupiłam sobie hamak i rozwiesiłam nad tarasem, jedyną wadą jest to, że niewygodnie się na nim pisze.
Gdyby nie to, mogłabym spędzić na nim całe życie, chrząc ewentualną wysokość temperatury.
Dopóki mam hamak, ohleb i papierosy, wystarczy.
Może jeszcze piwo.
Tęsknię za polskim piwem.
Czy ja kiedykolwiek narzekałam na piwo w "Banasiu"?
Myliłam się.
Tęsknię jeszcze za knajpami na Kazimierzu, za wyprawami do parku Jordana i Niepołomic, za wszystkim, co pozostało daleko.
Ciesz się tym, co masz, póki możesz.
Polonusiowszem, istnieją w okolicy, ale jacy to ludzie!
Chodzą w kozuchach, tu podobno zima.
Ja w to nie wierzę.
Potem, jak na ostatnich wakacjach nad polskim morzem przeżyłam noc w namiocie przy ośmiu stopniach Celsjusza, w połowie lipca, niech sobie w tyłek wsadzą taką zimę.
Jest dokładnie tak samo.
Bez przesady, za szybko raz nazywało zimą?
Pojechałam na tym rowerze do najbliższej 291.

szej knajpy, mówię ci, koszmar!

Speluna taka, że pub "Pod Niedźwiedziem" to salony, w porównaniu z tym.

Whisky mają dobrą.

Nad piwem niech zalegnie grobowe milczenie.

Byłam naimpreziepowitalnej, na naszą cześć, w firmie Kazia i mam dla ciebie opowieść o kangurze.

Podaję, jak usłyszałam:

Znajomy Kazika też przyjechał niedawno do Australii i postanowił zacząć od zwiedzania tego pięknego kraju.

W towarzystwie dwudziestoletniego syna, studencika, oraz siostrzeńca, też studenta.

Pojechali w plenery wypożyczonym samochodem.

Studenci rzucili się degustować browar w ilościach hurtowych, znajomy robił za szofera, dostosował się do atmosfery, generalnie wesoło było.

Jadą, jadą dzieci drogą, patrzą - kangur leży.

Leży i niedycha, w każdym razie nie bardzo, wiotki taki.

Coś go musiało załatwić, choć bezkrwawo, wyraźnych uszkodzeń na ciele nie znaleźli.

Zatrzymali się obejrzeć zwierzątko, bo młodzież pierwszy raz w życiu kangura z bliska widziała, zdechłego bądź nie, w każdym razie zapragnęli zrobić sobie z nim zdjęcie.

Te standardowe błado im wypadły, postanowili podkreślić klimat, siostrzeniec niewiele myśląc zdarł z siebie marynarkę, odziana kangura, syn znajomego zaoferował krawat w kolorze czerwonym, wystroili zwierzątko i sesja zdjęciowa trwała dalej.

Drogą przejeżdżała wielka ciężarówka, kierowcy nie spodobało się widać dręczenie zwierzęcia, nikt, że zdechłego; więc zatrąbił nienacka.

I na to nieruchomy dotychczas nieboszczyk nagle ożył, dał susaw pole, po czym w kilka sekund rozwinął właściwą kanguroprędkość sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i z tą prędkością właśnie pomknął w step.

Wraz z krawatem i marynarką.

Chłopcy rzucili się za nim na piechotę, ale marne szansę.

Kangurzniknął w obłoku kurzu, gdzieś na horyzoncie.

Po czym siostrzeniec zorientował się, że w kieszeni marynarki miał wszystkie dokumenty, z paszportem na czele.

Nie mieli wyjścia.

Musieli udać się na policję.

Pani policjantka, miła i całkiem seksowna, wysłuchała historii opowiedzianej łamaną angielszczyzną, poczym wręczyła im formularz.

Zgłoszenie utraty dokumentów na skutek kradzieży.

Panowie zasiedli z długopisem w dłoniach, aby wypełnić dokument.

Punkt pierwszy: domniemany sprawca.

Odpowiedź: kangur.

Punkt drugi: okoliczności kontaktu ze sprawcą: rzeczony sprawca leżał na poboczu, udając nieżywego, po czym w trakcie sesji zdjęciowej

uciekł, zabierając ze sobą dokumenty Punkt trzeci: rysopis sprawcy.

Odpowiedź: kangur.

Średniego wzrostu, odziany w granatową męską marynarkę od Hugo Bossa i czerwony krawat.

Policja podeszła do sprawy poważnie, kangura odnalazła, siostrzeniec odzyskał dokumenty w stanie nienaruszonym, marynarka natomiast mocno ucierpiała.

Krawat nieco mniej.

Po oczyszczeniu z błota nadawał się do użytku.

Kangur, zapewne naskutek urazów doznanych wcześniej, a nie podczas sesji zdjęciowej, choć kto go tam wie - do użytku już się nie nadawał.

Niestety, panowie zostali obciążeni kosztami poszukiwań, a dodatkowo wlepiono im mandat za znęcanie się nad zwierzętami.

Zapłacili bez słowa.

Znajomy młodzieniec stanowczo odmawia noszenia krawata zdjętego z trupa, który w dodatku za życia był złodziejem.

Fajne, nie?

Może ci się do czegoś przyda.

Ja na razie siedzę na pudełkach i czekam, aż się góra domu pomaluje, bo Kazik oczywiście miał czas tego wcześniej dopilnować, jak weszłam, to myślałam, że normalnie żurnę, tak tam było pięknie.

Zamówiłam ekipę, ostatnia chwila, żeby nam firma zwróciła, jako koszt przeprowadzki.

Ekipa pracuje z werwą - zaleta tego kraju - mam nadzieję, że niedługo się skończy to mieszkanie w kartonach, bo kogoś pogryzę.

Jeszcze ten rower.

Przejechałam lokalne zwierzę, nie kangura, ale takie coś słasicowatego, bliżej nieokreślonego.

Nie wiem, czy torbacz, nie macałam.

Uciekłam z miejsca wypadku i wciąż mam nadzieję, że nicmu się nie stało, i żeto, co nam potłukło w nocy szklanki - jeden z kartonów zsunął się na podłogę - to nie jego duch.

Mamy studnię, taką na pompę, woda pyszna.

Do najbliższego sklepu daleko.

Narowerze nie pojedę za nic, bo trzeba przejechać przez łąkę sąsiada, ostatnio mnie tam koń powąchał i spadłam.

Nie zauważyłam tego konia wcześniej, bo z natężeniem wpatrywałam się w drogę.

Jak bardzo trzeba mieć ftapięte nerwy, żeby, obserwując uważnie drogę, nie zauważyć na niej KONIA?

Sama pomyśl.

Zygmunt do mnie napisał, i to tak, że mnie szlag trafił, jakby nie mógł mi różnych rzeczy powiedzieć rok wcześniej, tylko teraz, kiedy już mam męża, a z tym mężem dziecko, i w dodatku znajduję się na półkuli południowej.

Nawet niewiadać stąd Wielkiego Wozu.

Małego t[^]ż nie, ale mi to rybka, nigdy i znikąd go nie widzia293.

łam i tak.

Choć tabuny facetów próbowały mi go pokazywać.

Wiesz, dochodzę do wniosku, że mój piękny Zygmunt to jednaktchórz, dzieciak i taka jedna wołowa część ciała.

Nie potrzebuję kobiety, tylko marzenia.

Kogoś, do kogo mógłby wzdychać.

i jedyniewzdychać.

Słowa, słowa, słowa.

Do tej roli muszę nadaję.

A w życiu codziennym wołał nie ryzykować.

Mam rację?

Na mnie odległość działa ożywiająco, jestem z siebie dumna.

Conie znaczy, że za nim nie tęsknię.

Tęsknię.

Okropnie.

I za wami też.

Pewnie sobie siedzicie w "Banasiu" i pijecie piwo.

Powiedz Mietkowi, że umowa z browarem kończy się w połowie lipca, powinien wynegocjować drugą, na lepszych warunkach.

Sama nie zdążyłam, przeproś go.

Niech napuści Dudusia, jeśli się niewidziw rolinegocjatora.

Duduś nieżył jest, czasem go brałam jako obstawę do różnych umów.

Czy "słowa, słowa, słowa" to z Hamleta czy z jakiegoś naszego wieszka, bo nie pamiętam?

Sprawdź sobie w Google'u.

Będę do ciebie pisać często.

Mamy kota.

Miejscowy, ale nie torbacz, normalny, z cyckami.

Nie wiem, czy kot, czy kotka, bo młody, a u młodego można poznać tylko po tym, czy odległość pomiędzy dziurką do sikania a tyłkiem właściwym jest mała czy duża.

Nie będę kota mierzyć suwmiarką, żeby porównać z atlasem, a na oko toniemam porównania, gdyż dotychczas nie miałam zwyczaju oglądać kotów od spodu.

W każdym razie, Kazik na niego krzyczy, bo munał na klawiaturę.

Myślę, że obaj (oboje?)

) przesadzają.

Sprawdziłam.

Tekst jest z Hamleta, choć zbyt ambitnie to nie brzmi.

Ale wsumie jako odpowiedź na pytanie "Co czytasz?"

"jestnieży Lekko bezczelny.

WAustralii grawitacja działa z większą siłą.

Nie widzę innego wytłumaczenia dla tego, co zobaczyłam na wadze, i żeby jeszcze waga była jakaś tubylcza, ale skąd, z domu wzięłam.

Kazik mnie denerwuje.

Młoda mnie denerwuje, bo jęczy, że się nudzi.

Młody tylko jęczy, ale przypuszczam, że z podobnych powodów.

Szukam opiekunki, przytych odległościach czarno to widzę.

Nie rozumiem, dlaczego Kazik nie mógł znaleźć lokum normalnie, gdzieś w mieście, przecież na tym kontynencie istnieją miasta?

On jest zachwycony, nie moim zrządzeniem rzecz jasna, tylko okolicą.

Sąsiadumie produkować wino i jest całkiem przystojny.

Podobno jego żona

na wyjechała do Wielkiej Brytanii i bywa tu z rzadka.

Nie wiemw takim razie, kim jest tablondyna, która się płacze po obejściu.

Kazik mówi, że to opiekunka, mieszka z nimi na stałe, i że nairozsądniej będzie, jeśli myteż sprawimy sobie taką.

Ja nie chcę żadnego babsztyla w moim domu we dnie i w nocy.

Ratunku!

Widzę czarnona białym, jak wielurzeczy nieprzemyślałam, decydując się naten krok.

Za tydzień Agata idziedo nowej szkoły.

Kazik będzie jąwoził.

Kot asystuje panom remontowcomi pomalował sobie ogon naniebiesko.

Tak więc mam kotarasy australijskiej, niebieskiej.

Podobno kotynie istniały na tym kontynencie, są rasą napływową, przywleczoną przez imigrantów.

Zupełnie jak ja.

One się zaadaptowały.

Pozdrawiam.

Młody rozpoczyna swoją sesję popołudniowegonarzekania, więc muszę zakończyć swoją.

Magda.

P. S.

Nasz przystojny sąsiadma pięknie zbudowane ciało, opalone ismukłe, choć umięśnione.

Ma na imię Nikodem, polecam cijepod rozważę.

Szalenie mi się podoba (imię i osobnik), i w pewnym sensie jest naliterę "M", chyba sama to czujesz.

Buziaki.

M.

Hmm. Nikodem?

Coś jest na rzeczy.

Ładnie brzmi, choć nieco biblijnie.

Jedna znajbardziej poruszających postaci w Nowym Testamencie, jeśli już oBiblii mowa.

Myślący, wykształcony, jednocześniewrażliwy i otwarty na świat niewidzialny.

Odważny,choćaż Prawdyprzychodził słuchać nocą.

Przyjaciół Jezusa.

Nie apostoł, przy"jaciół.

Do niego Jezus powiedział bodajżenajpiękniejsze zdaniew całej Ewangelii,

„Duch wieje, dokąd chce, choć szum jego słyszysz.

I nie wiesz, skądsię bierze,i dokąd odchodzi.

".W tejnocnejrozmowiesam Jezuszwierzał się Nikodemowi zeswejufności w to, co niezrozumiałe.

Dzielił się nadzieją.

Kilka miesięcy później,jak podaje Księga,właśnie Nikodemowii jego towarzyszwidrogi, spośród wszystkich uczniów, Jezus ukazał sięnajpierw, poZmartwychwstaniu, w drodze do Emaus.

Jezus,jak zwykle i we wszystkim, odwracał kolejność zdarzeń,przekraczając wszystko na drugą stronę.

Najpierwkobiety, potemprzyjaciół, na końcu uczniowie.

Czyli?

Najpierw miłość,bezwarun295.

kowa i instynktowna, potem przyjaźń, a na końcu zadanie?

I -może tak zawsze powinno być?

Stałam nad łóżeczkiem młodego.

Nie spał, obdarzył mnie poważnym spojrzeniem.

Patrzyłam na jego pięknie wysklepione czołko, na myślące, granatowe oczy, w których odbijało się światło.

- Nikodem - powiedziałam i w jego spojrzeniu zobaczyłam cień śmiechu.

Nikodem.

Zdecydowanie, to imię JESTna "M", i pasuje do mojego syna.

Niech mówią, co chcą.

Swoje wiem.

MĘSKIE PLOTKI

Żal mi Dominiki.

Snujesię po świecie jak cień samej siebie.

Paweł zdecydował się na Madryt, wylatuje już za parę dni.

Nie znam szczegółów, wiem, że decyzja była szybka, spowodowana częściowo względami osobistymi, cokolwiek to znaczy.

Odezwali się do siebie w końcu, zaraz po tym jak Pawełek wrócił do babci z mazurskich jezior, przegadali całą noc, już bez złości, i wygląda na to, że definitywnie się rozstali.

Jeśli chwilę wcześniej się pogodzili, to co było przyczyną?

Dominika załatwiła tymczasową kwatery w swojej przyszywanej siostry, wyposażyła go swoje stare mapy i przewodnik oraz tysiąc dobrych rad.

Przyszła do mnie zaraz po tej rozmowie, o dziewiętej rano, wypila cztery kawy i wypaliła całą paczkę fajek, chociaż zazwyczaj pali tylko od wielkiego dzwonu.

Mówiła niewiele, trochę sobie porządkowała w moją kanapę, następnie wzięła prysznic i zrobiła staranny makijaż.

Powiedziała, że nie chce wracać do domu w kiepskim stanie.

Ruszyła się dopiero wtedy, gdy musiałam wyjść na seminarium, a ona zaczęła zasypiać nad piątą kawą.

Wcześniej przez godzinę siedziała skulona i wpatrywała się w osiemnastą stronę "Gazety Wyborczej".

Sprawdziłam, był tam artykuł o upadku przemysłu węglowego w środkowej Europie.

Średnio ciekawy.

Nic z tego nie rozumiem, ale serdecznie mi jej żal.

Świat ostatnio jest dość paskudny, szary, pełen pośpiechu, rozstań i niedopowiedzeń.

I ciężkich egzaminów.

W charakterze sta296

rego dobrego antidotum na to wszystko wybrałam się na prawdziwą męską imprezę.

Było śmiesznie.

Nie mam pojęcia, skąd się wzięło w przyrodzie przekonanie, że mężczyźni gadają o pewnych sprawach i w ogóle są mniej plotkarscy.

Akurat.

Ponieważ w ciągu ostatniego roku niewiele było chwil, które mogłabym spędzić z mężem, bez dzieci, za to w jakimś miłym, zakręconym towarzystwie, zaczęłam czegoś brakować w życiu.

Nadarzyła się okazja, grono imprezowiczów składać się miało co prawda z samych samców, ale mój ślubny wyłamał się i wystosował w moją stronę ostrożne zaproszenie.

Napaliłam się jak nastolatka na pierwszą dyskotekę.

Opiekunce zaproponowałam podwójną stawkę, obiecałam usnąć dzieci na mur betonowy, napompować święty materac (dla gości), oraz zapewnić jej dostęp do filmów DVD i innych atrakcji. Zgodziła się zamieszkać u nas na całą jedną noc.

Matka Od Dwóch Tygodni Całkiem Niekarmiaca może pić dorana.

Poszliśmy wszyscy do "Banasia", gdzie za barem tkwił smętnie Mietek wraz z Tymonem.

Pomimo piątku klientów w knajpie nie było zbyt wielu, zdecydowanie stanowiliśmy największą grupę.

Popółgodzinie Miecio porzucił miejsce pracy i przysiadł się do nas.

Nie minął kwadrans, jak w progu pojawili się Duduś z Baronem.

Dostawiliśmy drugostolik.

Na imprezie faktycznie byłam jedyną samicą, ale zaprzyjaźnione samce potraktowały to jako nieszkodliwy folklor.

Po czterdziestu minutach i dwóch piwach przestali zwracać na mnie uwagę.

I zaczęło się.

Na pierwszy ogień poszedł kolega mojego męża, ten od "Pani E.

". Zasadniczo również został zaproszony, przybył, ale po pewnym czasie zrobiły mu się, zupełnie jak Dudkowi, lepkie końcei poszedł tańczyć.

Jakieś tam bliżej nieznane samiczki płaśały po parkiecie.

Kolega, żeby nie wiem co, zawsze musi sobie przygruchać jakąś babę, bez tego impreza jest nieważna.

Panowie przy stoliku postanowili rzeczskomentować.

- Ten to ma - powiedział z żalem w głosie Adam, szef projektu, od dwóch miesięcy szczęśliwie żonaty.

- Nakażdejbibie świeżemięso.

Nie uśnie bez wkładu w pościeli.

Ciekawe, dlaczego?

297.

- Nie jest przy tym przesadnie wybredny - zauważył Duduś, patrząc jak kolega obraca w tańcu chudą, rudą studentkę, która ruszała się co prawda świetnie, ale za to błyskała w mroku aparatem ortodontycznym, uplasowanym na siekaczach godnych nutrii albo jakiegoś innego gryzonia.

- Potwór nie potwór, ważne, że ma otwór - wtrącił Mietek, wielbiciel wszelkiego rodzaju sroganów.

- No - pokiwał głową Bartosz, specjalista od zarządzania zasobami ludzkimi - mniej więcej. A potem narzeka, i każe nam przysięgać, że następnym razem go powstrzymamy.

- Akuratsię da - odezwalsię mój mąż.

- Próbowałem nieraz.

On w ogóle daje niezłe zmiany.

- Owszem.

Na przykład przy hipnotyzerze - przypomniał Włodek, handlowiec.

Duduś z Mietkiem wyrazili zainteresowanie.

Ja, szczerze mówiąc, również.

Nic nie słyszałam o hipnotyzerze.

Mój mąż zdecydowanie zbyt mało mi opowiada.

Może się obawia (słusznie, poniekąd), że wykorzystam w literaturze.

- Imprez była niedawno, firmowa - wyjaśnił grzecznie małżonek, głównie w moją stronę, widocznie popatrzyłam na niego jakoś groźnie.

- Generalnie spokój i profesjonalizm.

Żadnych dup.

- Wszyscy przyszli odpasa w górę?

- Mietek zaśmiał się głupkowato.

Mąż przewrócił oczami.

- Rozmówki firmowe przy kolejnym piwie, czysty biznes, bomieliśmy gości z zagranicy.

Specjalnie dla nich - było ich aż dwudziestu - odbył się koncert pewnego zespołu oraz pokaz hipnozy.

Zleciała się naniegocąca knajpa.

Swoją drogą niesamowite to było.

- Bardzo niesamowite - przytaknął Adam.

- Koleś wybrał z sali cztery osoby, jakiegoś chudego młodzieńca, naszą Beatkę dwóch brzuchatych facetów w średnim wieku.

Po czym robił z nimi naprawdę dziwne rzeczy.

Jeden gostek na przykład, ten młody, stał przez pół godziny na palcach, z rękami wyciągniętymi do góry.

I nawet się nie zmęczył.

Ale i tak nic nie przebił naszego kolegi, który po dobrych kilkubaniach stał pod sceną, skakał i wydzierał się: "Idź na całość!"

Pokaż cycki!

Idź na całość!

Pokaż cycki!

", przy czym nie wiadomo, kogo dokładnie miał na myśli: hipnotyzera, Beatkę, chudego studenta, czy tych dwóch brzuchatych.

Na drugi dzień nic nie pamiętał.

- Cycki Beaty to on chyba widział - przypomniał sobie Adam.

298

- I owszem - zachichotał Włodek.

- Jakieś dwie imprezy wcześniej.

On to jest.

- Żywemu nie przepuści.

To znaczy żywej.

- Adam w zadumie pokiwał głową.

- Zazdroście?

- Mietek jak zwykle zadawał dyskretne pytania.

- Też byście tak chcieli!

- Niezupełnie - stwierdził mój mąż po namyśle, a panowie spojrzeli na mnie i zarechotali.

Pewnie, co innego miał powiedzieć?

Ale mój mąż dalej kręcił głową.

- Bo widzicie, on wcale, po tym wszystkim coby uprawia, nie jest zadowolony.

Postanawia poprawę dwarazy w tygodniu, a potem znowu swoje, byle impreza i ląduje w łóżku z jakąś babą.

Za każdym razem inną.

Musi.

- Może niepotrafi się onanizować - wysunął przypuszczenie mój ulubiony barman, to jest, przepraszam, właściciel lokalu.

- Mietek!

- Przewróciłam oczami.

- Trzymaj pewien poziom, bardzo cię proszę.

- Ja trzymam - odpowiedział godnie Mićcio.

- To inni nie trzymają, a ja jestem wśród nich jak brylant bez skazy.

- Czyżby?

- odezwałem się milczący dotąd Duduś.

- A w zeszłym tygodniu?

Mietek rozejrzał się na boki niespokojnie.

Wszyscy przy stoliku, zelektryzowani, wpatrywali się w niego.

- No.

- powiedział powoli - e.

Chodzi ci o tę małą blondynkę, we wtorek?

Duduś pokiwał głową z szerokim uśmiechem.

Mietek spojrzał na mnie, szalenie stropiony.

Ale numer!

Miałam naszego Mićcia zaporządnego człowieka, być może tylko i wyłącznie dlatego, że ostatnio bywam w lokalach raczej po południu i niewidzę.

końca niejednej imprezy.

Ale że Dominika mi nie mówiła?

Pewnie była zajęta swoimi.

sprawami, pomyślałam nagle.

- No, Mićciu!

- nie darowałam sobie - przyznaj się.

Ten postanowił wziąć byka za rogi.

- A o toż mylisz się, Dudek, i wyciągasz wnioski zbyt pochopnie!

- powiedział ze złością.

- Owszem, tańczyłem z tą małą, fajna dupcia świetnie się rusza.

- Rusza, powiadasz - mruknął Baron na stronie.

Kopnęłam gow kostkę, niech Mietka nie denerwuje, bo chcę się dowiedzieć, coby kombinował.

- Rusza - warknął Mietek.
- Rękamirusza i biodrami.

Wtańcu.

Możliwe, że na końcu zostaliśmy sami - tu łypnął okiem na Dudka, który, szeroko uśmiechnięty, pokiwał powoli głową i wypuścił dym przez nozdrza - ale niewiele więcej się wydarzyło.

To znaczy, nic więcej.

Okazało się, że.

to znaczy zdecydowałem.

zorientowałem się w porę, że onamnie jednak nie bardzo pociąga -zakończył stanowczo i zgasił papierosa takim ruchem, jakby conajmniej ukręcał Dudusiowi łeb.

- To znaczy, że ci nie stanął!

- wysunął roboczą hipotezę Baron.

Mietek spojrział na niego tak, że po Baronie powinien pozostać tylko dymiący krater.

- To znaczy, że mnie nie pociąga - wysyczał.

- Na tyle, żeby miał wdawać się w jakieś komplikacje.

I już!

- Czyli ci nie stanął- zdecydował Baron.

Mietek pociągnął nosem i opuścił towarzystwo, udając że musi pomóc Pawłowi za barem.

Przy barze siedział jeden samotny klient.

- Sięgam na ludziach - oznajmił Baron z zadowoleniem.

- Szkolenie miałem z psychologii.

- ...

Zelementami seksuologii?

- spytał Duduś.

- Momenty były - przytaknął Baron, a Dudek się zdziwił.

- Aleracje takie o dewiacjach.

- Ze nie stanął potakiej ilości wody, to żadna dewiacja - powiedział Włodek i odwrócił swój kieliszek dogóry dnem, conieumknęło bystrym oczkom kolegów.

- Che, che - zarechotał Bartosz.

- Jakieś plany na dziś?

- Nie twój interes - odciął się krótko.

- Pewnie, że nie mój - zgodził się Bartosz bez oporu.

- Mój zawsze staje.

Trzeba przyznać, że męskie imprezy bywają ciekawe.

Obgadywany wcześniej kolega chyba tak nie uważał, bo cał czas obtańcowywał baby na parkiecie i w końcu odjechał jednataksówką z pewną bardzo apetyczną brunetką.

Panowie wygłosili kilka słów komentarza, z gatunku tych, których zdecydowanie nie powinno się umieszczać w druku.

Dwie flaszki później rozmowa przeszła na kobiety lekkich obyczajów.

- Zawsze byłem ciekaw, o czym one tak sobie rozmawiają, stojąc na ulicy - powiedział Adam.

- I wiecie, co?

Mój kumpel ma mieszkanie

przy placu Biskupim, dokładnie tam, gdzie trzeba.

W nocy głosi się nieźle niosą, paliliśmy kiepy na takim małym balkonie, na dwie stopy, i pod słuchiwaliśmy.

Rozmawiali o pomidorowej.

- CO?

- zdziwił się Dudek bezgranicznie.

- O czym?

- O zakupie pomidorowej.

Rozpracowywały temat przez pół godziny.

Jedna się dziwiła, że druga zawsze dodaje czosnek, trzecia radziła jeszcze szczyptę majeranku, a czwarta zwierzyła się scenicznym szeptem, że zawsze podaje pomidorową z lanymi kluseczkami, a nie z jakimś tam chromolonym kupnym makaronem.

- Powiedziała "chromolonym"?

- zainteresował się Baron.

- Trochę inaczej- zgodził się Adam.

- Nie chciałem się wyrażać.

- No było o "chromoleniu", co chcecie - zarechotał mój mąż.

- Tak- powiedział Adam i otworzył kolejną flaszkę - makaronu.

- Onew ogóle całkiem normalne są.

I litościwie- zaśmiałam się nagle.

-W zeszłe wakacje, tuż przed ciążą, miałam manię jeżdżenia na rolkach na Rynek, w celu redukcji masy ciała.

Bilans wychodził mi w sumie na zero, bo na tym Rynku zawsze jakieś małe piwko obalałam, ale przynajmniej nie był dodatni.

Mniejsza z tym.

Jechałam kiedyś Krowoderską, późno już było, latarnie świeciły tak sobie, inie zauważyłam wystającej płytki chodnikowej.

Orławywinęłam w pięknym stylu, aż ziemia jęknęła, dokładnie tam, gdzie narogu stoją o tej porze panie.

Rzuciły się na pomoc bez sekundy namysłu.

W dodatku spadłam siedzeniem dokładnie na tę wystającą płytkę, co sprawiło, że wrzasnęłam jedno krótkie słowo, które w tej sytuacji zabrzmiało jak okrzyk powitalny.

Chociaż, zważywszy na okoliczności, powinnam była krzyknąć w liczbie mnogiej.

A później na dłuższą chwilę straciłam dech.

Panie - było ich ze cztery - troskliwie pomogły mi pozbierać się z podłoża, otrzepały, podały upuszczony plecaczek i wypytały, czy aby nic sobie nie zламаłam.

Miłe były i naprawdę przejęte.

- W sumie to.

miłosierdzie należy do ich zawodu, w pewnym sensie - zauważył Duduś.

- Można nawet powiedzieć, że stanowią jego kwintesencję.

- A pamiętasz ten wywiad w telewizji?

Z tancerką z klubu go-go?

-zapytał mój mąż.

- Pamiętam!

- ucieszyłam się - Słuchajcie, to było niezłe.

Taką wydepilowaną, mocno umalowaną Lolą opowiadała o swojej pracy, mniej więcej w tym stylu "Klub jest tu taki, jak powinien być.

301.

yyy..

praca fajna, koleżanki są takie, jak powinny być.

yyy.

dobrze nam się tańczy, klienci są tacy, jak powinni być.

yyy.

i nasz właściciel.

yyy.

a taniec.

.yyy.

a taniec jest pasją mojego życia, i przebieganie.

yyy.

i to dobrze, że ludzie przychodzą patrzeć, jak tańczę, i czuję się świetnie, jak mogę dla nich wystąpić.

yyy.

i to jest tak, jak powinno być.

".

- A na końcu dziennikarz zapytał, czy zamierza tak tańczyć do emerytury - dodał mój mąż.

- A ona widocznie nie miała tego scenariuszu nie przygotowała sobie odpowiedzi, więc obruszyła się wyraźnie i powiedziała: "Czy pan zgłupiał?"

Przez całe życie mam zamiar zapierać się na tej głupiej rurze?

Jeszcze parę lat i trochę zarobię, może gabinet kosmetyczny założę albo szkołę tańca".

- .. .

na rurze - dodał Baron.

- Naprawdę myślisz, że poprzednią wypowiedź miała przygotowaną?

Mój mąż wyszczerzył się jak kretyn.

- Yyy.

- powiedział - tak powinno być.

- No.

A pamiętacie Agnieszkę z night klubu "Albatros"?

Tę, która była fanką Michaela Jacksona?

- Jasne, że pamiętamy!

- przytaknął mój mąż, nalewając następną kolejkę.

Uniosłam brwi.

- To ten lokal z rurami przy rondzie.

Chyba nawet byłeś tam kiedyś - przypomniał.

Tym razem unieśli brwi koledzy męża.

- Pewnie, że byłem - przypomniałam sobie i zachichotałam.

- Poszliśmy razem z Magdą, w celu podniesienia sobie poziomu życiowych doświadczeń.

Bardzo dawno temu.

Agnieszka to była ta w kasku?

- Dokładnie.

Gadaliśmy z nią kiedyś i opowiadała nam, że taniec Michaela Jacksona to dwie pasje jej życia.

Wszystkie jej stroje są zainspirowane jego przebrańkami, sama je sobie szyje i wymyśla.

- A ja się zastanawiałam, kto im każe przebierać się w te koszmarki - wyznałam.

- Nie przypominam sobie, żeby Michael Jackson tańczył w kasku.

Zycykami na wierzchu.

- To tylko mała inspiracja, mówię przecież.

Ona była z siebie bardzo dumna.

I zadowolona.

A jej dwie koleżanki to studentki, ponoć.

Ubierają się trochę spokojniej, na przykład w same stringi, tak po prostu.

- To jest spokojniej?
- zdumiał się Włodek.
- Miałem na myśli, że bez udziwniania.
Z powodu swoich strojów i choreografii Agnieszka robi za gwiazdę tym lokalu.
302
- To ja przepraszam - powiedział Włodek.
- Ja tam mam małego świadka życiowego, po prostu burak jestem.
Nie to, co twoja żona.
A byliście może kiedyś w agencji towarzyskiej?
- Bez przesady!
- odezwaliśmy się jednocześnie.
Wyszedł niezły chórek.
- Co: bez przesady?
- Włodek wzruszył ramionami.
- Myślałem, że jak razem chodzicie do klubu go-go, to może do agencji też.
I tak, nieznam, szczerze mówiąc, drugiej takiej pary.
- Tańca na rurze to jedno, a burdel to drugie, nie ma porównania.
Tego drugiego nie potrzebuję.
A poza tym wcale nie byliśmy razem, ja byłem z chłopakami, a moja żona z koleżanką - wyjaśnił spokojnie mój mąż.
- I nie jest to nasz ulubiony lokal, poszliśmy raz, tak dla hecy.
..no, może ja byłem w różnych miejscach świata kilka razy.
- A ja byłem w agencji - pochwalił się nagle Mietek, który niepostrzeżenie wrócił dostolika.
- Też raz i w zasadzie dla siupów.
Strzelił nam z kumplem do głowy taki pomysł.
- I co?
- zarechotał Duduś - Pociągały cię.
panie czy też nie?
- Skąd!
- wyznał Mietek.
- Może i na początku mieliśmy z kolegą jakieś zaawansowane plany, ale jak posiedzieliśmy chwilę przytym ich barze, w małym domku przeznaczonym specjalnie do tego celu, to nam przeszło.
Dziwek było cztery i wiecie, co?
Wszystkie nieopisane smutne.
Coś tam próbowały zagadywać, żartować, a letym bardziej było to.
kompletnie beznadziejne.
Wypiliśmy podwa najdroższe drinki świata i zwialiśmy.
Nikt nas nie gonił, widocznie panie również uznały nas za niewartych zaangażowania.
Zwłaszcza po tym, jak płaciliśmy za ostatniego drinka, wygrzebując ostatnie grosze po kieszeniach.
- To coś nieprzygotowani poszliście, koledzy - mruknął Adam.
Mietek wzruszył ramionami.
- Bankomat był w okolicy, jakby co.
Ale szkoda się było fatygować.
Poszliśmy (ak sobie, na zwiady).
- Może wybraliście nieodpowiedni lokal?
- Może - zgodził się Mietek i otworzył flaszkę.
Czwartą, o ile się nie mylę, choć o tej porze z liczeniem u mnie kiepsko.
Na drugi dzień koledzy powiedzieli mojemu mężowi, że byczyze mnie chłop - pewnie słuchałam uważnie i zanosłam się dośmiewać w odpowiednich miejscach - i mogę częściej nimi pić.

Nie mogę.

Zestarzałam się i dnia następnego zespół przestał mi się podobać.

Przez pół dnia przyjąłm całkowitą dozwoloną dawkę paracetamolu i udało mi się nawrzeszczyć nawet na Nikodema, bo mi się naraził.

Chciał jeść.

I w dodatku zrobił wielką, śmierdzącą kupę.

Jest jeszcze młody inie wie, że jak ktoś ma kaca, to pod żadnym pozorem nienależy mu śmierdzieć w pobliżu.

Bombę biologiczną rozbroił mój mąż, co powinno być odnotowane w kronikach rodzinnych, bowiem zdarzyło mu się to może po raz czwarty w życiu.

Jak na kogoś, kto ma troje dzieci, niezła średnia,

Postanowiłam, że nie będę już taka ugodowa.

Na kacu wiele krwiożerczych postanowień przychodzi mi do głowy.

W ramach realizacji postanowienia natychmiast wydarłam mężowi z zębów ostatni kawałek kiełbasy.

Może jeść suchy chleb, a dzieciom należy się białko zwierzęce.

Koniec, kropka.

Kiełbasą Malwinka nakarmiła kota i mąż miał później do mnie częściowo uzasadnione pretensje.

Z pamiętnika Dominiki N.

Dwunasty

Więc to tak się kończy?

Tak po prostu?

Jeszcze niedawno było wspaniale, wspólny śmiech, tysiące tematów, miłe żarciki rozjaśniające każdy dzień w pracy, leniwe rozmowy.

.. Wyjazd nad morze, tamto intensywne uczucie więzi i uporządkowania, jakby nareszcie coś w moim życiu wskoczyło na swoje miejsce, nawet śniadanie u mojej matki, na którym wreszcie przedstawiłam Pawła.

Jego szalone zabawy z Marcelkiem, w Ostrowie i w Madrycie.

I moje poczucie zagrożenia, które mówiło mi, że ta historia dobrze się nie skończy.

Ostatnio wprawdzie umilkło i schowało się.

A jednak.

Wydzwaniałam do niego na komórkę tak długo, nie zważając na wewnętrzne opory i honory, aż w końcu się odezwał.

Powiedziałam

łam, że musimy porozmawiać, pilnie i w cztery oczy.

Westchnął i obiecał, że wróci od babci jutro wieczorem.

Jeszcze jest potrzebna na miejscu, babci i mamie.

Spokojnie, rzeczowym głosem wyjaśnił, że jego obecność tam jest spowodowana tym, że dzieją się różne rzeczy, babcia straciła już resztkę rozsądku, trzeba jej zmienić szpital z zwykłego na psychiatryczny, w dodatku odbywają się różne rodzinne gierki o sprawy spadkowe, bardzo niemiłe. Przyjedź najrybciej, jak się da.

Odłożyłam słuchawkę i zrobiło mi się wstyd.

Zawsze biorę wszystkiego do siebie inie widzę nic, poza czubkiem własnego nosa.

Myślałam, że on zwyczajnie uciekł przede mną, a tu okazało się, że naprawdę musiał pomóc swojej mamie.

Ziemia nie kręci się wokół panny Dominiki, powiedziałam sobie surowo.

I chwilę później pomyślałam, że może ten pomysł z Madrytem jest uzasadniony.

Nie znam wszystkich problemów rodzinnych Pawełka, może on z jakiegoś powodu naprawdę bardzo potrzebuje kasy?

Jestem potworną egoistką.

Nie przyszło mi coś takiego do głowy, choć to proste.

Zagarniając go dla siebie nawłasność, jednocześnie tak mało interesowałam się jego sprawami.

Choć polubiłam jego mamę, ba, zadeklarowałam kiedyś nawet pomoc przy babci, bez konkretów, ale zawsze.

Zapomniałam o tym, tak zwyczajnie.

Nic mnie nie obchodzi oprócz moich własnych historii miłosnych, takież fakty.

Kocha, nie kocha?

Kocham, nie kocham?

Matka, babcia, dziecko, studia, nawet przyjaciele, to wszystko przeszło na dalszy plan.

Potwornie daleki.

I pomimo chwilowego zawstydzenia nie chciało przesunąć się ani odrobinę bliżej, ponieważ Paweł, tak jak obiecał, przyjechał zaraz następnego dnia.

Stał w progu (akurat przekładałam bezmyślnie papiery na zapleczu, udając że sprzątam) i założył ręce na piersiach.

- Słucham cię- powiedział.

Oczy miał pochmurne.

- Chciałaś porozmawiać.

- Może nie tutaj?

- ogarnęłam ręką zawalone papierami pomieszczenie.

Leciutko wzruszył ramionami, a we mnie od razu zbulgotałałość.

- Nie sądzisz, że powinniśmy wyjaśnić sobie kilka spraw?

305.

Wstałam, otrzępałam zakurzone dłonie i podeszłam do niego.

I, nieoczekiwanie dla samej siebie, wyciągnęłam ku niemu te czarne końcówki.

- Hej - powiedziałam, przytulając się.

- Stęskniłam się za tobą.

Poklepał mnie po plecach, zupełnie jakby nie wiedział, co zrobić z tym zwierzątkiem.

, ^

- Hej - odpowiedział po chwili.

- Notochodźmy.

;ftZgłosiłam Tymonowi, który tkwił za barem, że olewam zaple?

cze, jak wpadnie sanepid to zapłacę karę z własnej kieszeni zastanpomieszczeń służbowych, a teraz mam ważną rozmowę do przeprowadzenia i spadam.

- Spadaj- odrzekł, uśmiechając się znacząco.

Jak znam Mietka, zdążył wypaplać mu to i owo.

Kiedyś zamuruję Mieciowi ten głupi dziób.

Poszliśmy po linii najmniejszego oporu do najbliższej knajpy, w bramie obok, ale tam obserwował nas Zaprzyjaźniony Barmani rozmowa nie kleiła się ani trochę.

- Jedźmy do mnie - zaproponował w końcu Paweł znużonym głosem.

- Mam wolną chatę, mama została jeszcze na Mazurach.

Zakupiliśmy, bardzo rozsądnie, dużą ilość wina i gdzieś w połowie drugiej flaszki zaczęliśmy wreszcie rozmawiać jak ludzie.

Powiedzieliśmy sobie dużo rzeczy.

Wbrew radom mamy, adokładnie pewnego księdza z jej przeszłości, przyznałam się do

Briana (Paweł aż się skulił, Mietek zdecydowanie nie powiedział mu wszystkiego).

Opowiedziałam mu o swoim własnym problemie z zaufaniem, sobie i innym, o bezsensownej zaciętości, o moich rozmaitych życiowych dylematach.

Staralam się dodać, pomiędzy wierszami, jak bardzo mi na nim zależy.

W zasadzie, dobre dwie godziny był to wyłącznie mój własny monolog.

Paweł słuchał.

- Co teraz będzie?

- zapytałam w końcu, podnosząc wzrok pierwszy raz od dłuższego czasu.

- Nie wiem, Dominiko - odezwał się po chwili.

Palcem rysował wzorki w plamie wina na białym stole.

Trochę rozlało się przy otwieraniu.

- Naprawdę nie wiem.

Dotarło domnie ostatnio, z całą mocą, jak bardzo jesteś zapatrzona w siebie, i że prawie cię nie znam.

Wszystko, co sobie myślałam na swój temat, mogłoby być wytworem mojej wyobraźni.

- Zaśmiała się nagle i był to śmiech nie306

miły, gorzki.

- Widzisz, na przykład wyobraziłem sobie, że wierność ma dla ciebie podstawowe znaczenie, tak samo jak dla mnie.

Nasz związek mimo wszystko powoli się rozwijał, chociaż zaczęliśmy od spraw zasadniczych.

Na początku sądziłem, że potrzebujesz czasu, aby otrząsnąć się z tej całej historii z ojcem Marcelką, i szanowałem to.

Później - że może pewne decyzje podejmujesz powoli, rozważnie, i choć twoje piękne ciało mam od dawna, twoje serce jest ostrożne i

i że muszę sobie na ciebie zasłużyć.

Próbowałem.

Staralem się być zyciwy i pomocny, żebyś zawsze mogła mnie liczyć.

Nie wiem, czy zauważyłaś, ale od pewnego czasu upiję o wiele mniej niż przedtem.

Myślę o przyszłości.

Zapisałem się na powrotem na studia, nie mówiłem ci wcześniej, bo chciałem zrobić ci niespodziankę.

Pomyślałem, że skoro ty mogłaś podjąć naukę po trzech latach przerwy, to ja po pięciu też mogę. Zatkąło mnie w tym momencie.

- A teraz już nie wiem.

- Westchnął, mrużąc oczy.

- Wtedy, w trakcie tej naszej bezsensownej kłótni, tak szybko uznałaś, że w zasadzie mnie nie potrzebujesz.

- Bałam się - odpowiedziałam bez sensu.

- Może.

- Paweł uśmiechnął się lekko.

- Zupełnie nie przyszło ci do głowy, że może to ja potrzebuję ciebie.

Nie chcę cię teraz dołować, Dominiko, ale zobaczyłem cię w innym świetle i sam nie wiem - powtórzył kolejny raz.

- Coś się we mnie załamało.

Przykro mi.

- Niewiele trzeba, żeby cię załamać!

- rozżościłam się nagle.

Może jestem niesprawiedliwa, ale jeżeli pierwsza poważna kłótnia prowadzi do takich rezultatów, to ja też nie wiem, czy ten związek ma sens.

Powiedziałam mu to.

Dołożyłam jeszcze, na deser, że jeżeli ma takie podejście, to naprawdę trudnemu będzie znaleźć partnerkę nastalę.

Ponieważ ludzie nie są idealni.

Pokręcił głową i odwrócił wzrok.

- No właśnie - powiedział cicho - ja też nie wiem, czy ten związek ma sens.

Siedzieliśmy po dwóch stronach tego samego łóżka, on podściana, ja w nogach, i dzielił nas, oprócz grubego koca, cały świat.

Milczenie, pełne niechęci, przeciągało się.

A potem nagle Paweł przysunął się do mnie i odgarnął mi włosy z twarzy.

Oczy miałam zapuchnięte.

I nie chciało mi się już mówić ani słowa.

307.

Jak to się stało, że po wszystkim, co powiedzieliśmy sobie przedminutą, był to najbardziej udany seks w moim życiu, to naprawdę wiem.

Mimo to nad ranem ogarnął mnie chłód, nie tylko dlatego, że Paweł wyszedł na balkon, zapalić papierosa.

Ubrałam się, bardzo pobieżnie, i poszłam za nim.

- I co teraz będzie?

- Powoliłam pytać, wtulając się w jego plecy.

- Wyjedziesz?

Pokiwał głową w milczeniu.

- Wyjadę.

Z różnych przyczyn nie widzę innej możliwości.

Pojedziesz ze mną?

Zaskoczyło mnie to pytanie.

Ależ my jesteśmy pokręcani.

- Nie- odparłam po chwili.

- Z różnych przyczyn nie.

Odłożył papierosa i obrócił się twarzą do mnie.

Pogłodził mnie po zmierzwiionych włosach.

- Zobaczmy, co będzie, jak wrócę - powiedział po prostu.

- Dajmy sobie czas.

- Zawsze tak się mówi - mruknęłam.

- Ale nie zawsze daje się sobie czas.

- Uśmiechnął się i pocałował mnie w czoło.

I to było całe nasze pożegnanie.

Spotkałam się z nim dzisiaj, przyniosłam mu mapy i różne rzeczy odmamy dla Izuni.

Ale nie pojedę w sobotę na lotnisko.

Tym razem Paweł leci samolotem.

Niech sobie leci.

Nie wiem, czy życzę mu pomyślnych wiatrów.

Coś mnie w jego słowach bardzo uraziło.

Poza tym nie wiem, czy mam paranoję, czy też oczka mu błyszcządziwnym rozmarzeniem, gdy mówię cokolwiek na temat Izuni.

Możesz leżycie pogrzebany?

A może jednak mam tę paranoję?

Iza to moja siostra i zaraz jej napiszę i owo, tak na wszelki wypadek.

Niech będzie, że jestem wredna, samolubna i zapobiegliwa.

Niech mi go tam pilnują tym Madrycie i trzymają z dala od pięknych kobiet, a zwłaszcza od siebie samej.

30Ś

Marta

DZIEŃ PRZED

Za dwadzieścia trzy godziny test z internetu.

Czy ludzie muszą cierpieć na tyloróżnych schorzeń?

I wymyślać tyle leków?

Kiedyś było tylko upuszczanie krwi i pijawki, a ludzkość też przetrwała.

Muszę się uczyć.

Muszę się uczyć!

Zacznę od zrobienia sobie pożywnej śniadanki - dwie kromki z serkiem i ogórkiem i kielbaska z grilla.

Nawrzeszczałam na kminek.

Posądziłam go o bycie mrówką.

Nie będą jakieś tam owady zżerać mikanapek.

Kminek się nie przejął.

Uczyć się muszę.

Dla relaksu - przed czekającym mnie wysiłkiem intelektualnym- umówiłam się na poranną kawę z koleżanką z grupy, mieszkającą w okolicy.

Pojechaliśmy na Rynek, żeby było dalej.

Piękny dzień, lato w pełni.

Siedzimy w ogródku i dołujemy się wzajemnie, wyliczając, czego jeszcze nie umiemy, a co napewno umiejemy.

I którzyinni.

I co my dwie o owych innych myślimy.

Możem przynajmniej wyskoczyć pypcie na języku.

Nie minęło pół godziny, jak do koleżanki dołączył jej narzeczony, z pretensjami.

Najpierw długo wydzwaniał.

Zarzucał jej, że obiecała wymienić opony, a nie wymieniła i miał przez to jakieś samochodowe pierępały.

-Nie będę teraz latać za oponami!

- warknęła koleżanka.

-Uczę się.

Przed nami wyrósł kelner, przyniósł zamówioną kawę latte i lody.

Narzeczony uniósł brwi.

- W czymś jeszcze można państwu pomóc?

- zapytał kelner.

- Owszem.

- Koleżanka pokazała na narzeczonego.

-Proszę

wynieść stąd tego pana.

Kelner zgłupiał na chwilę i potoczył wokół spanikowanym spojrzeniem.

Narzeczony się nadał.

- Eee.

- powiedział kelner - chciałem zapytać, czy państwo coś jeszcze zamówią?

309.

- Tak - odparła koleżanka, znowu wskazując na swojego chłopaka.
- Drugiego takiego samego, tylko bez fanaberii.

I jeszcze jedną kawę.

Narzeczony niewytrzymał i prychnął.

Kelner zapisał coś nakarteluszkę i znikł czym prędzej.

- Ciekawe, co przyniesie - mruknęła koleżanka.

Przyniósł kawę, którą narzeczony wypił dość pospiesznie, ale już bez humorków.

Zostawił nas i pojechał wymienić opony.

Muszę się uczyć!

Dla pełnego relaksu odbyliśmy krótki rajd po sklepach.

Kupiłam sobie paskudną zieloną bluzkę i kiczowate klapki.

Naprawdę muszę się pouczyć.

Wróciłam do domu i czule przywitałam mojego męża, który zostawił na blacie resztki śniadaniowe, zapraszając tym samym mroźki na imprezę.

- Ciągłeś kłócić - zauważyła z niezadowoleniem Miśka, przymierzając moje kłapki.

Były idealnie w jej stylu.

- Czemu się tak kłóć?

Postanowiłam opanować się na chwilę i zapewnić dziecku, że żyje w bezpiecznym, miłym domku, w którym wszyscy się szanują i bardzo kochają.

Wbrew pozorom.

- Miśku, kochanie, czasem tak jest, że ktoś się czuje zdenerwowany i wszystko mu przeszkadza.

Na przykład ja, przed egzaminem - wyjaśniłam.

- Ale sama popatrz: nawet, jak się z tatusiem trochę pokłócimy, to zawsze staramy się, jak dzisiaj, szybko dojść do porozumienia i nigdy się nie obrażać.

Przeprosiliśmy się i wszystko w porządku.

My się naprawdę szalenie lubimy.

- Aha - mruknęła Miśka, kiwając głową - kłócić.

Mój mąż na szczęście usłyszał przemowę, zrobił kawę, pocałował mnie w ramię i posiedzieliśmy chwilę na tarasie, w pełnej zgodzie i porozumieniu, w celach instruktażowych i nie tylko.

Miśka poobserwowała nas dłuższą chwilę i pobięła do kuchni karmić karasia.

Piękny ten nasz ogródek.

Wbrew moim obawom uporządkowałam się z czasem i o tej porze roku wygląda jak z obrazka.

"Się" ma na imię głównie "mój mąż".

Nie można żyć wiecznie w takim biegu.

Czasem trzeba zatrzymać się na chwilę, wypić kawę z ukochaną osobą, w milczeniu po 30 minut obserwować, jak kwitną azalie, przejść bosą po trawie, przez pół godziny nie robić nic.

Ale może, do cholery, niekoniecznie dzień przed egzaminem?

Próbuję się zmobilizować.

Uczyć się muszę, naprawdę.

Nikodem się obudził.

Macierzyństwo jest świętem, które również powinno się celebrować starannie.

Nic nie przywrócić czasu straconego przez nieuwagę.

Dziecko potrzebuje matki, niezależnie czy ona ma egzamin, czy nie.

Już za chwilę nie będzie taki mały i zabawny z uśmiechniętą bezzębną paszczą, i nie będzie z takim wdziękiem wymawiał "a gu".

Nie mogę tych chwil z moim dzieckiem odebrać samej sobie i jemu też.

Połąskałam go po brzuszku, zamruczał jak kot i obficie beknął.

Biały serek mam teraz wszędzie.

Muszę się przebrać.

Moja nowabluzka nie pasuje do tej spódnicy, więc szłam w podziemia i pośród worków z odzieżą letnią z zeszłego roku znalazłam w końcu taką, do której pasuje.
Wyprasowałam, bo zmięta.

Nieźle.

Tylko fryzurajaku szczur i bladatwarz.

Umyłam głowę i wykonałam najbardziej skomplikowany makijaż, na jaki mnie stać, zyskując aprobatę męża.

Czternaście godzin do testu.

Aaa!

Muszę się uczyć!

Wysadzając Malwinę na kibelek, próbuję za jej plecami trzymać kartkę z wykładem na temat pozaszpitalnych zapaleń płuc.

Co za debil wymyślił tyle rodzajów bakterii, skoro powszechnie stosowane leczenie itak jest takie samo?

Możeszże każdą bakterię zaczniemy nazywać osobno, z imienia i nazwiska?

A możeszże numer PESEL?

Wrr.

Moje dziecko sika jakoś z przerwami.

Może ma pozaszpitalne zapalenie dróg moczowych?

I jak to sprawdzić?

Nic nie umiem.

Przyszła moja teściowa, z powiększoną tarczycą.

To znaczy, powiększoną ma od czterdziestu lat, ale dopiero dzisiaj to widzę wyraźnie.

Przyniosłam sernik odbabci.

Babcia ma niemechaniczne bóle kręgosłupa.

Jezu, nie pamiętam, czym to się leczy.

t 311.

Babcia się nie leczy, bo nie znosi lekarzy.

W fazie ostrego bólu kładziesz się do łóżka, bierze tramal i denerwuje dziadka.

Dziadek ma cukrzycę drugiego typu i niedokrwioną chorobę serca, zwaną wieńcówką, o przebiegu bezbólowym.

I rozedmę, boprzezczterdzieści lat palił papierosy.

Jakie były te wszystkie badania płuca?

Spirometrię pamiętam pi razy drzwi, reszta to czarna dziura.

Muszę sobie zapalić.

Muszę się pouczyć.

Przyszła sąsiadka zaprosić moją Miskę na frytki, które nadmiernie jej się rozmnożyły.

Sąsiadka ma anemię syderoblastyczną, a jej dziecko atopowe zapalenie skóry.

Na atopowe zapalenie skóry są jakieś tam maści.

Nie wiem, czy taka odpowiedź usatysfakcjonowałaby egzaminatora.

Niemam pojęcia, czym się leczy anemię syderoblastyczną.

Wiem, że sąsiadka nie może pić alkoholu, nawet odrobiny, ale czy to wszystko?

Przyszedł listonosz.

Ma opryszczkę i plamy wątrobowe.

Zadzwoiła Lilka, która ma początki choroby wrzodowej, i Anka, która ma bliżej niezdiagnozowaną alergię.

Obie się nie leczą, comnie denerwuje, bo może przynajmniej wiedziałabym czym.

Listonosz się pomylił przyniósł paczkę dla mojej matki.

Moja matka ma zespół WPW i kamicę nerkową.

To ostatnie pomojej babci.

Moja babcia ma wrzody dwunastnicy i zwyrodniały kręgosłup lędźwiowy.

Ja mam zwyrodniały mózg.

Zażądałam stanowczo od mojego męża zająć się przychówkiem, nakarmieniem, wykąpania i przebraniaw piżamki.

Orazuśpienia.

Zaczął od włączenia i wszystkich "Nami" i wręczenia paczki pierniczek.

Nawet Niko, o dziwo, próbuje oglądać.

Pierniczka, mam nadzieję, nie dostał.

Coś czuję, że jak skończę sesję naukową, będę musiała śpiącym dzieciom zdejmować buciki i uwalniać mordki przyklejone doprześciera deł pierniczkami.

Niech się dzieje co chce.

Zadzwoiłam po koleżankę z okolicy, nie będę się przecież denerwować sama.

Może porozwiązujemy trochę testów.

312

Jako pomoc fachową i źródło wiedzy praktycznej zawezwałyśmy na pomoc Ankę.

Zainstalowałyśmy się wszystkie trzy w mojej bibliotece, bo tu mógłbyśmy mieć dostęp do Internetu, a my wszystkie - do niezliczonych książek moich oraz pożyczonych.

Większość obcych nam jeszcze terminów i tak najszybciej da się zweryfikować za pomocą wyszukiwarki.

Grzebanie po miejscami równie obcych podręcznikach zajmuje więcej czasu.

Zaparzyłam dwa litry herbaty z melisą i pomarańczami.

Anka mruczy, że chcą zamordować za pomocą alergenów zawartych w cytrusach, ale pije, bo nie chce jej się latać po piętach.

Otworzyłyśmy wszelkie możliwe okna połaciowe.

Nie minęło pół godziny, jak dostałyśmy ataku klasycznej głupawki.

Stupiditas preegzaminosa.

- Co to są problemy z fikcją?

- zapytała Anka, ślęcząc nad arkuszem testowym z zeszłego roku.

- To, co przeżywamy w tej chwili - mruknęła moja koleżanka, która również próbowała odcyfrować kolejne pytanie.

Ksero nie było najlepszej jakości.

- Chociaż to są raczej problemy z rzeczywistością.

A co?

- A bo mam tu coś takiego jako jeden z objawów raka pęcherza.

Odpowiedź "c".

- Problemy z mikcją, baranico!

Z mikcją!

Czyli z siusianiem!

- Ja tu mam "f" - zaprotestowała Anka.

- A ja tu mam mózg.

I czasami myślę.

Podaj mi wole - poprosiła kumpela.

- Bardzo chętnie, ale co ci mam podać?

- spytała Ania i wychyliła się życzliwie doprzodu, aż sterta notatek, na których siedziała, rozjechała się niebezpiecznie.

Nie mam trzeciego krzesła w bibliotece, dlatego Ania uplasowała się na źródle wiedzy

- Nie mówię do ciebie "wole", tylko wole mi podaj, czyli wykładz nadczynność tarczycy!

- A! - zrozumiała po chwili Ania.

- Czekaj.

nie widzę.

O, przepraszam, usiadłam na tarczycy.

- Anka akrobatka - mruknęła kumpela.

Uśmiełyśmy się jak hieny Zgięta w pół i przewieszona przez krzesło uświadomiłam sobie nagle, że niezależnie od wyniku jutrzejszego egzaminu to, co teraz przeżywamy, próbując się

współ1313.

nie przygotować do testu wśród chichotów, żartów i idiotycznych komentarzy, to są właśnie złote godziny życia - i że już niedługo, za tydzień, może dwa - pozostaną tylko wspomnieniem.

Następny etap drogi kończy się nieodwracalnie.

Warto było dotrzeć aż tutaj, warto pójść dalej - ale, w pewien sposób, żal.

Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, odpaździennikarozpoczne pracę.

Ja!

Jeszcze nie całkiem na serio, bez ogromu odpowiedzialności, z ograniczonym prawem wykonywania zawodu, pod czujnym okiem starszych kolegów ze szpitala.

Ale zacznę.

Nie będę się mogła notorycznie spóźniać, bo dziecko mi zaspao! nie zadziało jak żywy budzik, nie będę mogła rozłożyć rączek i objawić bez troski w szem w obec ogromu własnej niewiedzy, nie będę mogła obrócić się na pięcie i wyjść, jeżeli jakaś sytuacja przerośnie moją wątłą siłę.

Pierwsza godzina nowego dnia, TEGO dnia.

Ostatni egzamin.

Już dziś - pierwsza jego część.

Dziewczyny zebrały się już do wyjścia.

Odprowadzając je nadół, rzuciłam okiem w kierunku sypialni.

Dzieci rozparcelowane w własnych łóżeczkach, jednak w piżamkach.

Śpią.

Zaróżwione buziaki lśnią czystością.

No, no.

Kto by się spodziewał.

Chyba również położę się spać.

Drugą noc.

Mamo, ratuj!

Nic nie umiem.

Nic, anic.

Co ja tu w ogóle robię?

To znaczy, nie we własnym łóżku, ale w tej sytuacji?

Na tym kierunku, przedtym egzaminem?

I z tym stanem wiedzy?

Zasnęłam! śniłam się, że cofnęłam mnie do drugiej klasy szkoły podstawowej i dostałam dwójkę z wuefu.

Za maszerowanie od prawej nogi.

Naprawdę kiedyś dostałam.

Tyle żenie w drugiej, a w trzeciej klasie.

Wuefna szkolnym korytarzu prowadziła z nieznanymi mi do tej pory przyczyn matematyczka.

Może nauczyciele wykładanego przedmiotu z odpowiednim wykształceniem też byli w owych trudnych czasach na kartki?

W każdym razie bałam się przyznać rodzicom przez tydzień.

Nawet gorączki dostałam ze strachu.

314

Może bym tak dostała czegoś teraz?

Na przykład któregoś z tych strasznych zespołów ochrzczonych od nazwiska?

E, lepiej nie.

Większość lekarzy już dawno zapomniała, co to takiego i czym to się leczy.

Może sobie po prostu, zwyczajnie, porycze ze strachu?

Ha. Nie ma to jak mieć dzieci.

Niezawodne remedium na wszelakie problemy egzystencjalne.

Malwina z dużym wycuciem obudziła się z krzykiem (może też zaczęłam maszerować od prawej nogi?)

)i zażądała smoczka, któryjak na złość gdzieś znikł.

Wprzypływiedesperacji zabrałam smoka z gęby Nikodemowi,co sprawiło, że pochwiliryzelioboje: Niko, bo nie ma smoczka, a Malwinka, żema,ale niew tym rozmiarze.

- Niedobrze - poinformowała mnie, wciskając mi gumowca dopaszczy.

W ten sposób przed dwie sekundypelne zaskoczenia jedyną osobą w okolicy zatkaną smoczkiem byłam ja.

Otrząsnęłam się przystąpiłam do naprawiania sytuacji.

Oddałam młodemu jego ukochanego przyjaciela, wymacałamw końcu smoczek Malwinki pod mężem, przejeżdżając ponimtui ówdzie lodowatymipalcami (zawsze, jak się denerwuję, mam zimne dłonie), co go nie zachwyciło.

-Ludzie, co robicie?

- zapytałaMiśka, objawiając sięw drzwiach naszej sypialni.

-Obudziłam się ijakoś mi straszno.

Mogę z wamispać?

- A ktoś tu śpi?

- spytał zwyrzutem mąż.

Zgarnęłamwokół siebie zaryczane towarzystwo jak kwokai usnęłam, ułożona w chiński paragraf.

Z Cyckiem w nogach.

Toznaczy z kotem Cyckiem.

Śniły misię okropnie poplątanewężei powykręcane konary.

Miśka wpasowała się obok tatusia.

Tatusz przestawił budziko pół godziny później niż zwykle, na conie zwróciłam należytejuwagi.

Na egzamin wybiegłam z rozwianym włosom i w dresie, bo zginęły mi gdzieś jedyne spodnie, odpowiednio dopasowane w talii.

Nie było czasu na poszukiwania.

Dres magumę wpasie.

W końcu to test.

Test się za dres nie obrazi, ale i niedasię muurządzić scen ryczanych iwziąć go na litość.

Nie wiadomo, czytolepiej, czy gorzej.

315.

TRENUJĄC OTWARCIA

Mam czarne przecucia co do wyników testu, auuu!

Połowę pytań kwalifikowało się jak dla mnie do najwyższego poziomu abstrakcji, a w dodatku, kiedy rano wylatywałam z domu w panicznym pośpiechu, odruchowo wzięłam stare okulary, sklezione prowizorycznie klejem "Kropelka", zamiast włożyć szkła.

W połowie egzaminu klej przestał działać i okulary spadły mi w dwóch częściach na arkusz testowy, pozbawiając mnie tym samym widoczności i możliwości zerknięcia do kolegów z dołu, wrr.

Zdana na zawartość własnych szarych komórek, znajdowałam w nich same rzeczy, których niewypada wyrażać słowem napisanym.

W ramach relaksu pojechałam służbowo do Warszawy.

Tym razem to ja miałam liczne interesy w moim ukochanym wydawnictwie, niena odwrót, zakwaterowałam się zatem u jednego z warszawskich kolegów mojego męża i zostałam ugośczone należycie.

Zapewnionymi również rozrywki.

W charakterze pierwszej poszliśmy do knajpy, na kolację oraz piwo w dowolnie wybranej ilości.

I karton fajek.

Czterech kolegów i kolegi męża jako towarzystwo.

Ubaw po pachy.

Ha. Matka na wakacjach, choćby dwudniowych.

Zanim wyszliśmy do tej knajpy, kot kumpla obrzucił mnie zielonym spojrzeniem, miauknął rozdzierająco i wyskoczył przez okno.

Rany, nie wiedziałam, że jest aż tak źle.

Na szczęście wrócił po piętnastu minutach i wskoczył na szafę.

Usiadł tyłem do mieszkania, a w szczególności do mnie.

Super.

Zacząłam się obawiać, że koledzy i kolegi postąpią podobnie, ale na szczęście nie stało się nic podobnego.

Zostałam w pełni zaakceptowana jako towarzystwo i wciągnięta do rozmów na tematy wszelakie.

Wiodący wątek był jeden, a mianowicie nawiązywanie kontaktu z kobietami, zwłaszcza tymi pięknymi, a wcześniej nieznanymi.

Trzech z pięciu obecnych panów zadeklarowało, że ma z tym spore problemy.

Swoją drogą ciekawe, jakoś nie zauważyłam, choć kobietą jestem.

Może brak mi onieśmielającej urody, a może jakożona ich kolegi zaliczamy się raczej do twórców pozbawionych płci?

W każdym razie szczególnych problemów w nawiązaniu kontaktu nie zauważyłam, wręcz przeciwnie, nie minęło piętnaście minut, jak

316

panowie poklepywali mnie poufale po ramieniu i opowiadali różnego rodzaju pikantne anegdoty.

Tylko że im chodziło o nawiązanie kontaktu w pewnym ściśle określonym celu, jak wynikało z dalszej rozmowy.

Ja się do tego celu zdecydowanie nie nadawałam, w związku z tym mogli zemną nawiązywać kontakt normalnie i odruchowo, jak z człowiekiem.

Jeden z panów przyznał się pozostałym, że ostatnio już nie mógł wytrzymać sam ze sobą i ze swoją nieśmiałością - i zapisał się na kurs specjalistyczny.

Kurs był prowadzony przez trenerów NLP (słynne programowanie neurolingwistyczne, Dominika byłaby w swoim żywiole) i miał na celu przeprogramowanie szanownych panów-kursantów w nieśmiałych, pełnych kompleksów i zahamowań jednostek płci męskiej w pełne uroku, swobody i elokwencji zwierzęta towarzyskie, ze szczególnym uwzględnieniem błyskotliwego nawiązywania kontaktów z kobietami.

Kurs trwał dwa dni i kosztował słono.

W ramach zajęć odbyły się wykłady, testy i pogadanki, popołudniowe ćwiczenia w terenie oraz wieczorne ćwiczenia, również w terenie.

Najbardziej pouczające były ćwiczenia popołudniowe.

Naszerowani wiedzą teoretyczną kursanci udali się wraz z trenerem do Galerii Mokotów, gdzie, starając się wyglądać jak grupka zwyczajnych kolegów, przechadzając się po galerii, wykonywali dyskretnie ćwiczenia praktyczne.

Jedno z owych ćwiczeń, niejako zaliczeniowe, polegało na tym, że każdy z nich miał podejść do upatrzonej wcześniej kobiety w dowolnym wieku, ale najlepiej "docelowym", i nie wdając się w żadne podrywy i machanie rękami, po prostu nawiązać konwersację i podtrzymać ją przez pięć do dziesięciu minut.

Można było rozmawiać o pogodzie, zapytać o program kina, sposób urządzenia zabawy dziecięcej w parku rozrywki.

Można też poprosić o pomoc w wybraniu cielenicy na obiad, byle tylko konwersacja nie ograniczyła się do jednego zdania, tylko potrwała tyle, ile miała trwać.

Z mniejszym lub większym sukcesem niemal cała grupa wypełniła zadanie.

Niemal, bo pozostał jeden potwornie nieśmiały chłopak, który wyraźnie miał problemy nie tylko w kontakcie z kobietami.

tami, ale ogólnie z odzywaniem się do innych.

Teoretycznie etykazawodowa trenerów nakazuje wylapywanie osób, których zachowanie wykracza poza normę i dyskretne zalecanie im podjęcia bardziej profesjonalnej terapii, lecz najczęściej tak się nie dzieje - ludzie z zaburzeniami osobowości są jednymi z najlepszych, najbardziej przywiązanych do trenera słuchaczy i spora część rozmaitych "guru" trzyma ich przy sobie.

Nie wiem, czy takie zjawisko zachodziło w tym przypadku, ale zdecydowanie młody człowiek miał jakiś głębszy problem.

Męczył się, pocił i przechadzał po galerii, ciężko wzdychając.

Do nikogo nie podchodził.

Grupa zebrała się w końcu wokół niego i zapytała, co jest.

- Nie wiem - odpowiedział niepewnie chłopak.

- Jakoś nie mogę nic wymyślić.

Grupa zaoferowała się, że pomoże.

Rozważania zbiorowe trwały przez jakiś czas.

W końcu wymyślili mu eleganckie "otwarcie", jak to określił trener.

Upatrzili też ofiarę.

- Podejź do tej kobiety - poradzili mu, wskazując młodą dziewczynę, która od dłuższej chwili przechadzała się po sklepie odzieżowym, co raz to przykładając do siebie inną zwiewną bluzeczkę uśmiechając się przed lustrem.

Wyglądała sympatycznie i nieco nieśmiało.

- Powiedz jej coś w tym stylu: "Widzę, że pani ma świetny gust.

Czy pomogłaby mi pani wybrać prezent dla mojej mamy?

". Pójdiesz?

Przestraszony młodzieniec przez dłuższą chwilę rozglądał się wokół spłoszonym wzrokiem, ale w końcu pokiwał głową.

- Dobra - zaciśnął pięści.

- Idę.

Grupa dyskretnie przemieściła się w ślad za nim i podsłuchiwała.

Chłopak stanął dwa metry za dziewczyną i ciężko westchnął, zaciskając pięści jeszcze mocniej.

Dziewczyna obróciła się spojrzała na niego pytająco.

Młodzieniec obliznął wargi.

Pocił się straszliwie.

- O..

obserwuję panią.

od dłuższego czasu - wyjąkał, wykazując odrobinę własnej inicjatywy i zaczerwienił się.

- I widzę, że pani ma świetny biust!

- wyrzucił z siebie szybko i z desperacją.

Dziewczyna upuściła bluzkę i wlepiła w niego przerażone oczy, a on, uświadomiwszy sobie, co powiedział, poczerwieniał jeszcze bardziej i wybiegł ze sklepu.

318

Ponieważ dziewczyna wyglądała, jakby ją ktoś w łeb prasnął, trener nie miał innego wyjścia, jak podejść i delikatnie wyjaśnić sprawę.

- Przepraszam najmocniej, my tu mamy takie małe warsztaty przełamywania nieśmiałości - powiedział.

- Tekst wygłoszony przez kolegę miał zabrzmieć troszkę inaczej.

Wyjaśnił jak i dziewczyna omaal nie przewróciła się ze śmiechu.

Niestety, na wieczorne ćwiczenia młodzieniec już się nie zgłosił.

Wieczorny trening odbywał się w jednej z większych dyskotek w Warszawie.

Tym razem "zaliczeniowe" ćwiczenie było trudniejsze - każdy z kursantów miał niecałedwie godziny na zdobycie dwóch numerów telefonów od kobiet, z propozycją następnego spotkania.

Trener krążył po sali i podsłuchiwał, delikatnie przerywając nierokujące nadziei na sukces konwersacje.

- Około piętnastu, góra dwudziestu minut wystarczy, aby się zorientować, czy rozmowa zmierza w pożądanym kierunku - pouczalna stronie.

- Jeśli nie, należy pożegnać się bez żalu i zainicjować następne podejście.

Jeśli rozmowa, jego zdaniem "nie rokowała", a kursant podtrzymywał ją bezsensownie, podchodził i mówił:

- Witaj!

Cieszę się, że już jesteś!

Przyjdź do nas, proszę, jak najszybciej, czekamy.

Wszycymówią, że bez ciebie żadna zabawa.

Albo coś w tym stylu, co pozwalało delikwentowi zmyć się taktownie i bez obrazy.

I polować dalej.

Ubawiłam się, słuchających wszystkich opowieści, po czym moi znajomi zapragnęli sami udać się nadyskotekę i poćwiczyć "otwarcia".

Zabrałam ze sobą, dzięki czemu miałam okazję obserwować efekty szkolenia na żywo.

Sto lat nie byłam w żadnej młodzieżowej dyskotek.

Dziwny świat.

Pierwszy raz, w dużej mierze pod wpływem poruszanych wcześniej tematów, zwróciłam uwagę na fakt, jak wielu jest na sali samotnych zdesperowanych samców, równie wiele samic, i jak daleceowe dwa żywioły - męski i żeński - nie łączą się ze sobą, choć tak bardzo tego pragną.

Mężczyźni zgromadzili się w większych i mniejszych grupkach tuż przy barze.

Dziewczyny, powiewając włosami, tańczyły samena parkiecie.

319.

- Nawiązałem kontakt wzrokowy!
 - pochwalił się jeden z kolegów, ten po szkoleniu, powróciwszy do naszego stolika (oczywiście w pobliżu baru, żywił męski) po krótkiej przechadzce.
 - Z tą blondyną, o tam!
 - Pokazał palcem.
 - I co, i co?
 - zainteresowali się pozostali.
 - I nic - westchnął.
 - Chyba jest z jakimś patafianem, nie zauważyłem wcześniej.
- Oczkiem strzeliła ładnie, ale co mi z tego?
Idę dalej.

Dwie chwile później faktycznie pograżyłem się w dyskusji z dwiema studentkami w identycznych fioletowych bluzeczkach.

Na jednej wisiąca jak na wieszaku, drugą interesująco opinała tu i ówdzie.

Obie uśmiechały się bardzo ładnie.

- No, no - powiedział kolega mojego męża.
- Nie poznaję człowieka!
Podziesięciu minutach kolega konwersator dołączył do nas powrotem, bardzo zadowolony.
- Co jest?
- zapytali kumple.
- Nie podeszło?

- Skąd, bardzo sympatycznie - powiedział z uciechą kolega.

- Tyle że, wiecie, ja dzisiaj trenuję wyłącznie otwarcia.

Nie chcę zakotwiczyć przy żadnej lasce na dłużej, tylko poćwiczyć jak najwięcej.

Dziesięć minut i zmiana.

Z zegarkiem wręku pilnowałem.

Wypił duszkiem półpiwa i poleciał dalej.

Za chwilę, swobodnie w sparty o jeden ze stolików, mówił coś ze śmiechem do siedzącej przynim samotnej kobiety, której wyraźnie przypadł zaszczyt pilnowania niezliczonych torebek.

Kumple pokręcili głowami.

- Ten to ma.

A poco on właściwie tak ćwiczy?

- zainteresował się Grześ, który od początku przewracał oczami na całą hęcę.

Sam nie zgłaszał żadnych problemów z kobietami i moim skromnym zdaniem - a obejrzałam siebie od stóp do głów - byłoby bardzo dziwne, gdyby zgłosił.

Był apetyczny jak ciasteczko i pełen naturalnego wdzięku.

Półparkietu mało sobie łba w jego stronę nie odkręciło, gdy przechodziliśmy nieopodal.

Jeśli bym miała chęć poćwiczyć otwarcie, zaczęłabym od niego.

Ale ja tu dzisiaj za faceta robię.

Niema co do tego żadnych wątpliwości.

Gdybym w oczach świeżo poznanych kolegów reprezentowała piękną, może by mnie na przykład któryś z panów poprosił do tańca, dla czystej przyjemności zatańczenia?

320

Chociaż, z drugiej strony, oni nie dla przyjemności dziś tu przyszli, tylko dla podrywu, a to ciężka praca.

Nawet nie wiedziałam, jak ciężka oraz stresująca.

Dziwny, dziwny świat.

Mam wrażenie, że rządzi się jakimś absurdalnymi, nie do końca zrozumiałymi dla mnie prawami.

Dlaczego parkiet pełen jest wywijających zalotnie biodrami i owłosieniami dziewcząt, które na czołach mają wypisane: "Podejdz, zatańcz, porozmawiaj ze mną, powiedz, że jestem piękna.

Kimkolwiek jesteś, zobacz mnie!

"? Dlaczego bar obiegają stłoczeni, coraz bardziej wstawieni faceci, którym nawet szósty drink dla kurażu oraz ukończony z wyróżnieniem kurs komunikacji interpersonalnej niewystarcza, żeby jednak podejść?

Zupełnie jakby pomiędzy barem a parkietem istniała grubaszkłana szyba, przez którą większość nie umie się przebić.

Chociaż bardzo chce.

Dlaczego?

Uświadamiam sobie nagle, jak wiele różnych zjawisk mnie omiło przez prosty fakt, że związałam się z moim facetem uprogil młodości, żeby nie powiedzieć: dzieciństwa.

Dla mnie teraz świat damsko-męski jest szalenie prosty, choć.

- może pozbawiony pewnego dreszczyku?

Facet czy kobieta, jedellpies, a dokładnie człowiek.

Jeśli mam jakieś problemy z nawiązaniem kontaktu, to wynikają one z różnych innych warunkowań zupełnie niezwiązanych z kwestią płci.

Może dwa czy trzy razy w życiu zdarzyła się sytuacja, w której fakt, że mój partner w rozmowie był mężczyzną - i to przystojny!

^- sprawił mi pewien problem, ale nie dotyczyło to trudności z nawiązaniem kontaktu, raczej wręcz przeciwnie.

Raczej była to kwestia.

hmm.

nadmiaru CZEGOŚ między nami.

Dobrze mi tu, gdzie jestem.

Cieszę się, że od dawna jestem m"zatka i nie muszę żadną męską stroną wysyłać starannie wyreżyserowanych sygnałów.

"Oh, my God", jak mówi Gacia.

Zwariow^łabym z samej konieczności robienia czegoś takiego.

Albo zostałabym, jak dawniej mówiono, klasyczną starą panną. Albo wiem wszelka reżyseria jest czymś najzupełniej obcym mojemu naturze.

321.

Kolega świeżo po kursie przećwiczył otwarcie siedemnaście razy.

Reszta kumpli była w szoku i przecierała oczy z niedowierzaniem.

Przed kursem należało do tych mężczyzn, którzy całą imprezę przesiadują w okolicach baru, wzdychając i zapijając smutkikolejnymi drinkami.

- Jak już spotkam kobietę swojego życia, nie będę miał żadnych problemów, żeby podejść i nawiązać rozmowę - wyznał przy kolejnym powrocie do naszego stolika.

- I tak naprawdę to był ten cały kurs.

- Zaraz, zaraz - powiedział Grześ.

- Ale co ci z tego, skoro z nią zerwiesz po upływie pięciu do dziesięciu minut?

Kolega obdarzył go złym spojrzeniem.

- A niby czemu?

- Nabo tyle masz przećwiczone - zarechotał kolejny kumpel.

- Chyba żepójdiesz na następne szkolenie.

- "Jak utrzymać związek dłużej niż kwadrans".

- Grześ ze smakiem wychylił kolejnego drinka.

- Myślę, że warsztaty praktycznymogą być nieco wyczerpujące.

Następnego dnia poszłam załatwiać sprawysłużbowe na ciężkim kacu, bogatsza o cenne obserwacje życiowe, które zupełnie mi się nieprzydadzą.

Chociaż, jak twierdzi Dominika, powtarzając za Tuwimem: niemów "hop", dopókinie przeskoczysz. I nie zobaczysz, w co wskoczyłeś.

Narazie wszelkie skokisą ode mnie odległe ocałe lata świetlne.

Za dużozachodu.

Z pamiętnika Dominiki N.

Dziewiętnasty

W charakterze odtrutki na Pawełkawystąpiła Aldona, z kolejną cudowną fuchą architektoniczną.

Tym razem zaprosiła mniedo siebie do biura, mam jej pomagać w inwentaryzacji papierówsprzed trzech lat.

Dostali taki nakaz, odgórnie.

Wszystko ma być porządnie opisane i wprowadzone do komputera.

Miałem wstrząsają raz po raz rozmaite urzędowe afery, w związku z czym porządek musibyć.

Ponieważ cały personel aż nadto zajęty jest bieżącymi sprawami, i nie bardzo wiadomo kto by miał to wszystkokatalogować, Aldona zaproponowała pewną bardzo bystrą i przytomną studentkę architektury, z naturalnym talentem do szufladkowania spraw.

Pomysł został zaaprobowany.

Siedzę tu drugi dzień, a już ledwo żyję.

Nie wiem, jak pogodzę wszystko naraz: zbliżającą się sesję, pracę zabarem, no i to.

Plus jest taki, że zupełnie nie mam czasu na głupie rozważania.

Mietkowi powiedziałam, że potrzebuję trzech dni wolnego.

Niemogę pozostać w "Banasiu" ani półsekundy, doodwołania.

Wzruszył ramionami i zadzwonił kolejny raz po Paulinkę.

Obiecałam za to, że w przyszłym tygodniu pomogę mu przesłuchiwać kandydatów na letniego barmana, na miejsce Pawełka.

Trochę to trąci perwersją, że akurat ja.

Ale niech będzie.

Wszystko jedno, bylebym teraz nie musiała tam siedzieć, bo to boli.

Dwudziesty

Jacy faceci się płączą po tym ich urzędzie, jestem w szoku!

A ja współczułam Aldonie, że ma taką nudną pracę, w babskim gronie zero możliwości spotkania kogoś ciekawego!

Siedziałam właśnie na podłodze, wśród rozmaitych teczek (gdziekolwiek jestem, zaraz wrabiają mnie wteczki, może powinnam zostać sędzią lustracyjnym?), kiedy do pokoju zajrzała szalenie przystojna męska głowa. Omiotła wzrokiem ściany, pustą biurka, bo Aldona akurat poleciała kserować, a ja nie znajdowałam się na linii wzroku, znikła.

Pięć minut później znów się pojawiła.

I znowu znikła.

Dziesięć minut później wróciła Aldona.

- Był tu jakiś mężczyzna cudownej piękności, taki czarny - powiedziałam.

- Chyba cię szukał.

Zaglądał dwa razy.

- Nie znam żadnego mężczyzny cudownej piękności, chyba, że masz na myśli Bolka.

Ale on nie jest czarny, poza tym chyba byś go rozpoznała.

- Aldona prychnęła z rozbawieniem.

- Co powiedział

ten ktoś?

Cóż. Męża Aldony zdecydowanie nie określiłabym tym młanem, niewiem jak to jej delikatnie uświadomić.

323.

- Nie Bolek.

Ten był.

bardziej czarny - zdecydowałam się na opcję kolorystyczną.

- I o niebo przystojniejszy - nie wytrzymałam.

- Nic nie mówił, nie zauważył mnie.

Aldona, zaintrygowana, wyjrzała na korytarz

- Facetów brak - zaraportowała.

- Nawet paskudnych.

Jak wyglądał?

- Ciemny garnitur, błękitna koszula, bez krawata, opalona szyja, szczupły, czarne oczy, zarościk więcej niż trzydniowy, ale jaszczurzenie broda, wydatny nos.

Tak koło trzydziestki.

Może trochę po.

Sama byłam zdumiona, że zarejestrowałam tyle szczegółów, facet był tu dwa razy piętnaście sekund.

Aldona pokręciła głową.

- Pasuje do mojego nauczyciela geografii, ale to było dwadzieścia lat temu - powiedziała po krótkim zastanowieniu.

- Podkochiwała się w nim całusko.

Kto to mógł być?

Może po prostu jakaś strona, której jeszcze nie poznałam osobiście?

- Jaka znów strona?

- Ten, no.

klient.

To znaczy petent.

Tak na nich mówimy, rozumiesz: jedna strona składa wniosek o pozwolenie na budowę, a inna strona protestuje i składa odwołania.

Generalnie, jak coś przyłazi, to jest strona.

- Rozumiem.

Z mojej strony ta strona wyglądała nieźle.

Niema czegoś do skserowania?

- A co, lecimy na zwiady?

- roześmiała się Aldona

- Może tak, może nie.

Potrzebujemy rozrywki - przyznałam.

Aldona parsknęła i wzniosła oczy do nieba.

- Ty tomasz tempo, jak Bogakocham!

- podsumowała mnie.

- Ten twój jeszcze do Hiszpanii niedoleciał.

Jak chcesz, idź po kawę.

Do automatu w holu.

Zwiedzisz w ten sposób całe dwa piętra.

- Doleciał, doleciał - mruknęłam.

- I się nie odzywa.

Wiem, że doleciał, od Izy, dziewczyny, z którą mieszka.

- I długo tak się nie odzywa?

- spytała Aldona.

- Od soboty - powiedziałam wojowniczo i wstałam.

- Czyli trzeci dzień.

- To straszne.

Biedactwo ty moje, porzucone - westchnęła współczująco ta wredna baba, co sprawiło, że

wyleciałam z pokoju, tłumiąc chęć obrzucenia ją planem zagospodarowania terenu dla Dzielnicy XI.

324

Wróciłam z tryumfem po dwudziestu minutach.

- Międlilaś w zębach ziarenka nakawę?

- spytała zjadliwie Aldona, odbierając swoje cappuccino.

- Nie.

Ale za tonamierzyłam obiekt - pochwaliłam się rozpromieniona.

- To dziennikarz.

W tej chwili rozmawia z tą grubą blondyną z końca korytarza, ale obiecał, że wpadnie i do nas.

- Zwariowałaś!

- Aldona podskoczyła, polewając kawą projektowego hipermarketu.

- Cholera, zachlapało mi się.

Napuszczasz na mnie dziennikarzy?

Teraz?

- Sama zobaczysz, jaki jest miły.

I w ogóle nie napastliwy.

Wszystkie twoje koleżanki oblegają go kołem.

Wcale nie wyglądają na ofiary nagonki prasowej.

Aldona obrzuciła mnie złym spojrzeniem i powróciła do wywabiania plam z projektu za pomocą chusteczek nawilżających.

Używam podobnych do wycierania Marcelkowi tyłka.

A kiedy w końcu odwiedził nas czarnooki przystojniaczek imieniem Jarosław, Aldona również nie zachowywała się jak ofiara prasy.

Machalarzami nie gorzej niż ja.

W dodatku miała o wiele więcej do powiedzenia.

I co z tego.

I tak na popołudniową kawę Jarek zaprosił mnie;

Wyłącznie.

Chwilę wcześniej zadzwonił Mietek i kazał mi przyjść do pracy, natychmiast, bo Paulinka mu nawaliła, dziecko jej zagorączkowało i nie ma kogo postawić za barem.

Bez troski postanowiłam pogodzić jedno z drugim i chyba to był błąd.

Marta

WYBRYKI DOMINIKI CD.

Dominika ma tempo godne podziwu.

Wczoraj wpadłam na chwilę do "Banasia", w ramach relaksu przed zaliczeniem zonkologii, i zastałam moją sąsiadkę, której dziś miało tu w ogóle nie być, krzątającą się za barem w nastroju, którego również nie powinna objawiać.

W każdym razie nietak szybko po jej pamiętnych szlochach w moją kanapę.

A jednak.

Promienna, zadowolona, pobrzękiwała szkłem ba325.

rowym i raz po raz rzucała zalotne spojrzenia na jakiegoś nieznanego mi bliżej przystojniaczka, który zabawiał ją rozmową.

Usiadłam sobie z boczku, ale nie udało mi się zachować dystansu zbyt długo.

Poznałam go bliżej następnego dnia.

Ma na imię Jarek.

Dziennikarz.

Dominika poznała go w Urzędzie Miasta, jak płał się popokojach, szukając chętnych do rozmowy. Zbierał materiał do reportażu, chociaż temat wybrał sobie dość kontrowersyjny (tropił, zapamiętałem jedną z afer, które wstrząsnęły wydziałem architektury w zeszłym roku), wyglądał tak olśniewająco i taki był miły, że panie urzędniczki rozmawiały z nim długo i serdecznie, aczkolwiek ostrożnie dobierały słowa.

Dominika, która w Urzędzie Miasta bywała niedawna, w związku z aktualnie wykonywaną fuchą, i o zeszłorocznych aferach nie ma bladego pojęcia, też się dziwnym trafem wkręciła do rozmowy.

I wsiąknięta amen.

Jarek umiał się znaleźć, błysk w oku mu zaślnił i umówił się z Dominiką na małą popołudniową kawkę.

Tak im się świetnie rozmawiało, że przylazł za Domiśką do pracy, do "Banasia", machnąwszy ręką na opracowanie świeżo zdobytego materiału.

Zasiadł przy barze, patrzył, jak Dominika obsługuje kolejnych klientów, i w przerwach zabawiał ją rozmową.

Przypłała się również Edytka w towarzystwie Kudłatego, któremu robi jakieś foldery reklamowe o jego klimatycznej knajpce.

Kudłaty to jej najnowszy nabytek.

Kompozytorka z bliznami nam przyczyn odstawiała od piersi, jak i czas temu, co oczywiście wywołało ze strony Dudusia i Barona lawinę mało wybrednych komentarzy i przytyków.

- Warn to się nie dadogodzić, nic anic - fuknęła na nich jak kotka.

- Chodź nim, to źle, nie chodź - też źle.

- Da się nam dogodzić, da - powiedział smakowicie Baron, zaglądając jej w dekolt.

- Tylko trzeba się troszkę postarać.

Edytka przewróciła oczami i odmaszerowała.

Wróciła po kilku dniach z Kudłatym u boku.

Ze względu na długą i zażyłą znajomość z tym ostatnim, jego znaną powszechnie porywczosć oraz budzące respekt gabaryty, panowie tym razem powstrzymali się od komentarzy, poprzestając na westchnieniach.

326

Dominika na widok Edytki poruszyła się niespokojnie.

Lubi ją bardzo, ale doskonale wiedziała, w jaki sposób przyjaciółka działa na facetów.

Ku jej zdumieniu, nic się niewydarzyło.

Jarek obdarzył Edynię nieuważnym spojrzeniem, uśmiechnął się i odpowiedział grzecznie na powitanie, a następnie spokojnie wrócił do rozmowy.

Dominika stwierdziła, że tym samym uzyskał u niej dodatkowe punkty.

Śmiesznie było nazajutrz, bo pracowała z babem razem z Mięciem.

Przylazłam odruchowo, dla odmiany, poza liczeniem z onkologią musiałam trochę odetchnąć.

Posadzili mnie w pierwszym rzędzie na teście i szlag trafił moje plany łapania po ludziach.

A onkologia nigdy nie była moją najmocniejszą stroną.

Myślałam, że będzie masakra, ale czytałam pytanie zapytaniem i ze zdumieniem przekonywałam się, że znam niemal wszystkie odpowiedzi.

I teraz nie wiem, czy test był tak łatwy, czy też mi się coś wydawało.

Bardzo się tą sytuacją zestresowałam.

Znalazłam się w "Banasiu", zanim zdążyłam zaplanować coś bardziej rozsądnego.

Zastałam Dominikę, podśpiewującą pod nosem, i Mietka, który przyglądał się jej ukradkiem spod

ściągniętych brwi.

I oczywiście dokładnie w tej sekundzie pojawił się Jarek.

Zasiadł przy barze, uśmiechnięty, a Dominika zeszywniała całkiem.

Jej myśli były widoczne jak na dłoni.

Spodobał jej się nowy znajomy, ale w końcu jej szefem był najlepszy przyjaciel Pawełka, człowiek stały w uczuciach i, jak na barmana, wcale nie taki wyrozumiały.

Musiała przyprowadzać Jarka właśnie tutaj?

Jedynym usprawiedliwieniem było to, że poprzedniego dnia myślała o niczym, kompletnie, mózg jej się rozpuścił pod jego spojrzeniem, nie chciała pamiętać nie tylko o Pawle, ale o nikim i niczym.

W ogóle.

Mietek nie był głupi.

Spojrzał szybko na Jarka, na Dominikę, potem znowu na Jarka i podał mu piwo, trzymając je w dwóch palcach, jakby to był wąż.

Podniosłam wzrok nad komputera dokładnie nakońcówkę tej sceny.

Wydawało mi się, że brwi Jarka drgnęły niemal niedostrzegalnie.

Wziął piwo dwupalce.

Postawił przed sobą i wytarł palce

w marynarce.

Dominika zdążyła mi przesłać sms-a: "Mamo, ratuj!"

".

327.

Przysiadłam się do baru i ratowałam, jak mogłam.

Jarek jest bardzo miłym, interesującym rozmówcą.

Po dwóch minutach gadaliśmy tak zapamiętałe, że Dominika ściągnęła brwi w groźną kreskę.

O co chodzi?

Mam odwrócić uwagę Mięcia od nowego nabytku mojej koleżanki czy nie?

Mietek pod koniec wieczoru się rozchmurzył, Dominika niebardzo, więc nie wiem w końcu, czy wykonałam zadanie, czy wręcz przeciwnie.

W każdym razie wieczór był bardzo miły.

Wnocy śnił mi się Jarek, obudziłam się z uczuciem, że wpatrujesię wemniespojrzeniem uważnym i pełnym ciepła.

Zdziwiłam się.

Z pamiętnika Dominiki N.

Dwudziesty drugi

Chodzą po świecie takie egzemplarze, na widok których miękną nogi wszystkim samicom, niezależnie od wieku, zaangażowania z kim innym czy stanu cywilnego.

Jarek do nich należy.

Zdecydowanie.

Nie chcący napuściłam na niego Martusię, bo ktojak kto, ale ona wydała mi się zupełnie niegroźna.

Nie dlatego, żeby jej czegoś brakowało, choć moim zdaniem ubiera się w sposób doskonale maskujący wszelki ślad atrakcyjności, ale.

w końcu mężatką jest, szczęśliwą, z trojgiem dzieci, powinna być impregnowana męskimi wdziękami jak kurtka z Goreteksu.

Chciałam wytworzyć w podejrzliwym Mietku wrażenie, że Jarek nie jest moim wyłącznym znajomym, ot, po prostu kolejny gość, który pojawił się w towarzystwie i wszyscy sobie z nim gadają.

Swoją drogą, Mietek przesadza.

Nie odezwałem się słówkiem, a wiem, że przesadza i już.

Czyżby Paweł obarczył go podobnym zadaniem, jak ja Izunię?

Micio zawsze widowałem mnie wzrokiem, kiedy tylko podchodził do mnie inny facet niż jego najlepszy kumpel.

Ale teraz to już nie świderek.

To wiertarka udarowa.

Na Jarkateż spojrzał kilka razy z takim wyrazem twarzy, że chyba został opanicznie zrozumiany jako mój potencjalny facet czy coś.

I Jarek przerzucił uwagę na Martusię.

328

Muszę to wszystko natychmiast wyprostować!

A z tej Marty to niezły numer.

Jak się rozgadała, to nie wiem, czy udało mi się wtrącić dwa zdania.

Nagle się okazało, że i machać rękami, i uśmiechać się ślicznie, zalotnie, też potrafi.

Nie mogę do tego dopuścić, przecież to sąsiadka!

Moja przyjaciółka!

Osiem lat małżeństwa, nie licząc wcześniejszego konkubinatu, dzieci, koty, dom.

Nie może jej zawrócić głowie byle kto!

A poza tym, nie może mi tak poprostu sprzątnąć przed nos tego wyjątkowego faceta.

Marta

ŻYCIE, KTÓREGO NIE PRZEŻYŁAM

Jarek umówił się ze mną na kawę, numer bezczelnie wziął od Dominiki, sam nawet nie wie, jak bardzo bezczelnie.

Ja wiem.

Dominika nie wpadał nie dzwoni od ładnych parudni.

Nie mam odwagi zajrzeć do "Banasia".

Muszę coś z tym zrobić.

Zacząłam od makijażu, wyjątkowo starannego.

Kupiłam sobie gąbkę do fluidu udało mi się go nałożyć mniej więcej równomiernie.

Kupiłam sobie również krem przeciwzmarszczkowy, w drodze do domu przeczytałam ulotkę i zawróciłam natychmiast do sklepu po serum.

Efekty zastosowania kremu, według ulotki, widać po tygodniu.

Serum działa natychmiast.

W ostatniej chwili wzięłam jeszcze maseczkę naszyję.

Szyję toż samą wyjątkowo zmiętą.

Mąż jest zadowolony, że zaczęłam wreszcie dbać o wygląd zewnętrzny.

Nie mam odwagi spojrzeć w lustro.

Malując rzęsy, spuszczałam oczy

Ze spuszczonej miocząmi wsiadam w taryfę.

"Gdzie idziesz, mamusiu?

"

"Mam takie małe spotkanie, Misiaczkę.

z koleżanką".

Dlaczego nawet siedmiolatce nie potrafię powiedzieć, że jadę spotkać się z kolegą?

Z kolegą, którego ledwie znam, a mam uczucie, że rozumiem się od wieków?

329.

Pojechałam.

Jarek przyniósł mi swoje teksty.

Nie dziennikarskie, tylko te osobiste, nigdzie niepublikowane.

Słowa, słowa, słowa.

Pierwsze opowiadanie wgniotło mnie w fotel.

Znam je od dawna, sama mogłabym odręki napisać następny akapit i nie różniłbysię od tego, który mam przed sobą, nawet przecinkiem.

Czytam opis: "Ryby przelatywały rni nad głową. Śpiewały".

- Były zadziwiająco miękkie i miłe w dotyku - mruczę pod nosem.

- Szybko czytasz - uśmiecha się Jarek.

Nie czytałam.

Zacytowałam własne zdanie, napisane w kontekście niemal identycznym.

Gdzieś w głębi mniemam nagły, niespodziewany dreszcz.

Zamykam oczy, i równocześnie otwieram laptop.

Wzięłam go z sobą odruchowo, część mnie, ta porządna i podążająca prostą drogą, miała nadzieję, że spotkanie będzie krótkie i nijakie, a potem zamknę się - gdzieś w swoim świecie i będę pisać swoje androny.

Jak nazwać to świeżo rozbudzone drżenie sposobu dotychczas nazywanego?

Dałam mu do przeczytania odpowiedni fragment.

Czytał uważnie.

Skończył i zajął mi głęboko w oczy, bez słowa.

Mam wielu przyjaciół, którzy dyskutują ze mną, starają się zrozumieć, czytają, biorą w moim życiu aktywny udział.

Znamy się.

Ale nigdy jeszcze nie spotkałam osoby, z którą mogłabym dzielić myśli bez ich wypowiedzenia.

Jeszcze jeden przypadek, kiedy kwestia przestaje mieć znaczenie, a wszystkie podziały - medyk, dziennikarz, samotny, matka dzieciom - wydają się takie śmieszne.

Takie umowne.

Czuję się tak, jakbym polatała siedzenia w kucki mogła nareszcie rozprostować nogi.

Jarek, wbrew pierwszemu wrażeniu, nie jest mną.

Po prostu pokazał mi taki tekst, jeden z wielu.

Później, tego wieczora, pokazywał mi też zupełnie inne reportaże i opowiadania.

Niektórzy z nich mnie zadziwiły i dopiero wtedy zaczęłam nabierać do niego mimowolnego respektu.

Podoba mi się, jak przechyla głowę, podoba mi się, pod jakim kątem widzi i opisuje świat.

Pierwsze wrażenie było mylne.

On jest inny, pełen sprzeczności, wielowymiarowy.

Jego teksty bardzo często w zaskakujący sposób

330

różnią się od siebie, zupełnie jakby zostały napisane przez kilkadziesiąt osób.

Jarek mówi, że to jest piętno, jakie wycisnęła na nim praca zawodowa: umiejętność wczucia się w tok myślenia innej osoby do tego stopnia, że po chwili przemawia się jej stylem i w jej imieniu, nie we własnym.

Podziwiam.

Trzeba mieć wielkie serce i wielką wyobraźnię.

Ciekawe, że jako pierwszy pokazał mi właśnie ten tekst, który sama mogłabym napisać.

Co również świadczy o tym, że jego zdolność czytania wmyślenia innej osoby graniczy z darem nadprzyrodzonym.

Wróciłam do domu szczęśliwa, ze ściśniętym sercem.

Staralam się nie myśleć.

Nic, zupełnie.

Tylko być.

Zasnęłam szybko.

Zabroniłam sobie zapamiętywać sny, do odwołania.

Od rana chodzę poświecie i potrząsam głową.

Nie podoba mi się to, co się w niej znajduje.

Nagle odkryłam w sobie całopokładynie zgody na rzeczywistość, w której trwam.

I złość.

Nie rozumiem tego.

Przecież powinna mnie raczej ucieszyć perspektywa nowej przyjaźni, z kimś, kto naprawdę mnie rozumie.

Wydaje mi się raczej, że nagle przestali rozumieć mnie inni.

Zwłaszcza najbliżsi.

Szczególnie mój mąż.

Nigdy tak naprawdę tego nie miałam.

Miłość - tak, zaangażowanie, dbałość o siebie nawzajem, wspólne radosne spędzanie czasu, umiejętność szybkiego rozwiązywania konfliktów, radzenie sobie z różnymi przeciwnościami losu bez obwiniania się nawzajem.

Tak.

To filary mojego małżeństwa.

Ale jedynomyślność?

Zrozumienie nie tylko w stopniu umożliwiającym bezkolizyjne funkcjonowanie w rzeczywistości, ale tak zwane porozumienie dusz?

Nie wiedziałam nawet, że do tego stopnia jest to możliwe.

I upragnione.

Absurdalne, tłumaczę sobie wytrwale i przetłumaczyć nie mogę.

To śmieszne, że po jednym wieczorze przesiedzianym w knajpie z poznanym dopiero co kolesiem gdzieś tam w głębi umysł zaczynam się zastanawiać, jak wyglądałoby moje życie, gdyby.

331.

Gdybym poznała go wcześniej, tak z dziesięć lat temu, bez dzieci i bez zobowiązań, u progu dorosłości?

Może nie poszłabym na medycynę?

Albo rzuciłabym ją wdiabły i wcześniej zajęła się pisaniem, może byłabym już dziennikarką ze sporym dorobkiem czy też socjologiem, może wolni, bezdzietni, jeździlibyśmy ramię w ramię po całym świecie, tworząc barwne, ciekawe reportaże?

Ciekawe, skąd ten pomysł na bezdzietność, swoją drogą.

Przecież uwielbiam swoje dzieci.

Tylko dlaczego, cholera, mam ich już aż troje?

Nie mogę opisywać światataki, jak bym chciała.

Nie mogę podróżować.

Niemogę zawierać nowych.

znajomości w takim zakresie, jak bym chciała.

Nigdy nie będę już naprawdę wolna i niezrealizuję nawet połowy swoich marzeń, czuję to.

Jednym z moich największych marzeń było spotkanie osoby, która mnie zrozumie, naprawdę; nie przewróci oczami, nie zlekceważy, nie sprowadzi na ziemię z obłoków, w których tak lubię się unosić.

Pozwoli mi być sobą, choć przez chwilę, i będę sobą, i będę się czuła z tym dobrze i bezpiecznie.

Wygląda na to, że właśnie taką osobę poznałam.

W czym problem?

Chce mi się wyć.

Nie poszłam na zajęcia, chociaż wyszłam z domu, zostawiając maluchy z opiekunką.

Zaniosło mnie na bulwary nad Wisłą, usiadłam na mokrej ziemi i pisałam wiersze.

W zasadzie dlaczego przestałam pisać wiersze?

Przecież kiedyś, dawno temu, tworzyłam ich tyle.

Byłam przekonana, że jeśli kiedyś zaistnieję w literaturze, to jako poetka, nie jako autorka śmiesznych, niewiele znaczących anegdotek.

Chodziłam nad Wisłę, na samotne spacerki.

Słuchałam Czajkowskiego, Rachmaninowa, Purcella, wzruszały mnie fugi i chorały Bacha, romantyczne ballady, czytałam Sylwię Plath, Rilkego, Poświatowską, dramaty Szekspira, samą siebie i tylko dla siebie, nie dzieliłam się z nikim.

wiedziałam, że nie mogę, szczytem romantyzmu w wykonaniu mojego chłopaka były ballady grane na gitarze, gdzieś przy ognisku.

Nie przeszkadzało mi to, miałam swój świat.

I był dla mnie ważny.

Gdzieś zgubiłam po drodze i nawet tego nie zauważyłam.

332

Przestałam tak wytrwale poszukiwać wzruszeń.

Czy dlatego, że przestałam ich potrzebować?

Wygasała we mnie potrzeba, czy została brutalnie stłumiona?

Jak wyglądałoby moje życie, gdybym cierpliwie poczekała na kogoś, kto chciałby podtrzymać we mnie i w sobie tamten płomień?

Czy to w ogóle możliwe?

Czy dorosłość nie polega przypadkiem na tym, żeby nauczyć się w końcu dzień po dniu chodzić po ziemi i uważnie?

Czy przypadkiem mój wieloletni zastój, poczucie nieszczęścia, winy i niedostosowania nie brały się przypadkiem z tego, że próbuję żyć bardzo dobrym, uporządkowanym i rozsądnym życiem, do którego w ogóle nie jestem stworzona?

Po godzinie podobnych rozważań denerwowałam się tak strasznie, że wsiadłam w taryfę i wróciłam do domu.

Mam egzamin, ostatnie akapity książki do napisania, obiad do ugotowania i odwiekaną od dawna

wizytę w przychodni, a ja się snuję bulwarami wzdycham?

Co jest, do cholery!

Zrobiłam awanturę wszystkim pokolei.

Najbardziej dostało się mrówkom, które ostatnio przeprowadziły sobie przez moją kuchnię szlak transportowy.

Z tarasu dokosza naśmiec i do chlebaka.

Po drodze włożą mi do szafki i wyzerają budyń w proszku.

Kotu obsiadły śniadanie.

Kot się ich boi, a jeszcze bardziej boi się Malwinka.

- Ić stąd, mółka!

- krzyczy, wychylając się ryzykownie z wysokiego krzeselka.

Małe zarazy wlaży jej na blat i wędrują po poręczu.

- Ić do babci, babcia nie boi!

Nalałam wody do miednicy i przejechałam po mrówkach szmatą domostosem, niezależnie od tego, czy wędrowały po blacie, po pokrywie chlebaka, czy po dziecku.

Malutki przydomowy Armagedon.

Jarek dzwonił, ale nie odebrałam telefonu.

Dominika nie dzwoniła, więc ja zadzwoniłam i zaprosiłam Janakawę.

Zgodziła się, ale z ociąganiem.

Przyjdzie jutro późnym wieczorem.

Dzwonił mąż i pytał, czy po pracy może iść na piwo i czy wcześniej będzie coś na obiad.

Nie wiem w ogóle, poco on mnie pyta.

Czy ja się kiedykolwiek w życiu zgodziłam?

Niech idzie w cholere.

Obiad będzie.

Jestem klasyczną żoną wręczniętą w beznadziejny domowy kierat i wla333.

śnie że zrobię obiad.

Zupę pomidorową i sznycle z kapustą.

A nadeser kisiel.

Tak postępują wszystkie porządne żony tego świata.

A mężowie chodzą na piwko z kolegami.

Ich pulchne połowice myjąstarannie naczyniapo obiedzie i zasiadają przed telewizorem.

Przyniosę sobie od teściów telewizori będę oglądać "Randkę w ciemno" i "Taniec z gwiazdami".

Przezcąływieczór.

Zrobię sobie górę kanapek,herbatę z cytryną, bardzoposłodzoną.

W szklance zkoszyczkciem.

Wyprasuję bieliznę.

I utyję.

Zadzwońię do koleżanki z podstawówkii przegadam z nią dwie godziny, anastępnie sprawdzę, czy dzieci mają czyste uszy.

I czy Miśkaodrobiła zadanie z zerówki.

-Zrobię Miśce kanapki ze świeżą szyneczką, masłem, pomidorkiem z działki i dopilnuję, żeby zjadła.

Malwinieugotuję kaszkęna mleku idopilnuję, żeby niezjadła kanapekMiśki.

Wykąpię Nikodema w wanience, sprawdzając uprzednio łokciem temperaturę wody.

Użyję do kąpieliwody przegotowanej i tysiąca wacików.

I wypudruję mu tyłek, żeby mu jajec nieodparzyło.

Umyję okna.

Dwa.

W przerwach nareklamyZnajdęczki i zrobię sobie manikiur.

Anogi wymoczę w miednicy, w międzyczasie wyszywając ściereczki kuchenne haftem krzyżkowym.

O.

Niepotrzebny mi do tego mąż.

W ogóle nie jest mi do niczego potrzebny.

Nikt minie jest potrzebny.

Poradzę sobie.

Zawsze sobie radzę.

Nieprawda.

Ale dziś właśnie tak będę myślała.

Wygrzebałam w piwnicypudłoz kompaktami i puściłam sobiePiątą Symfonię Beethovena.

Na znak protestu oraz na cały regulator.

Malwina tańczy, Niko się uśmiecha, a Miśki, na szczęście dlamnie, niema.

Sąsiedzi są, ale nie przyjmują tegodo wiadomości.

Mąż wpadłna lunch, spodobały misię porządek i Piąta Symfonia, zatańczył z Malwinką jakiś pokręcony układ, rodzaj baletuz potrząsaniem grzywą.

Powinnam się roześmiać, ale tylko zacisnęłam usta.

Niech mi sięlepiej niepodlizuje,bo to nic nie da.

I takjesteśmy różni, tak zupełnie różni.

To moje zabawki.

A jak mnie jeszcze raz pogłaszczę po głowie, to mu łapsko odgryzę.

Poza tym, od tego odchudzania porobiły mu się zmarszczki podoczami.

334

LATO, LATO WSZĘDZIE.

O moim sercu staram się nie wypowiadać.

W związku zpowyższymwieczorem przez jakieś dziesięć minut siedziałyśmyz Dominika nadkawą w absolutnym milczeniu, co namsię jeszcze nigdy nie zdarzyło, od początku znajomości.

Wkońcu zaczęłyśmy się śmiać.

-1 jak tam nasz nowy kolega?

-spytala w końcu leciutko,ostrożnie.

- Fajny.

Ale nie dla mnie- odpowiedziałam krótko, starając się,żeby zabrzmiało to równie niezobowiązująco i prawdziwie.

- Nieźlepisze i tyle.

Atmosfera uległanieznaczemu rozrzedzeniu.

Dało sięoddychać, od biedy,choć nie do końca.

Włączyłam film.

- Widziałas się z nimmoże dzisiaj?

- nie wytrzymałam.

Dominika popatrzyła na mnie z ukosa i prychnęła kawą, zarazem kręcącglową.

- Niech będzie, podoba mi się.

Mam wrażenie, że ja jemurównież, ale nie jest to ten rodzaj zauroczenia, z którego mogłoby cokolwiek wynikać - zdecydowałam się na kawałek prawdy Zależało mi na tym, żeby oczyścić atmosferę do końca.

- Świetnie sięz nimgada.

Zachwyciłymmnie jego teksty, te ostatnie szczególnie.

To taki.

taki rodzaj porozumienia intelektualnego dwóch osóbpiszących.

- Intelektualnego, powiadasz?

- Dominika powstrzymała wypływający na twarz zjadliwy uśmiezek.

-Jak bardzo intelektualnego?

- Wyłącznie - oświadczyłam z przekonaniem, a przynajmniejbardzo się starałam powiedzieć w ten sposób.

- A jakiego byśchciała?

- Jakiego bym NIE chciała - sprostowała Dominika uczciwie.

To właśnie w niejlubię.

-No cóż, onmi się również bardzo podoba.

Przyznam, że nie byłam zachwycona waszą zażyłością.

Uff. Nagledo pokoju napłynął tlen.

- Coteż ty nie powiesz?

- zaśmiałam się - A nie wyglądało.

- Byłam wściekła, bądźmyszcerzy.

I trochę się bałam.

Przecieżmaszmęża, dzieci.

a wyglądałaś, jakby.

jakby.

- Jakbym zupełnie o tym zapomniała?

-Pomyślałam, że mogłam niechcący narobićkłopotów.

335.

- Ty?

- zdziwiłam się.

-Nie martw się, naprawdę nie stało się nic.

po prostu mamy wspólne tematy i bardzo podobny sposób myślenia, i tyle.

Nic więcej.

Zero innych reakcji.

Nigdy w życiu przed nikim się nie przyznam, jak wiele to znaczy, jak ogromne Jarek wprowadził we mnie zamieszanie, i że tak naprawdę nie trzeba nic więcej.

Nic więcej.

Nic a nic.

Dobrze, że poruszyliśmy ten temat tak szybko.

Rzeczy wypowiedziane, wydobyte na światło dzienne, choćby tylko częściowo, na tym świetle blakną i przestają być tak niepokojące.

Poczułam ogromną ulgę.

Dominika też.

- I nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli ja bym.

jeśli ja.

- Bierz go sobie, z kopytami - zapewniłam ją gorąco.

Jeśli tylko zdołasz, pomyśl o mnie.

Ta wredna, samolubna.

Ściszyłam film, żeby nie przeszkadzał w rozmowie, a następnie szybko podkreśliłam, żeby mój mąż nie mógł, wracając z piwka, usłyszeć ani słowa.

Po co mi to?

Oczywiście zaraz po tym zmieniliśmy temat na swobodne ploteczki o dupie Marynie.

Po godzinie bezlitośnie wyгнаłam Domiśkę do domu, bo z regału szczyrzyły do mnie zęby wykładowcy interny.

Otworzyłam je na przypadkowo wybranej stronie i wpatrywałam się w nią długo, niewidząc ani słowa.

Porozumienie.

Przed oczami przepływało mi całe nie moje życie, oparte na porozumieniu.

Był piękny.

Mąż mnie obudził o drugiej w nocy, spałam z głową na stole, nie słysząc wyjącego Nikodema ani wykrzykującej coś na temat spania w domu pełnym rozdartych bachorów Miśki. Aż się cofnął na widok mojego spojrzenia, ciężkiego od żalu i nagłej niechęci.

Wycofał się na górę, do sypialni.

Pozbierałam starannie notatki, przetrząłam stół jak wzorowapani domu i poszłam za mężem, po drodze zabierając butlę dla młodego.

336

Usiadłam po turecku na łóżku, z młodym w ramionach, i czekałam, aż się nażre i obaj moi mężczyźni wreszcie zasną nadobrze.

Wsunęłam się pod kołdrę ostrożnie.

Moje sny wcale nie wyglądają lepiej niż wczoraj.

A mój salon wygląda jak pobożowisko, bo młodzież, Miśka z sąsiadką i nieodłączną, kurozpaczę starszych dziewczynek, Malwinką, produkuje laurki i bukiety dla swoich pań z zerówki, na zakończenie przedszkolnej kariery.

Przytargały do salonu kosmiczne ilości bibuły, kolorowego papieru, wstążek i jakiegoś ziela, z kwiatami i bez, oraz z kwiatami typu bez.

Próbują stworzyć wiązanekę, jakiej świat nie widział.

Ja próbuję zachować spokój.

Malwinką cichaczem próbuje skosztować wszystkiego pokolei, roślinności, bibuły, wstążeczeki

kleju.

Najbardziej smakuje jej klej.

Jej przyszłość jawi mi się w czarnych barwach.

Cycek, nasz nowy kociak, też spróbował tego i owego i pochorował się teściowej na wycieracze.

Teściowa przybiegła do mnie przerażona, bo myślała, że to dziecko.

Skądże znowu.

Malwinką pochorowała się prosto do mojej szuflady z lekarstwami.

Mąż wyjechał na bardzo ważną konferencję do Augustowa.

Zabrał ze sobą flaszkę koniaku i strój kąpielowy.

Moja szczoteczka do zębów zaginęła w tajemniczych okolicznościach.

Snobze Szczecin przyjechał służbowo, został na cały weekend siedziw "Banasiu".

Andrzej zadzwonił z Bostonu, gadaliśmy przez dwie i pół godziny.

Gośka jest po zabiegu, teoretycznie udanym nad podziw, coż tego jeśli od szesnastu godzin nie mogą jej wybudzić?

Nagle ścisnęłam mnie w dołku.

Nie umiem sobie zapewne nawet wyobrazić, jaki samotny i przerażony jest Andrzej w tym Bostonie.

Staralam się poświęcić mu tyle czasu, ile mogłam, i go pocieszyć.

Szesnaście godzin to jeszcze nic strasznego, ludzie czasami budzą się po kilku dobach i spokojnie żyją dalej.

Gosi mama zdecydowała się polecieć do nich jeszcze w tym tygodniu, Andrzeja juniora

337.

zabiera ze sobą, bliźniaków nie może, bo nie mają wizy.
Zaopiekuje się nimi druga babcia.

Odłożyłam słuchawkę i zdenerwowałam się tak, jak chyba jeszcze nigdy w życiu.
Pięć minut później zadzwoniła moja babcia z pytaniem, do którego kościoła idę na procesję: na Wawel czy do parafialnego.

Jutro Boże Ciało.

- Do żadnego - warknęłam nieuprzejmie.

- Nie wybieram się na żadną procesję.

- Dlaczego?

- chciała wiedzieć wstrząśnięta babcia.

- Przecież dziewczynki muszą sypać kwiatki, w zeszłym roku tak ślicznie wyglądały.

Rozumiesz, obyczaje przodków.

- Bo to faryzeizm - palnęłam bez namysłu, rozładowując narodzonej babci podły nastrój.

Zadzwoniła w nieszczęśliwym momencie.

- Jezus źle się wyrażał o tych, którzy się modlą, stojąc na rogach ulic.

Wzwiązku z czym przodków mam w zadku, z całym szacunkiem dla kochanej babci.

Babcię zatkąło i pożegnała się oziębło.

A ja zamknęłam oczy i pod powiekami wyświetlił mi się zbolesną dokładnością film sprzed roku: Boże Ciało.

Procesja.

Poszliśmy wszystkietrzy: ja, Gośka i Magda, właśnie po to, żeby oswoić potomstwo z tradycją.

Nasze dziewczynki, sztuczki, w białych sukienkach.

Gośki Adaś z dzwoneczkiem, Andrzejek w komży ministranta, z figurą.

Gośka, z ręką na głowie Amelki, śpiewająca pełną piersią "Święty Boże, Święty Mocny.

". Jej perfekcyjna jasna fryzurka (nikt z postronnych nie miał szans domyślić się, że to peruka) na tleszarych bloków i błękitnego nieba.

Na ustach uśmiech, a w oczach podejrzana wilgoć.

- Ej, ty.

- Magda szturchnęła ją pod ramię.

- Ryczysz czy jak?

Co jest?

Coś ty, ciotka, taka sentymentalna na starość?

Gośka wykonała kilka gestów na raz: pokręciła głową, wzruszyła ramionami, w końcu oparła głowę na ramieniu Magdy. Objęła mnie w pasie.

- Jest pięknie - szepnęła cicho.

- Niech sobie różni postępowimówią, co chcą.

Może jestem dziecinna.

Ciekawe, czy będę jeszcze z wami w przyszłym roku.

Magda z trudem powstrzymała się od popukania jej z impetem w czoło.

Fuknęła tylko znacząco.

338

A jednak.

Rok minął.

I nie ma Gośki z nami.

Nie ma też Magdy, czyli w ogóle nie ma "nas".

Jestem dziecinna.

Obraziłam się na Opatrzność.

Oto, dlaczego nie pójdę na procesję.

Chyba, że Gośka odzyska przytomność.

To szantaż, Szefie.

Konsekwentnie nie odbieram komórki od Jarka.

Przekazałam przez Dominikę, że pilnie się uczę, psuje mi się telefon i skontaktuję się z nim zaraz po egzaminach.

Muszę dać czas.

I im, i sobie.

Dominika poszła do fryzjera i ścięła włosy, teraz ma do ramion.

Falujące, pięknie przystryżone, w delikatnym, kasztanowym kolorze.

Wygląda fantastycznie.

Powiedziała, że nagle nie ma ochoty nawet pomyśleć o Pawlei bardzo jej wstyd.

Tej ostatniej, pamiętnej nocy w zasadzie się nierozstali, tylko postanowili dać sobie czas, ponieważ zbyt wiele słów rzuconych w gniewie nagle ich rozdzieliło.

A ona nie dała im nawet pięciu minut, sama to tak określiła.

Zróżnych przyczyn: z rozczarowania, urazy, a także, jak twierdzi, z tęsknoty za prawdziwą bliskością.

Skrzywiłam się trochę na te wynurzenia.

Przypuszczalnie nie jestem obiektywna, zwłaszcza w tej sytuacji, ale zaczyna mi się wydawać, że moja poetyczna, myśląca sąsiadka jest wrażliwa wyłącznie na własnym punkcie.

Jej życie obraca się ostatnio jedynie wokół własnych emocji i wzruszeń, szalenie intensywnych, ale zmiennych jak pogodaw marcu.

Lubię Pawła, niedoceniałam go wcześniej.

Wydaję mi się, że gdyby tylko Dominika była zdolna zauważyć w nim człowieka, a nie obiekt westchnień (to spora różnica), miałaby szansę zbudować coś trwałego.

Nie podoba mi się jej podejście do niego w tej chwili.

Chciałaby zostawić go jeszcze w rezerwie, dopóki się nie wyjaśni, czy polowanie na Jarka ma sens.

A zarazem jest szczęśliwa, że nie ma go w pobliżu.

Może nie powinnam tak się wymądrzać, nawet w głębi ducha.

Też poczułam ulgę, że maż mi wyjechał.

Ale motywację mam zupełnie inną.

Nie zamierzam korzystać okazji, wręcz przeciwnie.

Chcę dać sobie czas, pozwolić wybrzmieć emocjom i przepłynąć nad nimi, wypróbowanym sposobem, do którego niezbędna jest samotność.

339.

Może należałoby urządzić prawdziwe polowanie ze sztucerami odstrzelić tego całego Jarka, tak po prostu?

Kilka osób odetchnęłyby ulgą.

Uznałam, że najlepszym lekarstwem na głupie zadurzenie będzie pełne zaangażowanie w codzienność.

A ta ostatnia kolorowajest i nie skąpi wrażeń ani mnie, animoim przyjaciołom.

Edytka myśli o założeniu własnej firmy i ubiera się na zielono.

Duduś ze Snobem przesiadują w "Banasiu" w charakterze mebli i kłócą się zawzięcie.

Baron przychodzi wieczorem pracy jakosekundan.

Nie jest zbyt zadowolony z życia.

Ostatniociąglerozpisują gonawweekendy i biedactwo niemoże pić.

Miśka nauczyła się jeździć na rolkach.

Nagle.

Jej przyjaciółka sasiadka dostała śliczne nowe rolki na urodziny, w związku z czym moje dziecko wyciągnęło swoje zakurzone, na które jeszcze w zeszłym roku.

nie chciała patrzeć (ambitna matka zakupiła córeczce stosowny sprzęt, bodajże gdy ta miała cztery lata, dziecko spróbowało, łapy mu się rozjechały jak szczeniakowi na parkiecie, w dodatku kilka lat starsza kuzynka wywijala jej pod nosem slalomy i piruety).

Miśka, obdarzona po mamusi ambicją najgorszego rodzaju, pod tytułem: "skoro nie jestem najlepszą mamą wszystko głęboko gdzieś", spróbowała w zeszłym roku raz jeszcze, ale z pewnością nie sięgała kuzynce do pięt, osobiście zawlokła rolki do piwnicy i upchnęła je w najciemniejszy kąt.

Teraz nadeszła wiekopomna chwila: zarówno świeżo obdarowana solenizantka, jak i jej córka wyraziły chęć zabrania ze sobą rolek na imprezę urodzinową, odbywającą się w jednej z dyskotek.

Ja uniosłam brwi niejakopodwójnie: lewą brew na sam fakt urządzania siedmiolatce urodzin w dyskotekę, ale szybko się okazało, że tatuś solenizantki jest pracownikiem owej dyskoteki i uroczystość odbędzie się po południu, jako impreza zamknięta, dzieciaki nie będą zatem narażone na demoralizację ze strony niewiele od nich starszej pijanej młodzieży.

Natomiast wszelkie atrakcje typu siedzenie przy prawdziwym barze, popijanie szampana Piccolo z prawdziwych kieliszków i tańce do muzyki puszczonej przez zaprzyjaźnionego

PRAWDZIWEGO idzieja, migające światełka itp.

będą zapewnione.

Lewa brew opadła mi zatem dość szybko.

Prawa brew uniosła się na pomysł zabrania rolek na ową imprezę, ale równie szybko zostałam przegłosowana 340

wana, zakrzywana, ubłagana, wycelowana i w ogóle zmiekczone jak masło w maselnicy.

Z imprezy Miśka wróciła zachwycona i okazało się, że w jedno popołudnie obie z kumpelą opanowały jazdę na rolkach w stopniu wręcz szokującym.

Pole do popisów miały wyśmienite, miejsca na parkiecie było sporo, muzyka wręcz rozgrzewała do wyczynów sportowych i młodej włożyły rolki zaraz po dotarciu na miejsce, tak już ich nie zdjęły.

W ogóle.

Miśka wjechała na nich do domu, rodzice koleżanki musieli upchać na tył samochodu cztery sztuki młodzieży, w tym dwie baby w rolkach i dwóch chłopczyków z piszczącymi game-boyami w dłoniach.

Mają ludzie cierpliwość.

Całą następną dobę poświęciłam na tłumaczenie mojej córce, że w rolkach, na upartego, można zjeść kolację i pojechać do kibla, natomiast nie zgadzam się na: mycie zębów w rolkach, zabieranie rolek ze sobą do wanny w celu umycia im kółek, położenie się do łóżka, wzięcie ich do łóżka w celu przytulenia się do nich przed snem, wstanie o piątej nad ranem i jeżdżenie na rolkach po salonie, zabranie rolek do zerówki, na tenis oraz na basen, ustawienie ich na honorowym miejscu na kredensie, żeby przynajmniej mogła na nie patrzeć przy obiedzie, udanie się na rolkach na wizytę u ortodonta.

Miśka stwierdziła, że jestem okropna i ciągle się czepiam.
Malwince udało się usiąść na kocie.
Kot ugryzł ją w tyłek.
Udało jej się również dopaść roleta, włożyła je prawie fachowci z miejsca nabiła sobie guza,
próbując wstać.
Z drugiej strony dołożyła jej Miśka, której nie podobało się zagarnięcie jej ulubionej
zabawki.
Podrapały się obie po twarzach.
Nikodem dostał wysypki, bo wyprałam mu przez przypadek kaftaniki nie w tym proszku, co
trzeba.
Teraz mam dzieci w kropki oraz wpaski.
i Po świecie krąży jakiś paskudny wirus, w przychodni same białogłuchy i tym podobne
przyjemności.
Listę leków proponowanych!
przez panią doktor znam już na pamięć i rozdaję na prawo i lewo, bo rodzinę też zmożło.
Malwinka twardo "czyta".
Polega to na tym, że bierze książeczkę na kolana, ogląda obrazki i nawija po swojemu jak
katanka, niekiedy cytując z pamięci całe fragmenty tekstu, a niekiedy wspo341.

magając się własną wyobraźnią, przy czym streszczenia klasyki dziecięcej w jej wykonaniu warte są zapamiętania.

Ja dodatkowo muszę się poważnie zastanowić nad słownictwem szeroko stosowanym przez całą rodzinę.

Jak kiedyś wspominałam, na Miśce różnego wyraży nie robią przesadnego wrażenia, i z wyjątkiem nielicznych wypowiedzi, które weszły już do zbioru rodzinnych anegdot, moja starsza wysławia się na poziomie i z umiarem.

Natomiast słodka, niebieskooka Malwinka usiadła ostatnio na nocniczku i wzięła na kolanka kilka książeczek, na pierwszy ogień poleciła: "Martynka szuka Pufka", zuroczej, bogato ilustrowanej serii dlamających dziewczynek.

- Dziecinka posła z pieskiem na spacer.

- "przeczytało" z namysłem moje dziecko, aż poczułam pewien rodzaj rodzicielskiej dumy, bo zdanie poprawnie skonstruowane - dwa lata i dwa miesiące, geniusz!

- i zgodne z tym, co widnieje na pierwszym obrazku.

- I patsi, patsi - ciągnęła dalej Malwinka - kulde, nie mapieska!

Cóż, przyjmijmy, że to wpływ starszego rodzeństwa.

Po "Martynce" przyszła kolej na wierszyki Brzechwy.

- Posłał kozioł koziołeczka po ciasteczka - zaczęła Malwinka, a ja znów spuchłam z dumy: co za fenomenalna pamięć, jaka elokwencja!

- "Jusił w djogę, na stonogę" - streszczała młoda nieco pobieżnie, kartkując książeczkę.

- "I ucieka, ucieka, taki tchóś, taki tchóś.

I psiedł do domku, a tatuś mu jeb!

" - zakończył moją dziecką, ekspresyjnie wywijając książeczką.

Chyba muszę porozmawiać poważnie z tatusiem.

Naszym osobistym.

Mąż wrócił z konferencji i został zaatakowany przeze mnie już w progu.

- Gdzie moja szczoteczka!

- zawarczałam groźnie.

- Przyznaj się!

- Może moja kochanka zabrała przez pomyłkę?

- zastanowił się głębszo mój Ostatnio-Odrobinę-Mniej-Ukochany.

- Przekaż jej, proszę, że nasze dzieci mają sraczkę - powiedziałam uprzejmie.

Mąż z zadumą na twarzy grzebał w plecaku.

Wyrzebał swoją kosmetyczkę i zajrzał do środka.

- O - zdziwił się.

- A wiesz, że to ja zabrałem?

342

- A można wiedzieć, w jakim celu?

- spytałam słodkiutko.

- Z tęsknoty - odparł mój mąż bez sekundy namysłu.

- Po prostuchciałem mieć przysobie coś twojego.

Itak chodziłem, i chodziłem z twoją szczoteczką w zębach cały czas.

Bo cię kocham.

Wizja mojego męża, jak z moją szczoteczką do zębów wiszącą z lewego kąca ust bierze udział w bardzo ważnej konferencji samorządowej, dotyczącej nowych planów żywienia gospodarczego pewnego regionu, doprowadziła mnie do atakuczkawki.

t. I dobrze mi zrobiła napsychikę.

I Niech szlag trafi sny, nagle dreszcze i wszelkie chwilowe pokrewieństwa dusz!

Też go kocham.

Po prostu.

Gośka nie odzyskała przytomności.

Nie poszłam na procesję.

Nie chcąc narażać się rodzinie, odziałam Miskę w strój krakowski, a Malwinę w białe koronkowe gieszło, zainwestowałam w dwaworki kwiecista i wysłałam całość na uroczystość urażoną babcią. Sama udałam się do pobliskiej knajpy.

Protest trwa.

ŁOSOŚ W RODZINNYM PORCIE

Łosoś przyjechał!

Śpi na górze, w jednym z naszych pozostawionych chodłogiem pokojów.

Kupiliśmy mu luksusowy materac dmuchany, bo na porządne łóżko dla gości jeszcze nas nie stać, niestety.

Jeszcze nie zdążył się rozpakować, jak kot nał mu na poduszkę.

Nie wiem, co z tym Łososiem.

Kot, który sprofanował jego leże, nie miał żadnych traumatycznych doświadczeń z przeszłości, z

Łososiem związanych - cwiężcej, widział go poraz pierwszy w życiu.

I nał beznamysłu.

Przy świadkach.

Może mu starszy kot opowiedział to i owo?

Przejechałam po materacu płynem do zmywania, poduszkę wymieniłam, resztę pościeli również, bokoci mocz rozlał się tu i ówdzie, i śmierdzi.

Wystawiłam materac na taras.

Czekamy, aż wyschnie, pijemy herbatę, czerwone wino i wspominamy sobie dawne dzieje.

343.

Ponieważ zaczęliśmy od pospolitego chwalipięctwa - Łosośnam pokazał na swoim komputerze nagrania, jak świetnie jego pięcioletni syn jeździ na nartach, my go na to zasypaliśmy zdjęciami Miśki w analogicznej sytuacji (kamery, niestety, jeszcze nie posiadamy) - wspomnienia zeszyły na pamiętny obóz na Słowacji.

Tenz głupim trupem.

A było co wspominać.

in, Chociażby język słowacki, sam w sobie.

Nacięliśmy się na ni^go na rozmaite sposoby !

^'

Drugiego dnia obozu, z samego rana, niejaki Kubawybrał się po bułki.

- Bułki są?

- spytał grzecznie, wspomagając się międzynarodowym językiem gestów i wykonując coś, co równie dobrze mogło oznaczać, że ma fisia.

Lokalnego, na dłoni.

Pani jednakże informację zrozumiała właściwie.

- Ano- powiedziała, machając bagietką.

- Czrstve.

- A, to dziękuję - powiedział grzecznie Kuba i wyszedł ze sklepiku, a pani opadła szczęka i tak już pozostała.

Jeszcze zza szybybyło widać jej otwartą japę i wytrzeszczone oczyska.

Bardzo ubawiony tym faktem polonista dopiero przy obiedzie zdradził nam, że "czrstve" znaczy "świeże".

Poza tym było jeszcze słynne "nech se patrzy".

Znów trafił na Kubę, który odważny był chętnie brał na siebie załatwianie spraw różnych.

Zrobiliśmy zrzutkę i wysłaliśmy go pokarnety, bo nie chciało nam się kłębić w kasie przy wyciągu.

Kuba dał pani pieniądze, poradził sobie jakoś nawet z liczebnikami, postukał w odpowiedni kartonik odpowiednią ilości razy i otrzymał żądany produktw stosownej liczbie.

- Nech se patrzy - powiedziała mu na koniec pani, z miłym uśmiechem.

Kuba zawahał się obejrzał kartoniki uważnie.

- Patrzę - powiedział z rezerwą.

-1 co?

- Ano, nech se patrzy!

- powtórzyła pani.

Kuba baranim wzrokiem obejrzał jeszcze raz karnety, jeden podrugim, ale niczego spektakularnego na nich nie wypatrzył.

Dalej stał przy okienku.

Popatrzyła panią pytająco.

- No, nech se patrzy, nech se bierze i nech se idę!

Hen!

- zniecierpliwiła się pani i wygoniła go z okienka, machając ręką.

344

Kuba dołączył do nas, wruszając ramionami.

A nasz polonista znów się spluł po pachy z radości i wyjaśnił że "nech se patrzy" to znaczy "proszę bardzo".

My mieliśmy pewne problemy z przyswojeniem sobie języka słowackiego, natomiast ludność tubylcza rozumiała nas aż za dobrze.

Były to czasy, w których namiętnie i w każdej niemal wolnej chwili zaliśmy po górach różnych, nie tylko w celu pojeżdżenia na nartach, ale przede wszystkim poprostu na piechotę, latem, zimą, wiosną i jesienią.

Zwykle mieliśmy z sobą niewielkich rozmiarów kuchenkę gazową, produkcji radzieckiej, która

działała znakomicie, pod warunkiem że w ogóle udało się ją odpalić.

Własność Łososa.

Z niewiadomych przyczyn trudno było przekonać ustrojstwo do rozpoczęcia współpracy, odkręcaliśmy kurek, potrząsaliśmy nad nim zapalniczką czy też zapalkami różnej maści i zwykle pierwszeństwo trzy próby pozostawały bez efektu.

A za czwartym razem świst buchał płomieniem na pół metra, i po tym jak musiałam wystąpić na balu karnawałowym z połową grzywki i asymetrycznymi brwiami, mimo zamilowania do gotowania w piknikowych warunkach takich pyszności jak rosół z kostki lub zupa grochowa z torebki, odbezpieczenie kuchenki pozostawiałam od tej pory samcom.

Nazywaliśmy pieroństwo granatem.

No i Łosoś wraz z Kubą któregoś dnia, czekając na czerstwe pieczywo, przyjrzeni się bliżej półeczkom zasortymentem gospodarczym, gdyż, jak się to często zdarza, jedyny sklep wokolicy był oszałamiająco wprost wielobranżowy.

Na jednej półeczce leżały rajstopy damskie, płyn do naczyń, rozmaite utensylia higieniczne, bardzo paskudne kubeczki z zezowatym górale, komplet kieliszków do białego wina, sekator i poduszka elektryczna.

I parę innych rzeczy.

- Ty, popatrz, granat!

- ucieszył się Łosoś, wypatrzywszy na półce kuchenkę, identyczną z naszą.

Sprzedawca miał uszy jak zajac i przyskoczyło do nich natychmiast.

- Pane kochany, to nie je bomba, to je wyborny warnik!

- zaprotestował energicznie.

- To nie je bomba!

Chłopcy musieli udzielić wyjaśnień, szalenie rozbawiając klientów.

Pana nieco mniej.

W połowie obozu znudziłam się jeżdżenie na nartach i postanowiliśmy dla odmiany poznać okolice, te trochę dalsze.

Na

345.

środek transportu wybraliśmy słowacką kolej wąskotorową, cudownie staroświecką, a była to nie lada atrakcja sama w sobie.

Nakażdej z zapyziałych stacyjek stałidentyczny wąsaty staruszekmundurze, z chorągiewką,i jak jużwszyscy wsiedli i wysiedli,krzyczał z namaszczaniem: "Hotowe!

". I pociągruszał.

Na jedneje stacyjek pociąg miał doczepiane jakieś tam wagony, chłopcomskończyły się napoje iMariusz z Michałem wyskoczyli biegiem dosklepiku.

Kubie błysnęło w okui wystawił głowę przez okno.

Chłopcy dokonali zakupu i wracali krokiem statecznym, gdyż niechcieli brzęczeć.

Kuba nie wytrzymał.

- Hotowe!

- wrzasnął przez okno,z czystej głupoty.

Chłopcypoderwalisię do biegu z obłędem w oczach, aleumundurowanywąsacz czujny był.

- Gównu hotowe, ja sem od teho!

- huknął i pogroził Kubiechorągiewką.

-Hotowe!

Mariusz z Michałem cudem boskim zdążyliwskoczyć do wagonu.

Pociąg ruszył.

Kuba za karę napoju nie otrzymał, natomiast wykonano na nimduszenie szalikiem.

Pod wieloma względami był to obózstulecia.

Grzeczni byliśmy i religijniumiarkowanie, więc skoronastałaŚroda Popielcowa, zapragnęliśmy udać się do kościoła.

Poprzedniego dnia, wracając z knajpy, nasi panowie wykonali slalom odrobinędłuższy niż zazwyczaj isprawdzili, o której będzie mszaw okolicznym kościele.

Przy czym zapamiętane przeznich informacjeróżniły się mniejwięcej dwie godziny w różnestrony. Przez aklamację przyjęto, że msza poranna będzie kołogodziny ósmej, a popołudniowa w okolicy szesnastej.

Ponieważ o szesnastej naszegrono uporczywie udawało, że przeprowadza nam lekcje polskiego i fizyki - w końcu było obózszumniezwany naukowym - pozostała nam ósma rano.

Działo się to w czasach raczkującego kapitalizmu, kiedy toklient panem nie był wnajmniejszym stopniu- o siódmej trzydzieści pensjonat okazałsię zamknięty namur beton, a obsługa spałasnem kamiennym.

Zamykaniepensjonatu nanoc było przyjętą odgórniemetodąpanowanianad rozszalałąmłodzieżą, która puszczona luzem mogłaby wybrać się po nocy Bóg wie gdzie.

346

Bóg wiedział, gdzie się wybieramy, ale cudu nie uczynił i nieudało nam się przeprowadzićwłamania, a raczej wyłamania zpensjonatu z pomocąklucza od pokoju.

Dzika determinacja w nas wstąpiła,niczym w pierwszych chrześcijan zakradających się po nocy do katakumb.

W roli katakumbwystąpiłkibel na parterze,skąd przez okno od biedy dało się wyskoczyć na świeże powietrze.

Pierwszy skakał mój osobistycichywielibiciel, jedynmsprawnymruchemi bezcienia lęku, ponieważpo pierwsze jego muza patrzyła w niemym podziwiew, apo drugiepod oknem leżałakupa świeżego puchu.

Tak to przynajmniej wyglądało z góry.

Mójcichy wyskoczył,a w następnej sekundzie pod oknem rozległy się głuchy łomot i głośne, szalenie wulgarne przekleństwo,którego zupełnie po tym subtelnym młodzieńcu się niespodziewałam.

Uniosłam brwi i wyrzałam przezokno.

Luby prezentowałsiad płaski na czymś, co wyglądało jak kupapuchu,a okazało siękupa lodu,przysypaną pięciocentymetrowąwarstwą śniegu - i walczyło odzyskanie oddechu.

- Ojej, boli cię coś?
- zapytałamz troską dyskretnym półgłosem.
- Nie, kurwa, swędzi!
- warknął mój rycerz, zbierając się z podłoża.
- Idę po drabinę.

Młoda byłam i pełna ideałów.

Dopisałam mu w duchu punktyjemeza niekulturalne odzywianie się do dam.

Po czym skwapliwie skorzystałam z podsuniętej drabiny, a zasnęła połowa klasy.

Druga połowa zlekceważyła świętośrednioobowiązkowe i odsypiała Ostatki.

Do kościoła, o dziwo, dotarliśmy na czas i wysłuchaliśmy kaza nią o "Jeżyszu", przez co nieomal nie pękliśmy ze śmiechu, próbując zachować powagę.

Posypując głowy popiołem, siwy ksiądz wygłaszał z namaszczaniem: "Sem se prch, a w prch se obratisz".

Przez co jeden po drugim wialiśmy spodołtarza dzikim pędem, z ręką na ustach.

Wieczorem, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, udaliśmy się do pobliskiej knajpy, gdzie chłopcy postanowili wykonać eksperyment na ludziach i upić Łososa, tak dla hecy. Jak tylko Łosoś oddalił się do toalety zaopatrzonej w drzwi typu saloon na Dzikim Zachodzie, co nas nieodmiennie śmieszyło od momentu przyjazdu - dolali mu natychmiast do piwa setkę wódki.

Ponieważ

347.

Łosoś względem alkoholizmu niedoświadczony był, smak piwa niewzbudził jego najmniejszych podejrzeń, natomiast szybko zrodziła się w nim ochota na następne.

Dziko uczynny Pasztet polecał dobaru i zamówił identyczną miksturę.

Początki kapitalizmu miały tę cudowną zaletę, że wieku klientów nikt się nie czepiał, mikstura została dostarczona.

Łosoś wypił ją nieomal duszkiem.

W drodze powrotnej chłopcy mieli duży ubaw, gdyż Łosoś cofnął się filogenetycznie na poprzedni poziom i objawiła się w nim potrzeba wchodzenia nad rzewą, słupy i przydrożne latarnie. Zanim wyłaził Bartek, pełen obaw - w związku z czym do archiwum klasowego trafiło parę interesujących fotek.

Niemal połowa żeńskiej części klasy - czyli ja i Magda - wróciwszy z knajpy dwie godziny wcześniej, po wypiciu kilku litrów woli i jednego małego piwa na głowę, zajęta była konstruowaniem igloo z przylegającej do naszego pensjonatu ogromnej śnieżnej zasy. Akurat przebiłyśmy się z Magdą przez najbardziej uporczywą, lodową warstwę i droga do wnętrza zasy stanęła otworem, gdy objawili się chłopcy, z Łososiem taszczonym przez Bartka metodą noszenia rannych z placu boju.

Bartek stracił cierpliwość po tym, jak Łosoś wlaźł na jakieś podwórko i usiłował zdobyć żuraw studzienny.

Niesiony wierzgał, ale jakoś niemrawo.

- Ratunku!

- wydyszał Bartek.

- On mi się plącze i łązi po drzewach.

Trzebago wywietrzyć, zanim grono się zorientuje.

- A co?

- spytała Magda z głębi zasy.

Magda bardzo lubiła Łososa.

Śmieszył ją.

- A upił się - wyjaśnił Bartek, z hukiem upuszczając ciężarumoich stóp.

Magda wylazła z zasy.

- Łososiu wredny, jak mogłeś?

- oburzyła się, klękając nadzwłokami.

- W Środę Popielcową?

- Ze..

że? - wybełkotał Łosoś pytająco.

- O.

Bo..

że! Dziesięć minut później siedział w tym samym miejscu i trzymał się za głowę.

- O J o J P J!

- jęczał smętnie.

- Ojoj.

we środę.

jak się mama dowie.

.. jak się Bozia dowie.

- Bozia już wie - podsunęła bezlitośnie Magda.

- Jak się mama dowie - biadolił Łosoś tekstem ciągłym.

- Jak się dowie Dorotka.

348

To ostatnie nas nieco zelektryzowało.

Dorotka to była nasza koleżanka z klasy, tak zwana najpiękniejsza z całej wsi.

Obiekt westchnień wielu panów.

Aktualnie siedziała twardo w pensjonacie grała w brydża, gdyż była to jej ukochana rozrywka.

Towarzyszyło jej dwóch Michałów i niejąkaKaśka.

W szerszym towarzystwiecała czwórka od początku obozu nieudzielała sięwcale.

- Jak się Dorotka dowie, to co?

- zainteresowałasię Magda.

-To..

to nie będzie chciała na mnie patrzeć -jęknął Łosośi przytrzymał łeb własny odrobinę mocniej.

- Bozia nie będziechciała na mnie patrzeć.

Mama.

o matko, ona to się dopiero będzie patrzeć!

Magda była nieubłagana i ciągnęła wątek Dorotki.

- A tobie tak zależy, czy Dorotkapatrzyczy nie patrzy?

- zapytała podejrzliwie.

- A zależy mi - wygłosił pełną piersią Łosoś, z pijacką determinacją.

- Zależy mi.

bo mi zależy!

, Magda usiadłaobok niego i zagapiła się w gwiazdy.

-Aha - powiedziała miękkopochwili.

- A-ha.

Łosoś złapał ją nagle za rękę.

- Nie powiesz jej, prawda?

-zapytał.

- Na pewno nie powiesz?

- Niepowiem- wyszeptała Magda, dalejpatrząc w niebo.

-Ale ja powiem - nie wytrzymałam w końcu.

- Powiem, jeśliśięnatychmiast niepozbierrasz i nie przestaniesz tu leżeć i jęczeć.

- Już wstaję.

- Łosoś wspiął się dość bezceremonialnie poMagdzie, która westchnęła i przytrzymała go w pionie.

-Muszę.

iśćna spacer.

- Niezła myśl -podchwyciłam z energią, rozdmuchując wiszącew powietrzu napięcie, którego tamten najwyraźniej nie wyczuwał.

-Magda, standup!

Spacerujemy Łososi.

Przespacerowałyśmy go w milczeniu cztery razy wokółzaspy.

Jeden obchód zabierałjakieś dwie minuty

- Teraz pójde sobie sam - zdecydował Łosoś, wyplątując sięzMagdy.

Ta westchnęła ponownie.

Japrzytaknęłam energicznie.

- Dawaj, Łosoś!

- Popchnęłam go do przodu, a Magdę wzięłam pod ramię jednym wprawnym ruchem.

-My sobie idziemy,a ty

spaceruj.

W absolutnej ciszy powróciłyśmy do przekopywania zaspyw poprzek.

Po piętnastu minutach Magda zaczęła się wiercić.

349.

- Ty, gdzie on polazł?
- zapytaław końcu.
- Miał chodzić dookoła.
- Idziemy go szukać - zdecydowała, bo też mi się nie podobało to niespodziewane zniknięcie.
Nie minęła minuta, jak znalazłyśmy naszego przyjaciela w zaspie, dokładnie po drugiej stronie naszej konstrukcji.
- Hej, Łosoś, co jest?
- zapytałam, schylona nad wyciągniętym na śniegu ciałem.
- Nie wiem - odparł marzycielskim tonem Łosoś.
- Ale jest tak pięknie.
- wygłosił, patrząc w rozgwieżdżone niebiosa.
- Czuję, że Bozia mi jednak przebaczyła.
- A Dorotka?
- nie darowała sobie Magda.
Parę chwil później przyszli chłopcy, pełni poczucia winy, stukając znacząco zegarki.
- Jedenasta dochodzi - powiedział Paszтет ponuro.
- Wracajmy, bo zamkną pensjonat idopiero będą jaja.
Jak tam Łosoś?
Łosoś znów siedział, wsparty o zaspę, i z błogim uśmiechem patrzyłw niebo.
- Idziemy - zakomenderowała Magda.
- Łososi, obejmij mnie.
Paszтет popatrzył na nich pytająco.
- Kamuflaż - wyjaśniła bez troski.
- A co mitam, najwyżej będą plotki.
Nie pierwszy inie ostatni raz.
Nie ufam jego nogom.
Łososi, idź grzecznie i nie odzywaj się.
Możesz powiedzieć "dobry wieczór", jeśli potrafisz.
Łosoś spróbował.
- Lepiej nie - zdecydowała.
Doszliśmy dopensjonatu.
Na schodach, przewieszony przez barierkę, stał nasz polonista i machając piwem, ochrzaniąc o coś Kasia.
- Gdzie byliście?
- zapytał podejrzliwie.
Łososiem zachwiało.
- W zaspie - odpowiedziałam bez sensu, patrząc na niego straszonym wzrokiem.
Łosoś zrozumiał mnie nieco opacznie.
- Dobry wieczór, panie profesorze!
- wygłosił gromko, trzaskając obcasami.
Na szczęście wyszło mu prawiedobrze.
Wyplątał się Magdy podążył samodzielnie na górę, trzymając się w pionie jak Sztywny Pal Azji.
Polonista odprowadził go zdumionym spojrzeniem.
- A temu co?
350
- Rozgrywki damsko-męskie.
- powiedział przytomnie Paszтет, machając lekceważąco ręką.
Co znakomicie skierowało uwagę polonisty na inne tory.
I dobrze, bo po chwili zpiętra dał się słyszeć potworny łomot.
- Rozgrywki w zaspie?

- drażył polonista, lekceważąc straszliwe odgłosy, dobiegające z góry Trzasnęły drzwi, co oznaczało, że kataklizm zwany Łososiem dotarł wreszcie do pokoju.

Spuściliśmy Magdę wdzięcznie oczka w dół, powstrzymując westchnienie ulgi.

- Obraził się- wyjaśniła Magdana chybił trafił.

- O co?

- Ubawiony polonista nierezygnował z rozrywki.

- O niego.

- Magda mściwie i bez namysłu wskazała Paszteta.

- Bo on mu wszedł w paradę.

A tak w ogóle to są nasze sprawy, panie profesorze.

Dzieci nie narobimy - zapewnił poważnie.

- Zwłaszcza w zaspie - dołożył Pasztet.

- I po tym, jak się obraził.

- No, mam nadzieję - westchnął polonista, wyjął z kieszeni papierosa, przyjrzał im się uważnie i schował z powrotem.

Zawsze tak robił, co piętnaście minut, chyba że gdzieś można było palić, wtedy palił.

Również co kwadrans albo jeszcze częściej.

- Idźcie grzecznie spać.

W swoich pokojach.

Wszelkie sprawy damsko-męskie radzę rozstrzygać w biały dzień i przy ludziach.

- A fuj, panie profesorze!

- skrzywił się Pasztet i pogonił na górę,

A Łosoś zasnął na podłodze, wsparty o kanapę, wzięty z kuczką zdążyliśmy obłożyć go wszelkimi pustymi butelkami oraz pozgniatanymi puszkami pozbieranymi z całego pensjonatu i porobić zdjęcia.

Będziemal chłopak pamiętkę.

Poza tym obóz upłynął pod znakiem Praktykanta.

Praktykant, wbrew nazwie, był człowiekiem świeżo po studiach właśnie rozpoczynał karierę w zawodzie nauczyciela.

Nazywaliśmy go tak, ponieważ dwa lata wcześniej był u nas w ramach praktyk studenckich, starał się być bardziej papieski od naszych papieży i nieźle dał nam się we znaki.

A my jemu.

Próbował nauczać nas matematyki, ha!

Matematyków akurat mieliśmy wybitnych, zarazem wyrozumiałych i w ogóle - z czym do ludzi, proszę państwa.

Pojechał z nami na Słowację jako kadra obozowa.

Przejął rolę straszliwie, tropił nas, podejrzewał i wypytywało wszystko, w młodej, kudłatej głowie mu się nie mieściło, że nas zakłasa nie

351.

miała skłonności do ciągłych upojeń i podobnych wybryków.
Naogół nie robiliśmy nic szczególnieźroźnego, przynajmniej w świetle kodeksu do spraw wykroczeń.

Natomiast głupie wścibstwo i podejrzliwość Praktykanta sprawiały, że w oczach namciemniało, zwłaszcza chłopakom.

Dali więc kilka występów specjalnych.

Łosoś się zawziął szczególnie i postanowił doprowadzić do tego, żeby Praktykant zważył we własne zdrowe zmysły.

Wieczoramiprzesiadywał na korytarzu, przy stoliku, agdyPraktykant pojawiał się w poluwidzenia, leniwiewstawał z miejsca i przestawiałpaprotkę na sąsiedni parapet.

Za każdym razem.

Ubrali sięwraz z Pasztetemw kombinezony narciarskieorazbuty i o dwudziestejtrzeciej pełzali w pełnym rynsztunku po schodach w górę i w dół, twierdząc że poszukują zagubionych szkiełkontaktowych, przy okazji ćwicząc koordynację ruchową metodąBronszarda, z obciążeniem.

Namówili wszystkich noszących okulary, w tym mnie, aby wymalowali sobie na nich zmywalnym pisakiem celowniki i takpojawili się w stołówce wporze obiadowej.

Na pytanie Praktykanta coto właściwiemaoznaczać, odpowiedzieliśmy jeden przez drugiego, że ćwiczymy wzrok nowatorską metodą Bronszarda, polegającą nanaprzemiennymskupianiu wzroku w oddali oraz na okularach.

Znakomite na krótkowzroczność.

Na zaimprovizowaną przez Praktykanta lekcję matematykiw stołówce przynieśliśmygrzebień icały czas, przez godzinę zhakiem, ktoś wyjmował swój grzebień i niedbałym ruchem przeczesywał czuprynę.

Pod koniec lekcji, na znak dany przez Paszteta, przeczesaliśmy się wszyscy razem uzgodnionym poprzednio identycznymruchem - dwa razy w lewą stronę, trzy w prawą i znów w lewą.

Chłopcy, odziani w piżamy, w równym szeregu skakali na lewejnodze korytarzem, jednocześnie się obracali i w drugą stronę skakalina prawej, uprawiając tę gimnastykęprzez dobre pół godziny, aż Praktykant w końcu nie wytrzymał i zapytał, co to jest, z kolei.

Odpowiedzieli muchórem, żećwiczenie wzmacniające pośladki, metoda Bronszarda, niezbędne dla narciarzy.

Wracając do budynku, każdy w drzwiachwykonywał klasycznajaskółkę (ćwiczenie Bronszarda nazmysł równowagi), jeśli tylkoPraktykant kręcił się w pobliżu.

Po tym ostatnim numerze -nasze

352

show trwało już dobre dwa dni - kazał nam podejść do siebie chuchnąć.

Ponieważ akurat wracaliśmy zwyciągu, nie z knajpyzionęliśmy mu w oblicze z wielką przyjemnością.

Praktykant myślał przez dłuższą chwilę, oblicze mu pociemniało.

- Pokażcieżyły - wymyślił w końcu.

{Ćwiknęliśmy ześmiechuwszyscy z wyjątkiem Łososa.

Ten z kamienną twarzą ominąłPraktykanta, podszedł do parapetu i przestawiłpaprotkę.

- Typokaż szczególnie - zażądał Praktykant.

Łosoś pokazał wszystkimżyły, jakie tylko mu przysły do głowy, na rękach, na nogach, oraz szyjne.

Bielizny, naszcześnie, nie zdejmował.

Następniegodnie odmaszerował i przestawił paprotkę napółpiętrze.

Ech, wspomnienia, wspomnienia.

Wolni byliśmy, dziećmi nieobłożeni jeszcze, ale dziwna była to wolność.

Tamten obóz dla mnie okazał się trudny, tak naprawdę, bo wiele się działo na tle damsko-męskim, i to walenie u Łososa, tylko właśnie u mnie.

Opróczcichego wielbiciela, tego, co skakał przez okno, miałam jeszcze drugiego kolegę, który

uchodził za mojego oficjalnego faceta.

Obaj z tej samej klasy, dość szczególne błogosławieństwo losu, i nie bardzo umiałam się zdecydować. W związku z tym czas spędzałam głównie sama, na długich, romantycznych spacerach, w trakcie których starałam się przemyśleć to i owo.

Obaj panowie dostawali szału.

Przy całym romantyzmie byłam po prostu egoistyczna i bezwzględna.

Pamiętam przede wszystkim ten wszechobecny śnieg, całe masy śniegu.

Lubiłam niegowieńki.

Przez dwa tygodnie ulepiłam ich chyba kilkadziesiąt, przynajmniej osiem dziennie, w bardzo różnych miejscach.

Miałam przed sobą ogrom czasu, cała byłam pogrążona w sobie i swoich odczuciach, a obaj chłopcy stanowili tak naprawdę tylko tło.

Słuchałam Cohena i byłam bardzo nieszczęśliwa.

Lubiłam ten stan.

Śmieszne.

Śmieszne, że to, co wydawało mi się wtedy murem niedopięcia, okazało się tylko klatką z lodu, która stopniała zupełnie niepostrzeżenie, i gdy na drzewach pojawiły się pierwsze zielone liście, po prostu zapomniałam, że kiedykolwiek istniała.

353.

Ze przez pewien czas była moim więzieniem i że wyzwolenie odbyło się w huku gromów, tylko tak łagodnie, że aż niezauważalnie.

Od wielu lat niewracałam myślą do tamtych dni.

Może terazwarto?

Może ostatnio wydarzyło się coś podobnego, może właśnie powinnam sięgnąć myślą wstecz i wyciągnąć wnioski?

Przecież później, po tych wszystkich smarkatych zakrętach, odnalazłam spokój i nosiłam go w sobie przez długie lata.

I jeszcze, równie głęboko ukrytą - tęsknotę za tamtym niepokojem, śniegiem i wiewiórkami. A teraz?

Co jest we mnie?

Spokój, niepokój, tęsknota za spokojem?

Potrzeba emocji, jakichkolwiek, choćby stawiających na głowie mój mały świat?

A może wręcz przeciwnie?

Człowiek to bardzo pokręcony stwór.

- Łosoś?

Wiedziałaś wtedy, w liceum, jak bardzo podobasz się Magdzie?

Łosoś westchnął.

- Ba, gdybym ja to wiedział!

Gdybym wiedział!

- To co, Łososiu?

- A...

bo ja wiem, co?

- zastanowił się przez chwilę.

- Nie wiem.

Ale na pewno coś.

Wtedy przypuszczałem, że mogę się podobać komukolwiek.

Tak byłem przekonany o swojej beznadziejności, że nie zauważyłem.

dopiero później zaczęło mi świtać.

W wspomnieniach.

- Dlatego startowałaś donajbardziej obleganej dziewczyny w klasie?

- Mój mąż wypomniał Łososiowi Dorotkę, w której przelotnie kochał się sam, z krótkotrwałą wzajemnością zresztą.

Na moje szczęście obojgu jakoś przeszło.

Właśnie.

Na moje szczęście.

Naprawdę na szczęście!

Jak mogę czasem o tym zapominać?

- Możliwe - odpowiedział tymczasem Łosoś powoli, myśląc o Dorotce.

- Możliwe, że potrzebowałam być zupełnie bez szans.

Nasamym starcie.

W takim układzie nie miałem do siebie pretensji, że się nie udało.

Amiło powzdychać.

354

- dJ

Uśmiechnęłam się do niego ciepło, z wdzięcznością, i do męża również.

Żaden z nich nie ma bladego pojęcia, jak bardzo byłam potrzebna ta rozmowa.

Od kilku dni odbudowuję swój świat i wystarczy choć trochę się przyjrzeć, jak wiele podobnych prób muszę podjąć, ile dobrych wspomnień przywołać, jak wysilić wolę i rozsądek, skupiając się na jasnych stronach naszej codzienności, żeby zrozumieć, jak bardzo został zaburzony.

Dwie rozmowy, a tak naprawdę jedna, bo ta pierwsza się nie liczy, to był tylko wstęp.

Kilka snów, jedno spojrzenie jasnych oczu, przeczytany tekst.

Jego imię.

Głupie.

Jeszcze niedawno byłam bezwarunkowo szczęśliwa, a teraz sama muszę oto szczęście walczyć i to z najgorszym z możliwych przeciwników.

Ze sobą.

COŚ SIĘ KOŃCZY.

A COŚ ZACZYNA

Sama nie wiem.

Może ten komputer był kompletnie pijany?

W każdym razie z testu z interny dostałam czwórkę.

Czwórkę!

To oznacza, że praktycznie skończyłam studia.

Ustny, pod warunkiem zaliczenia testu, można zdawać do uśmiechniętej śmierci nikt już na nim nie wpisuje dwójek.

Ostatnie zajęcia, z paliatywnej, odbyły się wczoraj.

Całą grupą padliśmy sobie w ramiona - dziewczyny miały mokre oczy, jarównież, ponieważ to ostatni dzień, w którym wszyscy spotkaliśmy się

w komplecie.

Faceci też trochę chrząkali po kątach, zwłaszcza ci świeżo wycalowani przez dziewczęta.

Koniec.

Naprawdę koniec.

Tak nagle nadszedł ten ostatni dzień, tak niespodziewanie.

W sobotę, jeszcze na wyrost, odbyło się absolutorium - wszyscy, łącznie z oddziałem stomatologii, w togach i biletach, chóry, przemówienia i koncert smyczkowy.

Ostatni wykład, absolutorium 355.

ny, o tym, że z roślinami i minerałami łączy nas o wiele więcej, niżna ogół uważamy, wygłosił profesor C.

Mójukochany profesor na tych studiach i ukochanyprofesorwszystkich innych studentów. Wielki człowiek, w przenośni, i przezwybryk natury również najzupełniej dosłownie.

Mam z nim zdjęcie.

Polecałyśmy specjalnie polowaćna niegoz koleżankąi oczywiście nam nie odmówił.

Cieszę się jak dziecko.

Przedmiot wykładany przez profesora był obowiązkowy napierwszymroku, chodziłam wtedy na wszystkie wykłady i słuchałam jak zaczarowana.

Fakt, żezaraz na początku studenckiejdrogi zetknęliśmy się z tak wybitną osobowością, człowiekiemważnym, dobrym, pełnymżyczliwości, chociaż wymagającym,przy tym genialnym wykładowcą - dla wielu z nas był nie doprzeczenia.

Pomagał przetrwać trudne chwile, mniej życzliwychasystentów,uwierzyć w sens tego, na co się wszyscy razemporowamy.

A teraz profesor był ostatnią osobą z szacownego grona, którynas jednymze swoich porywających wykładów pożegnał i jeszczeprzez dłuższą chwilepo zakończeniu celebry pozostawał do naszejdyspozycji,aby każdy,kto tylko chciał, mógł spędzić z nim chwilę.

-Patrzęna was, wtychtozach, na tej uroczystości - powiedziało mnie i Agi, koleżanki z grupy.

- I od kilku lat, patrząc,mamdojmujące wrażenie upływu czasu i odchodzenia.

Wy jesteścienapoczątku drogi, przed wzniesieniem, a dla mnietyczas zbieraniażniwa, radosny, ale nie pozbawionysmutku.

"Czas żniwa".

Co można odpowiedzieć?

Uściskałyśmy go serdecznie.

Chciałabym, żeby tak wyglądał mój czas.

Cały czas.

Ostatnie dni studiowania, nadrabianie jakichś pomniejszych zaległości, zbieranie wpisów do indeksu, już indywidualnie, nie grupowo, ktoś gdzieśwyjechał, ktoś inny uczy się wytrwale.

Ostatni egzamin, ustny z interny.

Całe dwa dni spędziłamnad magicznymi szlaczkami zapisówEKG, próbując cokolwiek z nich wyczytać.

W moim wypadku było to trochę wróżenie z fusów, nigdy nie miałam dotego serca, alezdrugiej strony - wewróżeniu zawszebyłam dobra.

Najlepiej mi

356

wychodziływróżby z kartklasycznych, odziedziczyłam talent poprababci, choć od pewnego czasurządko gożywam.

Na egzaminie wywróżyłam na chybił trafił blok lewej odnogipęczka Hisai trafiłam.

Uff.

Wyszłam z czwórka, na ugiętych z wrażenia kolanach i z nagłym wzruszeniem ściskającymgardło.

Udało się.

Dzięki armii babć,genialnej opiekunce, wsparciu zestrony mężai przyjaciół, porannym uśmiechom moich dzieci, które dodawały siłyna następny dzień, dzięki dyskretnejopiece koleżanek z grupy, któreślałyalarmujācesms-y,przypominajāco wāżnych ėwiczeniach, telefonicznie pilotowāły mnie - wiecznie spōżniōnā - przez kręte korytarze niezliczonych klinik, donosiły notatki, podbijały ksiāżeczki, tłumaczyły zniecierpliwionym asystentom przyczyny kolejnej mojejniespodziewanej nieobecności, dodawały odwagi.

Dzięki życzliwościpani z dziekanatu, której wszystkie niezbędne papiery donosiłam zawsze z rozwianym włosem, na ostatnią chwilę i nie po kolei, rozbabrane jak poranna kaszka mojejcórki.

Dziękuję samym dziekanom, którzy z ciężkim westchnieniem przyjmowali niezliczone podania o przedłużenie tego i owego z kilku różnych powodów o imionach:

Misia, Malwinka, Nikodem.

Dzięki wielu, wielu osobom.

Nie byłam w tej drodze samotnym żeglarzem, na pewno nie.

Niedałabym rady

Naprawdę się udało.

Nie ma żadnego sposobu, w żadnym znanym mi języku, żeby wyrazić moją wdzięczność.

Babciamówi, że powinnam w staroświecki i tradycyjny sposób dać na mszę.

Za tych wszystkich ludzi.

Mąż oczywiście przewraca oczami, ale dziś czuję gdzieś tam w środku, że wyjątkowo muszę przyznać rację babci.

Popędziłam do najbliższego kościoła.

W progu zawróciłam i złapałam się za głowę oraz za telefon.

Wiem, wiem, wiem!

Poproszę o tę przysługę ojca L.

Zgodził się bez problemu, i nieomal słyszałam, jak uśmiecha się gdzieś tam, po drugiej stronie.

"Pamiętaj, że ja pamiętam" - powiedział mi miesiąc temu, przed najtrudniejszym egzaminem, testowym z pediatrii.

A wy wszyscy pamiętajcie, że pamiętam ja.

357.

Dwie godziny później dzwoniłam do ojca L.

jeszcze raz, informując go radośnie, że musi zarezerwować kościół na tę naszą mszę, ponieważ do kaplicy na pewno się nie zmieścimy.

Zapowiedziałam mu przy tym, posapując z emocji, że intencja będzie podwójna - zatychem, którym zawdzięczam.

itd.

oraz za naszą Gosię.

Odzyskałam przytomność, po czterech dobach z hakiem, Andrzej właśnie dzwonił.

Chwilę później z tą samą informacją zatelefonowała mama Gośki, a na końcu Magda z Australii i to ona właśnie wymyśliła, że nie mogą być w tej sytuacji takim samolubem.

Obie zawisłyśmy na telefonach, przejechałam palcem po kalendarzyku i zaalarmowałam sporą rzeszę wspólnych znajomych.

Nikt się nie wyłamał, niezależnie od światopoglądu.

Obiecali przybyć zwartym tłumem.

Magdzie też się udało ściągnąć parę osób.

Wychodzi na to, że będzie więcej ludzi niż na moim ślubie.

Madzia, mimo całego sceptycyzmu, będzie o nas myślała ciepło o określonej godzinie.

Jej rodzinie również.

I dobrze.

W głębokim poważaniu mam komentarze co poniektórych, że wszelkie "msze w intencji" to przejaw myślenia magicznego i jako takie nadaje się raczej do leczenia niż celebrowania.

Nie chodzi o rodzaj celebry, tylko o obecność.

Co da się zrobić, zrobione będzie.

Na trzech kontynentach.

Na ziemi i w niebie, w sferze materialnej i transcendentalnej.

Jednocześnie z pewnym odzieniem gorczy uświadamiam sobie, że cuda zdarzają się rzadko i nigdy nienam.

Nie odwrócimy biegu wydarzeń.

Gośka z powodu naszych modłównie wstanie nagle z szpitalnego łóżka zdrowa, rumiana i krzepka jak podhalańska dziewczę.

Ale wierzę, że sama świadomość naszej obecności, nagłej mobilizacji w różnych punktach globu, widomy znak tego, że wciąż jeszcze, rozdzieleni przez tysiące kilometrów i wszystkie zakręty dorosłego życia, tworzymy zaklęty, ciepły krąg, może być dla niej pocieszeniem.

Wciąż jeszcze jest to piękny świat i są na nim przyjaciele.

Otul się, Gosiu, w nasze ciepłe myśli.

I...

wróc do nas kiedyś.

Jeśli tylko możesz.

358

Z pamiętnika Dominiki N.

Dwudziesty szósty

Jarek przychodzi do "Banasia" codziennie.

Przestałam przejmować się Mietkiem, nie mam czasu.

Zresztą i tak wyjeżdża zachwi- -lę, jak tylko młody barmański narybek, który zatrudnił się, ugruntuje się w miejscu pracy.

Proces wdrażania pozostawił mnie.

Mietek nie miał porządnego urlopu od lat i w końcu żona mu się zbuntowała.

Wcześniej nie miał żony.

Nowy barman ma na imię Michał.

Ładniutki, ale bardzo młody.

Nie nadaje się na potencjalnego wielbiciela.

I dobrze.

Jadzielę czas sprawiedliwie pomiędzy Urząd Miasta a "Banasia".

W domu prawie nie bywam.

Ponieważ matka maw tej swojejszkolegorącyokres testów i klasyfikacji, Marcelkiem zajmuje sięostatnio Ciotula.

Może przez kilka tygodni nie zdąży mojemudziecku wypaczyć charakteru.

Ubiera go w dwa swetry i kurtkę odwiatru, gdy tylko na horyzoncie pojawi się chmurka, i wypychaw niegojeszcze więcej jedzenia niż mama, ale za to nie trzeba jejw ogóleplącić.

Przymykamy oczy, wraz z mamą, na to, co wyprawia, w imię dóbr najwyższych, to znaczypieniędzy.

Ostatnio żyję z moją matką w pełnej zgodzie, a nawetprzyjaźni.

Sama jestem tymzszokowana.

Onachyba też.

Jarek przychodzi, zasiada przy barze, uśmiechasię miło (oczyrobią mu się wtedyjakby skośne, interesujące) i.

bez przerwy gadao mojej sąsiadce.

Marta i Marta.

W ciąguostatnich kilku dniślyszałam to imię chyba ze trzysta razy.

Zachwyca się jakimś tamopowiadaniem, które mu pokazała (mnie nigdy nic nie dała doprzeczytania.

może niebyłam zainteresowana, a możebrakowałamomi czarnych oczu i penisa w spodniach?

). Wypytuje, jakie ma egzaminy, co poza tym robi, chce jak najwięcej wiedzieć o jej sprawach.

Może po prostu samo wypowiedanie jej imienia sprawia mu

przyjemność?

Wkurza mnie to do białości.

Czyżbym musiała rywalizować

o facetaz matką trójki dzieci?

Co taki facet jak Jarek, do cholery jasnej, mógł w niej zobaczyć?

359.

Dwudziesty siódmy

Marta jest sympatyczna, umie się dobrze bawić, emanuje ciepłem.
wiem.

Ale z drugiej strony jest takaroztrzepana, gubiwszystko, z wyjątkiem dzieci, ponieważ te, jak twierdzi, z natury wyposażone są w sygnał dźwiękowy.

Po ostatniej ciąży pozostało jej ładnych parę kilo i co tu ukrywać, brzuch jak balonik.

Z rozstępami, jak mniemam.

Nie dba o siebie na co dzień, chodzi w jakichśporozciąganych lachach, przez co o wiele bardziej wyglądanaszaloną artystkę niżprzyszłego lekarza.

Może tow niej tak pociągamojego nowego przyjaciela?

Chociaż nie wiem, jak była ubrana naich pamiętnym spotkaniu.

Jeśli chce, to potrafi wyglądać ładnie, problem w tym, że zazwyczaj jejsię nie chce.

Nie jestem pewna, czy dla Jarka zrobiła wyjątek.

Czy ja też mam włożyć skarpetki nie całkiem do pary isweterojca, awłosy ściągnąć byle jak na czubku głowy?

Postanowiłam zadziałać wręcz przeciwnie i poszłam do fryzjera.

Żaden z moich facetównie pozwalał mi ścinać włosów.

A terazchwilowo nie mam faceta i trzeba tenfakt wykorzystać.

Będę miała mniej kłopotów z codziennym suszeniem.

Zrobiłam sobie delikatny manikiur i wyregulowałam brwi.

Jarek zauważył zmiany, pochwalił ogniście, po czym spytał, czyorientuję się może, jak długoMarta jeszcze będzie miała tę sesję, bo napisał nowy reportaż i chce jej pokazać.

Cholera.

Czy ja wyglądam na osobę niepiśmienną?

Dlaczego nikt nie daje nic do przeczytania?

Musiałam zrobić minę nie z tej ziemi, bo czym prędzej podrzucił mi tekst.

Dobrze pisze, to fakt.

Lekko, zarazem mądrze iprzekonująco.

Skomentowałam najlepiej, jak potrafiłam, i wreszcie zobaczyłamw jego oczachod dawna oczekiwany błysk.

A więc tu cięmam, dzióbku!

Nie urodą, nie osobowością, ale

zachwytem nad dokonaniem można cię złapać, z przeproszeniemzajajca!

Odczułam, z pewnym zdziwieniem, że serce zabiło mi mocniej, jak bokserowi przed starciem.

Ja chyba po prostu uwielbiam rywalizację.

Ciekawe, że tak późno na towpadłam.

360

Dwudziesty ósmy

Dałam się wreszcie zaprosić na kawę, do Marty Onajest jednakniesamowita.

Zebrała się w sobie do rozmowy na zasadniczy temat.

"Bierz go sobie" - powiedziała po prostu, chociaż w jej oczachzobaczyłam coś jakby żal.

Pewnie, że biore.

Już wiem, że wygrałam ten meczbezrozgrywek.

Walkę, w której nie doszło do żadnej walki.

A jednak coś takiego było w jej postawie, że konieckońcówczuję się przegrana.

Czuję, że Marta nie pochwała mojego postępowania.

I niewiem, czy to tylko zazdrość - w końcu ja jestem wolna, ona nie.

Czy może chodzi ocoś więcej.

Wieczorem przegadałam z Jarkiem zecztery godziny.

Już nieoniej.

Rozmawialiśmy głównie o nim, o jego pracy i oczekiwaniach.

Od życia i nie tylko.

Odsamegosiebie.

Nie jest to głupi facet ani pospolity.

Coto, to nie.

Niewiele mu zdradziłam na swój własny temat.

Nie wiem dokońca, dlaczego, ale wołałam nie mówić ani o tym, że dalej mieszkam kątem u rodziców, ani o dziecku.

Chcę na razie wyglądać namaksymalnie wolną i przystępną, chociaż nie polecałabym sobierozwijaniatej znajomości w bardzo szybkim tempie.

To ostatnie, mocno skomplikowane zdanie oznacza mniej więcej tyle, że nie mam zamiaru wylądować z nimw jednym łóżku tak

odrazu.

Nie wiem dlaczego,ale czuję, jaknad tą sferą ciągle unosi się jeszcze cień Pawełka.

Dostałam od niego długi mejl, czwarty z kolei.

Opisujeswojeprzygody wpogoniza pracą, wspomina też, jak bardzo jest miwdzięczny za Iżę, że możeu niej mieszkać, ijaka ona wspaniała.

Nie odpisałam mu.

Nagle poczułam wszechogarniający smutek.

Możeon miał rację?

Może coś zemną nie w porządku, może wcale nie jestem dobrym człowiekiem, ani trochę?

A jeśli woczachkolejnych facetów szukam jedynie potwierdzenia swojej wartości?

Nawet jak słucham ich zuwagą, to jedynie poto,aby uświadomili sobie, jaka jestem wspaniała?

361.

Na smutki zaaplikowałam sobie tuż przed snem dodatkową lampkę wina.
Chociaż z reguły nie piję w samotności.

Zasnęłam śnił mi się Robaczek jako nauczyciel.

Nie odrobiłam zadania, więc groził mi palcem i wrzeszczał straszliwie.

Powinnam do niego zadzwonić, ale się boję.

Marta

MUCHOS HORMIGAS

Zapoznaliśmy Łososa z Dudusiem, tyleż niefortunnie, że Duduś ma dzisiaj w oczach wypisane "znowu w życiu mi nie wyszło.

"i ogólnie jest na nie.

Nie wiem, co mu niewyszło, bo nawet jeśli miał ochotę się wywnętrzyć, wcowątpię, jako że Duduś w pewnym sensie jest bestią skrytą (pod grubą warstwą autoironii, dobrze znam to przekleństwo), przecież nie będzie tego robił przy Łososiu.

Siedział wkurzony i słuchał, jak Łosoś opowiada o podróżach po Ameryce Łacińskiej.

Dziw, że go szlag nie trafił na miejscu.

Jednym z największych marzeń Dudusia jest swobodny rajd dżipem w poprzek obu Ameryk Łacińskiej w szczególności.

Łosoś, nieświadomy zjawisk wulkanicznych zachodzących w Dudusiu, nawijał radośnie:

- Hiszpańskim mi się dziecko zaczęło posługiwać, na przykład "muchos gracias" mówi bardzo ładnie.

I ze zrozumieniem.

- Do tego nie trzeba Ameryki Łacińskiej, wystarczy pooglądać filmy z Banderasem - prychnął Duduś.

- "Muchos gracias" to znaczy "dziękuję bardzo", każdy to wie!

- I "muchos hormigas".

- kontynuował niezrażony Łosoś.

Duduś lekceważąco wzruszył ramionami.

- Proste.

"Proszę bardzo".

- Nie całkiem.

- Łosoś, rozbawiony pokręcił głową.

- Bardziej:

"w pizdu mrówek".

- Co?

- Wszyscy wytrzeszczyli oczy.

Łosoś wzruszył ramionami.

- W pizdu mrówek.

Na jednym kempingu gość rozłożył sobie kocyk, uplasował się na nim, a w pięć minut później skakał i wrzeszczał

czał coś bez sensu.

Doleciałem do niego, bo myślałem, że coś mu się stało, uderzył go wręcz atak padaczki, a on skakał dalej i pokazywał swój nieszczęsny kocyk.

"Muchos hormigas.

" - wydyszał

mi

w końcu.

I faktycznie, było tam w pizdu mrówek.

Czerwonych.

Mojemu dziecku to się spodobało i zapamiętało.

- W pizdu!

Napiętnaście minut!

- zachichotałam, bo mi się przypomniała opowieść Doroty.

- Jak to, "na piętnaście minut"?

- zdziwił się Duduś.

- Jakieś dziwne rzeczy dziś wygadujecie.

Co na piętnaście minut?

- Moją koleżanką, Dorotą, dostała od swojej kumpeli rewelacyjny przepis na sernik.

Kumpela pisała go na kolanie stylem dość dowolnym, stało tam między innymi: "dodać żółtka, krótkowo zrobić i w pizdu!

Na piętnaście minut.

Jak się odstoi, wylać nablachę i upiec.

". Itak dalej.

Posłuchawszy sięowym przepisem, Dorotka zabłysnęła na imprezie chrzcielnej swego syna, a przepisem zainteresowała się jedna ciocia.

Taka elegancka, starszapani, po siedemdziesiątce.

Dorota, niewiele myśląc, wręczyła jej ową pisaną na kolanie kartkę, bo sama знаła już przepis na pamięć.

Dwa dni później zadzwoniła do niej ciocia, lekko stropiona, bo kupiła sobie wszystko, co tam trzeba i właśnie zamierza przystąpić do produkcji, mniej więcej wie jak, tylko jednego nie bardzo rozumie.

Co właściwie powinna zrobić na piętnaście minut?

- Ładne - docenił Dudek.

Humor muszę poprawić.

- Masz ten

przepis?

- Nie mam.

Ostatnio gospodarstwo domowe nie leży w sferze moich zainteresowań - przyznałam.

- Dlaczego?

- zdumiał się Łosoś, który swego czasu (bardzo dawno temu) przychodził do nas na obiady, na sępa, i bardzo miło wspomina ten czas.

- Zgadnij?

- warknęłam.

- Palcem do tyłka nie mogę trafić pomiędzy dziećmi, studiami a pracą.

- Taka tam praca - zlekceważył Duduś.

- Smarowanie bzdur na komputerze przy okazji kolejnej kawki w pobliskiej knajpie.

- Praca jak praca - odpowiedziałam wkurzona, bo ostatnio spędzam nad komputerem po sześć godzin dziennie i mam już dość.

- Ty nie pracujesz?

- Nie.

Pracuję - wycedził przez zęby.

- Mam.

W. Dupie.

Pracę.

363.

- Ty pracę czy praca ciebie?

- zapytał celnie Łosoś.

Duduś obdarzył go złym spojrzeniem.

- Na jedno wychodzi.

Tentemat dzisiaj jest dla mnie wielce denerwujący - przyznał i przyjrzał się nam uważnie, wszystkim pokolei.

- No, dobra, w dużym skrócie: porobiły nam się w firmie zmiany na gorze i wypłynęło na wierzch takie jedno strasznie głupie babsko.

Mam ją za zwierzchnika i zaczynam myśleć poważnie o zmianie pracy.

Z samego pisania przecież nie wyżyję.

- Dlaczego nie?

- spytał Łosoś.

Tym razem oboje popatrzeliśmy na niego identycznym wzrokiem.

- Boto nieten kraj, Łososi, nieten kraj.

Ludzie czytają coraz więcej, ale bez przesady - powiedziałam.

- Każde z nas musiałyby wypuszczać ze trzy książki rocznie, żeby jako tako utrzymać rodzinę.

- W czym problem?

- zdziwił się Łosoś.

- Jak pisałem pracę magisterską, stukałem po dwadzieścia pięć stron dziennie, mój rekord to trzydzieści siedem w ciągu doby.

W tym tempie można pisać jedną powieść namiesiąc, jak nie dwie.

Duduś przewrócił oczami i zgodził się z nim, wyjątkowo.

- Łosoś, kochanie, w tamtych czasach znałam cię już doskonale - przypomniałam.

- Owszem, pisałeś szybko, na ostatnią chwilę.

Przyczym nie jadłeś, nie spałeś, podłogę miałaś zawałoną papierami i kubkami z kawą, a buty w łóżku.

Wyglądałeś jak zombii nie dało się z tobą zwyczajnie porozmawiać, bo na zwykłe "dzień dobry" rzucałeś przedmiotami o dużych gabarytach.

A po oddaniu pracy piłeś ciągiem przez czterdzieści osiem godzin, po czym poszedłeś spać.

Na tydzień.

Wyobrażasz sobie taki styl życia w moim wypadku?

Albo Dudka?

Łosoś przyjrzał się z namysłem Dudusiowi, potem mnie, a potem znowu Dudusiowi.

- Wyobrażam - powiedział z pełnym przekonaniem.

- Bez najmniejszego problemu.

ROZMOWY W MROKU

Mój komputer, identycznie jak ten Magdy, odgryzł sobie wtyczkę.

Jeszcze wczoraj pracowałam na nim i wszystko było w porządku, a dziś wyjęłam go z torby, patrzę, a ułamana końcówka odzasilacza tkwi w gniazdku.

Odgryzł sobie, złośliwie, ja nieprzyłożyłam do tego ręki.

364

Mnie też przedmioty nie lubią.

Muszę go jutro oddać do naprawy, co wiąże się z pozostawieniem sprzętu w serwisie na ładnych parę dni.

A tu terminy mnie gonią, muszę oddać korektę autorską kolejnego dzieła, no i klops.

Uspiałam Ich Troje (Miśka po dwóch godzinach spędzonych w parku na rolkach też wyraziła chęć poobiedniej drzemki) i wyniosłam się do najbliższej knajpy, tej ze złotymi klamkami i kawą po turecku.

Wciąż się janię nawiść międzynarodami.

Wtyczka iskrzy i straszy gołymi drutami, ale jeszcze dasię podłączyć, więc postanowiłam wykorzystać ostatnie chwile i trochę popracować.

Podłączyłam ustrojstwo, zaiskrzyło, dobrze że obsługa patrzyła drugą stronę, zamówiłam małe piwo i zasiadłam do pracy.

Nie minęło piętnaście minut, kiedy do knajpy wpadła, otulona dokładnie grubym pasiastym szalikiem, Dominika.

- Cześć - odezwałam się, podnosząc głowę z nadkomputera.

Jakby ją grom strzelił.

- O Jezu, cześć - wprowadziła od razu wątek religijny.

Dziś Piotra i Pawła, od kilku lat święto nieobowiązkowe.

- Coty tu robisz?

- Pracuję - roześmiałam się, bo wyglądała autentycznie przerażoną.

- A ty co?

- Poszłam do spowiedzi - powiedziała Dominika, ocierając pot z czoła końcem szalika.

Dwadzieścia pięć stopni w cieniu.

Wiem, że moja sąsiadka bywa ekscentryczna, ale dzisiaj już chyba przesadziła.

- Ale doszłam tutaj.

Muszę odreagować.

Kiedyś za moje zachowanie Bóg mnie ciężko skarzę, zobaczysz.

- A co?

- zainteresowałam się.

- A nic nowego.

Poskładało się wszystko naraz.

Tak sobie poprostu siedzisz i pijesz piwko?

- Tak jakoś.

Celebruję ostatnie chwile z komputerem.

- Poglądziłam złośliwca poodrapanej obudowie.

Dominika przysiadła się do mnie, po wahaniu, które trwało dwieszście sekundy.

Szyję miała dalej dokładnie oplatana szalikiem.

- Rozwiń ten szalik w końcu, bo się zgrzejesz - zaproponowałam.

- Nie mogę, to jest kołnier ortopedyczny.

Zawiało mnie.

- Druga w kolejności ulubiona choroba Polaków.

- Pokiwałam głową.

- W zasadzie to Polacy chorują na trzy choroby, tylko i wy365.

łącznie.

Postrzał, zawianie oraz podźwignięcie.

I może jeszcze naraka -dołożyłam z namysłem.

-A tak konkretnie to co ci jest?

- Abo ja wiem?

Jak ruszę głową, to świece mi w oczach stają, choć to nie to święto -jęknęła Dominika przy próbie demonstracji.

- Złe spałam albo coś.

I teraz muszę dzierżyć głowę wysoko w pionie.

- Może tak zwany dysk, czyli krążek między kręgowy?

- zastanowiłam się.

-Czasem to się zdarza.

- No coś ty, dysk jest na dole.

W okolicach.

dolnych - zakończyła elegancko Dominika -wiem, bo mój starym dyskiem.

-Każdy ma dysk.

Dokładnie ma ich.

dużo - wybrnęłam zgrabnie z żenującego niedoboru wiedzy.

- Pomiędzy każdymi dwoma kręgami w kręgosłupie.

Na szyi też - uświadomiłam ją.

-Masaż by ci się przydał, delikatny i rozgrzewający, a jak nie przejdzie, to rentgen przydałoby się zrobić.

- I po nim przejdzie?

- syknęła Dominika, sięgając po fajki.

- Głupia jesteś - fuknęłam.

- Trzeba zobaczyć, czy niestabilności nie masz jakiejś albo coś.

- Jakbym miała albo coś, to już by mi dawno łeb odpadł, na hiszpańskich rurach.

Dzieckomnie wykończyło, tak po prostu.

I lodówka w "Banasiu".

Znosiłam ją z Tymkiem na dół, bo pandostawca oświadczył, że on jest kierowcą, a nie tragarzem.

Auć!

- Kara Boża nastąpiła już - parsknęłam krótko - na zaś.

-To japiwo poproszę.

- Dominika wręczyła mi portfel.

-Małe.

Auć!

Albo nie, właśnie duże.

Na małe to boli za bardzo.

Jestem beznadziejna.

-Przesadzasz.

Nie z piwem, mam na myśli, tylko z beznadziejnością.

- Z piwem też.

Miałam iść do kościoła - Dominika bardzo ostrożnie wruszyła ramionami - i w ogóle ostro wziąć się za siebie.

Nie żlezaczynam.

- A co zaczęłaś?

- spytałam niewinnie.

Dominika skrzywiła się lekko, nie wiem, czy z bólu szyi czy też z powodu własnych myśli.

- Niby nic.

Raczej kontynuuję - westchnęła ciężko.

- Chodzi to, że moje postanowienia, zwłaszcza te najszlachetniejsze, biorą łeb, zanim zdążę

przystąpić do ich realizacji, tak na poważnie.

A ja czuję, że muszę się zmienić.

Natychmiast.

Nie mogę być taka.

rozmaślana.

Każdego dnia budzę się ze świadomością, że nadszedł czas żyć inaczej.

i co?

Igówno.

W Środę Popielcową miałam iść

366

do spowiedzi, zamiast tego poszłam do Edytki i wytrąbiłam cztery lampki wina, w Boże Ciało miałam iść na procesję oraz do spowiedzi, zamiast tego siedziałam w "Banasiu" z Mietkiem i piłam, wczoraj chciałam iść do spowiedzi, zamiast tego.

Ech!

- Znam ten stan - powiedziałam, przypominając sobie Paulinkę nie tylko.

- Też to przerabiałam.

- Kupiłam sobie w tym tygodniu siedem różnych poradników.

"Obudź w sobie giganta", "Mojamisja", "Jak przezwyciężyć życiowy kryzys" itepe.

- Przeżywasz życiowy kryzys?

- zainteresowałam się, wstając podругie małe piwo.

Coś niewymownie złośliwego w głębi mojej duszy szepnęło "najwyższy czas".

Aż się zarumieniłam.

- Anie?

- spytała ponuro Dominika i wychyliła duszkiem półdużego.

- Pewnie, że przeżywam.

Zostawiam dziecko z rodzicami, wkładam nową sukienkę, biorę do torebki książeczkę do nabożeństwa, której nie miałam w ręku przez ostatnie dwa lata, wysupłuję kieszeni drobne natacę. i ląduję w knajpie.

Zamiast klęczeć w ławce i robić rachunek sumienia.

- Przecież robisz - powiedziałam, uśmiechając się do niej.

- Jakiś dobrze zastanowić, od pięciu minut nadajesz rachunek sumienia jak ta lala.

Roześmiała się wkońcu.

- Niezapełnie o ten rodzaj rachunku mi chodziło.

- Myślę, że jeśli naprawdę odczujesz potrzebę spowiedzi, znajdziesz się w konfesjonale bez sekundynamysłu - pocieszyłam ją.

- Może nie jesteś gotowa?

- Ale ja czuję potrzebę - pożałowała się Dominika.

- Czuję potrzebę, czuję też lęk, że sprzeniewierzam się czemuś, co nie do końca jest dla mnie zrozumiałe, i różne innerzeczy też czuję.

popijając piwko.

Ech!

- To czemu popijasz piwko?

- Niewiem.

Im szlachetniejsze mam postanowienia, tym większe głupoty robię, zamiast je realizować.

Tak, jakbym już zupełnie odpowiadała za swoje czyny.

- Dominika zniżyła głos.

- Czy myślisz, że to może być.

że to.

czy nie wydawało ci się nigdy, że rządzą tobą jakaś ciemna siła?

Jej oczy zabłyśły w półmroku i było w nich szaleństwo; dreszcz przeleciał mi po plecach.

- Zwariowałaś?

- zapytałam cierpko.

-Jaka ciemna siła?
367.

- No, jakaś.

wiesz, czytałam na sieci, że tu, w Krakowie mamy jakiegoś znakomitego egzorcystę - wyznała po chwili.

- Przejdziesz ze mną?

Popukałam się w czoło, choć podobny etap również kiedyś przerabiałam.

Poprzestałam wtedy na lekturach.

Na szczęście.

- Może być tak powiedziała mi po prostu, jasno i porządnie, co się stało?

Zamiast chrząknąć o egzorcystach?

- No, dobrze.

- Dominika westchnęła głęboko.

- Powiem ci.

Mam nadzieję, że.

wiesz, sama mówiłaś.

i...

- Przespałaś się z Jarkiem!

- domyśliłam się szybciotko napiłam piwa.

Dominika pokiwała głową.

Później pokręciła nią, a następnie znowu pokiwała, posykurując bólu.

W jej stanie - znakomite ćwiczenia na szyję.

Też wypła duszką pół szklanki.

- Znowu przyszedł, późnym wieczorem.

Codziennie przychodzi, nawet postanowiłam sobie ostatnio, żenic z tego nie będzie, nie tak szybko, ale.

- zająknęła się i spojrzała na mnie przelotnie.

Siedziałam nieruchomo, dłonie podłożyłam pod swój własny tyłek, na wszelki wypadek.

- I właśnie.

- kontynuowała, lekko zaróżowiona.

- Sama wiesz, środa była, o drugiej towarzystwo już się wykruszyło, ja niby też powinnam do domu wracać.

- tu się zająknęła i zarumieniła mocniej.

- Aha - powiedziałam powoli.

- Rozumiem.

Zajęłam się dokładną obserwacją świeczki.

Jakby świeczkachciała wyciąć jakiś głupi numer, nie ma szans.

- Właśnie - mówiła żałośnie Dominika.

- Zamknęliśmy knajpęwe trójkę, a potem.

poszłam do domu.

Do domu Jarka.

A teraz Mietek na mnie patrzy wilkiem, bo odmówiłam powrotu wspólnotaryfą.

Wczubie trochę miałam, fakt.

Jarek stawiał.

- Co stawiał?

- nie darowałam sobie.

- Wszystko po kolei.

- Dominika machnęła ręką.

- Dobra, przespałam się z nim i fajny jest.

Kręci mnie.

Cholera.

- W czym problem?

Totakiestraszne?

- Straszne, ale moje zdanie jest nieobiektywne, więc nie będę go brała pod uwagę.

Skupię się na zupełnie innych kwestiach.

- Przecież sama wiesz.

- Dominika odważyła się podnieść wzrok.

- Postępuję głupio.

Bez sensu.

Wydawało mi się, jeszcze trzy tygodnie temu, że Kocham Pawła i niewyobrażam sobie tygodnie bez niego, a teraz.

368

- Teraz co?

- Nie wiem.

Naprawdę nie wiem.

Nie rozróżniam już, co jest dobre, a co paskudne.

Zupełnie jak moi byli.

Mam na myśli Krystiana - dodała szybko.

Zamknęłam laptop.

Zanosił się na dłuższą pogawędkę.

Przez chwilę bierałam myśli, również po to, aby odróżnić teżycliwe, od tych wstrętnych, samolubnych.

- Zależy ci na Jarku?

- spytałam, biorąc byka za rogi.

Możliwe, że nieco piskliwym tonem, bo Dominice rozszerzyły się oczy.

Natychmiast zmieniłam wyraz twarzy na uprzejme zainteresowanie, bez efektów specjalnych.

Przecież ten temat nie może, po prostu nie może mnie aż tak denerwować!

Dominika bawiła się zapalniczką.

- Trochę - odpowiedziała z ociąganiem.

- On jest taki.

porywający Zachwyił mnie.

Ale nie wyobrażam sobie, przynajmniej na razie, żeby mógł zostać moim przyjacielem, tak jak kiedyś Paweł.

On wiedział o mnie różnej rzeczy i nie przeszkadzałymu.

do czasu.

- Posmutniała nagle i potarła ręką czoło.

- Wiesz, Paweł powiedział mi przed wyjazdem kilka słów.

Na mój temat.

Generalnie obrzucił mnie epitetami na literę "e".

- Uśmiechnęła się.

- Że jestem egoistyczna, egzaltowana i egocentryczna.

I emocjonalnie dojrzała.

Wszystko naginam do własnych potrzeb, a te potrzeby mam jak nastolatka: najpiękniej jest, kiedy coś się dzieje, nieważne, buduje się czy wali, liczą się emocje.

Że nie umiem stworzyć nic trwałego, bo to mnie nudzi.

Milczałam.

Dominika spojrzała na mnie pytająco.

- Uważasz, że on miał rację?

- Wiesz, nie myśl, że cię nie rozumiem - odpowiedziałam powoli.

- Ten wół akurat dokładnie pamięta, jak cielem był.

Zresztą, kilka dni przemieszkał u nas mój przyjaciel z liceum i wspominaliśmy to i owo.

Również byłąm czasem do tej pory osobnikiem na "e".

- "Również", to znaczy, że się z nim zgadzasz - podchwycił natychmiast Dominika i nastroszyła się.

- Ja tylko chciałabym być szczęśliwa.

Nie radzę sobie z emocjami, to fakt.

- Tosobie poradź!

- zdenerwowałam się w końcu.

Biedactwo, cholera, przez los pokrzywdzone.

369.

- A ty sobie radzisz?

- spytała nieco napastliwie.

- Właśnie słyszę.

Nie denerwuje cię tak bardzo to, co wyprawiam ze swoim życiem, tylko to, że akurat z nim. To znaczy, z Jarkiem.

Przez chwilę siedziałyśmy naprzeciw siebie, mierząc się spojrzeniem.

Nie spuściłam wzroku, choć zazwyczaj takie pojedynki niesą moją najmocniejszą stroną.

- Możliwe - przyznałam, ucieszyłam się, że mój głos zabrzmiał miarę normalnie.

- A raczej denerwuje mnie i jedno, i drugie.

A najbardziej mnie irytuje ta twoja bezradność.

Jakby miało ciepło świecić wbrew twojej woli.

- Miota mnie.

Emocje nie wola.

- Ale masz mózg.

Używaj go - poradziłam słodko.

- Nie jesteś kukułką.

Dominika nie wytrzymała i parsknęła.

Piwo rozsiało się poświecie drogą kropelkową.

- Wybacz, ale czasem za tobą nie nadążam.

A co ma do tego kukułką, do cholery?

Parsknęłam i ja.

- Przepraszam, potęga skojarzeń.

Czytałam ostatnio Miśce dopoduszki "Lisy, sowy i reszta".

Wspomnienia kobiety, która prowadziła lecznicę dla dzikich zwierząt oraz ptaków.

Bardzo sympatyczne.

W tej książce było napisane, że zachowanie kukulek jest w stu procentach instynktowne, a nie wyuczone.

Trudno je zmodyfikować.

Chciałam tylko powiedzieć, że nie musisz działać na instynktach.

- Nie chcę do końca polegać na rozsądku - odezwał się po chwili Dominika bardzo cicho.

- Widzisz, życie większości moich znajomych jest takie nudne.

I uporządkowane.

Plany, które realizują sobie po kolei, małżeństwo, któremu pozostają duchowo wierni.

To wszystko wymaga dyscypliny, ale powoduje, że po kilku latach nie da się z nimi normalnie rozmawiać.

Da się tylko posłużyć zestawami pytań.

Zestaw A, wakacyjny: "Gdzie byłeś w tym roku?"

Fajnie było?

Jak ci się podobało w.

", zestaw B, zimowy: "Jak tam ferie?"

Twój synek już jeździ na nartach?

Gratulacje!

", zestaw C, całoroczny: "Co słychać w pracy?"

Jak tam budowa domu?

A twoje dziecko chętnie chodzi do przedszkola?

". Koniec rozmowy.

Jakbym miała do czynienia z kolejnym klonem, zmieniają się tylko nazwiska.

I twarze.

Boję się, że za parę lat stanę się jedną z nich.

370

Pokręciłam głową.

- Raczej ci to nie grozi- zapewniłam ją.
- Poza tym małżeństwom wcale nie musi być nudne.
Moje nie jest.
I nie jestem w żadnym wypadku wierna odruchowo.
Nieraz muszę postawić sobie ostry szlak.
bań, a to dopiero, moja droga, są emocje.
Budowa domu to najlepszy kabaret, w jakim brałam udział, szkoda tylko, że taki drogi.
Wakacje mogą być radosne i ekscytujące, nic dziwnego, że człowiek ma ochotę podzielić się z całym światem wspomnieniami.
Poza tym.
Naprawdę uważasz, że odrobina samokontroli odbierze ci zdolność odczuwania?
Dominika nie wbijała już we mnie morderczego spojrzenia, aledalej była poirytowana.
- Pozwól, że pogadamy zupełnie otwarcie - zaczęła.
- Dobrze - zgodziłam się.
- Jak cię poznałam, w listopadzie, byłaś myślącą, wrażliwą dziewczyną.
Staralaś się żyć uważnie i odważnie.
Dostrzegałaś innych i można było na ciebie liczyć.
A ostatnio zapadłaś w dziwny stan, nie da się z tobą porozmawiać niczym poza tobą i twoimi facetami.
Nie podobają mi się to.
Życzenie kręci się wokół facetów.
- Łatwo ci mówić - powiedziała niechętnie.
- Ty masz życie osobiste ułożone od dawna i męża, na którego zawsze możesz liczyć, czy chodzi o sprawy techniczne, czy pogawędkę przy kawie, czy łóżko.
Wiesz, kim jesteś.
- Czasem nie wiem.
Myślisz, że zamążpójście ci to gwarantuje?
- A jak?
Chociaż muszę przyznać po raz kolejny, że twoja nagła zażyłość z Jarkiem wytrąciła mnie z równowagi.
I nie chodzi o to, że byłam zazdrosna.
- Nie byłaś?
- Byłam.
Ale nie tylko to.
Chodzi mi o to, że ty i twój mąż.
widzisz, dla mnie jesteście idealną parą.
Przychodzę do was niemal codziennie, obserwuję, chcąc nie chcąc, wasze relacje, i pomyślałam sobie, kilka dni temu, że gdybyś zrobiła coś głupiego, to zawałiłaby się ostatecznie moja wiara w to, że codzienna miłość naprawdę istnieje.
Nie możesz mi tego zrobić.
- Mam być grzeczna po to, żeby nie zburzyć twojej wiary w sens małżeństwa?
- zdziwiłam się.
Dominika zastanowiła się przez chwilę.
- Można to tak ująć - powiedziała bojowo.
- Jesteście jedną

z najwierniejszych sobie par, jakie znam.

W dodatku zachowaliście pewną świeżość uczuć, nie wiem, czy to jest najlepsze określenie.

Chodzi mi o to, że nie jesteście skostniaли jak moi rodzice.

Bardzo cieżadroszcę i gdyby wasze małżeństwo też zaczęło przeżywać jakiś kryzys, to chyba bym się pochlastała.

Dlatego postanowiłam, że z gardła ci wyjmę tego Jarka, jakby co.

- Z gardła, powiadasz?

- Z gardła czy z majtek, wszystko jedno - zirytowała się.

- W każdym razie nie pozwolę na żadne odchylenia od ideału!

Wpatrywałam się przez chwilę w dogasającą świeczkę.

- Nie przyszło ci nigdy do głowy, że zachowaliśmy, jak sama nazwałaś, pewną świeżość uczuć właśnie dlatego, że pozwalały sobie wzajemnie na "odchylenia od ideału"?

- Co masz na myśli?

- spytała podejrzliwie.

- Nic rewolucyjnego - uspokoiłam ją.

- Tylko tyle, że żyjąc w małżeństwie, zachowujemy dość znaczną autonomię, zwłaszcza w sferze emocjonalnej.

Nie pilnuję każdej myśli mojego męża i jego majtek również.

- Chcesz powiedzieć, że możesz robić, co ci się żywnie podoba?

- Każdy może robić, co mu się podoba.

Rzecz w tym, żeby się zastanowić, co tak naprawdę się podoba, a co nie.

- Ale chyba nigdy nie przegięłaś?

- Przegięłam - odparłam spokojnie.

- W wielu rozmaitych tego słowa znaczeniach.

Dominika przyjrzała mi się tak, jakby mnie zobaczyła po raz pierwszy w życiu.

- I co?

- I nic.

Później odginałam, co zajmowałam raz więcej czasu, a raz mniej.

- Jesteś bardzo tajemniczą osobą - powiedziała Dominika powoli, wyraźnie rozczarowana, że poskapiłam pikantnych szczegółów.

- Zamyśliła się.

- Wracając do Jarka, to sama niewiem.

Te nasze rozmowy nie były swobodne, wiesz?

- dodała, zmieniając temat.

- Chyba to mi najbardziej przeszkadza.

Tak bardzo mi zależało, żeby jemu zaczęło zależeć, że w końcu wymieniłam z nim kilka tysięcy słów, które nie były niczym innym jak stwarzaniem dobrego wrażenia.

Ciekawe, z mojego odczucia po rozmowie z tym samym mężczyzną były tak diametralnie inne.

Nie chciałam stworzyć żadnego

372

wrażenia, a z tego, co mówiła Dominika - stworzyłam.

Nie grałam ani przez sekundę, nie musiałam, a między nami było tylko zrozumienie, aż do bólu.

Wiedział, kim jestem, i nie przeszkadzało mu to.

- Mówiłaś mu o dziecku?

- zainteresowałam się nagle.

Jatam mu powiedziałam o trójce dzieci, ale może to inna sytuacja.

Bardziej.

perspektywiczna.

Dominika pokręciła głową.

- Nie.

I o to właśnie chodzi.

Wiesz, mam wrażenie że on się również zachwycił, a głownie dlatego, że jego zdaniem, cytuję:

"Dawno nie spotkał takiej czarującej, rozrywkowej dziewczyny, z którą można i pogadać, i potaćzyć, i.

". No, różne rzeczy.

A ja nawet nie wiem, czy pasuję do tej definicji.

Nie chcę rozrywki, tylko spokoju.

Boję się, że jak mnie bliżej pozna, to się rozczaruje.

A z drugiej strony.

Jezu, co za facet!

Ogień.

- Ogień?

- upewniłam się, unosząc brwi.

Wygląda na ogiera.

W sensie rozmiarów i temperamentu, to się czuje.

Moja sąsiadka

dosyć szczerza jest.

- Ogień - poprawiła mnie Dominika i trochę się rozchmurzyła.

- Ogień.

Ogień.

To ładniejsze określenie.

Ale ogier też.

Wypił morze wódki i nie doznał najmniejszego uszczerbku na

zdrowiu.

- A, to szacuneczek.

Nieczęsto się zdarza.

- Parsknęłam śmiechem.

- Nie gniewasz się na mnie?

- zapytała nagle.

- Zwariowałaś?

- spytałam odrobinę głośniejszym głosem, niż zamierzałam.

Barmanka spojrzała na nas ze zdumieniem.

- Nic mnie z Jarkiem nie łączy, pogadaliśmy dwa razy o literaturze, podoba mi się to, copisze, i tyle.

On sam podoba mi się również, w pełni się z tobą zgadzam, że jest atrakcyjny, w dodatku ma takie niesamowite, ciepłoczy i umiastuchać.

Ale, jak słusznie zauważyłaś, mam męża, którego bardzo lubię, trójkę dzieci i bardzo fajne życie, w którym niczego nie zamierzam zmieniać - zakończyłam z energią.

- Mówiłam ci przecież!

Powtórzę to jeszcze ze czterdzieści razy, głównie sobie samej, aż w końcu uwierzę.

Tak postanowiłam.

- Pawełkowi też nie brakuje - zastrzegła od razu Domiśka.

- W sensie wydolności.

Może odrobinę techniki.

Boże, o czym my rozmawiamy!

- zreflektowała się nagle.

- W święto kościelne.

Wychodzi na to, że jestem paskudna.

- Jesteś - przyświadczyłam z powagą.

- Chodzący koszmar z so373.

domą i gomorią na czele -jak mówiła moja rusycystka z podstawówki.
Rozpustnica zBabilonu.

- Tu nie wytrzymałam i roześmiałam się.

- Ej,no, przestań z tą Biblią!

- zdenerwowała sięDominika.

-Nie po to uciekłam z kościoła, żeby mnie tu starotestamentowym błotem obrzucać!

- To zamiast kazania- powiedziałam, podnosząc się z fotela.

-Jeszcze piwko?

- A masz gumę do żucia?

Zamachałam jej paczką przed nosem.

Orbit truskawkowa.

Też mam rodzinę.

- A, to jeszcze jedno - zgodziła sięDomisia i poprawiła szalikna szyi.

Lipiec

Marta

KICIA, CYCEK ISTYL ŻYCIA

Przyjechała Kicia,moja koleżanka z dawno zaprzepaszczonego tokustudiów.

Pani laryngolog.

Przybyła pochwalić się niedawnourodzonym dzieckiem.

- To jestNikodem - dokonała oficjalnej prezentacji, wydłubując młodego z grubego skafandra.

Miśka kwiknęła z radości.

- A toteż Nikodem- powiedziała, wskazując na kolorową matę, naktórej mój syn, a jej brat wytrwale próbował odgryźć słonikowi długi, cienki ogon.

Mafacet rację.

Słonie nie powinny mieć takich długich ogonów.

- Coś ty?

- zdziwiła się Kicia.

Nie widziałyśmy się od lat dwóchi niebyła na bieżąco.

Ja zresztą też nie,na wiadomość, że wpadniepokazać mi swojego synka, mało mi komórka nie wypadła z ręki.

Nie miałam pojęcia, że ma takiego na stanie.

Wiedziałałam tylko,żewzeszłym roku wyszła za męż, zaswojego wieloletniego przyjaciela,o którego istnieniu dla odmiany nie wiedziałam wcześniej nic.

Kicia bywa skryta.

- Nasz jest Nikodem Bartosz.

Umarłam ze śmiechu.

- A nasz Nikodem Bartłomiej.

Potrzebowałam dużo "M".

374

- Chyba zartujesz?

- powiedziała Kicia.

- Pokazać ci akt urodzenia?

Miśka, podaj bordową teczkę!

- zadysponowałam.

- A ja myślałam, że oryginalna jestem.

- westchnęła Kiciaobracając wdłoniach urzędowy papierek.

Nie oparła się pokusieobejrzenia go na własne oczy.

- Mój tak naprawdę jest: Nikodem-Nie-Taki-Znowu-Przerywany-Bartosz - wyznała Kicia i puściła do mnie oko.

- Najpiękniejszyzbieg okoliczności w moim życiu.

-Pocałowała młodego wczapczkę.

- A mój jest Nikodem-Pękła-Guma-Bartłomiej - przyznałam ze śmiechem.

Przybiłyśmy piątkę, i przez chwilę było tak, jakby ostatnie osiem latulecia łoż dymem, a my, znowu piękne i młode, siedzimy sobie na naszym balkonie (przez rok z hakiem Kicia mieszkałam z nami, w naszej cudownej studenckiej komunie) i mamy ze sobą tyle, tyle wspólnego.

Dwa Nikodemy wylądowały na jednej macie.

Położyłyśmy ich obok siebie czekałyśmy, co z tego wyniknie.

Na razie nic nie wynikało, patrzyły na siebie mętnym wzrokiem.

- Agdzie trzecia pociecha?

- zapytała Kicia.

- Malwinka, Kluską zwaną?

Jeszcze śpi.

Kultywujemy tradycję poobiedniej drzemki w celu zachowania resztek zdrowia psychicznego matki

- wyjaśniłam.

- Pewnie niedługo wstanie.

- Kluską?

- zdziwiła się Dominika.

- Od czego to?

- Od grubości - zachichotała Miśka.

- Sama zobaczysz.

Moje dziecko wciąż ma manię mówienia dorosłym na "ty".

Wyjątek robi, łaskawie, dla instruktorki od tenisa i niektórych pań przedszkolu.

Uśmiechnęłam się przepraszająco i zgromiłam pierworodną wzrokiem.

- Wolisz.

ciociu, żebyś mi mówiła "ty ciociu", czy tylko "tyty"?

- zapytało natychmiast dziecko.

Niekoniecznie o to mi chodziło.

- Mów mi "ty, Karolina", albo jak wolisz "ty, Kicia" - odpowiedziała Kicia.

- Nie lubię "ciociowania".

Może nie wyglądam, ale ja młoda jestem.

Przynajmniej tak się czuję.

Niedawno wyszłam za mąż i w ogóle.

Wszystko się zaczyna.

Gabinet otwieram.

375.

- A mojej mamie nic się nie zaczyna.

Jeszcze studiuje, chociaż jest stara.

Za mąż to wyszła okropnie dawno temu - oświadczyła Miśka bardzo zadowolona.

- Małpa, nie dziecko - warknęła do niej.

- Będiesz ty kiedyś chciała, żebym się z tobą w Poily Pocket pobawiła, to ci odpowiem, że stara jestem.

Stare babysienie bawia.

- Jak możesz się uczyć na starość, to bawić się też możesz - odpaliła beczelnie Miśka.

- Poza tym ja z Poily Pocket już wyrosłam.

- Taak?

- zdziwiłam się uprzejmie.

- A kiedyż to?

Topo co ciekupowałam najnowszy zestaw na urodziny?

- W zeszłym tygodniu.

A z najnowszego zestawu jeszcze nie wyrosłam, tylko z tych starych - zgodziła się Miśka.

- Kota interaktywnego bym chciała, takiego pluszaka, Julka z Agą mają.

Budzisz się, jak go głaskać, i mruczy.

- Masz dwa szalenie interaktywne koty - powiedziałam, patrząc na młodszego z nich, wczepionego pazurami w firankę.

- A pójdziesz stąd, Cycek!

- Tupnęłam nogą, bo ostatnio po wyczynach Miśki i jej szkolnych przyjaciół masz tatuś zapowiedział uroczystie i kategorycznie, że ktokolwiek następnym razem zrzuci karnisz, będzie go musiał zamontować sam.

Nie spodziewam się szczególnych uzdolnień technicznych po kocie.

Cycek zadarł ogon i popędził przed siebie, podskoczył, odbił się od ściany i wskoczył na regał, bardzo dumny z siebie.

- Widzisz, jaki interaktywny?

- powiedziałam do Miśki.

- Nawet nasikać do butów potrafi.

- Podobają mi się wasze rodzinne dialogi - zdecydowała Kicia.

- Tylko dlaczego ten kot nazywa się Cycek?

Przyznam, że trochę mnie to zaskoczyło.

- Sama zobaczysz, jak wstanie Malwina.

Ostatnio ma fażę nakoty.

Starsze zwierzątko ma ją gdzieś i od razu wskakuje na najwyższą półkę.

A młodszy jest jeszcze głupi i lubi się bawić.

Biegając całym dniami po ogrodzie, a Malwina wrzeszczy: "Cicus!

Ciciuś!

Oć tu cipko!

". Żebyś wiedziała swoją drogą, jak się siedzi z za plotu nanas patrzy.

Miśka podchwyciła i kot dostał imię trochę na cześć sąsiada.

Jak się czasem złościła Miskę, która notorycznie zapomina o zamykaniu drzwi i wrzeszczy na pół dzielnicy: "Znowu zostawiłaś drzwi na oścież otwarte i Cycek mi uciekł!

", to dalej tak dziwnie patrzy.

376

- A wtedy mama woła: "Cycek!

Cycek!

Wracaj do pani!

" - dołożyła z chichotem Miśka.

Mój Nikodem po długim namyśle wyciągnął łapkę w stronę drugiego chłopczyka i wsadził mu palec w oko.

Trafił bezbłędnie.

Za chwilę obaj rozdarli się chórem.

- Nieźle się zaczyna - uznała Kicia, wyciągając z torby chrupkikukurydziane.

- Dajesz mucoś opróczcyca?

Ile on ma miesięcy?

- Prawie trzy - powiedziałam, a Kiciazdumiała się nieco.

- Tyle że wielki z natury.

Nie, nic mu jeszcze nie daję oprócz mlekaz butli, za to Malwinka nakarmiła go już wszystkim, co miała podręką, z muchami oraz plasteliną włącznie.

Przeżył.

- Mój ma jużpięć i sama popatrz - odrzekła ze zdumieniem-mniejszy.

A może taki sam, ale na pewno nie większy.

Mówisz, żena butelcetaksię wyhodował?

Czemu nie karmisz piersią?

- Nie wyszło mi tym razem - przyznałam.

- Bardzo żałuję, alepo prostu się nie dało.

Uparłam się dla odmiany nie przerywaćstudiów, do tego mi doszły wyjazdy służbowe, za duży zakręt.

W sumieszkoda, to chybabyłaostatnia okazja.

- Nie mów "hop"- powiedziała Kicia.

- Wszystko się możezdarzyć.

- Jak ci powiem"hop", to popamiętasz!

- roześmiałam się.

-Żadne takie.

Już i tak chyba pobiłamrekord uczelni, jeśli chodzi o liczbę dzieci przypadających na jedną studentkę.

I podniosłamśrednią grupie w tej sferze.

Na dwanaście osób przypadaośmiorodzieci, w tym trójka moich.

- Areszta ma pięcioro?

- zdumiała się Kicia.

-Co ta młodzieztaka płodna?

Myśmy się tak nie rozmnażali.

- Waszrok rozmnażał się na stażu - przypomniałam.

- Prawiewszystkie laski chodziły brzuchate.

- Tylko ja nie - zaśmiała się krótko Kicia.

- Ja byłam akuratw tej sferze mocnoopóźniona i wiesz,co?

Chyba nie żałuję.

Wyszałam się, dorobiłam tego i owego, skończyłam wreszcie ten cholerny doktorat.

A teraz cieszę się dzieckiem.

Nie wyobrażam sobie,żebym mogła mieć takie podejście w młodości.

- A ja wszystko zawsze robiłam od dupy strony - przyznałam.

-Ale wiesz, co?

Teżnie żałuję.

Ani trochę.

Może jeszcze dwa latatemu miałaminne zdanie,trochę zazdrościłam wszystkim, którzy takładnie poszli do przodu, jeśli chodzi o karierę, w tym tobie, ale.

Ja akurat długo szukałam swojej własnej drogi.

I znalazłam ją.

Chcę pisać, a oprócz tego chcę pracować w zawodzie.

Będę się starała dostać się na rehabilitację, to mnie ostatnio interesuje.

Kicia zerwała się na równe nogi, mało nie upuściła młodego, który przysypiał, przytulony do niej, z chrupkami w obu łapkach.

- Zwariowałaś?

- prawie krzyknęła, wstrząśnięta, a ja przez moment zastanawiałam się, o co chodzi.

Co ja takiego powiedziałam?

- Na mózg ci padło?

Dlaczego nie chcesz robić psychiatrii?

- A dlaczego mam robić?

- Tego tematu nie poruszałam oddawna, nawet sama przed sobą.

- Bo się nadajesz, jak mało kto.

Bo cię to interesuje.

Bo to jest dziedzina, w której się zrealizujesz i będziesz szczęśliwa.

Nic innego - powiedziała ostro, z pełnym przekonaniem.

Kicia знаłam mnie, bardzo dawno temu, doskonale.

Była świadkiem wielu moich faz i wybryków, przegadałyśmy z sobą setki godzin, ale są rzeczy, o których wolałam jej nie mówić.

A są też takie, w których orientowała się lepiej niż ja sama.

- Niewolno ci odpuścić.

- Popatrzyła mi w oczy surowo.

- Jeśli odpuścisz psychiatrię, to lepiej już rzuć w diabły całą medycynę i zajmij się pisaniem.

Naprawdę zdumiała mnie jej stanowczość.

- Rehabilitacja też mi się podoba - odrzekłam cicho.

- Pozatym jest.

wygodniejsza.

Bardziej do pogodzenia z moim trybem życia, z rodziną, ze wszystkim.

- Bo się pełnego zaangażowania - oświadczyła Kicia, wstając.

Młody zasnął i postanowiła odłożyć go do wózka.

- Jak zwykle.

Tyle ci powiem.

Zrezygnujesz, i będziesz miała do siebie żal przez długie lata.

Nie pierwszy raz, zresztą.

Zatkało mnie, a Kicia, nie zwracając na to uwagi, kontynuowała.

- Jeden z moich najbliższych przyjaciół jest psychiatrą - powiedziała łagodnie.

O tym akurat wiedziałam doskonale.

- Moja osobista siostra zresztą też.

Ile razy dyskutuję z nimi, słucham ich opowieści o pracy, tyle razy zawsze myślę o tobie, o niektórych twoich teoriach z przeszłości i przenikliwości, jakiej nie miał nikt z nas.

Pasujesz do nich.

- Dzięki za komplement - prychnęłam.

- Ale.

chyba jednak nie skorzystam.

- Mam nadzieję, że się namyślisz.

378

- Niesądzę.

Skończmy już ten temat, proszę, bo mnie denerwuje - powiedziałam.

- Zresztą, nie ma co gdybać i bawić się w proroka.

Wszystko itak wyjaśni się na stażu, i w dużej mierze będzie zależało od tego, jak zdam LEP.

Wtedy zobaczę, czy w ogóle będę miał jakiś wybór.

- Jeśli będziesz miała, to ja jeszcze z tobą porozmawiam - oświadczyła Kicia.

Resztę wieczoru spędziłyśmy szalenie miło, gadając o zupkach, kupkach oraz obgadując licznych znajomych.

"Boisz się zaangażowania".

Nie wiem, czy mi się wydawało, czy Kicia, mówiąc o tym, niewspomniała przelotnie, niemal niezauważalnie o pewnej mojej

znajomości, z początku studiów.

Poznałam wtedy znacznie od siebie starszego faceta, już lekarza i była to taka rzecz, która na chwilę postawiła na głowie mój uporządkowany świat.

Niewiele osób oniej wiedziało, ponieważ miałam już wtedy narzeczonego, a mój przyjaciel - dość nie zobowiązujący związek z jedną panią.

To był szalony czas, a dla mnie ogromna fascynacja.

Ale gdy wszystko zaczęło zmierzać ku nieuchronnemu rozwiązaniu, być może nawet z widokami na przyszłość, stchórzyłam.

Z różnych przyczyn.

Poukładałam sobie życie tak, a nie inaczej, i dobrze się stało.

Ale..

myślałam o tamtym człowieku jeszcze przez długie lata i memogłam się odczepić od tych myśli, zwłaszcza gdy w świecie rzeczy wistym coś układało się nie tak.

Kicia, która skądinąd szalenie lubi mojego męża i uważa nas za wyjątkowo zgraną parę, uważała, że postąpiłam źle.

Nie dlatego, że wybrałam, jak wybrałam.

Skąd.

Dlatego, że przeprowadziłam całą sprawę tak, a nie inaczej.

Nie mówiłam jej wszystkiego, ale wprzypływie jakiejś tam pijackiej szczerości, powiedziałam trochę za dużo, i nie spodobała jej się moja motywacja.

Wiem.

Czy boję się zaangażowania?

Emocji?

Już chyba nie.

Jednak to fakt, wtedy bałam się strasznie.

Nie odważyłam się spojrzeć im w twarz.

Najbardziej bałam się - rozczarowania.

379.

Później przez długi, długi czas pragnęłam wykrzesać z siebie zaangażowanie do wszystkiego, co mnie otaczało.

I nie mogłam.

Jakbym nagle zapadła w sen.

Czy miało to jakiś związek z moją ucieczką wtedy, w zamierzonych czasach wczesnej studenckiej młodości?

Ucieczką od siebie, ogromu własnych emocji, które mnie przeraziły śmiertelnie i nie tylko od siebie.

Nie myślałam nigdy o tym w taki właśnie sposób.

Nie myślałam również, już ładnych parę lat, o tamtym człowieku.

I nie będę myślała teraz.

Nie ma sensu.

Nie będę, nie będę, nie będę.

I tak cztery razy.

Podwa razy.

Ciekawe, czy w końcu się ożenił?

Czy ma dzieci, czy pracuje, czy nie, czy napisał wymarzoną pracę naukową, czy nie ukradł mujej zawistny docent, czy pamięta o mnie, ile razy widzi mleko w tubce i pierwsze bazy?

Przynosił mi forsycje, dopóki kwitły, imale zawiłce, i bzy.

Jedną, małą gałązkę.

Zawsze.

Podejrzewam, że przez kilka miesięcy naszej znajomości poważnie oskubał ogród sąsiada.

Miał w sobietyle życia i radości.

Cieszył się drobiazgiami i często zwracał mi na uwagę, w charakterze prezentu.

Przez całe lato nosił na nadgarstku moją zieloną frotkę, nawet do garnituru.

Opowiadał mi o swoich pacjentach, znał ich dobrze, pamiętał, zwracał uwagę nie tylko na dolegliwości, ale wiedział o nich naprawdę dużo; kim są, jakie mają problemy, z czym się muszą zmagać oprócz choroby.

Poza godzinami pracy był zapamiętałym żeglarzem, jako sternik morski wypływał co rok na rejsy, spędził już kilkaset godzin na pokładzie.

Miał w domu ogromną lunetę i potrafił nazywać gwiazdy po imieniu.

Prowadził kronikę rodzinną i jeździł przesłuchiwać ciotki, z magnetofonem.

Lubiłam go słuchać i dotykać, choćby przypadkiem.

Miał takie dobre, ciepłe dłonie.

Nasza znajomość nie wykroczyła nigdy poza etap złapania się za ręce w ferworze dyskusji, przelotnego buziaka na do widzenia i długich rozmów, po których świat się uśmiechał.

Kicia jest dobrym obserwatorem.

Ciekawe, dlaczego sama nie została psychiatrą.

380

Wstrząsnęła mną ta rozmowa, skądinąd miła i sympatyczna, tak że nie mogłam sobie później znaleźć miejsca.

Nie chcąc zajrzeć do takiego obszaru w głębi własnych wspomnień i świadomości, który nie ma nic wspólnego z moim obecnym życiem, dlatego zazwyczaj jest starannie zamknięty.

Siłą nakazałam sobie spokój i powrót do rzeczywistości.

Poszłam w ramach spaceru z wózką do "Banasia" i spotkałam Jarka siedzącego przy barze.

Pół Dominiki wystawało zeschowka na szczołki, liczyła sok i inne zapasy, a Jarek posłusznie zapisywał.

Przysiadłam się swobodnie, z ogromną ulgą konstatuując, że nic, ale to nic mnie ten facet nie obchodzi.

Swoją drogą, on ma po prostu pewien szczególny styl bycia.

Promieniuje empatią, zaglądaciw oczy i w ogólerobi z twarzą cośtakiego, że każda baba myśli, żejest nią nieprzytomnie zainteresowany, a jak wiadomo, jest to najlepsza droga, żeby odpowiedziećwybuchem dzikiej wzajemności.

Najbardziej podobają nam się ci faceci, w których wyczuwamy, że podobamy się im. Oczywiście wszyscy, ale często bywa schematycznie do bólu- on poluje, ma błysk w oku, a ona łapie się naten błysk jak nie przymierzając węgorz.

Jarek błyska na dwie trzecie samicpojawiających się wokolicy.

Ale mnie to jużnie rusza.

Dziwne, swoją drogą.

Jeszcze kilka dni temu czułam się, jakbymi ktoś przywalił w łeb warzęchą, chodziłam, wzdychałam i próbowałam usilnieo nim NIE myśleć.

Z miernym skutkiem.

A dziś?

Mogłabym nawet pomyśleć: co mi szkodzi, ale po co?

Niech sobie myśli o nim Dominika.

Jej w końcu, z tego comówiła, pokazał coś więcej niż błysk w oku.

Raczej w kroku.

Podobałojej się.

Niech ma.

A zarazem - może lepiej niech uważa, troszkę.

Nie powiem jej tego, bona stoprocentzostanę opacznie zrozumiana.

Emocje są głupie.

Raz są, raz ich niema.

Robią wczłowieku zamieszanie, a później w jednej sekundzie znikają bez śladu.

Dlatego już dawnotemu postanowiłam nie budować życia naemocjach tylko na przyjaźni, ina zaufaniu.

Postanowienia dotrzymałam.

381.

I cokolwiek by o tym myślała Kicia - nie żałuję.

Być może nauczyłam się również tłumić żal.

A być może jestem po prostu, zwyczajnie, szczęśliwa, dobrze mi tu, gdzie jestem, i z tymi, z którymi jestem, i nie ma nad czym się zastanawiać.

Dzisiaj nie umiem stwierdzić z całą pewnością, który wariant jest bliższy prawdzie.

Nie umiem też powiedzieć, jaką specjalizację w końcu wybiorę.

Wszystko się kiedyś okaże, bo, jak wiadomo - nie ma innego wyjścia, jak okazać się z czasem.

Zobaczymy.

POSZUKIWANY, POSZUKIWANA

Szukam w Internecie rozrywki, informacji - i nagle widzę czyjeś słowa, tak proste, tak piękne, że moja gębuła rozciąga się w uśmiechu, a gdzieś w okolicy serca czuję chłodne, twarde łapsko zazdrości.

W obliczu prawdy zawsze podwójna jestem, conie oznacza fałszywa, tylko właśnie to.

Podwójna.

Zachwyty i gniew, radość i zniechęcenie, splątane jak bluszcz.

Nie mam już w domu bluszczy; wszystkie zasuszyłam.

A szkoda, lubiłam je.

Kot się przeciąga na kaloryferze, na grillu przysiadł wróbel i popełnił nietakt, a moja młodsza córka nauczyła się rysować głowonogi.

Z nogami do góry.

Grzywka zwisa w dół.

Podobno do około trzeciego roku życia widzimy świat do góry nogami.

Niektórym zostaje to na całe życie.

Powinno się przyznać rodzinie, że czasem podpalam fajeczki, w ogóle do wielu rzeczy powinno się przyznać i nareszcie przestać się bać - duża jestem.

Mąż mnie zachęca do bycia po prostu sobą, ja się ciągle waham.

Tu mi bezpiecznie, w krainie o nazwie Jestem Grzeczną Córeczką i Macie Co Chcecie.

W owej krainie również się duszę nie widzę słońca.

Zmieniam się od środka, a na zewnątrz stara skóra, jak u węża.

Gdzieś widać pęknięcia i szramy. Któregoś dnia pęknie i wyjdzie z niej Coś.

Może słoń, może żyrafa.

Może pies sąsiadów.

382

Jeszcze tego nie wiem, bo nie odważyłam się tak naprawdę spojrzeć sobie w oczy.

Uświadomiłam sobie ostatnio, rozmyślając nad Dominiką, że sama też poszukuję siebie, jak ona - choć inaczej.

Ona szuka siebie w kolejnych poradnikach i w oczach kolejnych facetów, a ja?

Ten etap przerabiałam i szczęśliwie jest za mną.

Teraz szukam siebie w sobie samej, wiem już coraz więcej, ale cały czas nie wiem, jak ogłosić to światu.

Ona ma problem z samoakceptacją, ja - już tylko z odwagą.

Specyficzny to problem.

Boję się dolać sobie wina przy mamusi, a nie boję się wracać czwartą nad ranem z mojej ulubionej dzielnicy, wypełniona promilami i orzeuforią, nierzadko na piechotę.

Nie boję się zagadać do milionów widzów; boję się zapytać asystenta, w jaki sposób mogę odrobić zaległe zajęcia.

Porąbaneto wszystko.

A Domisia zrobiła sobie przerwę od wszystkiego.

Pojechała na trzydniowe rekolekcje zamknięte.

Młodego zabrała ze sobą.

Ona to dopiero jest porąbana.

Tydzień przeleciał i odleciał, bez śladu.

Może przybyło mi kilkanowych zmarszczek, ubyło ćwierć kilograma.

Miśka nauczyła się wreszcie wiązać sznurowadła.

Aż wreszcie nadszedł dzień, wyczekiwany przez bliższą i dalszą rodzinę od wielolet.

Dzień, w którego nadejście tak długo nie śmiałam uwierzyć.

Zaniosłam indeks do dziekanatu.

Za kilka dni mogę przyjąć dyplom ukończenia studiów i złożyć papiery do Izby Lekarskiej w celu otrzymania prawa wykonywania zawodu.

Po południu zabrałam dzieci do parku Jordana.

Należy im się, za te wszystkie tygodnie, kiedy matka była wiecznie zajęta i odpędzała je od siebie jak uprzykrzonemu chy, kwitując groźnym uniesieniem brwi najprostszą prośbę.

W piaskownicy, kuswojemu śmiertelnemu zdumieniu, zobaczyłam Dominikę.

Pomagała Marcelkowi wykopać tunel.

- O! Ty tutaj?

Co tu robisz?

- przywitałam ją niezbyt mądrze.

- Rozwiązuję zadania logiczne - odparła natychmiast.

- 1 kopię

383.

rowy.

Nie żartuję.

Wróciłam z rekolacji i muszę zacząć żyć od nowa, tylko nie wiem jak.

A co u ciebie?

Uniosłam lewą brew.

Umiem tak, nauczyła mnie sąsiadka w młodości.

Scarlett O'Hara była jejidolką i ćwiczyłyśmy wytrwale przedlustrem ruszanie każdą z brwi z osobna.

Dominika odłożyła łopatkę i westchnęła.

Ja wypakowałam z wózka Malwinę oraz wielki wór foremek i grabi, Miśka już dawno poleciała na huśtawki, a Nikodem spał.

Marcel z Malwiną przystąpili do bebeszenia reklamówki zesprętem, a my zasiadaliśmy wygodnie w pobliskiej ławeczce.

- Skończyłam studia - pochwaliłam się.

- Zebrałam wszystkie brakujące podpisy i złożyłam indeks.

Dyplom odbieram w przyszły wtorek.

- A ja nic nie wiedziałam!

- Dominika się poderwała.

- Jezu, gratulacje!

- Racja - przyznałam ze śmiechem.

- Biorąc pod uwagę stan mojej wiedzy nad dwóch ostatnich egzaminach, napewno nie byłoby moja wyłączna zasługa.

Jezu, gratulacje!

- powtórzyłam, wznosząc w stronę nieba toast soczkiem bananowym w kartoniku.

- I nie pijesz naumór?

- zdziwiła się Dominika.

- Kiedyś mówiłaś, że jak wreszcie skończysz, nie będziesz trzeźwiała przez dwa tygodnie.

- Kiedyś to było kiedyś.

A teraz jestem lekarzem i mi niewypada - odpowiedziałam i parsknęłam, patrząc na wyraz twarzy Dominiki.

Malowała się na niej głęboki szok.

- Żartuję przecież.

choć.

no nie wiem.

Prosto jakoś nie mam dziś ochoty.

Chciałam się wreszcie spotkać z własnymi dziećmi i przynajmniej przez chwilę poczuć się jak normalna mama, wiesz?

- To tak jak ja.

- Dominika znów westchnęła ciężko.

- Ja jeszcze dodatkowo chciałam poważnie przemyśleć swoje życie.

Skłoniła mnie do tego nasza ostatnia rozmowa oraz pewien przesympatyczny jezuita, ale wiesz, co?

Jesteś lepsza niż tabun spowiedników, wyznam ci w sekrecie.

Powiedziałam Jarkowi o dziecku.

- I co?

- spytałam z elektryzowaną.

Wzruszyła ramionami, jakoś tak bezradnie.

- I w sumie nic.

Przytulił mnie, poklepał tu i ówdzie, uraczył jakimś komplementem na temat mojej figury i powiedział coś w tym stylu, że jeśli mi to nie przeszkadza, żeby się dobrze bawić, to jemu tym bardziej.

- Rzuciłam spod grzywki złe spojrzenie.

-1 wiesz, co?

Nie takiej reakcji oczekiwałam po facecie, na którymmi zależy.

Dziękuję bardzo, ale chyba nicz tego.

- Daj mu może czas, co?

Znacie się.

ile?

Kilka tygodni może?

A tak bliżej dwa?

Jak miał niby zareagować?

- Nie wiem.

- Dominika z uwagą obejrzała wszystkie palce pokolei.

-Nie zadzwonił wczoraj.

- Umawialiście się?

Może mu coś wypadło?

- Nie.

Ale zawsze dzwonił.

Choćby po to, żeby powiedzieć, że mucoś wypadło.

- Uśmiechnęła się blado.

-Nieważne, sama wiem, żenie chcę.

Czuję pismo nosem, tak naprawdę, to czułam od początku.

- A Paweł?

Jak w ogóle.

jakwam się układa?

- odważyłam sięzapytać.

-Korespondencyjnie?

- A jak ma się układać?

Niewiele mamysobie do napisaniaostatnimi czasy.

Wiem, żemu tam dobrzei zaczął zarabiać.

Nieprędko wróci.

Czuję, żeto koniec.

- Żałujesz?

-Trochę - powiedziała Dominikapowoli, po chwili.

- Samatozniszczyłam i to wcale nie ostatnio, tylko niemalże od samego początku.

Szkoda.

Życzę mu jak najlepiej, ale już wiem, że nicz tego nie będzie.

Poza tymon jest jak dziecko.

Pełen dobrych chęci, ale taki.

kruchy.

Przy nim czułam się całyczas winna.

Możebył za dobry?

- Może -powiedziałamz powątpiewaniem.

-Nie potrafiłam sprostać jego wymaganiom - westchnęła Domiśka.

- Tak naprawdęto Paweł jest bardzo radykalny: albo będzie idealnie, albo spadaj.

Aja nie umiałam dochować wierności.

Głupio mi.

- Ile dziewczyn w jego życiu również nie umiało?

-Ja byłam piąta.

- Wybacz,ale mojadefinicja wiernościjestzupełnie inna - pocieszyłam ją.

- Dla mnie wierność to chęć wytrwania przy drugiej osobie, niezależnie co przyniesie życie.

Oczywiście, że wpisujeszię wtozakaz robienia rzeczytrudnychdo wybaczenia, ale chodzi o stałość.

- Pawłowi chodziło o wierność fizyczną, przede wszystkim.

Io to, żeby związek był idealny.
Daleko mi do wszelkich ideałów.
- Wszystkim daleko.

I w tym cała rzecz.

W tym, że chcesz przeżyć życie z daną osobą, pomimo jej wad i wyskoków.

Wiesz, że druga osoba też tak chce.

Wtedy dopiero czujesz się bezpieczna.

- Nie czułam się bezpieczna ani trochę - przyznała Dominika kolejny raz.

- Jestem tym zmęczona.

Wiem, że jestem postrzelona,
385.

kochliwa, że nie umiem sobie poradzić z emocjami.

Po ostatniej naszej rozmowie dotarł do mnie, że nie jest to tylko mój defekt.

Ty też taka jesteś bądź byłaś!

- Spojrzała na mnie z uśmiechem, niecowyzywająco.

- Pewnie, żebyłam - zgodziłam się.

- A może bywam.

- Sama widzisz.

- Pokiwała głową.

- Mimo to jesteś w stałym związku od.

Przypomnij mi, od jakiego czasu?

- Od szesnastu lat - uśmiechnęłam się - licząc od pierwszej smarkatej randki na Wawelu.

- Jak wam się to udało?

Zastanawiałam się przez dłuższą chwilę.

- On mi pozwolił samodzielnie dorosnąć do wielu rzeczy - powiedziałam w końcu.

- Coś mi się wydaje, że twój Paweł niewytrzymałby ze mną nawet trzech miesięcy, zwłaszcza w czasach gdy miałam siedemnaście lat.

Siano w głowie, wyłącznie.

Trzeba przyznać temu mojemu, że od wczesnej młodości był zaskakująco dojrzały.

Nie miał złudzeń, ale podobał mi się świat jako taki.

- Też tak chcę.

- Dominice zaświeciły się oczy - Chcę być prawdziwie.

Bez strachu.

- I szukasz poważnego, prawdziwego faceta, co?

- Owszem - oświadczyła bojowo.

- I to już, natychmiast!

Nie mam czasu czekać, aż oni wszyscy łaskawie dorosną!

Nawet nie wiesz, jak ci zazdroszczę.

Tylko jak powiesz choć słówko w temacie, że facet nie jest mi do niczego potrzebny, a swoje życie mogę wyżyć sama, to ci przywalę łopatką w łeb.

Tą największą.

Wystarczyło, że wysłuchałam prelekcji od Edyni, dziwnym trafem świeżo po jej zaręczynach.

Od szczęśliwej mężatki od lat kilkunastu już nie zdzierzę.

- Nie przesadzaj z tym kilkunastoma - obruszyłam się.

- Kilkanaście lat temu żyłam co najwyżej w tak zwanym konkubinacie, miałam gacha na boku i dawałam popalić lepiej niż ty sama.

Edynia się zaręczyła?

A z kim?

- Jak to z kim, z Kudłatym przecież!

Co ty taka nieświadoma?

Impreza była w "Karabeli", że hej!

Nie zaprosili cię?

- Coś mi tam Edytka nagrała pocztę, nie odsłuchałam.

- Machnęłam ręką.

- Te cholerne studia.

Atak w ogóle, to nie chcący zmieniałam temat.

- Znowu zastanowiłam się chwilę.

- Nicci nie powiem, o co.

Sama zobaczysz, przyniesie tak zwany los.

386

Napomnę tylko tyle, że naprawdę dużo masz.

Fajnego synka, studia.

Ani się obejrzysz, jakież je skończysz.

- ...

Najpierw nie zarobię, chyba tańcząc na rurze - mruknęła Dominika.

- Matka odchodzi na emeryturę, ostatnio w domu się nie przelewa, a ja co?

Wciąż na nich wiszę, pomimo że staram się pracować.

Łatwo ci mówić: "skończysz studia", ciebie przez te wszystkie lata utrzymywał mąż, mogłaś sobie studiować do woli właśnie o to chodzi!

- O sponsora?

- zapytałam bezlitośnie.

Nie lubię, jak ktoś pozamną samą uświadamia mi, jak wielkim przezwiększą część życia byłam pasożytem.

- Też - warknęła Dominika.

- A raczej o kogoś, kto zwyczajnie ci pomoże się uniezależnić.

Od rodziców, mam na myśli.

Podejmiewraz zenna odpowiedzialność za młodego, zechce mieć dzieci.

Zawsze chciałam mieć dużo dzieci, kolorową, wesołą rodzinę, swój własny dom.

I jakoś - wszyscy wokół mają, a ja nie.

Chcę być w końcu wolna!

Życ tak, jak chcę!

Milczałam przez chwilę.

- Wiesz, tak mi jakoś wychodzi, że jeśli nawet znajdziesz faceta, który zapewni ci byt i dach nad głową, izrobi te wszystkie upragnione dzieci, nie rozwiąże to wszystkich twoich problemów, i nieda ci takiej wolności, o jakiej marzysz.

Wiem, oczym mówię, uwierz.

Nikt i nic nie będzie za ciebie prowadzić takiego życia, jakie chcesz mieć.

Minie kilka lat, i poczujesz, że owszem, nie jesteś zależna od rodziców, ale za to kompletnie uzależniona od męża.

I również nie będziesz w pełni szczęśliwa.

Tak, mam za sobą kilka lat wiszenia na własnym mężu, przede wszystkim finansowo, nigdy mi tego nie wypominał, ale.

też nie byłam w pełni szczęśliwa, dopóki sama nie zaczęłam własnej działalności.

Cały czas czułam, że żyję na kredyt.

I nie swoim życiem.

Tym razem Dominika milczała przez chwilę.

- Przepraszam - powiedziaław końcu.

- Możliwe, że masz rację.

Wiesz, co wymyśliła Edynia?

- Nie mam pojęcia.

- Chce, żebyśmy założyły razem knajpę-galerię na Starym Podgórzu.

W pierwszej chwili pomyślałam, że proponujemy to z litości, przecież jak wyjdzie za mąż.

No, Kudłaty teraz biedny nie jest.

Mają za co żyć.

Ale może dobrze mówisz, może ona też chce

387.

koniecznie mieć coś swojego i to wcale nie jest takie dziwne?

Zgłupiałam chyba przez te ostatnie lata, w sensie samotnej odpowiedzialności za siebie i Marcela. I możliwe, że mamspaczony poglądną te sprawy.

- Powinnaś się zgodzić - powiedziałamzdecydowanie.

- Czemuakuratna Starym Podgórzu?

- Bo jest stare,romantyczne i rozwojowe zarazem.

TakmówiEdynia.

Zaczęła nawet szukać lokalu.

- No, tona co czekasz!

Szukaj razemz nią!

Niezależnie odwszystkiego, jak mówi mój dożywotni kolega, nie ma nic bardziejodstraszającego niż baba, która podchodzi do faceta z napisemw oczach: "Szukam chłopa z niezłą kasą, zainteresowanego małżeństwem już!"

".

- "Tylko poważne oferty" - roześmiała się Dominika.

- Nigdy nie miałam takiego napisu, aleostatnio chyba zaczynam mieć.

Masz rację,zadzwońię do Edytki.

To mi dobrze zrobi.

Zadzwo nią.

I zrobiło jej znakomicie, bo dwa lokale Edytki jużupolowała,jutro idąoglądać.

Aw przyszłym tygodniu idziemywstępnie się zorientować w wyposażeniu komisów meblowych, pourządzaniu kuchni mam tu i ówdzie znajomości, Edytki ma swoje,z czasu urządzania Kudłatemu "Karabeli".

Będzie fajnie.

Miśka tuż przed zaśnięciem zadała mi kolejne wstrząsające pytanie.

- Mamo, co byś zrobiła, gdybyś wiedziała, że z ciemności patrzy na ciebie OSTATNIA

PARA OCZU?

-Ostatnia gdzie?

- nie zrozumiałam.

- No, na Ziemi.

W ogóleostatnia.

Bałabyś się?

- A mojąpara oczu?

Nie istniałaby już?

Miśka zastanowiła się przez chwilę.

- No,nie.

To znaczy, ostatnia poza twoją.

Pytam, czybyś się bała.

Po krótkim namyśleodrzekłam, że straszliwie.

Niezależnie odokoliczności.

- Ja też - wyznała Miśka sennie.

- Bo one chyba byłyby robaki.

Widziałam takiprogramw telewizji, pan mówił, że po następ388 nej wojniepozostaną na kuli ziemskiej tylko robaki.

Takie w pancerzykach.

O rany.

Co to moje dziecko ogląda u sąsiadów?

Z pamiętnika Dominiki N.

Siedemnasty

Nie pisałam nic od może trzech tygodni, a czuję się, jakby przeminęło pół mojego życia.

To był dobry pomysł, z tymi rekolekcjami.

Nie wróciłam z nich jako osoba przesadnie religijna, wręcz przeciwnie, najbardziej mi przeszkadzały te wszystkie śpiewy i modlitwy zbiorowe.

Za to pomogła mi cisza.

Góry, spacer po lesie i narzucony na cały niemal dzień nakaz milczenia.

W tej ciszy wiele rzeczy przeminęło i odeszło w niepamięć.

Tak, jak radził brat Adam, postawiłam na nich grubą kreskę.

Nie będę się w nieskończoność przyglądać temu, co było, a co mogło być.

Co ja powiedziałam, co on odpowiedział, i dlaczego tak, a nie inaczej.

Krzystian, Paweł, Brian, Jarek - to wszystko już zamną.

Przeminęło z wiatrem.

Wróciłam i przyglądam się temu, co mi pozostało.

Mam synka, który śmieje się do mnie i wyciąga ręce.

Tak bardzo się cieszy, gdy poświęcam mu choć odrobinę uwagi.

Uwielbia się bawić autkami, coraz lepiej układa klocki, próbuje rysować.

Na razie to są jeszcze szalone, barwne smugi, które bez troski wyjeżdżają z kartek i rozprzestrzeniają się po stole, ubranku i w paru innych miejscach.

Ale młody wyraźnie lubi tę zabawę, na jego spiczastej twarzyczce widać wysiłek i skupienie.

Jest wzruszający.

Mam rodziców, którzy wspierają mnie w moich działaniach, choć odziedziczyłam wariacki tryb życia barmanki, czy studia, czy też ostatnioplany rozruch własnej działalności gospodarczej.

Myślałam, że mama będzie przerażona, a ona wypytała tylko, czy pracując z Mięciem, naprawdę nabrałam wystarczająco doświadczenia, żeby sobie poradzić, i umówiła mnie z cicią Alicją, księgową.

Wy389.

gląda na to, że karty zostały rozdane: Edytka zajmuje się wystrojem i estetyką, ja biorę na siebie sprawy urzędowe.

Miejsce na działalność już mamy.

Edytka znalazła niewielki, przytulny lokal przy Zamojskiego, z jedną małą salą na parterze i dwiema nieco większymi w piwnicy. Była tam kiedyś galeria, została po niej solidne schody na dół i porządnie rozprowadzona elektryka.

Zastanawialiśmy się właśnie trzy dni temu, skąd wziąć pieniądze na remont zaplecza i zrobienie jeszcze jednej ubikacji.

Edytka rozpaczała, bo wstępna wycena robót hydraulicznych przekroczyła najśmielsze oczekiwania, nie mówiąc już o naszym niewielkim budżecie.

Wyglądało na to, że musimy poszukać czegoś skromniejszego, niewymagającego przeróbek.

Następnego dnia przeżyłam szok.

W poczcie elektronicznej był mejl od Krystiana.

Krótki, rzeczowy. Zarazem najpiękniejszy na świecie.

"Przelałam na twoje konto 10 000 PLN.

Wiem, że zachowałam się jak ostatnia świnia, ale nie będę nią do końca życia.

Pracuję nadresztą.

Pozdrawiam.

K."

Z niedowierzaniem popędziłam do banku.

-Edytaaa!

-darłam się do słuchawki pół godziny później.

-Edyta, mamyna kibel!

Moja przyszła współpracowniczka małonie poryczała się ze wzruszenia.

Ciągnie nas obie do tej niewielkiej piwniczki na Podgórzu.

Dusza mówi mi, że to miejsce musi być nasze, i że stworzymy tam razem coś fajnego.

Dwudziesty drugi

Z włosami przysypanymi tynkiem, cała w czerwonej farbie Edytka wygląda jak królowa upiórów.

Pani administrator, która wynajęła nam lokal (na razie jako osobom fizycznym, spółka jest w trakcie rejestrowania, nad czym pracuję pilnie wraz z ciocią Alicją), powiedziała, że remont możemy zacząć choćby następnego dnia.

Przeżyła chyba lekkiszok, gdy nazajutrz o dziewiątej rano zastała nas w akcji.

Trzech roślących osiłeków, kumpli Kudłatego, zapa390

miętaleskrobałością, Edytka wisiała na drabinie, próbując zdemontować koszmarny żyrandol, ja w oczekiwaniu na architekta z sanepidu skrobałam drzwi.

Pani administrator niema bladego pojęcia, z jakim narwanym jednostkami wdała się w układy.

Niema na co czekać, kasa jest, zapału mnóstwo, wymarzony wystrój wnętrza oddawna tkwi w głowie Edytki, zaprzyjaźnione mięśniaki akurat mają wakacje.

Ruszamy!

Na rękach porobiły mi się bąble od tego skrobania, lewe oko mam czerwone jak królik, bo nasypałam sobie doniego pigmentu, w rękawie ojcowskiej bluzy ziejdziura (efekt umiejętnego obchodzenia się z opalarką), a w głowie huczą mi CIY-y, VAT-y, NIP-y, REGON-y.

Efekt wieczornej narady z ciocią-księżową.

Poszłam spać dobrze po północy.

Wykąpałam się dwa razy, ale moje włosy i tak sterczą sztywno jak druty.

Drobiny tynku są lep, sze niż niejednapianka.

Marcelka zabrała ze sobą na górę, przynajmniej w nocy chcę się do niego przytulić.

Zasypiając, pomyślałam nagle, że od dawna nie czułam się tak szczęśliwa.

Marta

WOLNA SOBOTA

Naprawdę wolna!

Bez nauki, bez odrabiania czegoś tam nakolejnych dyżurach, bez nerwów, niepokoju, poczucia zagonienia, bezwiszących nad głową zaległości.

Czuję się dziwnie.

Malwinka otworzyła oczka i powitała mnie promiennym uśmiechem.

Za oknem słońce, w jasnej plamie światła wygrzewa się kot, którego wpuściła do sypialni Miśka, już ubrana i zadowolona.

Siedzi przy kocie i czeka, aż się obudzimy.

Faceci śpią, odsypiając nocne perturbacje: w wypadku Nikodema polegające na uzyskaniu znakomitego humoru i pełnej aktywności o czwartej nad ranem, z bliżej nieokreślonych przyczyn, a w wypadku mojego męża na powrocie o tejże czwartej z kolejnej pepkówki, urządzonej przez Dudusia, któremu dwa dni temu urodziła się córka.

391.

Malwinka pochyliła się nad śpiącym ojcem i poklepała go poplecach, bez efektu.

Wylazła łóżeczka i przydreptała do mnie.

Kucałam przy szafce, szykując dzieciom odświętne ubranka.

W planach mieliśmy uroczysty obiadek ubabci.

-Mamo.

- Szarpnęła mnie za piżamę i wyszeptała, wytrzeszczając oczka.

-Mamo, tatusia nieziwa.

- Żywa, żywa - uspokoiła ją Miśka, podając jej plastikowego dinozaura o grzbiecie najeżonym kolcami, w kolorze niebieskim.

Malwinka ostatnio kochago nad życie i zabiera do łóżka, co sprawia, że budzę się czasem w środku nocy z kolcami pod pachą.

-Zrób mu tym masaż, to ożyje.

Malwinka zlekceważyła dinozaura i wybrała metodę "na Śpiącą Królową" to znaczy pochyliła się nad tatusiem i z namaszczeniem pocałowała go w policzek.

Tatusz zamruczał niewyraźnie i przytulił ją do siebie.

- Mamo!

- Dziecko przydreptało z powrotem do mnie i znów szarpnęło za piżamę.

-Mamo!

Dałam buziacka tatusi!

- I cona to tatusz?

- zapytałam.

- Ziwa - wydała diagnozę przejętym szepcieniem, potrząsając lokami.

Potupała w kierunku łóżka i usiadła mężowi na plecach.

- O, Jezu!

- westchnął, pokręcił się przez chwilę i wyciągnął spod brzucha gumowego hipopotama w kolorze różowym.

-Która godzina?

- Ja powiem, ja powiem!

- wyrwała się Miśka, która od tygodnia zna się na zegarku, przynajmniej teoretycznie, i szarpnęła tatusia za rękę.

-Yyy.

Jeden zero kropka kropka dwa jeden.

- Powiedz porządnie.

- Włączyła mi się opcja dydaktyczna.

-Mówiłaś, że umiesz.

- Umie takie okrągłe.

A tatusz ma tylko cyferki - nadęła się Miśka.

- Z cyferkami umiałaś już dawno temu - zdziwiłam się.

- Okrągłe są trudniejsze.

No, mów.

Pierwsze dwie to godzina, a drugie to minuty.

- Dziesięć.

Dziesiąta!

Dwadzieścia trzy!

Pamiętam!

- zdziwiła się Miśka.

-W zerówce ćwiczyliśmy teokrągłe.

Tatusz tymczasem spokojnie zasnął.

A Niko się obudził.

- Nikodem ziwa - ucieszyła się Malwinka, gdy z kojca rozległ się przeraźliwy, wygłodniały wrzask.

- Chiba.

392

Wzięłam młodego na ręce i położyłam na czwartego w małżeńskiej łóżnicy.

Mój ślubny naciągnął kołdrę na głowę.

Poszłam w jego ślady, z Nikodemem u boku.

- A teraz proszę białąkawę i bułeczkę z maselkiem, podane dołóżka na ozdobnej tacy - rozmarzyłam się, wynurzając głowę spod kołdry i patrząc na Miskę.

- Może Michalina przyniesie?

Miška wystawiła mi język.

Nie znosi, jakkolwiek mówi doniej "Michalina".

Zresztą naimię jej zupełnie inaczej.

- Krowa ma dłuższy i się niechwali!

- wrzasnęłam w jej stronę.

Malwinka postanowiła mnie wspomóc.

- No!

- zawołała z entuzjazmem- kłowa nie pali!

Nie majak wierne streszczenie tematu.

Po śniadaniu wypuściłam potomstwo do ogródka.

Nie minęło piętnaście minut, jakozległ się przerażony, histeryczny krzyk Malwinki.

Wybiegłam, jak stałam, połowicznie odziana, wpelnym przekonaniu, że wydarzyło się coś strasznego.

Moja młodsza stała przy schodach prowadzących na taras, wpatrywała się w nie ze śmiertelnym przerażeniem i wrzeszczała jak opętana.

Po schodach, powoli, nieubłaganie i prosto w jej stronę pełzł ślimak.

Taki bez skorupki.

Zlitowałam się nad atakowaną w ten sposób Malwinka i wyniosłam szarżującą bestię do łazienki, gdzie za pomocą toalety i rezerwuaru zapewniłam ślimakowi wycieczkę nad morze.

Nie minęło pięć minut, gdy dokładnie w tym samym miejscu pojawił się następny.

Normalnie przestępczość zorganizowana.

Uwzięty się i biegają za moim dzieckiem.

- Nie drzyjsię tak, tatuś śpi- upomniałam Malwinę.

Tatuś zmienił miejsce zalegania z łóżka w sypialni na kanapę w salonie i dalej twardo próbował odsypiać pępkówkę.

- Śpi - powtórzyła z przejęciem Malwinka, uspokajając się.

Tatuś zachrapał głośno.

- Siobie śpi.

I wajczy

Same groźne stworzenia opanowały nasz dom.

To ścigają nieszczęsna, to warczą.

Wieczorem wynajęliśmy znowu opiekunkę i poszliśmy sobie wraz z mężem do kina.

A potem na piwo.

Sami, tylko we dwoje.

Wędrowaliśmy, trzymając się za ręce, kolorowymi uliczkami Kazimierza.

Na placu Nowym mimo późnej pory gwar był zupełny.

nie jak na dużej przerwie.

Setki ludzi siedziało w ogródkach albo wprost na straganach, popijało różne napoje wysokokowe i toczyło dyskusje o wszystkim i o niczym.

My rozmawialiśmy o wolności.

Pretekst do takiej rozmowy dała Dominika i różne jej przygody.

Swoje odczucia zachowałam starannie dla siebie.

A i tak mój mąż powiedział mi parę rzeczy, których nigdy nie spodziewałam się usłyszeć.

- A ty?

- zapytał nagle, porzucając temat Dominiki.

- Jak się czujesz teraz, w tym momencie, z dyplomem w kieszeni?

Czujesz, że wszystko jest możliwe i przed tobą otwiera się przyszłość?

- Sama nie wiem.

To wszystko wydaje się takie nierealne.

Nie dokończaj tak, że wszystko możliwe, przecież wiesz.

Niemogę na przykład wyjechać na pół roku do Wielkiej Brytanii na szkolenie, nie pójdę raczej na studia podyplomowe, nie wyjadę z Polski, jak większość znajomych, jeśli nie będzie tu dla mnie zawodowych perspektyw.

- A dlaczego nie?

- zainteresował się mój mąż.

Popatrzyłam na niego jak na wariata.

- Jak to, czemu?

- Właśnie pytam, czemu?

- Choćby dlatego, że tu mamy dom, trójkę dzieci.

Nie mogę realizować tylko swoich marzeń.

- Możesz realizować każde z marzeń, jeśli tylko są dla ciebie istotne - powiedział poważnie.

- Wszystko jest do dogrania i do dogadania.

Sprawy techniczne zawsze dasię dopracować, jeśli niestandardowy sposób, to w jakiś zupełnie potłuczony.

My przecież nie jesteśmy do końca normalni, popatrz sama.

- Roześmiała się.

- Ostatnią rzeczą, której bym chciał, to żebyś czuła się ograniczona nami.

Bardzo jestem ciekaw, jak się potoczą dalsze nasze losy w momencie, w którym ty będziesz całkiem niezależna.

I zawodowo, i finansowo.

I w dużej mierze również psychicznie, ponieważ praca, którą się lubi, taką niezależność daje, wier mi.

Wiem, że to wszystko nie takie proste.

Wiem, że mama trojgadzici nie jest tak swobodna jak młoda dziewczyna.

Wiem też, że wcale takiej swobody niepragnę.

Mój mąż opowiedział mi o swojej drodze zawodowej w sposób, w jaki nigdy o tym nie myślałam.

Onczu się wolny w swoich decyzjach

związań, choć związany z nami, ale przecież był to związek, który od początku stał się również częścią tej wolności.

Dokonanym wyborem.

Nagle zrozumiałam, że od lat żyję z człowiekiem, który akceptuje rzeczywistość taką, jaka jest:

pracę, jej wymagania i specyfikę, mnie, trójkę naszych dzieci, dwa zwariowane koty i nawet ślimak z ogródka.

Uświadomiłam sobie jednocześnie, że to rzadka umiejętność i bardzo niewiele znanych mi osób ją posiada.

Mój mąż w pełni zdawał sobie sprawę z rozmaitych moich wad i słabości, które z

mniejszym lub większym wysiłkiem starałam się przed nim ukryć.

Ale również był świadom swobody działań, jaką dawały mu nasze wzajemne relacje, i doceniał to.

Poczułam się nagle bezpieczna i o wiele szczęśliwsza niż kilkadni temu.

Odetchnęłam głęboko.

W trakcie tej rozmowy, dłużej ciekawej (tymczasem usiedliśmy w jednym z ogródków i zamówiliśmy po piwku dla zwilżeniagardła), stało się coś ważnego.

Dotarło do mnie, że też jestem wolna.

I wielerzeczy może się wydarzyć.

Czekam na przyszłość.

SZKLANE KULECZKI.

EPILOG

Najpierw były słonie.

Porcelanowe słoniki, zbierałam je z zapamiętaniem, osobiście, a oprócz tego zbierałam dla mnie wszyscy moiznajomi i duża część rodziny, mając głowy kwestię ewentualnych prezentów na wszelakie okazje.

Luz i wygoda, dać jej słonia i już się cieszy.

Słonie były, tak naprawdę, słoniami, choć jak najbardziej nato wyglądały

Dla mnie były to zawsze kulki.

W kształcie słonia.

To duża różnica.

Gdzieś pod koniec lat osiemdziesiątych, jeszcze w podstawówce, pojechałam z rodziną do Niemiec, wtedy to była jeszcze RFN, świat po drugiej stronie żelaznej kurtyny, i tam odkryłam kulki.

Małe, szklane kuleczki, mieniające się wszystkimi kolorami tęczy, służące w zasadzie tylko temu, aby jemieć.

Podobno można było nimi grać, ale w co - i w jaki sposób, tego nigdy się nie dowiedziałam.

Zapałam do nich szczerą, prawdziwą miłością.

395.

Była to miłość skryta i niespełniona, gdyż pensja moich rodziców w biednym komunistycznym kraju do cen w raju na ziemi wyposażonym w hipermarkety miała się wiadomo jak.

Najbardziej leniwa sprzątaczką mieszkająca w tym raju zarabiała kilka razy więcej.

Rodzice ofiarowali mi parę marek, żebym sobie kupiła jakąś pamiątkę, ale miały to być zakupy, jak wszystko zresztą w mojej rodzinie, starannie przemyślane, perspektywiczne i praktyczne.

Pod czujnym okiem mamy wybrałam sobie wieczne pióro, ołówek z gumką do kompletu i mikroskopijny piórniczek.

Wszystko kolorystycznie zgrane i godne zawiaści.

Śliczne, dobrej jakości przedmioty, których faktycznie zazdrościłymi później wszystkie szkolne koleżanki.

Ja ich nigdy nie polubiłam.

Ja chciałam mieć kulki.

Małe, tajemniczo pobłyskujące, cudownie przelewające się w dłoni.

Moje wymarzone kuleczki.

Nie odważyłam się nawet pisać na ten temat.

Byłam nad wiek poważnym, grzecznym i ułożonym dzieckiem, tak zwaną uczennicą z czerwonym paskiem.

Na mój świat składały się lekcje angielskiego, gry na fortepianie, gimnastyka korekcyjna i zdobywanie kolejnych piątek w szkole.

Tony książki: "nieprzeszkadzaj, tu starsi rozmawiają".

Byłam niewidoczna, i nawet jeśli miałam własne zdanie, to tak głęboko utajone, że sama nie potrafiłam go sprecyzować wiele lat po fakcie.

Do głowy mi nie przyszło, żeby wydać ciężko zarobione pieniądze rodziców na coś bezużytecznego i niepraktycznego, choćby nawet było upragnione z całych sił.

Lata minęły i zmienił się świat.

A janie.

Tak samo cicha, tak samogrzeczna i uważna, że zdumieniem obserwowałam moje rówieśniczki, jak farbują włosy na rozmaite zwariowane kolory, robią sobie dredy lub zgoła gołą siemę łyso.

W wielu rodzinach zapanowały hormonalne zamęty i międzypokoleniowe różnice zdań.

Ja dalej grecznie chodziłam na muzykę, ubierałam się w to, co matka przygotowała poprzedniego wieczora, i przynosiłam zeszłoletnie piątki świadectwie.

Pod koniec liceum reforma oświaty sprawiła, że w systemie ocen pojawiły się szóstki; zdobywałam więc szóstki.

Mój ojciec, komentując sposób ubierania się zaprzyjaźnionych nastolatek, przewracał oczami i wygłaszał mądrości w rodzaju: "najlepszym stylem jest brak stylu, prostota i elegancja".

Nasze zdanie na temat elegancji różniło się nieco, ale w owym czasie nawet nie ośmieliłam się o tym pomyśleć głośno, sama, w pustym mieszkaniu.

Moi rodzice krytykowali współczesną, hałaśliwą muzykę, więc w ich obecności nie ośmielałam się przestawiać radia na inną stację.

A namiętnie słuchanego przez nich Programu Pierwszego nie trawiłam, więc powoli otaczałam niecisza.

I tylko moje kieszenie wypełniały się powoli kolorowymi kulkami, których nie mogłam dotknąć.

Ale były tam, czułam je wyraźnie.

Tylko nie miały jeszcze odwagi, tak samo jak ja, zaistnieć naprawdę.

Przed całkowitym zniknięciem uchroniły mnie książki, z biegiem lat rodzice przestali się interesować, co czytami czemu.

Zresztą odruchy wyrobione w dzieciństwie sprawiały, że sama z siebie.

/otaczałam się dziełami wartościowymi i pełnymi treści, nie tracąc czasu na głupoty.

Przed całkowitym zniknięciem uratowali mnie także przyjaciele.

W liceum trafiłam do niesamowitej klasy - wszyscy byliśmy po trosze nie z tego świata.

Góry, gitary, chorały i poezja śpiewana.

Papierosy i knajpy dla nas nieistniały, alkohol w zasadzie również, jeśli już, to symbolicznie i dopiero na etapie hucznie obchodzonych osiemnastek w kolejnych górskich schroniskach.

Rodzice, obejrzawszy sobie dokładnie moje towarzystwo, zdjęli ze mnie parasol ochronny, rzecz jasna częściowo.

Nie musiałam rozliczać się z czasu z dokładnością do pół sekundy.

Sam przed sobą rozliczałam się dokładnie, ale powoli odważyłam się nadawać kolejnym kuleczkom własne, ukochane imiona.

Wyjmować z kieszeni to, co było moje, i pokazywać światu.

Świat ograniczał się do wąskiego grona najbardziej zaufanych przyjaciół, po czym wciążyłam przezroczystą jak szkło.

Odważyłam się w końcu zbierać.

słonie.

Moje kulki przybrały kształt słoni, z bliżej nieokreślonych przyczyn nie mogły pozostać po prostu kulkami.

Uznałam słonie za bardziej normalne i zrozumiałe.

Nie budziły protestów ani zadziwienia.

Nawet moi rodzice dołożyli kilka sztuk do mojej kolekcji.

397.

Lubiłam moje słonie, ale nie kochałam ich, bo nie były kulkami.

Minęły lata, całkiem duzo lat, i doświadczyłam boleśnie, że nic w przyrodzie nie ginie.

'Ja, grzeczna, wzorowa jedynaczka, wypuszczona z nienackanaskutek rozmaitych okoliczności zewnętrznych na szerokie wody samodzielnego zamieszkania wyłącznie z rówieśnikami i w ogóle radzenia sobie jakoś - zaczęłam nagle pracować za barem, poznałam cały zwariowany, krakowski kawiarniany świat.

Zwariowałam zupełnie.

Jedną po drugiej wysypywałam moje ulubione kulki, starałam się robić wszystko naraz, pić, palić, szaleć, studiować, pracować i pokazywać światu własne zdanie, niekoniecznie rozsądne i uporządkowane.

Moje kuleczki wydostały się z kieszeni wszystkie naraz - i rozsypały się po podłodze.

Chciałam powrócić do punktu wyjścia, a nie mogłam, bo punktu wyjścia nie istniał, nie znałam go, zadbałam o to starannie, będąc przezroczyście przez tyle lat, szukałam siebie i nie mogłam sama siebie zauważyć, nauczyłam się odbijać wszystko wokół jak lustro - i nagle, jak w baśni Andersena, zwierciadło wykrzywiło się i ukazywało tylko rzeczy złe i brzydkie, i nie było dookoła mnie innej prawdy.

To tak, jak kiedy krótkowidz zgubi okulary i nie może ich znaleźć, bo są małe i delikatne, a przy wadzie wzroku bez okularów nie widać okularów, i wiele niechcianych rzeczy trzeba obmacać samemu, dookoła, żeby w końcu trafić, i to się, ostatecznie, nazywa prosto szczęśliwy przypadek.

Zdradziły mnie lektury, zdradziłam sama siebie i moich najbliższych, ale przypadek zaistniał inaczej, tak jak dawniej - przyjaciele.

Więcej niż przypadek.

Po prostu przyjaciele.

Ci, którzy dawno temu, narażając się na awantury i szykany zestrony starszego pokolenia, nosili jaskrawoczerwone dredy po łopatki, a teraz posuwali do pracy ostrzyżeni na grzeczny jeża, w sztywno odprasowanych garniturach, te, które nosiły czarne, powłóczyste szaty i równie powłóczyste, ciężkie od tuszu rzesy, a teraz w licealnych dresach i polarach doprowadzały swoje małe domki do połysku w sobotnie popołudnie, żeby ich niemowlęta alergii na kurz nie dostały. Ci wszyscy, którzy bunt i próbę samookreślenia

sienią przeżyli jak Pan Bóg przykazał, we wczesnej młodości, chociaż sami nie zdawali sobie z tego sprawy, pod czujnym okiem kochających rodziców - niezapomnieli o mnie.

Czuwali, upominali albo tylko przewracali oczami, ale na tyle wyraźnie, bym mogła uświadomić sobie, co tak naprawdę chcą mi przekażać.

Wśród nich znalazł się ten, który znał mnie od dawna i przetrzymał wszystko - moją niepewność i przezroczystość, moją nieuporządkowość, moją nagłą hałaśliwość i spóźniony bunt.

Był, czekał, trzymał mnie za rękę, nawet gdy ją wyrывałam.

I w końcu zaprowadził mnie do siebie samej.

Do domu.

Mamy Dom, pełen światła, dzieci, zwierząt i zabawek.

Nie ma w nim moich słoni, zostały u mamy.

Nie potrzebuję ich.

Nie ma w nim jeszcze małych, szklanych kulek.

Alesą rozmowy.

Próby zrozumienia.

Mój mąż jest moim najlepszym przyjacielem.

Moje dzieci żyją w realnym świecie, zadbałam o to, uczestnicząc w naszym pokręconym życiu i od małego mają własne zdanie.

Niekiedy wyrażane w bardzo żywo i w sposób.

Ja też nauczyłam się mieć własne zdanie, i widzę, że nikogo jeszcze nie pogryzło.

Czym jest literatura, jak nie wyrażaniem swojego zdania, ujawnianiem swojego spojrzenia na świat?

Mój obecny zawód to ironia losu.

Zbieram małe kuleczki zdarzeń, tych rzeczywistych i tych wymyślonych, nawlekam je na sznurek opowieści, która ma konkretny kształt, rozwinięcie oraz zakończenie, i w ten sposób porządkuję świat dla siebie - i dla innych.

Przestałam się bać.

I dobrze wiem, że - być może, szczęśliwie, już niedługo - przyjdzie taki dzień, w którym nareszcie kupię sobie wielki dzban pełen małych, szklanych, różnobarwnych kulek, postawię w dużym pokoju na kredensie, na honorowym miejscu, i będę mogła spojrzeć sobie w oczy i powiedzieć: to ja.

Koniec.